

A close-up portrait of a woman with dramatic makeup, including heavy red eye makeup and red lips. She is holding a white folding fan with a floral pattern. The text 'ARTHUR GOLDEN' is at the top, and 'WYZNANIA GEJSZY' is at the bottom.

ARTHUR
GOLDEN

WYZNANIA
GEJSZY

ARTHUR GOLDEN
WYZNANIA
GEJSZY

Z angielskiego przełożył
Witold Nowakowski



LIBROS

Mojej żonie Trudy
oraz moim dzieciom, Haysowi i Tess

OD TŁUMACZA WERSJI ANGIELSKIEJ

Pewnego wiosennego wieczora tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku, kiedy miałem czternaście lat, ojciec zabrał mnie na pokaz tradycyjnych tańców w Kioto. Zapamiętałem z tego tylko dwie rzeczy. Pierwszą było to, że publiczność poza nami składała się z samych Japończyków; przybyliśmy z Holandii parę tygodni wcześniej i jeszcze nie przywykłem do izolacji kulturowej. Druga rzecz polegała na tym, że po wielu ciężkich miesiącach nauki japońskiego bez trudu – i z radością – rozumiałem strzępy przypadkowo słyszanych rozmów. Młodych tancerek na scenie nie pamiętam; wiem tylko, że nosiły różnobarwne kimona. W najśmielszych snach nie przypuszczałem, że pół wieku później w Nowym Jorku jedna z nich stanie się moją dobrą przyjaciółką i podyktuje mi swoje nadzwyczajne wspomnienia.

Jako historyk zawsze doceniałem niezwykłą wartość pamiętników. Wiedza w nich zawarta mówi nie tyle o autorze, ile o świecie, w którym żył pamiętnikarz. Bardzo się różnią od biografii, gdyż brak w nich narzuconej z góry perspektywy. Tak zwana zaś autobiografia – o ile w ogóle istnieje – przypomina nakaz dany królikowi, by opisał swój wygląd podczas kicania po trawie. Jakże on ma to zrobić? Z drugiej strony, jeżeli chcemy usłyszeć o łące, nie znajdziemy lepszego eksperta – pod warunkiem że zakarbujemy sobie, iż nie nam postrzegać te wszystkie rzeczy, z jakimi królik obcuje na co dzień.

Mówię to z przekonaniem naukowca, który niejednego dokonał, z zachowaniem podobnych zasad. A jednak muszę przyznać, że wspomnienia drogiej Nitty Sayuri skłoniły mnie do przemyśleń. Tak... Odsłoniła przed nami część własnego magicznego świata króliczej łąki, jeśli kto woli. Trudno chyba znaleźć lepszy opis osobliwego życia gejszy, niżli ten, sporządzony przez Sayuri. Przy okazji dała nam pełniejszy, lepszy i o wiele dokładniejszy wizerunek siebie; lepszy niż traktujący o jej losach długi rozdział w książce *Błyszczące klejnoty Japonii* i reportaże, jakich się namnożyło przez lata. Wygląda na to, że w tym szczególnym wypadku nikt nie poznał pamiętnikarza lepiej aniżeli sam pamiętnikarz.

Sayuri doszła do sławy głównie za sprawą przypadku. Inne kobiety żyły podobnym życiem. Ot, choćby słynna Kato Yuki gejsz, która w początkach wieku podbiła serce George'a Morgana, bratanka J. Pierponta, i stała się jego „żoną na

wygnaniu”. Jej los w dużym stopniu był ciekawszy niż dzieje Sayuri. Ale tylko Sayuri w tak rzetelny sposób udokumentowała swą sagę. Przez pewien czas sądziłem, że miała nieco szczęścia. Gdyby została w Japonii, zabrakłoby jej czasu, by pomyśleć o pamiętnikach. Traf sprawił, że w pięćdziesiątym szóstym wyemigrowała do Stanów. Przez czterdzieści lat mieszkała w nowojorskim Waldorf Towers, w gustownie urządzonej po japońsku apartamencie na trzydziestym drugim piętrze. Nawet wówczas jej życie gnało w oszalałym tempie. Przez pokój przewinęła się cała plejada gości: artyści, myśliciele, biznesmeni, a nawet kilku ministrów i jeden czy dwóch gangsterów. Poznałem ją przez kolegę, w osiemdziesiątym piątym. Jako badacz Japonii już wcześniej słyszałem jej imię, lecz prawie nic nie wiedziałem o niej samej. Z biegiem czasu połączyły nas mocne więzi przyjaźni. Ufała mi. Kiedyś wreszcie spytałem, czy nigdy nie myślała o spisaniu swych wspomnień.

– Moim zdaniem, mógłbyś to sam zrobić, Jakob-san – odpowiedziała.

I tak się stało. Sayuri jasno dała mi do zrozumienia, że woli dyktować, niż pisać, gdyż, jak wyjaśniła, przez całe życie przywykła do długich, osobistych rozmów. Sama jedna w pokoju nie wiedziałaby nawet, jak zacząć. Przystałem na jej propozycję i manuskrypt niniejszej książki powstał w ciągu półtora roku. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, z jakim trudem przyjdzie mi przetłumaczyć wszelkie niuanse dialektu używanego w Kioto – gdzie gejsze mówią o sobie „geiko”, a kimono czasami nosi nazwę „obebe”. Z drugiej strony, od początku zauroczył mnie świat Sayuri. Jeśli nie liczyć kilku sporadycznych przypadków, spotykaliśmy się wieczorami, gdyż jej umysł – po latach przyzwyczajęń – właśnie wówczas działał najsprawniej. Zwykle pracowaliśmy w Waldorf Towers, chociaż czasem zapraszała mnie do osobnego pokoju w japońskiej restauracji przy Park Avenue. Wszyscy ją tam dobrze znali. Jedna sesja trwała od dwóch do trzech godzin. I choć za każdym razem nagrywałem całą rozmowę, zawsze towarzyszyła nam sekretarka, pilnie zapisująca słowa Sayuri. Ona zaś nigdy nie mówiła do niej, ani do mikrofonu. Zwracała się wyłącznie do mnie. To ja pomagałem jej zebrać myśli, gdy miewała kłopoty z narracją. Stanowiłem fundament naszego przedsięwzięcia i byłem święcie przekonany, że ta książka by nie powstała, gdybym nie zdobył pełnego zaufania autorki. Dziś myślę o tym trochę inaczej. Owszem, odegrałem rolę powiernika Sayuri, ale to ona od dawna czekała na właściwego kandydata.

To sprowadza nas do podstawowego pytania, które brzmi: dlaczego Sayuri chciała opowiedzieć o sobie? Gejsza nikomu nie ślubuje tajemnicy, lecz jej całe życie

upływa w cieniu starej japońskiej zasady, że nie należy łączyć porannych, oficjalnych zdarzeń i wieczornych przygód za zamkniętymi drzwiami. Gejsza na ogół nie rozprawia o swoich doświadczeniach. Jak jej poślednia siostra, prostytutka, zbyt dużo wie o zwyczajach niektórych osób. O tym, że ten lub inny dygnitarz lubi ściągnąć spodnie jak zwykły śmiertelnik. Gwoli prawdy należy wspomnieć, że „motyle nocy” traktują to jako dowód wielkiego zaufania, a ta, która zdradzi, staje pod pręgierzem opinii publicznej. Sayuri była w szczególnej sytuacji, gdyż nikt w Japonii nie miał już nad nią władzy. Dawno zerwała więzy z ojczyzną. To po części wyjaśnia, dlaczego nie czuła się zobowiązana do milczenia, chociaż w dalszym ciągu nie wiemy, z jakich właściwie powodów zdecydowała się mówić. Bałem się poruszyć ten temat. Bałem się, że po zastanowieniu nabierze większych skrupułów i nie skończy pracy nad pamiętnikiem. Wahałem się nawet wówczas, gdy zamknęliśmy ostatni rozdział rękopisu. Dopiero kiedy nadeszła zaliczka z wydawnictwa, wróciła mi odwaga i ośmieliłem się spytać:

– Sayuri, co sprawiło, że postanowiłaś opisać swoje życie?

– A co miałam innego do roboty? – odpowiedziała.

Czytelniku, sam osądź, czy mówiła prawdę.

Chociaż bardzo chciała, by pamiętniki ujrzały światło dzienne, publikację obwarowała kilkoma zastrzeżeniami. Maszynopis miał trafić do druku dopiero po jej śmierci i śmierci kilku ludzi, którzy odegrali ważką rolę w jej życiu. Los sprawił, że wszyscy odeszli przed nią. Nie chciała, by ktokolwiek zaznał krzywdy z powodu jej wynurzeń. Tam, gdzie było to możliwe, podawałem prawdziwe nazwiska, choć Sayuri, wedle powszechnie przyjętych zasad postępowania gejszy, o niektórych klientach mówiła w sposób opisowy, skrywając ich tożsamość za starannie dobranymi przydomkami. Gdy we wspomnieniach na przykład pojawia się Pan Śnieżyca – łatwy do zapamiętania ze względu na łupież – nie należy sądzić, że intencją autorki była zwykła chęć zabawienia czytelników.

Kiedy na początku pracy spytałem, czy mogę korzystać z magnetofonu, kierowały mną czysto praktyczne względy. Chciałem w miarę potrzeb poprawiać błędy sekretarki. Po śmierci Sayuri co nastąpiło w zeszłym roku – doszedłem do wniosku, że chodziło mi chyba o coś więcej: o zachowanie jej głosu nacechowanego rzadko słyszalną ekspresją. Zwykle mówiła cicho, jak przystało kobiecie, której głównym zadaniem było zabawianie mężczyzn. Gdy jednak chciała lepiej opisać mi jakąś scenę,

sprawiała, że słuchając jej, miałem nieodparte wrażenie, iż poza mną w pokoju jest sześć lub osiem innych osób. Nieraz wieczorami wracam do tych nagrań w zaciszu mego gabinetu i strasznie trudno mi uwierzyć, że już nie ma jej wśród żywych.

profesor Jakob Haarhuis
Instytut Historii Japonii
Uniwersytet w Nowym Jorku

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wyobraź sobie, że siedzimy w cichym pokoju wychodzącym na ogród i gawędzimy o dawnych sprawach przy czarce zielonej herbaty. Powiedziałam do ciebie:

– Właśnie wtedy, gdy poznałam tamtego człowieka... był to dla mnie najlepszy i zarazem najgorszy dzień w życiu. Powinieneś wówczas odstawić czarkę i spytać:

– Jak to? Najlepszy czy najgorszy? Przecież nie da się tego pogodzić.

Pewnie bym się roześmiała i przyznała ci rację. Sęk w tym, że gdy poznałam pana Tanakę Ichiro, naprawdę było to najlepsze i najgorsze zdarzenie w moim życiu. Zafascynował mnie tak bardzo, że nawet woń ryb na jego rękach wydawała mi się zapachem perfum. Gdybym go nie spotkała, na pewno nie zostałabym gejszą.

Nie urodziłam się i nie dorastałam na gejszę. Nawet nie pochodzę z Kioto. Jestem córką rybaka z małej wioski Yoroido nad brzegiem Morza Japońskiego. Do tej pory zaledwie kilka osób słyszało ode mnie o Yoroido, o domu, w którym się wychowałam, o moim ojcu, matce i o starszej siostrze. Nie opowiadałam o tym, jak zostałam gejszą ani o moich dalszych doświadczeniach. Wielu ludzi wciąż wierzy, że moja matka i babka też były gejszami, i że uczyłam się tańczyć od chwili, kiedy mnie odstawiono od piersi. Prawdę mówiąc, przed laty jeden z moich klientów napomknął przy czarce sake, że tydzień wcześniej przejeżdżał przez Yoroido. Poczulałam się niczym ptak, który po długim locie przez ocean spotkał znajomka z sąsiedniego gniazda. Byłam tak zaskoczona, że nie mogłam powstrzymać okrzyku.

– Yoroido? To przecież moje rodzinne strony! Biedaczysko! Twarz jego wyrażała całą gamę uczuć. Próbował się uśmiechnąć, ale tylko wykrzywił usta w przedziwnym grymasie, gdyż nie potrafił ukryć konsternacji.

– Yoroido? – wykrztusił. – Chyba nie mówisz poważnie?

O wiele wcześniej wypracowałam pożyteczny uśmiech, nazywany przeze mnie „uśmiechem no”, ponieważ przypominał zastygłą teatralną maskę. Miał tę zaletę, że mężczyźni rozumieli go, jak chcieli. Nie powinno cię zatem dziwić, że korzystałam zeń nader często. Tym razem też się uśmiechnęłam, rzecz jasna, z właściwym skutkiem. Klient westchnął głęboko, wychylił czarkę do dna i wybuchnął gromkim śmiechem, w którym przebijała wyraźna ulga.

– Co za pomysł! – zawołał, nie tłumiąc wesołości. Miałabyś pochodzić z tak nędznej dziury? To jakby parzyć herbatę w wiadrze! – Śmiał się. – Wiem, co mnie w tobie pociąga, Sayuri-san. Sprawiasz, że czasem wierzę w twoje niewinne żarty.

Nie spodobało mi się porównanie do herbaty parzonej w wiadrze, ale przyznałam w duchu, że po części miał rację. Cóż z tego, że dorastałam w Yoroido? Nie było to najpiękniejsze miejsce. Rzadko kto tam zaglądał. Nikt z mieszkańców nie miał okazji do wyjazdu. Zastanawiasz się pewnie, w jaki sposób ja tego dokonałam, Tu właśnie rozpoczyna się moja historia.

Chatkę, w której mieszkałam w rybackiej wiosce Yoroido, nazywałam „trzęsichatką”. Stała na krawędzi klifu, wystawiona na ciągłe wiatry, wiejące od oceanu. Gdy byłam mała, wydawało mi się, że ocean cierpi na chroniczny katar: zawsze dyszał i pociągał nosem, a czasami okropnie kichał – wówczas z podmuchem wichru spadał na nas deszcz piany. Dom czuł się obrażony, że ktoś dmucha mu prosto w twarz, i odchylił się do tyłu, żeby być jak najdalej. Pewnie by się przewrócił, gdyby mój ojciec nie podtrzymał go grubą belką, wyjętą z wraka łodzi. Stał więc w dalszym ciągu, wsparty niczym starzec na lasce.

Życie w trzęsichatce układało mi się koślawo. Od najmłodszych lat byłam podobna do matki, mniej do ojca i do starszej siostry. Matka twierdziła, że ulepiono nas z tej samej gliny. Przede wszystkim miałam jej oczy – dziwne, niemal nieznanne w Japonii. Nie były ciemnopiwnne, jak u innych mieszkańców wioski, ale przezroczyście szare. Jako mała dziewczynka myślałam nawet, że ktoś je przedziurawił i wysączył tusz. Matka śmiała się, kiedy jej o tym powiedziałam. Zdaniem wróżbitów miała szare oczy, gdyż było w niej zbyt wiele wody – dużo więcej niż pozostałych czterech żywiołów – i przez to cierpiał jej wygląd. Wioskowi powiadali, że w zasadzie powinna była odziedziczyć urodę po rodzicach. Cóż, brzoskwinia smakuje świetnie, grzyb także, lecz nie można ich z sobą łączyć. W ten sam sposób natura okrutnie zadrwiła z matki, dając jej pełne usta babki i mocno zarysowaną szczękę dziadka. Wyglądało to jak delikatny obraz zamknięty w ciężkich i kanciastych ramach. A piękne szare oczy ginęły wśród gęstych rzęs, zniewalających u mężczyzny, lecz u kobiety po prostu śmiesznych.

Matka twierdziła zawsze, że poślubiła ojca, gdyż nosił w sobie tyle drewna, ile ona wody. Ludzie, którzy go znali, wiedzieli, że to prawda. Woda szybko przepływa z

miejsca na miejsce i zawsze znajdzie szczelinę, by przemknąć na drugą stronę. Drzewo, wprost przeciwnie, mocno tkwi korzeniami w ziemi. W wypadku ojca miało to swoje znaczenie, gdyż był rybakiem, a człowiek o charakterze drzewa nie boi się morza. Szczerze mówiąc, ojciec uwielbiał morze i tak naprawdę nigdy się od niego nie oddalał. Pachniał słoną wodą nawet po kąpieli. Kiedy nie łowił, siadał na podłodze w mrocznej głównej izbie i naprawiał postrzępione sieci. Ruchy miał tak oszczędne, że gdyby sieć była śpiącym stworzeniem, nie zdołałaby się obudzić. Wszystko robił powoli. Gdy coś go zaskoczyło, mogłam wybiec na dwór, wylać wodę z miski i wrócić, zanim zdążył zrobić zdziwioną minę. Twarz miał pokrytą gęstą siecią zmarszczek, a z każdej z nich wyzierało inne zmartwienie. To w zasadzie nie była twarz, lecz drzewo pełne gniazd na każdej gałęzi. Ojciec wciąż próbował panować nad sobą i przez to wyglądał na wiecznie zmęczonego.

Kiedy miałam sześć lub siedem lat, dowiedziałam się o nim czegoś, o czym wcześniej nie miałam pojęcia. Pewnego dnia zapytałam:

– Tato, dlaczego jesteś taki stary?

Zmarszczył brwi, tak że zmieniły się w dwie małe, smętne parasolki nad oczami. Potem westchnął długo i pokręcił głową.

– Nie wiem – odpowiedział.

Popatrzyłam na matkę. Rzuciła mi krótkie spojrzenie, oznaczające „porozmawiamy potem”. Następnego dnia bez słowa zaprowadziła mnie za wioskę, na wzgórze, i skręciła na ścieżkę wiodącą na cmentarz. Wskazała mi trzy groby, każdy zwieńczony dużo wyższą ode mnie białą tyczką. Na tyczkach widniały smutne czarne znaki, których nie umiałam odczytać, gdyż za krótko chodziłam do wioskowej szkoły, by wiedzieć, gdzie się kończy jeden hieroglif, a gdzie zaczyna drugi. Matka wyciągnęła rękę i przeczytała:

– „Natsu, żona Sakamoty Minoru”. – Mój ojciec nazywał się Sakamoto Minoru.

– „Zmarła w wieku dwudziestu czterech lat, w dziewiętnastym roku ery Meiji”.

Potem wskazała na następną mogiłę.

– „Jinichiro, syn Sakamoty Minoru, zmarł w wieku sześciu lat, w dziewiętnastym roku ery Meiji”.

Ostatni napis brzmiał tak samo, z wyjątkiem imienia Masao – i wieku – trzech lat. Chwilę trwało, zanim zrozumiałam, że mój ojciec był już kiedyś żonaty i że stracił całą rodzinę. Jakiś czas później wróciłam na cmentarz i odkryłam, że smutek potrafi

ciężyc. Wydawało mi się, że ważę dwukrotnie więcej, jakby groby ciągnęły mnie do siebie.

Jak widać, drewno z wodą współżyły nie najgorzej i spłodziły potomstwo o właściwej relacji żywiołów. I chyba nikt się nie spodziewał, że każde z nich dostanie po jednym dziecku. Ja przypominałam matkę i nawet odziedziczyłam jej niezwykle oczy, za to moja siostra Satsu jako żywo była podobna do ojca. Starsza ode mnie o sześć lat, robiła wszystko, czego ja nie mogłam. Kłopot w tym, że kiedy już się czegoś tknęła, wychodziło jej to niemal przypadkowo. Jeśli ktoś ją prosił, by naalała zupy ze stojącego na ogniu garnka, zupa cudem trafiała do misek. Pamiętam, jak pewnego razu pokroiła się rybą. Nie, nie nożem do oprawiania, ale właśnie rybą. Niosła ją ze wzgórza, zawiniętą w papier. Ryba wypadła i przedziwnym trafem ostrą płetwą skaleczyła siostrę w nogę.

Poza mną i Satsu rodzice mogli mieć więcej dzieci, zwłaszcza że ojciec wyczekiwał syna, zdolnego pływać z nim na połowy. Niestety gdy miałam siedem lat, matka ciężko zachorowała. Prawdopodobnie na raka kości. Wówczas nie zdawałam sobie najmniejszej sprawy z jej poważnego stanu. Sen był dla niej jedyną ucieczką przed cierpieniem, więc zachowywała się jak kotka – całymi dniami spała. Po kilku miesiącach zaczynała jęczeć zaraz po przebudzeniu. Wyczuwałam, że coś się z nią dzieje, ale przecież woda jest zmienna, więc się nie przejmowałam. Czasami szybko chuda, potem – nie mniej prędko – odzyskiwała nadwątlone siły. Zanim skończyłam dziewięć lat, zmizerniała tak, że kości twarzy przebijały jej przez policzki. Nigdy więcej nie przybrała na wadze. Nie wiedziałam, że to choroba wysysa z niej całą wodę. Jak morszczyn, zazwyczaj wilgotny i gruby, po wyschnięciu zmienia się w szeleszczący wiecheć, tak i matka z dnia na dzień traciła swą esencję.

Pewnego dnia, gdy siedziałam na klepisku w mrocznej frontowej izbie i ćwierkałam coś do złapanego rano świerszcza, zza drzwi dobiegło wołanie:

– Oi! Otwórzcie! Tu doktor Miura!

Doktor Miura raz w tygodniu odwiedzał naszą wioskę i zawsze wspinał się na wzgórze, żeby zbadać moją matkę. Robił tak od początku jej choroby. Ojciec tym razem też był w domu, gdyż zbliżała się potworna burza. Jak zwykle kucał w ulubionym miejscu i długimi, pajęczymi dłońmi gmerał w poplątanej sieci. Na chwilę skierował wzrok na mnie i uniósł palec. Znaczyło to, że mam otworzyć.

Doktor Miura był bardzo ważnym człowiekiem. Tak przynajmniej sądziliśmy w wiosce. Studiował w Tokio i podobno znał więcej chińskich znaków niż ktokolwiek inny. Duma nie pozwalała mu patrzeć na stworzenia w rodzaju małych dziewczynek. Gdy odsunęłam drzwi, zdjął buty i minął mnie bez słowa.

– Och, Sakamoto-san... – odezwał się do ojca. Chciałbym żyć pana życiem. Całymi dniami na morzu... Przecudownie! A w sztormowe dni odpoczynek. Widzę, że żona śpi – ciągnął. – Szkoda... Myślałem, że ją zbadam.

– Tak? – mruknął ojciec.

– Chodzi o to, że za tydzień nie przyjdę. Mógłby ją pan obudzić?

Chwilę trwało, nim ojciec uwolnił ręce z sieci, lecz w końcu zdołał się podźwignąć.

– Chiyo-chan, poczęstuj pana doktora herbatą – powiedział do mnie.

Miałam wówczas na imię Chiyo. Dopiero później stałam się Sayuri, już jako gejsza.

Ojciec zabrał lekarza do przyległej alkowy, gdzie spała matka. Próbowałam podsłuchiwać pod drzwiami, lecz słyszałam tylko jej jęki i ani słowa z rozmowy. Zaparzyłam herbatę. Wreszcie lekarz wyszedł; zacierał dłonie i miał bardzo poważną minę. Ojciec też wrócił i obaj siedli przy stole pośrodku izby.

– Najwyższa pora, bym panu coś powiedział, Sakamoto-san – oświadczył doktor Miura. – Niechże pan porozmawia z kobietami z wioski. Na przykład z panią Sugi. Bez wątplenia uszyje żonie coś nowego.

– Nie mam pieniędzy, panie doktorze – odparł ojciec. – Wszystkim nam się źle wiedzie ostatnimi czasy. Rozumiem pana, ale z drugiej strony, musi pan chociaż trochę pomyśleć o żonie. Nie powinna umierać w łachmanach. – Więc wkrótce umrze?

– Najwyżej za parę tygodni. Okropnie cierpi. Śmierć będzie dla niej ukojeniem.

Nie słyszałam dalszego ciągu. W uszach brzmiał mi donośny łopot skrzydeł przerażonego ptaka. A może było to moje serce? Nie wiem. Widziałeś kiedyś, jak ptak uwięziony w wielkiej świątyni szaleńczo poszukuje wyjścia? Tak właśnie błędził mój umysł. Nigdy przedtem nie przyszło mi do głowy, że matka nie wyzdrowieje. Nie twierdzę, że nie myślałam o jej śmierci. Myślałam – i to w ten sam sposób, jak o

trzęsieniu ziemi niszczącym trzęsichatkę. Dla mnie ów kataklizm wyznaczał kres życia.

– Sądziłem, że umrę pierwszy – powiedział ojciec.

– Wprawdzie jest pan już stary, Sakamoto-san, lecz ma pan końskie zdrowie. Pociągnie pan co najmniej cztery lata. Zostawię żonie zapas pigułek. Jeśli zajdzie potrzeba, niech bierze dwie naraz.

Przez jakiś czas rozmawiali o lekarstwach, potem doktor Miura pożegnał się i poszedł. Ojciec przez długą chwilę siedział tyłem do mnie. Milczał. Był bez koszuli; miał na sobie jedynie pomarszczoną skórę. Im dłużej patrzyłam na niego, tym bardziej zdawał mi się przedziwnym zlepkiem kształtów i cieni. Kręgosłup miał jak gruzłowatą linię. Jego głowa, pełna różnobarwnych plam, przypominała poobijany owoc. Ręce były patykami, owiniętymi w starą irchę i zwisającymi z dwóch guzów. Co mnie czekało przy nim po zgonie matki? Nie chciałam rozstania, a mimo to wiedziałam, że z nim czy bez niego dom będzie jednakowo pusty.

Wreszcie ojciec wyszeptał moje imię. Klęknęłam obok niego. – Coś bardzo ważnego – mruknął.

Twarz miał smutniejszą niż zazwyczaj i toczył wkoło wzrokiem, jakby utracił władzę nad oczami. Myślałam, że się waha, jak mi powiedzieć o bliskiej śmierci matki.

– Idź do wioski – wycedził w końcu. – Przynieś kadzidła na ołtarz.

Niewielki buddyjski ołtarzyk stał na starej skrzyni w pobliżu drzwi do kuchni. Był to jedyny wartościowy przedmiot w naszej trzęsichatce. Grubo ciosany wizerunek Amidy, Buddy Zachodniego Raju, zasłaniały maleńkie czarne tabliczki z buddyjskimi imionami zmarłych przodków.

– Ale tato... to naprawdę wszystko?

Łudziłam się nadzieją, że mi odpowie, lecz tylko machnął ręką na znak, bym odeszła.

Ścieżka od naszego domu wiodła najpierw wzdłuż wybrzeża, potem skręcała w głąb lądu, do wioski. Spacer w taki dzień jak wówczas nastroczał niemało trudności, ale ja byłam nawet rada, że dokuczliwy wiatr odrywa mnie od smętnych myśli. Morze szalało, fale – potrzaskane niczym odłamki kamieni – wydawały się dość ostre, by przeciąć skórę. Miałam wrażenie, że przyroda podziela mój smutek. Czymże w końcu

jest życie jak nie wiecznym sztormem, który zgarnia wszystko, co nam na chwilę dane, i zostawia na brzegu tylko nagie i poszarpane szczątki? Nigdy przedtem nie zadawałam sobie takich pytań. Usiłowałam od nich uciec. Biegłam ścieżką, aż w oddali zobaczyłam wioskę. Yoroido było maleńkie i ledwie przycupnięte na skraju zatoki. Na morzu zwykle kołysało się stadko kutrów, lecz dziś widziałam tylko kilka śpiesznie wracających łodzi. Dla mnie wyglądały zawsze niczym wodne żuki sunące po falach. Nadciągał sztorm; słyszałam jego głuchy pomruk. Łodzie w zatoce blakły i powoli znikwały za zasłoną deszczu. Po chwili już ich nie było. Widziałam, jak burza wspina się w moją stronę. Pierwsze krople ulewy wydały mi się wielkie niczym przepiórcze jaja. Kilka sekund później przemokłam do nitki. Wyglądałam, jakbym wpadła do morza.

Yoroido miało tylko jedną ulicę, wiodącą wprost do frontowych drzwi Japońskiego Przedsiębiorstwa Rybołówstwa Morskiego. Wzdłuż ulicy stały dwa szeregi domów, z reguły połączonych ze sklepami. Chciałam przebiec na drugą stronę, gdzie mieścił się skład sukiennika Okady. Nagle coś się stało – jedna z tych zwykłych, małych rzeczy, okupionych niewspółmiernym skutkiem, jak przypadkowy upadek pod pociąg. Nogi uciekły spode mnie na rozmięklej, śliskiej drodze i klapnęłam skronią o ziemię. Chyba straciłam przytomność, gdyż pamiętam tylko, że byłam otepiała i miałam w ustach okropny niesmak. Nawet próbowałam splunąć. Słyszałam czyjeś głosy, ktoś mnie odwrócił na wznak, wziął na ręce i poniósł. Wiedziałam, że weszliśmy do Japońskiego Przedsiębiorstwa Rybołówstwa Morskiego, gdyż czułam wokół siebie mocną woń łusek. Chwilę potem rozległa się seria głuchych pacnięć, gdy ktoś zgarnął kawałki ryb z drewnianego stołu. Położono mnie na oślizłym blacie. Byłam mokra, zakrwawiona, bez butów, upaprana błotem i odziana w zgrzebne wiejskie łachy. Nie wiedziałam wówczas, że nadchodzi ogromna zmiana. Błędnym wzrokiem spojrzałam prosto w twarz pana Tanaki Ichiro.

Już przedtem widywałam go w wiosce. Co prawda żył w sąsiednim mieście, ale przyjeżdżał co dzień, gdyż był właścicielem Japońskiego Przedsiębiorstwa Rybołówstwa Morskiego. Nie nosił wiejskiego stroju, lecz w odróżnieniu od rybaków ubierał się w kimono. Przypominał samuraja z obrazka. Miał gładką, napiętą jak na bębnie skórę, która na wystających kościach policzkowych błyszczała niczym przyrumieniony bok świeżo upieczonej ryby. Zawsze mnie fascynował. Gdy grałam w „zoškę” na ulicy w gromadzie innych dzieci, a on wychodził z budynku firmy, zamierałam w bezruchu, żeby mu się dokładnie przyjrzeć.

Teraz leżałam na mokrym stole, a pan Tanaka odchylił mi dolną wargę, zajrzał w usta, a potem delikatnie obmacał całą głowę. Wpatrywałam się w niego z zachwytem, więc od razu zauważył moje szare oczy. Nawet nie udawałam, że mu się nie przyglądam. On z kolei ani nie odwrócił wzroku, ani nie próbował mnie zbyć lekceważącym uśmiechem. Wyglądał tak, jakby go wcale nie obchodziło, co myślę ani gdzie patrzę. Przez chwilę po prostu gapiliśmy się na siebie. Aż mnie dreszcz przeszedł, choć w budynku panował wilgotny upał.

– Znam cię – powiedział wreszcie pan Tanaka. – Jesteś młodszą córką starego Sakamoty.

Mimo że byłam dzieckiem, wiedziałam, że postrzega świat we właściwych kształtach. W niczym nie przypominał mojego ojca. Byłam pewna, że potrafi dostrzec kroplę żywicy spływającą po pniu sosny i krąg słońca na niebie, prześwitujący przez chmury. Wyraźnie żył w tym świecie, choć nie zawsze czerpał stąd same przyjemności. Wiedziałałam, że dostrzegał drzewa, błoto i dzieci na ulicy, ale nie przypuszczałam, że mógł mnie zapamiętać.

Może właśnie dlatego łzy napłynęły mi do oczu, gdy usłyszałam jego słowa.

Pan Tanaka pomógł mi usiąść. Myślałam, że każe mi odejść, ale powiedział tylko:

– Nie przełykaj krwi, dziecko. Chyba że chcesz mieć kamień w brzuchu. Na twoim miejscu splunąłbym na podłogę.

– Krew dziewczynki? – spytał ktoś z tłumu. – To gdzie przeniesiemy ryby?

Musisz bowiem wiedzieć, że rybacy są strasznie przesądni. Zwłaszcza jeśli chodzi o kobiety. Na przykład nasz wioskowy sąsiad, pan Yamamura... Pewnego ranka zobaczył własną córkę bawiącą się na pokładzie kutra. Obił ją różgą, a kóź połał sake i kwasem tak mocnym, że porobił zacieki na burtach. Nawet to mu nie wystarczyło; sprowadził kapłana shinto, aby odprawił egzorcyzmy. Wszystko z tej przyczyny, że dziewczynka usiadła tam, gdzie łowiono ryby! A teraz pan Tanaka chciał, bym pluć krwią na podłogę przetwórnicy.

– Jak ktoś z was się boi, że jej ślina zmyje rybie flaki, niech zabiera połów do domu. I tak mi wystarczy.

– Tu nie chodzi o flaki, psze pana.

– Jej krew to najczystsza rzecz, jaka spłynie na tę podłogę od dnia waszych lub moich urodzin. – Pan Tanaka popatrzył na mnie. – Dalej, pluj.

Siedziałam na oślizłym stole, niepewna, co począć. Przeraziła mnie myśl, że mogłabym nie posłuchać pana Tanaki, lecz z drugiej strony nie miałam odwagi splunąć. Nagle zobaczyłam, że jeden z rybaków pochylił głowę, zatkał palcem dziurkę w nosie i smarknął wprost na ziemię. Na ten widok zemdliło mnie ostatecznie i plunęłam krwią, tak jak radził mi pan Tanaka. Rybacy odeszli skrzywieni; został tylko pomocnik pana Tanaki, Sugi. Pan Tanaka kazał mu odszukać doktora Miurę.

– Nie wiem, gdzie go znaleźć – odparł Sugi, chociaż myślę, że tak naprawdę nie kwapił się z pomocą. Powiedziałam panu Tanace, że doktor Miura przed chwilą był właśnie u nas.

– To znaczy gdzie? – spytał pan Tanaka. – W małej trzęsichatce na skraju klifu.

– W czym? W... trzęsichatce?

– Stara chata, przegięta w bok, jakby za dużo wypiła. Pan Tanaka nie bardzo wiedział, jak potraktować moje wyjaśnienia.

– Sugi, idź zaraz w stronę trzęsichatki Sakamotów i znajdź mi doktora Miurę. Nie sądzę, byś długo szukał. Już z daleka usłyszysz wrzaski badanych pacjentów.

Myślałam, że gdy Sugi pójdzie, pan Tanaka także powróci do pracy, ale on stał koło stołu i patrzył wprost na mnie. Czułam, że płoną mi policzki. W końcu powiedział coś mądrego.

– Masz na buzi olbrzymie jajo, mała córko Sakamotów. Podeszedł do szafki i podał mi niewielkie lusterko. Faktycznie, miałam mocno opuchniętą, siną wargę. Wyglądała tak, jak mówił.

– Bardziej jednak chcę wiedzieć, skąd u ciebie tak niezwykle oczy. I dlaczego nie jesteś bardziej podobna do ojca? – Oczy mam po matce – odpowiedziałam. – A jeśli chodzi o ojca, to jest tak pomarszczony, że nikt nie wie, jak naprawdę wygląda.

– Ty także kiedyś dostaniesz zmarszczek.

– Ale parę z nich sam sobie zrobił! – zawołałam. Z tyłu głowy jest równie stary jak na twarzy, a tam ma skórę gładką jak skorupka jaja.

– W zasadzie nie należy tak mówić o własnym ojcu zamruczał pan Tanaka – lecz prawdopodobnie masz rację. Potem powiedział coś takiego, że poczerwieniałam jak burak, a usta zrobiły mi się całkiem białe.

– Więc jak pomarszczony starzec z jajem zamiast głowy mógł spłodzić tak przepiękną dziewczynę?

W późniejszych latach nazywano mnie piękną częściej, niż mogę zliczyć. Gejsze zawsze noszą miano pięknych, jeśli nawet zbyt nie grzeszą urodą. Lecz w trakcie rozmowy z panem Tanaką nic nie wiedziałam o gejszach. I prawie mu uwierzyłam.

Kiedy już doktor Miura przemył mi opuchnięte usta i gdy kupiłam garść kadzidełek, po które posłał mnie ojciec, podniecona ruszyłam do domu. Kłębiło się we mnie bardziej niż w mrowisku. Byłabym pewnie spokojniejsza, gdyby wszystkie moje uczucia zmierzały w tę samą stronę. Ale nic z tego. Miotalam się niczym skrawek papieru na wietrze. Gdzieś pomiędzy myślami o matce – i gdzieś poza bólem zranionej wargi – zagnieździł się przyjemniejszy obraz, pobudzający moją wyobraźnię. Pan Tanaka. Przystanęłam na skałach i spojrzałam w morze, tam, gdzie nawet po ścichnięciu burzy fale były ostre niczym zęby głazów i gdzie niebo na dobre przybrało mętną barwę błota. Upewniłam się, że nikt mnie nie widzi, przycisnęłam kadzidła do piersi i zaczęłam szeptać nazwisko „Tanaka”. Rzucałam je w szum wiatru, aż z rozkoszą usłyszałam zaśpiew każdej sylaby. Wiem, że zachowywałam się okropnie głupio, ale cóż z tego? Przecież byłam tylko małym, skołowanym dzieckiem.

Po kolacji ojciec jak zwykle wybrał się do wsi, żeby pokibicować rybakom grającym w shogi. Satsu i ja w milczeniu sprzątałyśmy kuchnię. Bezskutecznie próbowałam przywołać przyjemne uczucie, jakie wyzwał we mnie widok pana Tanaki. Chłodna cisza panująca w domu sprawiała, że z uporczywym strachem myślałam o chorej matce. Kiedy spocznie na wiejskim cmentarzu, obok innych członków rodziny ojca? I co wtedy będzie ze mną? Podejrzywałam, że Satsu zajmie miejsce zmarłej matki. Obserwowałam ją, jak czyściła żelazny garnek, w którym ugotowałyśmy zupę. Miała go tuż przed sobą – przed oczami – a mimo to nie byłam pewna, czy w ogóle go widzi. Skrobała ścianki naczynia, choć dawno już z nich zniknęły ostatnie ślady brudu.

– Źle się czuję, Satsu-san – powiedziałam w końcu. – Idź na dwór i zagrzej kąpiel – burknęła i mokrą dłonią odgarnęła z oczu zmierzwione włosy.

– Nie chcę się kąpać – zawołałam. – Satsu, mama umiera...

– Garnek pękł. Zobacz!

– Nie pękł. Zawsze miał taką skazę.

– To gdzie się podziała woda?

– Wylałaś. Patrzyłam.

Satsu musiała to mocno przeżyć, gdyż, jak zwykle w podobnych chwilach, na jej twarzy pojawił się wyraz bezbrzeżnego zakłopotania. Nie powiedziała nic więcej, tylko zabrała garnek z kuchni i poszła go wyrzucić.

ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego ranka, żeby zapomnieć o kłopotach, poszłam popływać w niewielkim stawie, położonym pod kępą sosen, w pobliżu naszej chatki. Przy dobrej pogodzie przychodziło tam wiele wioskowych dzieci. Czasem także pojawiała się Satsu, wystrojona w dziwaczny kostium kąpielowy, który sama uszyła ze starych ubrań ojca. Nie był to dobry kostium, gdyż zawsze odstawał jej od piersi, kiedy się pochylała, a to z kolei niezmiennie wywoływało okrzyki chłopców:

– O! Widać górę Fuji!

Satsu nie zwracała na to najmniejszej uwagi.

Koło południa zgłodniałam, więc postanowiłam wrócić do domu. Satsu odeszła dużo wcześniej, z synem pomocnika pana Tanaki. Nazywał się Sugi. Zachowywała się przy nim jak pies. Wystarczyło, że tylko zerknął przez ramię, a już posłusznie dreptała we wskazane miejsce. Nie spodziewałam się jej przed kolacją, więc ze zdziwieniem zobaczyłam ją w dole ścieżki, opierającą się o drzewo. Ty pewnie od razu byś zrozumiał, co się dzieje, ale ja byłam tylko małą dziewczynką. Satsu zsunęła kostium z ramion, a Sugi zabawiał się „górami Fuji”, jak je nazywali chłopcy.

W czasie choroby matki Satsu nabrała nieco kluchowatych kształtów. Piersi miała tak samo w nieładzie jak włosy. Co najciekawsze, to właśnie ów „nieporządek” zdawał się budzić największe emocje w Sugim. Pieścił je dłonią, odsuwał i patrzył, jak leniwie wracają na swoje miejsce. Wiedziałam, że nie powinnam podglądać, ale co miałam robić, skoro nie mogłam iść dalej?

– Po co się kulisz za drzewem, Chiyo-chan? – usłyszałam nagle zza pleców skowa wypowiedziane męskim głosem. Zważywszy na to, że miałam dziewięć lat, że wracałam z kąpeli w stawie i że widok mojego ciała jeszcze nie budził w nikim żadnych głębszych uczuć... łatwo sobie wyobrazić, jak byłam ubrana.

Odwróciłam się, wciąż siedząc w kucki i rękami próbując zasłonić nagość. Za mną stał pan Tanaka. Chyba nic bardziej nie mogło mnie wprawić w zakłopotanie.

– To chyba twoja trzęsichatka? – spytał. – A tam stoi chłopak od Sugich. Znalazł sobie zajęcie... Znasz tę dziewczynę?

– To... moja siostra, proszę pana. Czekam, aż sobie pójdą. Pan Tanaka przyłożył dłonie do ust i krzyknął. Chwilę potem usłyszałam tupot. To Sugi uciekał jak szalony w głąb ścieżki. Satsu chyba też zrejterowała, gdyż pan Tanaka stwierdził, że mogę już iść do domu i w coś się przyodziać.

– Daj to siostrze, kiedy ją spotkasz – dodał.

Wręczył mi zawiniątko z ryżowego papieru, mniej więcej wielkości rybiej głowy.

– To chińskie zioła – wyjaśnił. – Nie słuchajcie doktora Miury, gdy orzeknie, że są bez wartości. Powiedz siostrze, żeby je zaparzyła i dała matce do picia. Złagodzą ból. Są cenne, więc uważajcie, żeby ich nie zmarnować.

– Lepiej będzie, jak ja zrobię wywar. Siostra nawet nie umie dobrze zaparzyć herbaty.

– Doktor Miura mi mówił, że masz chorą matkę, ty narzekasz, że siostra nie zaparzy herbaty?! – zawołał pan Tamka. – Co z tobą będzie, Chiyo-chan? U boku starego ojca... Kto ci zapewni odpowiednią opiekę?

– Teraz też radzę sobie przeważnie sama.

– Znam pewnego człowieka. Jest już stary, lecz kiedy był w twoim wieku, stracił ojca. Następnego lata umarła mu matka, a potem starszy brat uciekł do Osaki. Chłopiec pozostał sam. Brzmi znajomo?

Pan Tanaka popatrzył na mnie z takim wyrazem twarzy, że nie ośmieliłam się zaprzeczyć.

– Tak... Ten człowiek to Tanaka Ichiro – dodał. Czyli ja... Tylko wówczas nosiłem nazwisko Morihashi. W wieku dwunastu lat trafiłem do rodziny Tanaka. Gdy podrosłem, wziąłem za żonę jedną z ich córek i zostałem adoptowany. Teraz pomagam w prowadzeniu rodzinnej firmy. Widzisz więc, że dla mnie wszystko skończyło się szczęśliwie. Może i ty, dziecko, zaznasz lepszego losu...

Przez chwilę spoglądałam na jego siwe włosy i na zmarszczki na czole, głębokie niczym rysy na korze drzewa. Wydawał mi się najmądrzejszym człowiekiem świata. Pomyślałam, że wie o rzeczach, których nigdy nie będę znała, i że nigdy w życiu nie dorównam mu elegancją. Nigdy też nie włożę równie pięknego, niebieskiego kimona. Siedziałam przed nim naga, przycupnięta w piasku, z poplątanymi włosami i brudną buzią, woniejąca zastałą wodą ze stawu.

– Nikt nie zechce mnie adoptować – powiedziałam. – Nie? Jesteś przecież wyjątkowo bystrą dziewczynką. Nazwałaś swój dom „trzęsichatką”, o głowie ojca mówisz, że wygląda jak jajo...

– Bo to prawda.

– Niczemu nie zaprzeczam – odparł. – A teraz biegnij, Chiyo-chan. Na pewno zgłodniałaś. Jeśli twoja siostra zasiądzie do zupy, połóż się na podłodze i czekaj, aż ci coś skapnie.

Od tamtej pory zaczęłam marzyć, że zostanę adoptowana przez pana Tanakę. Czasami nawet zapominam, jak przez to cierpiałam. Chwytałam się wszystkiego, aby zaznać nieco wytchnienia. W najgorszych chwilach wracałam myślami do matki, do czasów kiedy o porankach nie jęczała z bólu. Miałam zaledwie cztery lata, gdy wybraliśmy się do wioski na święto *obon*. Był to ten czas roku, w którym witaliśmy wracające na ziemię duchy zmarłych. Przez kilka dni, zaraz po wieczornej uroczystości na cmentarzu, paliliśmy ogniska przed domem, żeby wskazać przodkom właściwą drogę. Ostatniej nocy było wielkie zgromadzenie w świątyni shinto, postawionej na skałach u wejścia do zatoki. Przed wrotami świątyni, wokół niewielkiej polany, na sznurach rozciągniętych wśród drzew rozwieszono kolorowe lampiony. Przez chwilę, wraz z innymi mieszkańcami wioski, tańczyłam u boku matki, w rytmie bębnów i fletu. Potem poczułam się zmęczona. Matka wzięła mnie na rękę i usiadła na skraju polany. Nagły podmuch wiatru od strony morza zatrzepotał lampionami. Jeden z nich cały stanął w płomieniach. Patrzyłyśmy, jak ogień pełźnie po sznurze, jak lampion spada... jak uniesiony kolejnym powiewem ponownie szybuje w górę, ciągnąc za sobą ogon złocistych iskier. Znowu przypadł do ziemi i znów się poderwał, niesiony na skrzydłach wiatru wprost w naszą stronę. Matka puściła mnie i wyciągnęła rękę, by zdusić ogień. Przez chwilę obsypywał nas deszcz płomyków i iskier; potem resztki lampionu odfrunęły za drzewa i tam zgasły. Nikt – nawet matka – nie doznał poparzeń.

Mniej więcej tydzień później – a było to dość czasu, aby moje marzenia o adopcji zdążyły zblednąć – pan Tanaka odwiedził mojego ojca. Zastałam ich po południu, siedzących przy stoliku i pograżonych w poważnej rozmowie. Wiedziałam,

że w poważnej, gdyż nawet nie zauważyli mojego powrotu. Przystanąłam w połowie kroku, żeby posłuchać, o czym mówią.

– I co ty na to, Sakamoto?

– Nie wiem, proszę pana – odparł ojciec. – Nie wyobrażam sobie, by dziewczynki mogły zamieszkać gdzieś indziej.

– Wierzę, lecz z drugiej strony uważam, że powinny odejść. Tak będzie lepiej dla ciebie i dla nich. Dopilnuj tylko, żeby jutro wieczorem dotarły do wioski.

Pan Tanaka wstał i skierował się w stronę drzwi. Udawałam, że dopiero weszłam, więc spotkaliśmy się w progu. – Rozmawiałem o tobie z ojcem, Chiyo-chan – powiedział.

– Mieszkam po drugiej stronie wzgórz, w Senzuru. To większa miejscowość niż Yoroido. Na pewno ci się spodoba. Chcesz tam pojechać? Weźmiemy też Satsu-san. Zobaczysz mój dom i poznasz małą córeczkę. A może nawet zanojujesz? Tylko raz, potem znowu odwiozę cię do ojca. Zgoda?

Odpowiedziałam, że to bardzo miłe. Z całych sił udawałam, że nie zaszło nic niezwykłego, chociaż coś z głuchym hukiem eksplodowało mi w głowie. Nie umiałam pozbierać porozrzucanych strzępków myśli. To prawda, że częściowo czepiałam się nadziei, iż pan Tanaka przygarnie mnie po śmierci matki, ale ta wiara była grubo podszyta strachem. Wstyd mnie ogarniał na sam pomysł, że mogłabym spędzić noc poza trzęsichatką. Po wyjściu pana Tanaki zakrzętnęłam się w kuchni, lecz, niczym Satsu, nie widziałam stojących przede mną naczyń. Nie wiem, ile minęło czasu. Wreszcie usłyszałam, że ojciec pociąga nosem. Pomyślałam, że płacze i poczerwieniałam ze wstydu. Kiedy w końcu odważyłam się spojrzeć w jego stronę, zobaczyłam, że z ręką wplątaną w sieci stoi w drzwiach prowadzących do drugiej izby, tam, gdzie w promieniach słońca leżała matka. Kołdra przyłgnęła do niej jak druga skóra.

Następnego dnia, przed spotkaniem z panem Tanaką, wyszorowałam brudne nogi i wymoczyłam się w kąpieli, w starym kotle zepsutej maszyny parowej, którą ktoś kiedyś porzucił w naszej wiosce. Ojciec odpiłował wierzch kotła, a wewnętrzne ścianki wyłożył drewnem. Siedziałam w wodzie długą chwilę, wlepiając wzrok w morze. Czułam się wolna; po raz pierwszy w życiu miałam zobaczyć coś ze świata położonego poza wioską.

Później wraz z Satsu stanęliśmy pod halą Japońskiego Przedsiębiorstwa Rybołówstwa Morskiego i patrzyliśmy, jak rybacy wynoszą połów na przystań. Był wśród nich i nasz ojciec. Brał ryby w kościste dłonie i wrzucał je do podstawionych koszy. Raz nawet zerknął na mnie i na Satsu, a potem otarł twarz rękawem koszuli. Wyglądał na smutniejszego niż zwykle. Pełne kosze wędrowały na wóz zaprzężony w konie. Wspięłam się na oś, żeby spojrzeć do środka. Większość ryb szklanym wzrokiem wpatrywała się w przestrzeń, lecz niektóre lekko poruszały pyszczkami, jakby cicho krzyczały.

– Czeka was podróż do Senzuru, rybki! – próbowałam je uspokoić. – Wszystko będzie dobrze. Nie miałam serca powiedzieć im prawdy.

Wreszcie na ulicy zjawił się pan Tanaka. Kazał nam usiąść obok siebie, na koźle wozu. Zająłam miejsce w środku, tak blisko niego, że poczułam na ręku dotyk niebieskiego kimona. Nic nie poradzę – poczerwieniałam jak burak. Satsu patrzyła na mnie, lecz chyba nic nie zauważyła, gdyż wciąż miała zwykłą, zasnęłą minę.

Większość drogi spędziłam spoglądając za siebie, na rozhuśtane kosze z rybami. Kiedy wjechaliśmy na wzgórze okalające Yoroido, wóz nagle podskoczył na jakimś kamieniu. Na drogę wypadł okazały morski okoń. Pacnął o ziemię z taką siłą, że zbudził się do życia. Nie mogłam patrzeć, jak się rzucał i szeroko otwierał pyszczek. Ze łzami w oczach odwróciłam głowę. Chociaż nie chciałam, pan Tanaka i tak to zauważył. Gdy podniósł rybę i ruszyliśmy w dalszą podróż, zapytał, co się stało.

– Biedny okoń! – wykrztusiłam.

– Jesteś jak moja żona. Na szczęście większość ryb dociera do niej martwa, ale przy gotowaniu krabów lub innych żywych stworzeń zaraz zaczyna płakać i nucić pod nosem.

Pan Tanaka nauczył mnie krótkiej przyspiewki – po prawdzie bardziej przypominała modlitwę – wymyślonej ponoć przez jego żonę. Piosenka była przeznaczona dla krabów, lecz zmieniliśmy niektóre słowa.

Suzuki yo suzuki!

Jobutsu shite kure!

Okoniu, mój okoniu,

Wkrótce staniesz u bram raj!

Potem zaśpiewaliśmy kołysankę. Nie znałam jej wcześniej. Zaśpiewaliśmy ją dla flądry leżącej w płaskim koszyku i toczącej nie widzącym wzrokiem przy każdym bujnięciu wozu.

Nemure yo, ii karei yo!

Niwa ya makiba-ni

Tori nzo hitsuji mo

Minna nemureba

Hoshi wa mado kara

Gin-no hi kari-o

Sosogu, kopo yoru!

Śpij, dobra flądro!

Ptaki oraz owce

Także już zasnęły

W sadzie i na łące,

A przez okno wpada

Złotem ustrojony

Gwiezdny mrok wieczoru.

Parę chwil później minęliśmy wzgórze i hen w dole ujrzeliśmy miasteczko Senzuru. Dzień był mętny i wszystko wokół tonęło w szarych cieniach. Powitanie ze światem otaczającym Yoroido nie wywarło na mnie większego wrażenia. Widziałam kryte strzechą dachy domów nad zatoką, płaskie góry, a za nimi siwe jak stal morze, nakrapiane cętkami bieli. Widok lądu był ciekawszy, bo przecięty długą blizną torów kolei żelaznej.

Senzuru okazało się brudnym, cuchnącym miejscem. Nawet ocean śmierdział, jakby zgniły w nim wszystkie ryby. Na przystani, wśród słupów podtrzymujących pomost, na kształt meduz dryfowały kawałki warzyw. Kutry były podrapane, o popękanych burtach. W moich oczach wyglądały jak po ciężkiej bójce.

Dłuższą chwilę siedziałyśmy we dwie na molo, aż wreszcie pan Tanaka zabrał nas do głównego budynku Japońskiego Przedsiębiorstwa Rybołówstwa Morskiego. Szliśmy długim korytarzem, w którym tak cuchnęło, aż pomyślałam, że wpadliśmy do brzucha olbrzymiej ryby. W końcu, ku mojemu zaskoczeniu, trafiliśmy do biura.

Wydało mi się przecudowne. Stałam obok Satsu, bosy, na śliskiej kamiennej posadzce. Przed nami było podwyższenie pokryte matą tatami. Być może to najbardziej działało na moją wyobraźnię: wszystko, co stało wyżej, stawało się wspanialsze. Tak czy siak, znalazłam się w najpiękniejszym pokoju na świecie. Teraz ze śmiechem myślę o wrażeniu, jakie wywarło na mnie skromne biuro handlarza ryb w małym mieście na brzegach Morza Japońskiego.

W głębi pokoju, na poduszce, siedziała starsza kobieta. Na nasz widok zerwała się z miejsca, podbiegła na skraj maty i przykleknęła. Była naprawdę stara, pocięta i ruchliwa. Nigdy dotąd nie spotkałam kogoś, kto by się tak strasznie wiercił. Wciąż wyglądała kimono albo wycierała coś z kącika oka, albo drapała się po nosie... i do tego ciągle wzdychała, jakby z żalu, że musi się wiecznie kręcić.

– To Chiyo-chan, a to jej starsza siostra, Satsu-san powiedział do niej pan Tanaka.

Ukloniłam się lekko, na co pani Wierćka zareagowała skinieniem głowy. Potem westchnęła z głębi serca i przesunęła dłonią po strupach na szyi. Patrzyła mi wprost w oczy, więc nie mogłam odwrócić wzroku.

– Tak... Więc jesteś Satsu-san? – spytała, spoglądając wciąż na mnie.

– Satsu to ja – odezwała się moja siostra. – Kiedy się urodziłaś?

Satsu nie była pewna, do której z nas odnosi się to pytanie, zatem odpowiedziałam za nią.

– Przyszła na świat w Roku Krowy.

Starucha wyciągnęła rękę i poklepała mnie po buzi. Zrobiła to w osobliwy sposób, lekko bijąc mnie w szczękę, lecz po jej minie poznałam, że chodzi o pieszczotę.

– Ładniutka, prawda? I te niezwykle oczy! Od razu widać, że to bystry dzieciak. Wystarczy spojrzeć na jej czoło. – Zerknęła na Satsu. – Teraz ty. Rok Krowy... piętnaście lat, Wenus. Sześć, białe. Hmmm... Podejź nieco bliżej.

Satsu spełniła polecenie. Pani Wierćka dokładnie zbadała jej głowę, zarówno za pomocą wzroku, jak i dotyku. Najwięcej czasu poświęciła na oględziny nosa i uszu. Przez dłuższą chwilę miętoszyła moją biedną siostrę, wreszcie na zakończenie wydała głuchy pomruk i przeniosła wzrok na mnie.

– Ty jesteś z Roku Mały. Wiedziałam od razu. Ależ masz w sobie wody! Osiem, białe. Saturn. Śliczna dziewczynka. Zbliź się.

Teraz mnie przebadła, ciągnąc za uszy i tak dalej. Nie mogłam odpędzić myśli, że tą samą ręką drapała się przedtem po strupach. W końcu wstała i zeszła z maty na kamienną posadzkę. Chwilę trwało, zanim wepchnęła pokrzywione stopy w zori, później znacząco popatrzyła na pana Tanakę. W lot zrozumiał, o co chodzi, gdyż bez słowa wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Pani Wierćka stanęła przy Satsu, rozsypłał tasiemki koszuli i obnażyła ją zręcznym ruchem. Lekko dotknęła jej piersi, zajrzała pod pachy, obróciła tyłem do siebie i popukała w plecy. Gapiłam się jak oniemiała. Owszem, widziałam już Satsu naga, lecz to, co wyprawiała z nią pani Wierćka, wydawało mi się zdroźniejsze niż zabawy chłopaka od Sugich. Jakby nie dość, starucha ściągnęła z niej nawet spodnie, zlustrowała od stóp do głów i znów okręciła w swoją stronę.

– Zdejmij spodnie do końca – zażądała.

Satsu miała bezbrzeżnie zdumioną minę, ale posłusznie zrobiła krok w bok, zostawiając spodnie na śliskich kamieniach. Pani Wierćka wzięła ją za ramiona i posadziła na podwyższeniu. Satsu była zupełnie goła; jestem pewna, że podobnie jak ja nie miała najmniejszego pojęcia, co się dzieje. Nie miała także czasu na namysł, gdyż pani Wierćka energicznie rozwarła jej kolana i bez skrupulów sięgnęła między nogi. Nie mogłam dłużej patrzeć. Satsu chyba stawiała opór, gdyż pani Wierćka krzyknęła nagle i rozległo się głośne klaśnięcie – po zacerwienieniu na udzie siostry poznałam później, że dostała solidnego klapsa. Za chwilę było już po wszystkim. Pani Wierćka kazała jej się ubrać. Satsu pociągała nosem, kiedy wkładała spodnie i koszulę. Pewnie płakała, lecz nie miałam odwagi na nią spojrzeć.

Pani Wierćka podeszła do mnie i po chwili stałam naga, z majtkami spuszczone do kolan. Nie miałam piersi do zabawy, więc obeszło się jedynie na oględzinach pach i pleców. Potem – już zupełnie bez majtek – usiadłam na podwyższeniu. Potwornie się bałam i nie chciałam rozszerzyć kolan. Skończyło się podobnie jak z Satsu: dostałam tak mocnego klapsa, że zadrapało mnie w gardle od powstrzymywanego szlochu. Pani Wierćka wsadziła mi palec między nogi i uszczypnęła, aż wrzasnęłam. Kiedy powiedziała, że mam się ubierać, czułam się jak tama pod naporem wzbierającej rzeki. Nie płakałam jednak z obawy, żeby źle nie wypaść w oczach pana Tanaki.

– Dziewczynki są zdrowe – oznajmiła starucha, gdy pan Tanaka wrócił do pokoju – i przydatne. Obie nietknięte. Starsza ma w sobie zbyt wiele drewna, ale w młodszej jest więcej wody. Śliczna, prawda? Siostra przy niej wygląda jak żebraczka!

– Obie są na swój sposób ładne – powiedział pan Tamka. – Porozmawiamy o tym po drodze. Dziewczynki zaczekają tutaj.

Kiedy oboje wyszli, popatrzyłam na siostrę. Satsu wciąż siedziała na skraju podwyższenia i patrzyła w sufit. Wokół nosa utworzyły jej się dwa jeziora łez. Nie wytrzymałam wówczas i też wybuchnęłam płaczem. Dokuczało mi poczucie winy za to, co się stało. Ręką własnej koszuli otarłam policzki Satsu.

– Kim była ta straszna baba? – wyjąkała.

– Pewnie wróżką. Pan Tanaka chciał się dowiedzieć o nas jak najwięcej...

– To dlaczego patrzyła na nas w taki okropny sposób? – Nic nie rozumiesz, Satsu-san? – spytałam. – Pan Tamka chce nas adoptować.

Na te słowa Satsu zamrugnęła gwałtownie, jakby jakiś robak wpadł jej do oka.

– O czym ty mówisz? – zawołała. – Przecież nie może... – Ojciec jest stary... a matka chora. Pan Tanaka martwi się naszym losem. Wkrótce nie będzie nikogo, kto mógłby się nami zająć.

Satsu podniosła się z miejsca, wyraźnie poruszona tym, co usłyszała. Zmrużyła oczy, zupełnie jakby chciała nabrać przekonania, że nic a nic nas nie ruszy z naszej trzęsichatki. Ścisnęła moje słowa w ten sam sposób, w jaki wyciska się wodę z gąbki. Potem z wolna jej twarz przybrała zwykły wyraz. Satsu usiadła na podwyższeniu. Po chwili rozglądała się po pokoju, jakbyśmy wcale nie rozmawiali.

Dom pana Tanaki stał na końcu drogi, tuż za miastem. Okalające go sosny wydzielaly tak samo silną woń jak ocean przy skałach obok naszej chatki. Gdy pomyślałam o morzu i zmianie zapachów, poczułam nagle w środku dziwną pustkę. Odskokczyłam od niej jak ktoś, kto się cofa, ledwie wyrzawszy za krawędź klifu. Dom był większy niż jakakolwiek budowla w Yoroido, z ogromnym okapem, całkiem jak na świątyni. Pan Tanaka wszedł do sieni, zsuł buty i zostawił je tam, gdzie były, gdyż zaraz zjawila się służąca, żeby przełożyć je do szafki. Satsu i ja byliśmy boso, lecz gdy tylko przestąpiłam próg, poczułam lekkie uderzenie w plecy. Na drewnianą podłogę spadła sosnowa szyszka. Odwróciłam się i zobaczyłam dziewczynkę, mniej więcej w moim wieku, o krótko obciętych włosach. Biegiem schowała się za drzewem. Potem

wyjrzała, uśmiechnęła się, ukazując trójkątną dziurę po mlecznych zębach i pobiegła dalej patrząc, czy za nią gonię. Może to zabrzmie dziwnie, lecz nigdy dotąd nie spotkałam kogoś takiego. Owszem, znałam dziewczynki z wioski, ale dorastałyśmy razem i w tym wypadku nie można było mówić o „spotkaniach”. Kumko – gdyż tak brzmiało imię córki pana Tanaki – od samego początku okazała mi tyle przyjaźni, że przestałam się bać kontaktów z obcym światem.

Była o wiele lepiej ubrana ode mnie oraz nosiła *zori*. Dogoniłam ją na bosaka, w zagajniku, przy niewielkim placyku zabaw, urządzonym z obciętych gałęzi uschniętego drzewa. Tu Kuniko z szyszek i kamieni ułożyła coś na kształt domu. W jednym „pokoju” poczęstowała mnie herbatą, zaparzoną na niby w pękniętej czarce. W drugim zajęłyśmy się lalką o chłopięcym imieniu Taro. Tak naprawdę był to mały szmaciany worek, wypełniony piaskiem: Taro uwielbiał gości, twierdziła Kuniko, ale okropnie bał się dżdżownic. Dziwnym trafem jego mała mama zachowywała się tak samo. Kiedy znaleźliśmy robala, prosiła, żeby go odnieść, zanim biedny Taro wybuchnie płaczem.

Nie posiadałam się ze szczęścia, że zyskam Kuniko za siostrę. Prawdę mówiąc, wszystko – majestatyczne sosny, zapach drzew i nawet pan Tanaka – blakło przy tej perspektywie. Życie tutaj, w porównaniu z Yoroido, było tak odmienne jak smak frykasów w zestawieniu z wonią gotowanych potraw. Gdy zapadł zmierzch, umyliśmy ręce i nogi w wodzie zaczerpniętej ze studni i weszliśmy do domu, żeby zająć miejsce przy prostokątnym stole. Z niekłamanym zachwytem patrzyłam, jak para z naczyń wiję się aż pod sufit, w stronę elektrycznej lampy. Zdumiona byłam także światłem zalewającym pokój; nigdy dotąd nie widziałam takiego blasku. Służba wniosła kolację: okonia z rusztu, pikle, zupę i gorący ryż – ale z chwilą gdy zaczęliśmy jeść, w domu zapanowała zupełna ciemność. Pan Tanaka wybuchnął śmiechem; widać nieraz przeżył podobną przygodę. Kazał wnieść latarnie na drewnianych stojakach.

W czasie posiłku nikt zbytnio nie kwapił się do rozmowy. Sądziłam, że pani Tanaka będzie olśniewająco piękna, lecz ona co najwyżej przypominała moją własną siostrę. Poza tym ze częściej się uśmiechała. Po kolacji namówiła Satsu na małą partię go, a pan Tanaka wstał i skinął na służącą, by przyniosła mu wierzchnie odzienie. Potem wyszedł. Po krótkiej chwili Kuniko popchnęła mnie w stronę drzwi. Włożyła słomiane *zori* i wręczyła mi drugą parę. Spytałam, gdzie idziemy.

– Ciii... – szepnęła. – Będziemy śledzić tatę. Zawsze to robię, gdy wychodzi. To tajemnica.

Z podjazdu skręciłyśmy w główną ulicę, wiodącą do Senzuru. Cały czas trzymałyśmy się w bezpiecznej odległości za panem Tanaką. Przez kilka minut szłyśmy w cieniu domów, potem Kuniko wzięła mnie za rękę i pociągnęła w wąski zaułek. Kamienny chodnik między budynkami doprowadził nas pod jasno oświetlone okno. Kumko spojrzała przez dziurę wywierconą w papierowej ścianie. Z wnętrza dobiegały śmiechy i głośne rozmowy. Ktoś śpiewał przy akompaniamencie *shamisenu*. Wreszcie Kumko odsunęła głowę i dała mi też popatrzeć. Pół pokoju zasłaniał składany parawan, ale i tak zobaczyłam pana Tanakę, siedzącego na macie w towarzystwie trzech albo czterech innych mężczyzn. Ten najbliższy niego opowiadał właśnie, jak to przytrzymał drabinę pewnej młodej dziewczynie i przy okazji, ukradkiem, zerkał pod jej kimono. Wszystkich to rozbawiło, z wyjątkiem pana Tanaki, który wlepił wzrok w niewidoczny dla mnie kąt pokoju. Jakaś starsza dama podała mu szklanekę. Z wyciągniętą ręką czekał, aż naleją mu piwa. W moich oczach wyglądał jak wyspa na morzu, gdyż ani na chwilę nie przyłączył się do ogólnej wesołości – a chichotała nawet dama z piwem – tylko wciąż patrzył na drugą stronę stołu. Oderwałam oko od dziury i spytałam, co to za miejsce.

– Herbaciarnia – odpowiedziała Kuniko. – Z gejszami. Tata tu przychodzi niemal każdej nocy. Nie wiem, dlaczego tak to lubi. Panie podają piwo, a panowie ciągle gadają. Przerwywają tylko na chwilę, żeby coś zaśpiewać. Pod sam koniec wszyscy są pijani.

Zerknęłam do pokoju na czas, by zobaczyć cień sunący po ścianie. Potem w polu widzenia zjawiała się kobieta. We włosy miała wpięte zwisające zielone kwiecie wierzby i nosiła różowe kimono ozdobione białymi kwiatami. W pasie była owinięta szerokim, żółtopomarańczowym obi. Nigdy przedtem nie widziałam tak eleganckiego stroju. Kobiety z Yoroido nawet w święta wkładały zwykły, bawełniany lub lniany przyodziewek, czasami zabarwiony na kolor indygo. Ale, w odróżnieniu od wspaniałej szaty, widziana przeze mnie gejsza wcale nie była piękna. Nie mogła domknąć ust, bo miała wystające zęby, a jej wąska głowa wyglądała tak, jakby ktoś kiedyś wcisnął ją między deski. Może jestem okrutna w swoich sądach, lecz drażniło mnie to tym bardziej, że nikt chyba nie nazwałby jej piękną, a jednak pan Tamka wlepił w nią spojrzenie mokre jak stara ścierka. Toczył rozmarzonym wzrokiem, choć inni

rechotali, a gdy klęknęła obok, by dolać mu nieco piwa, w jej zachowaniu było coś takiego, co pozwalało sądzić, że znają się nie od dzisiaj.

Po mnie Kuniko przejęła wachtę przy otworze, a potem wróciłyśmy do domu i razem zasiadłyśmy w łaźni, na skraju sosnowego lasu. Niebo, chociaż do połowy zakryte gałęziami, migotało miliardami gwiazd... Mogłabym tak siedzieć dłużej, przeżywając w myślach wrażenia minionego dnia, lecz Kuniko zaczęła przysypiać w gorącej wodzie i służba wyciągnęła nas z łaźni.

Satsu już zdrowo chrapała. Położyłyśmy się obok niej, ciasno objęte ramionami. Z wolna ogarnęła mnie rozkoszna błogość.

– Wiesz, że niedługo zamieszkam wraz z tobą? – szepnęłam do Kuniko.

Myślałam, że się zdziwi, otworzy oczy, a może nawet usiądzie, ale nic nie zdołało wyrwać jej z uśpienia. Mruknęła coś, a chwilę później poczułam jej ciepły i wilgotny oddech, zmącony cichym chrapaniem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Miałam wrażenie, że podczas naszej krótkiej nieobecności stan matki uległ znacznemu pogorszeniu. A może po prostu zapomniałam o jej chorobie? Dom pana Tanaki pachniał dymem i sosną, nasz przepelniała woń cierpienia, i to w takim stopniu, że nie umiem tego opisać. Ponieważ Satsu była zajęta w wiosce, wieczorem przysłała pani Sugi. Miała mi pomóc przy kąpaniu matki. Ta zaś była naprawdę w fatalnym stanie. Kiedy wyprowadzałyśmy ją z domu, spostrzegłam, że ramiona ma węższe od klatki piersiowej i że jej oczy pokrywa niezdrowe bielmo. Nie chciałam na to patrzeć. Próbowałam sobie przypomnieć nasze dawne kąpiele – dwa parujące ciała, jędrne i białe jak gotowany korzeń rzepy. Wprost nie mieściło mi się w głowie, że matka, która skórę miała gładszą niż Satsu i której plecy tak często szorowałam gąbką, mogłaby przed jesienią odejść z tego świata.

Nocą, leżąc na materacu, na wszelkie strony rozważałam powstałą sytuację. Wmawiałam sobie; że wszystko będzie dobrze. Jak miałyśmy dalej żyć bez matki? Co się stanie z rodziną, gdy wyjedziemy do Senzuru? W końcu doszłam do wniosku, że pan Tanaka powinien adoptować także mojego ojca. Jak mógłby go zostawić na pastwę losu? Nie mogłam zasnąć, póki nie nabrałam przekonania, że tak będzie naprawdę. W ogóle mało spałam w ciągu tych tygodni, a świt jawił mi się jako rozmazana plama.

Właśnie któregoś ranka, w samym środku upalnego lata, kiedy wracałam z wioski z paczką herbaty pod pachą, usłyszałam za sobą kroki. Odwróciłam się. Ścieżką podążał pan Sugi, pomocnik pana Tanaki. Dogonił mnie, stanął i chwilę łapał oddech, sapał i trzymał się pod boki, jakby biegł całą drogę aż z Senzuru. Był czerwony i błyszczał się niczym Lucjan, chociaż dzień nie rozpoczął się jeszcze na dobre.

– Pan Tanaka... – wydyszał w końcu – chce was widzieć w wiosce. Ciebie i twoją siostrę... Natychmiast. Dziwne, myślałam, że ojciec dziś nie wypłynął w morze.

Teraz już zrozumiałam: nadszedł właściwy Moment.

– A ojciec? – zapytałam. – Pan Tanaka mówił coś o nim?

– Idź, Chiyo-chan – usłyszałam w odpowiedzi. – Idź i zawołaj siostrę.

Nie spodobało mi się to, ale pobiegłam do domu. Ojciec siedział przy stole i paznokciem wydłubywał brud z jakiejś rysy. Satsu dokładała węgla do paleniska. Wydawało mi się, że oboje czekają na coś strasznego.

– Tato, Satsu-san i ja mamy iść do wioski – powiedziałam. – Czekają tam pan Tanaka.

Satsu zdjęła fartuch, powiesiła go na kołku i wyszła. Ojciec nie wyrzekł ani słowa, tylko mrugał oczami i wpatrywał się w miejsce, gdzie przed chwilą stała. Potem wbił wzrok w podłogę i z wolna skinął głową. Z drugiego pokoju dochodziły jęki śpiącej matki.

Zanim dogoniłam siostrę, byłyśmy już prawie w wiosce. Od tygodni marzyłam o tej chwili, lecz teraz się bałam jak nigdy dotąd. Satsu zachowywała się, jakby dzisiejszy spacer nie robił na niej najmniejszego wrażenia. Nawet nie umyła rąk powalanych węglem. Odgarnęła włosy i zrobiła sobie na czole czarną smugę. Nie chciałam, żeby pan Tanaka widział ją w takim stanie, więc próbowałam – niczym matka doprowadzić jej wygląd do ładu, ale odtrąciła mi rękę.

Pan Tanaka czekał przed budynkiem Japońskiego Przedsiębiorstwa Rybołówstwa Morskiego. Skłoniłam się i powiedziałam „dzień dobry”, przekonana, że ucieszy się na nasz widok, on jednak zachowywał się z dziwną rezerwą. Był to chyba pierwszy widomy znak, że nie wszystko pójdzie po mojej myśli, zlekceważyłam go jednak. Kiedy podeszliśmy do wozu, pomyślałam, że pojedziemy do Senzuru, by Kuniko i pani Tanaka dowiedziały się o adopcji.

– Pan Stzgi siądzie na koźle wraz ze mną – oznajmił pan Tanaka. – Ty i Shizusan możecie usadowić się z tyłu. Powiedział „Skizu-san”. Pomyślałam, że to bardzo nieładnie, że pomylił jej imię, lecz Satsu nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Wsparła się jedną ręką o śliskie deski, wlaźła na wóz i zajęła miejsce między pustymi koszami na ryby. Potem tą samą ręką zgoniła muchę z twarzy, zostawiając błyszczący ślad na policzku. Nie byłam równie obojętna na śluz i rybie łuski. Denerwował mnie wstrętny zaduch i myślałam jedynie o tym, żeby umyć dłonie po przyjeździe do pana Tanaki. Może przydałoby się też wyprać ubranie?

Przez większą część podróży nie zamieniłam z nikim ani słowa. Dopiero gdy wjechaliśmy na wzgórza otaczające Senzuru, Satsu odezwała się nagle:

– Pociąg.

Hen, daleko, zobaczyłam lokomotywę i wagony, zmierzające w stronę miasteczka. Smuga dymu przypominała wylinkę węża. Spodobało mi się to skojarzenie i nawet próbowałam zagadać coś do Satsu, ale nie doczekałam się żadnej odpowiedzi. Pan Tanaka na pewno mnie zrozumie, pomyślałam. I Kuniko. Postanowiłam, że pomówię z nimi, kiedy dobijemy do domu.

W tej samej chwili spostrzegłam, że jedziemy w zupełnie innym kierunku.

Kilka minut później wóz stanął na pylistej ścieżce przy torach, tuż przed granicą miasta. Dookoła kłębił się tłum ludzi obładowanych pakunkami. Ze zdziwieniem dostrzegłam panią Wierckę. Towarzyszył jej jakiś chudzielec w usztywnianym kimonie. Miał miękkie czarne włosy, podobne do kociego futra, a w rękę trzymał szmacianą torbę na sznurku. Nie pasował do tego miejsca, do chłopów i rybaków z koszami, i do przygarbionych kobiet dźwigających warzywa. Pani Wiercka szepnęła coś do niego, a on spojrzał wprost na nas. Instynktownie zadrżałam ze strachu.

Pan Tanaka dokonał prezentacji, przedstawiając chudzielca jako „pana Bekku”. Pan Bekku nic nie mówił, tylko wpatrywał się we mnie. Chyba był speszony wyglądem Satsu.

– Wziąłem także Sugiego – powiedział pan Tanaka. Pochodzi z Yoroido. Zna dziewczynki, więc jeśli trzeba, dostanie kilka dni wolnego. Ma jechać z wami?

– Nie, nie. – Pan Bekku przecząco machnął dłonią. Nic mi się nie zgadzało. Zapytałam o cel podróży, ale nikt mnie nie słuchał, więc musiałam sama znaleźć wyjaśnienie. Doszłam do wniosku, że pan Tanaka – niezadowolony z pani Wiercki – znalazł sobie innego wróżbitę, który miał nas gdzieś zabrać, żeby dokładniej zbadać nasze losy. Do Senzuru pojedziemy później.

Ledwie to pomyślałam, zbliżyła się pani Wiercka. Uśmiechnęła się przymilnie i odprowadziła nas kawałek wzdłuż gliniastego peronu. Kiedy odeszłyśmy na tyle daleko, że pozostali nie mogli nas słyszeć, nagle przestała się uśmiechać.

– Posłuchajcie teraz – burknęła. – Jesteście okropne! Rozejrzała się i – pewna, że nikt nie widzi – zdzieliła każdą z nas solidnie po głowie. Nawet nie bolało, ale krzyknęłam z zaskoczenia.

– Dostaniesz mocniej, jak sprawisz, że przez ciebie najem się wstydu! – wyszczała. – Pan Bekku to poważny człowiek i nie znosi grymasów. Jak ci każe wejść pod ławkę w wagonie, to wejdiesz. Zrozumiano?

Poznałam po jej minie, że jak nie odpowiem, to znów mnie uderzy, ale z przerażenia odebrało mi mowę. Pani Wierćka nie czekała długo. Uszczypnęła mnie w szyję tak mocno, że nawet nie wiedziałam, w którym miejscu mnie naprawdę boli. Czułam się, jakbym wpadła do balii pełnej gryzących stworzeń. Słyszałam własny szloch. Chwilę potem obok nas stanął pan Tanaka.

– Co się tu dzieje? – spytał. – Jeśli dziewczętom trzeba coś wyjaśnić, proszę to zrobić przy mnie. Nie zasługują, by traktować je w ten sposób.

– Bez wątpienia przydałoby się parę dodatkowych uwag, ale oto i pociąg – odparła pani Wierćka.

Miała rację. Z oddali nadciągała sapiąca lokomotywa. Pan Tanaka zabrał nas z powrotem na peron, gdzie wieśniacy zaczęli już zbierać bagaże. Wkrótce nadjechał pociąg. Pan Bekku w usztywnianym kimonie wcisnął się między mnie i Satsu, wziął nas pod ręce i podprowadził do wagonu. Pan Tanaka coś krzyknął, lecz z przejęcia nie usłyszałam dobrze, co to było. Może:

– *Mata yo!* Do zobaczenia!

Albo:

– *Matte yo!* Zaczekaj!

Albo nawet:

– *Ma... deyo!* No to w drogę!

Przez okno zobaczyłam, jak szedł w stronę wozu. Pani Wierćka wycierała ręce w kimono.

Po chwili usłyszałam głos siostry: – Chiyo-chan!

Zabrzmiało to tak gorzko, że ukryłam twarz w dłoniach i zapragnęłam zapaść się ze wstydu pod podłogę wagonu. Satsu nie potrzebowała mówić nic więcej.

– Wiesz, gdzie jedziemy? – zapytała po chwili.

Zdaje się, że oczekiwała, iż powiem tylko „tak” lub „nie”. W gruncie rzeczy nie obchodziło ją, co się stanie przynajmniej do tej pory, bo miała przy sobie kogoś, kto chociażby na pozór panował nad sytuacją. Niestety ja nie byłam najwłaściwszą osobą. Zagadnęłam więc pana Bekku, lecz on nawet na mnie nie spojrział. Przez cały czas gapił się na Satsu, jakby pierwszy raz w życiu widział podobne stworzenie. Wreszcie z niesmakiem zmarszczył nos i powiedział:

– Fe, ale obie cuchniecie rybą!

Wyjął z torby grzebień i próbował rozczesać splątane włosy Satsu. Bolało ją, lecz widziałam, że większą przykrość sprawiał jej widok pól przesuających się za oknem. W końcu, jak małe dziecko, wykrzywiła usta w podkówkę i wybuchnęła płaczem. Nie mogłam patrzeć na jej zrozpaczoną minę. Chyba wolałabym, żeby mnie zbiła lub skrzyczała. Czułam, że to wyłącznie moja wina. Jakaś stara wieśniaczka, z wyszczerzonymi jak pies zębami, poczęstowała nas marchewką. Potem spytała, dokąd jedziemy.

– Do Kioto – odpowiedział pan Bekku.

Zemdliło mnie ze zdenerwowania; bałam się spojrzeć na Satsu. Przecież już Sensuru wydawało nam się odległym i dziwnym miejscem. „Kioto” brzmiało równie egzotycznie jak „Hongkong” czy „Nowy Jork”, o których słyszałam niegdyś od doktora Miury. Niektórzy powiadali nawet, że w Kioto dzieci są hodowane na żer dla psów.

Wygłodniałe, jechałyśmy tak wiele godzin. Nagle zobaczyłam, że pan Bekku wyjął z torby opakowaną w lotos kulkę ryżu, posypaną ziarnem sezamu. Zdjął liść, ujął kulkę w kościste palce i wsunął ją w swoje małe, złośliwe usta. Ani razu nie spojrzął w moją stronę. Wydawało mi się, że dłużej nie zniosę takich tortur. Wreszcie wysiedliśmy w jakimś dużym mieście. Myślałam, że to Kioto, ale po pewnym czasie nadjechał inny pociąg i pan Bekku wepchnął nas do wagonu. Tym razem już mieliśmy dotrzeć na miejsce. W pociągu panował jeszcze większy ścisk niż w poprzednim. Nie było gdzie usiąść. Gdy wieczorem przybyliśmy do Kioto, czułam się paskudnie, jak skała obijana dzień w dzień przez wodospad.

Pociąg był coraz bliżej dworca, a ja wciąż nie widziałam miasta. Nagle, ze zdumieniem, na chwilę zobaczyłam dachy ciągnące się aż do gór majaczących w dali. To przekraczało moje najśmielsze wyobrażenia. Do dzisiaj, gdy z pociągu patrzę na ulice, wraca do mnie przeraźliwe uczucie pustki oraz strachu, jaki odczuwałam wtedy, w ów dziwny dzień po moim pierwszym wyjeździe z domu.

Wówczas, na początku lat trzydziestych, głównym środkiem transportu miejskiego w Kioto wciąż były riksze. Przed dworcem stało ich tak wiele, że pomyślałam sobie, iż nikt w tym ogromnym mieście nie chodzi na piechotę – co zresztą niedaleko odbiegało od prawdy. Piętnaście lub dwadzieścia riksz stało wspartych pałkami o ziemię, a w pobliżu przykucnęła grupa kulisów. Jedli i palili, kilku nawet spało, wprost leżąc na gołej ziemi.

Pan Bekku znów ujął nas pod ręce, jakby dźwigał dwa wiadra z wodą ze studni. Pewnie myślał, że ucieknę, jak tylko spuści mnie z oka. Mylił się. Poszłabym za nim wszędzie, byle nie zostać sama w płataninie domów i ulic, tak mi obcych jak głębia oceanu.

Wsiadliśmy do rikszy. Pan Bekku usadowił się w środku, ściśnięty między nami. Pod kimonem był bardziej kościsty, niż początkowo przypuszczałam. Pojazdem zakołysało, gdy kulis uniósł pałąk.

– Tominaga-cho, w Gion – zarządził pan Bekku.

Kulis nie odpowiedział, tylko szarpnął rikszą, żeby ruszyć ją z miejsca, i potruchtął w drogę. Po dwóch przecznicach zebrałam się na odwagę i zagadnęłam pana Bekku:

– Mógłby mi pan powiedzieć, gdzie jedziemy?

Przez chwilę milczał, wreszcie łaskawie wycedził:

– Do waszego nowego domu.

Łzy napłynęły mi do oczu. Usłyszałam stłumiony szloch Satsu. Nie zdążyłam jej zawtórować, gdyż w tej samej chwili jęknęła, uderzona przez „opiekuna”. Zagryzłam usta i tak prędko przestałam płakać, że poczułam, jak łzy w pół drogi wysychają mi na policzkach.

Wkrótce skręciliśmy w aleję szerszą niż całe Yoroido. Przeciwną stronę zasłaniał tłum przechodniów, rowery, auta i ciężarówki. Samochody widziałam po raz pierwszy. Wprawdzie wcześniej ktoś mi pokazywał zdjęcia, lecz pamiętam, że owego dnia z niekłamaną zgrozą patrzyłam na... tak, na piekielne maszyny, bardziej stworzone po to, by krzywdzić ludzi, niż im pomagać. Cierpiałam każdym zmysłem. Ciężarówki mijały nas tak blisko, że czułam swąd gumowych opon. W uszy wdzierał mi się głośny zgrzyt jadącego środkiem tramwaju.

Z wolna gęstniejący mrok napawał mnie nowym strachem, lecz nagle osłupiałam na widok miejskich świateł. Prócz pamiętnej kolacji w domu pana Tanaki nigdy dotąd nie zetknęłam się z elektrycznością. Tu blask bił z każdego okna, od góry do dołu, a na ulicach, nad głowami ludzi, żarzyły się żółte kule. Można było dostrzec szpilkę leżącą na chodniku. Skręciliśmy w przecznicę i wówczas, po drugiej stronie mostu, po raz pierwszy ujrzałam teatr Minamiza. Miał tak ogromny dach, że w pierwszej chwili wzięłam go za pałac.

Wreszcie riksza wjechała między dwa rzędy drewnianych domów, ciasno stojących obok siebie, na podobieństwo długiej fasady. Znow ogarnęło mnie straszne uczucie zagubienia. Ulicą, tu i tam, śpiesznie przemykały dziewczęta w kimonach. Zdawały mi się nadzwyczaj eleganckie, choć, jak się później dowiedziałam, należały do służby.

Stanęliśmy przed jakimiś drzwiami i pan Bekku kazał mi wysiąść. Sam także wygramolił się z rikszy, a potem – jak bym miała za mało okropnych przeżyć – doszło do najgorszego. Satsu próbowała podążyć za nami, lecz pan Bekku wyciągnął rękę i z powrotem wepchnął ją do pojazdu.

– Zostań tam – powiedział. – Pojedziesz gdzie indziej. Satsu popatrzyła na mnie, ja na nią. Chyba pierwszy raz w życiu w pełni zrozumieliśmy swe uczucia. Trwało to jednak tylko chwilę, gdyż strumień łez zaraz przesłonił mi widok. Pan Bekku szarpnął mnie za ramię, usłyszałam kobiece głosy i krzątanie. Miałam właśnie rzucić się na ulicę, gdy Satsu ze zdziwieniem wlepiała wzrok za mnie i szeroko rozdziawiła buzię.

Szamotałam się w wąskim przejściu, przy starej pompie po jednej stronie i krzakach po drugiej. Pan Bekku podtrzymał mnie, szorstko postawił na nogi i pociągnął dalej. Nagle w drzwiach stanęła nieziemsko piękna postać w lakierowanych zori i cudownym kimonie. Nie tak dawno podziwiałam kimono młodej gejszy w Senzuru; to było całkiem inne: niebieskie jak woda, z kremową płataniną linii naśladowujących fale. Dołem płynął srebrzysty pstrąg, a strumień błyszczał złotem w miejscach, gdzie opadały nań miękkie zielone liście. Nie miałam wątpliwości, że patrzę na czysty jedwab. Obi było też jedwabne, haftowane jasnozieloną i żółtą nicią. Poza tym dama wyróżniała się nie tylko strojem; twarz miała pokrytą grubą warstwą pudru, białego niby chmura oświetlona słońcem. Jej włosy, ułożone w loki, czerniły się jak laka, strojne dodatkowo w ozdoby z bursztynu i spinkę z maleńkimi srebrnymi wisiorkami, migoczącymi przy każdym ruchu.

Tak właśnie poznałam Hatsumomo. W owych czasach należała do najświetniejszych gejsz w Gion, lecz tego oczywiście wówczas nie wiedziałam. Była drobna. Gdy stanęła obok pana Bekku, czubkiem głowy sięgała mu zaledwie do ramienia. Tak mnie zdumiał jej widok, że zapomniałam o grzeczności – prawdę mówiąc, nie odebrałam jeszcze lekcji dobrego wychowania – i gapiłam się prosto na nią. Hatsumomo uśmiechnęła się, ale nie był to przyjazny uśmiech.

– Panie Bekku, sprzątnie pan śmieci później – powiedziała. – Chcę przejść.

Ścieżka nie była zaśmiecona. Hatsumomo mówiła o mnie. Pan Bekku mruknął, że przecież jest dość miejsca.

– Panu to może nie przeszkadzać – odparła gejsza. Ja zaś na widok brudu zwykłam przechodzić aż na drugą stronę ulicy.

Za nią, w drzwiach, pojawiła się inna kobieta – starsza, wysoka i gruzłowata niczym bambusowa tyka.

– Nie wiem, kto z tobą wytrzymuje, Hatsumomo-san westchnęła, lecz skinęła na pana Bekku, żeby zabrał mnie z drogi. Zrobił to. Starsza pani niezdarnie zeszła ze schodów. Utykała z powodu krzywego biodra. Z małej ściennej szafki wyjęła coś na kształt krzemienia i prostokątny kamień podobny do osełki używanej przez rybaków. Stała za Hatsumomo i stuknęła krzemieniem o kamień; kilka iskier skoczyło na plecy gejszy. Wówczas nie widziałam w tym żadnego sensu, lecz musisz wiedzieć, że gejsze są przesądniejsze od wieśniaków. Żadna z nich nie wyjdzie nocą na ulicę, póki ktoś nie odczyni czarów, by zapewnić jej powodzenie.

Hatsumomo minęła nas tak drobnym krokiem, iż wydawało się, że płynie nad powierzchnią ziemi. Dół jej kimona trzepotał lekko. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że jest gejszą, gdyż w niczym nie przypominała dziewczyny; którą parę tygodni wcześniej oglądałam w Senzuru. Uznałam ją za aktorkę. Przez chwilę patrzyliśmy za nią, potem pan Bekku oddał mnie starszej pani, a sam wrócił do riksy i usiadł obok Satsu. Kulis chwycił pałak. Nie widziałam, jak odjeżdżali, gdyż zalana łzami osunęłam się w progu na ziemię.

Przedstawiałam chyba współczujący widok, gdyż przez dłuższy czas płakałam sama, nie dotykana przez nikogo. Starsza pani nawet uciszyła służącą, która przysłała z nią porozmawiać. W końcu pomogła mi się podnieść i otarła mi twarz chusteczką wyciągniętą z rękawa prostego, szarego kimona.

– Ciii... moja mała. Nie ma powodów do rozpacz. Nikt nie wpakuje cię do kotła. – Mówiła z takim samym osobliwym akcentem, jak pan Bekku i Hatsumomo. Jej język tak się różnił od używanego w Yoroido, że miałam duży kłopot, by ją w pełni zrozumieć. A jednak były to najmiłsze słowa, jakie w tym dniu usłyszałam. Uspokołam się. Starsza pani kazała nazywać się Ciocią. Popatrzyła mi prosto w twarz.

– Wielkie nieba! – zawołała z przejęciem. – Co za niezwykle oczy! Śliczna z ciebie dziewczynka. Mama będzie zdumiona.

Pomyślałam, że jej matka musi być bardzo stara, gdyż w siwych włosach Cioci, ciasno związanych z tyłu głowy, pozostało zaledwie kilka czarnych kosmyków.

Ciocia poprowadziła mnie w głąb wąskiego korytarza, dzielącego dwa ciasne segmenty domu. Korytarz kończył się podwórzem. Pierwszy segment przypominał mi chatę w Yoroido – dwie izby i klepisko; potem dowiedziałam się, że to pomieszczenia dla służby. Z drugiej strony był mały elegancki pawilon, ustawiony na kamiennych filarach tak wysoko, że mogły pod nim buszować koty. Nad podwórkiem czerniał fragment nocnego nieba i miałam wrażenie, że znalazłam się nie w domu, lecz w maleńkiej wiosce. Wrażenie było tym silniejsze, że w oddali zobaczyłam jeszcze inne drewniane pawilony. Nie wiedziałam, że tak właśnie wyglądała większość zabudowań w tej części Kioto. Domki za podwórkiem, choć wyglądały na zdatne do zamieszkania, w rzeczywistości mieściły szałet i piętrową szopę, ze stojącą na zewnątrz drabiną. Całość zajmowała mniej miejsca niż wiejska posiadłość pana Tanaki i mieszkało w niej tylko osiem osób... a raczej dziewięć, wraz ze mną.

Kiedy już pobieżnie poznałam otoczenie, zwróciłam baczniejszą uwagę na główny pawilon. Drewniane domy w Yoroido były bardziej szare niż brązowe i przeżarte solą. Tu posadzka i belki aż lśniły w żółtym świetle elektrycznej lampy. Schody wydawały się piętrzyć prosto w górę. Papierowe drzwi były rozsunięte i w głębi pomieszczenia zobaczyłam drewnianą szafkę z buddyjskim ołtarzem. Pięknie urządzone pokoje należały do członków rodziny – i do Hatsumomo, chociaż ona, jak odkryłam później, nie zaliczała się do krewnych. Nikt z właścicieli nie chodził wąskim przejściem koło służbówki. Mieli własny podest z polerowanego drewna, biegnący tuż przy ścianie domu. Były nawet oddzielne toalety – wyższa dla rodziny i niższa dla służby.

Wiele z tego dowiedziałam się w ciągu najbliższych dni, tymczasem jednak wciąż stałam w korytarzu, drżąc ze strachu i zachodząc w głowę, gdzie jestem. Ciocia zniknęła w kuchni i tylko słyszałam jej chrapliwy głos, jak z kimś rozmawiała. Wreszcie ten ktoś wyszedł. Była to dziewczynka, mniej więcej w moim wieku, targająca drewniane wiadro, tak ciężkie, że część wody wylewała się na ziemię. Była chuda, lecz miała puciołowatą, niemal okrągłą twarz, co nadawało jej wygląd melona na kij. Dyszała z wysiłku, a wysunięty język sterczał z jej ust niczym ogonek dyni. Nieco później odkryłam, że robiła tak prawie zawsze. Wysuwała język, kiedy mieszała zupę miso, gdy nakładała ryż do garnka i gdy wiązała pasek. Miękkie, tłuste policzki i wiecznie sterczący język naprawdę upodabniały ją do dyni. Po kilku dniach tak więc ją

przezwałam: „Dyńia”. Znano ją jako Dynię całe lata później, nawet kiedy już była gejszą z Gion.

Podeszła z wiadrem bliżej, schowała język, odgarnęła włosy za ucho i obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem. Czekałam, że coś powie, ale gapiała się w milczeniu z taką miną, jakby chciała mnie ugryźć. Rzeczywiście wyglądała na głodną. W końcu pochyliła się w moją stronę.

– Skąd się tu wzięłaś? – szepnęła.

Nie powiedziałam jej, że z Yoroido. Wymawiała słowa równie dziwnie jak wszyscy, więc doszłam do wniosku, że i tak nie rozpozna nazwy wioski. Mruknęłam tylko, że właśnie przyjechałam.

– Myślałam, że już nigdy nie spotkam rówieśnicy – westchnęła. – Co ci się stało w oczy?

W tej samej chwili Ciocia wyłoniła się z kuchni. Odgoniła Dynię, wzięła wiadro, szmatę i zaprowadziła mnie na podwórko. Było piękne, porośnięte mchem, z kamienną ścieżką wiodącą w stronę szopy, lecz panował tu straszny smród, bijący z dwóch szaleatów. Ciocia kazała mi się rozebrać. Bałam się, że mnie potraktuje jak pani Wierćka, ale ona tylko chlusnęła na mnie wodą i solidnie wyszorowała szmatą. Potem wręczyła mi ubranie: zwykłe, bawełniane, ozdobione prostym niebieskim wzorem, a i tak piękniejsze od wszystkiego, co nosiłam przedtem. Starsza wiekiem kobieta – jak się okazało, kucharka – i kilka pokojówek stanęło w korytarzu, żeby mi się przypatrzeć. Ciocia oświadczyła, że na takie rzeczy będzie jeszcze dość czasu i zagoniła je z powrotem do zajęć.

– Teraz posłuchaj, dziecko – zwróciła się do mnie. Nawet nie chcę wiedzieć, jak ci na imię. Twoja poprzedniczka nie przypadła do gustu Babci i Mamie, i spędziła u nas zaledwie miesiąc. Jestem już za stara, żeby wciąż uczyć się nowych imion. Poczekam na decyzję, że możesz zostać.

– A co będzie, jeśli mnie przegonią? – zapytałam. – Proś bogów, żebyś lepiej została.

– A... gdzie jestem, jeśli wolno spytać?

– W okiya – odpowiedziała. – Tu mieszkają gejsze. Jak się mocno postarasz, sama zostaniesz gejszą. Ale jak mnie nie posłuchasz, nie zagrzejiesz miejsca nawet do przyszłego tygodnia. Mama i Babcia zaraz zjedzą na dół, by cię poznać. Mam nadzieję, że im się spodobaś. Ukłoń się jak najniżej i nigdy nie patrz im prosto w oczy. Starsza,

którą nazywamy Babcią, nigdy w życiu nikogo nie lubiła, więc nie przejmuj się zbytnio jej złośliwymi uwagami. Jeśli cię o coś spyta, za nic nie odpowiadaj! Zdaj się na mnie. Przede wszystkim musisz wpaść w oko Matce. Nawet nie jest najgorsza, chociaż myśli wyłącznie o jednym.

Nie zdążyłam zapytać o czym, gdyż w tej samej chwili skrzypnęły główne drzwi i na podest wyszły dwie wspomniane damy. Nie ośmieliłam się spojrzeć w ich stronę. Kątem oka widziałam tylko dwie cudowne, jedwabne szaty, sunące jak po wodzie. Chwilę później Babcia i Mama przyklęknęły na wprost mnie i wygładziły kimona na kolanach.

– Umeko-san! – zawołała Ciocia na kucharkę. – Przynieś herbatę dla Babci.

– Nie chcę herbaty – rozległ się gniewny głos.

– Ależ, Babciu... – chropawo przemówiła Mama. – Nie musisz pić. Ciocia chciała tylko, żebyś poczuła się swobodniej. – Kości nie dają mi swobody – burknęła starucha.

Wzięła głębszy oddech, żeby powiedzieć coś więcej, ale wówczas wtrąciła się Ciocia.

– To jest nowa dziewczynka, Mamo – powiedziała i popchnęła mnie lekko, co uznałam za znak do ukłonu. Klęknęłam i tak nisko pochyliłam głowę, że poczułam woń kurzu spod filarów. Po chwili znów usłyszałam głos Mamy:

– Wstań i zbliż się. Chcę ci się lepiej przyjrzeć. Stałam przed nią przekonana, że powie coś więcej, ale ona tylko sięgnęła za obi po fajkę z metalową główką i długim bambusowym cybuchem. Położyła ją na podeście i z rękawa kimona wyciągnęła jedwabny kapciuch. Małym palcem, pociemniałym jak gotowany korzeń na kolor zgnilej pomarańczy, upchnęła w fajce solidną porcję tytoniu. Wetknęła cybuch w usta i zapaliła zapałkę wyjętą z maleńkiego metalowego pudełka.

Parę razy pyknęła z fajki i dopiero teraz spojrzała w moją stronę. Babcia westchnęła głośno. Nie patrzyłam na Mamę, ale miałam wrażenie, że dym ulatuje z niej niczym para ze szczeliny w ziemi. Powodowana coraz większą ciekawością, nie panowałam nad oczami. Im więcej odkrywałam, tym bardziej rosła moja fascynacja. Kimono Mamy było żółte, zdobne gałęziami wierzby o przepięknych, zielonych i pomarańczowych liściach, utkane z delikatnego jak pajęczyna jedwabiu. Nie mniej zdumiewające okazało się obi. Także zwiewne, chociaż odrobinę cięższe, czerwonawobrazowe, przeplatane złocistą nicią. Zapatrzona na te wspaniałości,

zapomniałam, że stoję na brudnej ziemi. Zapomniałam o ojcu, matce – i siostrze. Każdy załomek kimona sprawiał, że zatraciałam się coraz bardziej. A potem przyszło otrzeźwienie: nad kołnierzem szaty zobaczyłam twarz, tak odmienną od całej reszty, jakby ktoś głowę psa nasadził na tułów kota. Mama była po prostu szpetna, chociaż młodsza od Cioci. Tego zupełnie się nie spodziewałam. Potem wyszło na jaw, że są siostrami, choć zwracały się do siebie per „Mamo” i „Ciociu”, jak wszyscy inni w okiia. Jeszcze później dowiedziałam się, że nie łączyło ich pokrewieństwo tak bliskie jak mnie i Satsu. Urodziły się w tym samym klanie i zostały adoptowane przez Babcie.

Stałam skołowana, myśli kłębiły mi się w głowie, aż wreszcie uczyniłam dokładnie to, przed czym przestrzegała mnie Ciocia: spojrzałam wprost na Mamę. Ta zaś odłożyła fajkę i rozwarła usta jak zapadnię. Wiedziałam, że za wszelką cenę muszę odwrócić wzrok, lecz nie mogłam. Jak zahipnotyzowana gapiłam się w jej przeraźliwie okropne oczy. Białka miała mętne i zabarwione wstrętnym żółtym odcieniem, jakby przed chwilą ktoś w nie nasikał. Nagie powieki pokrywała błotnista wilgoć, kontrastująca z obwisłą skórą twarzy.

Zawiesiłam wzrok na jej wciąż otwartych ustach. Twarz Mamy mieniła się płataniną barw: krawędzie powiek czerwieniały jak surowe mięso, dziąsła i język były po prostu szare. Co gorsza, każdy ząb w dolnej szczęce tkwił w niewielkim jeziorku krwi. Potem się dowiedziałam, że to skutek niewłaściwej, wieloletniej diety. Coraz silniej ulegałam wrażeniu, że spoglądam na drzewo zaczynające tracić liście. Z przejścia aż jęknęłam lub zrobiłam krok w tył, lub w inny sposób uległam emocjom, bo nagle usłyszałam zgrzytliwy głos Mamy:

– Co tak wytrzeszczasz ślepie?

– Przepraszam panią. Podziwiałam kimono – wyjąkałam. – Jak żyję nie widziałam nic równie pięknego. Chyba – o ile to możliwe – udzieliłam poprawnej od powiedzi, gdyż Mama się roześmiała. Zabrzmiało to jak kaszel.

– Podoba ci się? – zapytała, wciąż się śmiejąc lub kaszląc. Nie umiałam rozpoznać. – A wiesz, ile kosztowało?

– Nie, proszę pani.

– Bez wątpienia więcej od ciebie.

Służąca przyniosła herbatę. Skorzystałam z okazji i ukradkiem zerknęłam na Babcie. O ile Mama zdradzała tendencję do tycia i miała tłusty kark i grube paluchy, o tyle Babcia była pomarszczona i stara. Co najmniej tak stara jak mój ojciec. Wyglądała

przy tym, jakby całe lata pławiła się w skondensowanej złości. Spod jej siwych włosów, podobnych do splątanych jedwabnych nici, prześwitywała naga skóra. Nawet to napawało grozą, za sprawą czerwonych i brązowych plam, świadczących o starości. I nie musiała marszczyć brwi, bo złośliwie wygięte usta nadawały jej twarzy wyraz wiecznego zasepienia.

Głęboko zaczerpnęła tchu, żeby coś powiedzieć. Potem wypuściła powietrze z płuc i wymamrotała:

– Mówiłam, że nie chcę herbaty.

Z westchnieniem przekrzywiła głowę. – Ile masz lat, dziecko? – spytała.

– Urodziła się w Roku Małpy – odparła za mnie Ciocia. – Kucharka to małpa – stwierdziła Babcia.

– Dziewięć lat – odezwała się Mama. – Co o niej sądzisz, Ciociu?

Ta stanęła przede mną i lekko ujęła mnie pod brodę. popatrzyła mi w twarz.

– Ma w sobie dużo wody.

– Cudowne oczy – powiedziała Mama. – Widziałas, Babciu?

– Wygląda głupio – zaskrzeczała starucha. – Niepotrzebna nam druga małpa.

– Bez wątpienia – pośpieszyła z odpowiedzią Ciocia. Prawdopodobnie jest tak, jak mówisz, chociaż mnie wydaje się bystra. Łatwo przywyknie do warunków. Widać to po kształcie jej uszu.

– Z taką ilością wody wyczuje ogień przed pożarem dodała Mama. – Nie cieszy cię to, Babciu? Koniec zmartwień o bezpieczeństwo składu z kimonami.

Babcia, jak później wyszło na jaw, bardziej drżała przed ogniem niżli piwo przed starym pijakiem.

– Poza tym jest bardzo ładna, nie sądzisz? – spytała Mama.

– Dużo jest ładnych dziewcząt w Gion – odparła Babcia. – Trzeba nam mądrej, a nie ładnej. Hatsumomo obnosi się z urodą, a nie ma krzty rozumu!

Z pomocą Cioci wstała i odeszła. Gdy patrzyłam na kulejącą Ciocię – jedno z bioder wystawało jej mocniej niż drugie – nie wiedziałam, która z nich ma większe kłopoty z chodzeniem. Po chwili rozległ się stuk zasuwanych drzwi. Ciocia wróciła.

– Masz wszy, dziecko? – zapytała Mama. – Nie – odparłam.

– Naucz się grzeczniej odpowiadać. Ciociu, bądź łaskawa przystrzyć jej włosy. Tak, dla pewności.

Ciocia krzyknęła do służącej, by przyniosła nożyce.

– No, moja mała – odezwała się Mama. – Jesteś teraz w Kioto. Nabędziesz lepszych manier albo dostaniesz w skórę. A ponieważ u nas kary wymierza Babcia, możesz się spodziewać solidnego lania. Posłuchaj dobrej rady: pracuj, ile wlezie, i bez pozwolenia nie wychodź z okiwa. Rób, co ci każą, i nie sprawiaj kłopotów, to za dwa, trzy miesiące zaczniesz się kształcić na gejszę. Nie będę trzymać cię na służbie. Jak się nie sprawdzisz, pójdziesz na ulicę.

Pyknęła z fajki, nie spuszczając mnie z oczu. Stałam jak wmurowana, póki nie kazała mi odejść. Dręczyło mnie pytanie, czy w tej samej chwili moja siostra nie stoi przed inną okrutnicą, w innym domu, w tym przeklętym mieście. Nagle przed oczami stanął mi obraz matki – udręczonej, chorej... Wspierała się na łokciu i wodziła wzrokiem po izbie, nie wiedząc, gdzie jesteśmy. Nie chciałam, żeby Mama widziała, jak płacę, lecz łzy same napłynęły mi do oczu. Nie mogłam ich powstrzymać. Żółte kimono Mamy rozmyło się w przestrzeni, rozpadło na tysiące iskier, aż wreszcie, wraz z kolejną chmurą dymu, zniknęło całkowicie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W ciągu pierwszych dni spędzonych w tym dziwnym miejscu nabrałam przekonania, że lepiej by mi było stracić ręce i nogi niż dom i rodzinę. Zrozumiałam już, że nie wrócę do dawnego życia. Niemal wyłącznie myślałam o własnym nieszczęściu i dzień po dniu czekałam na ponowne spotkanie z Satsu. Byłam bez ojca, bez matki – nawet bez ubrania, które zazwyczaj nosiłam. A jednak po dwóch tygodniach z niekłamanym zdumieniem stwierdziłam, że wciąż żyję. Do dziś pamiętam chwilę, jak raz wycierałam miski w kuchni i tak się pogubiłam, że musiałam przerwać. Długo patrzyłam na swoje dłonie, niepewna, czy należą do mnie, czy do kogoś innego.

Mama powiedziała, że jak popracuję i nie będę się stawiać, to po kilku miesiącach rozpocznę naukę. Od Dyni dowiedziałam się, że „nauka” oznaczała wizyty w szkole w innej części Gion oraz lekcje muzyki, tańca i ceremonii herbacianej. A ponieważ wszystkie kandydatki na gejsze uczyły się w tym samym miejscu, zaświtała mi nadzieja, że może spotkam siostrę. Tak więc już pod koniec pierwszego tygodnia postanowiłam twardo, że stanę się posłuszna jak krowa ciągnięta na sznurku. Oczywiście wyłącznie po to, by Mama nie zwlekała z wysłaniem mnie do szkoły.

Większość moich zadań była nadzwyczaj prosta. Rano składałam materace, sprzątałam w pokojach, zamiatałam korytarz i tak dalej. Czasem chodziłam do apteki po masć na świerzby dla kucharki albo do sklepu przy alei Shijo po ulubione ryżowe ciasteczka Cioci. Gorsze prace, na przykład czyszczenie szaleatów, na szczęście należały do jednej ze starszych służących. Niestety, chociaż starałam się jak mogłam, wyniki miałam raczej mierne, gdyż huk roboty przerastał moje możliwości. Do tego dochodziły kłopoty z Babcią.

Co prawda pilnowanie Babci nie wchodziło w zakres moich obowiązków – przynajmniej tych, które wyznaczyła mi Ciocia – ale z drugiej strony nie mogłam jej ignorować, gdyż była przecież najstarszą mieszkanką okiia. Na przykład pewnego dnia, gdy niosłam tacę z herbatą dla Mamy, znienacka usłyszałam chrapliwe wołanie:

– Gdzie ta mała?! Dajcie ją tutaj!

Pośpiesznie odstawiłam tacę i popędziłam do pokoju. Babcia siedziała przy posiłku.

– Nie czujesz, jaki tu upał? – spytała, widząc mnie na klęczkach, pochyloną w niskim ukłonie. – Gdzie łazisz zamiast przyjść i otworzyć okno?

– Przepraszam, Babciu. Nie wiedziałam, że ci gorąco. – A wyglądam na sople lodu?

Zjadła nieco ryżu. Kilka ziaren przyłgnęło jej do dolnej wargi. Pomyślałam, że wygląda bardziej na wiedźmę niż na sople, lecz bez słowa przeszłam przez pokój i uchylłam okno. W tej samej chwili z podwórka wpadła mucha i zabręczała nad miską Babci.

– Co ty wyprawiasz?! – Babcia odgoniła muchę pałeczkami. – Nikt poza tobą nie wpuszcza robactwa do domu! Przeprosiłam i powiedziałam, że pójde po paczkę.

– I wtłuczysz mi muchę w jedzenie? Nic z tego. Stań obok i odganiaj ją, póki nie skończę.

No i stałam, a Babcia jadła i raczyła mnie opowieścią o wspaniałym aktorze kabuki, imieniem Ichimura Uzaemon XIV, który wziął ją za rękę podczas księżycowej nocy. Miała wówczas czternaście lat. Kiedy skończyła, herbata Mamy była już całkiem zimna, wróciłam więc do kuchni po nową porcję. Oczywiście oberwało mi się i od kucharki, i od Mamy.

W gruncie rzeczy chodziło o to, że Babcia nie lubiła być sama. Nawet gdy szła do ubikacji, kazała Cioci stać na zewnątrz i trzymać się za ręce, bo się bała, że straci równowagę. Smród walił nie do opisania, a biedna Ciocia mało nie złamała karku, tak wykręcała głowę na wszystkie strony. Moja rola należała do mniej paskudnych. Babcia wołała mnie do masażu pleców, a w tym czasie czyściła uszy za pomocą małej srebrnej łopatkki. Masaż był dużo cięższy, niż sobie wyobrażasz. Za pierwszym razem, gdy zsunęła kimono z ramion, mało nie zwymiotowałam. Skórę na plecach i karku miała chropowatą i żółtą, jak niedogotowany kurczak. Z czasem się dowiedziałam, że gdy była gejszą, często używała białego pudru zwanego chińską gliną. Puder okazał się trucizną, bo zawierał związki ołowiu i po części stał się przyczyną niedołęstwa Babci. Jakby tego mało, za młodu wciąż jeździła do gorących źródeł, na północ od Kioto. Robiła tak dla zdrowia, ale „chińska glina” źle schodziła z ciała. W połączeniu z żelazistą wodą tworzyła barwnik i do reszty zrujnowała jej skórę. Zresztą Babcia nie należała do wyjątków. Nawet w pierwszych latach drugiej wojny światowej na ulicach Gion widywałam staruszki z pożółkłą i pomarszczoną skórą na szyi.

Pewnego dnia, mniej więcej po trzech tygodniach spędzonych w okiia, później niż zwykle wybrałam się na piętro, by posprzątać w pokoju Hatsumomo. Wciąż się jej bałam, chociaż widywałam ją rzadko, gdyż większość czasu spędzała poza domem. Za nic nie chciałam z nią być sama, więc sprzątałam, gdy wychodziła na lekcje tańca. Niestety właśnie tego dnia Babcia przytrzymała mnie prawie do południa.

Hatsumomo zajmowała największy pokój w okiia. Większy niż cała trziesięchatka w Yoroido: Nie pojmowałam tego stanu rzeczy, póki nie dowiedziałam się od służby, że zazwyczaj mieszkały tam trzy lub cztery gejsze. Hatsumomo, choć teraz była sama, robiła bałagan za czwórkę. Tym razem w jej pokoju oprócz zwykłej porcji rozrzuconych czasopism i pędzelków leżących na macie obok toaletki znalazłam ogryzek jabłka i pustą butelkę whisky pod stołem. Okno było otwarte, a wiatr przewrócił drewnianą ramę, na której zwykle wisiało kimono. Chyba że Hatsumomo przewróciła ją sama, po pijanemu gramoląc się w pościel. Takie szkody z reguły naprawiała Ciocia, w pewnym stopniu pełniąc funkcję garderobianej, dziś jednak z nieznanymi mi powodów tego nie zrobiła. Ledwie zdążyłam podnieść ramę, drzwi rozwarły się z trzaskiem i w progu stanęła Hatsumomo.

– A... to ty – powiedziała. – Wydawało mi się, że słyszę chrobot myszy albo coś takiego. Zawsze sprzątasz mój pokój? Więc już wiem, kto przestawia mi słoiczki z pudrem. Musisz to robić?

– Bardzo panią przepraszam – odparłam. – Dotykam ich tylko wtedy, gdy wycieram kurze.

– I przesiąkają twoją wonią! – zawołała. – Potem słyszę od ludzi: „Co się stało, Hatsumomo-san? Dlaczego śmierdzisz jak rybaczką?”. Rozumiesz chociaż to, co mówię? Dla pewności powtórz. Dlaczego nie chcę, żebyś dotykała pudru?

Słowa więzły mi w gardle.

– Bo przesiąka moją wonią – wykrztusiłam w końcu. – Świetnie! A co mówią ludzie?

– Mówią: „Och, Hatsumomo-san, śmierdzisz jak rybaczką”.

– Hmm... Coś mi się nie podoba w twoim głosie. Mam nadzieję, że zrozumiałaś. Poza tym zupełnie nie pojmuję, dlaczego rybaczki tak śmierdzą. Ta twoja brzydka siostra szukała cię tu kiedyś i nos przy niej odpadał, tak samo jak przy tobie.

Do tej pory stałam, wbijając wzrok w podłogę. Po ostatnich słowach spojrzałam wprost na Hatsumomo, by sprawdzić, czy nie kłamie.

– Dziwisz się? – spytała. – Nie wspominałam ci, że była? Chciała cię zawiadomić, gdzie mieszka. Na pewno knuje ucieczkę i myśli, że zdoła cię zabrać.

– Hatsumomo-san...

– Chcesz, żebym ci powiedziała, gdzie jej szukać? Wpierw musisz na to zasłużyć. Jeszcze nie wiem jak, ale na pewno coś wymyślę. Teraz się wynoś.

Nie śmiałam się sprzeciwić, lecz w progę odwróciłam głowę i raz jeszcze spróbowałam przemówić jej do serca. – Wiem, że mnie pani nie lubi, Hatsumomo-san... – wy szeptałam – ale jeśli mi pani powie to, co chcę wiedzieć, przyrzekam, że już nigdy nie będę się naprzykrzać.

Hatsumomo zrobiła wielce zadowoloną minę i rozpromieniona szczęściem podeszła w moją stronę. Szczerze mówiąc, jak żyję nie widziałam piękniejszej osoby. Mężczyźni na jej widok stawali na ulicach i wyjmowali papierosy z ust ze zdumienia. Myślałam, że zamierza szepnąć mi coś na ucho. Postąpiła chwilę, a potem, wciąż z uśmiechem, uniosła rękę i wymierzyła mi siarczasty policzek.

– Kazałam ci się wynieść, prawda? – zapytała. Oszołomiona nie wiedziałam, co robię. Chyba wypadłam na korytarz, gdyż nagle stwierdziłam, że siedzę na podłodze i trzymam się za buzię. W tej samej chwili rozległ się stuk otwieranych drzwi do pokoju Mamy.

– Hatsumomo! – krzyknęła Mama i pomogła mi się pozbierać. – Co jej zrobiłaś?

– Napomknęła coś o ucieczce. Postanowiłam sama ją ukarać. Pomyślałam, że jesteś zbyt zajęta, by się zajmować takimi drobiazgami.

Mama wezwała służącą, kazała jej przynieść z kuchni kilka plasterków świeżego imbiru, zabrała mnie do siebie i posadziła za stołem. Sama wróciła do przerwanej rozmowy przez telefon. Jedyne telefon w okiia wisiał na ścianie właśnie w jej pokoju i tylko ona mogła zeń korzystać. Podniosła leżącą na szafce słuchawkę i ścisnęła ją tak mocno, iż myślałam, że sos tryśnie na matę spod jej grubych paluchów.

– Przepraszam – powiedziała zgrzytliwym głosem do kogoś na drugim końcu linii. – Hatsumomo znowu pobiła jedną z moich dziewcząt.

Od początku pobytu w okiia odczuwałam jakąś irracjonalną więź z Mamą. To samo chyba czuje ryba, którą wędkarz zdejmuje z haczyka. Być może brało się to stąd, że widywałam ją zaledwie parę minut dziennie, kiedy sprzątałam w pokojach. Mama zawsze siedziała za stołem, pochylona nad księgą rachunkową, przebierając palcami

po kościanym liczydło. Bez wątpienia potrafiła liczyć, lecz pod każdym innym względem bałaganiła gorzej niż Hatsumomo. Kiedy z trzaskiem odkładała fajkę, na stół spadał popiół i paprochy tytoniu. Nigdy się nie pofatygowała, żeby to sprzątnąć. Nikomu nie pozwalała tknąć materaca, nawet po to, by zmienić pościel, więc w pokoju panował wieczny zaduch. Papierowe szyby okropnie poczerniały od dymu i przepuszczały o wiele mniej światła.

Kiedy przysła służąca z pokrojonym imbirem, który miał posłużyć mi jako okład na bolący policzek, Mama wciąż ' jeszcze plotła coś do słuchawki. Szelest otwieranych drzwi obudził jej pieska Taku. Był to złośliwy zwierzak o płaskim pysku, zainteresowany tylko tym, żeby spać, gryźć i szczekać, ; zwłaszcza na tych, co próbowali go pogłaskać. Po wyjściu służącej usadowił się tuż za mną. Taki miał zwyczaj: czato– a wał, aż na niego przypadkiem nadepnę, a potem gryzł mnie w nogi. Między nim i Mamą czułam się jak mysz przytrzaśnięta drzwiami. Wreszcie Mama zakończyła rozmowę i wróciła do stołu. Wlepiała we mnie spojrzenie żółtych oczu.

– Posłuchaj, dziecko... Obie wiemy, że Hatsumomo kłamie. Że jej uchodzi to na sucho, nie znaczy, że tobie także. Chcę znać prawdę. Dlaczego cię uderzyła?

– Nie posłuchałam, gdy kazała mi wyjść z pokoju odparłam. – Bardzo przepraszam.

Kazała powtórzyć mi całe zdanie w dialekcie Kioto. Chwilę trwało, zanim uznała, że coś z tego wyszło.

– Chyba nie do końca pojmujesz swoją rolę – dodała. – Tu, w okiia, wszystkie myślimy o tym, jak pomóc Hatsumomo, by stała się sławną gejszą. Nawet Babcia. Może na pierwszy rzut oka wydaje się starą zrzędą, lecz i ona całymi dniami pracuje na Hatsumomo.

Ni w żąb nie rozumiałam tego, co mówiła. Po prawdzie z równym skutkiem mogłaby wmawiać ścierce, że Babcia choćby trochę na kogoś pracuje.

– Dziw, że ktoś w jej wieku tak się poświęca dla gejszy. Pomyśl, ile ciężiej powinnaś pracować.

– Dobrze, Mamo. Zacznę od zaraz.

– Nie chcę słyszeć o nowych sprzeczkach z Hatsumomo. Inni potrafią schodzić jej z drogi, więc ty też możesz.

– Tak, Mamo, ale... mogę cię o coś spytać, zanim pójdę? Czy ktoś wie, gdzie jest moja siostra? Chciałabym do niej napisać.

Mama miała dziwne usta: za duże w porównaniu z twarzą i zazwyczaj otwarte. Teraz jednak zrobiła coś jeszcze dziwniejszego; mocno ścisnęła szczęki, jakby chciała pochwalić się zębami. To był jej uśmiech. Zrozumiałam to chwilę potem, gdy zanosła się kaszlącym śmiechem.

– Wielkie nieba! Co za niedorzeczny pomysł! – zawołała.

Pokasłała trochę, a później machnęła ręką na znak, że mogę odejść.

W przedsionku na piętrze już czekała Ciocia z kolejnym zadaniem. Dała mi pełne wiadro i wysłała po drabinie na dach, gdzie na drewnianych słupach stał pojemnik na deszczówkę. Deszcz zazwyczaj splukiwał niewielką toaletę tuż obok pokoju Mamy, gdyż w tamtych czasach nawet w kuchni nie było wodociągu. A że ostatnio mniej padało, z ubikacji zaczęło śmierdzieć. Miałam wlać wodę do cysterny, żeby Ciocia mogła umyć sedes.

Słońce stało w zenicie. Ostrożnie stąpałam po dachówkach jak po gorącej patelni. Gdy opróżniałam wiadro, przypominały mi się kąpiele w cichym i chłodnym stawie w pobliżu Yoroido. Byłam tam zaledwie parę tygodni temu, a wydawało się, że minęły całe wieki. Ciocia zawołała, bym przy okazji powyrywała chwasty ze szpar między dachówkami. Popatrzyłam na dyszące upałem miasto i na wzgórza majaczące wokół niczym więzienne mury. Gdzieś tam, pod innym dachem, była Satsu, bez wątplenia zajęta podobną pracą. W chwili gdy o niej pomyślałam, przypadkowo pchnęłam cysternę i woda chlusnęła na ulicę.

Po miesiącu, od dnia kiedy przybyłam do okiia, Mama uznała, że nadszedł czas, abym rozpoczęła właściwą naukę. Następnego ranka w towarzystwie Dyni miałam po raz pierwszy spotkać wykładowców. Potem czekała mnie wizyta w biurze rejestrowym, o którym nigdy dotąd nie słyszałam, a wieczorem – lekcja pogładowa u Hatsumomo. Miałam obserwować, jak nakłada makijaż i jak przebiera się w kimono. Taka była tradycja okiia, że najmłodsza z kandydatek, z dniem pierwszych zajęć, stawała się bierną „asystentką” najbardziej doświadczonej gejszy. Dynia, słysząc, że ma mnie wziąć do szkoły, wyraźnie wpadła w popłoch.

– Bądź gotowa do wyjścia, jak tylko wstaniesz – ostrzegała. – Jakbyśmy się miały spóźnić, lepiej utopić się w rynsztoku...

Widywałam ją codziennie o poranku, zaspaną i bliską płaczu. Prawdę mówiąc, nieraz, gdy stukając drewniakami, przechodziła koło kuchennego okna, wydawało mi

się, że szlocha. Nie lubiła lekcji. Choć przybyła do okiia niemal pół roku przede mną, rozpoczęła zajęcia zaledwie trzy tygodnie temu. Wracła koło południa i od razu szła do siebie, żeby nikt nie widział jej rozpaczy.

Następnego ranka wstałam wcześniej niż zwykle i po raz pierwszy włożyłam biało-niebieski strój uczennicy. Był zwykły, z surowej bawełnianej dzianiny, ozdobiony dziecięcym, prostokątnym wzorem. Pewnie wyglądałam w nim równie pięknie jak gość przydrożnej tawerny, idący do łaźni, ale wydawało mi się, że mogę uchodzić za wzór elegancji.

Wystraszona Dynia czekała przed drzwiami. Nie zdążyłam jeszcze włożyć sandałów, gdy zawołała mnie Babcia.

– Nie! – szepnęła Dynia. Twarz jej oklapła, jakby była z roztopionego wosku. – Znów się spóźnię... Udawajmy, że jej nie słyszymy.

Bez wahania poszłabym za jej radą, ale Babcia stała już w drzwiach pokoju i złym wzrokiem patrzyła w moją stronę. Jak się okazało, zatrzymała mnie tylko na dziesięć lub piętnaście minut, to jednak wystarczyło, by oczy Dyni napełniły się łzami. Kiedy w końcu ruszyliśmy w drogę, Dynia popędziła tak szybko, że z trudem dotrzymywałam jej kroku.

– Złośliwa starucha! – mruzczała pod nosem. – Pamiętaj, jak ci każe masować się po karku, wsadź potem ręce w miskę soli.

– Po co?

– Matka mi zawsze powtarzała: „Zło rozprzestrzenia się po świecie wyłącznie przez dotyk”. To prawda, gdyż pewnego dnia otarła się o demona idącego drogą i umarła. Jak nie oczyścisz rąk, zmienisz się w taką samą pomarszczoną wiedźmę jak Babcia.

Zważywszy na to, że byliśmy z Dynią w tym samym wieku i na tym samym dziwnym zakręcie życia, wydawać by się mogło, że mamy wiele tematów do rozmów. Nadmiar zajęć sprawiał, że ledwie starczyło nam czasu na posiłki a Dynia zawsze jadła wcześniej, bo dłużej przebywała w okiia. Jak już wspomniałam, zjawiała się tu pół roku przede mną. Więcej nic o niej nie wiedziałam.

– Pochodzisz z Kioto? – spytałam. – Masz miejscowy akcent.

– Urodziłam się w Sapporo. Po śmierci matki ojciec wysłał mnie tutaj, do wuja. Miałam wtedy pięć lat. W zeszłym roku wuj stracił pracę, więc trafiłam do okiia.

- Dlaczego nie wróciłaś do Sapporo?
- Na ojca ktoś rzucił klątwę. Zmarł rok temu. Nie uciekam, bo nie mam dokąd.
- Jak znajdę siostrę, pójdziesz z nami – odparłam. Uciekniemy razem.

Myślałam, że ucieszy ją moja propozycja, zwłaszcza że tak okropnie nie lubiła szkoły, ale nic nie odpowiedziała. W milczeniu minęłyśmy aleję Shijo. Przypomniałam sobie tłum ludzi, kłębiący się w tym miejscu w dniu, kiedy pan Bekku odwoził mnie do okiya. Dzisiaj o poranku zobaczyłam tylko tramwaj i paru rowerzystów. Przeszłyśmy na drugą stronę i skręciłyśmy w wąską uliczkę. Nagle Dynia stanęła.

– Mój wuj był dobrym człowiekiem – oznajmiła. Zanim mnie odesłał, powiedział coś takiego: „Są na świecie mądre i głupie dziewczyny. Ty jesteś miła; lecz należysz do głupich. Sama nie dasz sobie rady w życiu, pójdziesz więc tam, gdzie powiedzą ci, co masz robić. Postępuj, jak ci każą, to nie zaznasz krzywdy”. Ty rób, co chcesz, Chiyo-chan, ale ja już znalazłam swoje właściwe miejsce. Staram się jak mogę, więc chyba mnie nie odeślą: Prędzej skoczyłabym ze skały, niżli z własnej woli miałabym zrezygnować z szansy zostania taką gejszą jak nasza Hatsumomo.

Przerwała i spojrzała gdzieś w dół, za mnie.

– Wielkie nieba... – jęknęła. – Chiyo-chan... nie ściska cię w żołądku na taki widok?

Odwróciłam się. Z tyłu było wejście do okiya. Tuż za furtką, przed małym ołtarzykiem shinto, leżało ofiarne ryżowe ciastko. Myślałam, że to właśnie pobudziło apetyt Dyni, ale ona wpatrywała się w ziemię. Początkowo nie widziałam nic prócz paproci i omszałej kamiennej ścieżki, aż nagle zauważyłam. Przed wejściem, prawie na skraju ulicy, ktoś rzucił patyk z kęsem pieczonej mątwy. Sprzedawano je wieczorami, wprost z wózków. Nieraz dręczył mnie kuszący zapach słodkawego sosu, gdyż pożywienie służby składało się wyłącznie z ryżu i ogórków, zupy raz dziennie i niewielkich porcji suszonej ryby dwa razy w miesiącu. Mimo to nie miałam ochoty na mątwę podniesioną z ziemi, w szczególności że łąziły po niej dwie muchy tak spokojnie, jakby wybrały się na przechadzkę w parku.

Dynia była dziewczyną o skłonnościach do tycia, brakowało jej tylko okazji. Słyszałam czasem, że jej kiszki grały, wydając dźwięki niczym otwierane ogromne wierzeje. Mimo to nie sądziłam, że naprawdę się połakomi na rzeczoną mątwę, póki nie spojrzała na lewo i prawo, aby się upewnić, że nikt nie nadchodzi.

– Na wszystkich bogów! – zawołałam. – Dynio, jeśli jesteś głodna, weź ciastko sprzed ołtarza. Po mięsie już łożą muchy.

– Jestem większa od nich – odpowiedziała. – Poza tym kradzież ciastka byłaby świętokradztwem. To ofiara. Szybko przykucnęła i chwyciła patyk.

Prawdę powiedziawszy, dorastałam w miejscu, gdzie niektóre dzieci próbowały jeść wszystko, co się poruszało. Sama nawet zjadłam kiedyś świerszcza – a miałam wówczas cztery lub pięć lat – ale tylko dlatego, że ktoś mnie oszukał. Widok Dyni z patykiem, na którym tkwił brudny skrawek mątwy, napawał mnie obrzydzeniem. Potrząsnęła ręką, żeby spędzić muchy, lecz one tylko mocniej przywarły do mięsa.

– Nie jedz tego – prosiłam. – Przecież to tak samo, jakbyś polizała ulicę!

– A co jest złego w lizaniu ulic? – spytała i w tej samej chwili – nigdy bym nie uwierzyła, gdybym sama tego nie widziała – rzuciła się na kolana i zamiotła językiem po ziemi. Szeroko otworzyłam usta ze zdumienia. Dynia wstała z niezbyt tęgą miną, jakby sama do końca nie wierzyła w swój postęp. Wytarła język wierzchem dłoni, splunęła parę razy, potem wsunęła mątwę w usta i wyrzuciła patyk.

Mięso było chyba wyjątkowo twarde, gdyż żuła je przez całą drogę pod górę, aż do drewnianych wrót wiodących na teren szkoły. Coś mnie ścisnęło w dołku po przekroczeniu bramy. Czułam się strasznie mała: rozłożyste krzewy i poskręcane sosny rosły nad wspaniałym stawem, pełnym karpia. W najwęższym miejscu nad wodą leżał płaski kamień. Stały na nim dwie starsze panie w kimonach, skryte pod parasolkami przed porannym słońcem. Z tyłu wznosiły się budynki. Nie wiedziałam wówczas, że szkoła zajmowała zaledwie część kompleksu i że w gruncie rzeczy patrzę na teatr Kaburenjo – gdzie każdej wiosny gejsze z Gion tańczyły „tańce ze stolicy”.

Dynia pośpieszyła pod długi drewniany pawilon, który początkowo wzięłam za barak dla służby, a który w istocie okazał się szkołą. Zaraz po przekroczeniu progu poczułam ostry zapach prażonych liści herbaty. Nawet dziś, gdy go czuję, coś mnie gniecie w brzuchu, jakbym znów miała iść na lekcję. Zdjęłam sandały i już miałam odstawić je do szafki, gdy powstrzymała mnie Dynia. Okazało się, iż w szkole istnieje niepisane prawo, że najstarsze stażem uczennice korzystają z najniższych szafek. Młodsze wspinały się po półkach na górę. Ponieważ byłam pierwszy raz na zajęciach, moje sandały musiały stanąć wyżej niż Dyni.

– Jak będziesz wlaźć na górę, uważaj, żeby nie nadepnąć na buty innych dziewczyn – poradziła mi Dynia, choć szafka była prawie pusta. – Gdyby ktoś to zobaczył; dostałabyś niezły ochrzan. Aż uszy więdną.

Wnętrze szkoły wydało mi się puste i zakurzone ze starości. W głębi długiego korytarza stało sześć albo osiem dziewcząt. Drgnęłam na ich widok, gdyż pomyślałam sobie, że kto wie, może zaraz zobaczę Satsu. Niestety, kiedy popatrzyły na nas, spotkało mnie rozczarowanie. Wszystkie miały włosy upięte w ten sam sposób – zwany *wareshinobu* i zarezerwowany dla kandydatki na gejszę – i w moich oczach wyglądały tak, jakby już zdążyły poznać wszelkie tajemnice Gion.

Mniej więcej w połowie korytarza była przestronna klasa, w tradycyjnym japońskim stylu. Wewnątrz, na przeciwległej ścianie, wisiała długa deska z małymi drewnianymi tabliczkami, na których widniały imiona namalowane grubymi czarnymi znakami. Ciągle miałam trudności z czytaniem i pisaniem. Co prawda uczęszczałam do szkoły w Yoroido, a po przyjeździe do Kioto spędzałam godzinę dziennie na nauce z Ciocią, ale mogłam odczytać zaledwie parę znaków: Dynia wyjęła z płaskiego koszyka tabliczkę ze swoim imieniem i zawiesiła ją na desce, na pustym kołku. Deska w pewien sposób zastępowała listę obecności.

Potem powędrowaliśmy od klasy do klasy, wszędzie powtarzając ten sam ceremoniał. Dynię dzisiaj czekały cztery rodzaje zajęć: nauka gry na shamisenie, taniec, ceremonia herbaciana i recytacja pieśni zwanych nagauta. Bolało ją, że we wszystkich klasach jej tabliczka wisiała na samym końcu. Aż miętosiła pasek ze zdenerwowania. Dopiero jak wracałyśmy na śniadanie, zobaczyła, że przez ogród w stronę szkoły biegnie kolejna uczennica, o zaspanym wyrazie twarzy i mocno rozczochranych włosach. Ów widok sprawił jej wyraźną ulgę.

Zjadłyśmy po misce zupy i w te pędy wróciłyśmy do szkoły. Dynia zajęła miejsce w kącie klasy i zaczęła stroić shamise. Ktoś, kto nigdy dotąd nie widział shamisenu, zapewne zdziwiłby się wyglądem instrumentu. Niektórzy nazywają go „japońską gitarą”, choć jest dużo mniejszy, z cienkim drewnianym gryfem, zakończonym trzema dużymi kołkami i strojenia. Pudło ma niewielkie, z drewna, niczym bęben obciągnięty kocią skórą. Można go rozłożyć i schować do torby lub skrzynki. Tak też zazwyczaj bywa przechowywany.

Dynia pośpiesznie złożyła swój instrument i – wysunawszy język – wzięła się do strojenia. Niestety los poskąpił jej dobrego słuchu i dźwięki kołysały się jak łódź na wzburzonych falach, ani na chwilę nie znajdując właściwego brzmienia. Wkrótce klasa zapełniła się dziewczętami, siedzącymi tak równo jak łakocie w pudełku. Cały czas zerkałam w stronę drzwi, z nadzieją, że zobaczę Satsu. Nie przyszła.

Chwilę później zjawiała się nauczycielka. Była drobna i przemawiała piskliwym głosem. Nazywała się Mizumi – i tak też zwracaliśmy się do niej – lecz jej nazwisko brzmiało podobnie do nezumi, mysz. Za jej plecami mówiłyśmy więc Nezumi sensei, pani Mysza.

Pani Mysza klękła na poduszce, twarzą do klasy. Nie wysilała się na przyjacielskie gesty. Gdy uczennice złożyły jej niski pokłon i chórem powiedziały uprzejmie „dzień dobry”, bez słowa łypnęła okiem i nawet nie skinęła głową. Po dłuższej chwili popatrzyła na deskę i wyczytała imię pierwszej z dziewcząt.

Wywołana miała wysokie mniemanie o sobie. Posuwistym krokiem wyszła na środek klasy, skłoniła się nauczycielce i rozpoczęła koncert. Nie minęły dwie minuty, gdy pani Mysza kazała jej przestać i wygłosiła sporo cierpkich słów pod jej adresem. Potem z trzaskiem złożyła wachlarz i ruchem ręki odesłała dziewczynę na miejsce. Ta podziękowała, znowu się skłoniła i dołączyła do grona uczennic. Pani Mysza wyczytała kolejne imię.

Trwało to dłużej niż godzinę. Wreszcie przyszedł czas na Dynię. Była bardzo zdenerwowana, więc gdy zaczęła grać, od razu wszystko poplątała. Pani Mysza zabrała jej instrument i nastroiła po swojemu. Dynia ponownie uderzyła w struny, ale uczennice spojrzały po sobie, gdyż żadna z nich nie wiedziała, co to za melodia. Pani Mysza głośno walnęła dłonią w stół i kazała im siedzieć prosto. Potem próbowała wachlarzem wystukać rytm, a .gdy to nie pomogło, zaczęła pouczać Dynię, jak we właściwy sposób trzymać plektron. Przez chwilę obawiałam się, że połamię jej palce. Wreszcie zrezygnowała i z niechęcią rzuciła plektron na podłogę. Oczy Dyni wypełniły się łzami.

Potem zrozumiałam, dlaczego źle jest przychodzić do szkoły jako ostatnia. Na środek klasy wysunęła się potargana uczennica, którą rano mijaliśmy w ogrodzie. Skłoniła się.

– Nie trać czasu na zbędne uprzejmości! – pisnęła do niej pani Mysza. – Gdybyś nie zasnęła, może byś zdążyła się czegoś nauczyć!

Dziewczyna przeprosiła i zagrała parę taktów, ale nauczycielka nie zwróciła na to najmniejszej uwagi.

– Jak mam cię uczyć, skoro wolisz spać i nie bywasz w szkole o właściwej porze? – spytała. – Wracaj na swoje miejsce. Sprawiasz mi tylko kłopot. I to był koniec zajęć. Dynia wyprowadziła mnie na środek i we dwie złożyłyśmy pokłon przed panią Myszą.

– Chciałam pani przedstawić Chiyo-chan – powiedziała Dynia – i proszę o cierpliwość dla niej, gdyż jest niedouczona.

Nie próbowała mnie obrazić; w tamtych czasach był to zwyczajny styl mówienia, zwłaszcza o dzieciach. Moja matka na pewno postąpiłaby tak samo.

Pani Mysza bez słowa przypatrywała mi się długą chwilę. – Jesteś bystra – zapiszczała w końcu. – Widać to po tobie. Nie wątpię, że pomożesz starszej siostrze w lekcjach.

Oczywiście miała na myśli Dynię.

– Jak najwcześniej wieszaj swoją tabliczkę na desce przykazała. – Siedź cicho w klasie. Nie toleruję żadnych szeptów! Zawsze patrz przed siebie. Jak nie sprawisz zawodu, dołożę wszelkich starań, żeby coś z ciebie było.

Potem kazała nam odejść.

W korytarzu, czekając na następną lekcję, ciągle szukałam Satsu. Bez skutku. Zrozpaczona, że już nigdy jej nie zobaczę, głośno pociągnęłam nosem. Usłyszała to jedna z nauczycielek, zmierzająca właśnie do klasy. Uciszyła dziewczęta i ostro spojrzała na mnie.

– Ty, tam! Czego płaczesz?

– To nic takiego, proszę pani. Po prostu ugryzłam się w wargę – odparłam. Na potwierdzenie własnych słów i na użytek gapiących się na mnie dziewcząt – naprawdę przygryzłam usta i poczułam smak krwi.

Szcęściem na pozostałych zajęciach nastrój wyraźnie zelżał. Lekcje tańca odbywały się w całych grupach, więc nikt nie odstawał. Dynia wręcz okazała się niezłą tancerką, a w jej kanciastych ruchach kryła się pewna gracia. Gorzej szło jej ze śpiewem, gdyż nie miała słuchu. Ratowało ją to, że śpiewała w chórze: szeroko otwierała usta, zawodząc półgłosem.

Po zakończeniu każdej lekcji Dynia przedstawiała mnie nauczycielkom. Jedna z nich zapytała:

– Mieszkacie razem?

– Tak, proszę pani – odpowiedziałam. – W Nitta okiya.

Nitta było rodzowym nazwiskiem Babci, Mamy i Cioci.

– Zatem pod jednym dachem z Hatsumomo-san?

– Tak, proszę pani. W tej chwili Hatsumomo-san jest u nas jedyną gejszą.

– Będę cię uczyć śpiewu... – usłyszałam w odpowiedzi – jeżeli przeżyjesz.

Po tych słowach nauczycielka wybuchnęła radosnym śmiechem i odprawiła nas do domu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Po południu poszłam wraz z Hatsumomo do Biura Rejestrowego. Spodziewałam się jakichś wspaniałości, tymczasem rzeczony biuro zajmowało kilka zwykłych pokoi na pierwszym piętrze szkoły. Pełne stołów i ksiąg rachunkowych; strasznie śmierdziało papierosami. Urzędnik spojrzął na nas zza chmury dymu i skinął, byśmy przeszły do drugiej sali. Tam, za niskim biurkiem zawalonym stosem papierów, siedział największy człowiek, jakiego widziałam. Wówczas nie miałam pojęcia, że kiedyś był zapaśnikiem sumo. Wyglądał tak, że gdyby wyszedł przed budynek i napał nań całym ciałem, wszystkie biurka i maty zleciałyby na parter. Nie zyskał takiej sławy, by na stałe zdobyć nazwisko, lubił jednak, kiedy mówiono „Awajiumi”, gdyż pod tym pseudonimem występował na ringu. Gejsze zwykle figlarnie skracają to do „Awaji”.

Zaraz po wejściu Hatsumomo przybrała pozę kusicielki. Pierwszy raz oglądałam ją w tej roli. Powiedziała „Awaji-san”, lecz po drodze musiała złapać głębszy oddech, bo w jej ustach zabrzmiało to mniej więcej tak:

– Awaaa jii-saaaannnnnnnn!

Zabrzmiało to jak połajanka. Na dźwięk jej głosu olbrzym odłożył pióro i wykrzywił twarz tak, że policzki podjechały mu aż do uszu. To miał być uśmiech.

– Mmm... Hatsumomo-san... – zamruczał. – Sam nie wiem, co zrobię, jak się staniesz jeszcze piękniejsza.

Głos miał niewiele mocniejszy od szeptu, gdyż zapaśnikom sumo często pękają struny głosowe od ciągłych uderzeń w gardło.

Wprawdzie Awajiumi posturą przypominał hipopotama, lecz poza tym wyróżniał się elegancją. Ubrany był w prążkowane kimono i także szarawary. Pilnował, by pieniądze napływające z Ciion trafiały we właściwe ręce. Niejako „przy okazji” uczciwa sumka wpływała mu do kieszeni. Nie kradł; tak po prostu funkcjonował ów system. Miał rzeczywiście ważną pracę i każda gejsza starała się go zadowolić. Powiadano nawet, że większość czasu spędza raczej bez kimona.

Hatsumomo gawędziła z nim przez dłuższą chwilę, aż wreszcie przypomniała sobie, że chciała mnie zarejestrować jako nową uczennicę. Do tej pory Awajiumi ani

razu na mnie nie spojrział; teraz jednak powoli odwrócił wielką głowę. Potem odsunął papierowe okno, by wpuścić więcej światła.

– W pierwszej chwili myślałem, że wzrok mnie okłamuje – powiedział. – Czemu od razu nie wspomniałaś, że sprowadziłaś takie чудо? A te jej oczy... mają kolor zwierciadła!

– Zwierciadła? – powtórzyła Hatsumomo. – Awaji-san, zwierciadło nie ma żadnych kolorów.

– Oczywiście, że ma. Jest błyszcząco szare. Gdy w nie patrzysz, widzisz swoje odbicie, ale są tam ukryte barwy. Naprawdę.

– Może... Mnie się nie podobają jej oczy. Kiedyś oglądałam topielca wyrzuconego przez rzekę. Miał taki sam język.

– A może jesteś zbyt piękna, by dostrzegać urodę innych? – Awajiumi otworzył księgę rejestrową i sięgnął po pióro. – Najpierw ją zapiszemy. Masz na imię... Chiyo? Podaj pełne nazwisko i miejsce urodzenia.

Słyszając te słowa, znów pomyślałam o Satsu. Pewnie stała w tym samym miejscu, wystraszona widokiem olbrzyma... Tak, na pewno tu była. Skoro mnie musieli zapisać, ją bez wątpienia także.

– Nazywam się Sakamoto – odparłam. – Urodzona w wiosce Yoroido. Pewnie słyszał już pan tę nazwę od mojej starszej siostry.

Bałam się, że Hatsumomo wpadnie w szal, ale, ku memu zaskoczeniu, wydawała się całkiem zadowolona.

– Jak jest starsza, to powinna od dawna figurować w księgach – wymruczał Awajiumi. – Nic o niej nie słyzałem. Na pewno jest w Gion?

Teraz zrozumiałam uśmiech Hatsumomo. Przewidziała odpowiedź zapaśnika. Nagle przestałam wątpić, że rozmawiała z Satsu. Poza Gion w Kioto były inne dzielnice gejsz i je właśnie musiałam zwiedzić, jeśli chciałam odnaleźć siostrę.

Kiedy wróciłam do okiia, Ciocia zabrała mnie do łaźni na drugim końcu ulicy. Bywałam już tam nieraz, lecz zwykle w towarzystwie starszych służek, których pomoc ograniczała się tylko do wręczenia mi małego ręcznika i kawałka mydła. Myłam się jak one, sama, siedząc wprost na kafelkach. Ciocia okazała mi więcej laskawości. Nawet przykucnęła obok, żeby umyć mi plecy. Zaskakujące, że w ogóle nie odczuwała

wstydu. Nacierала mydłem piersi, jakby szorowała butelkę. Nawet kilkakrotnie przez przypadek trąciła mnie sutkiem w ramię.

Po kąpieli we dwie wróciłyśmy do okiia i tam po raz pierwszy w życiu ubrano mnie w jedwabne kimono. Było piękne: niebieskie, oblamowane rysunkiem zielonej trawy, a na rękawach i piersi zdobne w jasnożółte kwiaty. Ciocia zaprowadziła mnie na górę, do pokoju Hatsumomo. Pod drzwiami udzieliła mi ostatniej reprimendy: mam nie przeszkadzać i w żaden sposób nie denerwować gejszy. Dopiero dużo później zrozumiałam jej zachowanie. Widzisz, rankiem, tuż po przebudzeniu gejsza jest normalną, zwykłą kobietą. Miewa spoconą twarz i nieświeży oddech. Jeśli nawet śpi na drewnianym wałku i włosy ma upięte w kunsztowną fryzurę, niczym się nie różni od innych ludzi. Na pewno nie jest gejszą. Zmienia się dopiero wówczas, gdy siada przed lustrem. I nie chodzi tylko o makijaż. W tejsze chwili zaczyna inaczej myśleć.

Po wejściu do pokoju kazano mi usiąść na wyciągnięcie ręki od Hatsumomo, nieco z tyłu, bym dokładnie widziała jej odbicie w maleńkim zwierciadelku, stojącym na toalecie. Hatsumomo, ubrana w bawełniany szlafrok, klęczała na poduszce, trzymając jakieś pół tuzina pędzli o rozmaitych kształtach. Jedne były szerokie na kształt wachlarza, inne znowu przypominały pałeczki do ryżu, zakończone maciupkim pęczkiem miękkiego włosia. Hatsumomo odwróciła się, aby mi je pokazać.

– To moje pędzle – powiedziała. – A to... Pamiętasz? Wzięła z toaletki szklany słoik z jaskrawobiałym pudrem i pomachała nim w powietrzu.

– Tego miałaś już nigdy nie dotykać. – Nie dotykałam – odparłam. Powąchała zamknięty słoik.

– Chyba nie...

Odstawiła go i w zamian chwyciła trzy kolorowe pręciki. Podsunęła mi je pod nos na rozpostartej dłoni.

– To do nakładania cieni. Możesz się przyjrzeć. Wzięłam jeden do ręki. Był mniej więcej rozmiarów dziecięcego palca, gładki i twardy jak kamień. Nie pozostawiał na skórze żadnych śladów. Na końcu był owinięty cienką srebrną folią, gdzieśgdzie powgniataną od częstego używania.

Następnie Hatsumomo pokazała mi coś, co wyglądało na przypalony patyk.

– Piękny, suchy kawałek paulowni – wyjaśniła. – Do rysowania brwi. A to wosk.

Odwinęła z papieru dwie zużyte do połowy pałeczki wosku i wyciągnęła je w swoją stronę.

– Wiesz, po co ci to wszystko pokazuję?

– Żebym się nauczyła sztuki makijażu – odparłam. – Wielkie nieba, nie! Chcę tylko udowodnić, że nie ma tu żadnej magii. Szkoda, prawda? Sam makijaż nie przysporzy urody biednej Chiyo.

Odwróciła się do lusterka i nucąc cicho pod nosem, otworzyła słoiczek z bladożółtym kremem. Pewnie nie uwierzysz, gdy powiem, że mazidło robiono ze słowicznych odchodów? Naprawdę tak było. Gejsze smarowały nim twarz, bo wierzyły, że dobrze działa na cerę. Z drugiej strony było tak drogie, że Hatsumomo tylko musnęła skórę wokół ust i oczu. Potem oderwała kawałek wosku, zmiękczyła go w palcach i wtarła w szyję, policzki i między piersiami. Starannie oczyściła ręce szmatką, zmoczyła wodą płaski pędzelek i zaczęła rozrabiać puder. Śnieżnobiałą pastą pomalowała twarz i szyję, zostawiając nietknięte miejsca przy oczach, ustach i nosie. Jej oblicze przypominało teraz dziecięcą maskę, wyciętą z grubego papieru. Hatsumomo zwilżyła kolejny pędzel i rozmasowała krawędzie bieli. Po chwili wyglądała, jakby wpadła nosem w miskę ryżowej mąki. Była wprost przeraźliwie biała, jak demon – zgodnie z charakterem – a mnie aż skręcało z zazdrości, gdyż wiedziałam, że za parę godzin tłum mężczyzn wlepi w nią zachwycone spojrzenia, a ja wciąż będę tkwić w okiya, brzydka i spocona.

Teraz rozpuściła w wodzie odrobinę barwnika i nadała policzkom lekko różowy odcień. Przez cały pierwszy miesiąc pobytu w okiya podglądałam ją, jak kończyła makijaż. Wciąż ukradkiem łapałam okiem w jej stronę i dostrzegłam, że za każdym razem maluje się inaczej, stosownie do koloru kimona. Nie widziałam w tym nic nadzwyczajnego – dopiero po latach odkryłam, że w odróżnieniu od innych gejsz używała ciut więcej czerwieni. Nie wiem dlaczego... chyba tylko po to, żeby u niektórych wzbudzić krwiożercze uczucia. Ale nie była głupia – wiedziała, w jaki sposób podkreślić urodę.

Skończyła nakładanie różu, lecz wciąż miała bezbarwne brwi i usta. Niepomna, że jej twarz przypomina dziwną maskę, przerwała pracę i poprosiła Ciocię, żeby położyła jej puder na karku. Tu muszę coś powiedzieć o japońskich karkach. Otóż Japończycy – prawie wszyscy – traktują kobietą szyję z takim samym uwielbieniem, z jakim na Zachodzie traktuje się nogi. Kołnierz kimona gejszy jest rozchylony z tyłu tak

szeroko, że widać górne kręgi pleców. Swoisty wabik, jak minispódniczka w Paryżu. Ciocia na karku Hatsumomo wymalowała wzór zwany sambon-ashi, „trzy stopy”. To niezwykle ciekawy sposób makijażu, wywołujący wrażenie, że patrzysz na skórę szyi przez oczka cienkiej białej siatki. Dopiero później zrozumiałam, jak silnie działa to na mężczyzn; niczym kobieta zerkająca przez palce. Po prawdzie, każda gejsza zostawia wąski pasek gołej skóry tuż pod linią włosów. Dzięki temu jej biała twarz nabiera jeszcze bardziej sztucznego wyrazu, niczym maska z teatru no, a mężczyźni aż płoną z ciekawości, co się kryje za takim parawanem.

Hatsumomo umyła pędzle i kilka razy spojrzała na mnie w lusterku.

– Wiem, o czym myślisz – odezwała się w końcu. Żal ci, że nigdy nie będziesz taka piękna. Niestety to najprawdziwsza prawda.

– Niektórzy uważają Chiyo-chan za wyjątkowo ładną dziewczynkę – przypomniała jej Ciocia.

– Niektórzy lubią smród gnijącej ryby – odparła Hatsumomo i wyprosiła nas z pokoju mówiąc, że chce się przebrać.

Wyszliśmy na korytarz i tam, tuż obok wysokiego lustra, zobaczyłam czekającego pana Bekku. Wyglądał zupełnie tak samo jak w dniu, w którym przyjechałam do Kioto. Już wiedziałam, że nie trudnił się porywaniem dziewcząt; był raczej... garderobianym. W każdym razie co dzień przychodził do okiia, by asystować gejszy wkładającej kimono.

Dzisiejszy strój Hatsumomo wisiał na wieszaku przy lustrze. Ciocia gładziła i prostowała jedwab aż do chwili, gdy gejsza wyłoniła się z pokoju, już odziana w olśniewającą rdzawą szatę, zdobioną motywem złotych liści. Tego, co się działo potem, nie bardzo rozumiałam, gdyż osoby nie nawykłe do kimona gubią się w komplikacjach. Dopiero odpowiedni opis nadaje sens ceremonii:

Zanim zacznę, muszę wpierw wyjaśnić, że gejsza i na przykład żona noszą kimono w zupełnie odmienny sposób. Żona wypycha górę stroju, by nie wydawać się zbyt gruba w pasie. W rezultacie jest symetrycznie równa, jak kolumna podpierająca dach świątyni. Gejsza wkłada kimono tak często, że traktuje je jak drugą skórę i nie tęskni za dodatkami. Obie jednak – żona i gejsza – na początku zdejmują szlafrok i wokół nagich bioder owijają jedwabną szarfę, zwaną koshimaki, „przepaska biodrowa”. Na to wkładają koszulę z krótkimi rękawami, ciasno wiążaną w pasie, a potem przychodzi kolej na „wypychacze”, czyli niewielkie poduszeczki mocowane do

ciała tasiemkami. Hatsu-momo – wiotka jak wierzba, wąska w biodrach i ob. darzona dużym doświadczeniem – nie używała takich rzeczy.

Wszystkie wymienione elementy stroju pozostają ukryte przed wzrokiem mężczyzny. Następna szata już nie ma bieliźnianego charakteru. Czasami, w trakcie tańca lub zwykłej przechadzki ulicą, gejsza lewą ręką unosi skraj kimona, by mieć nieco większą swobodę ruchów. Wówczas widać spodnią warstwę jej ubioru, poniżej kolan. Płyne stąd prosty wniosek, że obie szaty muszą być dopasowane pod względem wzoru i wykonania. Kołnierz spodniej warstwy wystaje spod kimona mniej więcej w ten sam sposób jak kołnierzyk koszuli spod marynarki. Ciocia codziennie przyszywała czysty kołnierz do stroju Hatsumomo, a następnego ranka odpruwała go do prania. Gejsza-praktykantka nosi czerwony kołnierz. Hatsumomo nie była praktykantką; nosiła białe.

Wychodząc z pokoju, miała już na sobie wszystkie opisane wyżej elementy stroju – chociaż widzieliśmy tylko rdzawą szatę, ściśle związaną w talii wąską szarfą. Hatsumomo zdążyła też włożyć białe skarpetki tabi, zapinane z boku i jak ulał pasujące do stopy. Do dalszych działań potrzebny był pan Bekku. Ten, kto choć raz widział go przy pracy, w lot zdawał sobie sprawę z powagi jego roli. Każde kimono ma tę samą długość, zatem tylko najwyższe z kobiet nie zawijają dodatkowej fałdy. Pan Bekku wykonywał to z tak niezwykłą gracją, że nie powstawało najmniejsze wybrzuszenie. Tu pociągnął, tam przyglądził, całość opasał jedwabnym sznurem... i gotowe. Kimono pięknie podkreślało kontury ciała.

Najważniejszym jednak zadaniem garderobianego było wiązanie obi. Trudniejsza praca, niż na pozór się zdaje. Pas noszony przez Hatsumomo był długi na dwóch chłopa i szeroki niemalże na rozpiętość kobiecych ramion. Prawdłowo owinięty w talii, obejmował ciało od mostka, aż poniżej pępka. Większość ludzi, na ogół nie obeznanych z kimonem, sądzi, że obi jest po prostu wiązane z tyłu, jak zwykła szarfa. Nic bardziej mylnego. Pół tuzina węzłów i zapinek trzeba, by utrzymać całość na właściwym miejscu. Pan Bekku miał zajęcie na dobre kilkanaście minut, lecz gdy kończył, na grubym materiale nie znać było najmniejszej zmarszczki.

Tamtego dnia niewiele zrozumiałam z pokazu. Zdawało mi się, że pan Bekku pracuje jak w ukropie, wiąże, składa i przygniata, a Hatsumomo tylko stoi z rozpostartymi ramionami i podziwia swoje odbicie w lustrze. Zazdrościłam jej z całej duszy. Kimono skrzyło się brokatem w odcieniach złota i miedzi. Niżej pasa, w sutych

barwach jesieni, trącały się nosami dwa brązowe daniele, w deszczu złotych i czerwonych liści, spadających na leśną murawę. Obi było śliwkowe, przetykane srebrzystą nicią. Nie wiedziałam jeszcze, że cena kimona wynosiła mniej więcej tyle, ile roczna pensja policjanta lub sklepikarza. Patrząc na Hatsumomo, nabrałam przekonania, że wszystkie skarby świata bledną przy jej wyglądzie.

Teraz musiała tylko dokończyć makijażu i wpiąć ozdoby we włosy. Wraz z Ciocią wróciłyśmy do jej pokoju. Hatsumomo przyklękła przed toaletką i sięgnęła po maleńkie pudrko z pomadką. Nakładała ją na usta pędzelkiem. Ówczesna moda nakazywała górną wargę pozostawiać bezbarwną, tak by dolna wydawała się nieco pełniejsza. Biało pomalowana twarz płała dziwne figle: karminowe usta wyglądały jak dwa duże płaty krojonego tuńczyka. Aby zmienić ten efekt, niektóre gejsze szminkowały się w inny sposób, zaokrąglając kształt warg na wzór płatków fiołka. Hatsumomo – jak wspominałam Wyżej – trzymała się kanonów mody.

Na koniec wzięła gałązkę paulowni, tę którą pokazywała mi wcześniej. Podpaliła ją z jednego końca, pottrzymała przez parę sekund i zdmuchnęła ogień. Zdusiła żar palcami, wróciła do lusterka i węgielkiem podkreśliła brwi. Miały teraz cudownie szary odcień. **Potem** podeszła do komody, gdzie przechowywała ozdoby do włosów. **Wybrała** kilka, w tym szylkretowy grzebień i długą szpilę zakończoną niezwykłym sznurem pereł. Skropiła perfumami szyję; płaską, drewnianą fiołkę z pachnidelkiem wsunęła głęboko za obi, na wypadek gdyby później musiała z niej skorzystać. W ślad za fiołką zatknęła składany wachlarz, a do prawego rękawa włożyła chusteczkę. Odwróciła się i z lekko kpiącym uśmiechem popatrzyła na mnie. Wyglądała tak pięknie, że nawet Ciocia westchnęła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Bez względu na to, co każda z nas myślała o Hatsumomo, traktowałyśmy ją jak cesarzową. W gruncie rzeczy to ona zarabiała na nasze utrzymanie. Każda cesarzowa złościłaby się, gdyby późno w nocy wracając do pieleszy zastała pałac w mroku i służbę pogrążoną we śnie. Jak była zbyt pijana, żeby zdjąć skarpetki, ktoś musiał jej w tym pomóc. Gdy była głodna – ktoś musiał iść do kuchni i przyrządzić jej ulubione danie: najczęściej umeboshi ochazuke, złożone z resztek gotowanego ryżu i marynowanych śliwek, razem zalanych gorącą zieloną herbatą. Nikogo nie dziwiło takie zachowanie. Tak u nas, jak i w innych okiya obowiązek czekania na gejszę spadał na „kokony”, bo takim właśnie mianem potocznie obdarzano najmłodsze praktykantki. Mnie przypadła rola kokonu z chwilą rozpoczęcia nauki. Dynia i dwie starsze służki szły spać grubo przed północą, układały się metr lub dwa ode mnie, na materacach rozłożonych w holu, a ja musiałam klęczeć i walczyć z sennością nieraz nawet do drugiej nad ranem. Tuż obok był pokój Babci, która zwykła sypiać przy zapalonym świetle, z lekko uchylonymi drzwiami. Wąski promień blasku padał na mój pusty futon i skłaniał mnie do wspomnień, jak tuż przed wyjazdem z wioski, przez szparę spoglądałam do izby chorej matki. Ojciec rozwiesił sieci w oknach, by dać jej trochę cienia, lecz ja uznałam, że pokój wygląda zbyt ponuro, i odsunęłam jedną z zasłon. Smuga jasnego słonecznego światła wyrwała z mroku bladą i wychudzoną dłoń matki; Teraz w ten sam sposób oświetlony był mój materac. Zastanawiałam się, co z matką. Jeszcze żyje? Tak byłyśmy do siebie podobne, że chyba bym wiedziała, gdyby naprawdę zmarła. Nie otrzymałam jednak żadnego znaku.

Pewnej nocy, po pierwszych jesiennych chłodach, przysnęłam na posterunku, oparta o ścianę. Z drzemki wyrwał mnie skrzyp furtki. Pośpiesznie przetarłam oczy, bo wiedziałam, że Hatsumomo wpadnie w złość, jeśli zastanie mnie śpiącą. Stuknęły drzwi i ze zdumieniem zobaczyłam, że w progu stanął obcy człowiek, ubrany w tradycyjną, luźną, robotniczą bluzę i chłopskie portki – choć poza tym nie przypominał ani robotnika, ani chłopa. Włosy, gładko zaczesane według najnowszej mody, i krótko przystrzyżona broda, nadawały mu wygląd intelektualisty. Pochylił się, ujął moją twarz w obie dłonie i popatrzył mi prosto w oczy.

– Ładna jesteś – stwierdził półgłosem. – Jak masz na imię?

Skąd się wziął u nas tak późno w nocy? Nie wyglądał groźnie, ale byłam tak przestraszona, że z trudem wydukałam „Chiyo”. Poślinił koniec palca i dotknął mojego policzka. Okazało się, że zdjął rzesę.

– Jest jeszcze Yoko? – spytał.

Chodziło mu o młodą dziewczynę, która spędzała u nas popołudnia. W tamtych latach już wszystkie herbaciarnie w Gion miały łączność z okiya. Wiecznie zapracowana Yoko godzinami wysiadywała przy telefonie i umawiała gejszę na spotkania, bankiety i przyjęcia. Część osób składała zamówienia z kilkumiesięcznym albo wręcz rocznym wyprzedzeniem, lecz Hatsumomo zawsze miała puste miejsca w karnecie dla klientów „z ostatniej chwili”. Dzisiaj wieczór telefon dzwonił rzadziej, więc Yoko przypuszczalnie zasnęła ze zmęczenia. Tajemniczy gość nie czekał na moją odpowiedź. Dał mi znak, żebym była cicho, i odszedł w głąb korytarza, do innych pokojów.

Po chwili usłyszałam głos Yoko. Przepraszała, bo rzeczywiście zasnęła. Potem wdała się w długą konwersację z telefonistką z centrali. Dzwoniła do kilku herbaciarni, zanim wreszcie odnalazła Hatsumomo. Prosiła, by ją zawiadomić, że do miasta przyjechał aktor kabuki, Onoe Shinkan. Nie wiedziałam wówczas, że ktoś taki nie istnieje. Chodziło o umówiony sygnał.

Potem Yoko wyszła. Nie wyglądała na przejętą, że w pokoju służby czeka obcy człowiek, więc ja także nie wszczynałam alarmu. Okazało się, że postąpiłam słusznie, gdyż dwadzieścia minut później wróciła Hatsumomo. Przystanęła przy mnie.

– Dotąd jeszcze nie zaczęłam uprzykrzać ci życia – powiedziała. – Pożałujesz, jeśli komuś wspomnisz o dzisiejszym gościu lub o tym, że wcześniej wróciłam.

Stała tak blisko, że kiedy w pewnej chwili sięgnęła po coś do rękawa, mimo półmroku zobaczyłam, że ma mocno zaczerwienione ręce. Zamykając za sobą drzwi, zniknęła w służbówce. Przez chwilę słychać było stłumioną rozmowę, potem zapadła cisza. Czasami tylko wydawało mi się, że z ciemności dobiega jęk bądź ciche sapanie. Nie wiedziałam jednak, czy się nie przesłyszałam. Nie twierdzę, że wiedziałam wówczas, co się działo, choć myślałam o Satsu i o chłopaku od Sugich. Czułam niechęć zmieszaną z tak silną ciekawością, że gdybym nawet mogła, nie zeszyłabym z posterunku.

Mniej więcej raz w tygodniu przyjaciel Hatsumomo który okazał się kucharzem z pobliskiego baru – przychodził do niej do okiia i wspólnie spędzali czas w zamkniętej służbówce. Spotykali się także w innych miejscach. Wiedziałam o tym, gdyż Yoko pełniła funkcję pośredniczki i czasami udawało mi się ją podsłuchać. Dla żadnej ze służących romans Hatsumomo nie był tajemnicą; miała jednak nad nami taką władzę, że ani słowo o tym nie dotarło do Babci, Mamy lub Cioci. Gdyby tak się stało, popadłaby w niezłe kłopoty. Odwiedziny chłopaka nie przynosiły żadnych zysków, nieraz rezygnowała z przyjęć, by zdążyć na schadzki. A co najgorsze, gdyby jakiś bogacz zapragnął z nią kosztownego i długotrwałego związku, bez wątpienia wycofałby się na wieść, że wybranka dzieli łożę ze zwykłym kucharzem.

Pewnej nocy pić mi się chciało, więc poszłam na podwórko, do pompy. Gdy wracałam, do moich uszu dobiegł głośny stuk zamykanych drzwi.

– Hatsumomo-san... – usłyszałam głęboki głos. – Wszystkich pobudzisz...

Nigdy nie rozumiałam, dlaczego ryzykuje, sprowadzając chłopaka aż tu, do okiia. A może to ją podniecało... Przedtem jednak nie zachowywała się tak głośno. Pośpiesznie: przyklękłam na swoim zwykłym miejscu. Po chwili Hatsumomo weszła do korytarza. Niosła dwie duże paczki owinięte w papier. Tuż za nią podążała druga gejsza, tak wysoka, że się musiała schylić w progu. Miała końską twarz i nienaturalnie wielkie usta. Chyba nikt nie mógł nazwać jej ładną.

– To nasza najmłodsza służka – odezwała się Hatsumomo. – Ma jakieś imię, lecz mówimy na nią „Mały Głuptas”.

– No to zmykaj, Głuptasie – powiedziała ta druga. Skocz na jednej nodze i przynieś nam coś do picia.

To jej głos słyszałam przedtem, a nie chłopaka. Hatsumomo najbardziej lubiła pewien lekki i słodkawy gatunek sake, zwany amakuchi. Ale amakuchi pędzono w zimie, a nasz zapas już dawno się skończył. Nalałam więc dwie szklanki piwa. Przez ten czas obie gejsze zdążyły przejść na podwórko. Były mocno pijane; olbrzymka z trudem stąpała w za małych drewniakach. Przy każdym koślawym kroku obie wybuchały śmiechem. Pamiętasz może, jak mówiłam, że wokół domu biegł drewniany podest? Hatsumomo złożyła tam obie paczki. Już miała je otworzyć, gdy przypadkowo spojrzęła na mnie.

– Nie mam ochoty na piwo – zamruczała, kucnęła i wylała na ziemię zawartość obu szklanek.

– A ja mam... – zaczęła jej przyjaciółka, ale już było za późno. – Co robisz? Dlaczego wylałaś moją?

– Cicho, Korin – mitygowała ją Hatsumomo. – Na dzisiaj masz dość picia. Spójrz tylko na to, a oszalejesz ze szczęścia!

Rozwiązała sznurek owijający paczkę i rozłożyła na podeście wspaniałe kimono we wszystkich odcieniach zieleni, zdobne motywem winorośli o czerwonych liściach. Było precudowne – chociaż cienkie, bardziej stosowne na lato niż na jesień. Pannie Korin chyba się spodobało, gdyż wzięła głęboki oddech i zakrztusiła się własną śliną. Hatsumomo skwitowała to nowym wybuchem śmiechu. Przez chwilę chichotały razem.

– Zostań, Mały Głuptasie – odezwała się Hatsumomo widząc, że zamierzam odejść. Popatrzyła na przyjaciółkę. Czas na zabawę, Korin-san. Wiesz, czyje to kimono?

Korin wciąż kasłała. Chwilę trwało, zanim zdobyła się na odpowiedź.

– Wcale bym nie protestowała, gdyby było moje!

– Ale nie jest. Na równi ze mną nienawidzisz prawdziwej właścicielki.

– Och, Hatsumomo-san... Jesteś genialna. Jak zdobyłaś kimono Satoki?

– Nie chodzi o Satokę! Mówię o... pannie Doskonałej! – O kim?

– O pannie „Jestem-lepsza-od-was-razem-wziętych”... Rozumiesz?

Nastąpiła dłuższa przerwa.

– Mameha! – wreszcie wykrzyknęła Korin. – O bogowie! Nie wierzę, nie poznaję! W jaki sposób wpadło w twoje ręce?

– Parę dni temu miałam próbę w teatrze Kaburenjo odpowiedziała Hatsumomo. – Zostawiłam coś w garderobie, więc wróciłam. Nagle usłyszałam jęki pod schodami. Pomyślałam: „Niemożliwe! Kto się tam zabawia?”. Zeszłam, zapaliłam światło i zgadnij, co zastałam? Nagą parę, leżącą na podłodze jak dwa worki ryżu.

– Nie oszukuj! Mamehę?

– Nie bądź głupia. Mameha jest zbyt cnotliwa na takie rzeczy. To była jej służąca z dozorcą teatru. Wiedziałam, że mnie będzie błagać o milczenie, więc kazałam jej przynieść kimono Mamehy. Rozplakała się, kiedy jej powiedziałam które.

– A to co? – zapytała Korin i wskazała na drugą, wciąż zawiniętą paczkę, leżącą na podeście.

– Też kimono. Na mój rozkaz dziewczyna je kupiła za własne pieniądze. Teraz należy do mnie.

– Za własne pieniądze? – zdziwiła się Korin. – Którą ze służących stać na kupno kimona?

– Nie pytałam, jak je naprawdę zdobyła. Nie chcę wiedzieć. Teraz Mały Głuptas schowa je w garderobie.

– Nie wolno mi tam wchodzić, Hatsumomo-san – odparłam bez wahania.

– Nie każ mi nic powtarzać, jeśli chcesz znaleźć siostrę. Mam wobec ciebie własne plany. Potem ci pozwolę na jedno pytanie. Przyrzekam, że odpowiem.

Nie wierzyłam jej ani trochę, lecz z drugiej strony wiedziałam, że i tak znajdzie sposób, by uprzykrzyć mi życie, więc uległam.

Hatsumomo rzuciła mi paczkę – owiniętą w papier i podprowadziła do magazynu. Otworzyła drzwi i z głośnym trzaskiem zapaliła światło. Ujrzałam półki pełne poduszek i kołder, kilka zamkniętych skrzyń i parę złożonych futonów. Hatsumomo złapała mnie za ramię i pokazała drabinę.

– Kimona są na górze – powiedziała.

Wspięłam się na piętro i odsunęłam drewniane drzwiczki: Tu już nie było półek jak na dole. Pod ścianami stały kryte czerwoną laką pudła, jedno na drugim, prawie do sufitu. Wąskie przejście wiodło od drzwi do okna, zasłoniętego tylko gazą, dla lepszej wentylacji. Żarówka była jedna, podobnie jak na parterze, za to świeciła dużo jaśniej. Wyraźnie rozpoznawałam czarne znaki wypisane na pudłach. Na jednym napis głosił: kata-komomro, czyli „drobny wzór, materiał luźno tkany”, na innym – kuromontsuki, awase, czyli „czarne kimono z herbami, na podszewce”. Prawdę mówiąc, nie umiałam przeczytać wszystkich ideogramów, ale w końcu, na samej górze, odnalazłam pudło z imieniem Hatsumomo. Nie bez trudu ściągnęłam je na dół. Uniosłam wieko, położyłam paczkę na innych kimonach i odstawiłam pudło na poprzednie miejsce. Z czystej ciekawości zajrzałam do paru innych. Wszystkie były pod wierzch wypełnione jedwabiem. Teraz już rozumiałam, dlaczego Babcia tak bardzo obawiała się pożaru. Jej zbiór kimon miał większą wartość niż obie wioski, Sensuru i Yoroido. Później się dowiedziałam, że najcenniejsze stroje przechowywano w całkiem innym miejscu. Przeznaczone były dla gejsz-praktykantek. Hatsumomo nie używała ich, zatem spoczywały w wynajętym sejfie oczekując, aż znów staną się potrzebne.

Zanim wróciłam, Hatsumomo przyniosła ze swojego pokoju tusz, kamień do rozcierania i pędzel do kaligrafii. Sądziłam, że chce coś napisać i wsunąć kartkę w fałdy „pożyczonego” kimona. Usiadła na podeście, zmoczyła kamień wodą z pompy i zeskrobała nieco tuszu. Gdy uznała, że ciecz jest już dostatecznie czarna i gęsta, zanurzyła w niej pędzel, a potem otarła go o ściankę kamienia – tak kunsztownie, że jak cofnęła ramię, ani kropla nie pocięła z włosia. Wcisnęła mi pędzel w dłoń i przytrzymała rękę nad kimonem.

– Poćwicz pisanie, Chiyo – powiedziała.

Kimono gejszy imieniem Mameha – które to imię słyszałam po raz pierwszy w życiu – było skończonym dziełem sztuki. Od dołu aż do pasa wiło się po nim pnące winorośli, wyszywane pękiem lakierowanych nici. Każdy pęd, chociaż sztuczny, wyglądał jak prawdziwy. Kusił, żeby wziąć go w rękę i lekko wyrwać z ziemi. Liście, przysuszone podmuchem jesieni, już z wolna nabierały żółtego koloru.

– Nie mogę, Hatsumomo-san! – krzyknęłam.

– Wstyd, moja mała – odezwała się druga gejsza. Lepiej nie drażnij Hatsumomo, bo stracisz szansę na znalezienie siostry.

– Cicho siedź, Korin. Chiyo wie, że musi spełnić moje polecenie. Dalej, Głuptasie. Pisz coś. Nieważne, co to będzie. Delikatnie dotknęłam pędzlem kimona. Korin z podniecenia zapiszczała tak głośno, że obudziła jedną ze starszych posługaczek. Dziewczyna wychynęła z korytarza, z owiniętą głową i w pogniecionej podomce. Hatsumomo tupnęła nogą i zachnęła się jak rozzłoszczona kotka. To wystarczyło, by dziewczyna na powrót zaszyła się pod kołdrę. Korin z kwaśną miną patrzyła na krzywe hieroglify, które wysmarowałam na zielonym jedwabiu. Hatsumomo zaczęła mnie pouczać, gdzie i co pisać. Nie było w tym żadnego sensu; tworzyła własną „artystyczną” wizję. Wreszcie zapakowała kimono, ciasno zawiązała sznurki i pociągnęła przyjaciółkę do wyjścia. Przy furtce zdjęły chodaki i włożyły lakierowane zori: Hatsumomo skinęła na mnie, żebym szła z nimi.

– Mama wpadnie w złość, jeśli wyjdę bez zezwolenia... – zaczęłam.

– Ja ci pozwalam – ucięła Hatsumomo. – Trzeba przecież oddać kimono, prawda? Nie pozwól mi czekać. Wsunęłam nogi w sandały i poszłyśmy alejką wzdłuż wąskiego potoku Shirakawa. W tamtych latach wszystkie ulice Gion były brukowane pięknym kamieniem. Szłyśmy w księżycowym blasku może ze dwie przecznice, wśród szlochających wiśni, zgiętych nad czarną wodą. Na koniec dotarłyśmy do

drewnianego mostka, wiodącego do nieznannej mi części Kioto. Szare bulwary nad strumieniem porastała gruba warstwa mchu. Po drugiej stronie tylne ściany licznych okiia i herbaciarni tworzyły coś na kształt wysokiego płotu. Przez żaluzje z trzciny prześwitywały wąskie smugi żółtego światła, co mi przywodziło na myśl drobno siekaną, marynowaną rzodkiew. Zewsząd rozbrzmiewał śmiech gości. W pobliskiej herbaciarni było najweselej, gdyż dobiegał stamtąd najgłośniejszy hałas. Nagle zgiełk umilkł i słychać było tylko odległe dźwięki shamisenu. Wtedy zrozumiałam wreszcie, że dla niektórych ludzi Gion rzeczywiście było radosnym miejscem. Nawet bezwiednie pomyślałam, że gdzieś tam spotkam Satsu, chociaż Awajiumi z urzędu rejestrowego twierdził, że nikt taki nie mieszka w naszej okolicy.

Hatsumomo i Korin zatrzymały się przed jakimiś drzwiami.

– Zanieś kimono na górę i oddaj służącej – pouczyła mnie Hatsumomo. – Oddaj każdemu, kto otworzy, nawet gdy to będzie panna Doskonała we własnej osobie. I nic nie mów. Będziemy cię obserwować z dołu.

Wetknęła mi paczkę w rękę, a Korin otworzyła drzwi. Mocno wypastowane, drewniane schody wiodły gdzieś w mrok, w górę. Dygotałam ze strachu. Doszłam mniej więcej do połowy drogi i stanęłam. Od razu usłyszałam donośny szept Korin:

– Rusz się, mała! Nikt cię nie zje, chyba że wrócisz tu z kimonem! Wtedy oberwiesz od nas, prawda, Hatsumomo-san?

Zapytana westchnęła ciężko, ale nie odezwała się ani słowem. Korin wbijała wzrok w ciemność, próbując mnie zobaczyć. Sięgająca zaledwie jej ramienia Hatsumomo z pozorną obojętnością ogryzała paznokieć. Prezentowała się tak pięknie, że mimo przerażenia nie umiałam od niej oderwać oczu. Choć okrutna jak pająk, w najbardziej prozaicznych czynnościach wyglądała lepiej niż niejedna gejsza wystrojona do fotografii. Korin, dla kontrastu, przypominała kamień przy klejnocie. Wydawała się nieporadna w ciężko upiętych włosach i niewygodnym kimonie. Hatsumomo nosiła stroje równie lekko jak własną skórę.

Przyklękłam w ciemności na szczycie schodów. – Przepraszam, jest tam ktoś? – zawołałam. Czekałam, lecz nikt się nie odezwał.

– Głośniej – szepnęła Korin. – Nie spodziewają się gości.

– Przepraszam... – powtórzyłam głośniej.

– Chwileczkę – usłyszałam stłumiony głos, a potem drzwi się otworzyły. Zobaczyłam dziewczynę, nie starszą od Satsu, chudą i nerwową jak pisklę. Podalam

jej zawinięte w papier kimono. Z błyskiem zaskoczenia w oczach niemal wydarła mi je z ręki.

– Kto przyszedł, Asami-san? – spytał ktoś z głębi domu. Zobaczyłam lampę na wysokim stojaku, ustawioną tuż obok materaca. Poślanie było na pewno przygotowane dla Mamehy. Wyłącznie dla niej, ze względu na śnieżnobiałe prześcieradła, jedwabną kołdrę i „wysoką poduszkę”, takamakura – taką samą jak używana przez Hatsumomo. W rzeczywistości to nie była poduszka, tylko drewniany klocek, z zagłębieniem, na którym 'opierano szyję. Tylko w ten sposób gejsze mogły sypiać, nie niszcząc kunsztownej fryzury.

Dziewczyna nie odpowiedziała, lecz po cichu odwinęła kimono i uniosła je nieco do światła, by lepiej widzieć. Gdy zobaczyła plamy z tuszu, jęknęła i pięścią zakryła usta. Łzy strugą pociekły jej po policzkach.

– Asami-san! – rozległo się znowu. – Kto przyszedł? – Nie... nikt, pani! – zawołała służąca.

Żal mi jej było. Prędko otarła oczy rękawem. Zanim zdążyła zamknąć drzwi, przez chwilę widziałam jej panią. Od razu zrozumiałam, czemu Hatsumomo przezywała Mamehę „panną Doskonałą”. Gejsza, nawet bez makijażu, wyglądała jak lalka, o idealnie owalnej twarzy i skórze gładkiej i delikatnej niczym porcelana. Podeszła do progu, by wyjrzeć na korytarz, lecz dziewczyna trzasnęła drzwiami i nic więcej nie zobaczyłam.

Następnego dnia, po powrocie ze szkoły do okiia, zastałam małe zgromadzenie. Babcia, Mama i Ciocia siedziały razem w salonie. Na pewno rozmawiały o zniszczonym kimonie. Po jakimś czasie zajrzała do nich służąca z wiadomością, że przyszła Hatsumomo. Mama zaraz opuściła pokój i zatrzymała gejszę na schodach.

– Dziś rano odwiedziły nas Mameha z pokojówką oznajmiła.

– Och, Mamo... Aż za dobrze wiem, co chcesz powiedzieć. Tak mi wstyd z powodu tamtego kimona... Nie zdążyłam powstrzymać Chiyo! Pewnie myślała, że to moje. Od początku mi dokuczała... I pomyśleć, że przez nienawiść zniszczyła takie dzieło sztuki!

W tej samej chwili przykuśtykała Ciocia. – Matte mashita! – krzyknęła.

Dokładnie słyszałam jej słowa, lecz nie widziałam związku z sytuacją. W dosłownym przekładzie to znaczy „czekałam na ciebie”. Jak się po czasie okazało, wybór był nader trafny, gdyż w ten sposób widzowie witają słynnych aktorów podczas przedstawień kabuki.

– Ciociu, naprawdę myślisz, że mam z tym coś wspólnego? – spytała Hatsumomo. – Że wymazałabym kimono tuszem?

– Wszyscy wiedzą, że nie cierpisz Mamehy – odparła Ciocia. – Złość cię zżera, gdy widzisz, że komuś powiodło się w życiu.

– Zatem ty zasługujesz na mój szacunek, bo przegrałaś, prawda?

– Dosyć – ucięła Mama. – Posłuchaj, Hatsumomo.

Żadna z nas nie jest na tyle głupia, żeby uwierzyć w twoją historyjkę. Nie będę tolerować takiego zachowania, nawet u ciebie. Szanuję Mamehę i nie chcę więcej słyszeć o podobnych wybrykach. A za kimono musi ktoś zapłacić. Nie wiem, co się naprawdę stało ubiegłej nocy, lecz wiem, kto trzymał pędzel. Służąca widziała Chiyo, więc Chiyo zapłaci.

Włożyła fajkę w usta.

Po chwili dołączyła do nas Babcia i kazała przynieść bambusową pałkę.

– Chiyo i tak ma wystarczająco wiele długów – powiedziała Ciocia. – Nie rozumiem, dlaczego ma jeszcze płacić za Hatsumomo.

– Wystarczy gadania – wychrypiała Babcia. – Dziewka dostanie w skórę, zapłaci za kimono i kwita. Gdzie ten bambus?

– Sama wymierzę jej karę – oświadczyła Ciocia. – Ciebie, Babciu, znowu rozbolą stawy. Chodź, Chiyo.

Wzięła z rąk służącej długi kawałek bambusa i wyprowadziła mnie na podwórko. Z wściekłości rozdymała nozdrza i wybałuszała oczy. Od początku pobytu w okiya starałam się nie zasłużyć na lanie. Ogarnęła mnie fala gorąca; ledwo widziałam kamienną ścieżkę. Ciocia jednak, zamiast mnie uderzyć, oparła pałkę o ścianę szopy i zapytała cicho:

– Co naprawdę zrobiłaś, Hatsumomo? Uwzięła się, by cię zniszczyć. Musi być jakiś powód. Powiedz.

– Przysięgam, Ciociu, że od początku była dla mnie taka. Nie mam pojęcia, czym jej zawiniłam.

– Babcia uważa ją za głupią, lecz nie ma racji. Jak się uprze, na pewno przegrasz. Lepiej przestań ją drażnić.

– Nie zrobiłam nic złego, Ciociu. Przysięgam.

– Nie wolno ci jej wierzyć, nawet jak będzie miła. Wpędziła cię w takie długi, że pewno się nie wypłacisz.

– Nie rozumiem... w długi?

– Sztuczka z kimonem będzie cię kosztowała drożej, niż sobie wyobrażasz. To ten twój dług.

– Ale... jak go spłace?

– Gdy zaczniesz pracować jako gejsza, stopniowo zwrócisz do okiya każdą zaciągniętą sumę. Opłaty za posiłki, lekcje, za lekarza, jeżeli będziesz chora... Za wszystko. Jak myślisz, czemu Mama wciąż wysiaduje w pokoju nad księgami? Zanotowała nawet cenę zapłaconą za ciebie.

W ciągu kilku miesięcy spędzonych w Gion zdążyłam już zrozumieć, że ktoś nieźle zarobił na naszym wyjeździe z Yoroido. Pamiętałam rozmowę ojca z panem Tanaką oraz uwagi pani Wierćki, że jesteśmy „przydatne”. Zastanawiałam się ze zgrozą, ile wziął za nas pan Tanaka, nie przypuszczałam jednak, że dług spadnie na mnie.

– Nie zapłacisz, jeśli przez długi czas nie będziesz znaną gejszą – ciągnęła Ciocia. – Nie osiągniesz zupełnie nic, jak pójdiesz w moje ślady. Chcesz mieć taką przyszłość?

W tym momencie w ogóle nie myślałam o przyszłości. – W Gion znajdziesz tuzin sposobów, żeby zmarnować życie. Spróbuj chociażby uciec. Mama od razu uzna, że marna z ciebie inwestycja. Nie wyłoży nawet najmniejszej sumy na kogoś, kto w każdej chwili może po prostu zniknąć. To oznaczałoby koniec lekcji, a nie zostaniesz gejszą bez stosownego wykształcenia. Jak zadrzesz z nauczycielkami, nie otrzymasz właściwej pomocy. Możesz też, tak jak ja, wyrosnąć na brzydulę. Wierz mi, jako dziecko byłam znacznie ładniejsza. I co z tego? Babcia wykupiła mnie od rodziców, a potem tego żałowała. Raz mnie tak mocno stłukła, że złamała mi biodro. Tak się zakończyła moja kariera gejszy i dlatego wolę zbić cię sama. Lepiej, żebyś nie wpadła w ręce Babci.

Ciocia podprowadziła mnie do podestu i kazała położyć się na brzuchu. Przestałam się przejmować, że dostanę lanie – i tak nic nie mogło pogorszyć sytuacji.

Wylałam głośno za każdym razem, gdy bambus walił w moje ciało. Przed oczami wciąż miałam uśmiechniętą twarz Hatsumomo. Wreszcie Ciocia skończyła i zostawiła mnie zapłakaną na podeście. Deski zadrżały lekko; ktoś nadchodził. Usiadłam i przed sobą zobaczyłam gejszę.

– Mogłabyś zejść mi z drogi, Chiyo? – spytała Hatsumomo.

– Przyrzekałaś, pani, że powiesz, gdzie znajdę siostrę odparłam.

– Prawda! – zawołała i przykucnęła, tak że jej twarz znalazła się tuż przy mojej. Spodziewałam się odpowiedzi, że za mało zrobiłam i że ma dla mnie parę dodatkowych zadań. Ale nie.

– Odnajdziesz ją w jorou-ya o nazwie Tatsuyo – szepnęła. – W dzielnicy Miyagawa, na południe od Gion.

Po tych słowach lekko trąciła mnie stopą. Usunęłam się na bok.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nigdy przedtem nie słyszałam słowa jorou-ya, więc następnego dnia przydybałam Ciocię pochyloną nad stojący na podłodze koszykiem z przyborami do szycia. I tak zawsze jej pomagałam w zwijaniu nici.

– Ciociu, co jest jorou-ya?

Nie odpowiedziała, zajęta kłębkami wełny.

– Ciociu? – spróbowałam ponownie.

– Tam skończy Hatsumomo, jak dostanie, na co zasłużyła.

I na tym się urwało, gdyż najwyraźniej nie miała chęci na dalszą rozmowę.

W dalszym ciągu nie znałam odpowiedzi, ale nabrałam przekonania, że Satsu cierpi jeszcze gorzej ode mnie. Zaczęłam więc rozmyślać, jak tu przy okazji przekraść się do miejsca zwanego Tatsuyo. Niestety w ramach kary za zniszczenie kimona Mamehy przez pięćdziesiąt dni nie mogłam opuszczać oki-ya. Koniec z zakupami w mieście; wychodziłam tylko do szkoły, i to też zawsze w towarzystwie Dyni. Rzecz jasna, nikt nie zamykał furtyki – wiedziałam jednak; że lepiej nie próbować ucieczki. Po pierwsze, nie znałam drogi do Tatsuyo, po drugie, zaraz po moim zniknięciu ktoś taki jak pan Bekku zacząłby poszukiwania. Parę miesięcy temu uciekła służąca sąsiadów. Znalaziono ją już następnego ranka. Dostała takie cięgi, że całymi dniami zanosila się płaczem. Aż zatykałam uszy, żeby jej nie słyszeć.

Nie pozostawało mi nic innego, jak cierpliwie czekać końca pięćdziesięciodniowej kary. W tym czasie robiłam wszystko, by komu trzeba odplacić za doznane krzywdy. Na Hatsumomo znalazłam prosty sposób. Przy sprzątaniu podwórka zbierałam kupy po gołębiach i dodawałam je do mazidla. Jak wspominałam przedtem, krem robiono ze słowiczych odchodów, więc mój zabieg nikomu nie zaszkodził, a mnie sprawiał niemalą satysfakcję. Koszulę nocną Babci natarłam wewnątrz szmatą z kibla; potem patrzyłam z rozbawieniem, jak stara jędza podejrzliwie pociąga nosem. Koszuli jednak nie zdjęła. Szybko też wyszło na jaw, że kucharka, choć nieproszona, przyłączyła się do kary i obciąła mi dwutygodniową porcję suszonej ryby. Początkowo nie wiedziałam, jak się na niej zemścić, aż któregoś dnia odkryłam, że strasznie nienawidzi myszy. Ganiała je po korytarzu z tłuczkiem w ręku. Od tamtej pory

starannie wymiatałam mysie bobki spod filarów i rozrzucalam je po trochu w kątach kuchni. A gdy później pałeczką wywierciłam dziurę w worku z ryżem, kucharka wszystko wyciągnęła z szafek, szukając natrętnych gryzoni.

Pewnej nocy, kiedy jak zwykle czekałam na powrót Hatsumomo, zadzwonił telefon. Po chwili Yoko popędziła na górę. Wróciła z shamisenem zapakowanym w pudło kryte laką.

– Zanieś to natychmiast do herbaciarni Mizuki – powiedziała. – Hatsumomo przegrała zakład i musi coś zaśpiewać. Nie wiem, co ją napadło, ale uparła się, że nie skorzysta z ich instrumentu. Pewnie ma tremę, bo od lat nie dotykała shamisenu.

Yoko zupełnie nie wiedziała, że mam zakaz wychodzenia z okiia. Nic dziwnego, gdyż rzadko opuszczała służbówkę – w obawie, że przegapi jakiś ważny telefon – i nie uczestniczyła w życiu naszej „rodziny”. Z pudłem w dłoni czekałam, aż skończy się ubierać. Na noc wracała do siebie. Wyjaśniła mi, jak znaleźć herbaciarnię Mizuki. Szybko wzięłam sandały, gdyż wciąż się bałam, że ktoś mnie zatrzyma. Poza mną wszyscy spali – służące, Dynia i trzy szefowe – a Yoko zamierzała wyjść za kilka minut. Nagle zyskałam szansę znalezienia siostry.

W dali rozległ się pomruk grzmotu, powietrze pachniało deszczem. Biegłam przez ulice, mijając grupy ludzi. Nie, którzy z nich spoglądali na mnie podejrzliwym wzrokiem. W tamtych latach w Gion byli zawodowi „tragarze shamisenów”. Na ogół starsi – na pewno nie dzieci. Podejrzewam, że część przechodniów brała mnie za złodziejkę.

Zanim dobiegłam do Mizuki, rozpadało się na całego. Mimo to zabrakło mi odwagi, by postawić choć stopę w eleganckiej sieni. Za krótką zasłoną wiszącą w wejściu widać było pomarańczowe ściany i ciemną boazerię. Ścieżka z płaskich kamieni wiodła pod olbrzymi wazon, w którym ustawiono pęk gałęzi klonu, przebogaty w rude jesienne liście. Po jakimś czasie zebrałam wszystkie siły i przepchnęłam się przez zasłonę. Zobaczyłam przestronny hol, z posadzką z polerowanego granitu. Z osłupieniem stwierdziłam, że wśród tych wspaniałości jeszcze nie dotarłam do głównego wejścia! Kręciło mi się w głowie od nadmiaru wrażeń, choć nie wiedziałam wówczas, że trafiłam do jednej z najlepszych herbaciarni w Japonii. A w herbaciarni – wbrew nazwie nie pija się herbaty. Tam gejsze zabawiają mężczyzn.

Zaledwie postąpiłam parę kroków, ktoś odsunął drzwi i w progu ukłękła młoda dziewczyna. Prawdopodobnie usłyszała stukot moich drewnianych sandałów na kamiennej ścieżce. Ubrana była w piękne granatowe kimono, ozdobione prostym szarym ścięciem. Rok temu uznałabym ją za młodą damę w tak szykownym miejscu, ale teraz, po miesiącach spędzonych w Gion, rozpoznałam bez trudu, że jej strój, choć piękniejszy niż cokolwiek w Yoroido, był zbyt prosty na gejszę lub starszą praktykantkę. Poza tym nie miała odpowiedniej fryzury. Z drugiej strony, i tak wyglądała lepiej ode mnie.

– Idź od tyłu – powiedziała z wyraźną pogardą.

– Hatsumomo prosiła...

– Idź od tyłu – powtórzyła głośniej i zamknęła drzwi; nie czekając na odpowiedź.

Deszcz lał jak z cebra, więc pędem obiegłam dom i wpadłam w wąską uliczkę. Drzwi od zaplecza rozwarły się natychmiast i zobaczyłam tę samą dziewczęcą postać. Bez słowa odebrała mi pudło z shamisenem.

– Panienko... – zaczęłam. – Mogę spytać?... Możesz mi powiedzieć, jak trafić do Miyagawy?

– A po co ci to?

– Mam stamtąd coś odebrać.

Obrzuciła mnie przeciągłym spojrzeniem, ale wyjaśniła, że należy iść prosto wzdłuż strumienia, aż do teatru Minamiza, a tam już, po drugiej stronie, będzie Miyagawa.

Postanowiłam zaczekać pod okapem, aż przestanie padać. Rozejrzałam się i stwierdziłam, że przez szparę w płocie widać całe skrzydło budynku. Przysunęłam się bliżej desek. Po drugiej stronie wspaniałego ogrodu było duże oszklone okno. W herbaciarni, w pokoju wyłożonym tatami, w świetle pomarańczowej lampy zebrała się grupa mężczyzn. Siedzieli za stołem zastawionym czarkami sake i szklankami piwa. Była tam także Hatsumomo. Starzec z mętnym spojrzeniem opowiadał jej jakąś dykteryjkę. Hatsumomo udawała rozbawienie, chociaż wyraźnie interesowała się czymś innym. Patrzyła na drugą gejszę, siedzącą tyłem do mnie. Nagle przypomniało mi się, jak z córeczką pana Tanaki, Kuniko, zaglądałyśmy po kryjomu do innej herbaciarni. Poczulałam ten sam ciężar, co kiedyś na cmentarzu, przed grobami pierwszej ojcowej rodziny. Ziemia ciągnęła mnie do siebie. Ogarnęły mnie czarne

myśli, tak uparte, że nie dawały się odpędzić, choć walczyłam z nimi jak z porywami wiatru. Dałam krok w tył, usiadłam na kamiennym schodku, oparłam się o drzwi i wybuchnęłam płaczem. Wciąż przed oczami stał mi pan Tanaka. Zabrał mnie od matki, ojca, zaprzedał w niewolę, siostrze zgotował jeszcze gorszą mękę... Dawniej wydawał mi się zbawcą. Taki uprzejmy, światowiec... Och, jaka byłam głupia! Nigdy nie wrócę do Yoroido. A jeśli wrócę, to tylko po to, żeby zwymyślać pana Tanakę.

W końcu wstałam i otarłam oczy rękawem mokrej koszuli. Deszcz przeszedł w drobny kapuśniaczek. Chodnik połyskiwał złotem w świetle ulicznych latarni. Przemierzyłam dzielnicę Tominaga i doszłam do teatru Minamiza, tego z ogromnym dachem. W dzień przyjazdu do Kioto wydał mi się pałacem. Dziewczyna z Mizuki kazała mi iść wzdłuż rzeki, lecz ulica kończyła się przy teatrze. Mimo wszystko powędrowałam dalej. Chwilę później znalazłam się w ciemnej bezludnej okolicy. Nie wiedziałam wówczas, że ta część miasta opustoszała w czasie Wielkiego Kryzysu. W innych latach tętniła życiem jak Gion; mnie się wydawała smutna od zawsze. Drewniane fasady budynków wyglądały tak jak w innych dzielnicach, ale nie było drzew ani pięknego potoku Shirakawa, ani zdobionych furtek. Jedyne światło padałci z szeroko otwartych drzwi. W domach siedziały jakieś stara baby, a na ulicach stały smętne gejsze-nie gejsze. Były w kimonach i z błyskotkami we włosach, ale obi wiązały z przodu, nie na plecach. Nikt mi wcześniej nie mówił, że to znak prostytutek. Skąd miałam wiedzieć? Kobieta, która ciągle się rozbiera, nie ma czasu na robienie kunsztownego wężła.

Z pomocą jednej z nich odnalazłam Tatsuyo. Dom stał w ślepych zaułku, w otoczeniu trzech innych. Każdy miał nazwę wypisaną na szyldzie. Nie potrafię opisać, co czułam; gdy przeczytałam „Tatsuyo”. Świerzbilo mnie całe ciało, jakbym za chwilę miała eksplodować. W drzwiach jak zwykle tkwiła koślawa starucha, pochłonięta rozmową z nieco młodszą babą, też siedzącą na stołku po drugiej stronie drogi. Nosila zori, szarą rozchełstaną bluzę i opierała się o framugę. Zori były uplecione z trawy, jak u rybaczek z Yoroido, i ani trochę nie wyglądały na lakierowane cacka, które wkładała Hatsumomo. Starucha siedziała boso, bez jedwabście gładkich tabi, i w dodatku tak wyciągała nogi, jakby chciała się wszystkim pochwalić nie obciętymi paznokciami.

– Jeszcze ze trzy tygodnie i nie wracam – mówiła. Szefowa myśli inaczej, a ja i tak nie wrócę. Synowa się mną zajmie. Niezbyt mądra, ale robotna. Poznałaś ją?

– Jeśli nawet poznałam, to nie pamiętam – odpowiedziała młodsza. – Jakieś dziecko chce coś od ciebie. Widzisz je?

Starucha dopiero teraz popatrzyła w moim kierunku. Skinęła głową na znak, że mnie słucha.

– Przepraszam panią... – odezwałam się cicho. – Czy macie tu dziewczynę imieniem Satsu?

– Nie ma żadnej Satsu – burknęła.

Zrozpaczona nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Starucha już przestała spoglądać na mnie; jej uwagę przyciągnął nadchodzący człowiek. Zerwała się z miejsca, gdy ją mijał w progu, dłonie oparła na kolanach i kilkakrotnie złożyła głęboki ukłon.

– Witam! Witam! – powtarzała w kółko.

Jak zniknął w głębi domu, ponownie opadła na stołek i wyciągnęła nogi przed siebie.

– Jeszcze tu jesteś? – spytała. – Już mówiłam, że nie znam żadnej Satsu.

– Znasz – wtrąciła młodsza. – Nosiła je wasza Yukiyo. Pamiętam.

– Być może – zagderała starucha – ale ja tam nic nie wiem. Nie chce mi się za darmo wpychać w jakieś kłopoty. Początkowo nie zrozumiałam, o co jej chodzi, lecz młodsza zaraz mruknęła, że wyglądam na taką, co nie ma nawet sena. I miała rację. Sen – czyli jedna setna jena – wciąż pozostawał w powszechnym obiegu, choć jeden nie starczał nawet na to, by kupić pusty kubek u handlarza wodą. Nie miałam pieniędzy w ręku od dnia przyjazdu do Kioto. Robiąc zakupy, prosiłam, by należność zapisać na rachunek Nitta okiyo.

– Satsu pani zapłaci – powiedziałam.

– Dlaczego miałyby płacić za rozmowę z tobą?

– Jestem jej młodszą siostrą.

Machnęła ręką, bym podeszła bliżej. Wzięła mnie za ramiona i obróciła.

– Popatrz na nią – zawołała do młodszej. – Podobna do Yukiyo? Gdyby nasza Yukiyo choć trochę była tak ładna, mielibyśmy tutaj ruch jak w prawdziwym ulu!

Wypchnęła mnie z powrotem na ulicę.

Przyznaję, że się bałam. Ale jeszcze bardziej chciałam zobaczyć Satsu. Zabrnęłam już tak daleko... Nie mogłam przecież odejść tylko dlatego, że stara mi nie wierzyła. Skłoniłam się jej grzecznie i powiedziałam:

– Bardzo przepraszam, że wyglądam na kłamczuchę, pani, lecz mówię prawdę. Yukiyo to moja siostra. Jak się dowie, że przyszła Chiyo, bez wątpienia zapłaci pani odpowiednią sumę.

Chyba postąpiłam właściwie, gdyż starucha z ukosa popatrzyła na młodszą.

– Idź za mnie. Nie masz nic. do roboty. Poza tym kark mnie boli. Posiedzę tutaj i przypilnuję tej dziewczyny. , Tamta wstała, przeczłapała przez ulicę i weszła do Tatsuyo. Słyszałam, jak mozolnie wspina się po schodach. Po jakimś czasie zeszła na dół.

– Yukiyo ma klienta – oznajmiła. – Jak będzie wolna; ktoś ją zawiadomi.

Stara kazała mi kucnąć z dala od drzwi, w cieniu, żeby; mnie nikt nie widział. Nie wiem, ile czekałam. Bałam się, że lada chwila ktoś odkryje moją nieobecność w okiyo. Miałam; pretekst do wyjścia, ale to mnie nie ratowało przed gniewem Mamy, zwłaszcza że i tak za długo przebywałam w mieście. Wreszcie z Tatsuyo wyszedł jakiś człowiek. Dłubał w zębach wykałaczką. Starucha wstała i wylewnie dziękowała mu za;` wizytę. Potem usłyszałam najśłodszy dźwięk od chwili przyjazdu do Kioto:

– Pani mnie wołała?

Był to głos Satsu.

Zerwałam się na równe nogi i podbiegłam do drzwi. Satsu była bardzo blada, niemal szara, a może tak mi się zdawało; gdyż nosiła jaskrawe, żółto-czerwone kimono. Usta miała karminowe, zupełnie jak Mama, a obi wiązała z przodu, jak dziewczyny spotkane przeze mnie wcześniej. Na jej widok odczułam takie podniecenie i ulgę, że z trudem się powstrzymałam, by nie paść jej w ramiona. Wydała zdławiony okrzyk i zakryła usta.

– Szefowa się na mnie pogniewa – zrzędziła stara.

– Zaraz wrócę – zapewniła ją Satsu.

Na chwilę zniknęła w Tatsuyo, potem wróciła i wcisnęła w garść baby kilka monet. Stara kazała nam iść do pustego pokoju na parterze.

– Jak zacznę kasłać, to znaczy, że szefowa wraca dodała na pożegnanie. – Śpieszcie się.

Podreptałam za Satsu w półmrok korytarza. Światła były bardziej brązowe niż żółte, a w powietrzu śmierdziała woń potu. Za schodami zobaczyłam mocno wypaczoną futrynę. Satsu wpuściła mnie do pokoju i z niemałym trudem zasunęła drzwi. Znalazłyśmy się w małym pomieszczeniu z jednym oknem przesłoniętym papierową szybą. W ciemności ledwie widziałam postać Satsu; nie rozpoznawałam jej rysów.

– Och, Chiyo... – wyszeptała i uniosła rękę, jakby chciała się podrapać po twarzy. Dopiero po chwili zrozumiałam, że płacze. Sama też dłużej nie umiałam zapanować nad szlochem.

– Wybacz, Satsu! – jęknęłam. – To wszystko moja wina.

Niezgrabnym ruchem rzuciła mi się w objęcia. Zauważyłam, że wychudła. Gładziła mnie po włosach zupełnie tak samo jak matka. To sprawiło, że jeszcze mocniej zaniosłam się płaczem.

– Cicho, Chiyo-chan – szepnęła. Stała tak blisko, że poczułam na twarzy jej nieświeży oddech. – Szefowa da mi w skórę, jeśli odkryje, że tu jesteś. Dlaczego nie przyszedłaś wcześniej?

– Wybacz, Satsu! Nie wiedziałam, że przyszedłaś do oki...

– Całe miesiące temu.

– Ta, z którą rozmawiałaś, to prawdziwa jędza. Nie chciała mi przekazać twojej wiadomości.

– Muszę uciekać, Chiyo. Nie wytrzymam tu dłużej.

– Idę z tobą!

– Pod matami na górze schowałam rozkład jazdy. Trochę kradnę przy każdej sposobności. Mam już dość, by opłacić panią Kishino. Biją ją, kiedy któraś z dziewczyn ucieka. Nie puści mnie, jeśli jej nie zapłacę.

– Pani Kishino... Kto to?

– Stara dama przy drzwiach. Wkrótce odchodzi i zupełnie nie wiem, kto trafi na jej miejsce. Nie mogę czekać! Tu jest naprawdę strasznie. Unikaj takich domów, Chiyo. Idź już. Zaraz wróci szefowa.

– Poczekaj. Kiedy uciekamy?

– Siadaj w kącie i ani słowa. Muszę zajrzeć na górę. Zrobiłam, jak kazała. Po chwili usłyszałam, że starucha przed głównymi drzwiami wita jakiegoś gościa. Ciężkie

kroki zatupały po schodach. Potem ktoś zbiegł szybko, skrzypnęły otwierane drzwi. Przeraziłam się nie na żarty, ale to była tylko błada jak ściana Satsu.

– We wtorek. Uciekniemy za pięć dni od dzisiaj, we wtorek w nocy. Wracam na górę, Chiyo. Mam klienta.

– Zaraz, Satsu... Gdzie się spotkamy? O której?

– Nie wiem... O pierwszej w nocy. Ale gdzie?

Zaproponowałam jej, że w pobliżu teatru Minamiza:

Odpowiedziała, że tam za dużo ludzi. Wreszcie zgodziła się poczekać na bulwarze, po drugiej stronie rzeki.

– Muszę iść – powtórzyła.

– Ale, Satsu... Co będzie, jeśli nie zdołam uciec? Albo jeśli się nie spotkamy?

– Po prostu bądź tam, Chiyo. Mam tylko jedną szansę. Nie będę czekać dłużej. Teraz zmykaj, zanim wróci szefowa. Stracę jedyną możliwość, jeżeli cię tu złapie.

Chciałam powiedzieć jej jeszcze mnóstwo rzeczy, ale wypchnęła mnie na korytarz. Nawet nie poczekałam, aż zniknęła na szczycie schodów, gdyż stara baba złapała mnie za rękę i bez jednego słowa wyrzuciła na ciemną ulicę.

Biegłam przez całą powrotną drogę z Miyagawy. Z ulgą stwierdziłam, że w okiia panuje spokój. Wśliznęłam się do środka i w przyćmionym świetle zajęłam zwykle miejsce na korytarzu. Rękawem wytarłam pot z karku i czoła. Pewna, że już szczęśliwie po wszystkim, starałam się uspokoić oddech. Nagle spostrzegłam, że drzwi służbówki są otwarte na szerokość dłoni, i zamarłam ze zgrozy. Nikt nie zostawiał ich w ten sposób. Były starannie zamykane, z wyjątkiem najgorętszych dni. Teraz słyszałam stamtąd podejrzany szelest. Może szczury? Łudziłam się nadzieją, że tak jest naprawdę. A jeśli nie szczury, to... Hatsumomo ze swoim chłopakiem. Od razu pożałowałam wycieczki do Miyagawy. Na chwilę zamknęłam oczy i zacisnęłam pięści, jak gdybym samą myślą chciała zmusić czas, żeby popłynął do tyłu. Potem wstałam i po cichu ruszyłam w kierunku służbówki. Ze zdenerwowania kręciło mi się w głowie, a przelyk miałam tak suchy jak pylista ścieżka. Przykucnęłam przy drzwiach i zerknęłam przez szparę. Niewiele zobaczyłam. Ze względu na deszczową porę Yoko wcześniej niż zwykle rozpałała i wkopany w podłogę piecyk. Teraz pozostały tam tylko 98 rozżarzone węgle. W ich słabej poświacie ruszało się coś bladego. Przekonana, że

to jednak szczur, ledwie zdołałam powstrzymać się od krzyku. Stworzenie kręciło łbem, jakby jadło. Nawet słyszałam stłumione mlaskanie. Siedziało na czymś, czego nie mogłam rozpoznać, a nieco bliżej majaczyły dwa ciemne kształty, wyglądające z grubsza jak zrolowane bele materiału. Zwierzak wygryzał się w nie coraz głębiej, pewnie szukając resztek pożywienia, zostawionych przez Yoko. Już chciałam zamknąć drzwi, żeby nie skoczył na mnie, kiedy rozległ się cichy jęk i nagle, na wprost siebie dostrzegłam twarz Hatsumomo. Odskoczyłam od progu. To jej nogi wzięłam za zwinięty materiał, a szczur okazał się bladą dłonią kucharza, wystającą z rękawa.

– Co to? – spytał chłopak. – Ktoś nas widział?

– Nie – szepnęła Hatsumomo.

– Ktoś jest na korytarzu.

– Nikogo nie ma – odpowiedziała. – Wydawało mi się.

Ani przez chwilę nie wątpiłam, że musiała mnie widzieć, ale z nieznanym mi powodów nie chciała o tym mówić chłopakowi. Pędem wróciłam na swe stałe miejsce, roztrzęsiona, jak po zderzeniu z wózkiem. Przez pewien czas słyszałam jęki i szmery dobiegające ze służbówki, potem wszystko ucichło. Kochankowie powoli wyszli na korytarz i chłopak popatrzył prosto na mnie.

– Nie było jej, kiedy tu wchodziłem – powiedział.

– Nie zwracaj na nią najmniejszej uwagi. Jest niegrzeczna. Wyszła, choć to zakazane. Zostanie ukarana.

– Podglądała nas. Po co kłamałaś?

– Jesteś dzisiaj nie w humorze, Koichi-san... – zagruchała gejsza.

– Nie zaskoczył cię jej widok. Wiedziałaś, że tu siedzi. Chłopak bez słowa przemierzył korytarz, łypnął na mnie złym okiem i poszedł do wyjścia. Czerwona jak burak, patrzyłam w podłogę. Hatsumomo pogoniła za nim, żeby mu pomóc przy wkładaniu butów.

– Uspokój się, Koichi-san... – błagała cichym, niemal płaczącym głosem. Nigdy dotąd nie widziałam u niej takiego zachowania. – Co cię dzisiaj napadło? Przyjdź jutro...

– Nie przyjdę.

– Nie chcę czekać. Będę, gdziekolwiek każesz. Nawie na dnie rzeki.

– Nic z tego. Żona mnie podejrzewa. Mogłaby t wyśledzić.

– Więc przyjdź tutaj. Mamy oddzielny pokój...

– I szpiegów na podorędziu. Puść mnie, Hatsumomo! Chcę już wrócić do domu.

– Nie gniewaj się, Koichi-san. Nie zostawiaj mnie w ten sposób. Powiedz, że jeszcze wrócisz, niekoniecznie jutro.

– Pewnego dnia nie wrócę – odparł. – Uprzedzałem cię o tym.

Usłyszałam stuk zamykanych drzwi. Hatsumomo stanę w korytarzu i przez pewien czas pustym wzrokiem wpatrywała się w przestrzeń. Wreszcie odwróciła się do mnie i otarła łzy z oczu.

– No i co, mała Chiyo? – spytała. – Pobiegåł do brzydkiej siostry?

– Hatsumomo-san, proszę... – jęknęłam.

– A po powrocie zaczęłaś mnie podglądać! – krzyknęła Hatsumomo tak głośnie, że obudziła starszą służącą, która oparła się na łokciu i popatrzyła w naszą stronę.

– Idź spać, stara małpo! – warknęła gejsza.

Służąca pokręciła głową i położyła się z powrotem.

– Zrobię wszystko, co każeś, Hatsumomo-san – szepnęłam. – Tylko nie mów Mamie.

– Pewnie, że zrobisz! To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Po uszy tkwisz w kłopotach.

– Musiałam przynieść ci shamisen.

– Ponad godzinę temu! Potem na pewno poszłaś na spotkanie z siostrą. Planujecie wspólną ucieczkę. Myślisz może, że jestem głupia? A po powrocie postanowiłaś mnie szpiegować!

– Wybacz... – prosiłam. – Nie wiedziałam, że tam jesteście! Myślałam, że to...

Chciałam powiedzieć „szczury”, ale bałam się, że tylko gorzej ją rozłoszczę.

Popatrzyła na mnie, a potem poszła na górę, do pokoju. Wróciła, trzymając coś w zaciśniętej pięści.

– Chcesz uciec razem z siostrą, prawda? – spytała. – Świetnie. Im szybciej znikniesz z okiia, tym lepiej dla mnie. Są tacy, co powiadają, że mam serce z kamienia. Nieprawda. Nie chcę, żebyś do spółki z tą tłustą krową musiała się borykać z kłopotami losu. Im szybciej stąd wyjedziesz, tym lepiej. Wstań.

Wstałam, choć drżałam z przerażenia, niepewna, co zamierza uczynić. Usiłowała wetknąć mi coś za pasek, lecz umknęłam, gdy tylko zrobiła krok w moją stronę.

– Patrz! – powiedziała, otwierając dłoń.

Trzymała plik zwiniętych banknotów, więcej, niżli widziałam w życiu, chociaż dokładnie nie wiedziałam ile.

– To dla ciebie. Nie dziękuj. Bierz bez słowa. Najlepiej podziękujesz, jak wyjedziesz z Kioto i raz na zawsze znikniesz mi z oczu.

„Nie wolno ci jej wierzyć, nawet jak będzie miła” ostrzegła Ciocia. Z drugiej strony wiedziałam, że Hatsumomo nie działa ze szlachetnych pobudek. W gruncie rzeczy usiłowała się mnie pozbyć. Stałam więc nieruchomo, kiedy wkładała mi pieniądze za pazuchę. Poczułam na skarze dotyk jej wypolerowanych paznokci. Później odwróciła mnie tyłem, żeby na nowo zawiązać mi pasek, a chwilę potem zrobiła coś jeszcze dziwniejszego: z niemal macierzyńską czułością pogładziła mnie po twarzy. Nie spodziewałam się z jej strony takiego zachowania. Wręcz miałam wrażenie, że to groźna żmija próbuje się do mnie łąsić niczym zwykła kotka. Nagle, zanim zdążyłam się zorientować, co naprawdę chce zrobić, chwyciła mnie za włosy i z zaciętą miną szarpnęła mną tak mocno, że z okrzykiem bólu upadłam na kolana. Nie pojmowałam, co się dzieje. Hatsumomo dźwignęła mnie na nogi i wciąż szarpiąc za włosy, pociągnęła na piętro. Wrzeszczała przy tym tak głośno, że chyba pobudziła wszystkich.

Gdy dotarliśmy do szczytu schodów, załomotała do drzwi pokoju Mamy. Ta natychmiast wypadła na korytarz, pośpiesznie zawiązując poły nocnej szaty.

– Co się tu dzieje?! – zawołała ze złością.

– Moja biżuteria! – załkała Hatsumomo. – To ta wredna i głupia dziewczka!

Znowu mnie uderzyła. Zwinięta w kłębek przypadłam do podłogi i wołałam, że mam już dosyć. Wreszcie Mamie udało się ją uspokoić. Tymczasem dotarła do nas Ciocia:

– Och, Mamo... – zawodziła Hatsumomo. – Właśnie wracałam do okiia, gdy nagle zobaczyłam Chiyo na końcu alejki. Rozmawiała z jakimś człowiekiem. W pierwszej chwili myślałam, że się pomyliłam, bo przecież miała zakaz wychodzenia z domu. Kiedy jednak wróciłam do pokoju znalazłam przewrócone pudełko z biżuterią.

Jak najprędzej wybiegłam na ulicę. Chiyo coś wręczyła temu człowiekowi, a potem próbowała uciec. Na szczęście zdążyłam ją złapać!

Mama bez najmniejszego słowa patrzyła na mnie przez długą chwilę.

– Obcy uciekł – podjęła Hatsumomo. – Podejrzewam że kupił moją biżuterię od Chiyo. Dziewka potrzebowała pieniędzy na ucieczkę... Pomyśl, Mamo, po wszystkim, co dla niej zrobiłaś...

– Wystarczy, Hatsumomo – odezwała się Mama. Pójdiesz z Ciocią do siebie i sprawdzisz, co zginęło.

Gdy zostałyśmy same, lekko uniosłam głowę i wyszeptałam:: – Mamo, to nieprawda... Hatsumomo była w służbówce ze swoim chłopakiem. Zezłościła się na mnie i teraz szuka zemsty. Niczego jej nie ukradłam!

Mama nie odpowiedziała. Chyba nawet mnie nie słuchała: Wkrótce wróciła Hatsumomo i oskarżyła mnie o kradzież broszki, którą zwykle wpinała w obi.

– Szmaragdowa broszka, Mamo! – szlochała jak zawodowa aktorka. – Sprzedała moją broszkę temu ulicznikowi! Moją broszkę! Nigdy nie przypuszczałam, że przyjdzie mi pod jednym dachem mieszkać ze złodziejką!

– Przeszukajcie ją – rozkazała Mama.

Kiedyś, kiedy miałam może z sześć lat, patrzyłam na pająka, snującego sieć w kącie izby. Zanim skończył pracę, przyplątał się jakiś komar. Wpadł w pajęczynę, a pająk nie zwracał na niego uwagi, póki nie uprządl ostatniej nitki. Dopiero potem podszedł do ofiary i zatrul ją swoim jadem. Tak samo ja, siedząc na podłodze i patrząc na obszukujące mnie delikatne palce Hatsumomo, wiedziałam, że tkwię w wyjątkowo lepkiej sieci. Nie mogłam wytłumaczyć, skąd mam pieniądze. Mama wzięła je do ręki i przeliczyła.

– Tylko ktoś wyjątkowo głupi sprzedałby broszkę za tak małą cenę – oświadczyła. – Tym bardziej że jej kradzież będzie cię kosztowała znacznie więcej.

Schowała pieniądze i spojrzała na Hatsumomo.

– Dziś w nocy sprowadziłaś mężczyznę do okiia.

Hatsumomo zerknęła na nią zaskoczona, lecz zaraz odzyskała rezon.

– Skąd ten pomysł, Mamo?

Nastąpiła chwila milczenia.

– Przytrzymaj ją za ręce – odezwała się Mama do Cioci.

Ciocia stanęła za plecami gejszy i ciasno opasała ją ramionami. Mama rozchyliła dół jej kimona. Myślałam, że Hatsumomo będzie stawiała opór, lecz ona tylko wpatrywała się we mnie chłodnym, nienawistnym wzrokiem. Mama podwinęła jej koshimaki, rozwarła kolana i sięgnęła pomiędzy nogi. Kiedy cofnęła rękę, na jej palcach błyszczał ślad wilgoci. Powąchała dłoń, roztarła mokrą plamkę, a potem wymierzyła gejszy siarczasty policzek. Na twarzy Hatsumomo została wilgotna smuga.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Następnego dnia okazało się, że nie tylko Hatsumomo ma powód, by się na mnie złościć. Mama wydała polecenie, że przez najbliższe sześć tygodni nikt ze służby nie będzie dostawał zwyczajowej porcji suszonej ryby. Miała to być kara za tolerowanie obecności mężczyzny w okiya. Służące spoglądały na mnie spode łba, jakbym to ja skradła im rybę z miski, a Dynia wręcz się rozplakała, słysząc decyzję Mamy. Mnie, prawdę powiedziawszy, niewiele to obchodziło. Nie przejmowałam się nawet oskarżeniem o sprzedaż broszki, której nie widziałam na oczy, ani też wzrostem długu. Kłopoty umacniały moją chęć ucieczki.

Mama na pewno nie wierzyła, że dopuściłam się kradzieży, ale nie miała nic przeciwko temu, żeby odkupić świecidełko z moich własnych pieniędzy. Już dowiedziała się od Yoko, iż rzeczywiście wychodziłam z okiya. Od tej pory kazała zamykać frontowe drzwi, żeby uniemożliwić podobne eskapady. Miałam wrażenie, że całe życie przecieka mi przez palce. Jak teraz ucieknę? Klucza pilnowała Ciocia; przed snem zawieszała go sobie na szyi. Poza tym zwolniono mnie z obowiązku nocnego czuwania. Na to miejsce przywrócono Dynię, która budziła Ciocię, by otworzyć drzwi wracającej Hatsumomo.

Co noc leżałam bezsennie, snując rozmaite plany. Nie wymyśliłam nic mądrego. W poniedziałek, więc tuż przed dniem, w którym miałam spotkać się z Satsu, opanowało mnie dziwne zniechęcenie. Nie miałam nawet sił do pracy. Służące dokuczały mi, że włokę szmatę po podłodze, którą miałam umyć, albo że nie zamiatam, tylko łażę z miotłą po podwórku. Popołudnie przesiedziałam na ścieżce, udając, że wyrywam chwasty. Po prawdzie to najzwyczajniej beczałam. Potem ktoś mi kazał na mokro zetrzeć parkiet w służbówce, gdzie jak zwykle siedziała Yoko. Wówczas wydarzyło się coś niesamowitego. Wyjęłam szmatę na podłogę, a woda zamiast płynąć do drzwi, jak się tego spodziewałam, pociekła w stronę kąta.

– Yoko, spójrz! – zawołałam. – Woda płynie pod górę! Wcale nie płynęła. Wyglądało to tylko w ten sposób. Ze zdziwieniem jeszcze raz wycisnęłam szmatę i patrzyłam na uciekający strumyk. A potem... dokładnie nie wiem, co się stało. Pomyślałam sobie, jak to by było pięknie, gdybym mogła popłynąć po schodach w górę, po drabinie, przez właz, aż do dużej cysterny na dachu...

Dach! Zaślepiona tą jedną myślą, zupełnie zapomniałam o otoczeniu. Aż podskoczyłam przerażona na terkot telefonu. Nie zastanawiałam się, co zrobię, gdy już będę na dachu, wiedziałam jednak, że jak zejść, bez trudu odnajdę Satsu.

Następnego wieczora ziewnęłam przeciągle i padłam na materac jak worek ryżu. Każdy, kto na mnie patrzył, był święcie przekonany, że od razu zasnęłam, ja tymczasem czuwałam niczym zając pod miedzą. Leżałam i leżałam, myśląc o dawnym domu. Co zrobi ojciec, gdy uniesie głowę znad stołu i zobaczy mnie w progu? Albo spuści wzrok i wybuchnie płaczem, albo też po swojemu skrzywi usta w osobliwym uśmiechu. Za to nie potrafiłam sobie wyobrazić matki!; sama myśl o niej sprawiała, że dusiłam się od szlochu.

Wreszcie cała służba poszła na spoczynek, tylko Dynia usiadła w holu, czekając na Hatsumomo. Słysząc było, jak Babcia mamrocze sutry. Robiła to co wieczór, tuż przed zaśnięciem. Przez przyknięte drzwi pokoju widziałam, jak przebierała się w koszulę nocną. Zadygotałam ze zgrozy, gdy zsunęła kimono z ramion, gdyż nigdy przedtem nie oglądałam jej zupełnie nagiej. I nie chodziło tylko o „gęsią skórę” na szyi i plecach – Babcia przypominała stertę pogniecionych łąchów. Żałośnie szamotała się z koszulą. Skórę miała obwisłą, a jej wystające sutki bardziej przypominały paznokcie niż kawałek ciała. Im dłużej ją obserwowałam, tym bardziej byłam przekonana, że jej starczy umysł wciąż zachował wspomnienie o rodzicach – tych samych, którzy niegdyś sprzedali ją w niewolę. Może także straciła siostrę? Nigdy dotąd nie myślałam o niej w ten sposób. Ciekawe, czy zaczęła życie podobnie do mnie...? Nie sprawiało mi większej różnicy, że była już bardzo stara. Może zrobiła się zgorzkniała wskutek przeciwności losu? Przypomniałam sobie, jak w Yoroido nad stawem pewien chłopak wepchnął mnie w krzak cierni. Zanim się wygrzebałam, ogarnęła mnie taka wściekłość, że prawie gryzłam gałęzie. Skoro parę minut cierpienia wywołuje gniew, co się dzieje z człowiekiem po kilkudziesięciu latach? Nawet kamień pęka po długotrwałym deszczu.

Dobrze, że już wcześniej postanowiłam uciec, gdyż perspektywa życia w Gion napawała mnie przerażeniem. Nie chciałam stać się starą jędzą podobną do Babci. Pocieszałam się myślą, że już od jutra Kioto będzie dla mnie jedynie wspomnieniem. Wiedziałam, jak wejść na dach, jak skoczyć na ulicę... Nie, tego ostatniego nie byłam zupełnie pewna. Noc nie dawała mi wyboru, musiałam ryzykować. Bezpieczny zjazd z

dachu był tylko wstępem do prawdziwych kłopotów. Jak bowiem porównywać nawet najgorszą egzystencję w Gion z życiem wiecznego zbiega? Świat był okrutny; jak w nim przetrwać? Przez dłuższą chwilę leżałam niespokojnie, niepewna, czy mi starczy siły... Satsu czeka, przypominałam sobie. Ona na pewno wie, co robić.

Minęło dużo czasu, zanim Babcia przestała krążyć po pokoju. Służące chrapały głośno. Przewróciłam się na drugi bok i ukradkiem rzuciłam okiem na klęczącą Dynię. Zdawało mi się, że przysypia, choć dokładnie nie widziałam jej twarzy. Początkowo zamierzałam czekać, aż zaśnie nieco mocniej, lecz straciłam poczucie czasu i bałam się, że zaraz wróci Hatsumomo. Usiadłam po cichu. Postanowiłam, że w razie czego najzwyczajniej będę udawać, że idę do ubikacji. Nikt się nie zbudził. Obok materaca leżało złożone na rano ubranie. Wzięłam je pod pachę i poszłam w stronę schodów.

Chwilę nadśluchiwałam pod pokojem Mamy. Nie chrapała, więc nie mogłam poznać, czy śpi, czy jeszcze czuwa. Bez wątpienia nie rozmawiała przez telefon. W pokoju panowała cisza, przerywana jedynie cichym dyszeniem śpiącego Taku. Im dłużej nadstawiałam ucha, tym bardziej oddech psa przypominał słowa: „CHI-yo! CHI-yo!”. Musiałam się upewnić, że Mama zasnęła. Lekko uchylłam drzwi, żeby zajrzeć do środka. Na wszelki wypadek miałam przygotowaną wymówkę, że sądziłam, iż ktoś mnie wołał. Mama, tak jak Babcia, sypiała przy zapalanej lampce. Widziałam jej stwardniałe stopy wystające z pościeli. Taku leżał tuż obok, wciąż sapiąc, jakby chciał wyszeptać moje imię.

Zamknęłam drzwi i przebrałam się w korytarzu. Brakowało mi tylko butów. Nawet nie pomyślałam, żeby uciec boso – a to najlepszy dowód, jak przez minione lato bardzo się zmieniłam. Gdyby nie klęcząca przy wyjściu Dynia, pewnie bym zabrała drewniane chodaki, których używałam zazwyczaj, chodząc na podwórko. Niestety pozostały mi stare kapcie z toalety na piętrze. Słabe, z jednym paskiem, przechodzącym przez środek stopy. W dodatku były zbyt duże, ale nie miałam wyboru.

Cichutko opuściłam klapę, nocną koszulę wcisnęłam pod cysterne, podpełzłam na szczyt dachu i przełożyłam nogi na drugą stronę. Nie twierdzę, że się nie bałam. Głosy ulicy dochodziły gdzieś z oddali. Nie miałam jednak czasu na dalsze biadolenia, gdyż lada chwila któraś ze służących mogła pojawić się na dachu. Ścisnęłam łapcie w rękę, żeby ich nie pogubić, i zaczęłam powoli sunąć ku krawędzi. Szło mi o wiele

gorzej, niż myślałam. Dachówki były tak grube, że niemal tworzyły schody i do tego stuknęły głośno przy każdym moim kroku. Echo niesło się po pobliskich dachach.

Ta mozolna wędrówka zabrała mi parę minut. Dach sąsiedniego domu znajdował się niżej od naszego. Zeszłam nań i zatrzymałam się na chwilę, żeby znaleźć właściwą drogę na ulicę. Księżyc świecił dość jasno, lecz widziałam jedynie czarną taflę. Dach był zbyt stromy, by ryzykować zjazd na pupie. Następnego domu w ogóle nie mogłam dostrzec. Wystraszona, pomału sunęłam do przodu, aż nagle stwierdziłam ze zdziwieniem, że patrzę na czyjeś podwórko: Gdybym tylko zdołała zejść po rynnie, wślazłabym na niewielką szopę – prawdopodobnie łaźnię – a stamtąd już bez trudu. skoczyłabym na ziemię.

Nie myślałam, co zrobię, kiedy wpadnę w sam środek obcego domu. Znów byłabym w okiia, gdyż w sąsiedztwie nikt inny nie mieszkał. A to oznaczało spotkanie z dziewczyną czekającą na gejszę... Z łatwością mogła mnie złapać:. I co zrobię, jeśli tak hak u nas zamknęli główne wejście? Nie brałam tego pod uwagę. Nie miałam wyboru. Zjazd po rynnie zdawał się najbezpieczniejszy.

Usiadłam na krawędzi dachu i przez chwilę nasłuchiwałam odgłosów z podwórka. Śmiech i echo rozmów dobiegały; z ulicy. Nie wiedziałam, co mnie spotka na dole, ale postanowiłam działać. Ktoś przecież lada moment mógł odkryć moją nieobecność. Gdybym choć trochę przypuszczała, ile ryzykuję, w te pędy wróciłabym po dachu, skąd przyszłam: Nie znałam jednak wysokości stawki. Byłam tylko dziecakiem, zaplątanym w wielką przygodę.

Zwiesiłam nogi przez grzbiet dachu i po chwili leżałam już cała, ledwie trzymając się zgiętymi dłońmi niepewnych dachówek. Z przerażeniem stwierdziłam, że jest tu bardziej stromo, niż myślałam. Bezskutecznie próbowałam wspiąć się z powrotem. Z łapciami w ręku nie miałam pewnego chwytu – nie mogłam nawet rozprostować palców. Z drugiej strony, panicznie bałam się puścić, bo wydawało mi się, że zjadę niczym bezwładny worek. Myśli jak oszalałe wirowały mi w głowie, lecz nim zdążyłam podjąć jakąkolwiek decyzję, dach pierwszy uznał, że czas się mnie pozbyć. Początkowo jechałam powoli, z nadzieją, że stanę w płytkim zagłębieniu przed gzymsem. Potem przypadkowo strąciłam nogą dachówkę. Zaklekotała przy spadaniu i roztrzaskała się na ziemi. Chwilę później straciłam jeden kapeć. Stuknął o wiele ciszej, ale to już nie miało znaczenia, gdyż na podeście zabrzmiały czyjeś kroki.

Wiele razy obserwowałam muchę siedzącą na ścianie lub suficie tak swobodnie, jakby przycupnęła na płaskiej ziemi. Czy z tego względu, że miała lepkie łapki, czy dlatego, że nie ważyła zbyt wiele – nie wiedziałam. Zdawałam sobie jednak sprawę, że muszę jak najszybciej przemienić się w muchę, jeśli nie chcę, by mnie złapano. W przeciwnym razie zaraz się znajdę na podwórku. Wbijałam w gonty stopy i łokcie, i kolana. W ostatnim desperackim akcie popełniłam najgłupszą rzecz w życiu – rzuciłam drugi kapeć i próbowałam hamować dłońmi. Niestety ręce miałam mokre i śliskie od potu, więc poleciałam szybciej, jak tylko przytknęłam je do dachu. Zaświstało mi w uszach i nagle stwierdziłam, że frunę.

Przez chwilę miałam w uszach upiorną, głuchą ciszę. Oczami wyobraźni widziałam zdumioną kobietę, patrzącą na leżące na ziemi odłamki dachówki. Spadałam wprost w jej ramiona... Szkoda, że nie naprawdę. Obróciłam się w locie i ciężko pacnęłam na bok. Instynktownie osłoniłam głowę, lecz upadek i tak mnie oszołomił. Nie wiedziałam, czy ktoś przy mnie stoi, czy ktoś w ogóle wyszedł na podwórko. Jak przez grubą watę dotarł do mnie wystraszony okrzyk:

Wielkie nieba! Deszcz dzieci!

Chciałam zerwać się i uciekać, ale nie mogłam. Pół ciała miałam sparaliżowane bólem. Z wolna zobaczyłam dwie kłęczące postacie. Jedna coś ciągle powtarzała, lecz jej nie słyszałam. Naradziły się między sobą, podniosły mnie i posadziły na podeście. Pamiętam tylko krótki fragment z ich rozmowy:

– Mówię pani; że spadła z dachu.

– Po co jej kapie z ubikacji? Dziecko, weszłaś tam, żeby się załatwić? Słyszysz mnie? Co to za niebezpieczne wybryki? Masz szczęście, że jesteś cała!

– Nie słyszy pani. Proszę jej spojrzeć w oczy. – Na pewno słyszy. Dziecko, odezwij się!

Milczałam. W tejże chwili byłam myślami przy Satsu, na próżno czekającej pod teatrem Minamiza.

W stanie szoku leżałam zwinięta w kłębek, a służąca stukała do pobliskich domów pytając, skąd jestem. Płakałam bezgłośnie i ścisnęłam obolałą rękę, gdy nagle ktoś mnie energicznie dźwignął na nogi. Chwilę potem dostałam po buzi.

– Głupia smarkula! – usłyszałam.

Przede mną stała Ciocia. Zła jak osa zabrała mnie z dwórka i pociągnęła na ulicę. Przed naszą furtką jeszcze wymierzyła mi solidny policzek.

– Wiesz chociaż, co zrobiłaś?! – zawołała. Nie miałam odpowiedzi. – Masz rozum? Zniszczyłaś wszystko, wszystko, co tylko można! Głupia! Głupia smarkula!

Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak zagniewanej. Rozciągnęła mnie na podeście, więc zaczęłam płakać w przewidywaniu lania. Tym razem nie okazała mi litości. Polała mnie wodą z wiadra, żeby bardziej bolało, i przyłożyła mi różgą tak mocno, że straciłam oddech. Jak skończyła, przewróciła mnie na plecy.

– Nigdy nie będziesz gejszą! – krzyknęła. – Ostrzegałam cię przed takimi wybrykami! Teraz już w żaden sposób nie będę mogła ci pomóc!

Więcej nie słyszałam, gdyż jej głos zagłuszyło potworne wycie z głębi korytarza. Babcia postanowiła sama ukarać Dynię za to, że mnie nie upilnowała.

Okazało się, że przy upadku złamałam rękę. Następnego ranka lekarz zabrał mnie do pobliskiego szpitala. Do okiwa wróciłam przed wieczorem, w grubym, gipsowym opatrunku. Bolało mnie jak diabli, lecz od razu musiałam się stawić u Mamy. Ta przez męcząco długą chwilę bez słowa spoglądała w moją stronę. Pykała z fajki i jedną ręką gładziła Taku po łebku.

– Wiesz, ile za ciebie zapłaciłam? – spytała w końcu.

– Nie, pani – odparłam. – Lecz na pewno zaraz usłyszę, że więcej, niż jestem warta.

Nie była to grzeczna odpowiedź. Prawdę mówiąc, spodziewałam się, że za nią oberwę, ale niewiele mnie to obchodziło. Nic na świecie nie mogło mnie już uratować. Mama zacisnęła zęby i zaniósła się kaszlącym śmiechem.

– Racja! – zawołała. – Dzisiaj nie dałabym za ciebie nawet pół jena. Z drugiej strony uważam, że masz dużo sprytu, chociaż brak ci rozumu, by wiedzieć co dobre.

Wypuściła dym z fajki.

– Kosztowałaś mnie równo siedemdziesiąt pięć jenów. Potem zniszczyłaś kimono i ukradłaś broszkę, a teraz na dokładkę złamałaś rękę. Koszt leczenia doliczę do twoich długów. Do tego dochodzą posiłki i lekcje. Dziś rano dostałam wiadomość z Miyagawy o ucieczce twojej starszej siostry. Właścicielka Tatsuyo jeszcze nie oddała

mi za nią ostatniej raty, a teraz się wykręca, że nie będzie płacić. Co z tego, że to także pójdzie na twoje konto? Nigdy w życiu nie zdołasz spłacić zaciągniętej pożyczki.

Satsu zwała! Cały dzień zachodziłam w głowę, czy zdołała to zrobić. Już poznałam odpowiedź, ale nie umiałam się cieszyć.

— Gdybyś została znaną gejszą, to może po dziesięciu lub piętnastu latach uwolniłabyś się od długu — ciągnęła Mama. — Lecz kto zechce zainwestować w ciebie choćby marnego sena? Żebyś znów uciekła?

Nie byłam pewna, jak mam zareagować, więc na wszelki wypadek mruknęłam, że mi przykro. Chyba źle wybrałam, gdyż Mama porzuciła dotychczasową kurtuazję, odłożyła fajkę na stół i ze złością zacisnęła szczęki. Przypominała zwierzę gotowe do ataku.

— Przykro ci? Głupia byłam, że wydałam na ciebie aż tyle pieniędzy! Stałaś się najkosztowniejszym dzieckiem w Gion! Gdybym mogła za twoje kości zyskać choć parę jenów, już w tej chwili byłabyś ćwiartowana.

Kazała mi wyjść z pokoju i na nowo zajęła się fajką.

Dygotałam jak w febrze, ale nie zapłakałam. Na korytarzu stali: Hatsumomo, pan Bekku i Ciocia. Pan Bekku czekał, żeby zawiązać obi, a Ciocia, z chusteczką w rękę, patrzyła gejszy wprost w oczy.

— Nic z tego — powiedziała. — Wszystko się rozmazało. Przestań beczeć, wróć do pokoju i popraw makijaż.

Wiedziałam, dlaczego Hatsumomo płacze. Chłopak ją porzucił, w chwili kiedy otrzymała zakaz sprowadzania go do okiwa. Usłyszałam o tym dziś rano i domyślałam się, że znów cała wina spadnie na mnie. Próbowałam ukradkiem dojść do schodów, ale nie zdążyłam. Hatsumomo wyrwała Cioci chusteczkę i ruchem ręki wezwała mnie za sobą do pokoju. Nie bardzo mi się to podobało, lecz nie mogłam odmówić.

— Czego chcesz od Chiyo? — odezwała się Ciocia. — Miałas poprawić makijaż.

Hatsumomo nie odpowiedziała. Wciągnęła mnie do pokoju i zamknęła drzwi.

— Całymi dniami rozmyślałam, jak cię zniszczyć — powiedziała. — Teraz już po kłopotcie; zrobiłaś to sama. Nie wiem, czy mam się cieszyć. Pozbawiłaś mnie dobrej zabawy.

Nie zachowałam się zbyt ładnie, gdyż bez słowa złożyłam jej pokłon i wyszłam na korytarz. Hatsumomo, choć mogła, nawet mnie nie uderzyła. Krzyknęła tylko:

— Chcesz wiedzieć, jak wygląda życie posługaczki? Porozmawiaj z Ciocią! Jedzciecie na tym samym wózku. Ona ma zgruchotane biodro, a ty złamaną rękę. Może z czasem nabierzesz też męskich rysów!

— Nie krępuj się, Hatsumomo! — odkrzyknęła Ciocia. — Daj nam zakosztować swojego uroku!

Dawno temu, gdy miałam pięć albo sześć lat i wcale jeszcze nie myślałam o Kioto, znałam małego chłopca imieniem Noboru. Pewnie był miły, ale tak strasznie śmierdział, że wszyscy go unikali. Kiedy próbował coś powiedzieć, nie budziło to większych emocji niż skrzek żaby lub ćwierkanie ptaka. Biedny Noboru siadał wówczas na ziemi i płakał. W dniach, które upłynęły po mojej nieudanej ucieczce, zrozumiałam jego uczucia. Nikt ze mną nie rozmawiał, chyba że chodziło o jakieś polecenie. Mama od początku traktowała mnie jak obłok dymu, bo zawsze miała ważniejsze sprawy na głowie. Teraz wszystkie służące, kucharka i Babcia odnosiły się do mnie tak samo.

Przez całą mroźną zimę zastanawiałam się, co z Satsu, co się dzieje z ojcem, z matką... Niepokój spędzał mi sen z powiek. Czulałam w sobie ogromną, pustą dziurę, a cały świat wydawał mi się gigantyczną salą, opuszczoną przez ludzi. W takich chwilach mocno zaciskałam oczy i próbowałam sobie wyobrazić, że znów idę nadmorską ścieżką wiodącą do Yoroido. Wszystko wyglądało jak żywe, jakbym naprawdę uciekła i zdołała powrócić do domu. Biegłam do trzęsichatki, trzymając Satsu za rękę — choć nigdy w życiu naprawdę tak nie robiłam. Za kilka minut miałam zobaczyć rodziców... I tu następował koniec. Nie wchodziłam do domu, niepewna, co zastanę. Tak czy siak, wyimaginowany spacer działał kojąco na moje skołatane nerwy. Potem słyszałam kaszel którejs z służących lub Babcie z jękiem puszczającą bąki i naraz zniknął zapach morza i chrzęst kamieni pod stopami. Znowu samotna i opuszczona leżałam na materacu.

Wiosną zakwitły wiśnie w parku Maruyama i wszyscy w Kioto mówili tylko o tym. Hatsumomo była bardziej zajęta niż zwykle, gdyż nawet w ciągu dnia brała udział w piknikach i przyjęciach na świeżym powietrzu. Zazdrościłam jej bujnego życia i za każdym razem ukradkiem podglądałam ją w czasie przygotowań. Z drugiej strony łudziłam się nadzieją, że pewnej nocy przyjdzie po mnie Satsu albo że w jakiś

inny sposób dostanę wiadomość z Yoroido. Wreszcie rankiem, gdy Mama z Ciocią szły na piknik, zobaczyłam przy schodach paczkę. Pudło było tak długie jak moja ręka, zawinięte w gruby papier i zawiązane postrzępionym sznurkiem. Nikt mnie nie widział, więc pochyliłam się, żeby przeczytać grubo namazany adres.

Sakamoto Chiyo

u pani Nitty Kayoko

Gion Tominaga-cho

miasto Kioto, prefektura Kioto

Z ręką na ustach zamarłam ze zdumienia. Jestem pewna, że oczy miałam wielkie jak spodki. Adres zwrotny, wypisany pod rzędem znaczków, głosił, że nadawcą był pan Tanaka. Na ten widok... Wiem, że to absurd, ale pomyślałam sobie, że dręczony wyrzutami sumienia przysłał coś, co pomoże mi uciec z okiia. Do dziś nie potrafię znaleźć odpowiedzi na pytanie, jak za pośrednictwem poczty można wybawić dziecko z niewoli. Wtedy też tego nie wiedziałam. W głębi serca wierzyłam jednak, że gdy tylko otworzę paczkę, moje życie na zawsze ulegnie zmianie. Zanim na dobre wymyśliłam, co powinnam zrobić, nadeszła Ciocia, odpędziła mnie od pudła i zawołała o nóż. Potem przecięła sznurek i odwinęła szary papier. Ukazał się płócienny worek, zszyty grubą, rybacką nicią. Do rogów worka ktoś dodatkowo przymocował kopertę opatrzoną moim imieniem i nazwiskiem. Ciocia odpruła ją, odłożyła na bok i przecięła płótno. Naszym oczom ukazało się ciemne, drewniane pudełko. Z narastającym podnieceniem czekałam, aż Ciocia odchyli wieczko, ale spotkał mnie zawód, gdyż w środku, na podkładce z białej tkaniny, leżały małe grobowe tabliczki, które kiedyś stały w trzęsichatce przed ołtarzem. Dwóch nigdy przedtem nie widziałam — były nowsze i opatrzone zupełnie mi nieznanymi buddyjskimi imionami. Nawet nie potrafiłam dobrze odczytać zawitych ideogramów. Aż się bałam pomyśleć, po co pan Tanaka je przysłał.

Ciocia, nie dotykając starannie ułożonych tabliczek, postawiła otwarte pudełko na podłodze i wyjęła z koperty zapisaną kartkę papieru. Z oczami pełnymi łez czekałam, aż skończy czytać. Wreszcie westchnęła ciężko, wzięła mnie pod ramię i zaprowadziła do salonu. Klęknęłam przy stole i złożyłam na podołku roztrzęsione ręce. Ze wszystkich sił starałam się nie dopuścić do siebie najgorszych myśli. Może to dobry omen, że pan Tanaka przysłał te tabliczki? Może moja rodzina przenosi się do

Kioto i przesała część rzeczy przed kupieniem nowego ołtarza? A może Satsu kazała mi je wysłać na znak, że wraca?

— Chiyo, to list do ciebie, przysłany przez niejakiego Tanakę Ichiro. — Smutny głos Cioci przerwał mi dalsze rozmyślenia. Wstrzymałam oddech, gdy położyła kartkę na stole.

Droga Chiyo,

Minęły dwa kwartały, odkąd opuściłaś Yoroido i wkrótce drzewa zrodzą nowe pokolenie kwiatów. Barwne płatki zajmą miejsce zwiędłych, jak przypomnienie, że śmierć zawita kiedyś do nas wszystkich.

Na mnie, nędznika, który sam przed laty stał się sierotą, spoczywa przykry obowiązek powiadomienia Cię o dotkliwym losie, jaki Ci przypadł w udziale. Po pół roku od chwili gdy rozpoczęłaś nowe życie w Kioto, dobiegły końca cierpienia Twojej szacownej matki. Parę tygodni później także Twój szacowny ojciec zszedł z tego świata. Ja, nędznik, szczerze Ci współczuję i pragnę Cię zapewnić, że doczesne szczątki Twoich szacownych rodziców z honorami spoczęły na wioskowym cmentarzu. Oddzielna ceremonia odbyła się w świątyni Hoko-ji w Senzuru, a kobiety z Yoroido odśpiewały sutry. Jestem przekonany, że Twoi szacowni rodzice znaleźli szczęście w raju.

Trening młodej gejszy jest niesłychanie trudny. Jestem pełen podziwu dla dziewcząt, które przebrnęły przez wszystkie związane z tym cierpienia i stały się wspaniałymi artystkami. Kilka lat temu, podczas wizyty w Gion, dane mi było podziwiać ich wiosenne tańce. Odwiedziłem też herbaciarnię. Oba wydarzenia wywarły na mnie niezatarte wrażenie. Świadomość, że Ty, Chiyo, odnalazłaś bezpieczne miejsce w świecie i nie narażasz się na lata strachu i niepewności, sprawia mi naprawdę niemałą satysfakcję. Ja, nędznik, żyję już dość długo i widziałem dwa pokolenia dorastających dzieci. Wiem, jak rzadko ze zwykłego ptaka rodzi się wspaniały łabędź. Łabędź, który mieszka w gnieździe rodziców, ginie. Piękno i talent musi samodzielnie odszukać własną drogę życia.

Twoja siostra Satsu wróciła do Yoroido ubiegłej jesieni. Wkrótce potem uciekła z synem pana Sugi. Pan Sugi wciąż pociesza się nadzieją, że jeszcze w tym wcieleniu będzie miał okazję zobaczyć swą latorośl, i prosi, byś mu dała znać, jeśli kiedykolwiek otrzymasz wiadomość od siostry.

Najszczyrzej oddany,

Tanaka Ichiro

Długo przedtem, zanim Ciocia skończyła czytać, łzy pociekły mi z oczu niczym wrzątek z rozgrzanego czajnika. Już śmierć matki lub ojca sprawiłaby mi niemało bólu, cóż dopiero świadomość, że odeszli oboje, zostawiając mnie całkiem samą... Nawet Satsu mnie opuściła. Mój umysł przypominał rozbity wazon. Straciłam poczucie, gdzie jestem.

Sądysz, że byłam naiwna, bo tak długo łudziłam się, że moja matka wciąż pozostaje przy życiu? Wierz mi, w tamtych czasach czepiałam się każdej nadziei. Ciocia pomogła mi odzyskać panowanie nad sobą. Była bardzo dobra.

– Głowa do góry, Chiyo – powtarzała. – Tylko tyle możemy zrobić, żeby przetrwać w tym świecie.

Gdy już mogłam spokojniej mówić, poprosiłam ją, żeby gdzieś schowała nieszczęsne tabliczki i żeby pomodliła się w moim imieniu. Sama nie byłam pewna, czy potrafię to zrobić. Odmówiła.

– To wstyd odwracać się od przodków – powiedziała. Ustawiła tabliczki na półce przy schodach, tak bym co rano mogła odmówić modlitwę.

– Zachowaj je na zawsze, Chiyo – przykazała. – To jedyne, co cię wiąże z dzieciństwem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gdzieś tak około moich sześćdziesiątych piątych urodzin ktoś z przyjaciół przesłał mi artykuł zatytułowany Dwadzieścia najsłynniejszych gejsz z przeszłości Gion. A może było to trzydzieści najsłynniejszych, nie pamiętam. Znalazłam się w tym spisie, z krótką adnotacją, że pochodzę z Kioto. To oczywiście nieprawda. Mogę cię też zapewnić, że nigdy nie należałam do grona „najsłynniejszych”. Niektórzy ludzie nie potrafią odróżnić popularności od prawdziwej sławy. I tak miałam dużo szczęścia, że nie skończyłam w zapomnieniu, jak wiele innych dziewcząt. Pewnie bym do nich dołączyła, gdyby pan Tanaka nie napisał mi o śmierci rodziców i ostatecznej ucieczce Satsu.

Na pewno pamiętasz, jak mówiłam, że ów dzień, w którym po raz pierwszy spotkałam pana Tanakę, był zarazem najlepszym i najgorszym dniem w moim życiu. Chyba nie muszę wyjaśniać, dlaczego był najgorszym. Z drugiej strony bez wątpienia zachodzisz w głowę, dlaczego miałabym go choć trochę chwalić. To prawda, że do tej pory doznałam jedynie cierpień – lecz tym samym moje poglądy uległy całkowitej zmianie. Żyjemy niczym woda spływająca z góry, podążając mniej więcej w tym samym kierunku, póki jakaś przeszkoda nie zmusi nas do poszukania nowego koryta. Bez pana Tanaki byłabym jak prosty strumień płynący z trzęsichatki do morza. Pan Tanaka wysłał mnie w świat i zmienił moją egzystencję. Z tym że „ucieczka” w świat nie zawsze musi oznaczać całkowite zerwanie z domem. Spędziłam w Gion pół roku, zanim dostałam list od pana Tanaki. Przez cały czas wciąż wierzyłam, że dostąpię lepszego życia, choćby z częścią mojej dawnej rodziny. Na wpół byłam w Gion, na wpół w krainie marzeń związanych z Yoroido. A marzenia są niebezpieczne: parzą niczym ogień i czasami potrafią spalić.

List sprawił, że przez resztę wiosny i lato czułam się jak niemowlę zagubione we mgle na jeziorze. Dni i miesiące zlewały mi się w jedną całość. Pamiętam tylko strzępy, zdarzeń i uporczywe uczucie samotności i strachu. Pewnego zimnego wieczoru, już po nadejściu zimy, długo siedziałam w służbówce, patrząc na płatki śniegu wirujące w ciszy nad naszym małym podwórkiem. Wspominałam ojca, kaszłającego nad pustym stołem w opustoszałej chacie, i matkę, tak mizerną, że ledwie

ją było widać spod kołdry. Aż wyszłam na dwór, by uciec przed rozpaczą, ale przecież nie mogłam uciec przed samą sobą.

Wczesną wiosną, miesiące po okropnych wieściach z Yoroido, wydarzyło się coś nowego. Znow był kwiecień, znow' kwitły drzewa wiśni. A może mijał właśnie rok od dnia, w którym nadszedł list od pana Tanaki? Miałam prawie dwanaście lat i powoli nabierałam kobiecych kształtów, chociaż Dynia wciąż wyglądała na małą dziewczynkę. Przede wszystkim wyrosłam; byłam niemal tak wysoka jak teraz. Wciąż chuda koścista, deszcze przez dwa lata przypominałam wiotką gałąź, ale moja twarz straciła już dziecięcy owal i nabrała wyrazistszych rysów, zwłaszcza na policzkach i brodzie. Oczy naprawdę miały kształt migdału. Przedtem nie przyciągałam męskich spojrzeń – w każdym razie nie więcej niż najzwyczajszy gołąb. Nagle stwierdziłam, że wszyscy mi się przyglądają. Długi czas nie umiałam przywyknąć do myśli, że mogę budzić czyjeś zainteresowanie.

Wracajmy jednak do rzeczy. Pewnego kwietniowego dnia bardzo wczesnym rankiem zbudziłam się z dziwnego snu o jakimś brodaczu. Gęsta broda sprawiała, że dokładnie go nie widziałam; wydawał mi się rozmazany niczym na ocenzurowanej fotografii. Stał, mówił coś, czego nie zapamiętałam, a potem z głośnym trzaskiem odsunął papierowy ekran, zasłaniający okno. Zerwałam się z przeświadczeniem, że słyszę hałas. Służące pochrapywały przez sen. Dynia leżała cicho z twarzą wtuloną w poduszkę. Wszystko było jak zawsze – z wyjątkiem moich własnych uczuć. Widziałam świat całkiem inny niż z wieczora; jakbym rzeczywiście wyjrzała przez otwarte okno.

Nie potrafię wyjaśnić, co wówczas naprawdę zaszło. Myślałam o tym jeszcze później, przy zamiataniu podwórka. W głowie mi huczało, huczało i huczało, jak w słoju z uwieczoną pszczołą. Wreszcie odstawiłam miotłę i usiadłam w wylocie korytarza, czując na karku kojący, chłodny powiew spod filarów głównego budynku. Potem przypomniałam sobie coś, o czym nie myślałam niemal od przyjazdu do Kioto.

Było to dzień lub dwa po rozstaniu z Satsu. Już po zmierzchu poszłam wypłukać szmaty, gdy nagle jakaś ćma siadła mi na ramieniu. Strząsnęłam ją odruchowo, pewna, że poleci dalej, ale ona jak kamień spadła na podwórko i zastygła w bezruchu. Nie wiedziałam, czy ją zabiłam, czy była już martwa wcześniej, lecz jej śmierć wywarła na mnie okropne wrażenie. Przez chwilę podziwiałam prześliczny wzór na jej skrzydłach, potem ją owinęłam w kawałek materiału i ukryłam pod fundamentem domu.

Od tamtej pory o niej nie myślałam, lecz teraz padłam na kolana i tak długo grzebałam pod filarem, aż ją znalazłam. Wiele rzeczy zmieniło się w moim życiu – ale ćma, gdy ją odwinęłam z małego całunu, wyglądała tak pięknie, jak przedtem. Wciąż nosiła tę samą, stonowaną, szaro-brązową szatę, niczym Mama wychodząca na wieczorną partię madžonga. Cudna i doskonała... i wieczna. Jedyne co mi pozostało z tamtych pierwszych tygodni w Kioto... Myśli zawirowały w głowie z szybkością cyklonu. W jednej chwili uświadomiłam sobie, że obie – ja i ćma – stoimy po przeciwnych stronach barykady. Ja przypominałam rozhukany potok, raz po raz płynący nowym korytem, ona kamień zamarły w pierwotnym kształcie. Wyciągnęłam palec, by poczuć jej aksamitny dotyk, lecz tylko ją musnęłam, gdyż zaraz pod moją dłońią bezgłośnie rozsypała się w kupkę pyłu. Tak szybko, że wydałam zdławiony okrzyk ze zdumienia. Wirowanie w głowie ustało; wstąpiłam w oko huraganu. Szmątka i garść pyłu opadły na ziemię. Już znalazłam odpowiedź na poprzednie pytanie. Zniknął smród stęchlizny. Pozbyłam się przeszłości. Matka i ojciec nie żyli i nie umiałam tego zmienić. Przez cały zeszyły rok też byłam wśród martwych. Siostra... również odeszła; ja za to jeszcze trwałam. Nie wiem, czy w moich słowach znajdziesz choć trochę sensu, ale zdawało mi się, że odwróciłam głowę, by spojrzeć w przeciwnym kierunku. Już nie szłam tyłem, zapatrzona w przeszłość. Zdążałam ku przyszłości. Jednak ta sytuacja rodziła kolejne pytanie: co mnie właściwie czeka?

Wiedziałam, jak nigdy przedtem, z niezwykłą przejrzystością, że otrzymam znak, nim zapadnie wieczór. To dlatego ów brodacze ze snu szeroko otworzył okno. Mówił: „Patrz uważnie, co się wkoło dzieje. Każda rzecz może zdecydować o twojej przyszłości”.

Nie miałam czasu na dalsze rozmyślenia, bo usłyszałam głos Cioci.

— Chiyo, chodź tu! — wołała.

Jak zahipnotyzowana poszłam w głąb korytarza. Nie zdziwiłabym się, gdyby Ciocia spytała: „Chcesz poznać przyszłość? No to słuchaj...”. Zamiast tego wręczyła mi dwie ozdoby do włosów, leżące na kawałku białego jedwabiu.

— Weź — powiedziała. — Tylko bogowie wiedzą, co Hatsumomo wyprawiała ostatniej nocy. Wróciła do okiia ze świecidełkami innej dziewczyny. Chyba wypila więcej niż zazwyczaj. Znajdź ją w szkole, spytaj, do kogo należą, i oddaj we właściwe ręce.

Potem dała mi kartkę z innymi poleceniami, które miałam wykonać, wracając ze szkoły.

Taka zamiana ozdób na pozór nie wydaje się niczym dziwnym, w rzeczywistości zaś można ją porównać z pożyczaniem bielizny. Gejsze, ze względu na fryzurę, rzadko myją włosy; ozdoby są więc niezwykle osobistym przedmiotem. Ciocia nawet nie chciała ich dotykać, dlatego osłoniła dłoń kawałkiem jedwabiu. Zawinięte, przypominały ćmę w całunie, tę samą, którą miałam w ręku kilka minut przedtem.

Każdy symbol jest jednak bez znaczenia, póki ktoś go poprawnie nie odczyta. Stałam bez ruchu, patrząc na zawiniątko w rękach Cioci.

— Weź to, na litość bogów! — zawołała w końcu.

W drodze do szkoły delikatnie rozwinęłam jedwab, żeby raz jeszcze spojrzeć na zawartość. Był tam czarny, kryty laką grzebień w kształcie zachodzącego słońca, opatrzony złotym motywem kwiatów, i drewniana szpilka z dwiema dużymi perłami oprawnymi w bursztyn.

Czekałam przed budynkiem szkoły, aż gong obwieści koniec zajęć. Z drzwi wysypał się tłum dziewcząt w biało-niebieskich strojach. Hatsumomo zobaczyła mnie pierwsza. Spytasz pewnie, po co poszła do szkoły, skoro umiała tańczyć i aż nadto wiedziała, jak zdobyć popularność wśród mężczyzn? Nawet najlepsze gejsze nie rezygnują z dodatkowych lekcji; niektóre odwiedzają szkołę nawet do pięćdziesiątego albo sześćdziesiątego roku życia.

— Zobacz! — krzyknęła Hatsumomo do idącej z nią przyjaciółki. — Chwast! Jaki wyrośnięty!

Zawsze dokuczała mi w ten lub inny sposób, gdyż byłam od niej wyższa o grubość palca.

— Ciocia przysłała mnie do ciebie, pani — powiedziałam. — Chce wiedzieć, czyje ozdoby włosów skradłaś wczoraj.

Hatsumomo przestała się uśmiechać. Wyrwała mi zawiniątko z dłoni i sprawdziła, co zawiera.

— To nie moje... — szepnęła. — Skąd je masz?

— Nie pamiętasz, Hatsumomo-san? — wtrąciła się druga gejsza. — Razem z Kanako wyjęłyście grzebień i szpilki z włosów, gdy sędzia Uwazumi zaczął głupią zabawę. Kanako pewnie zabrała twoje.

— Ohyda — skrzywiła się Hatsumomo. — Jak myślisz, kiedy ostatnio myła głowę? W każdym razie jej okiya sąsiaduje z nami. Oddasz jej to? Powiedz, że potem przyjdę po moje. Niech nie próbuje ich zatrzymać.

Druga gejsza zabrała ozdoby i poszła.

— Nie uciekaj, maleńka Chiyo — zatrzymała mnie Hatsumomo. — Kogoś ci chcę pokazać. Widzisz tę dziewczynkę, co teraz przechodzi przez bramę? Nazywa się Ichikimi.

Popatrzyłam na Ichikimi, a potem na Hatsumomo.

— Nie znam jej — powiedziałam.

— Pewnie, że nie. Nic specjalnego. Nieco głupia i niezgrabna jak niedźwiedź. Mimo wszystko zostanie gejszą, a ty nie. Ciekawe?

Bardziej nie mogła mi dokuczyć. Już przez półtora roku byłam najzwyczajszą służącą. Życie ciągnęło się przede mną jak ścieżka donikąd. Nie powiem, że naprawdę chciałam zostać gejszą, nie zamierzałam jednak reszty lat spędzić jako popychadło. Przez długą chwilę stałam w szkolnym ogrodzie, zapatrzona w rozgadany tłumek dziewcząt mniej więcej w moim wieku. Szły na obiad, lecz w moich oczach podążały dalej, za ściśle wytyczonym celem. Ja miałam zaraz wrócić do chwały zamiatania kamiennych płyt na podwórku. Gdy ogród opustoszał, pomyślałam ze strachem, że to właśnie ów znak, na który tak czekałam. Zostałam w tyle za innymi dziewczętami z Gion... Pod wpływem tej myśli z przerażeniem wybiegłam z ogrodu. Minęłam aleję Shijo i skręciłam nad rzekę Kamo. Wielkie transparenty przed teatrem Minamiza zapowiadały sztukę kabuki, zatytułowaną *Shibaraku*. Jest to jeden z naszych najsłynniejszych dramatów, ale wówczas nic nie wiedziałam o kabuki. Widzowie zwartą ciżbą tłoczyli się na schodach. Panowie w garniturach i w ciemnych kimonach, a wśród nich kilka gejsz, barwnych niczym jesienne liście na mętnej wodzie. Znów zobaczyłam pełne ekscytacji życie, przepływające mi przed nosem. Uciekłam z głównej ulicy na małą dróżkę, biegnącą wzdłuż potoku Shirakawa. Tu też było pełno ludzi zaprzątniętych własnymi sprawami. W rozpaczy popędziłam nad strumień, lecz nawet on, okrutny, płynął w jakimś celu — do Kamo, a stamtąd do zatoki Osaka i Morza Wewnętrznego. Wszędzie znajdowałam tę samą wiadomość. Opadłam na kamienny murek na bulwarze i zaniosłam się głośnym płaczem. Byłam opuszczoną wyspą pośrodku oceanu, bez przeszłości, lecz także, co gorsza, bez żadnych widoków

na przyszłość. Zapłakana nie wiedziałam, co się dzieje wokół — aż jakiś męski głos przebił się przez otaczającą mnie zasłonę bólu.

— Zbyt piękny dzień na łzy — usłyszałam.

Zwykle nikt w Gion nie zwracał uwagi na dzieci, zwłaszcza zapłakane. Z ust przechodniów padały zazwyczaj słowa: „Precz z drogi!” lub coś w tym stylu. Ów nieznajomy nie tylko przemówił do mnie, ale także zrobił to bardzo grzecznie, jakbym była jego znajomą — na przykład córką przyjaciela. Na ulotną chwilę wkroczyłam do świata, gdzie traktowano mnie z szacunkiem... i gdzie ojcowie nie handlowali dziećmi. Umilkł zgiełk „prawdziwego” życia; przynajmniej ja go nie słyszałam. A gdy uniosłam głowę, by spojrzeć na mówiącego, wydało mi się, że mój smutek pozostał za kamiennym murkiem.

Chciałabym opisać mojego wybawcę, lecz potrafię to zrobić tylko w jeden sposób — wspominając o pewnym drzewie, które kiedyś rosło nad brzegiem morza w Yoroido. Drzewo było gładkie od ciągłych podmuchów wiatru, a gdy miałam pięć lat, odkryłam na nim zarys ludzkiej twarzy. Płaskiej, szerokości mniej więcej talerza, z sękami po obu stronach, w miejscu kości policzkowych. Sęki rzucały cień przypominający oczy, a nieco niżej było niewielkie wybrzuszenie, jak nos. Cała twarz lekko chyliła się na bok, zagadkowo spoglądając na mnie. Wydawała się równie stabilna jak drzewo, choć dostrzegałam w niej jakby cień medytacji. Uznałam wówczas, że odkryłam prawdziwe oblicze Buddy.

Człowiek, który do mnie mówił, miał taką samą, spokojną i szeroką twarz o gładkich, regularnych rysach. Wiedziałam, że nie odejdzie, póki na dobre nie przestanę płakać. Siwy, o włosach równo zaczesanych do tyłu, wyglądał na czterdziestopięciolatka. Więcej nie zobaczyłam, gdyż był tak elegancki, że spłonęłam rumieńcem ze wstydu i odwróciłam głowę.

Stał w towarzystwie dwóch młodszych mężczyzn i gejszy.

— To służąca! — odezwała się gejszą cicho. — Prawdopodobnie biegła i uderzyła się w nogę. Zaraz ktoś przyjdzie jej pomóc.

— Chciałabym podzielać twoją wiarę w ludzi, Izuko-san — usłyszała w odpowiedzi.

— Za chwilę zaczniesz się przedstawienie. Panie Prezesie, chyba nie powinniśmy tracić czasu...

W trakcie zakupów w Gion nieraz słyszałam określenia „radca”, „sekretnarz” i tak dalej. „Prezesów” widywałam nadzwyczaj rzadko. Zazwyczaj byli łąsi, mocno naburmuszeni i chodzili w asyście drepnących z tyłu urzędników. Prezes, który stał przede mną, różnił się tak bardzo, że nawet przy mojej ograniczonej wiedzy o świecie domyśliłam się, że należał do mniej znaczących osób. Ktoś naprawdę ważny nie zniżyłby się do rozmowy z zapłakaną dziewczynką.

— Chcesz powiedzieć, że tracimy czas, próbując jej pomóc? — spytał.

— Skądże! — pośpiesznie zaprzeczyła gejsza. — Chodzi mi o coś więcej. Już nie wiem, czy zdążymy na początek pierwszego aktu.

— Izuko-san, chyba nie zaprzeczysz, że nieraz byłaś w podobnej sytuacji. Nie wmawiaj mi, że życie gejszy składa się z samych przyjemności. Pomyśl czasem o innych ludziach...

— Ja? W takiej sytuacji? Ależ, panie Prezesie... Miałabym robić z siebie pośmiewisko na środku ulicy?

Prezes popatrzył na obu młodzieńców i kazał im odprowadzić gejszę do teatru. Skłonili się w milczeniu i odeszli. Prezes został ze mną. Chwilę spoglądał na mnie, ale nie uniosłam głowy.

— To prawda... — wyszeptałam w końcu. — Jestem tylko głupiutką dziewczyną. Niech pan się nie spóźnia przeze mnie.

— Wstań na moment — powiedział.

Musiałam go usłuchać, choć nie wiedziałam, o co chodzi. Okazało się, że wyjął chusteczkę z kieszeni, żeby mi otrzeć twarz powalaną ziemią, gdy opierałam się o murek. Stał tak blisko, że poczułam bijący od niego zapach talku. Przypomniało mi się, jak pewnego razu naszą nędzną wioskę odwiedził sam bratanek cesarza Taisho. Wysiadł z samochodu, przeszedł się na przystań i wrócił, z rzadka pozdrawiając klęczących rybaków. Miał na sobie garnitur — pierwszy, jaki widziałam, bo zerkałam spod oka, chociaż mi zabroniono. Zadziwiły mnie jego przystrzyżone wąsy, tym bardziej że zarost rybaków wyglądał niczym chwasty na polnej drodze. Przedtem nikt z dostojników nie zajrzał do Yoroido; na wieśniakach wywarło to niezatarte wrażenie.

Są rzeczy, których nie sposób pojąć, bo brak najprostszego punktu odniesienia. Tak było kiedyś z bratankiem cesarza i tak było teraz z Prezesem. Wytarł mi policzki z łez i kurzu, potem wziął mnie pod brodę.

— Proszę, proszę... Taka piękna dziewczyna nie powinna się niczego wstydzić — powiedział. — A jednak boisz się patrzeć na mnie. Ktoś cię skrzywdził... Doznałaś przykrości w życiu.

— Nie, proszę pana — odparłam, wiedząc, że kłamię.

— Nikomu z nas nie pisane dostateczne szczęście — westchnął i znacząco zmarszczył brwi, jakby chciał podkreślić, że powinnam to głębiej przemyśleć.

Chciałam raz jeszcze spojrzeć mu prosto w twarz, zobaczyć gładką skórę i powieki jak marmurowe tarcze, chroniące łagodne oczy. Dzieliła nas jednak społeczna przepaść. Wreszcie zerknęłam w górę, spiekłam raka i szybko opuściłam wzrok, żeby Prezes nie zdążył zauważyć, co robię. W jaki sposób opisać wrażenia tej ulotnej chwili? Prezes patrzył na mnie jak wirtuoz siadający do instrumentu. Zaglądał mi w głąb duszy, jakbym wręcz była częścią niego! W tej chwili zazdrościłam wszystkim instrumentom...

Prezes znów sięgnął do kieszeni.

— Lubisz słodkie śliwki lub wiśnie? — spytał.

— Do... jedzenia? — wyjąkałam bez sensu.

— Tuż za rogiem minąłem ulicznego kramarza. Sprzedawał kruszony lód polany syropem. W dzieciństwie przepadałem za tym. Masz monetę, kup sobie. Zatrzymaj też chusteczkę, bo przy jedzeniu znowu się ubrudzisz.

Zawinął pieniądz i wyciągnął rękę w moją stronę.

Od chwili gdy po raz pierwszy przemówił do mnie, wyleciało mi z głowy, że szukam znaków losu. Oprzytomniałam dopiero na widok zawiniątka, które znów podejrzenie przypominało ćmę. Wiedziałam, że nadeszła właściwa chwila. Wzięłam monetę, skłoniłam mu się w pas i nieskładnie usiłowałam podziękować — chociaż żadne słowa nie były w stanie oddać moich uczuć. Nie dziękowałam za pieniądze ani z powodu kłopotu, jaki mu sprawiłam, lecz raczej za... hmm, nawet dzisiaj nie potrafię tego wyjaśnić. Może za to, że pokazał mi całkiem inne oblicze okrutnego do niedawna świata.

Ze ściśniętym sercem patrzyłam, jak odchodził — choć smutek, który odczuwałam, należał do przyjemnych. Sądzisz może, że nie istnieje coś takiego? Pomyśl tylko: jeśli spędzisz najlepszy wieczór w życiu, na pewno posmutniejesz, gdy się skończy, ale z drugiej strony będziesz zadowolony, że w nim brałaś udział. Krótka rozmowa z Prezesem zmieniła mnie z zagubionego malca w dojrzałą dziewczynę.

Wiedziałam już, czego szukam. To niezwykle, że czasem przypadkowe spotkanie na ulicy może zaowocować taką przemianą. Los płata różne figle, nie sądzisz? I jestem święcie przekonana, że gdybyś był na moim miejscu i widział, to co ja widziałam, doznałbyś identycznych uczuć.

Kiedy Prezes zniknął mi z oczu, popędziłam za róg, by odnaleźć lodziarza. Dzień nie był zbyt upalny i nie tęskniłam za lodami, lecz w ten sposób chciałam przypieczętować pakt z Prezesem. Kupiłam papierowy rożek pełen kruszonego lodu polanego wiśniowym sokiem i wróciłam na dawne miejsce na kamiennym murku. Sok był przepyszny — pewnie tylko dlatego, że ogarnęło mnie dziwne podniecenie. Gdybym została gejszą, jak Izuko, częściej bym spotykała takich ludzi jak Prezes, pomyślałam. Nigdy dotąd nie zazdrościłam gejszy. Co prawda sprowadzono mnie do Kioto właśnie dlatego, że miałam zostać gejszą, jednakże do tej pory myślałam tylko o ucieczce. Teraz nareszcie zrozumiałam, co w tym czasie przegapiłam: nieważne, żeby stać się gejszą — ważne, żeby nią być naprawdę. Stać się gejszą... to żaden cel w życiu. Być nią... to pierwszy szczebel do czegoś bardzo ważnego. Według moich obliczeń Prezes miał nie więcej niż czterdzieści pięć lat. Wiele gejsz zyskiwało sławę w dwudziestym roku życia. Izuko wyglądała najwyżej na dwadzieścia pięć lat. Ja miałam zaledwie dwanaście... lecz za drugie tyle byłabym w kwiecie wieku. A Prezes? Na dobrą sprawę nie postarzałby się bardziej od pana Tanaki.

Za pieniądze, które mi wręczył, mogłam kupić coś więcej niż rożek lodów. W dłoni ścisnęłam resztę: trzy monety o różnej wielkości. W pierwszej chwili chciałam zatrzymać je na zawsze, potem jednak uznałam, że posłużą ważniejszej sprawie.

Przebiegłam przez aleję Shijo i popędziłam do wschodniej części Gion, do świątyni. Wspięłam się po schodach, ale nie miałam dość odwagi, by przejść pod główną, zadazoną bramą. Ominęłam ją naokoło. Pokonałam dziedziniec i następne schody, aż dotarłam do samej świątyni. Tam wrzuciłam monety do ofiarnej skrzynki — choć za tę sumę mogłam na zawsze opuścić Kioto — i trzykrotnym klaśnięciem oznajmiłam swe przybycie bogom. Skłoniłam się, zamknęłam oczy i po modlitwie poprosiłam cicho, bym mogła kiedyś zostać prawdziwą gejszą. Godziłam się na każdy trening i na każdą najcięższą próbę, byle tylko w przyszłości móc spotykać takich ludzi jak Prezes.

Gdy otworzyłam oczy, wciąż słyszałam szum samochodów na alei Higashi-Oji. Wiatr szumiał w koronach drzew tak samo jak chwilę przedtem. Nic nie uległo

zmianie. Nie wiedziałam, czy moja prośba dotarła do bogów. Wetknęłam za pazuchę chusteczkę Prezesa i zawróciłam do oki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pewnego ranka, kilka miesięcy później, kiedy zdjęliśmy ro — cienki jedwabny ubiór noszony pod kimonem w czasie letnich upałów — i zamiast niego włożyliśmy dużo grubsze hitoe, poczułam w korytarzu tak potworny swąd spalenizny, że niemal upuściłam naręczce ubrań. Smród dochodził z pokoju Babci. Pobiełam na piętro zawiadomić Ciocię, bo wiedziałam, że zaszło coś niedobrego. Ciocia w te pędy skuśtykała ze schodów i znalazła Babcię bez życia na podłodze. Doprawdy, starsza pani zginęła w niecodzienny sposób.

Jako jedyna w całym domu miała elektryczny piecyk. Korzystała z niego noc w noc, z wyjątkiem lata. Na początku września wróciła do dawnych przyzwyczajień. Prawdę powiedziawszy, nie było to w ogóle związane z pogodą. Zmieniałyśmy stroje zgodnie z kalendarzem, nie patrząc na temperaturę. Babcia w ten sam sposób używała piecyka. Znaczył dla niej bardzo wiele, gdyż w młodości przeżyła dużo zimnych nocy.

Każdego dnia po przebudzeniu, zanim odstawiła piecyk pod ścianę, z przyzwyczajenia owijała sznur wokół obudowy. Rozgrzany metal przez lata palił izolację, aż wreszcie dotknął do gołych drutów i całe urządzenie stanęło pod prądem. Policjanci stwierdzili, że Babcię albo złapał paraliż, albo zginęła na miejscu. Upadła na podłogę, twarzą na gorącą blachę. Stąd brał się smród spalenizny. Na szczęście jej nie oglądałam. Przez półotwarte drzwi widać było zaledwie nogi. Wyglądały jak dwie zeschnięte gałązki, owinięte w pognieciony jedwab.

Prawie dwa tygodnie po śmierci Babci pracowałyśmy jak szalone. Wysprzątałyśmy dom — gdyż w shinto śmierć jest najbardziej nieczystym zdarzeniem — wystawiłyśmy świece i tace z ofiarną potrawą, zawiesiłyśmy lampiony przed wejściem, przygotowowałyśmy herbatę i pudełko na datki od innych żałobników. Harowałyśmy tak ciężko, że kucharka aż zaniemogła. Wezwany lekarz stwierdził, że spała tylko dwie godziny, przez cały dzień nie usiadła i zjadła zaledwie miskę zupy. Mama wydawała pieniądze na prawo i lewo: zamówiła recytację sutr przed świątynią Chion-in i pęk lotosów w biurze pogrzebowym. Wszystko to w samym środku Wielkiego Kryzysu. W pierwszej chwili myślałam, że jednak kochała Babcię, lecz potem zrozumiałam, że szło wyłącznie o pokaz. Niemal całe Gion zjawilo się w okiya,

żeby złożyć hołd zmarłej. Taki sam tłum miał przybyć później na pogrzeb. W tej sytuacji nie można było niczego zaniedbać.

Przez parę dni wydawało się, że kto żyw, walił prosto do nas. Każdy z gości dostawał herbatę i ciastka. Przychodziły więc damy z herbaciarni i sąsiednich okiia, sznur służących, niegdyś związanych z Babcią, byli kupcy i perukarze, a nawet balwierze, i — oczywiście — gejsze, gejsze, gejsze. Starsze z nich znały Babcię za młodu, młodsze natomiast o niej nie słyszały i dreptały do nas tylko ze względu na Mamę. Parę przyszło dlatego, że znały Hatsumomo.

Ja prowadziłam żałobników do pokoju, gdzie byli podejmowani przez Ciocię i Mamę. Mieli do pokonania zaledwie parę kroków, ale nie wypadało, by chodzili sami. Musiałam zapamiętać, kto jakie nosi buty, gdyż w korytarzu było za mało miejsca i część obuwia trafiała do służbówki. Sęk w tym, że należało je podać w odpowiedniej chwili. Zrazu się pogubiłam, bo nie mogłam bezczelnie patrzeć na twarze wchodzących. Potem się nauczyłam rozróżniać ich po kimonach.

Drugiego lub trzeciego dnia w otwartych drzwiach ujrzałam najpiękniejszy strój, jaki do tej pory widziałam u gości. Ciemny — ze względu na okazję — i prostego kroju, ozdobiony zaledwie herbem, a jednocześnie przebogaty, ze względu na zielono-złoty haft przy lamówce. Ciekawe, co by powiedziały na lo żony i córki rybaków z Yoroido? — pomyślałam. Dama przysła ze służącą, więc wzięłam ją co najmniej za właścicielkę okiia. Tylko parę gejsz stać było na taki wydatek. Gdy stanęła w przejściu przed małą kapliczką shinto, odważyłam się na nią spojrzeć. Miała doskonale owalną twarz i wyglądała niczym kurtyzana z okresu Heian, sprzed tysiąca lat, którą niegdyś widziałam u Cioci, namalowaną tuszem na zwoju. Nie była piękna jak Hatsumomo, lecz jej wygląd sprawiał, że czułam się jak najmarniejszy robak. I nagle ją rozpoznałam.

To była Mameha, gejsza, której kiedyś zniszczyłam kimono.

Najwięcej zawiniła wprawdzie Hatsumomo, ale i tak dręczyło mnie poczucie wstydu. Nie chciałam, by Mameha mnie rozpoznała. Z nisko opuszczoną głową wskazałam jej drogę do pokoju. Byłam przekonana, że mnie nie pozna, ponieważ nie widziała mnie wcześniej, gdy odniosłam jej poplamione kimono. Poza tym minęły dwa lata... Nawet służącą miała inną niż tamta zapłakana. Mimo wszystko westchnęłam z ulgą, kiedy obie zniknęły za drzwiami.

Po dwudziestu minutach były gotowe do wyjścia. Wciąż skulona, przyniosłam im sandały i odprowadziłam na dwór. Służąca otworzyła furtkę, więc pomyślałam, że mój koszmar się skończył, ale Mameha ciągle stała. Ogarnęło mnie przerażenie. Chyba nie bardzo panowałam nad odruchami, gdyż popełniłam największe głupstwo — odważyłam się unieść głowę. Ze zgrozą napotkałam uważne spojrzenie Mamehy.

— Jak się nazywasz, dziecko? — spytała, jak mi się wydawało, bardzo surowym głosem.

Odparłam, że Chiyo.

— Wstań, Chiyo. Chcę ci się lepiej przyjrzeć. Wstałam, jak kazała, choć gdybym tylko mogła, wciągnęłabym twarz do gardła niczym długą kluskę.

— Czego się boisz? Chcę tylko popatrzeć! — zniecierpliwiała się Mameha. — Przestań wreszcie liczyć palce u nogi!

Uniosłam głowę, ale ciągle wbijałam wzrok w ziemię. Mameha westchnęła ciężko i poleciła mi spojrzeć w górę.

— Co za niezwykle oczy! — zawołała. — Tego się mogłam spodziewać. Jak byś je określiła, Tatsumi?

Służąca zawróciła od furtki i też popatrzyła na mnie.

— Są niebieskoszare, pani — powiedziała.

— Właśnie. Jak myślisz, ile dziewcząt w Gion ma podobne oczy? — spytała Mameha.

Nie wiedziałam, czy mówi do mnie, czy do Tatsumi. Żadna z nas nie odpowiedziała. Gejsza jeszcze przez chwilę wpatrywała się we mnie, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć. Wreszcie, ku mojej ogromnej uldze, pożegnała się i odeszła.

Pogrzeb Babci odbył się tydzień później o poranku, w dniu wyznaczonym przez wróżbitę. Potem powróciliśmy do okiia, lecz tu także zaszły poważne zmiany. Ciocia przeprowadziła się na parter, do pokoju poprzednio zajmowanego przez Babcie, a Dynia — która lada chwila miała rozpocząć kolejny etap edukacji gejszy — zajęła dawny pokój Cioci. Parę dni później przybyły dwie służące, energiczne i w średnim wieku. Może wydawać ci się dziwne, że Mama w takiej chwili zatrudniła kogoś nowego, ale prawda jest taka, że zawsze brakowało nam rąk do pracy, bo Babcia uważała, iż w domu jest zbyt tłoczno.

Wreszcie, na koniec zmian, Dynia przestała pełnić dotychczasowe obowiązki. Zamiast tego miała się więcej uczyć, zwłaszcza sztuk pięknych, które były nieodzownym atrybutem gejszy. Zwykle nie dawano dziewczętom dodatkowych lekcji, lecz biedna Dynia przyswajała wiedzę z tak ogromnym trudem, że na wszystko potrzebowała dużo więcej czasu. Ciężko mi było patrzeć, jak godzinami wysiadywała na podłodze, męcząc się z shamisenem. Język wysuwała tak daleko, jakby chciała sobie oblizać policzek. Uśmiechała się lekko, gdy widziałam, że spoglądam w jej stronę. Była grzeczna i miła, taka jak być powinna. Ja zaś miałam serdecznie dość nudnej egzystencji oraz wyczekiwania na tę jedną, jedyną szansę, która w gruncie rzeczy mogła nigdy nie nadejść. Teraz jeszcze musiałam patrzeć, jak drzwi sławy otworzono szeroko dla kogoś całkiem innego. Nieraz przed zaśnięciem wyjmowałam ukradkiem chusteczkę Prezesa i leżałam okryta kołdrą, wachając zapach talku. W takich chwilach myślałam tylko o Nim. Czułam ciepło słońca i twardy dotyk kamiennego murku. Prezes był mym bodhisattwą z tysiącem ramion, który przybył mi na ratunek. Nie wiedziałam, jak objawi swą pomoc, lecz modliłam się, by to zrobił.

Gdzieś pod koniec miesiąca, który minął od dnia śmierci Babci, jedna z nowych służących powiedziała mi, że mam gościa. Jak na październik, dzień był wyjątkowo skwarny, więc spływałam potem, czyszcząc starym odkurzaczem maty w nowym pokoju Dyni, tym samym, który niegdyś należał do Cioci. Dynia miała zwyczaj kruszenia ciastek po podłodze, więc sprzątałam dość często. Pośpiesznie przetarłam twarz i ręce wilgotnym ręcznikiem i zbiegłam na dół. Przed wejściem stała młoda dziewczyna w kimonie pokojówki. Klęknełam i przywitałam ją głębokim ukłonem. Dopiero gdy spojrzałam na nią po raz drugi, rozpoznałam, że poprzednim razem była u nas z Mamehą. Nie podobało mi się to spotkanie. Przeczynałam kłopoty. Ale cóż miałam robić? Na jej wezwanie posłusznie wzięłam sandały i wyszłam na ulicę.

— Wolno ci chodzić po mieście, Chiyo? — zapytała. Dawno już zakończyłam karę za nieudaną ucieczkę z okiia. Nie wiedziałam, o co jej chodzi, lecz odparłam, że wolno.

— To dobrze — powiedziała. — Jutro, około trzeciej po południu, udawaj, że wychodzisz z jakąś pilną sprawą. Spotkamy się na małym moście, nad potokiem Shirakawa.

— Tak, pani — skinęłam głową. — A mogę wiedzieć po co?

— Dowiesz się jutro, prawda? — Lekko zmarszczyła nos, jakby podśmiewała się ze mnie.

Wcale się nie cieszyłam z perspektywy ponownego spotkania z pokojówką Mamehy. Prawdopodobnie czekała mnie rozmowa z jej panią. Dodatkowa kara za coś, czego nie zrobiłam. Mimo wszystko następnego dnia poprosiłam Dynię, żeby mnie na niby wysłała do miasta. Trochę się bała, ale obiecałam, że się jej odwdzięczę. O trzeciej zawołała z podwórka:

— Chiyo-san, kup mi, proszę, nowe struny do shamisenu i kilka pism o kabuki.

Czytanie teatralnych czasopism uważano za ważną część edukacji gejszy.

— Zgadzasz się, Ciociu? — głośniej krzyknęła Dynia. Ciocia nie odpowiedziała, gdyż ucięła sobie popołudniową drzemkę.

Poszłam więc wzdłuż potoku Shirakawa do łukowato wygiętego mostka, wiodącego do tej części Gion, która nosiła nazwę Motoyoshi. Pogoda była ciepła i piękna; na ulicach roilo się od przechodniów podziwiających płaczące wiśnie. Długie witki drzew zwieszały się aż do wody. W pobliżu mostu zobaczyłam grupę cudzoziemców, zwabionych sławą Gion. Bez wątpienia nie byli jedynymi turystami w Kioto, ale na mnie zrobili dziwaczne wrażenie. Kobiety miały długie nosy, jaskrawe fryzury i chodziły w obcisłych sukniach. Mężczyzn wyróżniał wzrost i nadęta pewność siebie. Wszyscy głośno stukali obcasami. Ktoś z grupy wskazał na mnie i wypowiedział kilka słów w swoim języku. Nagle znalazłam się w centrum zainteresowania. Speszona, udałam, że coś zgubiłam, i przykucnęłam na trawniku.

Wreszcie przyszła pokojówka Mamehy. Tak jak się obawiałam, przeprowadziła mnie przez most i dalej, wzdłuż potoku, pod te same drzwi, pod którymi kiedyś stałam z Hatsumomo i Korin. Narzekałam w duchu na niesprawiedliwość losu, że po dwóch latach znów poniosę karę. Pokojówka uchyliła drzwi i w półmroku weszliśmy na górę. Tu zdjęliśmy sandały i po chwili znalazłam się w mieszkaniu.

— Chiyo przyszła, proszę pani! — zawołała dziewczyna.

— Dobrze — rozległ się z drugiego pokoju głos Mamehy. — Dziękuję, Tatsumi.

Pokojówka podprowadziła mnie do niskiego stołu pod szeroko otwartym oknem. Klęknełam na poduszkach i próbowałam zapanować nad zdenerwowaniem. Wkrótce inna dziewczyna podała mi herbatę. Okazało się, że Mameha ma niejedną, ale dwie służące. Nie spodziewałam się poczęstunku — prawdę mówiąc, ostatnim

razem potraktowano mnie tak całe lata temu, na kolacji w domu pana Tanaki. Podziękowałam z głębokim ukłonem i przez grzeczność wypłam parę niewielkich łyków. Przez dłuższą chwilę nie miałam nic do roboty. Siedziałam zasłuchana w szum niewielkiej kaskady na płynącym pod oknem potoku Shirakawa.

Apartament Mamehy nie był duży, ale gustownie urządzony. Piękne maty tatami wyglądały na zupełnie nowe, gdyż miały świeży, żółtozielony odcień oraz intensywnie pachniały sianem. Jeśli widziałeś kiedyś tatami z bliska, wiesz pewnie, że jej brzegi są zazwyczaj obszyte ciemną tkaniną z bawełny lub lnianym płótnem. U Mamehy były wykończone wzorzystym, zielono-złotym jedwabiem. W ściennej wnęce wisiał zwój ozdobiony zawitym napisem; potem się dowiedziałam, że był to prezent od słynnego kaligrafa Matsudairy Koichiego. Na drewnianej podłodze wnęki stała ikebana z kwitnących gałązek derenia, wstawionych w płaski, smoliście czarny wazon o nieregularnym kształcie. Wazon wydawał mi się dziwny, lecz okazało się, że Mameha otrzymała go w darze od mistrza stylu setoguro, Yoshidy Sakuhei, którego po drugiej wojnie światowej uznano za „żywy skarb narodowy”.

Gejsza przyszła dopiero po kilku minutach, ubrana w kremowe kimono z motywem fali. Zanim drobnym kroczeniem przydreptała do mnie, złożyłam jej pokłon do samej ziemi. Z wdziękiem przyklęknęła po drugiej stronie stołu, wzięła z rąk pokojówki małą czarę z herbatą i spytała:

— Jesteś... Chiyo, prawda? W jaki sposób zdołałaś wymknąć się z okiia? O ile wiem, pani Nitta nie pozwala dziewczętom uganiać się po mieście bez wyraźnej potrzeby.

Nie spodziewałam się takiego pytania. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, a przecież z drugiej strony nie mogłam długo milczeć. Mameha upiła łyk herbaty i spojrzała na mnie wyczekująco.

— Sądzisz, że robię ci wyrzuty? — zapytała w końcu. — Nie, chcę po prostu wiedzieć, czy przez wizytę u mnie nie narobisz sobie kłopotów.

Odetchnęłam z ulgą.

— Nie, pani — odparłam. — Oficjalnie wyszłam po struny do shamisenu i czasopisma kabuki.

— To świetnie. Mam ich całe mnóstwo. — Skinęła na pokojówkę. Wkrótce wyrósł przede mną niewielki stos magazynów. — Zabierz je do okiia. Nikt się nie

dowie, gdzie naprawdę byłaś. A teraz mi coś powiedz... Kiedy byłam u was złożyć kondolencje, zobaczyłam dziewczynę, mniej więcej w twoim wieku...

— Taką pucołowatą? To pewnie Dynię.

Mameha zapytała, skąd przezwisko „Dynia”. Kiedy jej powiedziałam, wybuchnęła śmiechem.

— Dynia... — powtórzyła. — Jak jej się wiedzie z Hatsumomo?

— Nijak, pani — odparłam. — Hatsumomo postrzegają tak samo jak liść, co sfrunął na podwórko.

— Poetycka metafora... Jak liść, co sfrunął na podwórko. W ten sam sposób odnosi się do ciebie?

Już otwierałam usta, by odpowiedzieć, lecz coś mnie powstrzymało. Mamehę znałam bardzo mało, a nieładnie było obmawiać gejszę wobec kogoś spoza okiia. Mameha chyba wyczuwała moje wahanie, bo powiedziała:

— Nie musisz odpowiadać. I bez tego wiem, jak jesteś przez nią traktowana. Waż w ten sam sposób patrzy na swój posiłek. Mam rację?

— Kto pani o tym mówił, jeśli wolno spytać?

— Nikt. Znam Hatsumomo z czasów, gdy ja miałam sześć lat, a ona dziewięć. Tak długo musiałam patrzeć na jej zachowanie, że domyślałam się, jak postępuje teraz.

— Zupełnie nie pojmuję, dlaczego mnie nienawidzi — westchnęłam.

— Hatsumomo przypomina kota — odpowiedziała Mameha. — Kot jest najszczęśliwszy, gdy może grzać się na słońcu i gdy w pobliżu nie ma żadnych innych kotów. Lecz kiedy zacznie podejrzewać, że ktoś podchodzi mu do miski... Opowiadano ci, w jaki sposób wyrzuciła z Gion młodą Hatsuoki?

Przecząco pokręciłam głową.

— Hatsuoki była bardzo piękna — zaczęła Mameha. — Łączyły nas więzy przyjaźni. Była też siostrą waszej Hatsumomo, co oznacza, że obie pobierały nauki u tej samej gejszy, w tym wypadku u sławnej Tomihatsu, wówczas już bardzo starej. Wasza Hatsumomo nie cierpiała rywalki. Nie mogła znieść nawet myśli, że obie będą gejszami. Rozповідаła po całym Gion, że Hatsuoki została któreś nocy przyłapana w publicznym miejscu na figlach z młodym policjantem. Oczywiście kłamała i gdyby poprzestała wyłącznie na tym, nikt by jej nie uwierzył. Wszyscy wiedzieli, że była zawistnicą. Więc co zrobiła? Szukała pijanych. Mogła to być gejsza, zwykła pokojówka

lub nawet jakiś klient, akurat bawiący w Gion. Szeptala im do ucha opowieść o Hatsuoki, i to w taki sposób, że następnego ranka nikt nie pamiętał, że słyszał ją właśnie od niej. Reputacja rywalki wkrótce legła w gruzach i wystarczyło jeszcze parę sztuczek, by Hatsuoki na dobre się wycofała. Poczulałam przewrotną ulgę, że to nie tylko ja doznawałam przykrości od Hatsumomo.

— Nie znosi konkurencji — powiedziała Mameha — i dlatego uwzięła się na ciebie.

— Nie mogę z nią konkurować, pani — zaprotestowałam. — To jakby porównywać kałużę z oceanem.

— W herbaciarniach, owszem — odparła Mameha. — Ale nie w okiya. Nigdy nie przyszło ci do głowy, dlaczego pani Nitta nie adoptowała jej? Okiya z dochodami, ale bez następczyni? Przecież po adopcji wszystkie zarobki Hatsumomo wpływałyby na konto rodu, bez choćby marnego sena pensji. A Hatsumomo jest znaną gejszą! Przecież pani Nitta potrafi liczyć. Bez wątpienia już dawno myślała o adopcji. Jak sądzisz, co ją powstrzymuje?

Rzeczywiście dotychczas o tym nie myślałam. Po rozmowie z Mameha znałam właściwy powód.

— Adoptować Hatsumomo to jak uwolnić tygrysa z klatki — powiedziałam.

— Właśnie. Jestem pewna, że pani Nitta zdaje sobie sprawę, jaką córką byłaby Hatsumomo. Lada chwila usunęłaby Mameę. Hatsumomo jest niecierpliwa niczym małe dziecko. Nie potrafiłaby, hodować świerszcza w wiklinowej klatce. Po dwóch latach rządów sprzedałaby kimona i przeszła na emeryturę. Dlatego też cię nienawidzi, moja droga Chiyo. O Dynię raczej nie musi się kłopotać.

— Mameha-san... — wtrąciłam. — Pamięta pani to poplamione kimono...?

— Chcesz mi powiedzieć, że to ty pomazałaś je tuszem?

— No... tak. I chociaż czuję, że pani wie, iż za tym wszystkim stała Hatsumomo, chciałabym, by pani uwierzyła, że jest mi naprawdę przykro — rzuciłam jednym tchem.

Mameha przyglądała mi się przez chwilę. Nie miałam najmniejszego pojęcia, o czym myśli.

— Jeśli naprawdę chcesz, możesz mnie przeprosić — odezwała się w końcu.

Odsunęłam się od stolika i złożyłam głęboki ukłon. Nie zdążyłam jednak nic powiedzieć.

— Byłby to wspaniały gest, gdybyś była chłopką, po raz pierwszy odwiedzającą Kioto — uprzedziła mnie Mameha. — Dziewczęta z prawdziwą klasą kłaniają się w inny sposób. Patrz na mnie: przede wszystkim odsuwam się jeszcze dalej od stołu. Cały czas klęczę, wyciągam ręce i opieram je na podłodze. Dotykam maty tylko końcami palców, nie kładę płasko rozpostartych dłoni. Nie, jeszcze za szeroko... teraz dłonie na matę... razem... tak! Wyśmienicie. Czas na ukłon. Głęboko, lecz plecy trzymaj prosto i za nic w świecie nie opuszczaj głowy. Nie przenoś ciężaru ciała na ręce! Tak robią mężczyźni. Świetnie. Spróbuj jeszcze raz.

Ukłoniłam się po raz trzeci i powiedziałam, że jest mi bardzo przykro z powodu zniszczonego kimona.

— Było bardzo piękne, prawda? — zapytała Mameha. — Ale dość o tym. Zastanawia mnie, czemu przerwałaś naukę? Nauczycielki twierdzą, że szło ci bardzo dobrze. Potem nagle zniknęłaś. Mogłaś być znana w całym Gion. Dlaczego pani Nitta zabrała cię ze szkoły?

Opowiedziałam jej o swoim długu, znów o kimonie i o broszce, którą rzekomo skradłam. Gdy skończyłam, Mameha spojrzała na mnie z dziwnym chłodem.

— To nie wszystko — zauważyła oschle. — Za takie przewinienia na miejscu pani Nitty dokładałabym wszelkich starań, żeby wykształcić cię na dobrą gejszę. Jako zwykła służąca nie spłacisz ani jena.

Zawstydzona, bezwiednie opuściłam oczy.

— Próbowalaś uciec? — spytała Mameha, jakby czytając w moich myślach.

— Tak, pani — odparłam. — Mam starszą siostrę. Zostałyśmy rozdzielone, ale zdołałam ją odnaleźć. Miałyśmy się spotkać w pewnym umówionym miejscu i... uciec. Niestety spadłam z dachu i złamałam rękę.

— Z dachu? Żartujesz chyba. Po co tam wchodziłaś? Żeby ostatni raz popatrzeć na Kioto?

Opowiedziałam jej o wszystkim.

— Teraz wiem, że to było głupie — zakończyłam. — Mama nie wyda nawet sena na moją dalszą naukę. Boi się, że znowu poprobuję ucieczki.

— Chodzi nie tylko o to. Każda podobna próba w złym świetle stawia właścicielkę okiyo. Ludzie w Gion myślą: „O, bogowie! Nawet nie umie upilnować służby!”. I cóż zrobisz, Chiyo? Nie wyglądasz mi na dziewczynkę, która chce resztę życia spędzić na posługach.

— Och, pani... wszystko bym oddała, żeby naprawić dawne błędy — jęknęłam.
— Minęły już dwa lata. Wciąż cierpliwie czekam, że los da mi nową szansę.

— Bierne czekanie to nie twój żywioł. Masz w sobie zbyt wiele wody. Woda nigdy nie czeka. Zmienia kształt, opływa każdą przeszkodę i znajduje tajemne ujścia, których istnienia nikt nie podejrzewał... ot, choćby małą szparę w dachu lub w dnie pudełka. Bez wątpienia to najbardziej niestały ze wszystkich pięciu żywiołów. Może wypłukać ziemię, zgasić ogień, porwać z sobą i wchłonąć kawałek metalu. Nawet drzewo, mimo że z natury najbliższe charakterem, nie przeżyje, choć trochę nie zasilane przez wodę. Nie straciłaś chyba chęci życia, prawda?

— Nie, pani. To właśnie woda podsunęła mi myśl o dachu.

— Jesteś mądra, Chiyo, lecz to nie był twój najlepszy pomysł. Człowiek-woda najwięcej traci podczas takich wylewów. Lepiej płynąć tam, gdzie nas wiedzie krajobraz życia.

— Bardziej przypominam rzekę przegrodzoną tamą. A tą tamą jest Hatsumomo.

— Słusznie — ze spokojem odparła Mameha. — Ale rzeka potrafi czasem przerwać tamę.

Od samego początku łamałam sobie głowę, jaki jest prawdziwy cel tej rozmowy. Na pewno nie chodziło o kimono. Po ostatnich słowach Mamehy nabrałam przekonania, że wyznaczono mi niewdzięczną rolę narzędzia zemsty na Hatsumomo. Wszak były rywalkami; czym bowiem wytłumaczyć kosztowny żart Hatsumomo popełniony dwa lata temu? Mameha bez wątpienia czekała na odpowiedni moment. Widziała we mnie chwast potrafiący zdławić inne rośliny w ogrodzie. I nie chodziło jej o zwykłą zemstę... O ile dobrze zrozumiałam, chciała się pozbyć Hatsumomo dokładnie i na zawsze.

— Nic się nie zmieni, póki pani Nitta nie zezwoli ci na dalsze lekcje — zauważyła Mameha.

— Już straciłam nadzieję, że zdołam ją przekonać — westchnęłam.

— Nie myśl, jak to zrobić, lecz kiedy — odparła. — Znajdź najwłaściwszą chwilę.

Niejednego już doświadczyłam w życiu, nie nauczyłam się jednak cierpliwości. Nawet w takim stopniu, żeby dobrze pojąć ostatnią radę Mamehy. Oznajmiłam jej, że na dobrą sprawę już jutro mogę porozmawiać z Mamą.

— Och, Chiyo... Źle jest po omacku dobijać się do życia. Spróbuj pojąć, że wszystko ma odpowiedni czas i miejsce. Mysz, chcąc oszukać kota, nie wyskakuje z dziury przy pierwszym odruchu. Wiesz chociaż, co o tobie powiada almanach?

Widziałeś kiedyś japoński almanach? Jeśli go otworzysz, znajdziesz plątaninę skomplikowanych map, wykresów i dziwacznych znaków. Gejsze, jak już mówiłam, są okropnie przesadne. Ciocia, Mama, kucharka, a nawet służące, nie kupiły pary nowych butów bez korzystania z almanachu. Ja do tej pory ani razu nie zajrzałam do książki.

— Nic więc dziwnego, że doświadczyłaś aż tylu przykrości — zauważyła Mameha. — Próbowалаś ucieczki, nie wiedząc nawet, czy wybrałaś odpowiednią porę?

Powiedziałam jej, że w zasadzie decyzję podjęła Satsu. Mameha zapytała, czy potrafię sobie przypomnieć dokładną datę. Przez chwilę we dwie sprawdzałyśmy w kalendarzu. Był to ostatni wtorek października tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku, parę miesięcy po tym, jak wyjechałam z Yoroido.

Mameha kazała przynieść almanach z tamtego roku. Potem spytała mnie o znak zodiaku — urodziłam się w Roku Małpy — i przez kilka minut porównywała rozmaite tabele. Przejrzała nawet ogólną przepowiednię miesiąca. Wreszcie przeczytała na głos:

— „Najbardziej niesprzyjający okres. Za wszelką cenę unikać igieł, niecodziennej strawy i podróży”. — Przerwała, żeby na mnie spojrzeć. — Słyszałaś? Podróży. Co jeszcze wśród zakazów? „Kąpiel po Godzinie Koguta... nowe stroje... nowe przedsięwzięcia...” i posłuchaj tego: „zmiana miejsca zamieszkania”.

Tu Mameha zamknęła księgę i kosym okiem popatrzyła w moją stronę.

— Wypełniłaś choć jeden warunek?

Wiele osób wyraźnie wątpi w tego rodzaju wróżby. Z drugiej strony nietrudno pozbyć się wątpliwości wobec oczywistych faktów. Mameha spytała mnie o znak Satsu i znów zabrała się do wertowania książki.

— Hmm... — mruknęła po chwili. — „Korzystny dzień na niewielkie zmiany”. Możliwe, że nie najlepszy na tak poważne przedsięwzięcie jak ucieczka, ale z

pewnością dogodniejszy od innych — dodała od siebie. A potem przeczytała coś zaskakującego: — „Dobra pora na podróż w Kierunku Owcy”.

Odszukała na mapie Yoroido. Leżało na północny wschód od Kioto, niemal dokładnie na linii zodiakalnego znaku Owcy. Satsu sprawdziła swój almanach. Pewnie zrobiła to na górze, kiedy czekałam w Tatsuyo, w pokoju pod schodami. Dobrze, że o tym pamiętała, gdyż dlatego zdołała uciec. Ja miałam mniej szczęścia.

W tej właśnie chwili zdałam sobie sprawę ze swojej niewiedzy. I nie chodziło tylko o ucieczkę; nie podejrzewałam nawet, jak mocne więzy łączą ze sobą poszczególne rzeczy. Mówię o sprawach znacznie większych, wykraczających poza zodiak. Ludzie są małą częścią ogromnej całości. Po prostu idąc, mogą przypadkowo zdeptać mrówkę lub choćby zmienić pęd wiatru i spowodować, żeby powiew trafił w zupełnie inne miejsce. Jeśli pomyśleć o tym samym, lecz z ludźmi w roli owadów istniejących w dużo większym wszechświecie, staje się jasne, że na co dzień doświadczamy sił, przed którymi jesteśmy równie bezbronni jak wspomniana mrówka przed naszą olbrzymią stopą. Co zatem mamy robić? Myślę, że przede wszystkim powinniśmy zrozumieć prawa wszechświata i odpowiednio dobrać czas naszych własnych działań, by poruszać się z prądem, a nie przeciw niemu.

Mameha znów pochyliła się nad almanachem. Chciała w nadchodzących dniach znaleźć sprzyjające mi daty. Spytałam, czy mogę wówczas porozmawiać z Mamą, a jeśli tak, to co powinnam powiedzieć.

— Nic nie da, jeśli pójdziesz do pani Nitty — usłyszałam. — Najwyżej wyrzuci cię za drzwi. W jej sytuacji też bym tak postąpiła. Nikt w Gion nie chciałby być na miejscu twojej starszej siostry.

Zrobiło mi się bardzo przykro.

— Co więc mam robić, Mameha-san?

— Wracaj do okiya, Chiyo — odpowiedziała — i nikomu nie wspominaj o naszym spotkaniu.

Spojrzała na mnie w taki sposób, jakby oczekiwała, że pożegnam się i wyjdę. Z pośpiechu zapomniałam o strunach i czasopismach. Dopiero na ulicy dogoniła mnie pokojówka Mamehy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Muszę chyba wyjaśnić, co Mameha rozumiała przez określenie „starsza siostra”, chociaż w tamtych czasach niedokładnie to pojmowałam. Ta kandydatka, która zakończy wstępną część edukacji i jest gotowa do pierwszych kontaktów z klientami, wchodzi w swoisty związek z o wiele bardziej doświadczoną gejszą. Mameha napomknęła o starszej siostrze Hatsumomo, słynnej Tomihatsu. W czasach wspomnianych przez Mamehę, Tomihatsu była już bardzo stara, nie zawsze jednak chodziło o tak dużą różnicę wieku. W praktyce każda gejsza mogła grać rolę „siostry” debiutantki, , choćby nawet była zaledwie o dzień starsza.

Ów siostrzany związek łączył się z pewną ceremonią, podobną do ślubu. Później zwracały się do siebie wyłącznie „Starsza siostra” i „Młodsza siostra”, niczym prawdziwe siostry należące do tej samej rodziny. Niektóre gejsze mniej poważnie traktowały tę funkcję, ale ta, która umiała właściwie postępować, stawała się prawdziwą mentorką debiutantki. Nie tylko doradzała, jak we właściwy sposób śmiać się z zażenowaniem, gdy mężczyzna opowie jakiś pieprzny dowcip, i nie tylko uczyła, jak dobrać pod makijaż najlepszy rodzaj wosku. Przede wszystkim wprowadzała młodszą siostrę do kręgu własnych znajomych. Chodziła z nią po Gion i przedstawiała w zaprzyjaźnionych herbaciarniach, w pracowni teatralnego perukarza, w ważniejszych restauracjach i tak dalej. Zajmowało jej to ogromną ilość czasu, lecz stanowiło zaledwie połowę zadania. Gion jest jak słaba gwiazda najpiękniej świeci dopiero w całkowitym mroku. Nocami starsza siostra zapraszała młodszą do wspólnych występów, prezentowała ją klientom i znanym sobie mecenasom. Pytała: „Znacie moją młodszą siostrę, pannę Taką-to-a-taką? Dobrze zapamiętajcie to imię, gdyż na pewno zdobędzie zasłużoną sławę! Zażądajcie jej towarzystwa, gdy następnym razem odwiedzicie Gion...”. Rzecz jasna niewielu mężczyzn zamierzało płacić za mizerny przywilej pogawędki z czternastolatką, lecz starsza siostra do spółki z szefową herbaciarni uparcie lansowały wybraną podopieczną. Bywało, że klienci ją odrzucali z całkiem innych względów... ale to odrębna sprawa. Najczęściej młodszą siostrę w właściwym czasie znajdowała własnego patrona i mogła być z siebie dumna – podobnie jak jej „rodzina”.

Rola starszej siostry czasami przypomina noszenie worka ryżu tam i z powrotem po mieście. Młodsza jest nie tylko zależna od starszej niczym pasażer od pociągu, lecz i za jej złe zachowanie winę ponosi starsza. Nagrodą za wszelkie poniesione trudy bywa wyłącznie sukces. Młodsza po pewnym czasie zaczyna spłacać zaciągnięte długi, a przy odrobinie szczęścia latami może być stałą towarzyszką zabaw jakiegoś bogacza. Jej zarobki po części trwają do starszej, a po części do herbaciarni. Perukarz i właściciel sklepu z ozdobami do włosów, i cukiernik, u którego gejsza czasami kupuje słodycze, też są zadowoleni, gdyż wszyscy – choć nie bezpośrednio – czerpią korzyść z sukcesu kolejnej dziewczyny, której sława ściąga do Gion nowe rzesze klientów.

Szczerze mówiąc, młoda gejsza w Gion jest zupełnie zależna od swojej starszej siostry. Co więcej, zaledwie kilka z nich wie z góry, czego się spodziewać. Żadna znana gejsza nie weźmie „na wychowanie” głupawej dzierlatki, by nie nadwerężyć własnej reputacji. Z drugiej strony, każda właścicielka okiia pragnie jak najszybciej wypchnąć kandydatkę i odzyskać pieniądze włożone w jej wykształcenie. Słynna gejsza z reguły nie narzeka na brak ofert z prośbami o opiekę nad jeszcze jedną młodszą siostrą. Niektóre z nich odrzuca, niektórych nie może... Mama – i tu zgadzałam się z opinią Mamehy – prawdopodobnie była przekonana, że nikt nie zechce podjąć się wychowania niesfornej i krnąbrnej Chiyo:

Gdy po raz pierwszy przybyłam do okiia, moją starszą siostrą miała być Hatsumomo. Co prawda potrafiłaby zagryźć pająka, lecz niemal wszystkie praktykantki z Gion chciały ją mieć „w rodzinie”. Była już starszą siostrą dla co najmniej dwóch znanych gejsz i nikt nie twierdził, że się nad nimi znęcała. Sama je zresztą wybrała, w nadziei na niezły zarobek. Ze mną było odwrotnie: nie mogła liczyć na żadną pomoc z Gion, więc kilka jenów więcej nie sprawiało jej zbytnej różnicy. W tej sytuacji prosić ją o opiekę to jak zażądać od psa, żeby odprowadził kota wzdłuż ulicy i nie ugryzł go ani razu w jakimś ciemnym zaułku. Mimo to Mama obstawała przy pierwotnej wersji – choćby z tego powodu, że Hatsumomo mieszkała z nami i że miała niewiele własnych kimon; nagminnie korzystała z zapasów okiia. A przecież chyba nikt nie wierzył, że byłaby dla mnie odpowiednią siostrą. W dniu, w którym miałabym być przedstawiona w herbaciarni Mizuki, zabrałaby mnie raczej nad rzekę Kamo. Tam by spytała: „Szanowna Kamo, znasz może moją młodszą siostrę?” i zepchnęłaby mnie do wody.

A gdyby tak znalazła się jakaś inna gejsza...? To oznaczałoby nową wojnę z Hatsumomo. Niewiele dziewcząt w Gion miało dość odwagi, by zdecydować się na taki wyczyn.

Późnym rankiem, w parę tygodni po moim spotkaniu z Mamehą, Ciocia zjawiała się u Mamy. Przypadkowo byłam świadkiem ich rozmowy, gdyż Mama właśnie podejmowała przyjaciółkę, a ja podawałam herbatę.

– Przepraszam, że przeszkadzam – odezwała się Ciocia. – Chciałam cię prosić na korytarz, Kayoko-san. Naprawdę powiedziała „Kayoko”, choć w okiia nikt prawie nie używał imienia Mamy. – Masz jeszcze jednego gościa.

Słyszając to, Mama zaniósła się kaszlącym śmiechem.

– Co z tobą, Ciociu? Masz zły dzień? – spytała. – Zabawiasz się w służącą? Nie trzeba ich wyręczać, i tak za mało pracują.

– Sądziłam, że lepiej będzie, jak sama ci to powiem odparła Ciocia. – Przyszła Mameha.

Już się martwiłam, że Mameha zupełnie o mnie zapomniała, lecz teraz, kiedy nagle zjawiała się u nas... Krew uderzyła mi do twarzy i poczułam się jak włączona do prądu żarówka. W pokoju przez długą chwilę panowała zupełna cisza.

– Mameha-san... – stęknęła wreszcie przyjaciółka Marny. – W takim razie już idę... ale jutro mi wszystko opowiesz.

Ukradkiem wysunęłam się za nią. W korytarzu usłyszałam słowa, jakich najmniej się spodziewałam u Mamy. Ta wystukała fajkę, oddała mi zabraną z pokoju popielniczkę i powiedziała do Cioci:

– Popraw mi włosy, proszę.

Nigdy dotąd nie troszczyła się o swój wygląd. Wprawdzie nosiła eleganckie stroje, lecz cóż z tego? W jej pokoju piętrzyły się równie piękne rzeczy, a mimo to wyglądał smutno i ponuro. Podobnie ona, owinięta w kosztowny jedwab, toczyła wokół wzrokiem rozmazanym niczym u starej cuchnącej ryby... a włosom poświęcała mniej więcej tyle uwagi, co lokomotywa własnemu kominowi. Po prostu miała je na sobie.

Gdy podeszła do zewnętrznych drzwi, przycupnęłam w służbówce, czyszcząc popielniczkę. Tak wyęczałam słuch, by zrozumieć całą rozmowę, że mało nie naderwałam sobie mięśni uszu.

Pierwsza odezwała się Mama:

– Wybacz, że kazałam ci czekać, Mameha-san. To wielki zaszczyt dla mnie gościć cię w swoich progach.

– Mam nadzieję, że pani mi wybaczy to nagłe i niespodziewane najście – równie konwencjonalnie odpowiedziała Mameha i tak to trwało przez kilka minut.

Cały wysiłek, jaki włożyłam w podsłuchiwanie, podobny był do wysiłku człowieka taszczącego kufer na wysoką górę po to tylko, by się dowiedzieć, że w środku nie ma nic prócz kamieni.

Wreszcie obie damy przeszły do salonu. Drżąc z emocji, chwyciłam pierwszą lepszą szmatę i pognałam szorować podłogę w korytarzu. Ciocia na pewno by mnie przepędziła, bo na ogół nie zezwalała pracować przy gościach, lecz tym razem sama usiłowała coś podsłuchać. Stała tuż za progiem, nieco z boku przy ścianie, i dopilnowała, by po wyjściu służącej niosącej herbatę, w drzwiach pozostała niewielka szpara. Tak byłam zasłuchana, że nie zwracałam uwagi na otoczenie. Nagle ze zdumieniem zobaczyłam przed sobą puciołowatą twarz Dyni. Dynia też na kolanach szorowała .., podłogę, choć nie musiała tego robić i choć pracy starczało ... i, zaledwie dla jednej.

– Kim jest Mameha? – szepnęła.

Bez wątpienia słyszała rozmowę służących, których cała grupa zbiegła się przed podwórkiem, tuż obok podestu.

– To przeciwniczka Hatsumomo – odpowiedziałam także szpetem. – To właśnie jej musiałam popłamić kimono. Dynia już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, kiedy nagle usłyszałyśmy wyraźny głos Mamehy:

– Wybacz pani, że przeszkadzam w tak zajęтым dniu, lecz chciałam z panią krótko porozmawiać o niejkiej Chiyo. – Och, nie... – jęknęła Dynia i spojrzała mi prosto w oczy, by pokazać jak bardzo jej przykro.

– Prawdziwe z niej utrapienie – odparła Mama. Mam nadzieję, że nie sprawiła ci nowych kłopotów?

– Skądże – zaprzeczyła Mameha. – Zauważyłam tylko, że od jakiegoś czasu nie chodzi do szkoły. Zazwyczaj, widywałam ją na korytarzu... Wczoraj pomyślałam, że musi być bardzo chora! Znam dobrego lekarza. Mam go przysłać?

– Dziękuję – powiedziała Mama – lecz mówimy chyba o innej dziewczynie. Nie mogłaś widywać Chiyo na korytarzu. Nie bywała na lekcjach już ponad dwa lata.

– To ta z ładną buzią i o niebieskoszarych oczach?

– To prawda, ma niezwykle oczy. Ale musi być jeszcze jedna w Gion... Proszę, proszę, kto by pomyślał?

– Aż dziw bierze, że mogły upłynąć dwa lata – ciągnęła Mameha. – Widać spotkanie z nią wywarło na mnie niezatarte wrażenie. A jeśli wolno spytać... jest zdrowa?

– O, tak. Zdrowa jak młody ryś i tak samo nieokrzesa. – I mimo to nie uczęszcza do szkoły? Ciekawe...

– Dla młodej znanej gejszy twojego pokroju Gion może się wydawać najlepszym miejscem do życia. Ale czasy są trudne. Nie mogę inwestować bez gwarancji zwrotu. Jak tylko zrozumiałam, że Chiyo rokuje niewielkie nadzieje...

– W takim razie na pewno mówimy o kimś innym przerwała jej Mameha. – Ktoś tak obeznany z ludźmi jak pani, nie określiłby jej w ten sposób.

– Jesteś zupełnie pewna, że miała na imię Chiyo? – zapytała Mama.

Żadna z nas nie wiedziała, że w trakcie rozmowy Mama wstała od stołu i przeszła na drugą stronę niewielkiego salonu. Chwilę później otworzyła drzwi i spojrzała wprost w ucho zaczajonej Cioci. Ta najzwyczajniej w świecie odsunęła się na bok, jak gdyby nic nie zaszło. Mama uznała chyba, że nie czas na wymówki, gdyż popatrzyła tylko na mnie.

– Chiyo, pozwól na chwilę – powiedziała. Zamknęłam drzwi za sobą, klękłam na tatami i złożyłam głęboki ukłon. Mama tymczasem już zdążyła wrócić na miejsce za stolikiem.

– To nasza Chiyo – oznajmiła.

– O niej myślałam! – wykrzyknęła Mameha. – Dzień dobry, Chiyo-chan. Cieszę się, że cię widzę w najlepszym zdrowiu. Właśnie pytałam panią Nitta, czy czasami nie jesteś chora. Świetnie wyglądasz.

– Tak, pani, czuję się bardzo dobrze – odparłam. – Możesz odejść, Chiyo – odezwała się Mama. Ponownie się ukloniłam, lecz zanim zdążyłam wstać, znowu zabrała głos Mameha:

– To naprawdę piękna dziewczyna. Czasem nachodzi mnie ochota, by uczynić ją młodszą siostrą, lecz teraz, skoro nie korzysta z lekcji...

Mamę musiał zaskoczyć taki obrót sprawy, gdyż zamarła bez ruchu z uniesioną do ust czarką herbaty. Siedziała tak, dopóki nie wyszłam. Dopiero kiedy byłam w połowie drogi do porzuconej na korytarzu szmaty, usłyszałam:

– Mameha-san... Gejsza z twoją sławą może mieć każdą kandydatkę z Gion.

– To prawda, wciąż mnie nagabują, lecz już z rok nie brałam nowej młodszej siostry. Ktoś mógłby myśleć, że ubyło klientów, choćby ze względu na szalejący Kryzys... Nieprawda. Ciągłe jestem zajęta. Bogaci nie zbiednieją na wet w dzisiejszych czasach.

– Dziś jeszcze bardziej potrzebują rozrywek – przytaknęła Mama. – Mówiłaś jednak...

– No właśnie, co mówiłam? Na pewno nic ważnego. Nie chcę zabierać pani więcej czasu i cieszę się, że Chiyo naprawdę nic nie dolega.

– Tak, tak, jest bardzo zdrowa. Lecz zaczekaj chwilę... jeśli wolno prosić. Naprawdę rozważałaś, by wziąć Chiyo za młodszą siostrę?

– Nie uczyła się już tak długo... – westchnęła Mameha. – Nie wątpię jednak, że podjęła pani najważniejszą decyzję. Nie wolno pani zmieniać zdania.

– Aż serce się kraje, jak życie zmusza do tak trudnych rozwiązań! Szczerze mówiąc, nie stać mnie było na jej edukację. Z drugiej strony, jeśli naprawdę sądzisz, że warto w nią inwestować, jestem pewna, że każda suma opłaci się z nawiązką.

Mama wyraźnie próbowała wykorzystać Mamehę. Żadna gejsza nie płaciła za lekcje młodszej siostry.

– Gdyby czasy były choć trochę inne... – biadolila Mameha. – Przez ten przeokropny kryzys...

– Jest pewne wyjście z sytuacji – przerwała jej Mama. – Niestety nie mam przekonania do Chiyo. To krnąbrny dzieciak, a jej długi przekraczają granice pojmowania. Wątpię, czy kiedykolwiek zdołałaby je spłacić.

– Taka piękna dziewczyna? Dziwne by było, gdyby nie zdołała...

– W życiu ważniejsze jest coś więcej niż tylko pieniądze – nie pozwoliła jej dokończyć Mama. – Naprawdę leży mi na sercu dobro Chiyo. Załóżmy, że znajdem sposób, aby opłacić jej naukę... Do czego to doprowadzi?

– Wiem, że zobowiązania Chiyo są całkiem pokaźne odparła Mameha. – Wierzę też, że zdołałaby je spłacić jeszcze przed dwudziestym rokiem życia.

– Przed dwudziestym? – zawołała Mama. – Żadne dziewczę z Gion nie dokonało podobnej sztuki. W samym środku Kryzysu...

– Ach, Kryzys... Zapomniałam.

– Moim zdaniem, lepiej inwestować w Dynię – oświadczyła Mama. – Chiyo, nawet jako młodsza siostra, popadnie w nowe długi.

Nie mówiła tylko o mojej zależności od okiia, lecz także o opłatach na rzecz Mamehy. Słynne gejsze pobierały od sióstr dużo więcej niż zwykle.

– Zostań jeszcze chwilę, Mameha-san – poprosiła Mama. – Mam dla ciebie pewną propozycję. Skoro wielka Mameha twierdzi, że Chiyo spłaci wszelkie długi jeszcze przed ukończeniem dwudziestego roku życia, to powinnam jej chyba wierzyć. Z drugiej strony, dziewczyna taka jak Chiyo nic nie osiągnie bez starszej siostry pokroju Mamehy. Okiya robi bokami, więc nie mogę zaoferować zwyczajowej ceny. W najlepszym razie będzie to połowa, na rzecz przyszłych zarobków Chiyo.

– Otrzymałam wiele szczodrych ofert – powiedziała Mameha. – Nie muszę się targować, by wziąć młodszą siostrę.

– Jeszcze nie skończyłam, Mameha-san – przerwała jej Mama. – Zaraz przejdę do zasadniczej części propozycji. Jak mówiłam, teraz mogę zapłacić zaledwie połowę. Jeżeli jednak Chiyo ureguluje długi przed dniem swoich własnych dwudziestych urodzin, oddam ci resztę kwoty, plus dodatkowe trzydzieści procent. W gruncie rzeczy zarobisz o wiele więcej.

– A jeśli Chiyo ukończy dwadzieścia lat i nie spłaci swoich zobowiązań? – zapytała gejsza.

– Przykro mi, ale wówczas obie na tym stracimy. Okiya nie będzie w stanie zwrócić ci całej sumy.

Zapadła cisza. Mameha westchnęła ciężko.

– Nie jestem dobra w rachunkach... O ile dobrze rozumiem, żąda pani niemożliwego w zamian za połowę ceny. Wiele obiecujących dziewcząt w Gion liczy na

to, że będę ich starszą siostrą. Co więcej, jeśli o nie chodzi, nie ponoszę żadnego ryzyka. Obawiam się, że nie mogę przyjąć pani propozycji.

– Masz rację – pośpieszyła z odpowiedzią Mama. Trzydzieści procent to stanowczo za mało. Dam dwa razy tyle.

– Albo nic, jeśli się nie powiedzie.

– Dlaczego „nic”? Część zarobków Chiyo i tak trafi bezpośrednio do ciebie. Chodzi tylko o kwotę należną ci od okiya.

Podejrzewałam, że Mameha odmówi, ona jednak powiedziała sucho:

– Najpierw chcę zobaczyć, ile jest winna Chiyo. – Przyniosę księgi rachunkowe – odparła Mama.

Już nie słyszałam dalszej części rozmowy, gdyż Cioci się znudziło moje podsłuchiwanie i wysłała mnie po zakupy. Przez resztę dnia byłam wzburzona jak stos kamieni podczas trzęsienia ziemi. Nie wiedziałam przecież, czy doszło do ugody. Jeśli Mameha nie przystała na ofertę Mamy, do końca życia miałam pozostać służącą. Było to tak pewne, jak to, że zółw jest zółwiem.

Kiedy wróciłam do okiya, zobaczyłam, że Dynia klęczy na podeście i w potworny sposób znęca się nad shamisenem. Ucieszyła się na mój widok i ruchem ręki wezwała mnie bliżej.

– Wymyśl jakiś pretekst i wejdź do pokoju Mamy szepnęła. – Przez cały dzień siedzi nad liczydłem. Na pewno ci coś powie. Potem mi to powtórzysz!

Uznałam to za dobry pomysł, gdyż rzeczywiście miałam kupić maść na świerzb kucharki, lecz apteka była zamknięta. Postanowiłam, że przeproszę Mamę za powrót z pustymi rękami. Nie miało znaczenia, że pewnie nie wiedziała, po co wyszłam. Po prostu szukałam okazji, żeby z nią porozmawiać.

Okazało się, że Mama słucha komedii w radio. Każdego innego dnia odprawiłaby mnie machnięciem, bym jej nie przeszkadzała. Dziś jednak, ku mojemu zdumieniu, wyłączyła odbiornik i z trzaskiem zamknęła księgę. Nie zdążyłam jej nawet wyjaśnić, po co przyszłam.

– Zauważyłam, że w czasie wizyty Mamehy jak szalona polerowałaś podłogę w korytarzu – powiedziała. – Podsłuchiwałaś naszą rozmowę?

– Nie, pani. Na deskach było zadrapanie. Wspólnie z Dynią próbowaliśmy je usunąć.

– Mam nadzieję, że okażesz się lepszą gejszą niż kłamczuchą – mruknęła i nie wyjmując fajki z ust zaniosła się kaszlącym śmiechem. Skutkiem tego na stół spadł z cybucha gruby deszcz popiołu. Drobiny żaru zatańczyły w fałdach jej kimona. Mama odłożyła fajkę i starannie otrzepała jedwab.

– Tak, Chiyo... Jesteś u nas już od ponad roku. – Od ponad dwóch lat, pani – sprostowałam.

– Do tej pory nie zwracałam na ciebie uwagi. Co się stało, że nagle taka gejsza jak Mameha wybrała cię na młodszą siostrę? Jak mam to rozumieć?

Moim zdaniem Mameha bardziej chciała dokuczyć Hatsumomo, niżli zaofiarować mi swą pomoc. Tego jednak nie mogłam powiedzieć Mamie. Zamierzałam udawać, że po prostu nic nie wiem, lecz zanim zdążyłam otworzyć usta, w drzwiach stanęła rzeczona Hatsumomo.

– Wybacz, Mamo, nie wiedziałam, że łajasz służącą. – Już niedługo będzie służącą – oznajmiła jej Mama. – Miałam dzisiaj wielce ciekawą wizytę.

– Jak słyszałam, zjawiała się Mameha i wypluskała małą płótkę ze stawu – zaszczebiotała gejsza. Drobnym krokiem zbliżyła się do stołu i klękła. Musiałam się posunąć, by wystarczyło miejsca dla nas obu.

– Z jakichś względów Mameha jest przekonana, że nasza Chiyo spłaci wszystkie długi przed swoimi dwudziestymi urodzinami.

Hatsumomo zwróciła twarz w moją stronę i uśmiechnęła się niczym matka pieszcząca dziecko.

– Jeśli ją sprzedasz do burdelu...

– Dość, Hatsumomo. Nie prosiłam cię tutaj, żeby wysłuchiwać podobnych inwektyw. Chcę wiedzieć, jaką psotą znów rozgniewałaś Mamehę.

– Może pannę Pedantkę ogarnął zły humor, bo gdzieś kiedyś minęłam ją na ulicy? Nic ponadto.

– A jednak coś knuje. Wiesz dlaczego?

– Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Pewnie myśli, że z pomocą Małego Głuptasa wreszcie dobierze się do mnie. Mama nie odpowiedziała; przez chwilę rozmyślała nad słowami Hatsumomo.

– Może... – mruknęła w końcu. – Może naprawdę sądzi, że Chiyo będzie lepszą gejszą od Dyni i próbuje na tym zarobić. Przecież to nic zdrożnego.

– Mamo... Do dobrego zarobku Chiyo jej niepotrzebna. Myślisz, że przypadkowo wybrała dziewczynę mieszkającą pod jednym dachem ze mną? Zaprzyjaźniłaby się z twoim pieskiem, gdyby tylko umiał usunąć mnie z Gion.

– Skąd wiesz, że ci zazdrości?

– Jestem piękniejsza od niej. Trudno o lepszy powód? Chce mnie poniżyć mówiąc: „Och, poznajcie moją młodszą siostrę. Jest co prawda z okiwa Hatsumomo, lecz taki z niej klejnocik, że to mnie powierzono ją na wychowanie”.

– Nigdy dotąd nie postępowała w taki sposób – niemal szeptem zauważyła Mama.

– Będzie nielicho zaskoczona, jeśli sądzi, że podopieczna okaże się mądrzejsza od Dyni – ciągnęła Hatsumomo. A jednak wcale mi nie przeszkadza, że Chiyo włoży kimono. Upatruję w tym szansę dla Dyni. Widziałaś kiedyś kotka skaczącego na kłębek włóczki? Dynia też będzie lepszą gejszą, gdy naostrzy pazurki na innych.

Mama uśmiechnęła się lekko, jakby z zadowolenia.

– Dziwny dzień mamy dzisiaj... – westchnęła. – Jeszcze rankiem po okiwa snuły się dwie zbędne dziewczyny. Teraz są rywalkami... i to pod opieką najślawniejszych gejsz w Gion!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Następnego dnia po południu Mameha wezwała mnie do siebie. Tym razem nie musiałam czekać; gdy tylko weszłam, zastałam ją przy stole. Ukłoniłam się bardzo grzecznie, zajęłam wskazane miejsce i złożyłam kolejny ukłon.

– Mameha-san, doprawdy nie wiem, co skłoniło panią do podjęcia takiej decyzji – zaczęłam. – Wprost nie znajduję słów podziękowania...

– Jeszcze nie dziękuj – przerwała mi w pół zdania. Nic się zdarzyło. Lepiej powiedz, co pani Nitta sądzi o mojej wizycie.

– Jest zdumiona, że ktoś w ogóle zwrócił na mnie uwagę. Prawdę mówiąc, ja także... – Czekałam, że coś odpowie, lecz milczała. – Jeśli chodzi o Hatsumomo...

– Nie trać czasu na myślenie o niej. I tak wiesz, że będzie zachwycona, gdy przegrasz. Pani Nitta także.

– Mama? A dlaczego? – zapytałam. – Przecież więcej zarobi, jeśli mi się powiedzie.

– Z tą różnicą, że jeśli we właściwym czasie spłacisz wszystkie długi, sama będzie mi winna niemałą sumę. Wczoraj zawarłam z nią pewien zakład.

Służąca podała herbatę.

– Nie zaryzykowałabym ani trochę, gdybym nie była ciebie pewna – dokończyła Mameha. – Skoro jednak wybrałam cię na młodszą siostrę, musisz wiedzieć, że bywam niezwykle surowa. Sądziłam, że przy okazji poda jakieś warunki, lecz zamiast tego łypnęła na mnie złym okiem.

– Chiyo, nie możesz ciągle dmuchać w herbatę niczym zwykła chłopka! Zostaw ją na stole, póki nie ostygnie na, tyle, że będzie zdatna do picia.

– Przepraszam – powiedziałam. – Nie myślałam, co robię.

– A powinnaś. Gejsza musi bez przerwy dbać o swój wizerunek. Ale do rzeczy... Na początek żądam ślepego posłuszeństwa. Wiem, że czasami nie słuchasz Hatsumomo i nie wypełniasz wszystkich poleceń pani Nitty. Z twojego punktu widzenia to całkiem zrozumiałe. Według mnie, gdybyś od początku była trochę mniej krnąbrna, uniknęłabyś, wielu poważnych kłopotów.

Miała rację. Od pewnego czasu postrzegałam świat w całkiem innych barwach. Przedtem byłam po prostu niepokornym dzieckiem.

– Kilka lat temu miałam dwie młodsze siostry – mówiła Mameha. – Jedną niezwykle pracowitą, a drugą leniwą. Sprowadziłam ją tutaj i oznajmiłam, że nie pozwolę się oszukiwać. To nie poskutkowało, więc miesiąc później musiała sobie poszukać innej opiekunki.

– Mameha-san, obiecuję, że mnie się to nie zdarzy! – zawołałam. – Dzięki pani czuję się niczym okręt w dziewiczym rejsie przez ocean. Jak bym mogła zniweczyć tak niezwykłą szansę?

– Znakomicie, ale chodzi nie tylko o wkład pracy. Uważaj na Hatsumomo. Nie pozwól się jej podejść i, na litość bogów, nie powiększaj już swoich długów! Nie słucz nawet czarki!

Obiecałam jej, że bardzo będę uważać, chociaż, powiedziawszy prawdę, nie wiedziałam, jak mam sobie radzić z podstępą Hatsumomo...

– Jeszcze jedno – powiedziała Mameha. – Wszystkie nasze rozmowy muszą pozostać ścisłą tajemnicą. Ani jedno słowo nie może dotrzeć do Hatsumomo. Nawet gdybyśmy gawędziły wyłącznie o pogodzie, rozumiesz? Jeśli Hatsumomo cię o coś spyta, odpowiadaj: „Och, Mameha-san to straszna nudziara! Puszczam mimo uszu całe jej gadanie”.

Posłusznie pokiwałam głową.

– Hatsumomo ma dużo sprytu – ciągnęła Mameha. – Bez najmniejszych skrupułów wykorzysta każdą twoją wpadkę. Nawet nie podejrzewasz, do czego jest naprawdę zdolna.

Nagle pochyliła się w moją stronę.

– O czym rozmawiałyście wczoraj na ulicy? – warknęła złym głosem.

– Nie... my... o niczym – wyjąkałam. Popatrzyła na mnie tak wściekle, że nie mogłam już więcej wykrztusić ani słowa.

– Co to znaczy „o niczym”? Odpowiadaj, dziewczko, bo jak zaśniesz, wleję ci do ucha tuszu!

Chwilę trwało, zanim zrozumiałam, że wcieliła się w rolę Hatsumomo. Nie wychodziło jej to najlepiej, lecz wiedząc, o co chodzi, powiedziałam:

– Naprawdę, Hatsumomo-san... Mameha-san to straszna nudziara. Nie pamiętam, o czym mówiła. Jej słowa topnieją niczym płatki śniegu. Na pewno nas widziałas zajęte rozmową? Nie przypominam sobie, byśmy zamieniły chociaż ze dwa zdania...

Ta komedia trwała jeszcze przez kilka minut, aż Mameha uznała, że dam sobie radę. Nie w pełni podzielałam jej zdanie. Fałszywa Hatsumomo, choćby nie wiem jak groźna, ani trochę nie dorównywała prawdziwej.

Sporo zapomniałam przez te dwa lata spędzone poza szkołą. Prawdę mówiąc, niewiele się nauczyłam, gdyż umysł miałam zaprzątnięty czymś innym. Powrót na zajęcia – po tym jak Mameha wybrała mnie na swoją siostrę – w rzeczy samej był dla mnie prawdziwym początkiem nauki.

Miałam dwanaście lat i wzrostem niemal przewyższałam Mamehę. Myślisz może, że nauka szła mi łatwiej, bo byłam starsza? Zapewniam cię, że to nieprawda. Moje koleżanki uczyły się dużo dłużej. Niektóre z nich w myśl tradycji rozpoczęły szkołę, kiedy miały trzy lata i trzy dni. Żeby jednak tak wcześnie zacząć, trzeba być córką gejszy. Dla nich taniec i ceremonia herbaciana stanowiły po prostu taką samą część życia, jak dla mnie pływanie w stawie.

Wspominałam już co nieco o lekcjach shamisenu u Pani Myszy, ale prawdziwa gejsza nie para się tylko muzyką. Ideogram „gei” w słowie „gei-sha” oznacza „sztukę”. Gejsza to „człowiek sztuki”, inaczej „artystka”. Na pierwszej rannej lekcji uczyłam się gry na niewielkim bębenku, zwanym tsutsumi. Zastanawiasz się pewnie, po co gejszy bębenek? Odpowiedź jest bardzo prosta. Zarówno na bankietach, jak i na mniej formalnych przyjęciach w Gion tańczymy przy shamisenie i czasem przy śpiewakach. Do występów scenicznych, takich jak wiosenne *Tańce z dawnej stolicy*, przygrywa nam orkiestra sześciu lub więcej shamisenów, połączonych z bębnami i japońskim fletem o nazwie fue. Gejsza musi znać brzmienie wszystkich instrumentów, choć w praktyce jej specjalnością jest zaledwie jeden.

Jak mówiłam, na porannych zajęciach ćwiczyłyśmy grę na tsutsumi. Niezależnie od instrumentu gejsza gra na klęcząco. Tsutsumi tym się różni od zwykłego bębna, że artystka kładzie go sobie na ramieniu i wybija rytm tylko jedną ręką. Większy bęben, okawa, wspierany jest na biodrze, największy zaś, taiko, stoi na koziołku. Walić w niego można tylko grubą pałką. W ciągu lat nauki zdążyłam poznać

wszystkie. Myli się jednak ten, kto sądzi, że na bębnie potrafi dobrze zagrać nawet małe dziecko. Istnieje wiele sposobów uderzania. Ot, choćby w taiko. Robisz zamach przed piersią, w poprzek ciała, i bijesz – jak by to powiedzieć – backhandem. Nazywamy to uchikomi. Możesz także uderzać jedną ręką, w tym samym czasie robiąc zamach drugą. To sarashi. Są też inne metody dopasowane do rozmaitych dźwięków, na nie jednak potrzeba długotrwałej praktyki. Co ciekawsze, orkiestra gra na widocznym miejscu, więc publiczność może podziwiać grę ruchów doboszy, zwłaszcza kiedy bębny wspaniale harmonizują z brzmieniem pozostałych instrumentów. Dobry dźwięk to zaledwie połowa zadania; ważne, by go wydobyć w odpowiedni sposób.

Po bębenkach następowała lekcja gry na flecie oraz zajęcia z shamisenem. Metody pracy z każdym instrumentem były mniej więcej takie same. Nauczycielka coś zagrała, a uczennice powtarzały. Bywało, że zgiełk się robił jak pośród zwierząt z zoo, ale rzadko, gdyż melodie nie należały do najtrudniejszych. Na przykład, na mojej pierwszej lekcji fletu mistrzyni zagrała tylko jedną nutę i wskazała na nas. Nasza wersja nie bardzo przypadła jej do gustu.

– Tak i tak, trzymajcie mały palec w dół, nie wywijajcie nim w powietrzu! A ty tam co? Odkryłaś, że twój flet śmierdzi? Dlaczego marszczysz nos w tak okropny sposób?

Była bardzo surowa, jak większość nauczycielek, więc żadna z nas nie chciała robić zbyt wielu błędów. Czasami odbierała flet jakiejś biednej dziewczynie i tłuła ją po ramionach.

Po bębenkach, flecie i shamisenie nadchodził czas na lekcję śpiewu. Japończycy wręcz uwielbiają śpiewać na przyjęciach, a przecież do Gion przychodzili tylko po to, żeby się zabawić. Gejsza, jeśli nawet nie ma zbyt dobrego głosu i nie zamierza śpiewać w towarzystwie mężczyzn, musi ćwiczyć, by lepiej zrozumieć zasady rządzące na przykład tańcem. Nasze tańce ściśle są połączone ze szczególnym rodzajem muzyki wykonywanej na shamisenie, z reguły z towarzyszeniem śpiewu.

Są różne rodzaje pieśni – dużo więcej, niż potrafię zliczyć – lecz na lekcjach uczono nas przede wszystkim pięciu. Popularne ballady, śpiewne monologi, rodem z teatru kabuki, czasem jakiś krótki poemat muzyczny... Nie ma sensu, by je opisywać. Powiem tylko, że choć dla mnie były najpiękniejsze w świecie, w uszach cudzoziemców brzmiały jak płaczliwe miauczenie kota na dziedzińcu świątyni. To

prawda, że tradycyjne japońskie pieśni wymagają częstego jodłowania i czasem są śpiewane tak gardłowym głosem, że dźwięk wydostaje się raczej z nosa niż z krtani, lecz to tylko kwestia odmiennych przyzwyczajzeń.

We wszystkich klasach taniec i muzyka stanowiły zaledwie część zajęć. Zwykła znajomość sztuki nigdy nie wystarczała, jeśli nie była poparta odpowiednim zachowaniem. Każda z nauczycielek zwracała wyjątkowo baczność na mamery swych podopiecznych. Nie darowały nawet uczennicy biegnącej przez korytarz w stronę ubikacji. Na lekcji shamisenu mogłyśmy na przykład dostać burę za niewłaściwy dobór słów w rozmowie, za prowincjonalny akcent, za zgarbione plecy albo za szuranie.

Prawie zawsze, gdy rozmawiałam o tym z cudzoziemcem, padało nieuchronne pytanie: „A kiedy uczyłaś się ikebany?”. Odpowiedź brzmi: nigdy. Każdy, kto zamierza zabawiać mężczyzn układaniem kwiatów, musi się przygotować na to, że potencjalny klient w krótkim czasie zaśnie. Pamiętaj, że gejsza jest przede wszystkim aktorką. Owszem, nalewa czasami piwa lub herbaty, ale nigdy nie biegnie do kuchni po nowy słoik pikli. Oprócz tego bywa tak omotana ciągłą obecnością służby i pokojówek, że ledwie umie posprzątać własny pokój, a cóż dopiero umiać kwiatami herbaciarnię.

Ostatnia z porannych lekcji w całości była poświęcona ceremonii herbacianej. Nie będę zagłębiała się w szczegóły, gdyż napisano o tym już całe tomy. Ogólnie rzecz biorąc, ceremonię prowadzą jedna lub dwie osoby, siedzące na wprost gości i w tradycyjny sposób parzące herbatę. Używa się do tego pięknie wykonanych czarek, bambusowych mieszadeł i tym podobnych rzeczy. Nawet gość staje się częścią ceremonii, bo musi trzymać czarkę i pić według ściśle określonych reguł. Myślisz, że to zwyczajny relaks...? Nie, raczej rodzaj tańca lub nawet medytacji. I wszystko na klęcząco. Do parzenia używa się herbacianych liści zmielonych na drobny proszek i zalanych gorącą wodą. Po dokładnym wymieszaniu powstaje zielona piana, którą nazywamy matcha. Cudzoziemcy nie bardzo ją lubią, gdyż wygląda jak zabarwione mydliny. Do jej gorzkiego smaku też trzeba się przyzwycząić.

Ceremonia herbaciana to niezwykle istotna część edukacji gejszy. Tym ważniejsza, że właśnie od niej rozpoczyna się większość prywatnych przyjęć. Widzowie, tłumnie ściągający na tańce z Gion, też przed pokazem są częstowani herbatą.

Moją mistrzynią była całkiem młoda, co najwyżej dwudziestopięcioletnia dziewczyna. Nie należała do najlepszych gejsz, ale każdy gest ceremonii traktowała niemal jak świętość. Zakrawało to na obsesję. Jej entuzjazm był jednak tak zaraźliwy, że nie miałam żadnych kłopotów z nauką. Spokojna atmosfera ostatniej lekcji pozwalała zapomnieć o ciężkim poranku. Do dziś przy herbacie odpoczywam równie dobrze jak we śnie.

A jednak nie sztuki piękne są najtrudniejszym elementem nauki. Najgorszy bywa gorączkowy pośpiech. Gejsza calutki ranek spędza na zajęciach, a przez resztę dnia musi po prostu pracować. Śpi nie więcej niż trzy do pięciu godzin na dobę. Podejrzewam, że swoim życiem mogłabym obdzielić ze dwie „normalne” osoby. Pewnie miałabym trochę lżej, gdyby Mama – jak to zrobiła z Dynią – odjęła mi część obowiązków, ona jednak, ze względu na zakład z Mamehą, nawet o tym nie pomyślała. Drobną pomoc służących nie miała najmniejszego znaczenia, gdyż i tak tyrałam w pocie czoła, a potem jeszcze wymagano, żebym przynajmniej godzinę dziennie grała na shamisenie. Zimą wraz z Dynią hartowałyśmy dłonie, aż do bólu mocząc je w lodowatej wodzie, a potem ćwiczyłyśmy na mroźnym powietrzu. Wiem, że to brzmi okrutnie, lecz takie były czasy. Prawdę mówiąc, hartowanie rąk przyniosło pożądany efekt. Grałam coraz lepiej. Widzisz, trema na ogół pozbawia czucia w palcach, więc dobrze jest przywyknąć do ruchów zdrętwiałymi dłońmi. Mniej masz wtedy kłopotów po wyjściu na scenę.

Początkowo grywałam wspólnie z Dynią, tuż po godzinnej lekcji czytania i pisania, jaką zawsze fundowała nam Ciocia. Od przyjazdu do Kioto uczyłam się japońskiego. Ciocia kładła też duży nacisk na dobre zachowanie. Uwielbiałam popołudniowe ćwiczenia z Dynią. Oczywiście, jeśli zbyt często wybuchałyśmy śmiechem, Ciocia lub któraś ze służących zbiegała na podwórko, by obrzucić nas złym spojrzeniem. Wystarczyło jednak, że brzdąkałyśmy sobie, przy okazji zajęte niegłośną rozmową, i nikt nam nie przeszkadzał. Zawsze wyczekiwałam takiej chwili.

Pewnego dnia, kiedy Dynia usiłowała mnie nauczyć, jak złączyć w jedną całość niesforne nuty, w korytarzu stanęła Hatsumomo. Nawet nie słyszałyśmy, jak weszła do okiia.

– Proszę, proszę... oto i domniemana siostrzyczka Mamehy! – zawołała. Nazwała mnie „domniemaną”, bo wciąż czekałam na ceremonię inicjacji na oficjalną kandydatkę na gejszę.

– Dziwisz się, że nie mówię do ciebie „głuptasie”? – spytała Hatsumomo. – Po tym, co zobaczyłam, zarezerwowałam to przezwisko dla Dyni.

Biedna Dynia bezradnie opuściła shamisen. Wyglądała jak pies z podkulonym ogonem.

– Zrobiłam coś złego? – wyjąkała.

Nie musiałam patrzeć na Hatsumomo, by widzieć grymas gniewu na jej pięknej twarzy. Bałam się, co nastąpi dalej.

– Nie! – syknęła gejsza w odpowiedzi na pytanie Dyni. – Nie sądziłam, że stać cię na takie poświęcenie. – Przepraszam, Hatsumomo – wyszeptła Dynia. – Ja tylko próbowałam pomóc naszej Chiyo...

– Chiyo wcale nie potrzebuje twojej pomocy. Jak jej nie idzie z shamisenem, to niech się zwróci do mistrzyni. Zamiast głowy masz pustą tykwę!

Po tych słowach Hatsumomo tak mocno uszczypnęła Dynię w usta, że nieszczęsna dziewczyna wypuściła shamisen. Potoczył się po drewnianym podeście i upadł na podwórko.

– Musimy porozmawiać – złowieszczo oznajmiła gejsza. – Schowaj instrument. Chwilę tu postoję, żeby dopilnować, byś na nowo nie narobiła głupot.

Biedna Dynia zsunęła się z podestu i zaczęła rozkładać shamisen. Kątem oka rzuciła mi płaczliwe spojrzenie. Próbowałam choć wzrokiem dodać jej otuchy, lecz jej twarz zaczęła dygotać niczym ziemia poruszona nagłym trzęsieniem. Wreszcie odłożyła na bok części instrumentu, uniosła dłoń do ust – które już zaczęły sinieć – i wybuchnęła płaczem. Hatsumomo natychmiast złagodniała, jak niebo po gwałtownej burzy, i popatrzyła na mnie z triumfalnym uśmiechem.

– Musisz sobie poszukać innej przyjaciółki – powiedziała – bo po dzisiejszym dniu Dynia już nie zechce z tobą więcej rozmawiać. Prawda?

Dynia potulnie pokiwała głową. Nie miała innego wyboru, choć widziałam, że było jej bardzo przykro. Nigdy już nie ćwiczyłyśmy razem.

Wspomniałam o tym wydarzeniu przy następnym spotkaniu z Mamehą.

– Mam nadzieję, że dobrze zapamiętasz groźby Hatsumomo – odparła. – Skoro Dyni nie wolno rozmawiać z tobą, ty także za nic w świecie nie możesz jej zagadywać. Po pierwsze, mogłabyś ją wpędzić w jakieś dalsze kłopoty, a po drugie,

Hatsumomo ma teraz nad nią niepodzielną władzę. Bez wątpienia kazała jej donosić o wszystkim. Koniec z zaufaniem.

Ogarnął mnie tak wielki smutek, że przez kilka chwil nie mogłam wydusić ani słowa.

– Ktoś, kto musi walczyć z Hatsumomo, ma tyle szans, ile świnia w rzeźni – westchnęłam wreszcie.

Myślałam oczywiście o Dyni, ale Mameha zrozumiała, że mówię o sobie.

– To prawda – odpowiedziała. – Wygrasz tylko wówczas, gdy staniesz się sławna i zajmiesz jej miejsce.

– Wszyscy zgodnie twierdzą, że nikt jej nie dorówna. Jak zyskam taką popularność? .

– Nie chodzi o popularność – sprostowała Mameha. Najważniejszy jest własny sukces. Spójrz na mnie. Mieszkam w wygodnym domu i mam dwie pokojówki. Hatsumomo, chociaż bywa na nie mniejszej liczbie przyjęć, wciąż zajmuje pokój w Nitta okiya. Dobra gejsza potrafi zadbać o niezależność. Póki nie zgromadzi własnej kolekcji kimon lub nie stanie się „córka” właścicielki okiya, wciąż musi spełniać rozkazy innych. Widziałaś kilka moich kimon, prawda? Jak myślisz, skąd je wzięłam?

– Sądziłam, że ktoś panią adoptował...

– Pięć lat temu jeszcze mieszkałam w okiya. Właścicielka miała rodzoną córkę. Nawet nie pomyślała o adopcji.

– Więc... jeśli wolno spytać... Sama pani kupiła wszystkie swoje stroje?

– Och, Chiyo... Ile twoim zdaniem zarabia gejsza? Zbiór kimon to nie tylko dwie, trzy odpowiednie szaty na każdą porę roku. Część klientów stale odwiedza Gion. Znudziliby się, gdybym każdej nocy wyglądała tak samo.

Musiałam chyba zrobić nietęgą minę, gdyż Mameha, patrząc na mnie, wybuchnęła śmiechem.

– Rozchmurz się, Chiyo-chan. Rozwiążę tę zagadkę. Mój danna to szczodry człowiek i to on kupił mi większość kimon. Dlatego też uważam się za szczęśliwszą od Hatsumomo. Mam bogatego danna, a ona już od lat pozostaje sama.

Dostatecznie długo przebywałam w Gion, by wiedzieć, o kim mówiła Mameha. Danna to słowo za moich czasów używane przez żonę na określenie męża. W ustach

gejszy ma jednak nieco inne znaczenie. Gejsza nie wychodzi za mąż, przynajmniej póty, póki pozostaje gejszą.

Zdarza się, że po przyjęciu z udziałem gejszy klient zaczyna odczuwać dziwny niedosyt. Pragnie czegoś więcej niż zwykłego flirtu. Czasem idzie prosto do dzielnicy Miyagawa, by zostawić zapach własnego potu w jakimś paskudnym domu, takim jak ten, który oglądałam w noc, gdy znalazłam Satsu: Innym razem, zdobywszy się na odwagę, pyta szeptem o wysokość dodatkowej „opłaty”. Gejsza niższej klasy na ogół nie odrzuca podobnej oferty. Nawet bywa szczęśliwa z dodatkowego zarobku. Co prawda każe się nazywać gejszą; a jej imię figuruje w oficjalnych spisach, lecz wystarczy popatrzeć, jak gra, śpiewa lub zasiada do parzenia herbaty, aby zauważyć wyraźną różnicę. Prawdziwa gejsza nigdy nie zaprzeda własnej reputacji, aby utrzymać przygodne znajomości.

Nie twierdzą, że żadna z nas nie uległa podszeptom serca. Związek taki jednakże jest prywatną sprawą. Gejsza – jak każdy człowiek – ma własne uczucia. Zdarza się, że czasami popełnia błędy. Podejmując ryzyko, liczy tylko na to, że zdoła zachować romans w tajemnicy. A stracić może wiele – nie tylko własny prestiż, ale i opiekuna. Może popaść w konflikt z właścicielką okiia. Jej postęпки dadzą się tłumaczyć wyłącznie namiętnością. Nie ryzykuje dla pieniędzy, które równie dobrze potraci zarobić w całkiem odmienny sposób.

Stąd wniosek, że w Gion nie wykupisz nocy z gejszą pierwszego lub drugiego Bortu. Jeśli jednak się znajdzie odpowiedni człowiek zainteresowany nie tyle przelotną zabawą, ile czymś dużo trwalszym – i skłonny jest dobrze płacić za swoje przywileje – gejsza wchodzi z nim w długotrwały związek. Biesiady są bardzo miłe, lecz prawdziwy luksus może zapewnić tylko bogaty danna. Samotna gejsza – taka jak Hatsumomo – w rzeczy samej przypomina ulicznego kota, którego nawet nie ma kto nakarmić.

Sądzi się pewnie, że taka piękność jak Hatsumomo z trudem się opędzała od kandydatów na danna. I rzeczywiście, był ich cały legion. Prawdę mówiąc, jednego danna już miała. Niestety wdała się o coś w kłótnię z właścicielką herbaciarni Mizuki, a ta z zemsty odprawiała wszelkich konkurentów. Oficjalnie Hatsumomo była już zajęta, chociaż tak naprawdę nie była. Kłótnią zaszkodziła wyłącznie sobie. Zarabiała wystarczająco dużo, by przypodobać się Mamie, ale bez zamożnego danna nie mogła sobie kupić prawdziwej wolności i raz na zawsze wynieść się z okiia. Nie mogła też

porzucić Mizuki, gdyż nie przyjąłby jej żaden inny lokal w Gion, w obawie przed nieuchronną zwadą z najpopularniejszą herbaciarnią.

Oczywiście przeciętna gejsza nie ma aż takich kłopotów. Większość czasu spędza na zabawianiu mężczyzn, w nadziei, że któryś z nich zechce zostać jej stałym opiekunem. Bywa, że potencjalny kandydat nie dorasta do oczekiwań: jest zbyt biedny lub wycofuje się chyłkiem, gdy ktoś z cicha złoży mu propozycję, aby na znak dobrej woli kupił kosztowne kimono. Czasami negocjacje ciągną się tygodniami. Kiedy strony dojdą już wreszcie do porozumienia, gejsza i jej nowy danna biorą udział w podniosłej ceremonii, podobnej do tej, która towarzyszy „adopcji” siostry. Związek zazwyczaj trwa pół roku; rzadko dłużej, gdyż mężczyźni łatwo się nudzą. Zgodnie z postanowieniami umowy danna spłaca część długów gejszy i pokrywa gros miesięcznych wydatków związanych z jej utrzymaniem. Innymi skowry, płaci za kosmetyki, kursy i – w miarę potrzeb – za opiekę medyczną i tym podobne rzeczy. Nie dostaje ulgi w opłatach za czas przebywania z gejszą, może jednak korzystać z innych „przywilejów”.

Takie były zasady, gdy chodziło o zwykłą gejszę. Te najslynniejsze – a żyło ich ze trzydzieści lub czterdzieści w Gion – oczekiwały czegoś więcej. Żadna nie zamierzała rozmieniać się na drobne; miały tylko jednego lub najwyżej dwóch danna. Opiekun łożył na całe utrzymanie, na lekcje, na rejestrację, na posiłki i jeszcze dodawał kieszonkowe. Oprócz tego opłacał występy taneczne, kupował kimona i biżuterię. Za spędzone wspólnie godziny nie płacił zwyczajowej ceny; stawka była wyższa, zależnie od uznania.

Mameha bez wątpienia należała do najslynniejszych. Z czasem się dowiedziałam, że była jedną z trzech najlepiej znanych gejsz w Japonii. Może coś słyszałeś o pięknej Mametsuki, uwikłanej w romans z premierem tuż przed pierwszą wojną światową? Wynikł z tego niemały skandal. Otóż ta właśnie Mametsuki była starszą siostrą Mamehy – dlatego ich imiona zaczynały się znakiem „Marne”. Młodsza gejsza z reguły przejmuje część imienia starszej.

Taka siostra jak Mametsuki stała się dla Mamehy dobrą gwarancją przyszłej sławy, lecz nie dość na tym. Na początku lat dwudziestych Japońskie Biuro Podróży podjęło pierwszą kampanię reklamową o dużym zasięgu. Plakaty przedstawiały pagodę świątyni Toji z południowo-wschodniej części Kioto, kwitnące drzewo wiśni i

młodziutką gejszę. Gejsza wyglądała ślicznie – skromna, pełna gracji i delikatnej urody. To była właśnie Mameha.

Powiedzieć, że zyskała sławę, to stanowczo za mało. Plakaty rozwieszano w każdej metropolii świata, z hasłem *Odwiedzajcie Kraj Wschodzącego Słońca*, wypisanym w najróżniejszych językach. Po angielsku, niemiecku, francusku, rosyjsku... i w innych, o jakich nawet nie słyszałam. Mameha miała zaledwie szesnaście lat, a już przyjmowała wizyty polityków i mężów stanu, którzy w tamtych latach trafiali do Japonii. Arystokraci z Niemiec, z Anglii oraz milionerzy ze Stanów Zjednoczonych... Z jej rąk pijał sake wielki Thomas Mann, racząc ją w zamian długą, niemal godzinną opowieścią, niezgrabnie przekładaną przez tłumacza. Był też i Charlie Chaplin, i Sun Jat-sen, i później Ernest Hemingway, który stwierdził, że jej piękne karminowe usta w połączeniu z kredowobiałą twarzą przypominają mu krew na śniegu. W następnych latach popularność Mamehy ugruntowały świetne występy taneczne na deskach tokijskiego teatru Kabukiza, podziwiane zazwyczaj przez premiera i innych luminarzy.

W czasie pierwszych spotkań z Mamehą nic o tym nie wiedziałam. Chyba to nawet dobrze, gdyż w przeciwnym razie czułabym się doszczętnie przytłoczona jej obecnością.

Mameha okazała się tak łaskawa, że tamtego dnia pozwoliła mi po prostu siedzieć i słuchać. Gdy uznała, że coś zrozumiałam, zakończyła tymi słowami:

— Po wprowadzeniu będziesz młodszą gejszą aż do osiemnastego roku życia. Potem potrzebny ci *danna*, do spłacenia długów. Dobry *danna*. Zrobię wszystko, byś była znana w Gion, ty zaś w zamian za wszelką cenę musisz się nauczyć tańca. Jeśli do szesnastych urodzin nie osiągniesz piątego stopnia, nie będę mogła ci pomóc. Pani Nitta z satysfakcją wygra nasz zakład.

— Ale Mameha-san... —jęknęłam. — Nie rozumiem, co ma do tego taniec?

— Wszystko — odpowiedziała. — Popatrz tylko na najsłynniejsze gejszę w Gion. Każda z nich jest wyśmienitą tancerką.

Taniec to najbardziej poważana sztuka gejszy, zarezerwowana wyłącznie dla najpiękniejszych i najbardziej utalentowanych dziewcząt. Nic — z wyjątkiem może ceremonii herbacianej — nie może się poszczycić równie bogatą tradycją. Szkoła tańca

Inoue, praktykowana przez gejszę z Gion, czerpie wzory z dramatów no. Teatr no jest naprawdę stary i zawsze cieszył się poparciem dworu cesarskiego. Z tego względu tancerki z Gion nieco pogardliwie patrzą na gejszę z leżącej za rzeką dzielnicy Pontocho. Tańce Pontocho wywodzą się z plebejskiego teatru kabuki. Dziś jestem wielką miłośniczką kabuki; los sprawił, że do mych przyjaciół zaliczałam wielu sławnych aktorów. Lecz ów teatr ma stosunkowo krótkie dzieje, powstał dopiero w osiemnastym wieku. Podziwiany przez prostych ludzi, nie znajdował poklasku wśród dworzan. Tańców z Pontocho w żaden sposób nie da się porównać ze szkołą Inoue z Gion.

Wszystkie młode gejsze uczą się sztuki tańca, lecz, jak już wspominałam, do grona prawdziwych tancerek trafiają tylko najpiękniejsze i najzdolniejsze. Te z kolei mają mniej zajęć z shamisenem i śpiewu. Dyni, z powodu jej puciołowatej, miękkiej twarzy, nie wybrano na tancerkę, więc dalej znęcała się nad shamisenem. Ja nie byłam skończoną piękną w rodzaju Hatsumomo i musiałam dopiero udowodnić, że stać mnie doprawdy na wiele.

Przez Hatsumomo zaczęłam nie najlepiej. Moja ówczesna mistrzyni miała około pięćdziesiątki i wśród dziewcząt nosiła przezwisko „Kuper”, gdyż pod brodą tworzył się jej ze skóry niewielki goły zadek. Pani Kuper — jak wszyscy w Gion — serdecznie nie cierpiała Hatsumomo. Ta знаła jej nastawienie, więc cóż zrobiła? Przyszła — a usłyszałam o tym wiele lat później z ust samej pani Kuper — i powiedziała:

— Mogę panią prosić o niewielką grzeczność? Wpadła mi w oko jedna z pani dziewczynek. Wygląda na utalentowaną. Będę niezwykle wdzięczna, gdy dowiem się od pani, jak ona sobie radzi. Ma na imię Chiyo i budzi moje najszczerze zainteresowanie. Pozostanę pani dozgonną dłużniczką, jeśli jej pani udzieli stosownej pomocy.

Nie musiała mówić nic więcej, gdyż Pani Kuper od razu dała mi „stosowną pomoc”. Ruszałam się całkiem niezłe, lecz od tamtej pory służyłam za żywy przykład, jak nie należy tańczyć. Pamiętam, że pewnego ranka ćwiczyłyśmy prosty ruch ręką, w poprzek ciała, z energicznym tupnięciem w matę. Miałyśmy to robić razem, całą klasą, ale jak to bywa na pierwszych zajęciach, każda z nas tańczyła w swoim własnym tempie, więc na koniec, zamiast zgranego huku, rozległ się głuchy tupot, jakby ktoś rozsypał worek fasoli. Zaręczam ci, że nie byłam najgorsza ze wszystkich, lecz Pani

Kuper stanęła tuż przede mną, zatrzęsała „zadkiem” na brodzie i kilkakrotnie trzepnęła się wachlarzem w biodro. Wreszcie — tym samym składanym wachlarzem — pacnęła mnie po głowie.

— Nie tupie się, jak popadnie — oznajmiła — i nie wykrzywia twarzy.

W tańcach szkoły Inoue twarz tancerki pozostaje całkiem nieruchoma, na wzór i podobieństwo maski z teatru no. Zabolało mnie jednak, że dostałam burę, podczas gdy mistrzyni sama trzęsała tym... kuprem. Prawie się rozplakałam, a dziewczyny wybuchnęły śmiechem. Pani Kuper za złe zachowanie na resztę lekcji wyrzuciła mnie z klasy.

Nie wiem, co by ze mną było w efekcie takiej „pomocy”. Szczęściem Mameha przyszła do szkoły na rozmowę i wyjaśniła, o co chodzi. Pani Kuper już wcześniej nie lubiła Hatsumomo, ale po tej przygodzie znienawidziła ją na dobre. Nikt nie lubi być wystrychnięty na dudka. Ja zaś po kryjomu cieszyłam się z takiego obrotu sprawy, gdyż Pani Kuper w poczuciu winy uczyniła mnie swoją najlepszą uczennicą.

Wcale nie twierdzę, że miałam jakiś wrodzony talent do tańca czy czegokolwiek innego. A jednak za wszelką cenę chciałam poświęcić się pracy i tylko pracy, aż do pełnego osiągnięcia celu. Od czasu wiosennego spotkania z Prezesem zapragnęłam być gejszą i znaleźć własne miejsce w świecie. Nie zamierzałam przegrać szansy ofiarowanej mi przez Mamehę. Z drugiej strony, przez pierwsze pół roku czułam się przytłoczona nawałem obowiązków i zajęć. Potem nagle odkryłam, że wystarczy niewielka sztuczka, abym mogła podolać wszelkim trudom. Grę na shamisenie ćwiczyłam, chodząc po zakupy. Po prostu powtarzałam w myślach zadaną melodię i wyobrażałam sobie, że wodzę lewą dłonią po progach i że uderzam w struny plektronem. W ten sposób, jak tylko brałam prawdziwy instrument, nawet po jednej próbie umiałam poprawnie zagrać. Niektórzy przypuszczali, że nie muszę się uczyć, nie wiedzieli bowiem, że dzień w dzień praktykowałam na ulicach Gion.

Zgoła innej sztuczki używałam do ballad i pieśni. Od dzieciństwa miałam dość dobry słuch i nawet po dniu przerwy potrafiłam powtórzyć raz zasłyszaną melodię. Nie wiem dlaczego... ot, taka głowa. Zapisywałam przed zaśnięciem słowa pieśni na skrawku papieru i rano, tuż po przebudzeniu, na świeży umysł czytałam wieczorną notatkę. Zazwyczaj to pomagało, lecz muzyka sprawiała mi większą trudność. Usiłowałam myśleć obrazami, kojarzącymi się z melodią. Gałąź spadająca z drzewa

była odzwierciedleniem bębna, a strumień mknący po kamieniach przypominał mi, że należy mocniej docisnąć strunę, by wydobyć inny ton. W ten sposób pieśń stawała się przechadzka po pięknej okolicy.

Oczywiście zasadniczym wyzwaniem i dziełem o najwyższym znaczeniu był taniec. Całymi miesiącami imiałam się rozmaitych trików, lecz nie trafiłam na właściwy. Pewnego dnia dostałam ostrą burę od Cioci, bo zalałam herbatą czasopismo, które właśnie czytała. Odczułam to szczególnie dotkliwie, bo tuż przedtem myślałam o niej z niekłamaną sympatią. Ogarnął mnie nagły smutek i wspomniałam Satsu, samotnie błakającą się gdzieś po Japonii. Wspomniałam matkę, z nadzieją, że odnalazła szczęście w raj, i ojca, który mnie po prostu sprzedał i ostatnie dni życia spędził sam jak palec. Zawładnęła mną dziwna ociężałość. Weszłam po schodach na piętro, do pokoju, który dzieliłam z Dynią. Tak, miałam teraz pokój, gdyż Mama zaraz po wizycie Mamehy zabrała mnie z korytarza. Weszłam więc do pokoju, lecz zamiast z płaczem rzucić się na matę, wykonałam płynny ruch ręką w poprzek piersi. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Ruch był elementem tańca, który ćwiczyłam rano i który wydawał mi się bardzo smutny. W tej samej chwili pomyślałam o Prezesie i o tym, jak inaczej wyglądałoby moje życie, gdybym miała przy sobie kogoś takiego. Popatrzyłam na rękę — jej gładki, posuwisty ruch jak najlepiej wyrażał mój żal i tęsknotę. Ze swoistą dumą sunęła w powietrzu: nie liść z trzepotem spadający z drzewa, lecz parowiec dostojnie płynący przez fale. Pod pojęciem „duma” rozumiem wiarę w siebie, pewność, że ani powiew wiatru, ani nawet wir wodny nie zawrócą mnie z raz obranej drogi.

Odkryłam wówczas, że brzemienna smutkiem ruszam się z większą powagą i gracją. Każdy gest i krok tańca wzmacniał mą duchową więź z nieobecnym Prezesem. Lekkie przekrzywienie głowy wyrażało nieme pytanie: „Wybierzemy się gdzieś wieczorem?”. Rozpostarty wachlarz w wyciągniętej ręce był dowodem wdzięczności za zaszczyt przebywania w miłym towarzystwie. A kiedy pod sam koniec zamknęłam go z trzaskiem, zabrzmiało to jak obietnica dalszych przyjemności

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wiosną tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku miałam już za sobą pełne dwa lata zajęć. Hatsumomo przekonała Mamę, że nadszedł najwyższy czas na debiut Dyni. Nikt mi o tym, rzecz jasna, nie powiedział, bo Dynia miała ścisły zakaz wszelkich kontaktów ze mną, a Mama i Hatsumomo nie kłopotowały się takimi drobiazgami. Dowiedziałam się, co zaszło, kiedy Dynia, po krótkim pobycie w mieście, wróciła do okiia uczesana jak młoda gejsza, w stylu momoware, co dosłownie znaczy „pęknięta brzoskwinia”. Kiedy ją zobaczyłam wchodzącą do sieni, aż mnie zemdlilo z zazdrości i rozczarowania. Ani razu nie spojrzała w moją stronę; pewnie dręczyło ją bezsensowne poczucie winy. Zwykle czesała włosy w koński ogon, teraz – z fryzurą kunsztownie ułożoną na skroniach – wyglądała na prawdziwą damę, co dziwnie kontrastowało z jej dziecięcą buzią. Przez całe lata wodziłyśmy wzrokiem za podobnie uczesanymi dziewczętami. Dynia już wkraczała do grona prawdziwych gejsz, ja zaś pozostawałam z tyłu i nie mogłam jej nawet wypytać o nowe doświadczenia.

Potem nadszedł dzień, gdy włożyła kimono i poszła za Hatsumomo do herbaciarni Mizuki. Tam miały oficjalnie zawrzeć siostrzany związek. Ciocia z Mamą wyszły na korytarz okiia. Mnie co prawda nikt nie zapraszał, lecz poczekałam w kącie, póki Dynia w asyście kilku „dworek” nie wyłoniła się z pokoju. Nosila czarną szatę, ozdobioną godłem Nitta okiia, oraz złoto-granatowe obi. Twarz po raz pierwszy w życiu miała całkowicie białą. Sądziśz pewnie, że Wyglądała dumnie i pięknie z ozdobami we włosach i karminową szminką na ustach? Nie, moim zdaniem wydawała się przestraszona. Szła z trudem; przeszkadzały jej liczne regalia. Mama wcisnęła Cioci w dłoń aparat i kazała jej zrobić zdjęcie w chwili, gdy z krzesiwa pierwszy raz na Dynię spadnie snop drobnych iskier. Reszta nas pozostała stłoczona w korytarzu, poza zasięgiem obiektywu. Druhny przytrzymały Dynię za ręce, kiedy zakładała wysokie drewniane sandały zwane okobo. Chodziły w nich wyłącznie świeżo upieczone gejsze. Potem Mama stanęła przy niej z krzesiwem w dłoni, choć na co dzień w tej roli występowała Ciocia lub któraś ze służących. Po zrobieniu ostatniej fotografii Dynia wykonała kilka chwiejnych kroków i odwróciła się w naszą stronę. Wszystkie wyszłyśmy na dwór, ale ona patrzyła tylko na mnie, i to takim wzrokiem, jakby usiłowała mnie przeprosić.

Wieczorem oficjalnie ogłoszono jej nowe imię: Hatsumiyo. „Hatsu” oczywiście pochodziło od „Hatsumomo”, lecz jeśli nawet miało jej pomóc w karierze, to nie spełniło przypisanej roli. Nikt go nie pamiętał i nikt nie używał – wszyscy mówili „Dyńia”, jak dawniej.

Niecierpliwie czekałam na chwilę, kiedy będę mogła porozmawiać z Mamehą o pierwszym występie Dyni. Niestety była wciąż zajęta i co chwila jeździła do Tokio na spotkanie z danna. Skutkiem tego nie widziałyśmy się prawie przez pół roku. Potem jeszcze minęło trochę czasu, zanim zaprosiła mnie do siebie. Kiedy weszłam do jej mieszkania, pokojówka wydała zdziwiony okrzyk. Chwilę później Mameha wyłoniła się z sypialni i też zająknęła się ze zdumienia. Nie wiedziałam, o co im chodzi. Klęknęłam, ukloniłam się i powiedziałam, że to wielki zaszczyt, iż znów mogę zawitać w tych progach. Mameha nie zwracała najmniejszej uwagi na moje słowa.

– Wielkie nieba, Tatsumi... – jęknęła do pokojówki. Rzeczywiście minęło tyle czasu? Prawie jej nie poznałam.

– Cieszę się, że to mówisz, pani – odpowiedziała Tatsumi. – Już się bałam, że mam kłopoty ze wzrokiem!

W dalszym ciągu nic z tego nie rozumiałam. Wreszcie sil domyśliłam, że chodziło wyłącznie o mój wygląd. Nieźle musiałam się zmienić przez minione pół roku. Mameha oglądała mnie na wszystkie strony i powtarzała w kółko:

– Wielkie nieba, wyrosłaś na prawdziwą kobietę!

W pewnej chwili Tatsumi kazała mi się podnieść i objęła ` mnie w pasie ramionami.

– Bez wątpienia będziesz pasować do kimona jak stopa do skarpetki! – zawołała potem. Uznałam to za komplement, bo się uśmiechała.

Wreszcie Mameha poleciła mi przejść do garderoby i przebrać się w odpowiednie kimono. Do tej pory miałam na sobie biało-niebieski ubiór, który zawsze nosiłam do szkoły. Tatsumi wybrała dla mnie granatową, jedwabną szatę, pokrytą czerwono-żółtym wzorem w kształcie maleńkich kół od powozu. Potem opasała mnie jasnozielonym obi. Przejrzałam się w dużym lustrze i uznałam, że gdyby nie proste uczesanie, wyglądałabym niczym gejsza zdążająca na bankiet. Dumnym krokiem wmaszerowałam do pokoju, czekając na kolejne wyrazy uwielbienia. Mameha wstała,

wetknęła chusteczkę do rękawa i podeszła do drzwi. Wsunęła stopy w zielone, lakowane zori i zerknęła przez ramię.

– Idziesz? – zapytała.

Znów nie wiedziałam, o co chodzi, ale zdębiałam na myśl, a że mam się zjawić na ulicy w towarzystwie Mamehy. Tatsumi podała mi drugą parę zori, o miękkiej szarej barwie. Potulnie zesłam za Mamehą po ciemnych schodach. Na dole natknęłyśmy się na jakąś starszą panią. Ta skłoniła się gejszy, a później grzecznie pochyliła głowę przede mną. Nie miałam najmniejszego pojęcia, jak zareagować, gdyż do tej pory nikt mnie me zauważał. W oślepiającym blasku dnia nawet nie zorientowałam się, czy naprawdę się znamy. Machinalnie odpowiedziałam ukłonem i za chwilę staruszka odeszła. Pomyślałam, że to pewnie była jedna z nauczycielek, ale zaraz potem sytuacja się powtórzyła – tym razem z udziałem pewnej młodej gejszy, którą od dawna podziwiałam, a która jeszcze wczoraj traktowała mnie jak powietrze.

Szłyśmy w dół ulicy i ciągle ktoś przystawał, żeby choć parę słów zamienić z Mamehą lub po prostu złożyć jej wyrazy uszanowania. Mnie także się kłaniano, ja się odklaniałam i w rezultacie dreptałam dwa kroki za gejszą. Mameha dosyć prędko spostrzegła moją mękę i pociągnęła mnie w boczną alejkę, na krótką lekcję poprawnego chodzenia. Kłopot z tym, wyjaśniła, że mój tułów ruszał się niezależnie od dolnych partii ciała. Niepotrzebnie przystawałam przy każdym ukłonie.

– Idź wolniej tylko wówczas, gdy jest to niezbędne – zakończyła. – Zatrzymuj się przy osobach, które darzysz respektem. Stawaj przed mistrzynią, ale wobec innych zachowuj się normalnie! Jak wciąż będziesz zwalniać, to, na wszystkich bogów, nie dojdiesz do niczego. Stąpaj równo, drobnym krokiem, tak by kimono lekko trzepotało. Chód kobiety winien być jak fala szeleszcząca po piaszczystym cyplu.

W przepisowy sposób przemierzyłam alejkę tam i z powrotem. Bez przerwy patrzyłam w dół, żeby sprawdzić, czy kimono odpowiednio furkocze. Mameha z uznaniem pokiwała głową i poszłyśmy dalej.

Spotkania były dwojakiemu rodzaju. Gdy mijałyśmy młodą gejszę, ta natychmiast przystawała i głębokim w pas ukłonem pozdrawiała Mamehę. Mameha odpowiadała lekkim skinieniem głowy bądź kilkoma miłymi słowami. Młoda gejsza przenosiła spojrzenie na mnie i z wahaniem ponawiała ukłon. Ja z kolei kłaniałam się jeszcze niżej, bo byłam najmłodsza.

Starszym paniom Mameha kłaniała się pierwsza, one zaś z godnością pochyliły głowę, a potem taksującym spojrzeniem spoglądały na mnie. Gięłam się aż do ziemi, jednocześnie próbując nie zgubić kroku.

Po południu znalazłam czas, żeby opowiedzieć Dyni o debiucie. Później miesiąc w miesiąc czekałam, że Mameha uczyni mnie swoją siostrą. Tymczasem przeszła wiosna i minęło lato, a tu na dobrą sprawę nie zaszły żadne zmiany. Dynia wiodła wspaniałe życie, mnie zaś pozostały brudne obowiązki, lekcje i króciutkie – bo trwające mniej więcej kwadrans – spotkania z Mamehą. Czasami udzielała mi prostych korepetycji, częściej jednak stroiła mnie w kimono i chodziłyśmy razem po zakupy albo do wróżbity, albo do perukarza. Nawet w deszczowe dni, gdy w zasadzie nie było nic do roboty, brałyśmy parasolki i szłyśmy do drogerii, aby zerknąć na nową dostawę włoskich perfum, lub też do krawca, żeby spytać, czy skończył szyć kimono, choć wyznaczony termin upływał dopiero za tydzień.

Początkowo myślałam, że wspólne spacerowanie mają przede wszystkim posłużyć nauce, gdyż Mameha bez przerwy szturchała mnie wachlarzem w plecy, żebym się nie garbiła. Udzielała też porad, jak postępować z ludźmi. A znała niemal wszystkich – i dla każdego znalazła miłe słowo, nawet dla najmłodszej służby, gdyż wiedziała, że to właśnie od nich w głównej mierze zależy popularność i sława. Pewnego dnia jednak, kiedy weszłyśmy do księgarni, zrozumiałam, że cel przechadzki w rzeczywistości był całkiem inny. Mameha nie kupiła ani jednej książki, nie musiała też ciągle chodzić ani do perukarza, ani do drogerii. Pozostałe zakupy były nadzwyczaj błahe – nic takiego, czego nie mogłaby załatwić służąca. Głównie chodziło o to, aby widywano nas razem. Bym była znana w Gion przed oficjalną prezentacją.

Pewnego słonecznego październikowego dnia wybrałyśmy się z Mamehą na bulwar, nad Shirakawę, by popatrzeć na liście wiśni spadające na wodę. Wiele osób przyszło tam dokładnie w tym samym celu i – jak mogłam się spodziewać – wszyscy pozdrawiali Mamehę. Powiem więcej: mnie także się kłaniali.

– Zdążyli cię już trochę poznać, prawda? – zapytała Mameha.

– Podejrzewam, że niektórzy z nich kłanialiby się nawet owcy, gdyby ją zobaczyli w pani towarzystwie – odpowiedziałam.

– Przed wszystkim owcy – przytaknęła. – To było prawdziwe wydarzenie. Ale, poważnie mówiąc, wiele osób pyta mnie o dziewczynę o pięknych szarych oczach. Nie znają cię z imienia, ale to nie ma nic do rzeczy. Niedługo koniec z Chiyo.

– Mameha-san, czy to znaczy...

– To znaczy, że ostatnio byłam u pana Wazy.

Waza-san był jej ulubionym wróżbitą.

– Oznajmił mi, że trzeci listopada będzie odpowiednim dniem na twój debiut.

Przystanąła, żeby mi się lepiej przyjrzeć. Zamarłam jak pień drzewa, tylko oczy miałam maleńkie niczym ziarnka ryżu. Nie krzyknęłam i nie klasnęłam w dłonie, bo tak byłam przepelniona szczęściem, że aż zaniemówiłam. Po dłuższej chwili złożyłam głęboki pokłon przed Mamehą.

– Będiesz doskonałą gejszą – powiedziała. – A jeszcze więcej zyskasz, gdy zapanujesz nad oczami. Wzrokiem da się niejedno wyrazić.

– Wzrokiem? – powtórzyłam z niezbyt mądrą miną. – Oczy to najbardziej ekspresyjna część kobiecego ciała. Zwłaszcza u ciebie. Zaczekaj tutaj.

Skręciła za róg, zostawiając mnie samą w alejce. Chwilę później wróciła. Minęła mnie bez słowa, patrząc w drugą stronę. Miałam nieodparte wrażenie, że bała się na mnie spojrzeć.

– Co byś pomyślała na miejscu mężczyzny? – spytała chwilę potem.

– Pomyślałabym: tak się boi patrzeć w moją stronę, że nie potrafi myśleć o czymkolwiek innym.

– A nie wpadło ci do głowy, że po prostu spoglądam w rynsztok?

– Nie. Zbyt mocno była pani podszyta strachem.

– I o to chodzi. Dziewczyna z pięknym profilem nigdy przypadkowo nie zdradza swoich uczuć. A mężczyźni zawsze będą zaglądać ci w oczy i wyobrażać sobie, że znajdują w nich jakieś przesłanie. Patrz teraz.

Znów zniknęła za rogiem, potem wyszła, jakby rozmarzona, z wzrokiem utkwionym w ziemię. Mijając mnie, nagle zerknęła mi w oczy, lecz zaraz spojrzała w bok, jakby przestraszona. Przyznam, że zrobiło to na mnie niezwykle wrażenie. Gdybym była mężczyzną, zaczęłabym podejrzewać, że w grę wchodzi doprawdy niezwykle uczucia.

– Widzisz, ile można działać najzwyczajszym wzrokiem? – zapytała Mameha.
– Pomyśl teraz, do czego zdolne są twoje szare oczy. Wcale bym się nie dziwiła, gdybyś potrafiła sprawić, że już dziś na twój widok mdleliby na ulicy.

– Mameha-san! – zawołałam. – Wiedziałabym przecież, gdyby tak naprawdę było!

– Dziwi mnie, że nie wiesz. Dobrze, zawrzemy umowę. Uznam, że naprawdę nadszedł czas na twój debiut, kiedy spojrzeniem wstrzymasz mężczyznę w pół kroku.

Tak bardzo chciałam wreszcie zostać gejszą, że pewnie próbowałabym wzrokiem ruszyć drzewo, gdyby Mameha tego zażądała. Zapytałam, czy mogę od razu zacząć trening. Zgodziła się z radością. Pierwszym mężczyzną, którego spotkałyśmy, był staruszek tak chudy, że wyglądał jak szkielet wciśnięty w kimono. Pomału szedł o lasce i nosił brudne i przydymione okulary. Nie dziwiłabym się, gdyby w pewnej chwili rąbnął nosem w ścianę. W ogóle mnie nie zauważył powędrowałyśmy więc dalej, na aleję Shijo. Wkrótce zobaczyłam dwóch biznesmenów w zachodnich garniturach. Z nimi mi się nie powiodło. Albo znali Mamehę, albo uważali ją za piękniejszą ode mnie, gdyż przez cały czas nie odrywali od niej wzroku.

Już miałam dać za wygraną, gdy napatoczył się jakiś chłopak, może dwudziestolatek, z tacą pełną pudełek i misek. W tamtych latach wiele restauracji w Gion prowadziło sprzedaż z dostawą, a wieczorami gońcy zbierali puste naczynia. Zwykle wkładali je do pudła uczeponego do roweru. Nie wiem, dlaczego ten używał właśnie tacy. W każdym razie był pół przecznicy od nas, kiedy Mameha powiedziała:

– Postaraj się, żeby to upuścił.

Zanim zdążyłam sprawdzić, czy ze mnie nie żartuje, skręciła w boczną ścieżkę i znikła.

Nie wierzyłam, by jakiś młodzian mógł się pogubić pod wpływem spojrzenia czternastoletniej dziewczyny – ani żadnej innej pani, niezależnie od wieku. Takie rzeczy zdarzają się tylko w powieściach i filmach. Pewnie bym się poddała, nawet nie próbując, gdyby nie dwie ważne rzeczy. Po pierwsze, chłopak już spozierał na mnie jak głodny kot na sperkę, a po drugie – ta ulica, w odróżnieniu od innych w Gion, była okolona wysokim krawężnikiem. Pomyślałam sobie, że jeśli dobrze zagram wyznaczoną rolę, chłopak niechcący spadnie z krawężnika i przy okazji upuści tacę. Wbiłam więc wzrok w chodnik i poszłam dalej. Chwilę potem wypróbowałam sztuczkę Mamehy; zerknęłam młodzieńcowi w oczy i spłoszona spojrzałam w bok. Kilka

kroków dalej zrobiłam to samo. Wlepił we mnie gały jak zahipnotyzowany. Zapomniał o całym świecie, co niesie i gdzie idzie. Byłam blisko, więc musiał usunąć się na bok, żeby zrobić mi przejście. Wtedy właśnie spojrzałam na niego po raz trzeci. Odskoczył, trafił nogą w rynsztok i grzmotnął z całą tacą na ziemię. Nie potrafiłam powstrzymać się od śmiechu. Na szczęście on się też roześmiał. Pomogłam mu pozbierać rozsypane naczynia. Podziękował mi zamaszystym ukłonem, a ja obdarzyłam go lekkim uśmiechem. Jeszcze nikt tak głęboko nie kłaniał się przede mną. Po chwili poszedł w swoją stronę.

Nie musiałam zbyt długo czekać na Mamehę. Widziała wszystko.

– Moim zdaniem, jesteś w pełni gotowa – oznajmiła i przeszłyśmy na drugą stronę ulicy, do domu wróżbity, pana Wazy. Mameha poleciła mu odszukać wszelkie ważne daty powiązane z moim debiutem. Dowiedziałam się więc dokładnie, kiedy iść do świątyni, by wyjawić swój zamiar bogom, kiedy zmienić fryzurę i kiedy już na dobre przenieść się do Mamehy.

Przez całą noc nie mogłam zmrużyć oka. Byłam tuż o krok od osiągnięcia celu! Aż mnie brzuch rozbolał od ciągłego myślenia. Włożę piękne kimono i stanę wśród mężczyzn... Poczułam, że dłonie mam śliskie od potu. Nerwowe dreszcze przebiegały mi od kolan do piersi. W wyobraźni widziałam wnętrze herbaciarni i drzwi wiodące do sali gościnnej... Ktoś je nagle odsunął i głowy wszystkich gości odwróciły się w moją stronę. Był tam także i Prezes. Chwilę później wszyscy inni zniknęli; zostaliśmy sami. Nie nosił garnituru, ale luźny japoński ubiór, wkładany zwykle wieczorem. W gładkich jak wypolerowane drewno dłoniach trzymał czarękę. Chciał, żebym mu naląła sake i nie spuszczał ze mnie spojrzenia.

Miałam wówczas zaledwie czternaście lat, lecz wydawało mi się, że przeżyłam dwa życia. Nowe życie wciąż trwało, stare dawno zostawiłam za sobą. Minęło wiele lat od chwili, gdy usłyszałam smutne wieści o mojej rodzinie. Fascynujące, jak przez ten czas uległ zmianie mój tok myślenia. Wszyscy wiemy, że zimowy pejzaż pól i lasów, suto przyprószonego śniegiem, wiosną staje się nie do poznania. I nikt nawet nie przypuszcza, że podobne procesy zachodzą w nas samych. Kiedy pierwszy raz usłyszałam o losach rodziny, czułam się przysypana grubą warstwą śniegu. Z czasem trzaskający mróz zelżał i odsłonił nieznaną mi dotąd krajobraz. Nie wiem, czy mnie zrozumiesz, ale przed debiutem mój umysł przypominał ogród pełen kwiatów

nieśmiało puszczających pierwsze pędy z ziemi. Jeszcze nie umiałam powiedzieć, co z nich naprawdę wyrośnie, lecz przyglądałam się im z podnieceniem. W samym środku ogrodu stał posąg. Pomnik gejszy, którą miałam w przyszłości zostać.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Słyszałam kiedyś powiedzenie, że w tygodniu poprzedzającym oficjalny debiut młoda gejsza jest jak larwa przekształcająca się w motyla. Porównanie piękne, ale moim zdaniem zupełnie nieprawdziwe. Motyl musi jedynie przerwać nić kokonu i posiedzieć przez chwilę, by napompować skrzydła; ja zaś przez tamten tydzień zwijałam się jak w ukropie. Najpierw wizyta u fryzjera, który mnie uczesał na wspomnianą już wcześniej „pękniętą brzoskwinę”. W Gion w tamtych czasach było mnóstwo zakładów fryzjerskich; ulubieniec Mamehy pracował w zatłoczonej izbie na piętrze restauracji rybnej. Przesiedziałam tam ponad dwie godziny, obok sześciu lub ośmiu innych czekających gejsz. Niektóre z nich siedziały nawet na schodach. Wstyd przyznać, ale aż mnie kręciło w nosie od smrodu nie mytych włosów. Ułożenie kunsztownej fryzury wymagało tak wiele wysiłku i kosztów, że rzadko która chodziła do fryzjera częściej niż raz na tydzień. Skutkiem tego nawet perfumy niewiele pomagały.

Kiedy wreszcie nadeszła moja kolej, fryzjer posadził mnie przy dużym zlewie i to w takiej pozycji, jakby chciał mi odrąbać głowę. Potem wylał na mnie kubek ciepłej wody i namydlił mi włosy. „Namydlił” to za mało – orcował mnie paluchami niczym pługiem ziemię. Po latach zrozumiałam dlaczego. Niemal wszystkie gejsze miały łupież, a przecież nie ma nic gorszego niż gęsto obsypane włosy. Fryzjer pewnie miał jak najlepsze chęci, lecz już po paru chwilach skóra na głowie piekła mnie tak mocno, że za. cięłam szlochać.

– Płacz, ile wlezie! – usłyszałam nad sobą głos fryzjera. – Niby po co sadzałam cię przy zlewie?

I ryknął śmiechem. Chyba to miał być dowcip.

Jak już skończył drapanie, posadził mnie na macie i zaczął czesać drewnianym grzebieniem. Szyja mnie rozbolała od ciągłego szarpania. Wreszcie uznał, że pozbył się wszystkich kołtunów i wtarł mi we włosy olejek kameliowy, nadając im w ten sposób przepiękny połysk. Już myślałam, że najgorsze minęło, kiedy wziął do ręki kawałek wosku. Musisz wiedzieć, że włosy, choćby natłuszczone, i wosk, choćby nawet roigrzany żelazem, nie stanowią pary. W tym wypadku łatwo poznać cywilizowaną

naturę człowieka. Dziewczyna w czasie tortur najzwyczajniej siedzi, czasem tylko z cicha pochlipując pod nosem. Pies na jej miejscu przegryzłby ci dłoń na wylot.

Gdy już woskowanie dobiegło końca, fryzjer rozczesał mi włosy z czoła, a resztę zebrał w ciężki kok, jak poduszka do igieł, na czubku głowy. Kok oglądany z tyłu wyglądał jak przecięty i stąd się brała nazwa „pękniętej brzoskwini”.

Nosiłam tę fryzurę przez całe długie lata, lecz nigdy nie myślałam o tym, o czym dużo później powiedział mi pewien klient. Kok – nazywany przeze mnie „poduszką do igieł” – jest wiązany dosyć szeroką wstążką, którą z tyłu bardzo dobrze widać, właśnie we wspomnianym „pęknięciu”. Wstążka może mieć dowolną barwę, lecz u młodej gejszy, na pewnym etapie życia, zawsze bywa czerwona.

– Większość tych niewinnych dziewcząt nawet nie podejrzewa, jak ich włosy działają na wyobraźnię mężczyzn usłyszałam pewnej nocy. – Pomyśl tylko... Idziesz sobie ulicą, a przed tobą młodziutka gejsza. Chodzą ci po głowie rozmaite świństwa, które mógłbyś z nią robić... i patrzysz na ów „brzoskwiniowy” kok, podkreślony czerwoną strugą. Co ci to przypomina?

Zgodnie z prawdą odpowiedziałam, że nic.

– Wyteż wyobraźnię! – zawołał mój znajomy.

Po chwili zrozumiałam i tak spiekłam raka, że znajomy nie umiał powstrzymać się od śmiechu. W drodze powrotnej do okiya zapomniałam o bólu, choć moja biedna głowa chyba przypominała glinę podrapaną patykami przez garncarza. Kątem oka przyglądałam się swemu odbiciu w szybach mijanych sklepów. Wreszcie byłam kimś: nie dziewczyną, ale młodą kobietą. Ciocia obejrzała mnie od stóp do głów i obsypała komplementami. Nawet Dynia z zachwytem w oczach obeszała mnie dookoła, nie bacząc, że w ten sposób naraża się na gniew Hatsumomo. A Mama? Wspięła się na palce, bo byłam wyższa od niej i mruknęła, że fryzjer Hatsumomo jest lepszy niż ten Mamehy.

Każda młoda gejsza początkowo z dumą obnosi nową fryzurę, lecz potem, przez trzy, cztery dni, klnie w duchu na czym świat stoi. Jeśli bowiem, zmęczona długotrwałym czesaniem, rzuci się tak jak dawniej na futon, żeby zasnąć, rano wstanie z płaskim naleśnikiem na głowie. A to oznacza nową wizytę u fryzjera. Z tego właśnie powodu musi się nauczyć innego sposobu spania. Zamiast zwykłej poduszki, korzysta ze wspomnianego przeze mnie wcześniej takamakura. Z grubsza biorąc, jest to drewniany klocek pod szyję. Może być wyściełany woreczkiem z plewami pszenicy,

lecz i tak „wypoczynek” na nim przypomina mi spanie na kamieniu. Leżysz na materacu, z głową wiszącą w powietrzu i wszystko niby dobrze, dopóki nie zaśniesz. Rano widzisz, że głowa i tak ci opadła i że kok masz płaski, jak bez takamakura. Ciocia, dla nauki, stawiała mi pod głową tacę z mąką ryżową. Drobnym ruch wystarczyło, żeby biały pył przylgął do nawoskowanych włosów. Widziałam już, jak Dynia dostała taką szkołę. Teraz nadeszła kolej na mnie. Przez dłuższy czas budziłam się z głową w mące i musiałam sterczeć w kolejce do fryzjera, w oczekiwaniu na nową porcję tortur.

Przez cały tydzień poprzedzający oficjalną prezentację Ciocia odziewała mnie w kompletny strój gejszy i prowadziła wzdłuż korytarza, bym nabrała siły. Za pierwszym razem ledwie unosiłam nogi i myślałam, że padnę na plecy. Chodziło o to, że dziewczęta noszą bogatszy strój niż kobiety, bardziej wzorzysty, kolorowy i z dużo dłuższym obi. Dorosłe gejsze wiążą obi w węzeł ze względu na kształt zwany „bębnem”, do którego nie trzeba zbyt wiele materiału. Dziewczęta poniżej dwudziestego roku życia noszą pas w okazalszy sposób. W wypadku młodej gejszy jest to prawdziwy pokaz – tak zwane darari-obi, czyli „zwisające obi”, zawiązane nieomal na łopatkach, z końcami zwieszonymi do samej ziemi. Bez względu na to, jak jasne jest kimono, obi powinno być jaśniejsze. Młoda gejsza na ulicy przyciąga wzrok nie tyle strojem, ile właśnie przepięknym, rozkołysanym obi: Oglądanej z tyłu, widać kimono tylko na ramionach i bokach. Aby osiągnąć pożądany efekt, pas musi być długi od ściany do ściany. Z drugiej jednak strony, to nie jego długość jest największym utrudnieniem, ale waga, gdyż zazwyczaj utkany jest z najprzedniejszego brokatu. Ciężko go wnieść po schodach, a co dopiero nosić. Gruba kieszka jak wąż ściskająca w talii i dwa dyndające końce... Czułam się, jakby ktoś mi przyczepił belkę do pleców.

To jednak nie wszystko. Kimono też jest potwornie ciężkie, z długimi, zwisającymi rękawami. Jak zapewne zauważyłeś, dół takiego rękawa tworzy coś w rodzaju kieszeni. Nazywamy to furi. W kimonie młodej gejszy furi prawie dosięga ziemi. Łatwo na nie nadepnąć, na przykład podczas tańca, dlatego przed występem należy je kilkakrotnie owinąć wokół przedramienia.

Pewien znany profesor z uniwersytetu w Kioto powiedział mi kiedyś, mocno już pijany:

– Wśród przyrodników panuje pogląd, że najbardziej barwnym przedstawicielem naczelnych jest mandryl z Afryki Środkowej. Bzdura... Nie widzieli młodej gejszy z Gion!

Zapamiętałam to na całe życie.

Wreszcie nadszedł dzień, gdy miałam wraz z Mamehą poddać się ceremonii siostrzanych „zaślubin”. Wcześniej się wykąpałam i resztę ranka spędziłam w garderobie. Ciocia pomogła mi przy makijażu i poprawiła włosy. Wosk i puder sprawiały, że miałam wrażenie, jakbym cierpiała na martwicę twarzy. Gdy wodziłam palcem po policzku, czułam jedynie tępy nacisk dłoni na skórę. Robiłam to tak często, że Ciocia jeszcze raz musiała mnie upudrować. Potem z dziwnym uczuciem popatrzyłam w lustro. Wiedziałam, że to ja, ale z tamtej strony spoglądała na mnie całkiem obca dziewczyna. Nawet wyciągnęłam rękę, próbując jej dotknąć. Wyglądała wspaniale, jak gejsza. Miała karminowe usta i śnieżnobiałą twarz, jedynie na policzkach znać było ślady różu. We włosach nosiła jedwabne kwiaty i kłosa ryżu. Ubrana była w ceremonialne, czarne kimono z herbem Nitta okiya. Kiedy wreszcie zdołałam wstać, przeszłam do holu, by tam z zachwytem zerknąć w dużo większe zwierciadło. Smok wyszyty na kimonie opasywał mnie od kostek do talii. Miał barwioną na czerwono grzywę, srebrne kły i szpony, a oczy... ze szczerego złota. Nie mogłam opanować łez, więc spojrzałam w sufit, żeby nie zniszczyć różu na policzkach. Przed wyjściem z okiya wetknęłam za obi chusteczkę otrzymaną od Prezesa. Tak na wszelki wypadek, na szczęście.

Ciocia odprowadziła mnie do mieszkania Mamehy. Tam złożyłam wyrazy najgłębszego uznania i przyrzekłam szacunek oraz bezwzględne posłuszeństwo. Potem we trzy przeszłyśmy do świątyni, gdzie Mameha i ja głośno klasnęłyśmy w dłonie, oznajmiając bogom, że już wkrótce staniemy się siostrami. Pomodliłam się o łaskę na nadchodzący okres i podziękowałam w duchu za spełnienie prośby, którą tu wyraziłam przed z górą trzema laty.

Główną uroczystość zaplanowano w najslynniejszej japońskiej herbaciarni Ichiriki. To zgoła historyczne miejsce za sprawą samuraja, który tu się ukrywał w początkach osiemnastego wieku. Znasz dzieje czterdziestu siedmiu roninów? Tych samych, którzy krwawo pomścili śmierć swego pana, a potem wszyscy naraz popełnili seppuku? Ich przywódca przez czas jakiś mieszkał w Ichiriki i tam ponoć opracował

zasadniczy plan zemsty. Większość ekskluzywnych herbaciarni w Gion jest praktycznie niewidoczna z zewnątrz, ale Ichiriki błyszczy niczym jabłko na drzewie. Mieści się na głównym rogu alei Shijo, ogrodzona gładkim, morelowym murem, oddzielnie krytym dachówką. W moich oczach był to niemal pałac.

W zewnętrznym ogrodzie już czekały dwie młodsze siostry Mamehy oraz Mama. Służba poprowadziła nas cudownie krętym korytarzem do maleńkiego pokoiku na tyłach. Nigdy wcześniej nie widziałam tak eleganckiego wnętrza. Każdy kawałek drewna lśnił czystością, każdy fragment muru był jedwabiście gładki. Poczulałam słodki, gęsty zapach kuroyaki, czyli „czarnego węgla” — perfum wyrabianych ze spopielenego węgla drzewnego. Prawdziwy powiew tradycji, i to tak intensywny, że nawet Mameha — chociaż uchodziła za tradycjonalistkę — wolała coś bardziej zachodniego. Niestety woń perfum kuroyaki, od pokoleń używanych przez gejsze, na dobre przesiąknęła mury Ichiriki. Kilka kropel zachowałam do dzisiaj, w małej drewnianej fiolce. Gdy je wącham, przenoszę się w tamte czasy.

Cała uroczystość, celebrowana w obecności właścicielki herbaciarni, trwała nie dłużej niż dziesięć minut. Pokojówka wniosła tacę z sake. Pociągnęłam trzy łyki i przekazałam czarkę w ręce Mamehy, a ona także upiła trzy łyki. Powtórzyłyśmy to z trzech różnych czarek i było po wszystkim. W tej samej chwili dawna Chiyo została zastąpiona przez nowicjuszkę imieniem Sayuri. Każda młoda gejsza w pierwszym miesiącu praktyki nazywana jest „nowicjuską” i wolno jej tańczyć i śpiewać wyłącznie w obecności starszej siostry. W gruncie rzeczy jej udział w przyjęciach polega głównie na siedzeniu. Jeśli zaś chodzi o moje imię Sayuri, jest to wynik długotrwałych narad Mamehy z wróżbitą. Same dźwięki pełnią poślednią rolę; najważniejsze są znaki, a nawet liczba kresek w każdym ideogramie, gdyż są liczby szczęśliwe i pechowe. W moim wypadku „sa” oznacza „razem”, „yu” to znak Koguta z japońskiego zodiaku — miał równoważyć wszystkie inne pierwiastki mojej osobowości — a „ri” znaczy „zrozumienie”. Wszelkie kombinacje połączone z ideogramami imienia Mamehy okazały się niekorzystne.

Uznałam, że Sayuri to przepiękne imię, chociaż było mi nieswojo na myśl, że już nikt nigdy nie nazwie mnie Chiyo. Po ceremonii przeszłyśmy do drugiego pokoju na posiłek z „czerwonego ryżu”, czyli ryżu zmieszanego z czerwoną fasolą. Niemrawo dłużyłam w misce, dziwnie rozkojarzona i wcale nie w najlepszym nastroju. Właścicielka herbaciarni zadała mi jakieś pytanie. Kiedy usłyszałam, że mówi do mnie „Sayuri”, wiedziałam już, co mnie gryzie. Mała Chiyo biegnąca bosą znad stawu do

trzęsichatki na dobre przestała istnieć. Zniszczyła ją bladolica Sayuri o karminowych ustach.

Po południu Mameha chciała mnie oprowadzić po Gion i przedstawić w znanych herbaciarniach i okiya. Nie wyszliśmy jednakże zaraz po posiłku. Zostałyśmy we dwie w pokoju w Ichiriki i Mameha kazała mi usiąść. Oczywiście gejsza nigdy nie „siada” w kimonie. Nasz „przysiad” wszyscy inni nazwaliby klękaniem. Kilka razy siadałam na prośbę Mamehy, bo wciąż miałam kłopot z połami sutej szaty. Mameha dała mi niewielki amulet w kształcie tykwy i pokazała, jak go zaczepić na obi. Tykwa, lekka i pusta, miała zdjąć ciężar zmęczenia z ciała. Młoda gejsza musiała na czymś przecież polegać, aby w pewnej chwili nie runąć na ziemię.

Mameha rozmawiała ze mną przez chwilę, a potem, tuż przed wyjściem, zażądała herbaty. Czajniczek był pusty, więc kazała mi na niby napęlnić czarkę. Chciała sprawdzić, jak sobie poradzę z rękawami. Wiedziałam, o co chodzi, więc starałam się zachować fason. Mameha pokręciła głową.

— Przede wszystkim... — westchnęła — czyją czarkę napęlniasz?

— Twoją! — odpowiedziałam.

— Na wszystkich bogów, przecież nie musisz mi imponować! Pomyśl, że jestem kimś innym. Kobieta czy mężczyzną?

— Mężczyzną — odparłam.

— Dobrze. Zrób to jeszcze raz.

Omam nie skręciła karku, zerkając mi pod ramię.

— Widzisz, co się dzieje? — spytała. — Każdy będzie się wiercił, bo za wysoko trzymasz rękę.

Zaczęłam zabieg od początku. Mameha ziewnęła głośno i wdała się w rozmowę z wymagowaną gejszą po drugiej stronie.

— Pokazujesz mi, że cię nudzę? — zapytałam. — A cóż może dziać się ciekawego podczas nalewania herbaty?

— To, że nie każesz mi zaglądać w rękaw, nie znaczy, że masz być taka sztywna. Mężczyźni myślą wyłącznie o jednym i nie minie chyba zbyt wiele czasu, gdy dokładnie zrozumiesz moje słowa. Na początek możesz ich zabawiać, udzielając im pozornego przywileju oglądania z reguły zasłoniętych fragmentów ciała. Gdyby każda

młoda gejsza napełniała czarkę jak zwykła służąca, ród męski dawno straciłby wszelką nadzieję. Spróbuj jeszcze raz, lecz najpierw pokaż mi swoją rękę.

Podciągnęłam rękaw na ramię. Mameha dokładnie zlustrowała mi rękę, obracając ją na wszystkie strony.

— Piękny kształt i idealnie gładka skóra. Pamiętaj, żeby każdy siedzący obok ciebie klient przynajmniej raz na nią spojrział.

I tak to szło dalej, czarka za czarką, aż Mameha uznała, że potrafię już odpowiednio manewrować rękawem, tak aby moje gesty nie były zbyt oczywiste. Jej zdaniem wyglądałam śmiesznie z ręką obnażoną do łokcia. Sztuka polegała na tym, by naturalnym ruchem odciągnąć materiał na kilka grubości palca od nadgarstka. Podobno najładniejsza jest wewnętrzna część ręki, więc tak manewrowałam naczyniem, żeby widoczny był spód, a nie grzbiet przedramienia.

Chwilę później musiałam odegrać nową pantomimę, tym razem w domniemanej obecności właścicielki Ichiriki. Podciągnęłam rękaw jak zwykle i Mameha od razu zaczęła kręcić nosem.

— O bogowie... przecież jestem kobietą — westchnęła. — Po co mi pokazujesz rękę? Chcesz mnie rozgniewać?

— Rozgniewać?

— A co mam sobie myśleć, skoro tak podkreślasz, że jesteś młoda i piękna? Wiem, pozostały mi tylko zmarszczki. Chyba ci nie przystoi wulgarne zachowanie...

— Wulgarne?

— Tak, bo świadomie odsłaniasz spód ręki. Równie dobrze mogłabyś wystawić gołą stopę albo obnażyć wewnętrzną część uda. Jeśli to kwestia przypadku, to wszystko w porządku. Ale taki popis...

Nalewałam więc dalej, aż do końca pojęłam wszelkie subtelności. Mameha oznajmiła, że możemy ruszać do Gion.

Już od kilku godzin tkwiłam w kimonie gejszy. Teraz czekał mnie długi spacer w sandałach zwanych okobo. Drewnianych, na wysokiej podeszwie i o przepięknie lakierowanych paskach. Z wyglądu są eleganckie, gdyż zbiegają się na kształt klina, tak że podeszwa jest u dołu mniej więcej o połowę węższa. Trudno w nich jednak chodzić. Miałam wrażenie, że ktoś mi do nóg poprzyczepiał dachówki.

Odwiedziłam z Mameha co najmniej dwadzieścia okiya i herbaciarni, chociaż nigdzie nie zatrzymałyśmy się dłużej niż na kilka minut. Zazwyczaj otwierała służąca. Mameha pytała grzecznie, czy zastałyśmy właścicielkę, ta przychodziła nas przywitać, a Mameha za każdym razem wygłaszała tę samą formułkę:

— Chciałam pani przedstawić moją nową młodszą siostrę Sayuri.

Ja z kolei składałam głęboki ukłon, mówiąc:

— Polecam się łaskawej uwadze pani.

Gospodyni przez chwilę gawędziła z Mameha, a potem szłyśmy dalej. W paru miejscach częstowano nas herbatą. Wówczas nasza wizyta trwała pełne pięć minut. Piłam mało, w zasadzie ledwo maczałam usta. Kimono znacznie utrudnia wygodne korzystanie z toalety, a ja nie byłam pewna, czy dostatecznie opanowałam tę sztukę.

W rzeczy samej, już po godzinie byłam tak zmęczona, że ledwie powstrzymywałam się od jęków. Mameha niestrudzenie ciągnęła mnie dalej. W tamtych latach w Gion było trzydzieści lub czterdzieści dobrych herbaciarni i chyba setka niewiele gorszych. Oczywiście nie zaszłyśmy do wszystkich. Najważniejszych było piętnaście tych, które zawsze zapraszały Mamehę. Z kilkuset okiya działających w okolicy odwiedziłyśmy może pięć — też ze względu na dawne powiązania.

Tuż po trzeciej wędrówka dobiegła końca. Miałam szczerą ochotę wrócić do okiya i przespać resztę dnia, lecz okazało się, że Mameha zaplanowała cały wieczór. Czekał mnie pierwszy występ w roli świeżo upieczonej gejszy.

— Idź się wykup — powiedziała Mameha. — Tak się spociłaś, że spłynął ci makijaż.

To był ciepły jesienny dzień, a ja na dodatek odwalałam kawał ciężkiej roboty.

Gdy weszłam do okiya, Ciocia zdjęła ze mnie kimono i z litości zezwoliła mi na półgodzinną drzemkę. Znów była dla mnie dobra i puściła w niepamięć moje stare błędy, zwłaszcza że w jej oczach górowałam nad Dynią. Zaraz po przebudzeniu pognałam do łaźni. O piątej po południu skończyłam się ubierać i malować. Rozpierało mnie podniecenie, bo latami obserwowałam Hatsumomo, a potem Dynię, jak pięknie wystrojone pod wieczór wychodziły do miasta. Teraz nadeszła moja kolej. Po raz pierwszy wzięłam udział w bankiecie w hotelu International Kansai. Takie przyjęcia zwykle bywają bardzo sztywne — goście usadowieni na kształt „U”, ramię przy ramieniu, w dużym pokoju z tatami. Przed każdym z nich, na niewielkim

stoliczku, stała taca z różnymi potrawami. Gejsze poruszały się wyłącznie we wnętrzu półkola utworzonego przez stoliki. Klękały, nalewały sake i zabawiały zgromadzonych przelotną rozmową. Nie było to najbardziej ekscytujące wydarzenie. Moja rola należała do jeszcze nudniejszych. Jak cień stałam u boku Mamehy. Kiedy się przedstawiała, robiłam to samo.

— Mam na imię Sayuri, jestem nowicjuską i polecam się pańskiej uwadze.

Kłaniałam się, nie mówiłam nic więcej i nikt ze mną nie rozmawiał.

Tuż przed końcem bankietu rozsunięto drzwi, a Mameha wraz z jeszcze jedną gejszą wykonały taniec pod tytułem Chi-yo no tomo, czyli Odwieczne przyjaciółki. Jest to piękna opowieść o dwóch przyjaciółkach, spotykających się po latach. Niektórzy goście przez cały występ po prostu dębali w zębach. Byli członkami kierownictwa koncernu gumowego, produkującego wentyle, i rok w rok przyjeżdżali do Kioto na podobne spotkania. Myślę, że żaden z nich nie odróżniał tańca od spaceru lunatyka. Ja z kolei siedziałam jak urzeczona. W tańcu gejsze z Gion zawsze używają wachlarza, a Mameha była prawdziwą mistrzynią w tej materii. Złożyła wachlarz i wykonała obrót, lekko machając dłonią, co miało oznaczać strumień. Chwilę później ten sam wachlarz, teraz otwarty, zmienił się w czarkę sake, ofiarowaną przyjaciółce. Uroda tańca w pełni odpowiadała muzyce granej na shamisenie przez wyjątkowo drobną gejsze o załamanych oczach.

Oficjalny bankiet trwa zazwyczaj nie dłużej niż dwie godziny, więc przed ósmą z powrotem wyszliśmy na ulicę. Zerknęłam na Mamehę, żeby jej powiedzieć „dobranoc”, ale nie dała mi dojść do słowa.

— Zamierzałam cię posłać do łóżka, lecz widzę, że masz w sobie niespożyty zapas energii — oznajmiła. — Właśnie idę do herbaciarni Komoriya. Chodź, dowiesz się, jak wygląda prywatne przyjęcie. Im szybciej dasz się poznać, tym lepiej.

Nie wypadało mi narzekać na zmęczenie, więc przełknęłam łyżę i posłusznie podreptałam dalej.

Z wyjaśnień Mamehy wynikało, że inicjatorem wspomnianego przyjęcia jest dyrektor Teatru Narodowego w Tokio. Znał wszystkie sławne gejsze w niemal całej Japonii. Do nowicjusek odnosił się z sympatią, lecz nic ponadto. Znów więc miałam milczeć i ładnie wyglądać.

— Pamiętaj, nie zrób nic niestosownego — ostrzegła mnie Mameha.

Służąca wprowadziła nas na pierwsze piętro herbaciarni. Ośmieliłam się unieść wzrok, gdy klękaliśmy w progu i zobaczyłam siedmiu lub ośmiu mężczyzn, usadowionych na poduszkach wokół długiego stołu. Towarzyszyły im cztery gejsze. Ukłoniłyśmy się, weszłyśmy do pokoju i znów opadłyśmy na kolana, żeby zamknąć drzwi. W ten właśnie sposób każda gejsza wkracza do pomieszczenia. Wpierw, zgodnie z naukami Mamehy, pozdrowiłam starsze „koleżanki po fachu”, potem gospodarza, siedzącego u szczytu stołu, i wreszcie pozostałych gości.

— Mameha-san! — zawołała jedna z gejsz. — Przychodzisz w samą porę, by zabawić nas historią z życia pana Kondy, perukarza.

— O bogowie, zupełnie jej nie pamiętam! — westchnęła Mameha, wywołując powszechną wesołość.

Nie wiedziałam, z czego się śmieją. Mameha podprowadziła mnie do stołu i zatrzymała się obok gospodarza. Zająłam miejsce u jej boku.

— Panie Dyrektorze, pozwoli pan, że przedstawię moją młodszą siostrę — powiedziała.

Teraz ja się skłoniłam i wymieniłam swoje nowe imię. Prosiłam Dyrektora o łaskawe względy. Okazał się bardzo nerwowym człowiekiem, o delikatnej budowie ciała i wylupiastych oczach. Nawet na mnie nie spojrzał. Zdusił papierosa w wypełnionej po brzegi popielniczce i spytał:

— Co to za Konda-san, perukarz? Cały wieczór dziewczęta mówią wyłącznie o nim, lecz żadna nie chce zdradzić ważniejszych szczegółów.

— Naprawdę nic o tym nie wiem! — zaręczała Mameha.

— Powiedz, że się wstydzisz — wtrąciła druga gejsza. — Chętnie cię wyręcę.

Goście byli zadowoleni z takiego obrotu sprawy, lecz Mameha tylko westchnęła.

— Wypij nieco sake dla ukojenia nerwów — poradził jej Dyrektor. Wypłukał swoją czarkę w stojącej na stole misce z wodą, po czym wyciągnął dłoń do Mamehy.

— Konda-san to dla wielu najlepszy perukarz w Gion — zaczęła druga gejsza. — Mameha-san przez lata korzystała wyłącznie z jego usług. Zawsze lubiła luksus. Wystarczy na nią spojrzeć.

Mameha zmarszczyła nos w udawanym gniewie.

— Bez wątpienia lubi stroić miny — zauważył jeden z gości. — Ale i tak jest piękna.

— W czasie występów perukarz zawsze czeka za kulisami — ciągnęła gejsza — żeby pomagać przy zmianie kostiumu. Czasami, gdy któraś z nas zdejmie jedno kimono i zacznie wkładać drugie, coś się poluźni i nagle... hop! widać nagie piersi. Albo... pasemko włosów. I to się zdarza. W każdym razie...

— Całe życie pracowałem w banku — znów wtrącił któryś z gości. — Wolałbym jednak być perukarzem.

— To o wiele cięższe zajęcie niż podglądanie nagich kobiet. Ale wracajmy do historii. Mameha-san jest pruderyjna, więc zazwyczaj chowa się za parawanem...

— Ja opowiem! — zawołała Mameha. — Przez ciebie wezmą mnie na języki. Nie jestem pruderyjna. Konda-san tak się gapił, że musiałam przynieść parawan. Aż dziw bierze, że go nie przepalił wzrokiem...

— A cóż złego jest w kilku niewinnych spojrzeniach? — przerwał jej Dyrektor. — Nie mogłaś być łaskawsza?

— Nie myślałam o tym w ten sposób — przyznała Mameha. — Ma pan zupełną rację, panie Dyrektorze. Cóż jest złego w spojrzeniu? Możemy na pana zerknąć?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Ledwie jednak zdążyli się uciszyć, Dyrektor wstał i poluźnił węzeł u pasa.

— Proszę bardzo — mruknął do Mamehy. — Jeśli tylko dotrzymasz mi kroku...

— Tego nie proponowałam — odparła Mameha.

— Nie grzeszysz hojnością.

— Hojność nie należy do zalet gejszy. Wystarczy, że ma hojnego opiekuna.

— To po sprawie — powiedział Dyrektor i usiadł. W głębi ducha cieszyłam się, że ustąpił. Próbowałam bawić się tak jak inni, ale żenowało mnie jego zachowanie.

— Na czym to ja skończyłam? — zapytała Mameha. — Ach, tak... Byłam święcie przekonana, że parawan da mi zupełną swobodę. Pewnego dnia musiałam jednak pośpiesznie wyjść do ubikacji. Po powrocie nie zastałam pana Kondy na zwykłym miejscu. Wpadłam w rozpacz, gdyż w następnej scenie miałam występować w całkiem innej peruce. Wreszcie go zauważyłam. Siedział na jakimś kufrze, oparty o ścianę. Był spocony i ciężko dyszał. W pierwszej chwili myślałam, że dostał ataku serca! Na

szczęście trzymał perukę. Przeprosił i pomógł mi się przygotować do dalszych występów. Wieczorem przysłał kartkę...

Tu Mameha zająknęła się i urwała.

— Co pisał? — dopytywał się jeden z gości.

Ze wstydem zasłoniła oczy. Nie chciała mówić dalej. Goście znów wybuchnęli śmiechem.

— Powiem, co napisał — odezwała się ta sama gejsza, która pierwsza zaczęła opowieść. — Coś w tym stylu: „Najdroższa Mameho! Jesteś najpowabniejszą gejsza w Gion...” i tak dalej. A potem: „Gdy zdejmujesz perukę, biorę ją do pracowni i zanurzam w niej twarz, by poczuć najśłodszy zapach Twych włosów. Dziś jednak, kiedy pobiegłaś do toalety, sprawiłaś mi największą rozkosz w życiu. Przystanąłem pod drzwiami, a perlisty chlupot spadających kropeł, cudowniejszy od szumu wodospadu...”.

Goście zarechotali tak donośnie, że gejsza musiała przerwać.

— „...a perlisty chlupot spadających kropeł, cudowniejszy od szumu wodospadu — podjęła po chwili — sprawił, że zeszywniałem...”.

— Wcale nie tak — zaprotestowała Mameha. — Napisał: „...a perlisty chlupot spadających kropeł, cudowniejszy od szumu wodospadu, sprawił, że zadygotałem na myśl o Twoim nagim ciele...”.

— Dodał jeszcze, że z wrażenia nie mógł ustać na nogach — uzupełniła druga gejsza. — I że ma nadzieję na podobne doznania w przyszłości.

Wszyscy chichotali, więc też udawałam, że się śmieję, ale prawdę mówiąc, w ogóle nie chciałam wierzyć, że ci ludzie — płacący bajońskie sumy za przywilej spędzenia kilku godzin w towarzystwie eleganckich kobiet — wysłuchują głupawych historyjek, jak dzieciaki w Yoroido. Spodziewałam się raczej uczonych rozmów o literaturze, o kabuki czy o czymś w podobnym stylu. Oczywiście — jak dowiedziałam się później — bywały i takie spotkania, lecz za pierwszym razem trafiłam na zwykłą błazenadę.

Człowiek siedzący tuż koło mnie niezbyt pilnie słuchał gawędy Mamehy. Wciąż pocierał nalaną twarz. Wreszcie popatrzył na mnie przez długą chwilę i spytał:

— Co się dzieje z twoimi oczami? Już się upiłem? Faktycznie był już pijany, ale nie zamierzałam mu o tym mówić. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zmarszczył brwi,

uniósł rękę i energicznie podrapał się po głowie. Gruba warstwa śniegu opadła mu na ramiona. Okazało się, że w całym Gion był znany jako „Pan Śnieżyca”, ze względu na okropny łupież. Chyba zdążył zapomnieć o poprzednim pytaniu — albo też nie oczekiwał konkretnej odpowiedzi, gdyż zaraz spytał znowu:

— Ile masz lat? Odparłam, że czternaście.

— Jesteś najstarszą czternastolatka, jaką widziałem w życiu. Masz. — Podał mi pustą czarękę.

— Nie, dziękuję panu — odpowiedziałam. — Jestem zaledwie nowicjuską...

Tak mnie uczyła Mameha. Pan Śnieżyca nie słuchał. Trzymał czarękę, póki jej nie wzięłam, a potem napełnił ją sake.

Nie mogłam pić, gdyż każda młoda gejsza — szczególnie nowicjuską — musi mieć w sobie coś z dziecka. Jednak z drugiej strony nie mogłam być niegrzeczna. Ścisnęłam pełną czarękę w wyciągniętych rękach. Ku mojemu przerażeniu Pan Śnieżyca znów podrapał się w głowę i sychnął łupieżem do sake.

— Wypij — mruknął. — No, dalej. Pierwszy z rzędu. Uśmiechnęłam się do niego i — naprawdę nie wiedząc, co począć — uniosłam czarękę do ust. Na szczęście uratowała mnie Mameha.

— To twój pierwszy dzień w Gion, Sayuri. Nie pozwolę, żebyś się upiła — oznajmiła, chociaż podejrzewam, że bardziej troszczyła się o Pana Śnieżycę. — Wystarczy, że zwilżysz usta.

Posłuchałam jej i ledwie skosztowałam sake. Prawdę mówiąc, ścisnęłam szczęki tak mocno, iż myślałam, że mi pękną wargi. Potem, jak tylko poczułam smak trunku, pośpiesznie odstawiłam czarękę.

— Mmmm! Pyszne! — szepnęłam i wyjęłam chusteczkę zza obi, żeby się otrzeć. Pan Śnieżyca nawet nie zauważył, co robię, gdyż uparcie zezował na stojącą przed nim czarękę. W końcu wziął ją w dwa palce i wypił jednym haustem. Chwilę później wstał mówiąc, że musi wyjść na stronę.

W zasadzie każda młoda gejsza powinna odprowadzić gościa do drzwi ubikacji, lecz nikt tego nie wymaga od nowicjuszki. Z braku dziewcząt delikwent idzie sam lub — czasami — w towarzystwie doświadczonej gejszy. Pan Śnieżyca stał jak kołek i gapił się wprost na mnie, póki nie zrozumiałam, że czeka.

Nie zdążyłam poznać rozkładu wszystkich izb herbaciarni Komoriya, lecz Pan Śnieżyca doskonale orientował się w topografii. Zeszliśmy do głównego hallu i skręciliśmy w najbliższe przejście. Począł, aż otworzę drzwi toalety. Potem zniknął, a ja cierpliwie czekałam za progiem. W pewnej chwili wydawało mi się, że słyszę kroki na schodach, ale nie zwróciłam na to większej uwagi. Wkrótce Pan Śnieżyca wyszedł i wróciliśmy na górę. Okazało się, że tymczasem dołączyły do nas dwie gejsze. Siedziały tyłem do drzwi, zatem nie widziałam ich twarzy, póki na powrót nie zajęłam miejsca przy stole. Wyobrażasz sobie moje przerażenie, gdy zobaczyłam właśnie tę osobę, której za wszelką cenę próbowałam unikać? Tuż przede mną siedziała uśmiechnięta Hatsumomo, a obok niej Dynia.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Hatsumomo, jak każdy człowiek, uśmiechała się, gdy ją coś cieszyło. Chodzi jednak o to, że największą radość sprawiały jej cierpienia innych. Nic więc dziwnego, że na mój widok wprost promieniała szczęściem.

– Co za osobliwy przypadek! – piała. – Że też właśnie musiałam tracić na nowicjuszkę. W takim razie nie będę dalej opowiadać. Nie chcę, żeby nam się dziewczynka zgorszyła.

Sądziłam, że Mameha opuści przyjęcie, ale ona tylko rzuciła w moją stronę lekko załężnione spojrzenie. Przeczuwała chyba, że w tej sytuacji oddanie inicjatywy w ręce Hatsumomo było jak ucieczka z płonącego domu. Ktoś musiał zostać, by obliczyć straty.

– Moim zdaniem nowicjat to najtrudniejszy okres w życiu – ciągnęła Hatsumomo. – Zgadzasz się ze mną, Dynio? Dynia już opuściła grono nowicjuszek. Debiutowała prze cieź pół roku temu. Zerknęłam na nią ze współczuciem. Siedziała wpatrzona w stół, z dłońmi złożonymi na podołku. Znałam ją na tyle dobrze, by rozpoznać niewielką zmarszczkę na nosie, świadczącą o zakłopotaniu.

– Tak, pani – powiedziała.

– Ciężkie dni... – westchnęła Hatsumomo. – Pamiętam, co sama przeżywałam. Jak ci na imię, nowicjuszko?

Na szczęście nie musiałam odpowiadać. Wyręczyła mnie Mameha.

– Szło ci faktycznie ciężko, Hatsumomo-san. Nie dostawałaś do poziomu.

– Chciałbym posłuchać zakończenia – wtrącił któryś z gości.

– Bez względu na obecność niewinnej nowicjuszki? – spytała Hatsumomo. – Dobrze, lecz pod warunkiem, że nie będziecie się z niej naśmiewać. Wyobraźcie sobie zupełnie inną dziewczynę.

Była geniuszem zbrodni. Wiedziałam, że do tej pory nikt o mnie nie pomyślał. Teraz niemal wszystkie spojrzenia skierowały się w moją stronę.

– Gdzie skończyłam? – zastanawiała się Hatsumomo. – Już wiem. Więc ta nowicjuszka, o której wspominałam... Wyleciało mi z pamięci jej imię. Z drugiej

strony, muszę ją jakoś nazwać, żeby nie było wątpliwości, że chodzi o kogoś innego. Jak cię wołają, mała?

— Sayuri, proszę pani — odparłam. Było mi tak gorąco, że nie zdziwiłabym się, gdyby ze mnie spłynął calutki makijaż.

— Sayuri! Piękne imię. Ale jakoś nie pasuje do ciebie. Dobrze więc, dziewczynę z anegdoty nazwijmy „Mayuri”. Pewnego dnia wędrowałyśmy obie aleją Shijo, do okiia jej starszej siostry. Dął przeokropny wicher, aż łoskotały okiennice. Biedna Mayuri nie umiała poruszać się w kimonie. Była lżejsza od listka, a szerokie rękawy działały niczym żagle. Właśnie przechodziłyśmy przez ulicę, gdy nagle zniknęła. Tylko usłyszałam za sobą jakieś dźwięki. Brzmiało to jak „ach, ach...”, ale bardzo cienko...

Hatsumomo spojrzała na mnie.

— Mam za niski głos — stwierdziła. — Spróbuj ty. „Ach, ach...”.

Cóż miałam robić? Jęknęłam, jak umiałam najlepiej.

— Nie, nie... wyżej... Zresztą nieważne. Przysunęła się do najbliższego gościa.

— Niezbyt bystra, nieprawdaż? — szepnęła. Pokręciła głową i wróciła do przerwanej historii.

— Odwróciłam się więc i co widzę? Biedaczka Mayuri pofrunęła na skrzydłach wiatru aż na drugą przecnicę. Trzepotała rękami i nogami jak żuk przewrócony na plecy. Niemal mi pękło obi, tak się ubawiłam. Nagle, trach! Wpadła na skrzyżowanie, wprost na jadący samochód. Dzięki bogom wylądowała na masce! Zadarła nogi... wiatr podwiał jej kimono... i wiecie, co się stało. Chyba nie muszę więcej mówić.

— Ależ musisz! — zaoponował jeden z gości.

— Co z waszą wyobraźnią? — zakpiła Hatsumomo. — Wiatr podkasał jej kimono powyżej pasa. Chciała ukryć nagość, więc fiknęła kozła i usiadła okrakiem na szybie, wystawiając się cała na widok kierowcy...

Goście pokładali się ze śmiechu, nie wyłączając Dyrektora, który tłukł czarką w stół z szybkością cekaemu.

— Dlaczego to nie ja siedziałem za kierownicą? — wołał.

— Panie Dyrektorze... — mitygowała go Hatsumomo. — To była tylko nowicjuszka! Chciałby pan zobaczyć intymne części ciała dziewczątka siedzącego po drugiej stronie stołu? — Oczywiście mówiła o mnie. — Przecież to się w niczym nie różni od dziecka!

— Niektórym rosną włosy już w jedenastym roku życia — ktoś zauważył.

— Ile masz lat, mała Sayuri-san? — spytała Hatsumomo.

— Czternaście, proszę pani — odpowiedziałam grzecznie. — Zapewne jestem duża.

Goście zachichotali, lecz uśmiech Hatsumomo stał się odrobinę twardszy.

— Czternaście?... — wymruczała. — Wprost idealnie. Zapewne jeszcze nie masz żadnych włosów...

— Mam! Całe mnóstwo! — Poklepałam się dłonią po głowie.

Chyba postąpiłam słusznie, chociaż wcale nie byłam sobą zachwycona. Mężczyźni rechotali głośniejsz niż z żartów Hatsumomo. Ona też się śmiała, by nie sprawiać wrażenia, że została sromotnie pokonana.

Potem śmiech ucichł i Mameha zabrała mnie z przyjęcia. Jeszcze nie zdążyłyśmy dobrze zamknąć drzwi, gdy Hatsumomo poszła w nasze ślady. Dogoniły nas z Dynią na schodach.

— Ale się ubawiłam, Mameha-san! — wołała Hatsumomo. — Szkoda, że częściej wspólnie nie bywamy!

— Tak, było dużo śmiechu — przyznała jej Mameha. — Aż się cieszę z widoków na przyszłość.

Rzuciła mi pełne aprobaty spojrzenie. Przewidywała klęskę Hatsumomo.

Późnym wieczorem, po kąpieli i zmyciu makijażu, jeszcze chwilę zostałam w salonie, żeby porozmawiać z Ciocią. Wypytywała mnie o wydarzenia dnia. Nagle weszła Hatsumomo. Zazwyczaj nie wracała tak wcześnie, ale wystarczyło mi jedno spojrzenie, by wiedzieć, że zjawiała się wyłącznie dla mnie. Nie silła się na swój zwykły, okrutny uśmiech. Zaciskała usta w tak wąską linię, że była po prostu brzydka. Stała tuż przede mną, potem uniosła rękę i wymierzyła mi siarczasty policzek. Widziałam jej wyszczerzone zęby, bielejące jak dwa sznury pereł.

Oszołomiona ciosem nie pamiętam, co później zaszło. Ciocia chyba się pokłóciła z Hatsumomo, gdyż naraz usłyszałam ich podniesione głosy:

— Jeśli ta dziewczyna ponownie mnie upokorzy, z rozkoszą przyłożę jej z drugiej strony!

— Jak cię upokorzyłam? — spytałam.

— Wiedziałaś, o co chodzi, kiedy spytałam cię o włosy. Zrobiłaś ze mnie głupią. Przysłużyłaś mi się, małeńka Chiyo. Już wkrótce spłacę dług, zobaczysz.

O wiele spokojniejsza wyszła na ulicę, gdzie czekała schylona w ukłonie Dynia.

Następnego dnia powiadomiłam o wszystkim Mamehę. Specjalnie się nie przejęła.

— Gdzie tu kłopot? — spytała. — Szczęściem nie narobiła ci siniaków. Nie sądziłaś chyba, że pochwali twoje wystąpienie?

— Boję się następnego razu — przyznałam.

— Powiem ci, co się stanie. Na jej widok podniesiemy się i wyjdziemy. Gospodarze nie będą zadowoleni, że tak prędko opuszczamy przyjęcie, ale nie pozwolę cię dalej poniżać. Zresztą tak też będzie z korzyścią dla nas.

— Gdzie tu korzyść?

— Jeśli Hatsumomo zmusi nas do ciągłych wędrówek, to zdążymy odwiedzić więcej herbaciarni. Szybciej staniesz się znana w Gion i tyle.

Czułam się znacznie lepiej, widząc spokój Mamehy. Już po paru godzinach spędzonych potem w Gion wiedziałam, że to będzie niezwykle udany wieczór. Pod grubą warstwą pudru miałam wypieki z przejęcia. Na początek spotkałyśmy się z młodym aktorem. Grywał w filmach, wyglądał na nie więcej niż osiemnaście lat i... był zupełnie łysy, bez brwi, rzęs i włosów. Parę lat później stał się powszechnie znany, bo mieczem zabił młodą kelnerkę z Tokio i następnie popełnił samobójstwo. Uważałam go za dziwaka, dopóki nie spostrzegłam, że wciąż patrzy na mnie. Przez tyle lat żyłam zamknięta w okiia, że teraz cieszyłam się z każdego objawu zainteresowania. Spędziliśmy wspólnie ponad godzinę, a Hatsumomo się nie zjawiała. Wymarzony sukces zdawał się nadchodzić wielkimi krokami.

Potem trafiłyśmy na bankiet wydawany przez rektora uniwersytetu w Kioto. Mameha wdała się w rozmowę z jakimś dawno nie widzianym znajomym i zostawiła mnie samą. Jedyne wolne miejsce przy stole znalazłam obok starca w poplamionej białej koszuli, który musiał niezwykle cierpieć z pragnienia, gdyż wlewał w siebie kolejne kufle piwa, przerywając jedynie po to, by beknąć. Klękłam obok niego i już miałam się przedstawić, kiedy skrzypnęły drzwi i w progu, zamiast służącej z tacą pełną sake, zobaczyłam Dynię i Hatsumomo.

— Wielkie nieba! — rozległ się głos Mamehy. — Zegarek panu dobrze chodzi?
— spytała swego towarzysza.

— Bez zarzutu — odparł. — Codziennie go nastawiam pod dużym zegarem na dworcu.

— W takim razie muszę być niegrzeczna i odejść, zabierając Sayuri. Od godziny jesteście oczekiwane gdzieś indziej.

Wyszłyśmy niemal w lej samej chwili, gdy Dynia i Hatsumomo wkroczyły do pokoju.

Przed opuszczeniem herbaciarni Mameha zaciągnęła mnie do pustej izby. W półmroku nie rozróżniałam jej rysów; widziałam tylko doskonały owal twarzy i kunsztowną koronę włosów. Korzystając z ciemności zrobiłam zboląłą minę, gdyż wydawało mi się, że już nigdy nie umknę przed Hatsumomo.

— Co powiedziałaś tej jędzy przed wyjściem z okiia? — zapytała Mameha.

— Zupełnie nic, przysięgam!

— Więc skąd wiedziała, gdzie nas szukać?

— Sama nie znałam naszych planów — odparłam. — Jak miałam jej coś powiedzieć?

— Pokojówka wie o wszystkich moich spotkaniach, lecz wierzyć mi się nie chce... Chodźmy na przyjęcie, o którym mało kto słyszał. W zeszłym tygodniu Naga Teruomi został zatrudniony jako nowy dyrygent tokijskiej filharmonii. Przyjechał dziś po południu, żeby się tym pochwalić. Nie lubię takich spotkań, ale... przynajmniej nie będzie tam Hatsumomo.

Minęłyśmy aleję Shijo i skręciłyśmy w wąską uliczkę, owianą wonią sake i pieczonych słodkich ziemniaków. Z jasno oświetlonego okna na pierwszym piętrze dobiegały śmiechy. Młoda służąca wskazała nam właściwy pokój. Dyrygent — z mocno przerzedzoną i gładko zaczesaną do tyłu czupryną — siedział zły, obracając w palcach pustą czarbkę. Inni goście radośnie pili z dwiema nieznanymi mi gejszami. Dyrygent nie zamierzał się do nich przyłączyć. Przez chwilę cicho rozmawiał z Mamehą, a potem zażądał, żeby zatańczyła. Podejrzewam, że wcale nie chciał jej podziwiać. Liczył raczej, że w ten sposób przerwie niemądre zabawy i ponownie zwróci uwagę na siebie. Pokojówka przyniosła shamisen, Mameha ustawiła się do pierwszego kroku i... skrzypnęły drzwi. Na pewno wiesz, co chce powiedzieć. Tak, przyszły Dynia i Hatsumomo. Były niczym psy gończe na tropie ofiary.

Szkoda, że nie widziałeś, jak spojrzały na siebie Mameha i Hatsumomo. Ktoś mógłby podejrzewać, że śmieją się ze wspólnego żartu. Hatsumomo promieniała szczęściem, bo zdołała nas znaleźć, Mameha zaś... pod uśmiechem skrywała bezgraniczną wściekłość. Podczas tańca mocno zaciskała zęby i gniewnie rozdymała nozdrza. Nawet nie wróciła do stołu.

— Wielkie dzięki, że mogliśmy wpaść! — powiedziała do dyrygenta. — Szkoda tylko, że tak już późno. Muszę odprowadzić Sayuri...

Hatsumomo z satysfakcją patrzyła, jak znikamy za drzwiami.

Mameha zeszła ze schodów, stanęła i czekała. Po pewnym czasie pojawiła się ta sama młoda służąca, która nas wprowadzała.

— Nie zazdroszczę ci takiego życia! — powiedziała do niej Mameha. — Ledwie starcza pensji na najważniejsze potrzeby... A co zrobisz z pieniędzmi, które dziś zarobiłaś?

— Nic nie zarobiłam, pani — zaparła się dziewczyna, głośno przelykając ślinę. Wiedziałam, że kłamie.

— Ile ci obiecała Hatsumomo?

Dziewczę wlepilo wzrok w podłogę. W tej samej chwili zrozumiałam intencje Mamehy. Podejrzewała — zresztą całkiem słusznie — że Hatsumomo przekupiła służbę we wszystkich znanych herbaciarniach w Gion. Informacje o tym, gdzie jesteśmy, docierały do okiia, do naszej telefonistki Yoko. Rzecz jasna wtedy nie znałyśmy roli Yoko w tej sprawie, lecz Mameha zyskała wyraźne potwierdzenie, że Hatsumomo kazała nas szpiegować.

Dziewczyna nie miała odwagi spojrzeć na Mamehę. Ta ujęła ją za brodę i zmusiła do podniesienia głowy. Niewiele to pomogło. Dziewczyna wciąż patrzyła w dół, jakby zamiast oczu miała dwie ołowiane kule. Po wyjściu z herbaciarni usłyszałyśmy dobiegający z okna głos Hatsumomo. Uliczka była taka wąska, że nawet szept niósł się głośnym echem.

— Jak ją wołali? — pytała Hatsumomo.

— Sayuko — odparł któryś z gości.

— Nie Sayuko, tylko Sayuri — sprostował inny.

— O, właśnie — ucieszyła się Hatsumomo. — Lecz to takie wstydlive rzeczy... Nie mogę wam opowiedzieć. Miłe z niej dziewczątko...

— Na mnie nie zrobiła wrażenia — przerwał jej gość. — Choć trzeba przyznać, że jest bardzo ładna.

— I ma niezwykle oczy! — dodała jedna z gejsz.

— Wiecie, co słyszałam na temat jej oczu? — spytała Hatsumomo. — Jeden z moich klientów stwierdził, że są koloru rozdeptanej dżdżownicy.

— Rozdeptanej dżdżownicy? A to ci określenie... Nie znałem takiego.

— Dobrze, zdradzę, co wiem na jej temat — westchnęła Hatsumomo. — Tylko nikomu nie powtarzajcie. Otóż ta Sayuri cierpi na taką przypadłość, że jej piersi wyglądają jak u starej baby. Zwiędnięte i pomarszczone... brrr! okropność! Kiedyś przypadkowo zastałam ją w kąpieli...

Początkowo przystanęliśmy, żeby lepiej słyszeć, lecz w tym miejscu opowieści Mameha lekko popchnęła mnie w plecy i poszłyśmy dalej, do końca uliczki. Mameha rozejrzała się.

— Myślę, dokąd teraz... ale nie znam w pełni bezpiecznego miejsca. Skoro nas znalazła tutaj, znajdzie też gdziekolwiek indziej w Gion. Wracaj do okiya, Sayuri. Potrzebny nam nowy plan.

Któregoś dnia w czasie drugiej wojny światowej, kilka lat później po opisywanych przeze mnie wypadkach, na pikniku pod rozłożystym klonem pewien oficer wyjął z kabury pistolet i rzucił go na matę, chcąc mi zaimponować. Pamiętam, że urzekło mnie piękno broni. Metal połyskiwał ciemnoszarym blaskiem, krawędzie i załamania były doskonale obłe... a kolba wykładana gładkim rzeźbionym drewnem... Kiedy jednak, słuchając relacji oficera, uświadomiłam sobie prawdziwą funkcję rzeczonoego przedmiotu, piękno zniknęło, zduszone potwornością.

W taki sam sposób uległ zmianie mój stosunek do Hatsumomo. Nie twierdzę, że nigdy przedtem nie uważałam jej za okropną, lecz zawsze byłam zazdrosna o jej urodę. Teraz mi przeszło. Zamiast noc w noc uczestniczyć w bankietach i dziesięciu, może piętnastu pomniejszych przyjęciach, musiałam tkwić w okiya i tak jak rok wcześniej ćwiczyć kroki tańca i grę na shamisenie. Wystrojona Hatsumomo mijała mnie w korytarzu, a jej biała twarz błyszczała nad ciemnym kimonem niczym księżyc w pełni na nocnym niebie. Nawet ślepiec uznałby ją za skończoną piękność. Mnie dławilo z gniewu, aż miałam szum w uszach.

Parę razy odwiedziłam Mamehę, licząc na to, że mi powie, jak wybrnąć z tej sytuacji. Niestety, co najwyżej wysyłała mnie po zakupy. Pewnego dnia spytałam, czy wie, co powinnam zrobić.

— Obawiam się, że na razie będziesz zwykłym wyrzutkiem — odpowiedziała. — Mam nadzieję, że nie zabraknie ci determinacji. Teraz jednak, póki nie znalazłyśmy odpowiedniego planu, dalsze wizyty w Gion są pozbawione sensu.

Przykro mi było tego słuchać, lecz przyznawałam jej rację. Intrygi Hatsumomo zrażały do mnie nie tylko mężczyzn, ale i większość kobiet, więc pozostawało mi bierne siedzenie w domu.

Na całe szczęście Mameha miała mnóstwo znajomych, więc od czasu do czasu jeździłyśmy na wycieczki. Gion było zamknięte przede mną, lecz reszta świata stała otworem. Mameha zabierała mnie w każdą podróż. Razem pojechaliśmy pociągiem do Kobe, gdzie miała przeciąć wstęgę na otwarciu najnowszej fabryki. Innym razem zwiedziliśmy Kioto, korzystając z limuzyny byłego prezesa Japońskiego Urzędu Telefonii i Telegrafów. To zdarzenie mocno zapadło mi w pamięć, gdyż po raz pierwszy widziałam ogromne miasto, okalające nasze maleńkie Gion. Prócz tego nigdy przedtem nie siedziałam w aucie. Nie wiedziałam też, w jakich nędznych warunkach żyją niektórzy ludzie. Dopiero na południe od centrum, na brzegu rzeki, tuż przy torach, zobaczyłam obszarpane matki wprost na ziemi tulące niemowlęta, i ojców w wystrzępionych słomianych sandałach, przycupniętych między krzewami. Nędza czasem zaglądała do Gion, ale rzadko kiedy ktoś był tak biedny, że nie mógł zażyć kąpieli. Ja, słaba niewolnica, zastraszona przez Hatsumomo, nawet nie przypuszczałam, że w istocie pędzę całkiem dostatnie życie. Tamtego dnia zrozumiałam, czym naprawdę był Wielki Kryzys.

Zdarzyło się, że późnym rankiem po powrocie ze szkoły zastałam wiadomość, iż powinnam wziąć kosmetyki i czym prędzej gnać do Mamehy. Czekał już tam pan Itchoda, odpowiednik pana Bekku. Właśnie kończył wiązanie obi na plecach gejszy. Mameha stała przed ogromnym lustrem.

— Pośpiesz się — powiedziała na mój widok. — Upudruj twarz i tak dalej. Kimono dla ciebie wisi w sąsiednim pokoju.

Apartament Mamehy był olbrzymi jak na standardy Gion. Główny pokój miał powierzchnię aż sześciu tatami i prowadził do dwóch mniejszych pomieszczeń: do

garderoby, będącej także izdebką dla służby, i do sypialni. Tam właśnie, u wezłowia świeżo zasłanej pościeli, znajdowało się przeznaczone dla mnie kimono. Ze zdumieniem spojrzałam na posłanie. Było czyste jak śnieg — aż nie mogłam uwierzyć, że Mameha korzystała zeń ubiegłej nocy. Bezwiednie zdjęłam bawełniany ubiór, w którym przyszłam z okiia. Chwilę później, kiedy zaczęłam się malować, Mameha wyjaśniła mi, skąd ten nagły pośpiech.

— Baron wrócił — powiedziała. — Przyjdzie na małą przekąskę. Chcę, żebyś go poznała.

Do tej pory nie wspominałam o Baronie. A był to baron Matsunaga Tsuneyoshi — danna Mamehy. Dziś w Japonii już nie ma baronów ani hrabiów, jak przed wojną. Baron Matsunaga należał do najbogatszych. Miał bank i pokaźne wpływy w kołach finansjery. Tytuł szlachecki przejął po starszym bracie, ministrze skarbu w rządzie premiera Inukai. Brat zginął zamordowany, a trzydziestoletni Matsunaga odziedziczył nie tylko tytuł, ale i wielkie dobra w Kioto, opodal Gion. Ze względu na interesy ciągle przebywał w Tokio. Po latach dowiedziałam się, że nie tylko ze względu na interesy... Miał jeszcze jedną konkubinę w dzielnicy gejsz w Akasaka. Zaledwie kilku bogatych ludzi mogło sobie pozwolić na choćby jedną „osobistą” gejszę. Baron Matsunaga Tsuneyoshi szczylił się aż dwiema.

Kiedy się dowiedziałam, że Mameha zamierza spędzić dzień ze swym danna, zrozumiałam, dlaczego zmieniła pościel.

Szybko przebrałam się w przygotowane dla mnie kimono. Spodnia szata była jasnozielona, wierzchnia — brązowo--żółta, z haftem w kształcie sosen. Jedna z pokojówek Mamehy przyniosła duże łąkowe pudło z posiłkiem dla Barona, zamówionym w pobliskiej restauracji. Wszystko ułożone w miseczkach i na talerzach, gotowe do podania. Na największym półmisku spoczywały na brzuchach dwie pieczone w całości, solone ayu. Zdawało się, że płyną z nurtem strumienia. Obok nich stały dwa małe gotowane kraby, z tych, które na ogół zjada się ze skorupką. Smuga soli rozsypana na czarnej lacy imitowała piasek plaży.

Baron przybył kilka minut później. Podglądałam przez szparę w drzwiach, gdy Mameha zdejmowała mu buty. Na pierwszy rzut oka przypominał migdał albo orzech. Był niski, krągły i jakiś... o ciężały, o mocno zmęczonych oczach. W tamtych czasach wielu mężczyzn nosiło modne brody, lecz Baron miał zaledwie kilka rzadkich włosów, wyglądających niczym strąki lub wodorosty zwisające z miski.

— Och, Mameho... — jęknął. — Jestem wykończony. Nienawidzę długich podróży!

Zzuł buty i energicznym truchtem wszedł do pokoju. Garderobiany Mamehy już rankiem wytaszczył z lamusa wyściełany fotel i gruby perski dywan. Baron zasiadł przy oknie, lecz co się działo później, tego już nie widziałam, gdyż pokojówka przeprosiła mnie grzecznie i zasunęła drzwi.

Przeczekałam w maleńkiej izbie dobrze ponad godzinę. Służące uwijały się przy „niewielkim” posiłku dla gościa. Czasem dobiegał mnie głos Mamehy, lecz głównie mówił Baron. W pewnej chwili wydawało mi się, że krzyczy na Mamehę, potem jednak zrozumiałam, że po prostu narzekał na kogoś spotkanego wczoraj. Stwierdził, że nie lubi zbyt wścibskich pytań. Po skończonej przekąsce pokojówka podała herbatę i zostałam wezwana przez Mamehę. Nerwowo klęknęłam przed Baronem — nigdy dotąd nie miałam do czynienia z prawdziwym arystokratą. Ukłoniłam się, poprosiłam o łaskawe względy i czekałam, że mi coś odpowie. On jednak wodził wzrokiem po pokoju i prawie mnie nie zauważał.

— Co zrobiłaś ze zwojem, który przedtem wisiał we wnęce? — zwrócił się do Mamehy. — Był na nim jakiś rysunek... Lepiej to wyglądało.

— Na tym zwoju, Baronie, jest poemat wykaligrafowany przez Matsudairę Koichiego. Mam go już cztery lata.

— Cztery lata? Przysięgnęłbym, że jeszcze przed miesiącem widziałem coś innego.

— Raczej nie... Mój Baronie, ostatni raz zaszczyciłeś mnie wizytą trzy miesiące temu.

— Nic dziwnego, że jestem tak zmęczony. Zawsze mówię, że powinienem więcej czasu spędzać w Kioto, ale... taka jest kolej rzeczy. Zerknijmy na tamten zwój, o którym wspominałem. Aż się wierzyć nie chce, że to już cztery lata.

Mameha poleciła służącej wyjąć zwój z szafy. Ja miałam go rozwinąć. Ręce mi się tak trzęsły, że oczywiście zaraz go upuściłam.

— Ostrożnie, dziewczyno! — zawołał Baron.

Przeprosiłam z niskim ukłonem, ale nie mogłam się powstrzymać, by kilka razy nie zerknąć na Barona. Chciałam się upewnić, że przestał się gniewać. Wydawało mi się, że częściej spogląda na mnie niż na malowidło. Nie była to jednak złość, lecz zaciekawienie. Pomału odzyskałam nieco pewności siebie.

— Ten zwój jest ładniejszy niż tamten we wnęce — zawyrokował Baron, wciąż patrząc na mnie. Nawet nie próbował odwrócić wzroku, gdy napotkał moje spojrzenie.

— Kaligrafia już wyszła z mody — dodał. — Schowaj ją w szafie, a teraz zawieś ten pejzaż.

Mameha bez słowa spełniła jego prośbę. Nawet udawała, że w pełni się z nim zgadza. Do spółki z pokojówką zwinęłam stary zwój i zawiesiliśmy nowy. Mameha kazała mi nalać herbaty Baronowi. Patrząc z góry, tworzyliśmy niewielki trójkąt — Mameha, Baron i ja. Oczywiście w rozmowie brało udział ich dwoje, ja zaś siedziałam cicho, jak gołąb w gnieździe sokołów. Głupia byłam, że chciałam zabawiać bogaczy... nie tylko arystokratów, ale choćby Prezesa. Nawet szef teatru przed kilkoma dniami nie poświęcił mi chwili uwagi. Nigdy nie uważałam się za godną towarzyszkę Barona, lecz teraz zrozumiałam, że wciąż jestem zwykłą, prostą dziewczyną z nadmorskiej wioski. Hatsumomo, gdyby tylko zechciała, odgrodziłaby mnie od wszystkich gości odwiedzających Gion. Nie dla mnie baron Matsunaga, nie dla mnie drugie spotkanie z Prezesem... Bałam się, że Mameha wkrótce zrozumie beznadziejność tej sytuacji i odeśle mnie do okiia, jak lekko przechodzone kimono. Baron — który w istocie był nerwowym człowiekiem — właśnie pochylił się nad stołem, by zdrapać jakąś plamkę. Pomyślałam wówczas o ojcu — takim, jakim go widziałam w dniu odjazdu z Yoroido gdy paznokciem wydłubywał brud ze szpary w blacie. Ciekawe, co by powiedział teraz, widząc mnie klęczącą w pokoju Mamehy, strojną w bogatą szatę, u boku arystokraty i słynnej w Japonii gejszy? Nie pasowałam do tego otoczenia. Wydawało mi się, że tonę w zwojach cudownego jedwabiu. W tamtej chwili pojęcie piękna skojarzyłam z bolesną melancholią.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Pewnego dnia wybrałam się z Mamehą przez most Shijo do dzielnicy Pontocho. Mameha kupowała tam ozdoby do włosów — jej zdaniem ładniejsze niż sprzedawane w Gion. Nagle stanęła. Pod mostem, ciężko sapiąc, płynął stary holownik. Myślałam, że zaciekawily ją czarne kłęby dymu, ale nie — po chwili popatrzyła na mnie z zagadkowym wyrazem twarzy.

— Co się stało, Mameha-san? — spytałam.

— Lepiej będzie, jak ja ci powiem, zanim to usłyszysz od kogoś innego — odparła. — Twoja przyjaciółka Dynia zagarnęła nagrodę dla najlepszej gejszy-praktykantki. Są nadzieje, że zrobi to po raz drugi.

Wzmiankowana nagroda przypadła tej młodej gejszy, która przez miesiąc najwięcej zarobiła. Dziwisz się? Przecież powód był jak najbardziej oczywisty: miało to stanowić zachętę dla dziewcząt do jak najlepszego wykorzystania własnych umiejętności. Dobra gejsza to taka, która sama zarabia i pozwala zarobić innym.

Mameha nieraz wróżyła Dyni smętną przyszłość. Kilka lat bezowocnych starań, potem niewielkie grono stałych, lokalnych gości, twierdziła. Żadnych bogaczy. Nie podobała mi się taka perspektywa, więc z radością powitałam wieść o nagrodzie. Z drugiej jednak strony ogarnął mnie dziwny niepokój. Dynia wyrastała na najpopularniejszą młodą gejszę w Gion. Mnie przyszło kroczyć daleko z tyłu. Gdy się zastanowiłam głębiej, co to wszystko znaczy, świat nabrał dużo ciemniejszych kolorów.

Stałam na moście, z zamyśleniem spoglądając w wodę. Aż dziw brał, że Dynia pokonała niezwykłą dziewczynę o imieniu Raiha, prawdziwą kolekcjonerkę nagród. Jej matka była słynną gejszą, a ojciec pochodził ze znakomitego, bajecznie bogatego rodu. W obecności Raihy czułam się jak stynka przy przepływającym srebrzystym łososiu. Co zaszło, że została pobita przez Dynię? Od dnia debiutu Hatsumomo nie oszczędzała młodszej siostry. Ostatnio Dynia schudła i mniej dbała o siebie. Rzeczywiście ciężko harowała, ale taki wynik zakrawał na coś nieprawdopodobnego.

— Dlaczego posmutniałaś? — zapytała Mameha. — Powinnaś się cieszyć!

— Tak, przepraszam. To brzydko z mojej strony.

– Nie o to chodzi. Hatsumomo i Dynia jeszcze słono zapłacą za dzisiejszą nagrodę. Za pięć lat nikt nie będzie pamiętał o Dyni.

– Zawsze będą wspominać, że pokonała Raihę — odparłam.

– Nikt nie pokona Raihy. Wprawdzie w tym miesiącu Dynia zarobiła więcej, ale Raiha wciąż jest najśłynniejszą młodą gejszą w Gion. Chodź, porozmawiamy.

Zaprowadziła mnie do herbaciarni w Pontocho i poleciła się przy stole.

Z wyjaśnień Mamehy wynikało, że każda słynna gejsza w Gion może zadbać o to, by jej młodsza siostra zarabiała najwięcej. Pod warunkiem że zaryzykuje własną reputację. Ma to związek z ohana, „opłatą za kwiaty”. W dawnych czasach, może ze sto lat temu, gdy gejsza wchodziła na przyjęcie, właścicielka herbaciarni zapalała trociczki, płonące dokładnie godzinę. Właśnie te kadzidełka nosiły nazwę ohana, „kwiaty”. Zarobki gejszy zależały od liczby trociczek wypalonych w czasie jej pobytu.

Cenę jednej ohana zawsze ustalało Biuro Rejestrowe. W czasach mojej młodości wynosiła ona trzy jeny, czyli mniej więcej równowartość dwóch butelek wina. Pozornie dużo, ale gejsza dostająca ohana za godzinę nie mogła myśleć o dostatnim życiu. Większość czasu zapewne spędzała sama, przy piecyku, czekając na zaproszenie. W najlepszym razie przez jeden wieczór zarabiała nie więcej niż dziesięć jenów. To nie starczało na spłatę długów. Przy bajońskich sumach, jakie przepływały przez Gion, była w sytuacji muchy siedzącej na padlinie. Co innego Mameha i Hatsumomo — dwie wspaniałe lwice, którym zawsze trafiał się najlepszy kąsek. Nie narzekały na brak zajęć i stawiały twardsze warunki finansowe. Hatsumomo dostawała ohana nie za godzinę, lecz za każdy kwadrans. Mameha zaś... nie miała sobie równych. Pobierała ohana za każde pięć minut!

Oczywiście żadna gejsza nie zatrzymywała całego zarobku. Nawet Mameha. Część przypadała herbaciarni, niewielki procent trafiał do związku gejsz. Część otrzymywał garderobiany i tak dalej, łącznie z opłatą dla okiyo za prowadzenie kalendarza spotkań i ksiąg finansowych. Po wszystkich odliczeniach gejsza dostawała nie więcej niż połowę początkowej sumy. To i tak był prawdziwy luksus w porównaniu z żalonym losem, jaki przypadał mniej szczęśliwym mieszkankom Gion.

Teraz powiem, jak Hatsumomo mogła pozornie pomóc swojej młodszej siostrze.

Trzeba zacząć od tego, że słynna gejsza jest oczekiwana na każdym przyjęciu. Czasem przychodzi tylko na pięć minut. Goście i tak chętnie płacą, by ją choćby przywitać. Wiedzą, że następnym razem dołączy do nich na dłużej. Praktykantce nie wolno robić takich rzeczy. Musi dbać o klientów i nawiązywać nowe znajomości. Póki, jako osiem-nastolatka, nie stanie się „pełnoprawną” gejsza, nie biega z bankietu na bankiet. Bywa, że sama spędza z gośćmi dobrze ponad godzinę, a potem dzwoni do okiia, by znów dołączyć do siostry. Tak stopniowo poznaje wciąż szerszy krąg klientów. Starsza siostra, o ugruntowanej sławie, zjawia się co wieczór w dwudziestu herbaciarniach. Praktykantce wystarczy, gdy poprzestanie na pięciu. Hatsumomo postępowała na odwrót — ciągała Dynię za sobą.

Do szesnastego roku życia młoda gejsza dostaje pół ohana za godzinę. Goście płacili tyle samo, choć byli w towarzystwie Dyni zaledwie przez pięć minut. Z drugiej strony oczekiwali czegoś więcej. Raz czy dwa nie sprawiało im to dużej różnicy, z czasem jednak rodziło się pytanie, dlaczego Hatsumomo jest tak zapracowana i dlaczego wychodząc, zawsze zabiera siostrę. Przy tej metodzie zarobki Dyni wzrastały do trzech, a nawet czterech ohana za godzinę, płaciła jednak za to reputacją — własną i Hatsumomo.

— Hatsumomo popadła w desperację — oznajmiła Mameha. — Widać to z jej zachowania. Robi dosłownie wszystko, żeby zwrócić uwagę na Dynię. Wiesz dlaczego?

— Chyba nie, Mameha-san.

— Sądzi, że pani Nitta pomyśli o adopcji. Gdyby Dynia została „córką okiia”, obie by miały zagwarantowaną przyszłość. Hatsumomo jest przecież jej siostrą. Nie mogłaby tak po prostu wylecieć na ulicę. Pojmujesz, o czym mówię? Gdy Dynia wejdzie do rodziny Nitta, nigdy się nie wyzwolisz spod wpływu Hatsumomo... Chyba że sama ją wyrzucisz.

Czułam się tak, jak musi się czuć fala oceanu, kiedy sztormowe chmury zasłonią ciepły blask słońca.

— Miałam nadzieję, że wkrótce zyskasz niemałą popularność — ciągnęła Mameha. — Niestety Hatsumomo stanęła nam na drodze.

— To prawda...

— Dobrze, że chociaż wiesz, jak poprawnie postępować z mężczyznami. Masz szczęście, że poznałaś Barona. Jeszcze nie znalazłam drogi, jak na dobre ominąć Hatsumomo, lecz prawdę mówiąc... — Urwała nagle.

— Tak? — spytałam.

— Nieważne, Sayuri. Źle robię, że ci mówię o moich przemyśleniach.

Zrobiło mi się przykro. Mameha chyba to zauważyła, gdyż dodała prędko:

— Mieszkasz przecież pod tym samym dachem co Hatsumomo. Nie chcę, żeby poznała nasze dalsze plany.

— Przepraszam, Mameha-san, ale czym sobie zasłużyłam na taką opinię? — spytałam. — Naprawdę sądzisz, że pobiegnę jej o tym powiedzieć? ..

— Nie chodzi mi o ciebie. Myszy nie dlatego wpadają w łapy kota, że włożą mu w posłanie i targają za wąsy. Zdajesz sobie sprawę, jaka jest Hatsumomo. Musisz po prostu mi zaufać, to wszystko.

— Dobrze — odpowiedziałam, bo cóż miałam zrobić.

— Coś ci powiem — szepnęła Mameha i pochyliła się nad stołem, co uznałam za wyraz podekscytowania. — W ciągu najbliższych dwóch tygodni wejdziemy tam, gdzie Hatsumomo na pewno nas nie znajdzie.

— A mogę spytać gdzie?

— To tajemnica! Nie dowiesz się nawet kiedy. Bądź gotowa. Poznasz prawdę we właściwym czasie.

Po powrocie do okiia schowałam się w pokoju i zaczęłam wertować almanach. Sprawdziłam wszystkie dni w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Znalazłam trzy wyraźnie różniące się od innych. Pierwszy przypadał w najbliższą środę i miał wyjątkowo sprzyjać podróży na zachód. Pomyślałam, że być może Mameha zamierza zabrać mnie z miasta. Drugi wypadał w poniedziałek, dodatkowo jako tai-an — najpomyślniejszy z sześciu dni buddyjskiego kalendarza. Wreszcie niedziela, opisana w zagadkowy sposób: „dobro ze złem w równej mierze otworzą drzwi przeznaczenia”. Intrygujące zdanie.

W środę nie miałam żadnej wiadomości od Mamehy. Parę dni później — almanach twierdził, że to nie sprzyjająca chwila — wezwała mnie do siebie. Okazało się, że chodzi tylko o pewne zmiany na zajęciach z ceremonii herbacianej. Potem

znów minął cichy tydzień, wreszcie w niedzielę usłyszałam stuk otwieranych drzwi frontowych. Odłożyłam shamisen, z którym ćwiczyłam godzinę, i z podestu wybiegłam na korytarz. Spodziewałam się pokojówki Mamehy, lecz był to tylko goniec z apteki, z paczką chińskich ziół na artretyzm Cioci. Jedna z naszych służących odebrała przesyłkę. Chciałam już wrócić do nauki, gdy zauważyłam, że posłaniec znacząco zerka w moją stronę. W dłoni ukradkiem ścisnął skrawek papieru. Zanim służąca zasunęła drzwi, powiedział do mnie:

— Panienko, przepraszam bardzo, mogłabyś to wyrzucić?

Służąca wytrzeszczyła oczy, lecz ja wzięłam kartkę i udałam, że ją wyrzucam do kosza w pokoju. Na papierze widniało parę słów skreślonych ręką Mamehy:

„Poproś Ciocię, żeby ci pozwoliła wyjść. Powiedz, że musisz mi w czymś pomóc. Bądź u mnie nie później niż o pierwszej. Nikomu innemu nie przyznawaj się, dokąd idziesz”.

Podjęte przez nią środki ostrożności, choć ze wszech miar słuszne, były nieco śmieszne, gdyż Mama jadła obiad z jakąś przyjaciółką, a Hatsumomo i Dynia już wyszły na przyjęcie. W okiyo pozostały jedynie Ciocia, ja i służba. Ciocia, gdy do niej poszłam, rozkładała gruby wełniany koc na materacu. Szykowała się do drzemki. Stała w szlafroku, drżąc z zimna, gdy do niej mówiłam. Kiedy tylko usłyszała „Mameha”, nawet nie spytała o powód wezwania. Odprawiła mnie ruchem dłoni i okutała się pościelą.

Okazało się, że Mameha jeszcze nie wróciła z porannego spotkania. Jej pokojówka zabrała mnie do garderoby i pomogła się umalować. Potem przyniosła kimono. Przywykłam już do noszenia strojów Mamehy, choć to było wykroczenie wobec przyjętych zwyczajów. W Gion tylko przyjaciółki na dzień lub dwa wymieniały się kimonami. Niezwykle rzadko któraś gejsza pozwalała sobie na podobny gest wobec młodszej koleżanki. Mameha miała ze mną dodatkowy kłopot: od lat już nie nosiła kimon z długimi rękawami, a więc za każdym razem musiała sięgnąć w głąb magazynu. Spodziewałam się, że za to także przyjdzie mi zapłacić.

To kimono było najpiękniejsze ze wszystkich — pomarańczowe, ze srebrzystym wodospadem, który z wysokości kolan wpadał w głąb granatowego oceanu. Tu i ówdzie sterczały brązowe skały, grubo oblepione naniesionym przez wodę drewnem. Nie zdawałam sobie wówczas sprawy, że ów strój znany był w całym Gion; wszystkim,

którzy go widzieli, przywodził na myśl Mamehę. Pozwalając mi go włożyć, oddawała jednocześnie część własnej sławy.

Pan Itchoda opasał mnie obi — czerwono-brązowym, haftowanym złotą nicią — a potem dokończyłam makijażu i wpięłam ozdoby we włosy. Chusteczkę Prezesa, którą jak zwykle zabrałam z okiia, wsunęłam za pazuchę. Przejrzałam się w dużym lustrze. Wyglądałam cudownie. Co najdziwniejsze, Mameha po powrocie do domu przebrała się w dużo skromniejszy ubiór. Wyszukała kimono barwy górskich patatów, pokryte szarymi plamkami, i granatowe obi o czarnym, diamentowym wzorze. Jak zwykle niczym perła promieniowała miękkim blaskiem, ale kiedy wyszliśmy na ulicę, ci, którzy ją pozdrawiali, patrzyli przede wszystkim na mnie.

Przed świątynią Gion wsiadliśmy do rikszy i przez pół godziny jechałyśmy na północ, do nieznaney mi dzielnicy Kioto. Po drodze dowiedziałam się, że obejrzymy turniej sumo, w towarzystwie Iwamury Kena, założyciela firmy elektrycznej Iwamura z Osaki. Dziwnym trafem piecyk z tej właśnie firmy przyczynił się do śmierci Babci. Zastępca Iwamury, pan Nobu Toshikazu, był obecnie dyrektorem koncernu. Też miał nam towarzyszyć. Pan Nobu zaliczał się do grona zagorzałych miłośników sumo i osobiście pomagał w organizacji mistrzostw.

— Powinnaś chyba wiedzieć — ostrzegła mnie Mameha — że pan Nobu ma... nieco dziwny wygląd. Zachowuj się odpowiednio, a bez wątpienia cię polubi.

Popatrzyła na mnie w taki sposób, jakby chciała powiedzieć, że będzie bardzo zła, jeśli nie spełnię jej oczekiwań.

Wysiadłyśmy na dziedzińcu Uniwersytetu w Kioto. Mameha poprowadziła ścieżką pod sosnami. Po obu stronach piętrzyły się ciężkie gmachy, zbudowane w zachodnim stylu, o oknach pociętych małymi szybkami w malowanych ramach. Do tej pory nawet nie przypuszczałam, że w Gion czuję się jak w domu. Tutaj byłam zupełnie obca. Wokół mnie krążył tłum młodych, gładkoliczych mężczyzn, o włosach równo rozczesanych dokładnie pośrodku głowy. Niektórzy nosili szelki. Ze zdziwieniem przystawali na nasz widok; czasem wręcz żartowali. Wreszcie minęliśmy żelazną bramę, za którą spotkałyśmy nieco inne grono. Tu przeważali starsi, było też kilka kobiet i ze dwie lub trzy gejsze.

Kioto miało sporo miejsc dobrych na zawody. Jednym z nich była stara uniwersytecka hala wystawowa. Dziś ten budynek już nie istnieje, ale w tamtych czasach, w zachodnim otoczeniu, wyglądał niczym pomarszczony starzec w kimonie,

pośród ubranych w garnitury biznesmenów. Obszerny, z wielkim dachem, był podobny do garnka z niedopasowaną pokrywką. Olbrzymie wrota ledwie się trzymały na żelaznych zawiasach. Posmutniałam, gdyż bardzo przypominał mi trzęsichatkę.

U podnóża kamiennych schodów zauważyłam dwie gejsze, sunące drobnym krokiem przez wysypane żwirem podwórko. Ukłoniłam się, one odpowiedziały mi skinieniem głowy, po czym jedna z nich szepnęła coś drugiej na ucho. Pomyślałam, że to bardzo dziwne, więc wyteżyłam wzrok i... serce we mnie zamarło ze zgrozy. Poznałam Korin. Skłoniłam się ponownie, tym razem z uśmiechem, jakbym spotkała najlepszą znajomą. Kiedy tylko odwróciły wzrok, szepnęłam do Mamehy:

— Mameha-san! Tuż przed chwilą widziałam przyjaciółkę Hatsumomo!

— Nie wiedziałam, że ma przyjaciół.

— To Korin. Tam... Przed sekundą jeszcze tam była, z jakąś inną gejszą.

— Znam Korin. Dlaczego jej się tak boisz? Co może zrobić?

Na to pytanie nie znałam odpowiedzi. Skoro Mameha zachowała spokój, mnie pozostawało dokładnie to samo.

Wnętrze hali sprawiało na mnie wrażenie nieskończenie wielkiej przestrzeni, tu i ówdzie upstrzonej plamami słonecznego światła, prześwitującego przez okna umieszczone w suficie. Tłum szemrał głośno, powietrze było przesycone dymem z ustawionych przed wejściem straganów, na których sprzedawano słodkie ryżowe ciasteczka, smażone z pastą miso. Pośrodku hali wznosił się gliniany ring, ocieniony dachem świątyni shinto. Po ringu krążył kapłan, śpiewnym głosem odprawiający modły. Potrząsał świętą różgą umajoną warkoczami z papieru.

Mameha zeszła na dół, aż do pierwszego rzędu. Tam zdjęliśmy sandały i w samych tabi weszliśmy na wąski drewniany podest. Nie wiedziałam, gdzie siedzą goście, póki nie zobaczyłam, że ktoś macha w naszą stronę. Od razu domyśliłam się, że to Nobu. Teraz zrozumiałam ostrzeżenie Mamehy — nawet z tak daleka wyglądał, jakby się rozpływał. Twarz przypominała roztopioną świecę; gdzieś w przeszłości musiał chyba doznać poważnych oparzeń. Sprawiał przykry widok, bez wątpienia okropnie cierpiał. To były dla mnie ciężkie chwile: najpierw natknęłam się na Korin, teraz zaś obawiałam się, że mimochodem mogę zepsuć spotkanie z Nobu. Na wszelki wypadek postanowiłam patrzeć na kogoś innego. Mój wybór padł na eleganckiego pana, ubranego w prążkowane kimono. Siedział na tym samym tatami co Nobu, lecz był zajęty rozmową z kimś w następnym rzędzie. Widziałam go tylko z tyłu, a mimo to

wyglądał niezwykle znajomo. Nie miałam pojęcia, co o tym wszystkim sądzić. Tu, w uczelnianej hali, wydarzenia biegły zupełnie na opak. Nagle przypomniałam sobie uliczkę w Yoroido...

I doznałam olśnienia: to był pan Tanaka!

Zmienił się w sposób, którego nie umiem opisać. Spostrzegłam, jak przesunął dłoń po siwych włosach i byłam zaskoczona gracją jego ruchów. Skąd się we mnie brały cieplejsze uczucia? Być może ze zdumienia zapomniałam o złości. Przecież nienawidziłam go najbardziej w świecie. Miałam się mu uklonić? „Ach, witam pana! Czuję się zaszczycona naszym ponownym spotkaniem. Co pana sprowadziło do Kioto?”. Nie, nic z tych rzeczy. Postanowiłam znaleźć sposób, by mu powiedzieć, co naprawdę czuję, choćby to miało być niezgodne z tradycyjnym zachowaniem gejszy. Przez ostatnie lata niewiele o nim myślałam, lecz nie zamierzałam silić się na uprzejmość. Żadnego nalewania sake — już prędzej obleję mu spodnie. Jeśli uśmiech, to tylko taki, jak widywałam u Hatsumomo. Na koniec powiem: „Panie Tanaka... ta silna woń ryb wywołuje u mnie tęsknotę za domem!”. Ależ będzie zdziwiony! Albo tak: „Och... Tanaka-san! Co za dystygowana poza!”. Prawdę mówiąc — a byliśmy już całkiem blisko — zachowywał się dużo lepiej, niż początkowo myślałam. Mameha już klęknęła na skraju tatami. Pan Tanaka odwrócił się i zobaczyłam szeroką twarz i mocno wystające kości policzkowe... i przede wszystkim oczy, o równych i gładkich powiekach. Nagle wokoło mnie zapanowała głucha cisza, jak gdyby on był wiatrem, a ja niesioną przezeń chmurą.

Twarz miał znajomą — nawet bardziej niż moje własne odbicie w lustrze. To jednak nie był pan Tanaka... ale Prezes.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W towarzystwie Prezesa spędziłam zaledwie chwilę, lecz od tamtej pory żył ze mną we wspomnieniach. Był niczym fragment pieśni wciąż powtarzanej w myślach. Niektóre nuty uległy zmianie... zdawało mi się, że ma wyższe czoło i nie tak gęste siwe włosy. Przez chwilę nie wierzyłam nawet, że to naprawdę on, potem jednak pozbyłam się wątpliwości i opanowała mnie dzika radość.

Mameha schyliła się w ukłonie, a ja czekałam na swoją kolej. Bałam się, że nie zdołam wykrztusić słowa lub że mój głos zabrzmiał jak odgłos ścierki ciągniętej po wypolerowanym drewnie. Pokryty bliznami Nobu nie spuszczał ze mnie oka, ale nie wiedziałam, gdzie patrzy Prezes. Czułam się zbyt zakłopotana, żeby na niego spojrzeć. Mameha zajęła wolne miejsce i wygładziła kimono na kolanach. Zobaczyłam wówczas, że Prezes przypatruje mi się z zaciekawieniem. Poczułam, że mam lodowate stopy, gdyż cała krew napłynęła mi do twarzy.

— Prezes Iwamura... dyrektor Nobu — przedstawiła Mameha. — A to moja nowa młodsza siostra Sayuri.

Bez wątpienia słyszałeś o sławnym Iwamura Kenie, twórcy koncernu Iwamura. Nie jest ci obce też nazwisko Nobu Toshikazu. Ci dwaj stanowili potęgę w Japonii. Byli jak drzewo i korzenie, jak chram i stojąca przed nim brama. Nawet ja, jako czternastolatka, słyszałam te nazwiska. Nigdy jednak nie przypuszczałam, że to Iwamurę spotkałam nad potokiem Shirakawa. Opadłam na kolana, złożyłam głęboki ukłon i wyrecytowałam tradycyjną formułkę, że polecam się łaskawej uwadze, i tak dalej. Potem usiadłam na wolnym skrawku maty między mężczyznami. Nobu wdał się w rozmowę z sąsiadem po drugiej stronie, a Prezes siedział milcząc, z pustą czarką w dłoni. Mameha powiedziała coś do niego. Chwyciłam maleńki czajnik i lekko podwinęłam rękaw, żeby mi nie przeszkadzał przy nalewaniu herbaty. Ze zdumieniem spostrzegłam, że wzrok Prezesa spoczął na mojej ręce. Chciałam zobaczyć, na co patrzy. Może to sprawiły przyćmione światła hali, ale skóra na moim przedramieniu lśniła niczym perła i miała piękną barwę kości słoniowej. Nawet ja byłam urzeczona tym widokiem. Czułam na sobie wzrok Prezesa, więc nie cofałam dłoni. Nagle Mameha umilkła. Pomyślałam, że przerwała rozmowę, gdyż Prezes jej nie słuchał. Dopiero chwilę później zrozumiałam, co naprawdę zaszło.

Czajnik był pusty. Co gorsza, był już pusty, gdy go podnosiłam z tacy.

Przed sekundą czułam się jak w niebie. Teraz wymamrotałam parę słów przeprosin i pośpiesznie odstawiłam naczynie. Mameha wybuchnęła śmiechem.

— Widzi pan, Prezesie, jaka z niej dziewczyna — powiedziała. — Gorliwa do przesady. Gdyby w tym czajniczku była choć kropla herbaty, na pewno by ją wycisnęła.

— Nosi piękne kimono — zauważył Prezes. — O ile mnie pamięć nie myli, widywałem cię w nim za dawnych czasów.

Gdy usłyszałam jego głos, łagodny i pełen kurtuazji, zupełnie się pozbyłam resztek wątpliwości.

— To możliwe — odparła Mameha. — Widywał mnie pan jednak w tak wielu kimonach, że wątpię, aby równie dobrze zapamiętał pan wszystkie.

— Nie różnię się od innych ludzi. Piękno robi na mnie niezatarte wrażenie. Gdy zaś chodzi o zawodników sumo, nie potrafię odróżnić jednego od drugiego.

Mameha pochyliła się w moją stronę.

— Pan Prezes chce powiedzieć, że niespecjalnie lubi sumo.

— Mameho... — jęknął Prezes. — Chcesz mnie skłócić z Nobu?

— Prezesie, przecież Nobu-san doskonale zna pańskie poglądy!

— Mniejsza o to. Sayuri, byłaś już na turnieju sumo? Czekałam na jakiś pretekst, by zacząć rozmowę. Zanim jednak zdążyłam powiedzieć choć słowo, głośny huk wstrząsnął całą halą. Wśród widzów zapanowała cisza. Wszyscy odwrócili głowy, lecz okazało się, że to tylko drzwi łomotnęły przy zamykaniu. Drugie skrzydło też zazgrzytało na zawiasach, popchnięte przez dwóch ogromnych zapaśników. Nobu patrzył za siebie, nie mogłam się powstrzymać, żeby nie rzucić wzrokiem na jego poszarpany kark i zniekształcone ucho. Dopiero teraz zauważyłam pusty rękaw marynarki. Zaaferowana niezwykłym spotkaniem, wcześniej nie zwróciłam na to uwagi. Rękaw był złożony w pół i przypięty do ramienia długą srebrną szpilką.

Jeśli tego nie wiesz, to ci wytłumaczę, że Nobu w randze porucznika japońskiej piechoty morskiej został ciężko ranny w walkach o Koreę. Stało się to dokładnie w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku, podczas bombardowania przedmieść Seulu. W czasie pierwszego spotkania nie miałam najmniejszego pojęcia o jego bohaterskich czynach, chociaż prawdę mówiąc, tę historię powtarzano niemal w całej Japonii. I tak

byłby dobrze znany, gdyby nawet nie związał się z Prezesem i nie objął posady dyrektora koncernu Iwamura. Blizny najdobitniej świadczyły o sukcesie, zatem oba nazwiska zawsze wymieniano razem.

Nie znam się na historii — w szkole uczono nas tylko sztuk pięknych — ale zdaje mi się, iż Japonia przejęła władzę nad Koreą pod koniec wojny rosyjsko-japońskiej. Parę lat później zapadła ostateczna decyzja o włączeniu Korei do rosnącego w potęgę cesarstwa. Koreańczycy raczej nie byli zadowoleni. Nobu ruszył tam z niewielkim oddziałem, aby zaprowadzić spokój. Pewnego dnia w towarzystwie głównego oficera wybrał się na inspekcję niewielkiej wioski w pobliżu Seulu. Gdy wracali do koni, cały patrol został ostrzelany. Słyszając przeraźliwy gwizd nadlatujących szrapneli, dowódca usiłował się ukryć za niewielką skarpą, był jednak już stary i powolny jak kaczenica przyczepiona do skały. Nie zdążył przed wybuchem. Nobu padł na niego i osłonił własnym ciałem. Oficer potraktował to bardzo źle i próbował odpełznąć na bok. Nawet mu się udało unieść głowę. Chwilę później nastąpiła eksplozja. Dowódca zginął, a Nobu odniósł poważne obrażenia. W czasie operacji amputowano mu tuż nad łokciem lewą rękę.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam ów pusty rękaw, z przestachem odwróciłam wzrok. Nigdy przedtem nie widziałam kaleki — chociaż w dzieciństwie byłam świadkiem, jak jeden z pracowników pana Tanaki stracił czubek palca przy opraciwaniu ryby. Jeśli chodzi o Nobu, to wielu uważało, że brak ręki jest jego najmniejszym zmartwieniem. Całe ciało miał niby otwartą ranę. Trudno opisać, jak wyglądał, nie popadając w okropności. Przytoczę tylko słowa pewnej innej gejszy: „Jego twarz przypomina słodki ziemniak wrzucony do ogniska”.

Po zamknięciu olbrzymich drzwi znów odwróciłam się do Prezesa, bo chciałam odpowiedzieć na jego pytanie. Jako praktykantka miałam pełne prawo siedzieć niema jak bukiet kwiatów. Nie zamierzałam jednak odrzucić pierwszej szansy. Gdybym tylko choć trochę zapadła mu w pamięć, nawet tak słabo jak ślad stopy dziecka na zakurzonej podłodze, byłby to dobry start do dalszej znajomości.

— Pytał pan, czy to mój pierwszy kontakt z sumo — przypomniałam mu grzecznie. — Owszem, i będę wdzięczna za wszelkie wyjaśnienia.

— Jeśli chcesz znać zasady walki, to lepiej porozmawiaj ze mną — wtrącił się Nobu. — Jak masz na imię? W tym hałasie nawet nie usłyszałem.

Odwróciłam się od Prezesa, niczym głodne dziecko odrywane od miski pełnej smakołyków.

— Sayuri, proszę pana.

— A dlaczego nie „Marne” coś tam? — zdziwił się Nobu. — Przecież jesteś siostrą Mamehy. Nie hołdujesz głupim tradycjom?

— Niestety, proszę pana, okazało się, że znak „Marne” był dla mnie obciążony nie najlepszą wróżbą.

— Wybieraniem imion zajmują się wróżbici? — zapytał z niesmakiem.

— Wybór należał do mnie — odezwała się Mameha. — Wróżbita tylko wskazał, gdzie powinnam szukać.

— Mam nadzieję, że kiedyś wyrośniesz z tych głupot — westchnął Nobu.

— Proszę, proszę... — mitygował go Prezes. — Każdy, kto cię teraz słucha, mógłby myśleć, że ma do czynienia z najbardziej światłym człowiekiem w Japonii. A przecież nikt jak ty nie wierzy w przeznaczenie.

— Nad każdym z nas ciąży wyrok losu, lecz nie trzeba od razu biegać z tym do wróżbity. Sądysz, że chodzę do kucharza, żeby sprawdzić, czy jestem głodny? — odciął się Nobu. — Poza tym Sayuri to bardzo piękne imię. Uroda dziewcząt rzadko pasuje do imienia.

Czekałam, że za chwilę powie coś w rodzaju: „Mameho, już naprawdę nie mogłaś sobie wybrać ładniejszej siostry?”. Z ulgą usłyszałam:

— W tym wypadku imię świetnie pasuje do dziewczyny. Za parę lat będzie piękniejsza od ciebie, Mameho!

— Nobu-san! Żadna z kobiet nie lubi wiedzieć, że ma rywalkę!

— Zwłaszcza ty, prawda? Zaczniij się przyzwyczajając. Sayuri ma cudowne oczy. Odwróć się do mnie, dziecko, żebym mógł jeszcze raz w nie zerknąć.

Nie mogłam patrzeć w podłogę, gdyż Nobu chciał widzieć moje oczy. Z drugiej strony, zasady etykiety nie pozwalały spojrzeć mu prosto w twarz. Prześliznęłam się po nim wzrokiem, jakby próbując znaleźć punkt zaczepienia na gładkim lodzie, wreszcie skupiłam uwagę na podbródku. W tej chwili wolałabym być ślepa. Twarz Nobu wyglądała jak nieudolnie ulepiona z gliny. Pamiętaj, że jeszcze nie wiedziałam, co mu się przytrafiło. Ciężko mi było, gdy patrzyłam na jego zniekształcone rysy.

— Twoje źrenice błyszczą w niecodzienny sposób — powiedział.

W tej samej chwili zza niewielkich drzwi po drugiej stronie hali wyszedł jakiś człowiek ubrany w uroczyste kimono. Na głowie miał wysoką czarną czapkę i wyglądał, jak gdyby zstąpił wprost ze starych malowideł przedstawiających dwór cesarski. Za nim kroczył orszak zapaśników tak wielkich, że musieli się schylać przy przekraczaniu progu.

— Sayuri, co wiesz o sumo? — spytał Nobu.

— Jedyne to, że zawodnicy są ogromni jak wieloryby, proszę pana — odpowiedziałam. — W Gion pracuje taki, co już skończył karierę.

— Awajiumi? Właśnie tam siedzi.

Nobu wyciągnął rękę w stronę drugiego sektora, gdzie rzeczywiście siedział roześmiany Awajiumi. Obok siebie miał Korin. Chyba mnie dostrzegła, bo uśmiechnęła się lekko i szepnęła mu coś na ucho. Popatrzył w naszą stronę.

— Nigdy nie był zbyt dobry — zawyrokował Nobu. — Pchał przeciwników ramieniem. Nic tym nie działał, prostak, a na dodatek parę razy połamał sobie obojczyk.

Zapaśnicy weszli już do hali i stanęli wokół glinianego ringu. Po kolei wyczytywano ich imiona. Wywołany wchodził na ring i czekał na następnych. W końcu wszyscy stanęli kręgiem, twarzą do publiczności. Potem wyszli, żeby zrobić miejsce dla zawodników z przeciwnej strony.

— Sznur ułożony na podium wyznacza granicę ringu — wyjaśnił mi Nobu. — Przegrywa ten, który jako pierwszy zostanie wypchnięty na zewnątrz lub dotknie ziemi dowolną częścią ciała, oczywiście poza stopami. Pozornie nic trudnego, ale spróbuj zmusić któregoś z tych olbrzymów, by dobrowolnie wyszedł z ringu.

— Stanęłabym za nim z kołatką i spróbowała go wystraszyć — odpowiedziałam.

— Nie żartuj — burknął Nobu.

Nie udawałam przemądrzałej; pierwszy raz próbowałam zabawiać mężczyzn. Nobu tak mnie speszył, że nie wiedziałam, co powiedzieć. Prezes nachylił się w moją stronę.

— Nobu-san nigdy nie żartuje z sumo — powiedział cicho.

— Nie żartuję z trzech najważniejszych rzeczy w życiu — dodał Nobu. — A są to: sumo, interesy i wojna.

— Na wszystkich bogów, sądziłam, że to właśnie żarty! — zawołała Mameha. — Sam pan sobie zaprzecza.

— Zrozumiałabyś przebieg bitwy albo zebrania biznesmenów? — spytał mnie Nobu.

Przede wszystkim nie bardzo rozumiałam, o czym w ogóle mówi, lecz z jego tonu wynikało, że mam odpowiedzieć „nie”.

— Ani trochę.

— Otóż to. W tej chwili nie rozumiesz też sumo. Możesz się śmiać z żarcików Mamehy lub posłuchać moich wyjaśnień i dowiedzieć się czegoś więcej.

— Od lat mnie szkoli — cicho westchnął Prezes. — Ale jestem wyjątkowo opornym uczniem.

— Prezes to wspaniały człowiek — pośpieszył z odpowiedzią Nobu. — Sumo nie zna, bo nie bardzo mu na tym zależy. Dzisiaj także przyszedł wyłącznie dlatego, że na moją prośbę zgodził się być jednym ze sponsorów turnieju.

Zapaśnicy już zakończyli wstępną ceremonię. Pozostało dwóch najważniejszych — yokozuna. Dla nich był przewidziany odrębny występ. Yokozuna to najwyższy stopień w sumo; „równy pozycji Mamehy w Gion”, jak mi wyjaśnił Nobu. Ani przez chwilę nie wątpiłam w jego słowa, lecz pomyślałam sobie, że gdyby Mameha choć w połowie celebrowała tak swój udział, jak to czynili yokozuna, nikt więcej by jej nie zaprosił na żadne przyjęcie. Drugi, o wiele niższy z mistrzów, miał osobliwą twarz — nie pulchną, lecz jakby rzeźbioną z kamienia, o szczęce, która przywodziła na myśl tępy dziób rybackiego kutra. Publiczność przywitała go taką wrzawą, że aż zakryłam uszy. Na imię miał Miyagiyama, więc wystarczy pobieżna znajomość sumo, by wiedzieć, skąd ten aplauz.

— Najwspanialszy zapaśnik wszechczasów — oświadczył Nobu.

Przed rozpoczęciem walk spiker odczytał listę nagród, między innymi dużą sumę przekazaną przez pana Nobu Toshikazu, dyrektora koncernu Iwamura. Słyszając to, Nobu zrobił gniewną minę.

— Co za głupiec! Pieniądze nie są moje, lecz firmy! Przepraszam, Prezesie. Zaraz każę komuś ogłosić sprostowanie.

— Nie ma żadnej pomyłki, Nobu. Zawdzięczam ci tak wiele, że potraktuj to jako spłatę maleńkiej części długu.

— Prezes jest bardzo hojny. — Nobu schylił głowę. — Dziękuję.

Podał Prezesowi czarę, napełnił ją sake i wypili. Dwaj pierwsi zapaśnicy stanęli na ringu. Oczekiwałam walki, lecz przez pięć minut patrzyłam, jak sypią wokół siebie solą i z dużym wykrokiem w bok mocno tupią o ziemię. Przykucali, patrzyli sobie w oczy i wszystko wyglądało na to, że zaraz rozpoczną starcie, gdy nagle jeden wstawał i znów podchodził do drewnianego kubła z solą. Wreszcie, w najmniej spodziewanym przeze mnie momencie, zaczęli pojedynek. Zderzyli się, jeden drugiego chwycił za przepaskę, sekundę później któryś z nich stracił równowagę i walka dobiegła końca. Widzowie pokrzykiwali i klaskali, ale Nobu pokręcił głową.

— Słaba technika — mruczał.

Przez resztę walk towarzyszyło mi wrażenie, że jedno ucho mam połączone z głową, a drugie wprost z sercem. Z jednej strony słuchałam fachowych wyjaśnień Nobu — a potrafił mówić niezwykle zajmująco — z drugiej zaś rozpraszał mnie głos Prezesa, rozmawiającego z Mamehą.

Minęła godzina, gdy nagły błysk koloru sprawił, że spojrzałam w stronę, gdzie siedział Awajiumi. Zobaczyłam piękny pomarańczowy kwiat, wpięty we włosy pochylonej w ukłonie gejszy. W pierwszej chwili wzięłam ją za Korin, przebraną w nowe kimono. Gdy się wyprostowała, poznałam Hatsumomo.

Najmniej się spodziewałam takiego spotkania... Targnął mną nagły dreszcz, jakby raził mnie prąd. Hatsumomo na pewno znajdzie sposób, żeby mnie tu poniżyć, przed setkami widzów. To tylko kwestia czasu. W gruncie rzeczy o wiele bardziej peszyła mnie obecność Prezesa niż widzów. Nie zniosłabym takiej hańby. Czulałam drapanie w gardle. Nobu coś powiedział o nowych zapaśnikach, ale nawet nie udawałam, że go słucham. Zerknęłam na Mamehę. Przelotnie spojrzała na Hatsumomo i powiedziała:

— Pan pozwoli, panie Prezesie, że zabiorę Sayuri i oddalimy się na chwilę.

Zaczekałyśmy, aż Nobu skończy mówić. Potem wyszłyśmy z hali.

— Och, Mameha-san... —jęknęłam. — To prawdziwy demon!

— Korin wyszła ponad godzinę temu. Na pewno po to, by znaleźć Hatsumomo. Powinno ci pochlebiać, że za twoją sprawą doszło w Gion do takiego zamieszania.

— Nie przeżyje poniżenia przed... przed tyloma ludźmi.

— Ale jak zrobisz coś śmiesznego, zostawi cię w spokoju.

— Błagam, Mameha-san... Wpędzasz mnie w jeszcze większe zakłopotanie.

Minęliśmy dziedziniec i dotarliśmy do niskich schodków przed budynkiem, gdzie mieściły się toalety. Mameha pociągnęła mnie dalej, w głąb krytego przejścia. Tu, z dala od wścibskich uszu, mogliśmy swobodniej rozmawiać.

— Od lat cieszę się opieką Nobu i Prezesa. Niebiosą świadkiem, że Nobu potrafi być przykry dla wrogów, lecz przyjaciół traktuje z wiernością wasala. Nigdy nie spotkałam kogoś, kto okazałby mi aż tyle zaufania. Myślisz, że Hatsumomo rozumie te uczucia? Nobu to dla niej... „Pan Jaszczur”. Tak go właśnie nazywa. „Mameha-san, wczoraj widziałam cię z Jaszczurem! Fe, cała jesteś w plamach! Ocierał się o ciebie?”. Albo coś w tym stylu. Nie obchodzi mnie, co sądzisz o nim w tej chwili. Z czasem sama zrozumiesz, że to wspaniały człowiek. Hatsumomo da ci święty spokój, gdy zobaczy, że go polubiłaś.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie wiedziałam nawet, czy Mameha zamierza mnie o coś spytać.

— Przez cały czas słuchałaś opowieści o sumo — ciągnęła. — To pierwszy znak, że Nobu przypadł ci do gustu. Teraz pora na pokaz wyłącznie dla Hatsumomo. Spraw, żeby pomyślała, że czujesz coś więcej. Bez wątpienia w jej oczach będzie to zabawne. Pozwoli ci zostać w Gion, żeby częściej was obserwować.

— Mameha-san... to co mam zrobić?

— Jeśli tego nie wiesz, to znaczy, że źle cię wyszkoliłam — odpowiedziała.

Wróciłyśmy na widownię. Nobu znów rozmawiał ze swoim sąsiadem. Nie chciałam mu przeszkadzać, zatem udawałam, że patrzę na zapaśników szykujących się do następnej walki. Wśród widzów panowało wyraźne poruszenie. Mówił nie tylko Nobu. W głębi serca pragnęłam przysunąć się do Prezesa i spytać go, czy pamięta spotkanie przed laty... Oczywiście nie mogłam tak postąpić. Poza tym wywołałoby to nagłą reakcję ze strony Hatsumomo.

Wreszcie Nobu popatrzył na mnie.

— Nie było dobrej walki — oznajmił. — Wszyscy czekają na Miyagiyamę. Ten dopiero pokaże, co potrafi.

Uznałam to za odpowiednią okazję, by wcielić w życie plan Mamehy.

— I tak jestem pod wrażeniem dotychczasowych pojedynków! — zawołałam. — Pan, panie dyrektorze, potrafi tak ciekawie mówić, że aż się nie chce wierzyć, iż nie widzieliśmy jeszcze najlepszej walki.

— Nie wygłupiaj się — odparł Nobu. — Żaden z tych zapaśników nie zasługuje na to, by występować w jednym ringu z Miyagiyamą.

Ponad jego ramieniem wypatrzyłam Hatsumomo. Rozmawiała z Awajiumim i na pozór w ogóle nie spoglądała w moją stronę.

— Wiem, że moje pytanie wyda się panu głupie — powiedziałam — lecz jak zawodnik o tak niskim wzroście może zyskać największą sławę?

Gdybyś mnie wówczas widział, pewnie byś miał wrażenie, że to dla mnie najciekawsza sprawa w życiu. Wstyd mi było udawać, zwłaszcza w tak trywialnych sprawach, lecz ktoś patrzący z boku mógł przypuszczać, że rozprawiamy o najgłębszych tajnikach duszy. Z niekłamanym zadowoleniem spostrzegłam, że spoczęło na mnie spojrzenie Hatsumomo.

— Miyagiyamą tylko wygląda na małego wśród innych zapaśników — odparł Nobu. — Choć trzeba przyznać, że jest bardzo czuły na punkcie swojego wzrostu. Kilka lat temu jedna z gazet całkiem trafnie podała jego wzrost i wagę, a on i tak uznał to za afront. Kazał się walnąć deską w sam czubek głowy, potem zjadł gar patatów, opił się wodą i poszedł do redakcji, aby im udowodnić, że kłamią.

Roześmiałabym się dosłownie ze wszystkiego — tylko po to, by odegrać scenę przed Hatsumomo — lecz na szczęście nie musiałam udawać. Wystarczyło, że wyobraziłam sobie krzepkiego Miyagiyamę, jak z zaciśniętymi oczami czeka na cios deską. Zachichotałam, a po chwili Nobu zawtórował mi gromkim śmiechem. Hatsumomo na pewno uznała nas za przyjaciół, bo aż klasnęła w ręce z zadowolenia.

Zaraz potem wpadłam na nowy pomysł. W dalszym ciągu rozmawiałam z Nobu, ale w wyobraźni widziałam Prezesa. Szorstkie zdania w mych uszach brzmiały z kurtuazją, gdzieś zniknęły blizny i plamy na ustach, każde słowo mówiło o słodkich uczuciach. Po pewnym czasie zniknęła przestronna hala i zasiedliśmy w cichym, przytulnym pokoju. Klęczałam przy Prezesie. Nigdy nie było mi tak dobrze... Niczym piłka rzucona wysoko w powietrze, osiągnęłam stan pozornego bezruchu. Tkwiłam zawieszona między niebem a ziemią. Rozglądając się dostrzegałam jedynie piękno drewnianych kolumn i czułam słodki zapach świeżo pieczonych ciasteczek. Łudziłam

się nadzieją, że tak będzie zawsze; niestety w pewnej chwili Nobu popatrzył na mnie i zapytał:

— Co ty wygadujesz? Tylko dureń mógłby wymyślić coś takiego!

Sęk w tym, że nawet nie pamiętam, co wówczas powiedziałam. Mój uśmiech zgasł, jakby ktoś przeciął trzymające mnie sznurki. Nobu wciąż zerkał na mnie kosym okiem. Hatsumomo była daleko, ale wiedziałam, że nas obserwuje. Przyszło mi na myśl, że jak się rozpłaczę, będzie to wyglądało na prawdziwą rozpacz. Która gejsza płacze w obecności mężczyzn? Mogłam przecież po prostu przeprosić, uznałam jednak, że te ostre słowa padły z ust Prezesa. Roztrzęsiona pochyliłam głowę i przybrałam pozę skrzywdzonego dziecka.

— Skrzywdziłem cię? — ku mojemu zaskoczeniu zapytał Nobu.

Teatralnie pociągnęłam nosem. Nobu patrzył na mnie przez długą chwilę i powiedział:

— Wspaniała z ciebie dziewczyna.

Jestem pewna, że chciał powiedzieć coś więcej, lecz tłum głośnym rykiem powitał wchodzącego Miyagiyamę.

Miyagiyama i jego przeciwnik imieniem Saiho długo chodzili po ringu, sypali sól i tupali, jak to jest w stylu zapaśników sumo. Za każdym razem, gdy kucali, uważnie mierząc się wzrokiem, przypominali mi dwa głazy, na chwilę przed lawiną. Miyagiyama zawsze schylał się nieco niżej niż masywniejszy i wyższy Saiho. Bałam się, że przy zderzeniu po prostu się przewróci. Saiho nie wyglądał mi na takiego, co da się wypchnąć z ringu. Osiem lub dziewięć razy przyszykowali się do walki, lecz żaden nie zaatakował.

— Hataki komi! — nagle szepnął Nobu. — Zrobi hataki komi! Zerknij na jego oczy!

Poszłam za tą radą, lecz dostrzegłam tylko, że Miyagiyama wcale nie patrzy na Saiho. Ten zaś wyraźnie czuł się lekceważony, gdyż łypał groźnie niczym dzikie zwierzę. Wydatne policzki upodabniały go do górskiego szczytu. Twarz mu poczerwieniała z gniewu. Miyagiyama w dalszym ciągu ledwie go zauważał.

— To już nie potrwa długo — wyszeptał Nobu. Rzeczywiście, gdy znów przykucnęli, Saiho gwałtownie zaszarżował.

Miyagiyama, podobnie jak poprzednio, mocno pochylił się w przód; mogło się wydawać, że chciał całym ciałem odeprzeć atak. Wstając, nieoczekiwanie wykonał krok w tył, obrócił się niczym drzwi wahadłowe i otwartą dłonią trzepnął przeciwnika po karku. Saiho był w pełnym biegu, jakby spadał ze schodów. Miyagiyama pchnął go z całej siły. Góra mięsa przefrunęła nad liną ułożoną wokół pola walki, a potem, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, spadła z ringu, prosto na pierwszy rząd widzów. Większość z nich zdążyła usunąć się z drogi, lecz ktoś został trafiony potężnym ramieniem, gdyż po chwili wstał i przez jakiś czas z trudem łapał oddech.

Starcie trwało nie dłużej niż sekundę. Saiho czuł się mocno upokorzony, gdyż skłonił się oziębło, zwyczajem pokonanych, i zaraz wyszedł z hali. Wśród tłumu panowało gorączkowe ożywienie.

– Tę technikę określa się nazwą hataki komi – wyjaśnił mi Nobu.

– Fascynujące... – z zamyśleniem stwierdziła Mameha. Nawet nie dokończyła zdania.

– Co jest fascynujące? – zainteresował się Prezes.

– To, co zrobił Miyagiyama. Nigdy dotąd nie widziałam czegoś podobnego.

– Widziałas. Zapaśnicy często tak postępują.

– Tak, lecz tym razem dało mi to dużo do myślenia... – powiedziała Mameha.

Dużo później, w drodze powrotnej do Gion Mameha niecierpliwie wierciła się w rikszy.

– Ten zapaśnik podsunął mi znakomity pomysł! – wołała. – Hatsumomo nawet nie podejrzewa, że już zdołałyśmy wybić ją z równowagi. Nie spostrzeże się, dopóki nie będzie za późno.

– Mamy plan? Och, Mameho, chcę go natychmiast usłyszeć!

– Nie żartuj – odpowiedziała. – Nawet moje służące a nie mogą o tym wiedzieć. Podtrzymuj związki z Nobu. Liczę na niego... i jeszcze kogoś.

– Kogo?

– Nie zdążyłaś go poznać. A teraz koniec rozmowy! I tak powiedziałam za dużo. Dobrze, że właśnie dzisiaj, spotkałaś się z Nobu. Będzie twoim wybawcą.

Muszę przyznać, że posmutniałam na te słowa. Moim wybawcą mógł być tylko Prezes. Nikt inny.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Teraz, kiedy już znałam tożsamość Prezesa, co wieczór przeglądałam wszystkie czasopisma w nadziei, że znajdę o nim coś więcej. Po tygodniu w pokoju wyrósł taki stos gazet, że Ciocia spoglądała na mnie jak na wariatkę. Wprawdzie odnalazłam kilka informacji, ale krótkich, bez wiadomości, które chciałam poznać. W dalszym ciągu znosiłam gazety ze śmietnika, aż pewnego razu natrafiłam na stertę magazynów rzuconych na zapleczu jakiejś herbaciarni. Było wśród nich czasopismo, wydane przed dwoma laty, z obszernym artykułem o historii koncernu Iwamura.

Okazało się, że w kwietniu tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku przypadła dwudziesta rocznica założenia firmy. Do dziś mnie to dziwi, gdyż właśnie wtedy po raz pierwszy spotkałam Prezesa nad potokiem Shirakawa. Gdybym wówczas czytywała prasę, znalazłabym jego zdjęcie w niemal wszystkich gazetach. Znając konkretną datę, łatwiej mi było szukać innych artykułów. Większość pochodziła z ogromnej kolekcji czasopism wyrzuconych po śmierci babci mieszkającej w okiia po drugiej stronie ulicy.

Z doniesień wynikało, że Prezes przyszedł na świat w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym, czyli – mimo siwych włosów – miał niewiele ponad czterdziestkę. I pomyśleć, że przy pierwszym spotkaniu wzięłam go za szefa jakiejś niewielkiej firmy... Prawdę mówiąc, koncern Iwamura nie był tak ogromny jak konkurujące z nim w zachodniej Japonii przedsiębiorstwo Osaka Electric, ale przyjaźń Prezesa i Nobu bardziej trafiała w gusta przeciętnych obywateli. O dyrektorach Osaka Electric rzadko kto słyszał. Zakłady Iwamury miały o wiele lepszą reputację i cieszyły się opinią nowocześniejszych.

Jako siedemnastolatek, Prezes rozpoczął pracę w niewielkim warsztacie elektrycznym w Osace. Krótco potem awansował na kierownika brygady zakładającej kable w okolicznych fabrykach. Wiele biur i mieszkań przechodziło wówczas na oświetlenie elektryczne. Młody Prezes wieczorami ślęczał nad wynalazkami. Pierwszym jego projektem był łącznik umożliwiający wkręcenie dwóch żarówek do jednego gniazdka. Niestety szef warsztatu nie chciał słyszeć o żadnych usprawnieniach. W tysiąc dziewięćset dwunastym roku, tuż po ślubie, dwudziestodwuletni Prezes założył własną firmę.

Przez pierwsze lata borykał się z trudnościami. Potem, w tysiąc dziewięćset czteremnaście, zdobył kontrakt na okablowanie nowych budynków bazy wojskowej w Osace. Tymczasem Nobu był żołnierzem, gdyż jako inwalida nie mógł znaleźć pracy. Dowództwo powierzyło mu nadzór nad działaniami młodego przedsiębiorstwa Iwamury. Zaprzyjaźnił się z Prezesem i rok później przyjął propozycję etatu.

Im więcej czytałam o ich współpracy, tym bardziej rozumiałam, jak dobrze do siebie pasowali. We wszystkich artykułach było to samo zdjęcie: Prezes, w eleganckim trzyczęściowym garniturze z wełny, trzymał w dłoni ceramiczny łącznik – pierwszy produkt firmy. Wydawać by się mogło, że tuż przed chwilą zobaczył ów przedmiot i nie znał jeszcze jego przeznaczenia. Lekko szczyrzył zęby i dziwnie nadąsanym wzrokiem spoglądał w obiektyw, jakby chciał własnym wynalazkiem rzucić w fotografa. Niższy o pół głowy Nobu stał obok, na baczność, z dłonią zaciśniętą w pięść. Miał na sobie płaszcz i prążkowane spodnie. Poznaczona bliznami twarz nie wyrażała żadnych uczuć, a oczy były lekko przymknięte, jakby drzemał. Chociaż różnica wieku między nimi wynosiła tylko dwa lata, wyglądali jak ojciec z synem. Może sprawiała to przedwczesna siwizna Prezesa. W większości gazet pisano, że wzrost znaczenia firmy był dziełem właściciela. Nobu za to stanowił o jej sile. Nie błyszczał i miał cięższą pracę, lecz w tym, co robił, okazał się tak dobry, iż zebrał z ust Prezesa wiele publicznych pochwał. To właśnie Nobu w początkach lat dwudziestych przyciągnął liczną grupę inwestorów i uratował koncern od ruiny. „Mam wobec niego dług, którego nie zdołam spłacić”, głosiła powszechnie cytowana wypowiedź Prezesa.

Po kilku tygodniach otrzymałam wiadomość od Mamehy, że następnego dnia mam się stawić w jej mieszkaniu. Już na dobre przywykłam do kosztownych kimono, które mi pożyczła. Tamtego razu, gdy wkładałam jesienną, szkarłatno-żółtą szatę, zdobną w liście rozsypane na złocistej trawie, z przerażeniem odkryłam z tyłu szerokie na dwa palce rozdarcie. Mameha jeszcze nie wróciła, więc pobiegłam do pokojówki.

– Tatsumi-san... – wydyszałam. – To straszne... Ktoś zniszczył kimono.

– Nikt nie zniszczył, panienko. Wystarczy to zaszyć. Pani pożyczła je dzisiaj z okiwa po drugiej stronie.

– Pewnie nic nie wiedziała – odparłam. – Znow pomyśli, że to moja sprawka...

– Oglądała tę dziurę – przerwała mi Tatsumi. – Spodnia warstwa jest rozdarta w tym samym miejscu. Obmacalam uda. Rzeczywiście, kremowy ubiór, który już miałam na sobie, też był dziurawy.

– Jeszcze z zeszłego roku – wyjaśniła Tatsumi. – Praktykantka zaczepiła o gwóźdź i tak zostało. Pani jednak wyraźnie chciała, żeby panienka włożyła to kimono.

Niewiele z tego rozumiałam, ale ubrałam się do końca. Po powrocie Mamehy zasypałam ją pytaniami.

– Wiesz przecież, że mam pewien plan – powiedziała poprawiając makijaż. – Twoja przyszłość zależy od dwóch ludzi. Kilka tygodni temu spotkałaś Nobu. Drugi dopiero wrócił, ale też go poznasz, a pomoże ci w tym podarte kimono. Dzięki sumo wpadłam na wspaniałą pomysł! Chcę zobaczyć minę Hatsumomo, gdy się dowie o twoim zmartwychwstaniu. Wiesz, co mi powiedziała przed paroma dniami? Dziękowała, że przyszyliśmy na turniej. Wręcz zapomniała o kłopotach, jak zobaczyła cię z „Jaszczurem”. Bez wątpienia zostawi was w spokoju, jeśli wytrwasz u jego boku. Co najwyżej będzie podglądać. Dla własnego dobra staraj się o nim mówić... lecz ani słowem nie wspominaj o tym, którego poznasz dzisiaj.

Coś mnie ścisnęło w dołku, kiedy słuchałam tych wywodów, chociaż próbowałam udawać szczęśliwą. W głębi ducha zdawałam sobie sprawę, że nikt nie wchodzi w bliski związek z gejszą, która była kochanką dobrego przyjaciela. Jakiś czas temu w łaźni podsłuchałam rozmowę dwóch dziewcząt. Jedna z nich rozpaczała, że jej obecny danna wszedł w interesy z człowiekiem, o którym zawsze marzyła. Nie przyszło mi do głowy, że kiedyś sama będę w podobnej sytuacji.

– Czy mogę o coś spytać? – nie wytrzymałam. – Czy Nobu-san w przyszłości ma być moim danna?

Mameha opuściła rękę z pędzelkiem. Widziałam w lustrze jej odbicie. Patrzyła na mnie wzrokiem zdolnym zatrzymać rozpędzony pociąg.

– Nobu-san to wspaniały człowiek. Nie chciałabyś mieć takiego danna?

– To nie tak... Myślałam tylko...

– W porządku. Wyjaśnijmy sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, masz dopiero czternaście lat i nie zdobyłaś jeszcze żadnej sławy. Trzeba ci sporo szczęścia, by stać się taką gejszą, jaką mógłby wybrać mężczyzna pokroju Nobu. Po drugie, Nobu-san nie znalazł dotąd odpowiedniej partnerki. Żadna mu nie przypadła do gustu. Gdyby wybrał ciebie, byłby to wielki zaszczyt.

Spąsowiałam tak mocno, że policzki stanęły mi w ogniu. Mameha miała rację: cokolwiek by się wydarzyło, potrzebowałam dużo szczęścia, aby na swojej dalszej drodze spotkać kogoś takiego jak Nobu. A skoro on był niedostępny; to Prezes tym bardziej. Od dnia turnieju sumo dziękowałam bogom, że dali mi drugą szansę. Po słowach Mamehy pochłonął mnie ocean smutku.

Pośpiesznie skończyłam się ubierać. Mameha zabrała mnie do okiya, skąd się wyprowadziła przed sześcioma laty.

WV drzwiach powitała nas starsza wiekiem służąca. Ciągle cmokała i potrząsała głową.

– Zadzwoniliśmy wcześniej do szpitala – powiedziała. – Doktor wraca do domu o czwartej. To za pół godziny, prawda?

– Zawiadomimy go, nim wyjdziemy, Kazuko-san – odparła Mameha. – Na pewno na mnie zaczeka.

– Mam nadzieję. Nie zostawi przecież krwawiącej dziewczyny. – Kto jest ranny? – zapytałam z przestachem, lecz służąca spojrzała na mnie z westchnieniem i powiodła nas maleńkim korytarzem, po schodach na pierwsze piętro. W izbie o powierzchni zaledwie dwóch tatami oprócz mnie, Mamehy i służącej stłoczyły się jeszcze trzy dziewczyny i wysoka, szczupła kucharka w wykrochmalonym fartuchu. Wszystkie popatrzyły na mnie ze współczuciem, a kucharka zarzuciła ręcznik na ramię i zaczęła szlifować nóż do patroszenia ryb. Nagle się poczułam niczym płat tuńczyka, przywieziony do restauracji, gdyż zrozumiałam, że to właśnie ja będę krwawić.

– Mameha-san... – jęknęłam.

– Sayuri... Wiem, co chcesz powiedzieć. Ciekawe, bo sama tego nie wiedziałam.

– Pamiętasz, że jako młodsza siostra obiecałaś mi posłuszeństwo?

– Nie sądziłam, że tym samym godzę się na wycięcie wątroby...

– Nikt nie będzie ci ciął wątroby – odezwała się kucharka tonem, który zapewne miał mnie uspokoić, ale nie przyniósłżądanego skutku.

– Sayuri, chodzi o niewielką ranę – tłumaczyła mi Mameha. – Malusieńką, żebyś tylko trafiła do szpitala i poznała pewnego lekarza. Pamiętasz, co ci mówiłam? Chodzi właśnie o niego.

– A nie mogę udawać, że złapał mnie ból brzucha? Wcale nie było mi do śmiechu, ale wywołałam ogólną wesołość. Chichotała nawet Mameha.

– Sayuri, wszystkim nam leży na sercu wyłącznie twoje dobro – oznajmiła. – Musisz choć trochę krwawić, by trafić do szpitala.

Chwilę później kucharka skończyła ostrzyć nóż i stanęły przede mną tak spokojnie, jakby zamierzała mi pomóc przy pudrowaniu twarzy. Ja jednak nie spuszczałam wzroku z błyszczącego ostrza w jej dłoni. Stara służąca Kazuk oburącz odchyliła mi kołnierz kimona. Byłam bliska paniki, na szczęście przemówiła Mameha.

– Trzeba ją zranić w nogę.

– W nogę? – zdziwiła się Kazuko. – Lepiej w kark. To bardziej erotyczne.

– Odwróć się, Sayuri, i pokaż wszystkim podarte kimono – rozkazała Mameha. – Kazuko-san, jak wytłumaczysz związek między tą dziurą i raną na szyi?

– Jaki związek? – zdumiała się służąca. – Kimono to kimono, a szyja to szyja.

– Zupełnie nie rozumiem paplania Kazuko – zniecierpliwiła się kucharka. – Powiedzcie mi, gdzie mam dziabnąć, to dziabnę.

Mimo wszystko nie potrafiłam się z tego cieszyć. Mameha posłała młodszą pokojówkę po czerwoną pomadkę do ust. Potem szybko, przez dziurę w kimonie, zrobiła mi znak na udzie.

– Tnij dokładnie tutaj – poleciała kucharce. Otworzyłam usta, lecz nie zdążyłam nic powiedzieć, bo Mameha przecząco pokręciła głową.

– Połóż się i bądź cicho. Pogniewam się, jak dalej będziesz nam przeszkadzać.

Skłamię mówiąc, że posłuchałam jej bez wahania, ale w gruncie rzeczy nie miałam wyboru. Położyłam się na prześcieradle rozpostartym na podłodze i mocno zacisnęłam oczy. Mameha podwinęła mi kimono aż do wysokości bioder.

– Pamiętaj, zawsze możesz powtórzyć cięcie – zwróciła się do kucharki. – Zaczynaj płytko.

Zagryzłam usta, czując dotknięcie noża. Chyba nawet jęknęłam, ale nie jestem tego zupełnie pewna. Coś mnie ukłuło, a potem usłyszałam głos Mamehy.

– Nie tak płytko! Ledwie przecięłaś naskórek.

– To wygląda jak usta – zauważyła Kazuko. – W środku szpara, a po bokach szminka. Doktor udusi się ze śmiechu. Mameha przyznała jej rację i wytarła pomadkę,

upewniwszy się przedtem, że kucharka trafi dokładnie w to samo miejsce. Znowu poczułam nóż na swoim ciele.

Nigdy nie potrafiłam znieść widoku krwi. Pamiętasz chyba, jak zemdlałam w dniu, kiedy uderzyłam się w usta i trafiłam na stół w magazynie pana Tanaki. Możesz więc sobie wyobrazić, jak zareagowałam na widok czerwonej strugi, która spłynęła mi po nodze na ręcznik trzymany przez Mamehę. Nie wiem, co było dalej – nie pamiętam, jak wyszłam z okiya ani jak jechałyśmy rikszą. Dopiero pod szpitalem Mameha energicznie szarpnęła mnie za głowę.

– Obudź się i słuchaj! Przez cały czas nauki bez przerwy ci powtarzano, że masz zwracać uwagę na inne starsze gejsze, bo to właśnie one pomogą ci w karierze. Zapomnij o tym! W naszej sprawie to nie ma najmniejszego znaczenia. Jak już mówiłam, twoja przyszłość zależy wyłącznie od dwóch ludzi. Jednego zaraz poznasz. Zrób na nim jak najlepsze wrażenie. Słyszysz mnie?

– Tak jest. Wyraźnie, każde słowo.

– Jak cię spyta, w jaki sposób skaleczyłaś nogę, powiedz, że byłaś u mnie w łaźni i zaczepiłaś o coś ostrego. Nawet nie wiesz o co, bo zaraz zemdlałaś. Resztę możesz dopowiedzieć sama. Zachowuj się jak dziecko. Udawaj bezradną. Pokaż, jak to zrobisz.

Wywróciłam oczami i bezwładnie opuściłam głowę. Wyglądałam dokładnie tak, jak się czułam, ale to nie wzbudziło litości Mamehy.

– Nie kazałam ci udawać trupa. Bądź bardziej wystraszona. O tak...

Z niepokojem spojrzała wokół siebie, jakby nie mogła się skupić, i przycisnęła rękę do policzka w obawie przed omdleniem. Miałam ją naśladować. Po kilku próbach rozpoczęłam właściwy popis. Kulis pomógł mi wysiąść z rikszy i podejść do drzwi szpitala. Mameha szła tuż obok, ciągnąc mnie za kimono i pilnując, żebym cały czas wyglądała uroczo.

Wkroczyłyśmy przez wahadłowe drzwi i spytałyśmy o ordynatora. Mameha oświadczyła, że byłyśmy umówione. Pielęgniarka poprowadziła nas długim korytarzem do maleńkiej sali z drewnianym stołem i parawanem zasłaniającym okno. Tam miałyśmy zaczekać. Mameha odwinęła mi ręcznik z nogi i rzuciła go do śmietniczki.

– Pamiętaj, Sayuri – syknęła mi wprost do ucha w obecności lekarza masz udawać bezradną i niewinną. Kładź się i omdlewaj.

Z tym akurat nie miałam najmniejszych trudności. Chwilę później zjawił się Doktor Krab. Tak naprawdę nazywał się inaczej, lecz wyglądem w istocie przypominał kraba: miał wystające łokcie i głowę wciśniętą w ramiona. Nawet kiedy chodził, lekko wysuwał jedną rękę, niczym krab bokiem sunący po plaży. Wąsaty, z niekłamana radością powitał Mamehę, choć w jego oczach znać było wyraźne zaskoczenie.

Doktor Krab był niesłychanie metodycznym człowiekiem. Zamykając drzwi, najpierw przekręcił klamkę, żeby nie trzaskać zamkiem. Potem, dla pewności, docisnął skrzydło do futryny. Z kieszeni fartucha wyjął płaskie pudełko i otworzył je tak ostrożnie, jakby się bał, że rozsypie zawartość. Wewnątrz były jedynie okulary. Doktor Krab zdjął te, które miał na nosie, nałożył drugie, poprzednie schował do pudełka, a pudełko z powrotem umieścił w kieszeni. Wygładził fartuch i dopiero wówczas z lekkim skinieniem głowy popatrzył na mnie.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, panie doktorze – powiedziała Mameha. – Sayuri ma przed sobą wspaniałą przyszłość, a tu pech chciał, że rozplatała nogę. Strach mnie bierze, że zostanie blizna; nie wspominając już o zakażeniu. Tylko pan może ją uratować.

– Zobaczymy – odparł lekarz. – Mogę rzucić okiem na ranę?

– Sayuri mdleje na widok krwi – ostrzegła go Mameha. – Lepiej niech się odwróci, to nie będzie przeszkadzać w badaniu.

– Doskonale rozumiem. Poproś ją, żeby się położyła na brzuchu na stole.

Nie wiedziałam, dlaczego nie zwrócił się wprost do mnie, ale nie chciałam być niegrzeczna, więc czekałam, aż Mameha powtórzy polecenie. Doktor zadarł mi kimono prawie aż do pasa, wziął kawałek waty i jakąś śmierdzącą miksturą posmarował mi udo.

– Sayuri-san, bądź tak dobra i opisz, w jaki sposób nabawiłaś się tego skaleczenia – powiedział.

Zaczerpnęłam głęboki, bolesny haust powietrza.

– To... trochę krępujące – odparłam słabym głosem. Prawdę powiedziawszy... wypiliśmy sporo herbaty...

– Sayuri od niedawna weszła w rolę gejszy – wyjaśniła Mameha. – Oprowadzam ją po całym Gion. Oczywiście każdy z nią pije herbatę.

– Tak, wyobrażam sobie – powiedział lekarz.

– W rezultacie poczułam, że muszę... – podjęłam przerwana opowieść. – No, że muszę...

– Spożywanie zwiększonej ilości płynów powoduje wzmożone parcie na pęcherz – podsunął mi lekarz.

– Dziękuję. Szczerze mówiąc... „wzmożone parcie” to nieco za mało powiedziane. Czułam, że za chwilę wszystko będzie żółte... Pan rozumie, o co mi chodzi...

– Powiedz doktorowi, co się potem stało – wtrąciła Mameha.

– Przepraszam – bąknęłam. – Pilnie potrzebowałam wyjść do toalety. Tak pilnie, że kiedy tam wreszcie trafiłam... przez dłuższą chwilę nie mogłam wyplątać się z kimona. Nagle straciłam równowagę i upadłam na coś ostrego. Nawet nie wiem na co, bo chyba zemdlalam.

– Dziwne, że nieprzytomna nie popuściłaś moczu – zauważył lekarz.

Do tej pory leżałam płasko na brzuchu, z wysoko uniesioną głową, żeby nie zniszczyć sobie makijażu. Doktor widział jedynie moje włosy. Teraz jednak, po ostatnim zdaniu, z niepokojem zerknęłam przez ramię na Mamehę. Na szczęście zachowała nieco więcej rozsądku.

– Do wypadku doszło, gdy Sayuri wstawiała z kucków powiedziała pośpiesznie.

– Rozumiem – mruknął lekarz. – Takie obrażenia powstają po zetknięciu z bardzo ostrym przedmiotem. Może to było szkło lub kawałek metalu.

– Mocno mnie zabolalo – przyznałam. – Czułam się, jak krojona nożem.

Doktor Krab nie powiedział nic więcej, tylko oczyścił ranę, jakby strasznie chciał sprawdzić, ile jeszcze wytrzymam.

Potem znów wziął śmierdzący płyn i zmył mi zakrzepłą krew z nogi. Wreszcie oznajmił, że wystarczy maść i niewielki opatrunek. Miałam się oszczędzać przez najbliższe dni. Opuścił mi kimono, zdjął okulary i odłożył je ostrożnie, jakby się bał, że je stłucze przy gwałtowniejszym ruchu.

– Szkoda, że zniszczyłaś tak wspaniały ubiór – westchnął. – Ale dobrze, że mogłem cię poznać. Mameha-san doskonale wie, że zawsze interesują mnie nowe twarze.

– Ależ nie, panie doktorze, cała przyjemność jest po mojej stronie – odparłam.

– Może kiedyś się spotkamy w herbaciarni Ichiriki? – Prawdę mówiąc, doktorze – wtrąciła Mameha – to Sayuri stanowi... szczególny okaz. Rozumie pan, o co chodzi. Ma tylu wielbicieli, że trudno ich zliczyć. Dlatego też na razie nie chodzi do Ichiriki. Może w zamian wpadniemy do Shirae?

– Jeszcze lepiej – ucieszył się Doktor Krab i ponownie przystąpił do rytuału zmiany okularów. W końcu spojrzął do małego notesu. – Będę tam... niech sprawdzę... Za dwa dni od dzisiaj. Mam nadzieję, że się zobaczymy.

Mameha zapewniła go, że na pewno tak będzie, i wyszliśmy.

W rikszy, w drodze powrotnej do Gion, Mameha oświadczyła, że dobrze się spisałam.

– Przecież nic nie zrobiłam!

– Tak? A co widziałaś na czole doktora?

– Nic. Tuż przed twarzą miałam tylko blat stołu.

– To posłuchaj. Kiedy nasz pan doktor ścierał ci krew z nogi, pot mu spływał po czole jak w samym środku lata. A w pokoju przecież nie było gorąco.

– Nie.

– Widzisz! – triumfowała Mameha.

W gruncie rzeczy nie wiedziałam, z czego mam się cieszyć ani po co poznałam Doktora. Nie było sensu pytać, gdyż Mameha już wcześniej oznajmiła, że nie zdradzi mi szczegółów planu. Wjechałyśmy na most Shijo, tuż przed granicą Gion. W pewnej chwili Mameha całkiem zmieniła wątek.

– To kimono doskonale pasuje do ciebie. Wyglądałaś prześlicznie. Szkarłatno-żółte tło i srebrzyście połyskujące oczy... O, niebios! Że też wcześniej o tym nie pomyślałam! Hej, tam! – zawołała. – Zajechałyśmy za daleko! Wsiadamy tutaj.

– Powiedziała pani: Gion Tominaga-cho – zaprotestował kulis. – Nie mogę przecież stanąć na samym środku mostu.

– Albo nas wysadzisz tutaj, albo zawrócisz za mostem i z powrotem przejedziemy na tamtą stronę. Wszystko jedno. Kulis zatrzymał rikszę. Wsiadłyśmy. Rowerzyści dzwonili na nas wściekle, lecz Mameha nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Miała tak ugruntowaną sławę, że nie martwiła się byle drobiazgami, w rodzaju ruchu ulicznego. Nawet nie przyszło jej do głowy, że może komuś zablokować drogę.

Spokojnie otworzyła jedwabną portmonetkę, moneta po monecie odliczyła opłatę za przejazd i pociągnęła mnie z powrotem na koniec mostu.

– Pójdziemy do atelier Uchidy Kosaburo – oznajmiła. – To wspaniały artysta; na pewno przypadniesz mu do gustu, chociaż czasami bywa... roztargniony. Wnętrze pracowni przypomina śmietnik. Na pewno chwilę potrwa, zanim zobaczy twoje oczy, więc patrz tak, żeby mógł je widzieć.

Skreśliśmy w boczną ulicę, a stamtąd w wąziutką alejkę. W głębi zobaczyłam czerwoną bramę toru, małą i wciśniętą między dwa domy. Za bramą minęliśmy kilka niewielkich pawilonów, aż dotarliśmy do kamiennych schodów, wiodących między drzewa okraszone barwami jesieni. Tu powietrze było zimne jak źródłana woda, towarzyszyło mi wrażenie, że wchodzę do innego świata. Usłyszałam szmer fali obmywającej piasek plaży, potem jednak okazało się, że to jakiś człowiek tyłem do nas mył schody szczotką koloru czekolady.

– Uchida-san! – zawołała Mameha. – Nie masz służącej do sprzątnięcia?

Człowiek na szczycie schodów stał w pełnym blasku słońca, więc wątpliwe, by widział coś więcej niż dwie sylwetki wśród krzewów. Ja za to mogłam zobaczyć go wyraźnie. Przedstawiał zadziwiający widok. W kąciку ust miał ogromne znamię, jak przyschnięty kawałek jedzenia, a do tego krzaczaste brwi, wyglądające niczym dwie gąsienice, które wypełzły z włosów i zasnęły na czole. Był potargany i w mocno wygniecionym kimonie, jakby całą noc przedrzemał w ubraniu.

– Kto tam? – zawołał.

– Uchida-san! Po tylu latach wciąż nie poznajesz mojego głosu?

– Nie wiem, kim jesteś, ale zaraz możesz mnie zdenerwować. Nie mam nastroju na zagadki! Dostaniesz szczotkę, jak się nie przedstawisz.

Wyglądał groźnie. Pomyślałam nawet, że odgryzie znamię i plunie nim w naszą stronę. Mameha jednak uparcie wspinała się po schodach. Szłam za nią, żeby przypadkowo nie oberwać pierwsza.

– Tak witasz gości? – spytała, wchodząc w krąg blasku. Uchida obrzucił ją kosym spojrzeniem.

– A, to ty. Dlaczego nie uprzedzisz, jak wszyscy? Bierz szczotkę i do roboty. Nikt nie wejdzie do domu, póki nie zapalę kadzidła. Znów zdechła jedna z moich myszy i śmierdzi w środku jak w trumnie.

Mameha przyglądała mu się z wyraźnym rozbawieniem: Czekala, póki me odstawił szczotki pod drzewo i nie wszedł do domu.

– Paliłaś kiedyś pod kotłem? – szepnęła do mnie. – Uchida wprost szaleje, jak sknoci jakąś pracę. Musi się wyładować, wybuchnąć jak kocioł, i to go uspokaja. Jak nie znajdzie pretekstu, by sobie pofolgować, wtedy zaczyna pić i jest jeszcze gorszy.

– Hoduje myszy? – spytałam, także szeptem. – Mówił, że jedna zdechła.

– Skądże! Zawsze zostawia na wierzchu pręciki suchego tuszu. Myszy je podgryzają i giną zatrute. Dałam mu nawet pudło na przybory, ale go nie używa.

Uchida z trzaskiem odsunął drzwi, zerknął na nas i znów zniknął w głębi chaty. Zdjęliśmy obuwie i weszliśmy do wnętrza. Izba była przestronna, zupełnie jak na wsi. Dymiące w kącie kadzidło niewiele pomagało, gdyż smród zdechłej myszy zaraz uwiązał mi w nosie jak kawałek rozmięklej gliny.

Panował tu bałagan gorszy niż u Hatsumomo. Wszędzie walały się pędzle, niektóre połamane lub nawet pogryzione, a pod ścianami wznosiły się sterty nie ukończonych, czarno-białych szkiców. Na samym środku leżał materac z rozkopaną i poplamioną tuszem pościelą. Pomyślałam sobie, że pewnie takie same plamy znajdę na skórze Uchidy. Odwróciłam się, by to sprawdzić, a on spytał:

– Co się gapisz?

– Uchida-san, chciałam ci przedstawić moją młodszą siostrę Sayuri – powiedziała Mameha. – Przyszła tutaj aż z Gion, by mieć zaszczyt cię poznać.

Stąd do Gion wcale nie było daleko, lecz klękłam, pokłoniłam się do samej ziemi i zgodnie ze zwyczajem poprosiłam gospodarza o łaskawą uwagę. Wątpię, czy dotarło do niego chociaż jedno słowo. Nie słuchał nawet Mamehy.

– Dobry dzień był tylko do południa – burknął. A potem... popatrz, co się stało!

Poszedł w drugi kąt izby i wyciągnął deskę z przypiętym szkicem. Rysunek przedstawiał kobietę widzianą z tyłu. Trzymała parasolkę i lekko spoglądała przez ramię. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie wyraźny rząd czarnych kocich śladów, biegnących na ukos przez kartkę. Zwierzak pewnie wlaźł w tusz, a potem krążył po pokoju. Teraz spał, wtulony w stos brudnych łachów.

– Wziąłem go, żeby łowił myszy! – burczał Uchida. Chyba go zaraz wygnam!

– Ale te ślady są przepiękne – zachwycała się Mameha. – Moim zdaniem zdobiją rysunek. Co o tym myślisz, Sayuri?

W pierwszej chwili bałam się odpowiedzieć, żeby jeszcze bardziej nie rozgniewać Uchidy. Potem jednak zrozumiałam, że chodzi o „wysadzenie kotła”, jak to wcześniej ujęła Mameha.

– Wspaniały efekt! – zawołałam z udawanym zachwytem. – Ten kot rzeczywiście ma artystyczną duszę.

– Wiem, dlaczego go nie lubisz – powiedziała Mameha do Uchidy. – Zazdrościsz mu talentu.

– Zazdrościsz?! – wrzasnęła. – To nie malarz. To demon w kociej skórze!

– Wybacz, Uchida-san – przeprosiła Mameha. – Na pewno jest tak, jak mówisz. Co zamierzasz zrobić z tym szkicem? Jeśli go chcesz wyrzucić, to chętnie go wezmę. Pięknie będzie wyglądał u mnie w domu na ścianie.

Słyszając to, Uchida zerwał papier z deski.

– Podoba ci się? Świetnie, dostaniesz dwa prezenty! Podarł kartkę na pół.

– Proszę bardzo! Tu jeden, a tu drugi! A teraz się wynoś! – Po co to zrobiłeś? – zapytała Mameha. – Zniszczyłeś swój najładniejszy rysunek.

– Precz!

– Uchida-san, byłabym złą przyjaciółką, gdybym stąd zaraz wyszła, nie posprzątawszy trochę.

Uchida jak huragan wypadł z izby, zostawiając otwarte drzwi. Kopnął szczotkę opartą o drzewo, pośliznął się na mokrym kamieniu i o mało co nie zleciał ze schodów. Sprzątałyśmy przez pół godziny, póki wreszcie nie wrócił. Tak jak przewidziała Mameha, był w lepszym nastroju. Nie należał do najweselszych ludzi, gdyż ciągle ssał zamię, a to z kolei nadawało mu wiecznie zatroskany wygląd. Chyba się trochę wstydził swojego zachowania. Nie patrzył na nas. Zrozumiałe, że nie mógł w ten sposób zauważyć moich oczu. – Nie sądzisz, że Sayuri jest bardzo ładna? – spytała wprost Mameha. – Nie spojrzysz na nią?

Zakrawało to wręcz na desperację. Uchida zerknął na mnie, jakby zmiatał okruchy ze stołu. Mameha była przygnębiona. Z wolna zaczęło zmierzchać, więc zebrałyśmy się do wyjścia. Mameha złożyła malarzowi zdawkowy ukłon. Przed domem przystanąłam ze zdumieniem, gdyż słońce znikające za grzbietami odległych wzgórz przemieniło nieboskłon w najpiękniejsze, rdzaworóżowe kimono. Wyczarowało nawet więcej, bo przy żadnym kimonie skóra rąk nie nabiera

pomarańczowego blasku. Moje dłonie aż pulsowały niecodziennym światłem. Przyglądałam im się przez chwilę.

– Popatrz, Mameha-san! – zawołałam, lecz ona pomyślała, że mówię o słońcu, i z obojętną miną spojrzała na horyzont. Uchida stał w drzwiach jak wryty, marszcząc brwi ze skupieniem, Przeczesał ręką siwe włosy. Nie patrzył w niebo. Patrzył na mnie.

Widziałeś kiedyś znane malowidło, wykonane tuszem, pędzla Uchidy Kosaburo? To, które przedstawia dziewczynę w kimonie, z lekka zadziwioną, ze srebrnym błyskiem w oczach...? Uchida od początku twierdził, że ów pomysł przyszedł mu do głowy tamtego wieczora. Niezupełnie mu wierzę. Nie wyobrażam sobie, by tak cudowny obraz mógł powstać na widok zwykłej nastolatki, oglądającej swoje dłonie w świetle zachodzącego słońca.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Zadziwiający był to miesiąc, w którym po raz drugi spotkałam Prezesa oraz poznałam Nobu, Doktora Kraba i Uchidę Kosaburo. Czułam się niczym świerszcz uwolniony z wiklinowej klatki. Pierwszy raz szłam spać z przekonaniem, że być może wzbudzę więcej zainteresowania w Gion niżli kropla herbaty wylana na matę. W dalszym ciągu nie znałam zamierzeń Mamehy, nie wiedziałam, jak stać się prawdziwą gejszą i jak choć trochę zbliżyć się do Prezesa. Noc w noc przytulałam policzek do chusteczki i wspominałam nasze spotkanie. Dzwon, uderzony przed wieloma laty, wreszcie zadźwięczał jakimś słabym echem.

Kilka tygodni przeszło bez najmniejszych zdarzeń, aż z Mamehą zaczęłyśmy się trochę niepokoić. Wreszcie pewnego ranka do herbaciarni Ichiriki zatelefonowała sekretarka z koncertu Iwamura. Dostałam zaproszenie na wieczorny bankiet. Mameha była wniebowzięta, bo sądziła, że to sprawka Nobu. Ja cieszyłam się jeszcze bardziej, podejrzewając Prezesa. Później, przy Hatsumomo, powiedziałam Cioci, że resztę dnia spędzę w towarzystwie Nobu, i poprosiłam o przygotowanie stroju. Ku mojemu zaskoczeniu, Hatsumomo ofiarowała się z pomocą. Ktoś obcy mógłby wręcz pomyśleć, że ma do czynienia z kochającą rodziną. Hatsumomo ani się nie krzywiła, ani nie wygłaszała kąśliwych uwag. Szczerze mówiąc, naprawdę pomagała. Ciocia była zdziwiona nie mniej ode mnie. Wspólnie wybrałyśmy zielone kimono, ozdobione srebrnymi i cynobrowymi liśćmi. Do tego szare obi przetykane złotą nicią. Hatsumomo obiecała, że wpadnie, by mnie zobaczyć w towarzystwie Nobu.

Wieczorem, gdy klęknałam w progu Ichiriki, czułam, że całe życie czekałam na ten moment. Słuchałam dochodzących z dali, przytłumionych śmiechów i zastanawiałam się, który głos należy do Prezesa. Otworzyłam drzwi i ujrzałam go, siedzącego na honorowym miejscu przy stole. Nobu był odwrócony plecami do mnie. Hmm... wbiłam wzrok w rozweseloną twarz Prezesa, jakby jego uśmiech był przeznaczony wyłącznie dla mnie. Musiałam mocno się pilnować, by mu nie odpowiedzieć podobnym uśmiechem. Przywitałam się z Mamehą, skłoniłam pozostałym gejszom, wreszcie pozdrowiłam sześciu czy siedmiu gości. Wstałam z kolan i – jak to było ustalone z Mamehą – podeszłam wprost do Nobu. Nie zdając sobie z tego sprawy, usiadłam chyba zbyt blisko, gdyż z trzaskiem odstawił czarękę i

usunął się na bok. Nie odpowiedział na moje przeprosiny, a Mameha zmarszczyła brwi. Resztę przyjęcia przesiedziałam w nie najlepszym nastroju. Gdy wyszliśmy, Mameha powiedziała:

– Nobu-san to drażliwy człowiek. Na przyszłość bardziej uważaj, żeby go nie rozgniewać.

– Przepraszam. Chyba mniej mu przypadłam do gustu, niż początkowo sądziłyśmy...

– Nieprawda. Bardzo cię lubi. Gdyby było inaczej, zmusiłby cię do płaczu. Czasami jest niczym worek żwiru, lecz w gruncie rzeczy ma złote serce. Sama się przekonasz.

Parę dni później znów zostałam zaproszona do Ichiriki. Tydzień później także. I znowu..: Nie zawsze chodziłam z Mamehą. Przestrzegła mnie, bym nigdy nie siedziała zbyt długo, w obawie przed wrażeniem, że nie mam innych spotkań. Opuszczałam przyjęcie zazwyczaj po godzinie, jakbym się śpieszyła na następny bankiet. Hatsumomo zapewniała mnie, że też przyjdzie, ale na szczęście kończyło się na obietnicach. Pewnego dnia powiedziała jednak, że ma wolną chwilę i że na pewno zajrzy do Ichiriki.

Denerwowałam się jak nigdy, a czekały mnie jeszcze gorsze przeżycia. Wśród gości brakowało Nobu. W ogóle było to najmniejsze przyjęcie, w jakim do tej pory uczestniczyłam w Gion. Poza mną były tylko dwie inne gejsze i czterech mężczyzn. Co zrobi Hatsumomo, widząc mnie z Prezesem pod nieobecność Nobu? Stała w drzwiach, nim zdążyłam wymyślić coś rozsądnego.

Postanowiłam grać znudzoną, jakbym tęskniła za towarzystwem Nobu. To mogło mnie uratować. Na szczęście domniemany obiekt moich uczuć zjawił się parę minut później. Na jego widok Hatsumomo uśmiechnęła się jeszcze szerzej, aż jej usta wyglądały niczym krople krwi błyszczące na brzegach rany. Nobu zasiadł za stołem, a Hatsumomo niemal matczynym ruchem skinęła na mnie, żebym naląła mu sake. Usiadłam obok, zachowując się niczym zakochana.. Kiedy się śmiał, wodziłam za nim rozmarzonym wzrokiem. Hatsumomo gapiała się na nas bez żenady, niepomna zachwyconych spojrzeń innych mężczyzn. Może była po prostu do nich przyzwyczajona. Jak zwykle wyglądała najpiękniej w świecie; młodzieniec na końcu stołu tylko ćmił papierosy i nie spuszczał jej z oka. Nawet Prezes, z dłonią

kunsztownie wspartą na czarce sake, co rusz zerkał w tamtą stronę. Dręczyło mnie pytanie, czy mężczyźni są tak zaślepieni pięknem, że tęsknią za przywilejem życia u boku uroczego demona? Nagle w wyobraźni zobaczyłam Prezesa, stojącego nocą przed furtką okiia. Przyszedł odwiedzić Hatsumomo. Kapelusz trzymał w dłoni i lekko uśmiechał się do mnie. Hatsumomo pomogła mu zdjąć płaszcz. Nie... Nie wierzyłam, że nie zauważył śladów okrucieństwa widocznych na jej twarzy. Jednego mogłam być zupełnie pewna: gdybym w jakiś sposób ujawniła prawdziwe uczucia, Hatsumomo natychmiast uwiodłaby Prezesa po to tylko, żeby przydać mi bólu.

Coraz bardziej pragnęłam, by już sobie poszła. Wiedziałam, że ciekawi ją tylko mój „rozkwitający romans”, jak kiedyś to określiła. Postanowiłam zatem dać jej powód do zadowolenia. Wciąż, niby odruchowo, poprawiałam włosy, jakbym do przesady dbała o właściwy wygląd. W pewnej chwili trąciłam jakąś spinkę i wpadłam na pomysł. Goście akurat wybuchnęli śmiechem po kolejnym dowcipie. Jak poprzednio, uniosłam rękę do włosów i nachyliłam się w stronę Nobu. Na marginesie muszę wspomnieć, że mocno nawoskowana fryzura nie wymagała żadnych poprawek.. Ja jednak chciałam wysunąć jedną z ozdób — pęk wykonanych z jedwabiu, żółtopomarańczowych kwiatów krokosza — i „niechcący” upuścić ją na kolana Nobu. Okazało się, że drewniana spinka siedzi o wiele głębiej, niż myślałam. Wreszcie jednak puściła, kwiaty pacnęły Nobu w pierś i upadły mu między nogi. Wszyscy to zobaczyli, lecz nikt nie wiedział, co zrobić. Włącznie ze mną. Nie mogłam przecież sięgnąć tak głęboko.

Nobu powoli podniósł kwiaty i obrócił je w dłoni.

— Znajdź służącą, która mnie przyjmowała — powiedział do mnie. — Niech ci odda tę paczkę, którą jej zostawiłem.

Posłusznie spełniłam polecenie. Kiedy wróciłam do pokoju, wszyscy czekali, co będzie dalej. Nobu wciąż trzymał kwiaty za spinkę, tak że zwisały nad stołem. Nie wyciągnął ręki po paczkę.

— Miałem ci to dać później, przed wyjściem, lecz chyba lepiej będzie, jak zrobię to już teraz.

Lekkim skinieniem głowy pozwolił mi rozwinąć papier. Byłam mocno zażenowana, czując na sobie spojrzenia tylu osób. Pod papierem, w drewnianym pudełeczku, na kawałku atłasu leżał misternie rzeźbiony grzebień. Półkolisty, o barwie głębokiej czerwieni, zdobny w jaskrawe kwiaty.

— Kupiłem go przed paroma dniami w pewnym antykwariacie — wyjaśnił Nobu.

Prezes z zamyśleniem popatrzył na grzebień, kilka razy otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, wreszcie chrząknął.

— Nie przypuszczałem, że stać cię na sentyment — mruknął do Nobu,

Hatsumomo wstała od stołu. Sądziłam, że już wreszcie pójdzie, ale ona usiadła tuż przy mnie. Nie wiedziałam, co począć. Wyjęła grzebień z pudełka i delikatnie wpięła go w moje włosy, tuż nad dużym, poduszkowatym kokiem. Potem wyciągnęła rękę do Nobu, po kwiaty. Zachowywała się jak matka pieszcząca ukochane dziecko. Podziękowałam jej ukłonem.

— Piękna, prawda? — zapytała, patrząc wprost na Nobu. Westchnęła teatralnie, jakby sama kiedyś przeżyła równie romantyczną chwilę, i w końcu poszła sobie.

Odetchnęłam z ulgą.

Nie potrzeba nikomu mówić, że mężczyźni bywają tak odmienni jak krzewy, które kwitną w różnych porach roku. Nobu i Prezes dali znać o sobie w parę tygodni po turnieju sumo, Doktor Krab i Uchida zniknęli na wiele miesięcy. Mameha uważała, że musimy czekać, a nie szukać pretekstu do ponownych spotkań. Wreszcie jednak i ona straciła cierpliwość. Wybrała się do Uchidy.

Wyszło na jaw, że krótko po naszej poprzedniej wizycie kot został pogryziony przez borsuka i zdechł z powodu zakażenia. Uchida pił na umór. Mameha odwiedzała go przez parę dni z rzędu, żeby chociaż trochę umilić mu życie. Wreszcie, gdy pomału zaczął odzyskiwać rezon, ubrała mnie w niebieskie wzorzyste kimono i pozwoliła zaledwie na niewielki, „zachodni” makijaż. „Tylko dla podkreślenia kątów”, powiedziała. Malarzowi kupiła perłowobiałą kotkę; nawet nie pytałam, ile kosztowała. Kotka była śliczna, lecz Uchida ledwie na nią spojrzął i przez resztę dnia wciąż spozierał na mnie, kręcąc głową na wszystkie możliwe strony. Kilka dni później zażądał, bym mu pozowała. Mameha oznajmiła, że w jego obecności mam milczeć jak zaklęta i na przyzwoitkę wyznaczyła Tatsumi. Biedna pokojówka cały wieczór przesiedziała w kącie, a Uchida przesuwiał mnie to w prawo, to w lewo, gwałtownie mieszał tusz i farby na skrawku ryżowego papieru i znów kazał mi wędrować po całej pracowni.

Jeśli jeździłeś trochę po Japonii i widziałeś prace Uchidy z czasów, kiedy dlań pozowałam, zimą i w następnych latach — jak chociażby jedyny zachowany olej, wiszący w głównym holu banku Sumitomo w Osace — sądzisz pewnie, że dla modelki było to ekscytujące doświadczenie. Nieprawda, same nudy. Zazwyczaj przez godzinę siedziałam w niewygodnej pozie. Dręczyło mnie pragnienie, bo Uchida nigdy mi nie zaproponował czegoś do picia. Kiedy przynosiłam ze sobą herbatę w zamkniętym słoiku, stawiał ją w przeciwnym kącie pracowni, żeby nie przeszkadzała. Zgodnie z poleceniem Mamehy nigdy nic nie mówiłam, nawet mroźnego popołudnia w lutym, gdy chyba mimo wszystko powinnam była coś powiedzieć. Uchida siedział wprost przede mną, patrzył mi prosto w oczy i kątem ust żuł znamię. W dłoni trzymał pęk pręcików tuszu, które stopniowo mieszał z wodą, by otrzymać właściwą kombinację szarości i błękitu. Nic mu nie wychodziło, więc co chwila wstawał i szedł wylać wodę na śnieg. Z biegiem czasu stawał się coraz bardziej gniewny, aż odesłał mnie do domu. Przez ponad dwa tygodnie z nim się nie widywałam. Podobno znów się upił. Mameha miała żal, że do tego dopuściłam.

Jeśli zaś chodzi o Doktora Kraba, to, zgodnie z ustaleniem, odwiedziłyśmy go z Mameha w herbaciarni Shirae. Potem przez sześć tygodni nie dawał znaku życia. Niepokoilo to Mamehę. W dalszym ciągu nie znałam jej planów względem Hatsumomo, wiedziałam tylko, że mam do czynienia z drzwiami, w których jednym skrzydłem był Nobu, a drugim — Doktor Krab. Uchida jawił mi się jak ktoś z innej bajki — a już na pewno nie pasował do schematu.

Pod koniec lutego Mameha przypadkowo spotkała Doktora Kraba w Ichiriki. Wy tłumaczył jej, że miał dużo pracy w związku z otwarciem nowego szpitala w Osace. Teraz, kiedy większość zadań była na ukończeniu, chciał odnowić znajomość ze mną, najlepiej znów w Shirae. Pamiętasz chyba, że wedle słów Mamehy omijałam Tchiriki, bo dokuczał mi nadmiar zaproszeń? Tak więc szacowny Doktor zaproponował mi Shirae. Skąd miał wiedzieć, że nasza niechęć do Ichiriki wynikała tylko z obawy przed Hatsumomo? Nie umiałam odpędzić myśli, że nasz podstęp i tak się wyda. Z drugiej strony, widok Shirae pobudzał mnie do śmiechu. Hatsumomo szerokim łukiem omijała podobne miejsca. Herbaciarnia wyglądała niczym skurczony pęk na drzewie pokrytym kwieciami. Gion nawet w ostatnich latach Kryzysu było kwitnącym miejscem; Shirae nigdy nie zdobyło odpowiedniej sławy. Doktor Krab wpadał tam zazwyczaj ze względu na wspomnienia. Nie zawsze mu się wiodło — w początkowym

okresie swej kariery nie mógł sobie pozwolić na wystawniejsze życie. Teraz, choć z radością witano go w Ichiriki, nie zamierzał zerwać związków z Shirae. Gdy mężczyzna bierze kochankę, nie żąda zaraz rozwodu od żony.

Tamtego wieczoru głównie nalewalam sake, a Mameha bawiła nas rozmową. Doktor Krab siedział w środku, mocno wystawiając łokcie. Raz po raz nas trącał i natychmiast przeproszał. Odkryłam, że był milczkiem; większość czasu po prostu patrzył w stół przez małe okrągłe okulary. Z rzadka wsuwał do ust kawałek sashimi. Wyglądał wówczas jak chłopiec chowający coś pod dywanem. Po wyjściu byłam przekonana, że nasz plan zawiódł. Nie liczyłam na następne spotkanie z Doktorem. Tacy ludzie jak on na ogół nie wracają do Gion. A jednak się pomyliłam. Doktor Krab zaprosił nas już po tygodniu i od tamtej pory widywałam go bardzo często.

Moja znajomość z Doktorem układała się coraz lepiej aż do połowy marca, gdy zachowałam się jak głupia i o mało co nie zniszczyłam misternej intrygi Mamehy. Bez wątplenia niejedno dziewczę przegrało własną szansę w życiu przez bezsensowny upór albo niegrzeczne zachowanie. Mój błąd był tak prosty, że początkowo nawet nie zauważyłam, że zrobiłam coś niedobrego.

Stało się to w okiya, w ciągu pół minuty, tuż po obiedzie pewnego mroźnego dnia, gdy jak zwykle z shamisenem w ręku zajęłam miejsce na podeście. Po pewnym czasie zobaczyłam Hatsumomo. Szła do ubikacji. Gdybym miała buty, usunęłabym się na korytarz, żeby zrobić jej przejście. A tak z trudem rozprostowałam przemarznięte nogi. Ruszałam się powoli, więc nie mogła mnie minąć bez słowa.

— Dziś przyjeżdża ambasador Niemiec — powiedziała. — Dynia jest zbyt zajęta, żeby się z nim spotkać. Może ty ją zastąpisz? Porozmawiaj z Mamehą.

Wybuchnęła złośliwym śmiechem, jakby usłyszała, że ktoś ofiarował garść żółdzi samemu cesarzowi.

Przyjazd ambasadora wywołał spore poruszenie w Gion. Był rok trzydziesty piąty, w Niemczech rosła w siłę całkiem nowa władza. Nie znałam się na polityce. Wiedziałam tylko, że Japonia coraz bardziej oddała się od Stanów Zjednoczonych i że rząd usiłuje wyrzucić jak najlepsze wrażenie na Niemcach. Wszyscy w Gion zachodzili w głowę, komu przypadnie zaszczyt podejmowania dostojnego gościa.

Teraz już wiem, że podczas rozmowy z Hatsumomo mogłam po prostu spuścić głowę i rzewnie zapłakać nad własnym losem. Ja jednak pomyślałam, że mam dużo

szczęścia i że świetnie potrafię dochować tajemnicy — choć tak naprawdę przecież nie znałam planów Mamehy. Dobrze, że się nie uśmiechnęłam, chociaż miałam na to ogromną ochotę. Zachowałam jednak niewzruszoną minę i byłam z siebie naprawdę dumna. Hatsumomo obrzuciła mnie kosym spojrzeniem. Zrozumiałam, że jednak coś podejrzewa, więc szybko usunęłam się na bok. Minęła mnie i pozornie był to koniec zdarzenia.

Parę dni później wybrałam się z Mamehą ponownie do Shirae, na spotkanie z Doktorem Krabem. W drzwiach herbaciarni spotkałyśmy wychodzącą Dynię. Zatkąło mnie ze zdumienia; nie wiedziałam, co ją tu sprowadza. Chwilę później w progu stanęła Hatsumomo. Jakoś nas przechytrzyła.

— Dobry wieczór, Mameha-san — odezwała się. — Kogóż to przyprowadzasz? Ach, to ta mała gejsza, która przypadła do gustu Doktorowi!

Mameha, choć na pewno nie mniej zdumiona ode mnie, nie pokazała po sobie zaskoczenia.

— Hatsumomo-san! — zawołała. — Prawie cię nie poznałam... Lecz, na bogów, cudownie się starzejesz!

Hatsumomo nie była stara. Miała dwadzieścia osiem, może dwadzieścia dziewięć lat. Mameha najzwyczajniej w świecie usiłowała jej dokuczyć.

— Podążacie na spotkanie z Doktorem? — spytała Hatsumomo. — Ciekawy człowiek... Mam nadzieję, że zechce z wami porozmawiać. Do widzenia.

Odeszła uśmiechnięta. W świetle ulicznej lampy dostrzegłam jeszcze beznadziejnie smutną twarz Dyni.

Bez słowa, idąc za przykładem Mamehy, zsunęłam z nóg sandały. Żadna z nas nie wiedziała, co powiedzieć. Ciemne wnętrza Shirae tym razem wyglądało jak czarna woda w stawie. W powietrzu wisiał zapach zastałego pudru, wilgotny tynk odpadał w kątach korytarza. Wszystko bym dała, aby w tej chwili przenieść się do okiia.

Doktor czekał w pokoju, wraz z właścicielką herbaciarni. Zazwyczaj zostawała dłużej, nawet po naszym przyjsciu, prawdopodobnie tylko po to, by wystawić wyższy rachunek. Dzisiaj jednak pośpiesznie usunęła się na nasz widok. Patrzyła w drugą stronę. Doktor Krab siedział tyłem do drzwi, więc pominęłyśmy wstępną ceremonię i od razu podeszłyśmy do stołu.

— Wygląda pan na zmęczonego, Doktorze — zagaiła Mameha. — Miał pan ciężki dzień?

Nie odpowiedział. Dla zabicia czasu obracał w dłoniach kufel piwa. Metodyczny człowiek na ogół nie postępuje w ten sposób.

— Tak, jestem zmordowany — westchnął w końcu. — Nie mam ochoty na rozmowy.

Po tych słowach wychylił resztkę piwa, podniósł się i odszedł. Mameha spojrzała na mnie. Doktor Krab stanął na chwilę w progu, popatrzył na nas i powiedział:

— Nie lubię, gdy ktoś, komu ufam, usiłuje grać mi na nosie.

Wyszedł, nie zamykając drzwi.

Żadna z nas ze zdziwienia nie mogła wykrztusić słowa. Wreszcie Mameha wstała i pomału zasunęła drzwi. Wróciła do stołu, starannie wygładziła kimono i z gniewem zmrużyła oczy.

— Mów, Sayuri — warknęła. — Co wygadałaś Hatsumomo?

— Mameha-san, po wysiłku, jaki w to włożyłam? Nie jestem głupia, by zaprzepaścić taką szansę!

— Doktor cię odrzucił niczym pustą torbę. Musi być jakiś powód... Dowiedz się, co mu powiedziała Hatsumomo.

— Ale jak?

— Była tu przecież Dynia. Spytaj ją.

Wątpliwe było, czy coś zdradzi, lecz obiecałam, że spróbuję. Mameha skinęła głową. Wstała i zerknęła na mnie, jakby zamierzała spytać, dlaczego wciąż siedzę.

— Mameha-san, mogę cię o coś prosić? — powiedziałam. — Hatsumomo wie, że widywałam się z Doktorem. Bez wątpienia domyśla się powodów. Doktor Krab od początku był w samym centrum sprawy. Ty także. Nawet Dynia poznała tajemnicę! Jedyne ja nic nie wiem. Bądź tak dobra i w dwóch, trzech słowach opisz mi szczegóły planu.

Mameha popatrzyła na mnie z nie ukrywanym smutkiem, jakby wołała nigdy nie usłyszeć podobnej prośby. Potem zerknęła w bok, wreszcie westchnęła, siadła z powrotem przy stole i opowiedziała mi o wszystkim.

— Wiesz doskonale — zaczęła — że Uchida-san zawsze patrzy na ciebie oczami artysty. Doktor interesuje się czymś innym. Podobnie Nobu. Znasz określenie „bezdomny węgorz”?

Nie miałam najmniejszego pojęcia, co to takiego. Odpowiedziałam, że nie.

— Mężczyźni mają... hmm... coś w rodzaju węgorza — jąkała się Mameha. — Kobiety nie. Mężczyźni tak. Wisi...

— Chyba rozumiem, o czym mówisz — wtrąciłam. — Nie wiedziałam tylko, że nosi nazwę „węgorz”.

— Bo to nie jest prawdziwy węgorz — tłumaczyła Mameha. — Nadajemy mu takie miano dla łatwiejszego zrozumienia. Myśl więc o nim w ten sposób. Chodzi o to, że węgorz całe życie poszukuje dla siebie domu. A co jest u kobiet? Jaskinia, w sam raz dla węgorza. Z tej jaskini co miesiąc wycieka nieco krwi, gdy „chmury przesłaniają księżyc”, jak to czasami powiadamy.

Byłam wystarczająco duża, by wiedzieć o owych „chmurach”. Od paru lat obcowałam z nimi. Za pierwszym razem najadłam się sporo strachu. Nie bałam się jako dziecko, że wydmuchasz mózg przy kichaniu? Przy pierwszych „chmurach” sądziłam, że umieram. Dopiero Ciozia zobaczyła, że piorę pokrzwawioną szmatkę, i udzieliła mi krótkiej lekcji o niektórych cechach organizmu kobiety.

— Może nie wiesz, że węgorz lubi znaczyć swój rewir — ciągnęła Mameha. — Kiedy znajdzie odpowiednią jaskinię, wierci się i przesuwa tylko po to, żeby... no, żeby się upewnić, że mu naprawdę dobrze. Jak już dojdzie do wniosku, że wszystko w porządku, robi znak... Pluje. Jak dotąd wszystko jasne?

Pewnie zamarłabym ze zgrozy, gdyby te opowieść ubrała w inne słowa, choć z drugiej strony chyba mniej bym miała kłopotów ze zrozumieniem. Dużo później dowiedziałam się, że dokładnie mi powtórzyła relację swojej starszej siostry.

— Teraz najdziwniejszy fragment — oznajmiła nagle, jakby do tej pory mówiła o czymś zwykłym. — Mężczyźni to lubią. Bardzo lubią. Wśród nich są też tacy, co przez całe życie szukają nowych domów dla swoich węgorzy. Cenią sobie jaskinie, w których nigdy przedtem nie mieszkał inny węgorz. Rozumiesz? Nazywamy to „mizuage”.

— Mizuage?

— Ten pierwszy raz, kiedy twoja jaskinia daje schronienie węgorzowi. To właśnie mizuage.

„Mizu” to zwykła „woda”, „age” zaś znaczy „podnieść” lub „umieścić”, zatem mizuage może oznaczać czynność dolewania albo wkładania czegoś do wody. Jeśli spytasz trzy gejsze o pochodzenie tego słowa, bez wątpienia usłyszysz trzy odmienne wersje.

Miałam mętlik w głowie mimo wyjaśnień Mamehy, ale udawałam, że wszystko pojmuję.

— Teraz chyba rozumiesz, dlaczego Doktor Krab tak często odwiedza Gion — dodała Mameha. — W szpitalu ma pokaźną pensję. Część pieniędzy przeznacza dla rodziny, a za resztę kupuje prawo do mizuage. Wiesz, że wprost idealnie trafiasz w jego gusta? Możesz mi wierzyć, gdyż ja sama w tej kwestii miałam z nim do czynienia.

Z czasem się dowiedziałam, że niecałe dwa lata przed moim przyjazdem do Kioto Doktor Krab zapłacił rekordową sumę za mizuage Mamehy. Coś około siedmiu lub ośmiu tysięcy jenów. Dziś to raczej niewiele, ale w tamtych czasach nawet ludzie pokroju Mamy — a ta wiedziała przecież, jak zarabiać — nie więcej niż dwa razy w życiu mieli w rękach podobną kwotę. Sława Mamehy częściowo podbiła cenę mizuage, lecz w gruncie rzeczy chodziło o coś całkiem innego — o swoistą licytację między dwoma bogaczami. Jednym z nich był Doktor Krab, drugim — biznesmen nazwiskiem Fujikado. Niezwykle rzadko dochodziło do podobnych sytuacji; stali bywalcy Gion znają się nawzajem i takie sprawy rozstrzygają między sobą. Fujikado mieszkał w drugim końcu kraju i sporadycznie odwiedzał Kioto. Nie obchodził go jakiś lekarz. Z kolei Doktor Krab lubił się powoływać na swoje arystokratyczne pochodzenie i szczerze nienawidził takich nuworyszów, chociaż, prawdę mówiąc, sam po trochu się do nich zaliczał.

W oczach Doktora nawet Nobu nie zaliczał się do elity. Tak przynajmniej uważała Mameha. Widząc nas na turnieju sumo, wpadła na pewien pomysł. Skoro wciąż uciekałam przed Hatsumomo, niczym karaluch przed kucharką, nie mogłam zdobyć odpowiedniej sławy i wziąć uczciwej ceny za mizuage. Co innego, gdyby Doktor i Nobu rozpoczęli kolejną licytację... Wówczas pewnie bez trudu zdołałabym spłacić długi. Takim to sposobem Mameha chciała „wybić z równowagi” natrętą Hatsumomo, która — zadowolona z moich kontaktów z Nobu — wyraźnie zapomniała, że ów związek podnosi wartość mizuage.

Musiałyśmy odnowić dobre stosunki z Doktorem. Bez niego Nobu wcale nie potrzebował martwić się o cenę. Zapłaciłby, ile chciał — pod warunkiem że w ogóle

miałby na to ochotę. Nie byłam pewna jego uczuć, lecz Mameha dała mi do zrozumienia, że żaden dorosły mężczyzna nie podtrzymuje znajomości z piętnastoletnią gejszą, jeśli nie myśli o mizuage.

— Nie sądzisz chyba, że ujęłaś go swoją elokwencją — zauważyła.

Udawałam, że mnie to nie dotknęło.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Z perspektywy czasu widzę, że tamta rozmowa z Mamehą w istotny sposób odmieniła moje postrzeganie świata. Wcześniej nie wiedziałam nic o mizuage. Byłam zwykłą, małą i naiwną dziewczynką. Potem dopiero zrozumiałam, na co ludzie tacy jak Doktor Krab poświęcają w Gion swój czas i pieniądze. Taka wiedza jest niezbywalna. Nie potrafiłam myśleć o Doktorze w dotychczasowy sposób.

Wróciłam do okiwa i postanowiłam zaczekać w pokoju na Dynię i Hatsumomo. Zjawily się grubo po północy. Dynia była potwornie zmęczona. Słyszałam, jak jej dłonie ciężko klaszczą na schodach. Często wchodziła w ten sam sposób — jak pies, na czworakach. Zanim zamknęły drzwi, Hatsumomo krzyknęła na służącą, żeby przyniosła flaszkę piwa.

— Nie, zaczekaj! — zawołała po chwili. — Daj dwie. Dynia wypije ze mną.

— Hatsumomo-san, proszę... — usłyszałam jęk Dyni. — Nie przełknę już nawet śliny.

— Głośno poczytasz mi przed snaniem, więc na pewno zaschnie ci w gardle. Poza tym nie lubię trzeźwych ludzi. Rzygać się chce na ich widok.

Służąca zbiegła po schodach. Wróciła chwilę później. Słyszałam brzęk szklanek.

Przez długą chwilę siedziałam z uchem dociśniętym do drzwi. Z sąsiedniego pokoju dobiegał monotony głos Dyni. Czytała o jakimś nowym gwiazdorze kabuki. Wreszcie Hatsumomo wytoczyła się na korytarz i z łoskotem odsunęła drzwi do toalety.

— Dynia! — wybełkotała. — Nie masz ochoty na zupę z makaronem?

— Nie.

— Znajdź otwarty bar i zamów dwie porcje na wynos. Zjemy razem.

Dynia westchnęła ciężko i zeszła na parter. Chciałam od razu pobiec za nią, lecz musiałam zaczekać, aż Hatsumomo wróci do pokoju. Bałam się, że Dynia zniknie mi gdzieś za rogiem, ale na szczęście była tak zmęczona, że wlokła się po ulicy niczym błoto pod górę. Kiedy ją dogoniłam, spojrzała na mnie z przerażeniem i zapytała, co się stało.

— Nic — odpowiedziałam. — Z wyjątkiem tego... że strasznie liczę na twoją pomoc.

— Och, Chiyo-chan... — jęknęła. Była ostatnią osobą, która mnie wciąż tak nazywała. — Nie mam czasu! Idę po zupę dla Hatsumomo. Zmusza mnie do jedzenia. Skończy się na tym, że zwymiotuję.

— Biedaczko... — westchnęłam. — Wyglądasz jak topniejący lód.

Twarz miała szarą i obwisłą ze zmęczenia, a kimono wyraźnie ciągnęło ją do ziemi. Kazałam jej usiąść i sama poszłam na poszukiwanie baru. Nie miała siły protestować. Bez słowa wręczyła mi pieniądze i osunęła się na ławkę nad potokiem Shirakawa.

Trochę trwało, zanim znalazłam otwartą restaurację, ale wreszcie wróciłam, niosąc dwie parujące miski. Dynia spała, z głową odchyloną do tyłu i z szeroko otwartymi ustami, jakby łykała krople deszczu. Była już druga w nocy, lecz tu i ówdzie wałęsały się grupki przechodniów. Niektórzy wybuchali gromkim śmiechem na widok Dyni. Nic w tym dziwnego, gdyż rzadko widuje się wystrojoną gejszę, chrapiącą na ulicznej ławce.

Odstawiłam miski, usiadłam obok i delikatnie zaczęłam ją budzić.

— Chciałam cię o coś prosić... — powiedziałam w końcu. — Lecz, obawiam się, że to nic miłego.

— Mów — wymruczała Dynia. — I tak mnie nic nie cieszy.

— Byłaś przy rozmowie Doktora z Hatsumomo. Cała moja przyszłość zapadła się w tamtej chwili. Hatsumomo coś nagała i Doktor nie chce mnie widzieć.

Z całego serca nie cierpiałam Hatsumomo, lecz równie mocno chciałam poznać treść jej rozmowy z Doktorem. Z drugiej strony było mi strasznie przykro, że pytam o to właśnie Dynię. Zmordowana, nie wytrzymała tej ostatniej próby. Łzy popłynęły po jej pulchnych policzkach, jakby pod naporem żalu pękła budowana latami tama.

— Nic nie wiedziałam, Chiyo-chan! — zaszlochała, wyjmując zza obi chusteczkę. — Nie miałam pojęcia!

— Nie wiedziałaś, co zrobi Hatsumomo? A jak mogłaś to przewidzieć?

— Nie o to chodzi. Nie wiedziałam, że ktoś może być tak okropnie podły! Nie rozumiałam... Jej zależy wyłącznie na krzywdzeniu ludzi. Co gorsza, jest przekonana,

że zasługuje na mój podziw i że zamierzam iść w jej ślady. A ja jej nienawidzę! W życiu o nikim gorzej nie myślałam!

Żółta chusteczka Dyni była już całkiem umazana białym pudrem. Topniejący lód przemienił się w kałużę.

— Posłuchaj — błagałam. — Nie pytałabym cię, gdybym miała jakikolwiek wybór. Nie chcę przez resztę życia być służącą, a to mi grozi, jeśli wszystko pójdzie po myśli Hatsumomo. Nie przestanie, dopóki mnie nie zdepcze niczym karalucha. Zginę zmiażdżona, jeśli nie wskażesz mi jakiejś szpary!

Słyszając to Dynia nagle wybuchnęła śmiechem. Po chwili obie chichotałyśmy jak szalone. Wzięłam od niej chusteczkę i próbowałam poprawić jej makijaż. Cieszyło mnie, że znów widzę dawną Dynię, taką samą jak w czasach kiedy była moją jedyną przyjaciółką. Poczułam, że mi także wilgotnieją oczy. Padłyśmy sobie w ramiona.

— Rozmazałaś cały puder — powiedziałam do niej jakiś czas potem.

— Nie szkodzi — odparła. — Powiem Hatsumomo, że jakiś pijak podszedł do mnie na ulicy i wytarł mi twarz chusteczką. Nie mogłam się obronić, bo w obu rękach niosłam miski z zupą.

Sądziłam, że już na tym koniec.

— Chciałabym ci pomóc, Chiyo — ciężko westchnęła Dynia. — Ale już zbyt długo jestem poza domem. Jeśli zaraz nie wrócę, Hatsumomo zacznie mnie szukać. A jak znajdzie nas razem...

— Mam tylko parę pytań. Powiedz mi, skąd wiedziała, że Doktor będzie czekał w Shirae?

— Ach, o to chodzi. — Pociągnęła nosem. — Przed paroma dniami wspomniała ci w dwóch słowach o niemieckim ambasadorze. W ogóle się tym nie przejęłaś. Hatsumomo zaczęła podejrzewać, że Mameha coś wymyśliła. Poszła do biura rejestrowego porozmawiać z Awajiumim. Spytała, z jakich herbaciarni przychodzą twoje zarobki. Gdy usłyszała o Shirae, zrobiła radosną minę i jeszcze tej samej nocy zaczęła polować na Doktora. Dwa razy tam byliśmy, zanim się pojawił.

Mało który bogaty klient odwiedzał Shirae, nic więc dziwnego, że Hatsumomo w lot pomyślała o Doktorze. Zaczynałam pojmować, że był znanym w Gion „ekspertem od mizuage”. Plan Mamehy stał się widoczny jak na dłoni.

— I co mu powiedziała? Nawet nie chciał z nami porozmawiać.

— Gawędziliśmy dobrą chwilę, a potem Hatsumomo jakby sobie coś przypomniała. Zaczęła tak: „Mieszka u nas całkiem młoda gejsza, imieniem Sayuri...”. Mówię ci, kiedy Doktor usłyszał twoje imię, drgnął, jakby pszczoła go użądliła. Spytał: „Znasz ją?”. A Hatsumomo odpowiedziała: „Oczywiście! Nawet zajmujemy sąsiednie pokoje”. Później mówiła o czymś, czego nie pamiętam, a na koniec: „Szkoda, że w ogóle wspomniałam o Sayuri... powierzyła mi pewien sekret”.

Ciarki mnie przeszły, gdy to usłyszałam. Wiedziałam, że po Hatsumomo można spodziewać się najgorszego.

— Co to było?

— Nie jestem całkiem pewna — odpowiedziała Dynia. — Wcale nie wyglądało na straszną tajemnicę. Chodziło o chłopaka, który podobno mieszka w sąsiedztwie okiia. Jak wiesz, Mama nam nie pozwala na takie znajomości. W relacji Hatsumomo spotykaliście się dość często. Ona was osłaniała. Pewnej nocy nawet oddała wam swój pokój pod nieobecność Mamy. W tym miejscu się zająknęła: „Och, Doktorze! Ależ ze mnie papla! Co będzie, jeśli Mama teraz się o tym dowie? Tyle starań włożyłam, by zachować sekret Sayuri...”. Doktor oświadczył, że jest wdzięczny za wszystkie informacje i że całą sprawę zachowa wyłącznie dla siebie.

Hatsumomo bez wątpienia miała powód do dumy. Spytałam Dynię, czy rozmawiały o czymś jeszcze.

— Nie — odparła.

Podziękowałam jej gorąco za okazaną pomoc i powiedziałam, że mi smutno patrzeć, jak przez lata cierpi w niewoli Hatsumomo.

— Może mi wyjdzie to na dobre — westchnęła. — Parę dni temu Mama wspomniała, że mnie adoptuje. Będę więc miała dom, w którym spędzę resztę życia.

Coś mnie ścisnęło w gardle, gdy usłyszałam tę wiadomość, lecz zapewniłam Dynię, że bardzo się cieszę. Cieszyłam się ze względu na nią, chociaż pamiętałam, jak istotną rolę pełniła decyzja Mamy w planach Mamehy.

Następnego dnia wybrałam się do Mamehy i opowiedziałam jej o wszystkim. Gdy usłyszała o „chłopaku”, z niesmakiem pokręciła głową. Potwierdziła moje przypuszczenia, że Hatsumomo chodziło tylko o to, by utwierdzić Doktora w przekonaniu, iż jakiś inny „węgorz” zwiedził moją „jaskinię”.

O wiele bardziej przejęła się wiadomością o zamiarach Mamy wobec Dyni.

— Byłam przekonana, że mamy więcej czasu — oznajmiła. — Niestety, moja panno, nadeszła pora na twoje mizuage, jeśli nawet nie jesteś całkowicie gotowa.

Jeszcze tego samego tygodnia Mameha wybrała się do cukiernika, żeby w moim imieniu zamówić słodkie ryżowe ciastka, nazywane ekubo, co znaczy „dołek”. Nazwa pochodzi stąd, że rzeczywiście mają dołek, dokładnie pośrodku, z niewielką czerwoną kropką. Są tacy, którzy dopatrują się w tym dwuznaczyków. Dla mnie zawsze wyglądały jak małe poduszki, wygniecione w miejscu, gdzie spoczywała głowa, i lekko pobrudzone szminką. Śpiące na nich dziewczęta były widocznie zbyt zmęczone, by zmyć makijaż przed zaśnięciem. Tak czy siak, młoda gejsza, gotowa do mizuage, wręczała ciastka w prezencie wszystkim swoim gościom. Rzadko się zdarzało, żeby miała ich mniej niż dwunastu. W mojej sytuacji — przy dużej dozie szczęścia — mogło być dwóch: Doktor i Nobu. Skrycie troszeczkę żałowałam, że muszę pominąć Prezesa, ale z drugiej strony rzecz cała wyglądała niesmacznie, zatem dobrze się stało, że został na boku.

Z Nobu poszło nadzwyczaj łatwo. Właścicielka Ichiriki postarała się, żeby przyszedł wcześniej, przed przyjęciem. Zastał nas z Mamehą w niewielkim pokoju, z oknem wychodzącym na podwórko przed wejściem. Podziękowałam mu za troskliwość — gdyż istotnie przez ostatnie pół roku wciąż zaprasza! mnie na przyjęcia, nawet bez Prezesa, i obdarował stosem upominków, począwszy od grzebienia. Wzięłam pudełko ekubo, owinięte w szary papier i przewiązane zwykłym sznurkiem, położyłam je na stole i pchnęłam w jego stronę. Przyjął je bez wahania. Mameha podziękowała i kłaniałyśmy się tak długo, aż mi zawirowało w głowie. Ceremonia dobiegła końca, Nobu zabrał pudełko pod pachę i wyszedł. Na przyjęciu nie wspomniał o tym ani słowem. Chyba był nieco zażenowany.

Doktor Krab stanowił osobny problem. Mameha odwiedziła wszystkie ważniejsze herbaciarnie w Gion, by sprawdzić, gdzie teraz bywa. Czekaliśmy przez kilka nocy, zanim nadeszła wiadomość z Yashino, gdzie podobno bawił do spółki z przyjacielem. Pobiegłam do Mamehy, przebrałam się w kimono i zabrałam ekubo, tym razem zapakowane w jedwab.

Herbaciarnia Yashino działała od niedawna, w całości zbudowana w zachodnim stylu. Pokoje na swój sposób były eleganckie, z drewnianym belkowaniem i tak dalej, ale zamiast tatami i poduszek miały twardą podłogę, pokrytą perskim

dywanem, stały w nich stoły oraz grubo wyściełane fotele. Nie przyszło mi do głowy, żeby na którymś usiąść. Jak zwykle przycupnęłam na podłodze. Uwierzała w kolana. Pół godziny cierpiałam w tej pozycji, czekając na Mamehę.

— Co robisz? — zawołała na mój widok. — Nie zachowuj się po japońsku! Siądź w fotelu i przyjmij swobodną pozę.

Zrobiłam, jak kazała. Mameha zajęła miejsce po drugiej stronie, ale nie wyglądała lepiej ode mnie.

Doktor bawił się w pokoju obok. Mameha od dłuższej chwili dotrzymywała mu towarzystwa.

— Bez przerwy dolewałam mu piwa, więc pewnie zaraz pójdzie do szaletu — powiedziała. — Złapię go na korytarzu i poproszę, żeby wszedł tutaj. Musisz od razu wręczyć mu ekubo. Nie wiem, co odpowie, lecz to jedyny sposób, byśmy mogły naprawić szkodę wyrządzoną przez Hatsumomo.

Mameha wyszła, a ja dalej czekałam w fotelu. Było mi duszno ze zdenerwowania i bałam się, że pod wpływem potu mój makijaż zacznie przypominać rozgrzebaną po nocy pościel. Usiłowałam się czymś zająć, więc co chwila wstawałam, żeby zerknąć w lustro wiszące na ścianie.

Wreszcie posłyszałam głosy. Potem ktoś zapukał. W otwartych drzwiach zobaczyłam Mamehę.

— Tylko na chwileczkę, Doktorze — powiedziała. Doktor Krab stał w ciemnym korytarzu, nadąsany niczym

postać ze starych portretów, jakie czasami wiszą w bankach. Spoglądał na mnie zza szkieł okularów. Nie wiedziałam, co zrobić. W innych warunkach klęknęłabym na macie, żeby złożyć pełen szacunku ukłon. Zrobiłam więc to samo, tylko na dywanie. Mój postępek nie wzbudził entuzjazmu Mame-hy. Doktorowi było i tak wszystko jedno.

— Chcę wrócić na przyjęcie — oświadczył. — Proszę o wybaczenie.

— Sayuri coś przyniosła dla pana — przerwała mu Mameha. — Nie zajmie panu dużo czasu. Proszę.

Ruchem ręki zaprosiła go do pokoju. Wszedł i wygodnie usiadł na jednym z foteli. Mameha chyba zapomniała o swoich wcześniejszych pouczeniach, gdyż teraz

obie klęknęłyśmy po bokach Doktora. Wyraźnie rozpieła go duma, że ma u swoich stóp dwie pięknie wystrojone kobiety.

— Przepraszam, że przez parę dni pana nie widywałam — odezwałam się cichym głosem. — W dodatku to ocieplenie... Można pomyśleć, że cały kwartał minął od naszego ostatniego spotkania.

Nie odpowiadał, ale pilnie zezował w moją stronę.

— Proszę przyjąć ekubo, Doktorze.

Ukloniłam się i położyłam pudełko na stole, w zasięgu jego ręki. Doktor złożył dłonie na piersi, jakby w obawie przed skalaniem.

— Dlaczego mi to dajesz?

— Przepraszam, Doktorze — szybko wtrąciła Mameha. — To ja jej powiedziałam, że z chęcią pan przyjmie właśnie taki prezent. Mam nadzieję, że się nie pomyliłam.

— Niestety widocznie nie znasz tej dziewczyny tak dobrze, jak ja zdążyłem ją poznać. Mam dla ciebie wiele szacunku, Mameho, lecz tym razem sądzę, że rekomendujesz niewłaściwą osobę.

— Przykro mi, Doktorze — odparła. — Źle odczytałam pańskie uczucia. Byłam głęboko przekonana, że lubi pan Sayuri.

— Nic nie szkodzi. A teraz, gdy już wszystko jasne, pozwól, że wrócę na przyjęcie.

— Mogę jedynie spytać, czym Sayuri pana obraziła? To wszystko stało się tak nagle...

— Jak mówiłem wcześniej, nie lubię być oszukiwany.

— Sayuri-san, jak śmiałaś oszukiwać Doktora?! — zawołała Mameha. — Świadomie go okłamałaś? Co to było?

— Nie wiem! — powiedziałam najbardziej niewinnym tonem. — Przy poprzednim spotkaniu wspomniałam, że idzie na ocieplenie, a tymczasem przez kilka dni wiało dokuczliwym chłodem. Może to...

Rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie. Nie pochwałała mojego zachowania.

— To sprawa między wami — wtrącił Doktor. — Nie mam z tym nic wspólnego. Żegnam.

— Doktorze, zanim pan pójdzie... — zatrzymała go Mameha. — Może to nieporozumienie? Jak dotąd nie złapałam Sayuri na kłamstwie. Oszukałaby przyjaciela?

— Zatem lepiej ją spytaj o chłopaka z sąsiedztwa — poradził jej Doktor.

Westchnęłam z ulgą, że wreszcie poruszył ten temat. Zwykle zachowywał się z taką rezerwą, że trudno było z niego wydusić choć słowo.

— Ach, o to chodzi! — zawołała Mameha. — Rozmawiał pan z Hatsumomo?

— A co to ma do rzeczy?

— Rozповіда te bzdury po calutkim Gion. Czyste kłamstwo! Odkąd Sayuri dostała ważną rolę w Tańcach z dawnej stolicy, Hatsumomo za wszelką cenę próbuje ją poniżyć.

Tańce z dawnej stolicy były największym wydarzeniem roku. Zaczynały się za półtora miesiąca, w początkach kwietnia. Role rozdzielono już dawno i trafiłam do grona wybranek. Mistrzynie nawet zamierzała ustawić mnie na scenie, lecz na prośbę Mamehy trafiłam tylko do orkiestry. Nie chciałyśmy zbyt mocno drażnić Hatsumomo.

Doktor popatrzył w moją stronę. Przybrałam taką pozę, jakbym już od tygodni była gotowa do występów.

— Wstyd o tym mówić, Doktorze, ale wszyscy wiedzą, że Hatsumomo wciąż kłamie — ciągnęła Mameha. — Nie należy wierzyć w jej każde słowo.

— Pierwszy raz słyszę, żeby ktoś ją oskarżył o kłamstwo.

— Bo nikt nie miał odwagi o tym porozmawiać — powiedziała Mameha przyciszonym głosem, jakby naprawdę się bała, że ktoś ją podsłucha. — Nie ona jedna oszukuje, więc reszta milczy, by na siebie także nie ściągnąć podejrzeń. W tym momencie albo ja kłamię, albo skłamała Hatsumomo. Pan zdecyduje, Doktorze, którą z nas lepiej poznał i której może uwierzyć.

— Ciągle nie rozumiem, czemu Hatsumomo robi tyle zamętu o rolę Sayuri.

— A spotkał pan jej młodszą siostrę Dynię? Hatsumomo miała nadzieję, że to właśnie Dyni przypadnie eksponowana rola. Ta, którą ostatecznie dostała Sayuri. Mnie zaś powierzono rolę Hatsumomo! Lecz to nie ma nic do rzeczy. Skoro pan powątpiewa w czystość Sayuri, żadna z nas nie poczuje się dotknięta, jeżeli pan odmówi przyjęcia ekubo.

Doktor przez dłuższą chwilę mierzył mnie wzrokiem.

— Poproszę któregoś z kolegów ze szpitala, żeby ją zbadał — powiedział w końcu.

— Służę wszelką dostępną pomocą — odpowiedziała Mameha. — Chociaż z drugiej strony trudno to będzie przeprowadzić, skoro nie myśli pan o mizuage. Ekubo trafią z rąk Sayuri do wielu znanych osób... Większość z nich sceptycznie słucha opowiadań Hatsumomo.

To wreszcie wywołało pożądany efekt. Doktor Krab milczał kilka sekund.

— W rzeczy samej, nie wiem, co zrobić — przyznał. — Pierwszy raz w życiu jestem w tak dziwnej sytuacji.

— Proszę przyjąć ekubo, Doktorze, i zapomnieć o kłamstwach Hatsumomo.

— Często słyszałem o dziewczętach aranżujących mizuage w ten czas miesiąca, w którym najłatwiej oszukać mężczyznę. Jestem lekarzem, mnie nie zwiedzisz.

— Nikt pana przecież nie próbuje zwodzić!

Doktor posiedział jeszcze chwilę, potem wstał, zgarbił się i wysunął łokcie, gotując się do odejścia. Skłoniłam się na pożegnanie, więc nawet nie widziałam, czy zabrał ze sobą ekubo. Dopiero kiedy drzwi stuknęły za nim i Mameha, odważyłam się zerknąć na stolik. Był pusty.

Opowieść Mamehy o występach w teatrze potraktowałam początkowo jako zwykły wybieg, tłumaczący złość Hatsumomo. Możesz więc sobie wyobrazić moje zaskoczenie, gdy następnego dnia dotarło do mnie, że mówiła najszczerzą prawdę. To znaczy... nie tak. Prawda miała wyjść na jaw pod koniec tygodnia.

W tamtych czasach, w połowie lat trzydziestych, w Gion pracowało siedemset, może nawet osiemset gejsz. W wiosennych Tańcach z dawnej stolicy brało udział zaledwie sześćdziesiąt. Nic więc dziwnego, że ostra konkurencja czasem niszczyła długotrwałą przyjaźń. Mameha trochę naciągnęła prawdę twierdząc, że odebrała rolę Hatsumomo. Należała do tych niewielu, które rok w rok miały zagwarantowany udział. Prawdą natomiast było, że Hatsumomo desperacko starała się wylansować Dynię. Nikt nie pojmował, skąd jej to przyszło do głowy, bo Dynia wprawdzie zdobyła premię dla najlepszej praktykantki i parę innych nagród, ale zawsze stała na bakier z tańcem. Tak się złożyło, że kilka dni przed moim spotkaniem z Doktorem spadła ze schodów siedemnastoletnia gejsza, przewidziana na solowy występ. Biedna, zwichnęła nogę i była zrozpaczona, lecz jej koleżanki uważały to za prawdziwe

zrządzenie losu. Każda się widziała w roli zastępczyni. Ostatecznie wybór padł na mnie. Miałam wprawdzie dopiero piętnaście lat i żadnego doświadczenia na scenie — ale to nie znaczy, że byłam niegotowa. W odróżnieniu od popularniejszych rówieśniczek, gros czasu spędzałam w okiia. Dużo ćwiczyłam przy akompaniamencie Cioci grającej na shamisenie. Z tego też powodu promowano mnie na jedenasty stopień, choć w zasadzie nie wyróżniałam się talentem. Gdyby Mameha nie chowała mnie przed wzrokiem Hatsumomo, już rok wcześniej wystąpiłabym w wiosennych tańcach.

Decyzja zapadła w połowie marca, więc miałam zaledwie miesiąc na ostateczne próby i przygotowania. Na szczęście dużą pomoc dostałam od mistrzyni. Ćwiczyłam u niej sama, popołudniami. Mama nic o tym nie wiedziała, bo Hatsumomo milczała jak zaklęta. Dopiero po kilkunastu dniach wróciła podniecona z partii madzonga. Przyszła prosto do mnie i spytała, czy rzeczywiście mam występ. Gdy usłyszała, że to prawda, zrobiła tak zdumioną minę, jakby spostrzegła, że Taku siadł do wypisywania ksiąg rachunkowych.

Hatsumomo szalała ze złości, lecz Mameha nie zwracała na nią najmniejszej uwagi. Nadszedł czas, powiedziała, by ją wypchnąć z ringu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Wieczorem, może z tydzień lub niewiele później, Mameha odnalazła mnie podczas próby. Była bardzo podekscytowana. Ponoć dzień wcześniej słyszała od Barona, że szykuje się przyjęcie na cześć pewnego twórcy kimon, imieniem Arashino. Baron był właścicielem słynnej na cały kraj kolekcji strojów. Większość pochodziła z zamierzchłych czasów, lecz bywało, że kupował dzieła któregoś ze współczesnych krawców. Nowy nabytek, taki jak od Arashino, uświetniał wystawnym bankietem.

— Od razu wydawało mi się, że skądś znam to imię — powiedziała Mameha. — Arashino... Dopiero dzisiaj przypomniałam sobie, o kogo chodzi. To najbliższy przyjaciel Nobu! Wiesz, jakie to nam daje nowe możliwości? Przedtem o nich nie pomyślałam. Namówię Barona, żeby na przyjęcie zaprosił i Nobu, i Doktora. Na pewno nie przypadną sobie do gustu. Gdy zaczną się negocjacje nad twoim mizuage, żaden nie ustąpi wiedząc, że nagroda trafi do rywala.

Byłam bardzo zmęczona, ale dla Mamehy z zachwytem klasnęłam w dłonie i podziękowałam za wspaniały pomysł. A pomysł rzeczywiście wyglądał na dobry, pod warunkiem że Baron zgodziłby się wystosować dwa dodatkowe zaproszenia. Nobu i Doktor Krab przyszliby bez wątpienia. Nobu, choćby dlatego, że Baron należał do grona inwestorów koncernu Iwamura — o czym wtedy jeszcze nie wiedziałam — a Doktor, hmmm... on zawsze uważał się za arystokratę, choć podejrzewam, że tylko jeden z jego licznych przodków miał domieszkę błękitnej krwi. Tak czy owak obecność na raucie u Barona potraktowałyby jako swój najświętszy obowiązek. Tylko dlaczego Baron miałby ich zapraszać? Tego już nie wiedziałam. Podejrzewam, że nie przepadał za Nobu; niewielu ludzi go lubiło. Jeśli zaś chodzi o Doktora Kraba, to przecież go zupełnie nie znał. Równie dobrze mógłby zaprosić przechodnia z ulicy.

Mameha jednak miała cudowny dar perswazji. Zdołała nawet przekonać moją nauczycielkę tańca, żeby mnie zwolniła z sobotnich zajęć. Przyjęcie miało trwać przez całe popołudnie; moje wejście zaplanowano mniej więcej w połowie. Około trzeciej zasiadłyśmy z Mamehą w riksy i ruszyłyśmy w drogę do posiadłości Barona, leżącej u podnóża wzgórz na północny wschód od miasta. Pierwszy raz odwiedzałam takie miejsce i byłam oszołomiona tym, co zastałam. Jak wiesz, przy kimonie ważny jest każdy szczegół; ród Barona przy urządzaniu wnętrza wyznawał tę samą zasadę. Główny

budynek pochodził jeszcze z czasów dziadka, lecz ogród — który w moich oczach wyglądał jak z brokatu — został od podstaw stworzony przez ojca. Pierwotnie nie najlepiej pasował do otoczenia, dopiero brat Barona, na rok przed śmiercią z rąk zamachowca, przesunął staw, dołożył kilka metrów mchu i dobudował kamienne stopnie, wiodące od altany — z której na ogół podziwiano księżyc — do bocznych drzwi domu. Po stawie pływały czarne łabędzie, tak dumne i wspaniałe, aż wstyd mnie ogarnął, że jestem zaledwie człowiekiem.

Na początek czekała nas ceremonia herbaciana; mężczyźni mieli dołączyć później. Za główną bramą ze zdumieniem stwierdziłam, że wcale nie idziemy do zwyczajnego pawilonu, ale na przystań, gdzie czekała łódka wielkości wąskiego pokoju. Po obu burtach miała drewniane ławki, a na rufie niewielką krytą nadbudówkę, z podłogą wyłożoną tatami. Papierowe ściany dawały odsuwać się na boki, a pośrodku było małe palenisko, obłożone drewnem i wysypane piaskiem. Mameha rozpałała ogień, by zagotować wodę w prześlicznym żelaznym imbryku. Ja w tym czasie rozpakowałam resztę potrzebnych naczyń. Denerwowałam się jak lichy. Mameha zawiesiła imbryk nad ogniem i popatrzyła w moją stronę.

— Mądra z ciebie dziewczyna, Sayuri — powiedziała. — Nie muszę ci przypominać, co będzie, gdy stracisz któregoś z adoratorów. Nie faworyzuj żadnego z nich, lecz pamiętaj, że odrobina zazdrości nie zaszkodzi. Na pewno dasz sobie radę.

— Nie podzielałam jej przekonania, ale obiecałam, że spróbuję.

Minęło pół godziny, zanim Baron wyszedł z domu. Wiódł za sobą grupę dziesięciu gości. Co chwila przystawali, aby z różnych stron podziwiać pobliskie wzgórze. Gdy już zajęli miejsca w łódce, Baron chwycił drąg i skierował ją na środek stawu. Mameha zaparzyła herbatę, a ja rozdałam pełne czarki pomiędzy gości.

Potem czekał nas wspólny spacer po ogrodzie, aż wreszcie zasiedliśmy na drewnianym pomoście nad wodą. Służące, wystrojone w identyczne kimona, rozłożyły poduszki i rozstawiły tace z gorącą sake. Klękłam przy Doktorze Krabie i już miałam coś powiedzieć, kiedy on zagadnął pierwszy:

— Wyleczyłaś już ranę na nodze?

Był marzec; nogę miałam rozciętą w listopadzie. Nie zliczę, ile razy widywaliśmy się w tym czasie. Nie wiedziałam, dlaczego spytał mnie o to teraz, w obecności tak wielu świadków. Na szczęście nikt go nie usłyszał.

— Bardzo panu dziękuję, doktorze — odparłam półgłosem. — Dzięki pańskiej pomocy obyło się bez komplikacji.

— Mam nadzieję, że nie została blizna.

— Och, nie. Tylko małe zgrubienie.

Chciałam zakończyć już ten temat, nalać mu sake lub najzwyczajniej w świecie pomówić o czymś innym, ale w tej samej chwili zobaczyłam, że lekko pociera kciuk palcami drugiej ręki. Nigdy nie wykonywał niepotrzebnych ruchów. Skoro teraz to robił, mówiąc o mojej nodze... Doszłam do wniosku, że warto zgłębić ten temat.

— Trudno to nawet nazwać blizną — powiedziałam. — Czasem, gdy w kąpielni dotknę tego miejsca... czuję małą wypukłość. O, taką...

Palcem wskazującym dotknęłam do kłykcia, a potem wyciągnęłam rękę do Doktora. Uniósł dłoń, zawahał się i spojrzał mi prosto w oczy. Potem pogładził się po własnej ręce.

— Aż taką? — spytał. — Powinna być jeszcze mniejsza.

— Może to tylko wrażenie? Wie pan, mam niezwykle czułą... skórę. Zwłaszcza na nogach. Nawet kropla deszczu sprawia, że podskakuję.

Nie było w tym żadnego sensu. Przecież wielkość blizny wcale nie zależała od skóry, a poza tym, kiedy ostatni raz wystawiałam na deszcz gołe nogi? Skoro jednak już poznałam prawdziwe zapatrywania Doktora Kraba, nie miałam nic przeciwko temu, by lepiej poznać jego myśli. Trochę mnie to fascynowało, a trochę gorszyło. Doktor chrząknął i nachylił się w moją stronę.

— A... ćwiczyłaś?

— Ćwiczyłam?

— Skaleczyłaś się, bo straciłaś równowagę... no, wiesz gdzie. To nie może się więcej zdarzyć. Powinnaś ćwiczyć... Tylko w jaki sposób?

Wyprostował się i przytknął oczy. Oczekiwał odpowiedzi dłuższej niż dwa zdania.

— Może uzna mnie pan za głupią, ale każdej nocy... — urwałam, bo musiałam przez chwilę pomyśleć. Cisza trwała, lecz Doktor nie otwierał oczu. Przypominał mi pisklę czekające na powrót matki.

— Każdej nocy — podjęłam — tuż przed wejściem do wanny ćwiczę równowagę w najróżniejszych pozycjach. Czasem dostaję gęsiej skórki z zimna, lecz poświęcam na trening pięć albo dziesięć minut.

Doktor chrząknął ponownie, co uznałam za dobry omen.

— Najpierw staję na jednej nodze, a potem na drugiej. Kłopot w tym, że...

W tej samej chwili Baron, siedzący po drugiej stronie pomostu, przerwał rozmowę z przyjaciółmi i moje ostatnie słowa zabrzmiały tak donośnie, jakbym przemawiała z trybuny:

— ...jak jestem całkiem naga...

Z przerażeniem zakryłam dłonią usta.

— Na niebiosa! — zawołał Baron, nim zdążyłam coś więcej zrobić. — Słyszę, że po tamtej stronie mówią o ciekawszych rzeczach!

Goście wybuchnęli śmiechem. Doktor był tak łaskawy, że udzielił stosownych wyjaśnień.

— Pod koniec zeszłego roku obecna tu Sayuri-san przyszła do mnie ze zranioną nogą — powiedział. — Straciła równowagę. Doradziłem jej, że na przyszłość powinna więcej ćwiczyć.

— I tak też robi — zapewniła go Mameha. — Kimono czasem bardziej ciąży, niż się wydaje.

— To niech je zdejmie! — zawołał jeden z gości, oczywiście żartem, więc pozostali znów się roześmiali.

— Właśnie! — przytaknął Baron. — Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, po co kobietom kimona, skoro najpiękniej wyglądają bez ubrania!

— Chyba że krawcem jest mój dobry przyjaciel Arashi-no — zauważył Nobu.

— Nawet jego kimona nie są tak wspaniałe jak to, co skrywają pod spodem — odparł Baron. Próbował odstawić czarękę, ale połowę sake rozlał na pomost. Nie był jeszcze pijany, choć pił dużo więcej, niż podejrzewałam. — Proszę mnie dobrze zrozumieć... Arashino tworzy cudowne rzeczy. W przeciwnym razie przecież nie siedziałby tu z nami, prawda? Jeśli ktoś jednak spyta, czy wolę patrzeć na kimono, czy na nagą kobietę... to...

— Nikt nie pyta — przerwał mu Nobu. — Bardziej chciałbym wiedzieć, nad czym teraz pracuje Arashino.

Arashino tylko zdążył otworzyć usta, gdyż Baron niemal się zakrztusił ostatnim haustem sake, tak mu było spieszno do odpowiedzi.

— Mmmm... chwileczkę! — zawołał. — A czyż to nieprawda, że każdy jurny chłop na tej ziemi ponad wszystko uwielbia widok nagich kobiet? Chcesz powiedzieć, Nobu, że ciebie to nie bawi?

— Nie — odparł Nobu. — Mówię tylko, że najwyższa pora, aby Arashino zdradził nam swoje plany.

— Tak, tak, mnie też to ogromnie ciekawi — powiedział Baron. — Ale z drugiej strony, czyż to nie zajmujące, że na zewnątrz bywamy różni, a w środku myślimy dokładnie o tym samym? Nie udawaj, że ciebie to nie dotyczy, Nobu-san. Każdy z nas wyłożyłby niemałą sumę, by być świadkiem kąpieli Sayuri. Prawda? Też lubię marzyć. Daj spokój, przyznaj, że także to robisz.

— Sayuri jeszcze brak doświadczenia — odezwała się Mameha. — Może zaoszczędzimy jej takich rozmów.

— Oczywiście, że nie! — huknął Baron. — Im szybciej dowie się prawdy o świecie, tym lepiej. Wielu ludzi udaje, że interesują ich całkiem inne rzeczy, a czekają jedynie, by zajrzeć pod kimono. Posłuchaj mnie, Sayuri, jest tylko jeden rodzaj mężczyzn. A skoro o tym mowa, to pomyśl... każdy z tu obecnych w tej lub tamtej chwili rozbierał cię wzrokiem. I co ty na to?

Siedziałam z dłońmi wspartymi na podolku, wbijałam wzrok w podest i starałam się zachować spokój. Musiałam jakoś odpowiedzieć na pytanie Barona, bo po jego ostatnich słowach zapadła głucha cisza. Zanim jednak zdążyłam coś wymyślić, uratował mnie Nobu. Odstawił czarękę i wstał.

— Bardzo przepraszam, Baronie — powiedział. — Nie bardzo wiem, gdzie jest toaleta.

Miałam obowiązek posłużyć mu za eskortę.

Rozkład rezydencji znałam nie lepiej od niego, lecz skorzystałam z szansy wyrwania się z grona gości. Jedna ze służących poprowadziła nas wokół stawu.

Potem przeszliśmy długim korytarzem, wykładanym jasną drewnianą posadzką. Po jednej stronie były ogromne okna, po drugiej — cudownie oświetlonej blaskiem słońca — stał długi rząd szklanych gablot. Nobu zatrzymał się przy jednej, w której leżały dwa stare miecze. Spoglądał na nie i machinalnie bębnił w szkło palcami, ze złością rozdymając nozdrza. Byłam mocno zakłopotana tym, co zaszło, i nie

wiedziałam, jak mu podziękować. Dopiero kiedy stanął przy kolejnej gablocie, pełnej figurek netsuke z kości słoniowej, spytałam, czy naprawdę lubi antyki.

— Takie jak Baron? Nie.

Baron w rzeczywistości wcale nie był stary. Liczył sobie mniej lat niż Nobu. Chodziło o to, że jest przeżytkiem epoki feudalnej.

— Przepraszam — powiedziałam. — Chodziło mi o eksponaty umieszczone w gablotach.

— Patrząc na miecze, od razu myślę o Baronie. Patrząc na netsuke, też myślę wyłącznie o nim. Finansowo wspiera nasz koncern i mam wobec niego duży dług wdzięczności. Z drugiej strony, kiedy nie muszę, staram się go nie wspominać. Czy to wystarczy za odpowiedź na twoje pytanie?

Ukłoniłam się, a on poszedł do toalety. Zrobił to tak szybko, że nie zdążyłam mu otworzyć drzwi.

Później, gdy z powrotem weszliśmy na pomost, z zadowoleniem zobaczyłam, że przyjęcie dobiega końca. Niewielu gości zostawało na kolacji. Wraz z Mamehą odprowadziłyśmy resztę do głównej bramy, gdzie czekały riksze i samochody. Ukłoniłyśmy się na pożegnanie i w towarzystwie jednej ze służących wróciłyśmy do rezydencji Barona.

Całą następną godzinę spędziłyśmy w części przeznaczonej dla służby. Czekala tam na nas wystawna kolacja, w której nie zabrakło nawet tai-no usugiri, cienkich jak papier płatów morskiego leszcza, polanych sosem ponzu i ułożonych na porcelanowym talerzu w kształcie liścia. Wszystko byłoby wspaniale, gdyby nie posępny nastrój Mamehy. Zjadła zaledwie kilka kęsów i wlepiła wzrok w okno. Coś w jej postawie kazało mi podejrzewać, że wolałaby teraz zasiąść ponownie nad stawem, zagryźć usta ze złości i patrzeć na rozgwieżdżone niebo.

Z Baronem spotkałyśmy się mniej więcej w połowie kolacji dla gości, w pokoju nazywanym przezeń „salką bankietową”. W rzeczywistości owa „salka” mogła pomieścić ze dwadzieścia pięć osób. Z gości pozostali już tylko Doktor Krab, Nobu i pan Arashino. Gdy weszłyśmy, jedli w zupełnym milczeniu. Baron był tak pijany, że bez przerwy wywracał oczami.

Mameha próbowała nawiązać rozmowę. Doktor Krab dwukrotnie otarł wąsy chusteczką i stwierdził, że musi wyjść „na stronę”. Poprowadziłam go tą samą drogą,

którą wcześniej pokonałam z Nobu. Teraz, po zapadnięciu zmierzchu, nie widać było zawartości gablot, gdyż światło lamp odbijało się w szybach. Doktor jednak stanął przed mieczami i tak długo kręcił głową, aż wreszcie je zobaczył.

– Dobrze znasz rezydencję Barona – stwierdził.

– Och, nie, proszę pana. Czuję się zagubiona. Tę drogę zapamiętałam tylko dzięki temu, że przedtem szłam tędy razem z panem Nobu.

– Pewnie przemknął jak burza – mruknął Doktor. Tacy jak on nie mają pojęcia o sztuce.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Doktor spojrzał wprost na mnie.

– Nie znasz świata – westchnął. – Z czasem jednak zrozumiesz, że trzeba uważać na ludzi, którzy nie stronią od zaproszeń, a potem z góry traktują gospodarza. W ten sam sposób Nobu postąpił dziś z Baronem.

Ukloniłam się. Kiedy zrozumiałam, że nic więcej nie powie, zaprowadziłam go do ubikacji.

Po pewnym czasie wróciliśmy do salki bankietowej. Goście znów rozmawiali, głównie dzięki cichym staraniom Mamehy, która teraz siedziała z boku, jedynie dolewając sake. Często mi powtarzała, że czasem rola gejszy sprowadza się do mieszania zupy. Widziałeś kiedyś, jak miso zbiera się na dnie miski? Wystarczy ją zabełtać pałeczkami i wszystko wraca do normy.

Wkrótce rozmowa zeszła na kimona i udaliśmy się do sutereny, gdzie mieściło się podziemne muzeum Barona. Wzdłuż ścian stały długie szafy, skrywające zbiory. Baron usiadł na stołku, pośrodku, i wsparł głowę na dłoniach. Nic nie mówił, tylko wpatrywał się w przestrzeń nieprzytomnym wzrokiem. Rolę przewodniczki objęła Mameha. Najpiękniejszy strój – w zgodnej ocenie wszystkich – przedstawiał panoramę Kobe, wśród gór schodzących wprost do oceanu. Na ramionach bieleły chmury pośród błękitnego nieba, na wysokości kolan zaczynały się wzgórza, a niżej falowało zielononiebieskie morze, kropkowane maleńkimi złotymi okrętami.

– Powinnaś coś stąd wybrać na piknik w Hakone zwrócił się nagle Baron do Mamehy. – To już w przyszłym tygodniu. Zrobisz prawdziwą furorę.

– Dziękuję – odpowiedziała – ale mówiłam kiedyś, że w tym roku nie będę mogła przyjechać.

Baron wyraźnie się rozgniewał, gdyż ściągnął krzaczaste brwi, jakby zamykał okiennice.

– Co to znaczy? Do kogo idziesz, że nie chcesz tego odwołać?

– Bardzo chciałabym być w Hakone, Baronie. Niestety, tym razem to naprawdę niemożliwe. Mam badania.

– Badania? Cóż to takiego, do diaska? Lekarze wciąż zmieniają terminy wizyt. Załatw to z samego rana i przyjeżdżaj jak zwykle.

– Przykro mi – pokręciła głową Mameha. – Za łaskawym przyzwoleniem Barona ustaliłam termin parę tygodni temu. Nie mogę go zmienić.

– Nie pamiętam o żadnym przyzwoleniu! Jeśli nie chodzi o aborcję albo o coś w tym stylu...

Zapadła długa, krępująca cisza. Mameha delikatnie poprawiła rękawy. Reszta z nas stała w absolutnym milczeniu; tylko pan Arashino głośno sapał. Nobu, który dotąd nie przysłuchiwał się rozmowie, teraz odwrócił głowę i spojrzał na Barona.

– Hmm... – bąknął Baron. – Chyba zapomniałem... W rzeczy samej, po co nam baroniątka biegające po ogrodzie? Prawdę mówiąc, mogłaś mi o tym przypomnieć wcześniej, bez świadków...

– Przepraszam, Baronie. .

– Cóż, skoro nie przyjedziesz, to nie. A co z wami, panowie? Zabawa będzie przednia, zapraszam do Hakone. Musicie mnie odwiedzić! To sam środek pory rozkwitania wiśni.

Doktor i Arashino grzecznie odmówili, tłumacząc się nawałem innych obowiązków. Nobu nie odpowiedział, lecz gdy Baron ponowił zaproszenie, mruknął cierpko:

– Baronie, nie przypuszczasz chyba, że pokonam taki szmat drogi, by oglądać kwiaty.

– Kwiaty to jedynie pretekst do dobrej zabawy – odparł Baron. – Nic nie szkodzi. Na pewno będzie wasz Prezes. Przyjeżdża co roku.

Drgnąłam na wspomnienie Prezesa, gdyż od czasu do czasu myślałam o nim przez całe popołudnie. Miałam wrażenie, że ktoś nagle odsłonił moją tajemnicę.

– Trudno, nie przyjeżdżajcie, nie będę płakał – ciągnął Baron. – To był udany wieczór, póki Mameha nie zaczęła mówić o prywatnych sprawach. Ale mam dla niej odpowiednią karę. Na ten rok cofam zaproszenie, a na jej miejsce wyznaczam Sayuri.

Myślałam, że to żart, chociaż z drugiej strony podniecała mnie myśl o wspólnym spacerze z Prezesem, wśród ogrodów i z dala od Doktora Kraba, Nobu, a nawet Mamehy.

– Świetny pomysł, Baronie – odezwała się ta ostatnia. – Niestety, Sayuri ma dodatkowe lekcje tańca.

– Nonsens – rzekł Baron. – Życzę sobie, żeby u mnie była. Czemu wciąż odmawiasz, gdy cię o coś proszę?

Był mocno rozgniewany. Dużo wypił, z ust pociekła mu wąska strużka śliny. Otarł ją wierzchem dłoni, ale z takim skutkiem, że jedynie ją rozsmarował po rzadkiej czarnej brodzie.

– Jest coś jeszcze, czego mi zabronisz? – spytał. Sayuri ma być w Hakone. Najwyżej możesz odpowiedzieć: „tak, Baronie” i to załatwi sprawę.

– Tak, Baronie.

– Świetnie – oznajmił Baron. Wyprostował się na stołku, wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł twarz.

Było mi żal Mamehy, lecz w głębi duszy wprost szalałam z radości na myśl o wyjeździe. Purpurowa jak burak siedziałam w rikszy wiozącej nas do Kioto. Bałam się, że Mameha coś zauważy, ale ona patrzyła w bok i przez całą drogę nie powiedziała ani słowa. Spojrzała na mnie dopiero przy pożegnaniu.

– Bardzo uważaj w Hakone.

– Tak jest – odparłam.

– Zapamiętaj sobie, że dziewczyna w przededniu mizuage jest jak posiłek stojący na stole. Nikt go nie tknie, jeśli rozejdzie się pogłoska, że ktoś wcześniej już uszczknął co nieco.

Nie widziałam dokładnie jej twarzy, lecz na pewno mówiła o Baronie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

W tamtych latach nawet nie wiedziałam, gdzie leży Hakone – choć wkrótce usłyszałam, że jest to we wschodniej Japonii, dosyć daleko od Kioto. Do końca tygodnia rozpierało mnie uczucie dumy, że zostałam przez kogoś tak ważnego jak Baron zaproszona na przyjęcie poza granicami Gion. Z trudem powstrzymywałam objawy podniecenia, kiedy wreszcie zasiadłam w pięknym wagonie drugiej klasy. Towarzyszył mi garderobiany Mamehy, pan Itchoda, który rozważnie zajął miejsce tuż przy przejściu, żeby mnie odgrodzić od innych pasażerów. Udawałam, że czytam jakieś czasopismo, ale kątem oka bez przerwy zerkałam na przechodzących. Zawsze zwalniali kroku, żeby na mnie popatrzeć. Początkowo te spontaniczne objawy zainteresowania sprawiały mi dużą radość, ale kiedy tuż po południu dotarliśmy do Shizuoki, gdzie czekała nas przesiadka na pociąg do Hakone, nagle wypełniło mnie odmienne, mniej miłe uczucie. Bezskutecznie usiłowałam je odpędzić. Widziałam siebie – w innym czasie i na całkiem innym peronie czekającą na inny pociąg, u boku pana Bekku. To był ów dzień, gdy razem z siostrą zostałyśmy wywiezione z domu. Ze wstydem musiałam przyznać, że przez minione lata starałam się nie myśleć o Satsu, o ojcu i matce, i o domku, który przezwalałam „trzęsichatką”. Byłam jak dziecko z głową ukrytą w torbie. Dzień w dzień oglądałam wyłącznie Gion, aż uznałam, że tylko Gion jest światem. Teraz, gdy opuściłam Kioto, spostrzegłam, że dla wielu ludzi Gion najzwyczajniej nie istnieje. Nie mogłam powstrzymać myśli o życiu, które niegdyś wiodłam. Smutek to najdziwniejsze z uczuć; czyni nas bezradnymi. Jest jak okno otwarte wbrew naszej woli – przy nim można wyłącznie dygotać z zimna. Z czasem jednak otwiera się rzadziej i rzadziej, aż wreszcie całkowicie stapia się z murem.

Następnego dnia opuściłam niewielką gospodę z widokiem na górę Fuji i pojechałam jednym z samochodów Barona do letniego domu wśród drzew, na samym brzegu jeziora. Automobil skręcił na półkolisty podjazd i stanął. Wsiadłam – ubrana w kompletny strój młodej gejszy z Kioto. Wielu gości Barona spojrzało w moją stronę. Zobaczyłam też kilka kobiet, zarówno w kimonach, jak i w zachodnich sukniach. Później się dowiedziałam, że przede wszystkim były to gejsze z Tokio. Od stolicy dzieliło nas zaledwie parę godzin jazdy pociągiem. Potem na ścieżce pod drzewami pojawił się sam Baron wśród męskiej asysty.

— Proszę, oto przysmak, na który czekaliśmy! — zawołał. — Ten cudny kwiat to Sayuri z Gion, która pewnego dnia stanie się „wielką Sayuri z Gion”. Zapewniam was, że nigdy w życiu nie widzieliście tak niezwykłych oczu. Spójrzcie, jak się porusza... Chodź, Sayuri, daj popatrzeć na siebie wszystkim moim gościom. Czekają cię wyteżona praca... gdyż musisz obejść dom, jezioro, las i wszelkie pozostałe miejsca! Do roboty!

Posłuszna poleceniom Barona krążyłam po posiadłości. Byłam więc pod drzewami wiśni, nabrzmiętymi od kwieciami, kłaniałam się tu i tam, pilnie, choć ukradkowo wypatrując Prezesa. Posuwałam się niezbyt spiesźnie, gdyż co parę kroków ktoś wołał: „Spójrzcie! Młoda gejsza z Kioto!” i musiałam pozować do zdjęcia albo składać wizytę w jednej z licznych altanek, gdzie byłam przedstawiana różnym przyjaciółom. Traktowano mnie niemal jak pochwyconą żywcem prehistoryczną bestię. Mameha ostrzegła, że wzbudzę powszechną uwagę, bo nikogo nie można porównać do młodej gejszy z Gion. To prawda, że w lepszych dzielnicach gejsz w Tokio, takich jak Shimbashi albo Akasaka, wszystkie kandydatki muszą przejść szkolenie, lecz potem większość z nich przejmuje zachodni styl bycia. Stąd we włościach Barona widziałam tak wiele sukienek.

Przyjęcie ciągnęło się bez końca. Późnym popołudniem straciłam już nadzieję, że kiedykolwiek odnajdę Prezesa. Weszłam do domu, by skorzystać z chwili odpoczynku, i w tej samej chwili myślałam, że zemdleję. Stał tam, kończąc rozmowę z kilkoma znajomymi. Powiedział „Do widzenia” i nagle spojrzął na mnie.

— Sayuri! — zawołał. — Baron ściągnął cię tu aż z Kioto? Nie wiedziałem, że coś was łączy.

Etykieta nakazywała mi odwrócić wzrok, lecz równie dobrze mogłabym palcami wyciągać gwoździe ze ściany. Wreszcie złożyłam stosowny ukłon.

— Mameha-san przysłała mnie w zastępstwie. Czuję się zaszczycona spotkaniem z panem Prezesem.

— Tak, ja także się bardzo cieszę, że cię widzę. Chodź, pomożesz mi w pewnej sprawie. Zastanawiam się, czy kupiłem właściwy prezent dla Barona. Miałem ochotę wyjść, nawet mu o tym nie wspominając.

Weszłam z nim do pokoju, czując się jak latawiec na sznurku. Tu, w Hakone, z dala od wszystkiego, co znałam, wreszcie przez parę minut mogłam być sam na sam z człowiekiem moich marzeń. Gdy szedł przede mną, ubrany w doskonale skrojony garnitur, z zachwytem podziwiałam grację jego ruchów. Widziałam jędrne, wyraźnie

zarysowane łydki i wgłębienie poniżej krzyża, jak szczelinę, z której wyrastały dwa silne korzenie. Podał mi coś ze stołu. W pierwszej chwili myślałam, że to rzeźbiona sztaba złota, lecz z bliska okazało się, że to staroświeckie puzdro na kosmetyki. Prezes wyjaśnił mi, że zostało zrobione przez niejakiego Aratę Gonroku, artystę z okresu Edo. Było w kształcie poduszki, kryte złotą laką i ozdobione czarnymi sylwetkami lecących żurawi i skaczących królików. Aż wstrzymałam oddech z przejęcia, gdy wzięłam je do ręki.

— Sądysz, że spodoba się Baronowi? — zapytał Prezes. — Zobaczyłem je tydzień temu i od razu pomyślałem o nim.

— Dlaczego pan przypuszcza, że Baron może być zawiedziony?

— W swoich zbiorach ma prawie wszystko. Boję się, że uzna to za trzeciorzędny okaz.

Zapewniłam go, że tak piękny przedmiot bez wątpienia ucieszy każdego. Zawinał puzdro w jedwab i skinął głową w stronę drzwi. W sieni pomogłam mu włożyć buty. Gdy dotknęłam jego stopy, wyobraziłam sobie, że spędziliśmy piękne popołudnie i że czeka nas wspólny wieczór. Nie pamiętam, co było dalej. Wpadłam chyba w stan odrętwienia, lecz Prezes w żaden sposób nie okazał niecierpliwości. Oprzytomniałam i pośpiesznie wsunęłam nogi w okobo, choć i tak trwało to dłużej, niż zamierzałam.

Prezes poprowadził mnie ścieżką nad jezioro, gdzie na macie rozłożonej pod drzewem wiśni siedział Baron w otoczeniu trzech gejsz z Tokio. Na nasz widok z wyraźnym trudem dźwignął się na nogi. Gejsze też wstały. Twarz Barona znaczyły purpurowe plamy — ślad wypitego alkoholu. Wyglądał, jakby go ktoś obił kijem.

— Prezesie! — krzyknął. — Cieszę się, że zawitałeś na moje przyjęcie. Zawsze z przyjemnością widuję cię u siebie. Firma bez przerwy rośnie, co? Sayuri ci mówiła, że równo przed tygodniem Nobu był moim gościem w Kioto?

— Słyszałem to od niego. Jak przypuszczani, zachowywał się po swojemu.

— Oczywiście — zgodził się Baron. — Śmieszny mały człowieczek, nieprawdaż?

Nie wiedziałam, o co mu chodzi, gdyż Nobu był wyższy od niego. Prezes zmarszczył brwi. Nie podobały mu się wywody Barona.

— Przyszedłem podziękować i rzec „do widzenia” — powiedział oschle. — Przedtem jednak proszę przyjąć ten prezent.

Podał puzdro. Baron był zbyt pijany, żeby samodzielnie rozwinąć jedwabną chustkę, więc skorzystał z pomocy gejszy.

— Cudo! — zawołał. — Wszyscy to widzą, prawda? Tylko spójrzcie. Prawie tak piękne, jak ów maleńki kwiat, który stoi przy Prezesie. A, właśnie... Prezesie, znasz Sayuri? Jeśli nie, to was sobie przedstawię.

— Znamy się bardzo dobrze — odparł Prezes.

— Jak dobrze? Wystarczająco, bym wam zazdrościł? — Baron wybuchnął śmiechem z własnego dowcipu. Nikt mu nie zawtórował. — Aaa... ten prezent mi przypomniał, że mam także coś dla ciebie — zamruczał, patrząc na mnie. — Nie mogę ci tego dać, póki nie pójda inne gejsze. Wściekłyby się z zazdrości. Musisz zatem poczekać, aż wszyscy wyjdą.

— Doceniam pańską łaskawość, Baronie — odpowiedziałam — nie mam jednak zamiaru się narzucać.

— Nauczyłaś się od Mamehy wszystkiego odmawiać? Spotkamy się w głównym holu po wyjściu ostatniego gościa. Prezesie, spróbuj ją przekonać w drodze do samochodu!

Gdyby Baron był bardziej trzeźwy, bez wątpienia sam odprowadziłby Prezesa. A tak powiedzieli sobie tylko „dobranoc” i Prezes odszedł. Podreptałam za nim na podjazd. Szofer otworzył drzwi auta, a ja skłoniłam się głęboko na pożegnanie. Prezes już miał wsiąść do samochodu, ale nagle stanął i zerknął na mnie.

— Sayuri... — zaczął i urwał, jakby niepewny, co powiedzieć dalej. — Co ci Mameha mówiła o Baronie?

— Niewiele, proszę pana. To znaczy... niezupełnie rozumiem, o co pan Prezes pyta.

— Jak sprawuje się Mameha w roli starszej siostry? Mówi ci o wszystkim, co powinnaś wiedzieć?

— O tak, panie Prezesie. Nie potrafię wyrazić, jak jestem jej wdzięczna.

— To dobrze — skinął głową. — Na twoim miejscu uważałbym na Barona. Zwłaszcza kiedy tak hojnie szafuje prezentami.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc wspomniałam tylko, że to bardzo miłe ze strony Barona, skoro raczył o mnie w ogóle pomyśleć.

— Tak, miłe. Mimo wszystko uważaj na siebie — powtórzył Prezes. Przez chwilę mierzył mnie napiętym spojrzeniem, a potem zniknął we wnętrzu samochodu.

Jeszcze przez godzinę krążyłam wśród gości, bez przerwy wspominając rozmowę z Prezesem. Zamiast jednak do serca wziąć jego ostrzeżenia, cieszyłam się, że poświęcił mi tak wiele czasu. Nie zaprzętałam sobie głowy spotkaniem z Baronem do momentu, aż zostałam sama w wielkim holu, zalanym promieniami zachodzącego słońca. Pozwoliłam sobie nawet przysiąc na matach w przyległym pokoju i spójrzałam w okno.

Minęło dziesięć lub piętnaście minut, zanim zjawił się Baron. Na jego widok zrobiło mi się słabo z przerażenia, gdyż miał na sobie tylko bawełniany szlafrok. Ręcznikiem pocierał długie czarne włosy, które udawały brodę. Najwyraźniej wracał prosto z łaźni. Wstałam, by mu się uklonąć.

— Sayuri! Co ze mnie za głupiec! — wykrzyknął. — Stanowczo zbyt wiele wypilem.

To akurat była szczerą prawdą.

— Zapomniałem, że na mnie czekasz. Mam nadzieję, że mi wybaczysz, gdy ujrzysz, co przygotowałem.

Ruszył w głąb domu, przekonany, że pójdę za nim. Ja jednak stałam w miejscu, wspominając słowa Mamehy, która ostrzegła mnie, że młoda gejsza w przededniu mizuage jest jak danie na stole.

Baron przystanął.

— Chodź! — zawołał.

— Och, Baronie... nie mogę. Proszę, niech pan pozwoli poczekać mi tutaj.

— Chcę ci coś dać. Chodź do pokoju, usiądź i nie bądź głupią dzierlatką!

— Nic na to nie poradzę, Baronie. Naprawdę nią jestem!

— Jutro znów trafisz pod czujną opiekę Mamehy. Tu cię nikt nie zobaczy.

Gdybym zachowała choć resztkę rozsądku, podziękowałabym za zaproszenie i zażądała, by samochód odwiózł mnie do gospody. Wydawało mi się jednak, że śnię... Chyba byłam w szoku. Bałam się jak nigdy w życiu.

— Chodź, poczekasz, aż się ubiorę — nie ustępował Baron. — Dużo sake wypijaś?

Minęła długa chwila. Zdawałam sobie sprawę, że moja twarz wygląda jak nieruchoma maska.

— Nie, proszę pana — zdołałam w końcu wykrztusić.

— Tak myślałem. Dostaniesz, ile zechcesz. Chodź wreszcie.

— Baronie, proszę... — jęknęłam. — Czekają na mnie w gospodzie.

— Czekają? Kto czeka?

Nie odpowiedziałam.

— Pytałem, kto czeka? Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak się zachowujesz. Chcę ci dać prezent. Mam iść i go przynieść?

— Bardzo przepraszam — szepnęłam.

Baron popatrzył na mnie.

— Zaraz wrócę — mruknął i zniknął w głębi domu. Chwilę później wrócił z płaskim pakunkiem, owiniętym w szary papier. Na pierwszy rzut oka wiedziałam, że to kimono.

— Skoro chcesz zachowywać się jak głupia, to masz — powiedział. — Teraz czujesz się lepiej?

Jeszcze raz przeprosiłam za swoje zachowanie.

— Zauważyłem kiedyś, że z zachwytem patrzyłaś na tę szatę. Postanowiłem, że ją dostaniesz — oznajmił.

Położył paczkę na stole i rozwiązał sznurki. Myślałam, że zaraz zobaczę kimono z panoramą Kobe, i prawdę mówiąc, dygotałam jak w febrze, gdyż nie wiedziałam, co począć z tak cennym podarunkiem i co powie Mameha, kiedy z nim wrócę. Spod papieru wychynął jednak wspaniały ciemny jedwab, wyszywany lakierowaną nicią i haftowany srebrem. Baron uniósł kimono za ramiona. Był to isticie muzealny okaz, wykonany — wedle objaśnień Barona — w sześćdziesiątych latach dziewiętnastego wieku dla bratanicy ostatniego shoguna, Tokugawy Yoshinobu. Srebrny haft przedstawiał lecące ptaki na tle nocnego nieba, nad tajemniczym krajobrazem pełnym drzew i skalistych zboczy.

— Pójdiesz się przebrać — zdecydował Baron. — Bez żadnego certolonia! Potrafię własnoręcznie zawiązać obi. Mam w tym niemałe doświadczenie. Po próbie włożysz stare kimono i nikt się o niczym nie dowie.

Chętnie zamieniłabym wówczas najwspanialsze dary na jakiegokolwiek wyjście z sytuacji. Baron miał jednak w sobie tyle władzy, że ulegała mu nawet Mameha. Skoro ona nie mogła odrzucić jego żądań, to czego wymagać ode mnie? Wyraźnie tracił cierpliwość, a przecież do tej pory był dla mnie wyjątkowo dobry. Tolerował moje towarzystwo w czasie wspólnych obiadów z Mameha i zaprosił mnie na przyjęcie urządzone w Kioto. Teraz przeszedł sam siebie, dając mi cenne kimono.

Doszłam wreszcie do wniosku, że muszę ustąpić i ponieść wszelkie możliwe konsekwencje takiego stanu rzeczy. Ze wstydem wbiłam wzrok w podłogę; byłam jak zahipnotyzowana. Baron wziął mnie za rękę i powiódł korytarzem na tyły domu. Po drodze minęliśmy służącego, który skłonił się na nasz widok i pośpiesznie zniknął w jakimś pomieszczeniu. Baron milczał, aż w końcu dotarliśmy do dużego pokoju z lustrami. To była garderoba. Całą jedną ścianę zajmowały szafy.

Ręce mi drżały ze strachu, ale Baron zdawał się tego nie dostrzegać. Stał przed największym lustrem i zbliżył usta do mojej dłoni. Myślałam, że chce mnie pocałować, lecz on zrobił coś dziwniejszego — podwinął mi rękaw kimona i przez chwilę napawał się zapachem mojej skóry. Niechcący połaskotał mnie brodą. Byłam tak oziębiała, że prawie tego nie czułam. W ogóle nic nie czułam, zagrzebana głęboko pod warstwą lęku, zniechęcenia i wstrętu... Drgnęłam, obudzona z szoku, gdy Baron stanął za mną i opasał mnie ramionami, żeby rozwiązać obijime, czyli sznur podtrzymujący obi.

Stwierdziłam z przerażeniem, że naprawdę próbuje mnie rozebrać. Bezskutecznie usiłowałam coś powiedzieć — ledwo mogłam poruszać ustami, a Baron ciągle powtarzał: „Cicho... cicho...”. Chwyciłam go za rękę, lecz wyrwał się i nareszcie rozplatał obijime. Zrobił krok do tyłu, aby mieć lepszy dostęp do węzła obi. Błagałam, żeby przestał — chociaż połowa słów nie chciała mi przejść przez ściśnięte gardło. I tak nie słuchał. Przekładając wokół mnie ręce, odwijał szerokie obi. W pewnej chwili zobaczyłam, że na podłogę spadła chusteczka Prezesa. Zaraz potem, w ślad za nią, osunęło się obi. Przyszła kolej na szarfę datejime. Z narastającą paniką poczułam, że kimono rozluźnia mi się w pasie. Próbowałam je trzymać, lecz Baron trzepnął mnie po dłoniach. Odwróciłam głowę od lustra i mocno zacisnęłam oczy. Ciężka jedwabna szata z szelestem opadła mi z ramion.

Baron chyba osiągnął zamierzony cel, bo przez kilka minut nic się nie działo. Czułam, jak jego ręce gładzą moją talię, jakby się rozkoszował dotykiem bielizny.

Kiedy znów otworzyłam oczy, ciągle stał za mną, nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w zwierciadło. Wąchał moje włosy i wydawało mi się, że patrzy na ostatnią szarfę, która utrzymywała na mnie ubiór wkładany pod kimono. Chciałam choć w myślach, siłą woli, powstrzymać jego dłonie, ale one znów drgnęły niczym dwa pająki, przebiegły mi po brzuchu i pociągnęły za węzeł szarfy. Szamotałam się z nimi przez chwilę, lecz przegrałam, jak za poprzednim razem. Baron rozwiązał szarfę i rzucił ją na podłogę. Nogi ugięły się pode mną. Pokój przypominał rozmazaną plamę. Baron rozchylił mi poły odzienia. Nie panując nad sobą, jeszcze raz chwyciłam go za rękę.

— Nie bój się, Sayuri! — szepnął. — Na niebiosa, przyrzekam, że ci nic nie zrobię. Chcę tylko popatrzeć, dobrze? Przecież w tym nie ma nic zdrożnego. Każdy człowiek uczyniłby to samo.

Włosy z jego brody muskały mnie w ucho, więc odchyliłam głowę. Chyba uznał to za przyzwolenie, gdyż pracował teraz o wiele szybciej. Rozwiązał tasiemki koszuli, którą miałam na sobie. Czułam, jak jego palce dotykają mi żeber. Nie mogłam znieść myśli, że nie wiem, na co patrzy, zatem nie odwracając twarzy, kątem oka zerknęłam w lustro. W rozcięciu koszuli prześwitywał długi, wąski pas nagiego ciała.

Dłonie Barona spoczęły na moich biodrach. Zajął się koshimaki. Miał kłopot, gdyż tego dnia owinęłam się szczelniej niż zazwyczaj. Ciągnął i szarpał, aż wreszcie udało mu się poluzować ciasny pas tkaniny. Wyciągnął mi go spod koszuli. Wydałam zduszony odgłos, coś w rodzaju rozpaczliwego jęku, i odruchowo wyciągnęłam rękę za umykającym koshimaki, ale Baron cisnął je daleko w kąt pokoju. Potem wolno, jakby ściągał kołderkę ze śpiącego dziecka, rozebrał mnie do reszty. Na moment wstrzymał oddech. Mogłoby się wydawać, że dokonał niezwykłego odkrycia. Drapało mnie w gardle; byłam bliska płaczu, lecz nie chciałam, by widział moją rozpacz. Wystarczało, że oglądał mnie nagą. Wprawdzie miałam skarpetki na nogach i zsuniętą do łokci koszulę, lecz pod jego spojrzeniem czułam się bardziej obnażona niż w łaźni. Wzrok Barona ślizgał się po moim ciele, z podziwem musnął talię i zatonął w ciemnej gęstwinie, jaka mnie porosła przez lata pobytu w Kioto. Potem powędrował z powrotem, wyżej, wzdłuż brzucha i żeber, aż do dwóch wystających plamek śliwkowej barwy. Zobaczyłam w lustrze, że Baron cofnął prawą rękę, więc odruchowo poprawiłam koszulę. Co robił... nie wiedziałam i od tamtej pory nie byłam świadkiem takiego zachowania. Raz tylko niemal krzyknęłam ze strachu, kiedy dostrzegłam jego nagie ramię. Dzisiaj zdaje mi się, że rozszyfrowałam tajemnicę Barona, lecz nie chcę o tym nawet myśleć. Kark mnie palił pod jego gorącym oddechem. Potem już nic nie

widziałam. Nie umiałam dłużej powstrzymać łez — lustro stało się srebrzyście połyskującą plamą.

Po pewnym czasie Baron zaczął oddychać wolniej. Byłam zgorączkowana i mokra z przerażenia. Lekki dotyk koszuli, którą już mogłam naciągnąć na ramiona, odebrałam jak powiew świeżego wiatru. Stałam w pokoju sama; z przejęcia nawet nie zauważyłam, kiedy Baron wyszedł. Korzystając z jego nieobecności, zaczęłam się spieszenie ubierać. Zbierając porzrzucone po podłodze odzienie, zachowywałam się jak głodne dziecko, szukające okruchów pożywienia.

Opatuliłam się, jak mogłam, i roztrzęsionymi rękami sięgnęłam po kimono. Bez pomocy nie potrafiłam go włożyć. Czekałam więc przed lustrem, patrząc na swoją twarz pokrytą rozmazany pudrem. Zamierzałam stać tak nawet godzinę, gdyby zaszła potrzeba. Na szczęście Baron wrócił po kilku minutach. Szlafrok miał mocno zawiązany na obwisłym brzuchu. W milczeniu pomógł mi uporać się z kimonem i zrobił węzeł na dekolację w ten sam sposób jak pan Itchoda. Potem wziął do rąk długie i ciężkie obi i zwinął je w luźne sploty. Czułam się przeokropnie. Z początku nawet nie zdawałam sobie sprawy, co mi naprawdę dokucza, potem jednak ów nastrój, niczym plama na czystym jedwabiu, rozlał się jeszcze bardziej i wreszcie zrozumiałam. Było to poczucie winy. Nie chciałam płakać przy Baronie, lecz łzy same pociekły mi po policzkach. On zresztą od powrotu starannie omijał mnie wzrokiem. Usiłowałam sobie wyobrazić, że jestem domem stojącym w strugach deszczu. Baron widocznie był innego zdania, gdyż w pewnej chwili podał mi chusteczkę z monogramem. Pozwolił mi ją zatrzymać, lecz gdy tylko otarłam oczy, położyłam ją na stole.

Nie zamieniwszy ani słowa więcej, wyszliśmy na zewnątrz. Tam Baron zostawił mnie, a sam wrócił do domu. Po chwili przyszedł lokaj. Wręczył mi zabytkowe kimono, z powrotem zapakowane w papier, skłonił się i odprowadził mnie do samochodu. Cicho popłakiwałam w drodze do gospody, ale szofer uparcie udawał, że nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi. Nie użalałam się już nad sobą. Przerażało mnie coś innego — spotkanie z panem Itchodą. Jak miałam mu wytłumaczyć rozmazany makijaż, zbyt luźno zawiązane obi i paczkę z cennym podarunkiem? Przed opuszczeniem auta dokładnie wytarłam twarz chusteczką Prezesa, ale niewiele to pomogło. Pan Itchoda obrzucił mnie spojrzeniem i z namysłem podrapał się w brodę, jakby już wszystko rozumiał. Gdy w pokoju zdejmował mi obi, spytał:

— Baron cię rozbierał?

— Przepraszam...

— Rozebrał cię i ustawił przed lustrem. Bez żadnych zbędnych zabaw. Nie dotykał cię, ani nie kładł się na tobie. Mam rację?

— Tak, proszę pana.

— To dobrze — oświadczył pan Itchoda. Patrzył prosto przed siebie. Nie padło między nami już ani jedno słowo.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Następnego ranka, gdy pociąg wjechał na dworzec w Kioto, wciąż jeszcze byłam pod wpływem emocji. Jeśli wrzucić kamień do stawu, woda długo faluje, choć kamień idzie na dno. Kiedy jednak dotarłam do drewnianych schodów peronu, z wiernym panem Itchodą sunącym o krok z tyłu, ze zdumienia zapomniałam o wszystkim.

Przede mną w szklanej gablocie wisiał nowy plakat zapowiadający tegoroczne Tańce z dawnej stolicy. Zatrzymałam się, żeby go obejrzeć. Plakat powieszono poprzedniego dnia, mniej więcej w tym samym czasie, gdy krążyłam po posiadłości Barona, z nadzieją, że znajdę Prezesa. Tańce co roku miały odrębny temat. Raz były to *Barwy czterech pór roku w Kioto*, raz *Najsłynniejsze miejsca z dziejów rodu Heike*. Tegoroczne przedstawienie nosi o tytuł *Błysk wschodzącego słońca*. Autorem plakatu był oczywiście Uchida Kosaburo, który od tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku niemal bez przerwy dbał o oprawę plastyczną występów. Tym razem namalował młodziutką gejszę w pomarańczowo-zielonym kimonie, stojącą na łukowato wygiętym drewnianym moście. Niewyspana i mocno zmęczona podróżą, przez dłuższą chwilę podziwiałam wyłącznie tło obrazu, błyszczące złotem i zielenią. Dopiero później zwróciłam uwagę na dziewczynę. Patrzyła w rąbek tarczy wschodzącego słońca i... miała roziskrzona, szaroniebieskie oczy. Musiałam chwycić się poręczy, żeby nie upaść z wrażenia. To właśnie mnie Uchida uwiecznił na plakacie!

W drodze ze stacji pan Itchoda wskazywał palcem każdy plakat i zażądał, by riksza, nadkładając drogi, okrążyła stary dom handlowy Daimaru, gdzie zawsze cała ściana była pełna reklam. Jeśli zaś chodzi o mnie... z mieszanymi uczuciami patrzyłam na podobiznę wiszącą na rogach ulic. Myślałam o dziewczynie stojącej przed lustrem obok dużo od niej starszego człowieka, który na dodatek próbował jej zdjąć kimono. Jakkolwiek było, w ciągu najbliższych dni spodziewałam się gratulacji. Szybko mnie nauczono, że sukces ma słońce cenę. Od czasu gdy zostałam wpisana na listę tancerek, wysłuchałam o sobie wielu krzywdzących opinii. Teraz zrobiło się jeszcze gorzej. Już następnego dnia koleżanka ze szkoły odwróciła ode mnie głowę, jak ukloniłam się jej na ulicy.

Mameha dochodziła do siebie po zabiegu, więc odwiedziłam ją w domu. Była tak ze mnie dumna, jakby to ona sama znalazła się na plakacie. Wprawdzie nie

pochwalała mojej wyprawy do Hakone, lecz ponad wszystko cieszył ją mój obecny sukces. Dręczyły mnie obawy, że może poczuje się zdradzona, kiedy usłyszy o przygodzie z Baronem. Pan Itchoda na pewno powiedział jej o wszystkim... Ona jednak nigdy mnie o to nie spytała. Ja też milczałam.

Dwa tygodnie później odbyło się pierwsze przedstawienie. W dzień premiery z trudem walczyłam z podnieceniem, gdyż w garderobie teatru Kaburenjo dowiedziałam się od Mamehy, że sam Prezes i Nobu zasiądą na widowni. Zanim przystąpiłam do charakteryzacji, ukryłam pod kostiumem chusteczkę Prezesa. Wetknęłam ją głęboko, aż na gołe ciało. Głowę miałam ciasno owiązaną wstążką, bo musiałam nałożyć kunsztowną perukę. Kiedy spojrzałam w lustro na twarz pozbawioną znajomej aureoli włosów, znalazłam nowe kształty na policzkach i wokół oczu. Może to zabrzmiało dziwnie, ale z zaskoczeniem patrzyłam na własne odbicie. Naszła mnie refleksja, że nic w życiu nie jest tak proste, jak to sobie na ogół wyobrażamy.

Godzinę później, w grupie innych gejsz, stanęłam za kulisami, gotowa do pierwszego numeru. Nosiliśmy identyczne żółto-czerwone kimona i pomarańczowo-złote obi. Każda z nas wyglądała jak żywe wcielenie słonecznego blasku. Zabrzmiały pierwsze takty muzyki, załomotały bębny, zadźwięczały struny shamisenów. Tańczyłyśmy razem niczym perły nanizane na sznurek – z rozpostartymi ramionami, trzepocząc wachlarzami. Nigdy bardziej nie czułam się częścią całości.

Po pierwszym tańcu pobiegłam przebrać się do garderoby: Mój występ nosił tytuł *Słońce poranka na falach* i opowiadał o dziewczynie, która o brzasku wybrała się popływać w wodach oceanu i zapalała miłością do zaklętego delfina. Do tej sceny miałam cudowne różowe kimono, z szarym haftem przypominającym wodę. W rękach trzymałam dwie jedwabne niebieskie szarfy, imitujące fale. Księżcia zmienionego w delfina grała gejsza o imieniu Umiyo. Innym dziewczętom powierzono rolę wiatru, słońca i morza. Po brzegach sceny stały najmłodsze z nas, w szaroniebieskich kostiumach, jako stado delfinów przyzywających władcę.

Zdażyłam przebrać się tak szybko, że miałam chwilę czasu, by zza kulis popatrzeć na widownię. Jęk bębnowy doprowadził mnie do wąskiego korytarza, biegnącego za podium dla orkiestry. Stało tam już parę innych młodych aktorek, każda z nich z okiem przyciśniętym do jakiejś szczeliny lub szpary. Dołączyłam do

nich i niemal od razu wypatrzyłam Prezesa i Nobu. Siedzieli razem, chociaż wydawało mi się, że Nobu zajął o wiele lepsze miejsce. Z marsową miną oglądał przedstawienie. Prezes, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, zdawał się raczej drzemać. Po muzyce poznałam, że to występ Mamehy, więc przeszłam aż pod ścianę, skąd mogłam widzieć scenę.

Obserwowałam taniec zaledwie kilka minut, lecz wywarł na mnie niezatarte wrażenie. Większość tańców ze szkoły Inoue opisuje jakieś zdarzenia. Ten zwał się Powrót dworzanina do żony i czerpał treść ze starego chińskiego poematu o romansie tytułowego bohatera z pewną damą z orszaku cesarza. Ciemną nocą żona dworzanina schowała się w ogrodach pałacowych, żeby podpatrzeć schadzkę męża. O świcie zobaczyła, jak żegnał się z kochanką, potem jednak umarła z przeziębienia.

Dla naszych potrzeb akcję utworu przeniesiono z Chin do Japonii; reszta intrygi pozostała nie zmieniona. Mameha grała nieszczęśliwą żonę, trawioną bólem złamanego serca i ciężką chorobą. Gejsza Kanako odtwarzała rolę męża-dworzanina. Patrzyłam na ich występ od chwili, gdy dworzanin rozstawał się z konkubiną. Nastrój był urzekający; scena rozgrywała się w przyćmionym świetle poranka, przy powolnych jak bicie serca dźwiękach shamisenu. Dworzanin pięknym tańcem wyraził swą wdzięczność za wspólnie spędzone godziny i pogonił za blaskiem słońca, by schwytać garść promieni i ogrzać kochankę. W tym momencie Mameha rozpoczęła występ, by serią wyrazistych gestów przekazać swój smutek, cały czas schowana przed wzrokiem zakochanych. Nie wiem, czy to jej ruchy, czy może treść tańca sprawiły, że ogarnęło mnie poczucie żalu. Miałam wrażenie, że padłam ofiarą nędznej zdrady. Pod sam koniec sceny wszystko pojaśniało żółtym blaskiem słońca. Mameha odeszła pod drzewa, by tam najzwyczajniej umrzeć. Tego już nie widziałam – byłam zbyt przejęta, a poza tym musiałam wracać, by zdążyć na swoje wejście.

Kiedy już czekałam ukryta za kurtyną, wydawało mi się, że dźwigam na barkach cały budynek teatru – smutek zawsze przytłaczał mnie. Dobre tancerki zazwyczaj występują w ciaśniejszych skarpetkach, żeby czuć pod stopami każdą deskę sceny. Ja nie musiałam tego robić. Zbierając siły przed występem, czułam nie tylko deski, lecz nawet szwy wewnątrz skarpetek. Wreszcie usłyszałam chór bębnow i shamisenów, zmieszany z szelestem strojów mijających mnie tancerek. Co było dalej, nie pamiętam. Na pewno zamknęłam wachlarz, uniosłam ręce i lekko ugięłam kolana. W tej pozycji miałam pojawić się przed widownią. Chyba mi się powiodło, gdyż później nie słyszałam żadnych krytycznych uwag. Przypominam sobie, że ze

zdumieniem patrzyłam na własne ręce, wykonujące równe i zdecydowane ruchy. Ćwiczyłam niezliczone razy i to był mój główny atut. Odgradzona od całego świata, tańczyłam bez kłopotów i niepotrzebnej nerwowości.

Przez resztę miesiąca przygotowywałam się do występów w ten sam wypróbowany sposób: oglądałam *Powrót dworzanina do żony* i otepiała ze smutku wychodziłam na scenę. Ludzie potrafią przywyknąć nawet do najgorszych rzeczy, ale w moim wypadku widok Mamehy sprawiał, że odczuwałam więź z jej bólem. Żal wyrażony tańcem wdzierał się w moje zmysły, jak zapach świeżo przekrojonego jabłka.

Pewnego dnia, w ostatnim tygodniu występów, zasiedziałyśmy się nieco dłużej w garderobie, rozmawiając ze znajomą gejszą. Nie spodziewałam się, że jeszcze kogoś spotkamy na ulicy. Rzeczywiście, tłum widzów zdążył już odejść. Ledwie jednak opuściliśmy teatr, szofer w liberii otworzył tylne drzwi zaparkowanego auta. Chciałyśmy go wyminąć, lecz w tej samej chwili zobaczyłam wysiadającego Nobu.

– Och, Nobu-san! – zawołała Mameha. – A już się obawiałam, że znudził się pan towarzystwem Sayuri. Od miesiąca, dzień w dzień, wyglądamy wieści od pana...

– Któż to narzeka? Od godziny czekam przed teatrem. – Właśnie pan wyszedł z przedstawienia? – zapytała Mameha. – Sayuri to prawdziwa gwiazda.

– Nie „właśnie” – z naciskiem poprawił ją Nobu. Występ dobiegł końca równo przed godziną. Miałem dość czasu, żeby wysłać szofera do śródmieścia po niewielkie zakupy.

Walnął pięścią w okienko, aż biedny kierowca z przestrawu zgubił czapkę. Nobu dał mu znak ręką. Szofer opuścił szybę i podał małą paczkę, zapakowaną na zachodnią modłę w coś w rodzaju srebrno błyszczącej folii. Nobu popatrzył na mnie. Skłoniłam się głęboko i powiedziałam, że z radością go widzę.

– Masz prawdziwy talent, Sayuri. Nie rozdaję podarków bez powodu – oznajmił. Nie bardzo mu wierzyłam. Pewnie dlatego gejsze z Gion wolą omijać mnie z daleka.

– Nobu-san! – zaperzyła się Mameha. – Kto panu nagadał podobnych rzeczy?

– Dobrze wiem, co najlepiej przemawia do kobiet. Dla prezentu potrafią zdzierzyć niemal wszystko.

Podał mi paczuszkę.

– A pan co dzierży dla mnie? – spytałam. Miał to być mały żart, ale trafił w próżnię.

– Mówilem przecież, że nie jestem jak inni mężczyźni – burknął Nobu. – Skąd się w was bierze tyle nieufności? Chcesz to? Lepiej będzie, jak weźmiesz, bo zaraz się rozmyślę.

Z wyrazami podziękowania przyjąłem zawiniątko. Nobu znów huknął pięścią w szybę samochodu. Szofer wyskoczył, żeby otworzyć mu drzwiczki.

Stałyśmy pochylone w niskim ukłonie, dopóki auto nie zniknęło za rogiem ulicy. Potem Mameha zabrała mnie na powrót do ogrodów teatru Kaburenjo. Siadłyśmy na kamiennej ławce nad stawem pełnym karpi i zajrzałyśmy do paczuszki. Zawierała maleńkie puzderko ze złotego papieru, opatrzone nazwiskiem znanego jubilera i przewiązane czerwoną wstążką. Wewnątrz znalazłam pojedynczy klejnot, rubin, wielki jak pestka brzoskwini. W blasku słońca wyglądał niczym połyskliwa, olbrzymia kropla krwi. Obróciłam go w palcach. Smuga światła skakała ze ścianki na ściankę. Każdy jej skok trafiał mnie prosto w serce.

– Widzę twój zachwyty – powiedziała Mameha – i cieszę się razem z tobą. Lecz nie popadaj w nadmierną radość. Dostaniesz jeszcze wiele przeróżnych klejnotów... jestem tego zupełnie pewna. Natomiast taka szansa jak dzisiaj może się więcej nie powtórzyć. Weź rubin do okiwa i oddaj go Mamie.

Spojrzałam na cudowny kamień i na światło, które z niego wypływało, barwiąc mi na różowo rękę. Pomyślałam o Mamie. O jej mięsistych powiekach i chorobliwie żółtych oczach... Taki dar dla niej był niczym jedwab dla borsuka, a jednak musiałam posłuchać Mamehy.

– Bądź słodka i powiedz najlepiej coś w tym stylu: „Mamo, nie gustuję w drogocennych rzeczach i będę zaszczycona, jeżeli to przyjmiesz. Wiem, że przez długie lata sprawiałam ci kłopoty”. I ani słowa więcej, bo skłonna pomyśleć, że się z niej nabijasz.

Jakiś czas później usiadłam w pokoju, żeby skreślić do Nobu kilka słów podziękowania. Byłam w podłym nastroju. Gdyby to Mameha zażądała rubinu, z radością bym go oddała... ale Mamie?! Żał mi też było Nobu, że jego cenny prezent trafi do rąk tak okropnej baby. W głębi serca zdawałam sobie sprawę, że nigdy w życiu

nie rozstałabym się z jakimkolwiek podarkiem od Prezesa. Skończyłam pisać i powoli poszłam do Mamy. Siedziała w półmroku, z psem, i paliła fajkę.

– Czego chcesz? – zapytała. – Akurat miałam posłać po herbatę.

– Wybacz, że ci przeszkadzam, Mamo. Dziś po południu przed teatrem czekał na mnie dyrektor Nobu Toshikazu... – Chciałaś powiedzieć: czekał na Mamehę.

– Nie wiem, Mamo. Wręczył mi prezent. To piękny przedmiot, lecz nie znajduję dlań zastosowania. Zamierzałam dodać, że uczyni mi wielki zaszczyt i tak dalej, zgodnie z tym, co wcześniej słyszałam od Mamehy. Mama jednak mnie nie słuchała. Odłożyła fajkę i zanim zdążyłam coś więcej powiedzieć, odebrała mi z rąk pudełko. Chwyliła rubin spoconymi palcami.

– Co to jest?

– Podarek, jaki dał mi dyrektor Nobu. Nobu Toshikazu z koncernu Iwamura.

– Wiem, kim jest dyrektor Nobu.

Wstała od stołu, podeszła do okna i odsunęła papierową okiennicę. Przez chwilę oglądała klejnot w ostatnich promieniach gasnącego słońca. Zachowywała się tak samo, jak ja w teatralnych ogrodach. Obracała rubin na wszystkie strony i podziwiała grę światła. Wreszcie zasłoniła okno i wróciła na miejsce.

– Coś ci się pomyliło. A nie wspomniał przypadkiem, żebyś zaniósła tę paczkę do Mamehy?

– Mameha-san była wówczas ze mną.

Mama przybrała taki wyraz twarzy, jakby jej umysł stał się skrzyżowaniem w godzinach największego ruchu. Położyła rubin na stole i przez chwilę pykała z fajki. Każdy obłoczek dymu był wyrazem zafrasowanej myśli.

– Wpadłaś mu w oko, co? – odezwała się w końcu.

Zrozumiałam, że mówiła o Nobu.

– Mam ten honor, że od czasu do czasu zaprasza mnie na przyjęcia.

Mama znów odłożyła fajkę, jakby chciała podkreślić, że rozmowa wkracza na poważniejsze tory.

– Nie pilnowałam cię dostatecznie dobrze – mruknęła. – Jeśli masz chłopaka, to najwyższa pora mi o tym powiedzieć.

– Nie miałam dotąd nikogo, Mamo.

Nie wiem, czy mi uwierzyła, gdyż krótkim ruchem ręki kazała mi odejść. Nie zdążyłam jej nawet prosić, by zatrzymała rubin. Nie wiedziałam, jak to powiedzieć. Musnęłam wzrokiem leżące pudełeczko, a Mama uznała chyba, że upomnę się o swoją własność, gdyż klejnot błyskawicznie zniknął w jej dłoni.

Wreszcie po kilku dniach Mameha przysłała do okiya, wywołała mnie do salonu i oznajmiła, że rozpoczął się przetarg o moje mizuage. Już o świcie otrzymała wiadomość od właścicielki Ichiriki.

– Przydarzyło się to w najgorszej chwili – westchnęła. – Dziś wieczorem muszę wyjechać do Tokio. Z drugiej strony, niewiele tu mogę zdziałać. Po przebiegu zdarzeń poznasz, że cena idzie w górę.

– Jakich zdarzeń? – spytałam. – Nic nie rozumiem. – Wszystkich – odpowiedziała i wyszła, nawet nie wypiwszy herbaty.

Nie było jej przez trzy dni. Serce skakało mi do gardła za każdym razem, gdy słyszałam nadchodzącą służącą. Dwa pierwsze dni minęły jednak bez większego echa. Trzeciego ranka Ciocia wezwała mnie do Mamy.

Zaledwie zdążyłam wyjść na korytarz, kiedy trzasnęły drzwi i z góry zbiegła Dynia. Spływała na dół niczym woda chluśnięta z wiadra; prawie nie dotykała schodów. Oczywiście w połowie drogi stłukła palec o poręcz. Musiało ją niezłe boleć, bo krzyknęła i zwolniła na moment.

– Gdzie Hatsumomo? – zapytała głosem pełnym napięcia. – Muszę ją zaraz znaleźć!

– I tak cię boli – zauważyła Ciocia. – Po co szukasz jeszcze gorszych cierpień?

Dynia była naprawdę zgnębiona, nie tylko z powodu palca. Spytałam ją, co zaszło, lecz bez słowa rzuciła się w stronę drzwi i wybiegła.

Mama czekała na mnie w swoim pokoju, przy stole. Na mój widok przerwała nabijanie fajki i zerknęła na piękny europejski zegar, stojący za szkłem na najwyższej półce regału wypełnionego księgami rachunkowymi. Nic nie powiedziała. Minuty wlokły się w nieskończoność, aż wreszcie nie wytrzymałam.

– Wybacz, że ci przeszkadzam, Mamo, lecz podobno chciałaś się ze mną widzieć – szepnęłam.

– Lekarz się spóźnia – odparła. – Trzeba cierpliwie czekać.

Zrozumiałam, że mówi o Doktorze Krabie, który pewnie chciał spytać o moje mizuage. Nie spodziewałam się takiego stanu rzeczy, więc poczułam nagle ukłucie w brzuchu. Mama, spoglądając na zegar, ciągle głaskała Taku, który wyraźnie miał już dość jej pieszczot i odpowiadał głuchymi warknięciami.

Wreszcie przy wejściu rozległ się głos służącej. Mama zeszła na dół i wróciła po kilku minutach. Zamiast Doktora Kraba towarzyszył jej dużo młodszy człowiek o gładko zaczesanych siwych włosach i ze skórzaną torbą w dłoni.

– To ta. – Mama wskazała na mnie.

Skłoniłam się lekarzowi, a on odpowiedział mi podobnym ukłonem.

– Jeśli pani pozwoli... – zwrócił się do Mamy. – Gdzie mógłbym...?

Mama oznajmiła, że możemy pozostać w jej pokoju. Ze sposobu, w jaki zamknęła drzwi, od razu się domyśliłam, że czeka mnie coś niedobrego. Rozwiązała mi obi i starannie ułożyła je na stole. Kimono zawiesiła na wieszaku w rogu. Kiedy zabrała się do szarfy, opasującej moje biodra, miałam ochotę chwycić ją za rękę, tak bardzo w tym momencie przypominała mi Barona. Wreszcie przysła kolej na koshimaki. Znow, ze ściśniętym gardłem, powróciłam myślami do Hakone, lecz Mama – w odróżnieniu od Barona okryła mnie szlafrokiem i kazała położyć się na macie.

Lekarz usiadł tuż obok, przeprosił i podwinął mi szlafrok do bioder. Od Mamehy wiedziałam już trochę o mizuage, teraz miałam otrzymać jeszcze jedną lekcję. Czyżby przetarg się skończył, a Doktor Krab i Nobu zostali przelicytowani przez tego młodego lekarza? Przemknęło mi przez myśl, że Mama chce w perfidny sposób zniweczyć plany Mamehy. Młody lekarz przytrzymał mnie lekko i sięgnął mi między nogi. Dłonie miał równie delikatne i gładkie jak Prezes. Zakryłam twarz ze wstydu i poniżenia. Miałam ochotę mocno ścisnąć kolana, obawiałam się jednak, że każda próba oporu z mojej strony tylko przedłuży badania. Leżałam więc bez ruchu, z zamkniętymi oczami, odruchowo wstrzymując oddech. Czułam się jak Taku, kiedy połknął igłę. Ciocia wówczas przytrzymała go za szeroko otwarty pyszczek, a Mama wetknęła mu dwa palce do gardła i usunęła kłujący przedmiot. W pewnej chwili miałam wrażenie, że mam w sobie obie dłonie lekarza. Wreszcie wyprostował się, a ja mogłam poprawić szlafrok. Gdy otworzyłam oczy, lekarz wycierał rękę.

– Dziewczyna jest nietknięta – stwierdził.

– Dobra wieść! – ucieszyła się Mama. – Będzie mocno krwawić?

- W ogóle nie będzie. Tylko ją obejrzałem.
- Nie teraz, podczas mizuage.
- Trudno powiedzieć. Prawdopodobnie nie bardziej niż inne.

Potem młody siwowłosy lekarz wyszedł. Mama ubrała mnie w kimono i kazała usiąść przy stole. Bez najmniejszego ostrzeżenia chwyciła mnie za ucho tak mocno, że aż wrzasnęłam. Zbliżyła twarz do mojej twarzy i wycedziła groźnym tonem:

– Jesteś niezwykle cenna, moja mała. Nic o tym nie wiedziałam. Dobrze, że na razie do niczego nie doszło, lecz bądź pewna, że w przyszłości lepiej cię przypilnuję. Ten, kto cię zechce, będzie musiał słono zapłacić. Rozumiesz?

– Tak! – zawołałam. Zgodziłabym się na wszystko, byle tylko już puściła mi ucho.

– Jeśli oddasz za darmo to, co możesz sprzedać, oszukasz okiya. Wycisnę z ciebie do ostatka wszystkie twoje długi. I nie mówię wyłącznie o tym...

Potarła palcem o palec, aż zaskrzypiała jej skóra.

– Mężczyźni lubią płacić – dodała. – Nawet za chwilę rozmowy. Gdy zobaczę, że się wymykasz, choćby na krótką pogawędkę...

Mocniej szarpnęła mnie za ucho i wreszcie cofnęła rękę. Chwilę trwało, zanim zdołałam odzyskać oddech.

– Mamo... – wykrztusiłam. – Dlaczego się na mnie złościysz? Przecież w niczym nie zawiniłam!

– Jeszcze nie. Jeśli masz choć trochę oleju w głowie, to tak pozostanie.

Skłoniłam się, żeby odejść, lecz Mama mnie zatrzymała. Stuknęła w popielniczkę pustą fajkę, nabiła ją i zapaliła. – Postanowiłam, że coś z tobą zrobię – powiedziała. Przeraziłam się i już otwierałam usta, gdy Mama uciszyła mnie niecierpliwym ruchem ręki.

– W przyszłym tygodniu dopełnimy wszelkich formalności. Staniesz się moją córką, jakbym cię urodziła. Zdecydowałam, że cię adoptuję. Pewnego dnia okiya przejdzie w twoje ręce.

Zatkało mnie ze zdumienia. Jak przez mgłę pamiętam, co się później działo. Mama mówiła o tym, że jako córka okiya muszę się przeprowadzić do większego pokoju. Hatsumomo i Dynia miały zamieszkać w mniejszym, to znaczy moim. Słuchałam z roztargnieniem, gdyż z wolna dotarło do mnie, że wreszcie będę wolna od

wpływu Hatsumomo. Spełniał się plan Mamehy, chociaż do tej pory nie bardzo weń wierzyłam. Mama wciąż przemawiała, a ja patrzyłam na jej obwisłą wargę i chorobliwie żółte oczy. Była okropna, ale jako matka dawała mi ochronę przed wszelką zawiścią.

W samym środku rozmowy rozległ się stuk drzwi i do pokoju wpadła Hatsumomo.

– Czego chcesz? – przywitała ją Mama. – Jestem zajęta.

– Wynoś się – warknęła gejsza w moją stronę. – Chcę pomówić z Mamą.

– Jeśli masz do mnie sprawę, to poproś Sayuri, aby była tak grzeczna i opuściła pokój – pouczyła ją Mama.

– Bądź tak grzeczna i wyjdź, Sayuri – z przekąsem wyrecytowała Hatsumomo.

Wówczas po raz pierwszy w życiu odezwałam się do niej bez strachu przed natychmiastową karą:

– Wyjdę, jeśli Mama każe.

– Mamo, bądź tak dobra i wyrzuć wreszcie tę głupią dziewczkę! – zawołała Hatsumomo.

– Przestań stroić wariatkę! – zdenerwowała się Mama. – Mów, o co ci chodzi.

Hatsumomo nadąsała się, lecz posłusznie usiadła przy stole. Siedziała między mną i Mamą, tak blisko, że czułam woń jej perfum.

– Przybiegła do mnie Dynia – powiedziała. – Była okropnie nieszczęśliwa. Obiecałam jej, że z tobą porozmawiam. Wygadywała dziwne rzeczy. „Mamie się odwiedziało!”, krzyczała. Zapewniałam ją, że to nieprawda, ale nie chciała mi wierzyć.

– Nic nie rozumiem z twojej paplaniny – mruknęła Mama. – Przecież niczego nie zmieniałam.

– Toteż jej powiedziałam, że nigdy nie cofasz raz danego słowa. Ona jednak woli usłyszeć to wprost od ciebie.

– O czym?

– Że ją adoptujesz.

– A skąd jej to w ogóle przyszło do głowy? Nigdy nie zamierzałam jej adoptować.

Przypomniałam sobie Dynię zbiegającą po schodach i zrobiło mi się okropnie przykro. Nic dziwnego, że była zrozpaczona, skoro spotkał ją taki zawód...

Hatsumomo siedziała z uśmiechem przyklejonym do twarzy, niczym cenna porcelanowa lalka, lecz widziałam, że słowa Mamy dotknęły ją do żywego. Rzuciła mi nienawistne spojrzenie.

– Więc wybór padł na ciebie! – syknęła. – Mamo, nie pamiętasz swoich własnych zapewnień, że weźmiesz za córkę Dynię? Sama kazałaś mi powiedzieć jej o tym!

– O czym z nią rozmawiałaś, to nie moja sprawa. Poza tym obie nie spełniacie moich oczekiwań. Dynia zaczęła dobrze, lecz potem...

– Obiecałaś mi, Mamo – groźnym tonem warknęła Hatsumomo.

– Nie bądź głupia! Dobrze wiesz, że latami myślałam o Sayuri. Dlaczego teraz miałabym wymienić ją na Dynię? To było oczywiście kłamstwo, lecz Marna nie poprzestała na tym i posunęła się jeszcze dalej.

– Sayuri-san, kiedy pierwszy raz rozmawiałam z tobą o planach adopcji? Rok temu?

Widziałeś kiedyś kotkę, jak uczy polować kocięta? Jak trzyma bezbronną mysz i jak ją potem rozrywa na strzępy? Tak właśnie Mama zapraszała mnie, abym poszła w jej ślady. Wystarczyło przecież, bym kłamstwem poparła jej kłamstwo: „Och, Mamo, przecież rozmawialiśmy o tym dziesiątki razy!”. Zobaczyłam siebie... starą, o pozółkłych oczach, zamkniętą w izbie pełnej ksiąg rachunkowych. Nie chciałam stawać po niczyjej stronie. Wbiłam wzrok w ziemię i powiedziałam, że nie pamiętam.

Hatsumomo była aż sina z wściekłości. Zerwała się z miejsca i podeszła do drzwi.

– Za tydzień Sayuri będzie moją córką! – krzyknęła za nią Mama. – Od dziś musisz się nauczyć traktować ją z szacunkiem. Gdy zejdziesz na dół, każ służącej, by podała herbatę. Dwie. Dla Sayuri i dla mnie.

Hatsumomo skłoniła się lekko i wyszła.

– Mamo... – powiedziałam. – Żal mi, że przeze mnie masz tyle kłopotów. Dynia na pewno źle zrozumiała twoje poprzednie słowa, ale... czy naprawdę nie możesz adoptować nas obu?

– Proszę, proszę... więc znasz się także na interesach? – spytała. – Będiesz mi może radzić, jak prowadzić okiya?

Kilka minut później weszła służąca z herbatą. Przyniosła tylko jedną czarę. Mama nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Piła, spoglądając na mnie czerwono podkrążonymi oczami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Następnego dnia wróciła Mameha. Powiedziałam jej o decyzji Mamy, lecz przyjęła to dużo chłodniej, niż oczekiwałam. Z zadowoleniem, ale bez uśmiechu pokiwała głową. Spytałam, czy coś się stało.

— Nie, Doktor Krab i Nobu zachowali się jak należy — odpowiedziała. — Każdy z nich zaproponował niemałą sumę. Wiedziałam, że jak tylko to wyjdzie na jaw, pani Nitta uczyni cię swoją córką. Bardzo się cieszę!

I na tym koniec. W późniejszych latach zdołałam jednak stopniowo ustalić, że prawda wyglądała cokolwiek inaczej. Po pierwsze, Nobu dosyć prędko odpadł z licytacji. Zasadnicza część walki przebiegała między Doktorem i Baronem. To chyba wystarczająco dobrze tłumaczy powściągliwość Mamehy i jej chęć, by szczegóły zostały tajemnicą.

Nie twierdzę wcale, że Nobu nie podjął wyzwania. Walczył jak lew, ale tylko przez kilka dni, póki kwota nie przekroczyła ośmiu tysięcy jenów. W jego wypadku nie chodziło wyłącznie o pieniądze. Mameha od początku wiedziała, że gdyby zechciał, bez trudu pokonałby przeciwników. Nie przypuszczała za to, że w gruncie rzeczy nie przepadał za mizuage. Nie należał do ludzi trwoniących czas i pieniądze w poszukiwaniu takich przeżyć. Przypominasz sobie, jak parę miesięcy wcześniej Mameha powiedziała, że żaden dorosły człowiek nie pogoni za piętnastoletnią gejszą, jeśli mu nie w głowie jej mizuage? Dodała nawet: „Nie sądzisz chyba, że go ujęłaś swoją elokwencją”. Może i miała rację w kwestii mojej elokwencji, ale pomyliła się co do Nobu.

Doktor Krab pewnie prędzej popełniłby samobójstwo w tradycyjnym stylu, niż pozwolił, by ktoś pokroju Nobu odebrał mu „zaszczyt” uczestnictwa w mizuage. Na szczęście nie wiedział, z kim tak naprawdę ma do czynienia. Właścicielka Ichiriki utrzymywała to w tajemnicy i najzwyczajniej w świecie windowała cenę. Telefonowała do Doktora ze słowami: „Och, Doktorze, właśnie rozmawiałam z Osaką. Oferta brzmi: pięć tysięcy jenów”. Równie dobrze z Osaki mogła dzwonić jej siostra – ot, tak sobie, aby uwierzytelnić kłamstwo. Doktor, słysząc w jednym zdaniu „Osaka” i „oferta”, naturalnie pomyślał, że chodzi o Nobu. W rzeczywistości prowadził walkę z Baronem.

Baron znalazł przeciwnika, lecz się tym nie przejmował. Zachowywał się niczym mały chłopiec, któremu chcą odebrać ulubioną zabawkę. Jakiś czas później pewna gejsza powtórzyła mi jego wywody.

„No popatrz, co za ludzie! – żołądkował się Baron. Mam ochotę na mizuage, a tu jakiś konował wchodzi mi prosto w drogę. Niezbadane tereny są tylko dla jednego! To znaczy dla mnie. Jak jednakże mam wygrać, skoro tamten obwieś nie szanuje mamony!”.

Cena rosła i rosła, a licytacja wciąż trwała. Baron coś przebąkiwał, że czas się wycofać. Wkrótce jednak padł nowy rekord, gdyż właścicielka Ichiriki użyła sprytnego chwytu i oszukała Barona w ten sam sposób, jak przedtem Doktora Kraba. Oświadczyła mu przez telefon, że do przetargu przystąpił „ktoś trzeci”, i to z niemałą sumą. Potem dodała: „Myślę, że jednak nie stać go na więcej”. Wiele osób to samo sądziło o Doktorze, ale on postanowił przebić każdą ofertę.

Na koniec zgodził się wyłożyć jedenaście tysięcy pięćset jenów za przywilej mojego mizuage. Była to najwyższa kwota, jaką kiedykolwiek zapłacono w Gion, a może i w całej Japonii. Pamiętaj, że w tamtych czasach godzina z gejszą kosztowała około czterech jenów, a za piętnaście tysięcy można było kupić najprzedniejsze kimono. Robotnik nawet przez rok nie zarobił tak ogromnej sumy.

Muszę wyznać, że niewiele wiem o pieniądzach. Duma nie pozwala gejszom korzystać z gotówki, kupują więc na kredyt. Nawet tu, w Nowym Jorku, żyję w ten sam sposób. Kupuję w znajomych sklepach, a sprzedawcy są tak mili, że zapisują każde zamówienie. Pod koniec miesiąca moja asystentka reguluje rachunki. Nie wiem, ile wydaję i o ile droższy jest flakonik perfum od zwykłej gazety. Nie potrafię wyjaśnić wszystkich spraw finansowych, powtórzę więc tylko to, co kiedyś usłyszałam od dobrego przyjaciela. Chyba znał się na rzeczy, bo w latach sześćdziesiątych pełnił funkcję zastępcy ministra skarbu. Według jego wyjaśnień, wartość pieniądza rokrocznie spada, zatem mizuage Mamehy, które w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku kosztowało siedem albo osiem tysięcy jenów, było w istocie droższe niż moje, z trzydziestego piątego, za które zapłacono wspomniane jedenaście i pół tysiąca.

Oczywiście wówczas w ogóle o tym nie myślałam. Dla wszystkich był to nowy rekord – i pozostał takim aż do pięćdziesiątego pierwszego roku, kiedy pojawiła się jedna z najwspanialszych gejsz naszego wieku, Katsumiyo. Mimo to mój przyjaciel z

Ministerstwa Skarbu w dalszym ciągu jest przekonany, że właściwy rekord należał do Mamehy. Z drugiej strony, to przecież zupełnie obojętne. Na dobrą sprawę nie chodziło o mnie ani o Mamehę, ani o Katsumiyo – ani o Mamemitsu z końca dziewiętnastego stulecia – lecz o Mamę. Wyobraź sobie, jak zacierała pulchne rączki, gdy usłyszała wynik licytacji.

Właśnie dlatego mnie adoptowała. Opłata za mizuage wyniosła dużo więcej niż wszystkie moje zobowiązania wobec okiia. Gdybym została „na wolności”, część tej sumy wpadłaby prosto w moje ręce. A na to Mama nie mogła pozwolić. Córka okiia wprawdzie nie miała żadnych długów, lecz już zawsze musiała oddawać zarobki.

Po tygodniu odbyła się uroczystość adopcji. Imię miałam już inne: Sayuri. Teraz dodatkowo zmieniłam nazwisko. W trzęsichatce na nadmorskim wzgórzu żyłam jako Sakamoto Chiyo. Teraz nazywałam się Nitta Sayuri.

Ze wszystkich ważnych chwil w życiu gejszy mizuage należy do najważniejszych. Moje wypadło na początku lipca trzydziestego piątego roku. Miałam piętnaście lat. Zaczęło się od wspólnej czarki sake, jaką wypiliśmy z Doktorem Krabem. Był to element ceremonii, która nas miała złączyć pewnym szczególnym węzłem, gdyż bez względu na czas mizuage Doktor do końca życia stawał się moim opiekunem – choć nie towarzyszyły temu żadne przywileje. Uroczystość odbyła się w herbaciarni Ichiriki, w obecności Cioci, Mamy i Mamehy. Pojawiła się także szefowa Ichiriki i mój garderobiany, pan Bekku. Garderobiany zawsze bierze udział w podobnych wydarzeniach, jako przedstawiciel interesów gejszy. Ubrana byłam oficjalnie, w czarne kimono z pięcioma herbami. Spodnią szatę miałam koloru czerwonego, na znak nowego etapu życia. Mameha nakazała mi pełną powagę. Tak się denerwowałam, że nie miałam z tym najmniejszego kłopotu. W zupełnej ciszy przemknęłam korytarzem Ichiriki, furkocząc kimonem.

Po uroczystości przeszliśmy na kolację do restauracji Kitcho. Tutaj także panował smętny nastrój. Mówiłam niewiele, jadłam jeszcze mniej. Doktor Krab już wybiegał myślami naprzód i wyglądał na znudzonego. Siedziałam ze spuszczoneym wzrokiem, jak symbol niewinności, z rzadka tylko spod oka zerkając na Kraba. Wpatrywał się prosto w stół, niczym na zebraniu.

Po kolacji pan Bekku odwiózł mnie rikszą do pięknej gospody na terenach świątyni Nanzenji. Był tam zresztą dzień wcześniej, aby przygotować resztę

potrzebnych mi ubrań. Pomógł mi się przebrać w weselsze kimono i tak zawiązał obi, żeby nie wymagało „watowania”. Podkładki mogłyby sprawić kłopot Doktorowi; luźny węzeł dawał się rozsypać bez trudu. Po tym wszystkim opanowało mnie takie przerażenie, że dopiero wsparta na ramieniu pana Bekku zdołałam wrócić do pokoju, by tam zasiąść pod drzwiami w oczekiwaniu na Doktora. Czułam się tak, jakbym szła na operację nerek lub wątroby. Istna zgroza.

Wkrótce zjawił się Doktor Krab. Zamówiłam dla niego sake, a on poszedł do łazienki wziąć kąpiel. Kiedy na mnie popatrzył, wydawało mi się, że oczekiwał, iż go rozbiore, ja miałam jednak zupełnie zdrętwiałe dłonie. Po kilku minutach wrócił, przebrany w szlafrok. Otworzył drzwi do ogrodu i zasiedliśmy na małej werandzie. Popijaliśmy sake, wsłuchani w śpiew cykad i szmer strumienia. Rozlałam sake na kimono, lecz Doktor nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Prawdę mówiąc, na nic nie zwracał uwagi, raz tylko wskazał mi pobliski staw, w którym rzuciła się jakaś ryba. Ktoś patrzący z boku mógłby sobie pomyśleć, że pierwszy raz oglądam takie dziwo. Gdy tak spędzaliśmy czas, pokojówka rozłożyła futony.

Wreszcie Doktor zostawił mnie na werandzie i wszedł do pokoju. Usadoviłam się nieco bokiem, by móc go obserwować. Wyjął z torby dwa białe ręczniki i ułożył je na stole. Poprawiał je i przesuwiał, aż uznał, że wyglądają najbardziej naturalnie. To samo zrobił z poduszką, a potem stanął w drzwiach wiodących na werandę. Czekał na mnie, więc podniosłam się z klęczek i podeszłam do niego.

Zdjął mi obi i kazał wygodnie ułożyć się na pościeli. Byłam tak wystraszona, że nie marzyłam o wygodach. Ległam na plecach, wsuwając pod kark poduszkę wypełnioną fasolą. Doktor rozchylił mi kimono. Działał powoli, w przerwach między każdym ruchem delikatnie masując mi nogi. Chyba chciał w ten sposób nieco mnie rozluźnić. Trwało to dosyć długo, aż w końcu zabrał ręczniki ze stołu i polecił mi unieść biodra. Rozłożył ręczniki pode mną, na materacu.

— Krew w nie wsiąknie — wyjaśnił.

W trakcie mizuage zawsze następuje krwawienie, nikt tylko mi nie wyjawiał dlaczego. Zamiast więc siedzieć cicho lub co najwyżej podziękować za troskę, spytałam: „Jaka krew?”, na dodatek skrzekliwym głosem, gdyż gardło miałam ściśnięte ze strachu. Doktor Krab wdał się w zawile wyjaśnienia, że „dziewicza błona” — nie wiedziałam nawet, co to takiego — krwawi po rozdarciu... i tak dalej... i jeszcze... Słuchałam z ogromnym przejęciem, aż w pewnej chwili uniosłam się na

łokciach, więc Doktor położył mi dłoń na ramieniu i delikatnie pchnął z powrotem na materac.

Nie wątpię, że niejednemu podobna opowieść aż nadto wystarczyłaby do pobudzenia apetytu. Doktor jednak był ulepiony z nieco innej gliny. Gdy skończył wykład, dodał:

– To już po raz drugi będę miał okazję zdobyć próbkę twojej krwi. Chcesz coś zobaczyć?

Na spotkanie przybył nie tylko ze skórzaną torbą, ale i z drewnianą skrzynką. Z kieszeni spodni wyjął mały klucz. Otworzył skrzynkę kilkoma ruchami zmienił jej wnętrze w niewielką wystawę. Zobaczyłam rzędy starannie zakorkowanych fiolek, przypiętych paskami do ścianek. Było ich całe mnóstwo: czterdzieści lub pięćdziesiąt. Na dnie pudła dostrzegłam szczypcę i nożyczki. Puste polki widziałam tylko w najwyższym rzędzie, reszta zawierała coś nieokreślonego. Doktor przyniósł lampę ze stołu i w jej świetle ujrzałam, że prawie każda fiołka ma naklejoną białą karteczkę z imieniem jakiejś gejszy. Była tam i Mameha, i wielka Mamekichi, i wiele innych, znanych mi i mniej znanych, nie wyłączając Korin.

– To należy do ciebie – oznajmił Doktor i wyjął jedną fiołkę.

Źle napisał moje imię, z niewłaściwym znakiem na „ri”. W środku tkwiło coś, co wyglądało jak marynowana śliwka, chociaż było bardziej brązowe niż czerwone. Doktor otworzył fiołkę i za pomocą szczypiec wyjął to coś na zewnątrz.

– Kawalek waty z twoją krwią – wyjaśnił. – Z ranki na rozciętej nodze. Zwykle nie przechowuję krwi pacjentów, ale ty... wywarłaś na mnie odmienne wrażenie. Po zdobyciu tego eksponatu nabrałem przekonania, że powinienem uczestniczyć w twoim mizuage. Zgodzisz się chyba, że to wielka rzadkość mieć dwie próbki krwi, z dwóch różnych okazji.

Z trudem skrywałam obrzydzenie, gdy przeszedł do prezentacji innych „eksponatów”, nie pominąwszy fiołki z imieniem Mamehy. Zamiast kawałka waty wyjął z niej sztywny i poczerniały strzępek białego materiału. Pęczniał z dumy... a ja, owszem, twarz ciągle miałam zwróconą w stronę skrzynki, lecz gdy tylko mogłam, zerkałam na boki.

Wreszcie prezentacja dobiegła końca. Doktor zamknął skrzynkę, zdjął okulary, złożył je i pieczołowicie umieścił na stole. Bałam się, że nadszedł najgorszy moment. I rzeczywiście, Doktor Krab szeroko rozłożył mi nogi i klęknął między nimi. Serce

waliło mi jak u przerażonej myszy. Kiedy Doktor zdjął szlafrok, zamknęłam oczy i uniosłam rękę, aby zakryć usta. W ostatniej chwili pomyślałam jednak, że takie zachowanie byłoby niegrzeczne, więc wsparłam dłoń po prostu na poduszce, tuż obok głowy.

Doktor przez chwilę zachowywał się niemal tak samo jak młody siwowłosy lekarz parę tygodni wcześniej. Potem pochylił się, aż jego ciało zawisło tuż nad moim. Całą siłą woli próbowałam uciec choć w myślach jak najdalej, lecz to nie wystarczyło. Chwilę później poczułam w sobie „węgorza”, jak powiedziałyby Mameha. W przyćmionym świetle lampy przeszukiwałam wzrokiem cienie na suficie, w nadziei, że znajdę coś, na czym mogłabym skupić uwagę. Nic nie znalazłam, a Doktor pchał tak mocno, że głowa kołysała mi się na poduszce. Nie wiedziałam, co zrobić z rękami, więc zacisnęłam i pięści, i oczy. Wyczuwałam wzmożony ruch nad sobą i wewnątrz siebie. Krew musiała spływać obficie, gdyż powietrze przesyciła nieprzyjemna, metaliczna woń. Wciąż powtarzałam w myślach, że Doktor słono zapłacił za ten przywilej, więc należy mu się choć trochę przyjemności. Sama czułam się tak, jakby ktoś mnie drapał pumeksem po udach.

Wreszcie bezdomny węgorz zaznaczył terytorium i Doktor spoczął na mnie, wilgotny od potu. Wcale mi się nie podobało, że jest aż tak blisko, i zaczęłam udawać, że mam kłopoty z oddychaniem. Chciałam, żeby po prostu zszedł ze mnie. Przez dłuższą chwilę wcale się nie poruszał, potem zdecydowanym ruchem dźwignął się na kolana i od razu przystąpił do kolejnych działań. Obserwowałam go spod przymkniętych powiek. Najpierw się wytarł wyciągniętym spode mnie ręcznikiem, potem włożył i zawiązał szlafrok, wreszcie nałożył okulary. Nie zauważył odrobiny krwi rozmazanej na jednym szkiełku. Drugim ręcznikiem i watą starannie wytarł mi krocze. Zachowywał się w taki sposób, że można by przypuszczać, iż jakimś dziwnym trafem przebywamy w szpitalu. Najgorsze miałam już za sobą, więc przyznaję, że z rosnącą fascynacją patrzyłam, jak krzątał się między moimi nogami. Wyjął nożyczki ze skrzynki, odciął kawałek zakrwawionego ręcznika, wsunął go do fiolki z moim błędnie zapisanym imieniem i zatkał tamponem z waty. Potem złożył formalny ukłon i powiedział:

– Dziękuję bardzo.

Na leżąco nie mogłam mu się odklonić. Nie dbał o to, gdyż zaraz wstał i wyszedł do łazienki.

Dopiero wtedy zauważyłam, że dyszę ze zdenerwowania. Gdy opadły ze mnie emocje i odzyskałam oddech, stwierdziłam, że wyglądam jak podczas operacji. Uśmiechnęłam się z ulgą. Moje doświadczenie wydało mi się nagle całkiem śmieszne. Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej mnie bawiło. Po chwili chichotałam w poduszkę. Musiałam robić to bardzo cicho, by nie wzbudzić podejrzeń Doktora. I pomyśleć tylko, że taki drobiazg zdecydował o mojej przyszłości! Przypomniałam sobie szefową Ichiriki, dzwoniącą ciągle do Nobu i Barona, licytację, niebotyczne kwoty i tak dalej... Czułabym się co najmniej dziwnie, gdyby wygrał Nobu. Po trochu uważałam go za przyjaciela. O Baronie wolałam w ogóle nie wspominać.

Korzystając z tego, że Doktor był ciągle w łazience, zapukałam do drzwi pokoju pana Bekku. Pokojówka pośpiesznie zmieniła pościel, a pan Bekku pomógł mi się przebrać na noc. Później, gdy Doktor zasnął, po cichu się wykapałam. Mameha kazała mi czuwać do rana i być gotową do każdej następnej próby. Usiłowałam nie spać, ale i tak drzemałam. Na szczęście zdążyłam wstać przed Doktorem i zadbać o swój wygląd.

Po śniadaniu odprowadziłam go do drzwi gospody i pomogłam włożyć buty. Przed odejściem znowu mi podziękował i wręczył małą paczuszkę. Nie wiedziałam, czy to może rubin, czy kilka zakrwawionych strzępków ręcznika? Kiedy wróciłam do pokoju, zebrałam się na odwagę i rozpakowałam zawiniątko. Wewnątrz znalazłam chińskie zioła. Nie wiedziałam, co z nimi zrobić, więc zapytałam pana Bekku. Powiedział, że mam pić z nich wywar, przynajmniej raz dziennie. Podobno zapobiegały ciąży.

– Uważaj, bo są bardzo cenne – zaznaczył. – Chociaż nie przesadzaj. I tak nie kosztują tyle, co aborcja.

Trudno to wytłumaczyć, ale po mizuage świat nabrał dla mnie innego wyglądu. Dynia – starsza ode mnie, lecz wciąż wolna od takich doświadczeń – wydawała mi się niezmiernie dziecinna. Dołączyłam do Mamy, Cioci, Mamehy, a nawet Hatsumomo, chociaż one tę więź odczuwały na pewno w mniejszym stopniu. Młoda gejsza po mizuage nosi włosy czesane w nieco odmienny sposób, z czerwoną jedwabną wstążką zawiązaną pod kokiem. Przez pewien czas po prostu nie mogłam się powstrzymać, żeby nie obserwować dziewcząt na ulicy albo na korytarzach maleńkiej szkoły. Z szacunkiem spoglądałam na te po mizuage i rosłam w dumę w towarzystwie wszystkich pozostałych.

Podajrzewam, że każda z nas dostąpiła podobnej przemiany. Dla mnie to było coś większego niż inny sposób postrzegania świata. Wkroczyłam w nowe życie, głównie za sprawą Mamy. Zdążyłeś już chyba się zorientować, że należała do ludzi, którzy potrafią myśleć wyłącznie o cenach. Gdy szła po mieście, jej umysł pracował jak liczydło: „O, tam jest mała Yukiyo, która przez swoją głupotę w zeszłym roku przyniosła starszej siostrze straty w wysokości stu jenów! A tu Ichimitsu, na pewno zachwycona rachunkiem, jaki nie tak dawno zapłacił jej danna!”. Pozostawiona sama sobie w piękny wiosenny dzień nad potokiem Shirakawa nie podziwiała urody drzew ani gracji spadających płatków... chyba że... no, nie wiem... chyba że znalazłaby jakiś sposób, jak zarobić na handlu wiśniami.

Przed moim mizuage nie zwracała najmniejszej uwagi na pomówienia i intrygi snute przez Hatsumomo. Teraz, gdy zostałam wyraźnie naznaczona ceną, nie czekając na moją prośbę, ucięła wszystkie swary. Prawdopodobnie powiedziała: „Hatsumomo, jeśli za twoją sprawą Sayuri wpadnie w kłopoty i okiya poniesie straty, sama zapłacisz”.

Od początku choroby matki moje. życie przypominało pasmo nieszczęść. Nagle, po raz pierwszy, pozbyłam się problemów. Nie twierdę, że stąpałam po różach – przeciwnie, przez większość czasu padałam ze zmęczenia. Gion nie faworyzuje kobiet. Mnie w tamtych czasach wystarczała świadomość, że pozbyłam się groźby ze strony Hatsumomo. Pobyt w okiya prawie przypominał sielankę. Jako córka Mamy mogłam jeść o dowolnej porze i pierwsza wybierać kimona. Do tej pory zazwyczaj robiłam to po Dyni. Wskazany przeze mnie ubiór Ciocia natychmiast pruća i na zszywała, stosownie do moich wymiarów. Byłam pic w kolejce, nawet przed Hatsumomo. Niewiele sobie rę z jej zagniewanych spojrzeń i dąsów. Cierpiałam gdy Dynia na mój widok z przestachem odwracała Bieg wypadków zniszczył naszą przyjaźń. Pozostało u pustki.

Po mizuage Doktor Krab prawie na dobre zniknął z mego życia. Mówię „prawie”, bo chociaż już nie chodziłam do herbaciarni Shirae, wpadaliśmy na siebie czasem na innych przyjęciach w Gion. Barona nie zobaczyłam nigdy więcej. Nie wiedziałam wówczas, że brał udział w licytacji. Patrząc na to z dzisiejszej perspektywy, domyślam się, że Mameha woląa go trzymać jak najdalej ode mnie. W razie

wspólnego spotkania każda z nas byłaby mocno skrępowana. Ze swej strony nie tęskniłam za żadnym z tych panów.

Był jednak ktoś, kogo bardzo chciałam ponownie spotkać. Nie muszę ci wyjaśniać, że chodzi o Prezesa. Nie odgrywał znaczącej roli w planach Mamehy, więc myślałam, że po mizuage nasze dalsze kontakty ulegną rozluźnieniu. Po kilku tygodniach z niekłamaną ulgą odebrałam wiadomość, że telefonowano z koncernu Iwamura. Oczywiście chodziło o przyjęcie. Uczestniczyli w nim obydwaj — Prezes i Nobu. Poprzednio zawsze siadałam obok Nobu, teraz jednak, gdy byłam córką okiia, nie musiałam już traktować go jak zbawcę. Z niemałym podnieceniem zajęłam wolne miejsce koło Prezesa. Szarmancko podziękował, gdy mu nalewałam sake i uniósł czarkę w geście toastu. Przez resztę wieczoru nawet na mnie nie spojrzął. Nobu wprost przeciwnie, pożerał mnie wzrokiem, jakby poza nami nikogo nie było w pokoju. Znałam ból tęsknoty, więc przed końcem przyjęcia spędziłam z nim nieco czasu. Od tamtej pory bardzo pilnowałam, by nigdy więcej nie poczuł się samotny.

Mniej więcej po miesiącu, na jakimś kolejnym bankiecie, wspomniałam mimochodem, że za sprawą Mamehy wystąpię na festynie w Hiroszimie. Nobu udawał, że nie słucha, lecz następnego dnia, gdy wróciłam ze szkoły do okiia, w swoim pokoju znalazłam nowy, drewniany kufer. Był to prezent od Nobu z okazji wyjazdu — piękniejszy niżli ten pożyczony od Cioci na podróż do Hakone. Zawstydziałam się własnych myśli. Chciałam przecież odepchnąć człowieka tylko dlatego, że już nie pasował do misternie utkanej intrygi. Napisałam do niego list z podziękowaniem i zapewniłam, że na pewno będę na wielkim balu od dawna planowanym przez władze koncernu. Bal miał się odbyć za niecały tydzień.

A potem zaszło coś dziwnego. Tuż przed terminem powiadomiono mnie, że przyjęcie raczej nie dojdzie do skutku. Tak przynajmniej zrozumiała to nasza telefonistka Yoko. Miałam co robić, gdyż na ten wieczór i tak byłam zaproszona do Ichiriki. Gdy tam dotarłam i na chwilę przysiadłam w korytarzu, z największej sali bankietowej wybiegła młoda gejsza Katsue. Wydawało mi się, że zza uchylonych drzwi słyszę dobrze mi znany śmiech Prezesa. Zaskoczona, pośpiesznie podniosłam się z miejsca i dogoniłam umykającą Katsue.

— Wybacz, że cię zatrzymuję — powiedziałam. — Byłaś przed chwilą na przyjęciu urządzanym przez koncern Iwamura?

— Owszem. Przepyszna zabawa. Jest tam dwadzieścia pięć gejsz i prawie pięćdziesięciu mężczyzn...

— A... Prezes Iwamura i Nobu-san? — pytałam dalej.

— Nobu nie ma. Dziś rano chory powrócił do domu. Szkoda. Prezes, rzecz jasna, przyszedł. Dlaczego pytasz?

Mruknęłam coś pod nosem — nie bardzo wiem, co to było. Katsue odeszła.

Do tej pory święcie wierzyłam, że Prezes mnie lubi. Teraz zaczęłam podejrzewać, że uległam złudzeniom i że tylko Nobu pozostał mi na świecie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Mameha wprawdzie wygrała zakład z Mamą, ale wciąż musiała się troszczyć o przyszłość. Przez wiele lat pracowała na moją popularność. Przedstawiała mnie licznym gejszom i swoim najlepszym klientom. Kraj ledwie się zaczął dźwigać z Kryzysu; oficjalne przyjęcia wciąż były nie tak liczne jak kiedyś. Chodziłyśmy więc, gdzie się dało: na pikniki, na łódki i na spotkania z turystami. Do teatru kabuki i na zawody sportowe. W upalne dni lata wszyscy się świetnie bawili — nawet te z nas, które niejako „zawodowo” parały się rozrywką. Raz kilkoro młodzieńców wybrało się z nami na zakrapiany sake spływ rzeką Karno. Wszyscy dokazywali i moczyli nogi, a mnie — jako najmłodszej z towarzystwa — kazano obsługiwać maszynkę do lodów. Podobała mi się jednak taka zmiana.

Nocami arystokraci oraz zamożni biznesmeni zapraszali gejsze na prywatne rauty. Tańczyli, pili i śpiewali nieraz aż grubo po północy. Pamiętam, jak pewnego razu przy pożegnaniu żona gospodarza wręczyła nam koperty z sutym napiwkami. Mameha dostała dwie, z prośbą, żeby drugą przekazała gejszy imieniem Tomizuru, która wyszła wcześniej „ze względu na ból głowy”. Wszyscy — nie wyłączając żony — wiedzieli doskonale, że pan domu i Tomizuru byli kochankami i że we dwójkę zniknęli na noc w innej części domu.

Oczywiście wspaniałe przyjęcia w Gion nie obchodziły się bez udziału znanych artystów, pisarzy i aktorów teatru kabuki. Czasem było to naprawdę ekscytujące wydarzenie. Niestety większość imprez przebiegała w ten sam nudny sposób. Rolę gospodarza pełnił szef jakiegoś małego przedsiębiorstwa, a główny gość wywodził się z kręgu jego najbliższych sojuszników. Z rzadka był to pracownik, który właśnie dostał awans, albo ktoś w tym rodzaju. Każda gejsza w odruchu dobrego serca radziła mi, bym siedziała cicho — jako niema ozdoba wieczoru — i słuchała rozmowy starszych. Miało mnie to nauczyć sztuki konwersacji. Kłopot w tym, że pogawędki najczęściej bywały głupie.

— Znacznie się ociepliło, prawda? — mówił gość do siedzącej obok niego gejszy.

— Ależ owszem, ciepło jak nigdy dotąd — szczebiotała w odpowiedzi.

Potem częstowała go sake i wspólnie próbowali nakłonić innych do śpiewania. Na koniec wszyscy byli tak pijani, że podobała im się każda zabawa. Ze swej strony uważałam to za potworną stratę czasu. Jak ktoś, kto twierdził, że przybył do Gion w

poszukiwaniu godziwej rozrywki, mógł godzinami grać w — dajmy na to — „papier, nożyce, kamień”? Lepiej zostałby w domu bawić dzieci lub wnuki. Na pewno były mądrzejsze od niejednej wymęczonej gejszy.

Czasem jednak zdarzało się, że słyszałam prawdziwą konwersację. Zwykle uczestniczyła w niej Mameha. Lubiałam jej się przysłuchiwać.

— Znacznie się ociepliło, prawda? — mówił jeden z gości. Miała na to gotowy tuzin odpowiedzi. Do wszetecznych starców:

— Ociepliło? To tylko dowód, że otacza pana tłum pięknych kobiet.

Do aroganckich młodych biznesmenów, nie znających własnego miejsca w życiu:

— Siedzi pan w towarzystwie najlepszych gejsz w Gion, a potrafi pan mówić tylko o pogodzie?

Raz widziałam, jak przyklęknęła przy bardzo młodym człowieku. Miał może z dziewiętnaście albo dwadzieścia lat i brał udział w przyjęciu wyłącznie dlatego, że był jedynym synem gospodarza. Nie wiedział, co powiedzieć ani jak postępować z gejszą. Bardzo się denerwował, lecz dzielnie popatrzył na Mamehę i spytał:

— Ciepło, prawda?

— Prawda — odpowiedziała półgłosem. — Szkoda, że mnie pan nie widział dziś rano, zaraz po wyjściu z łaźni! Zwykle, gdy jestem naga, czuję się odprężona, a dzisiaj krople potu spływały mi po skórze. Na brzuchu i na nogach... we wszystkich innych miejscach...

Biedny młodzieniec! Drżącą ręką odstawił na stół czarkę sake. Pewnie do końca życia nie zapomniał przyjęcia z gejszami.

Jeśli chcesz spytać, dlaczego na ogół bywało głupio, to myślę, że działo się tak z dwóch powodów. Po pierwsze: dziecko sprzedane przez rodzinę i od najmłodszych lat kształcone na gejszę wcale nie musi nabrać odpowiedniej ogłady. Powód drugi: to samo dotyczy mężczyzn. To, że kogoś stać na wizyty w Gion, nie czyni z niego dobrego kompana. Większość gości wymaga dla siebie szacunku. Siedzą więc nadąsani, z dłońmi na kolanach, a ty się musisz martwić, jak tu ich rozbawić. Sama raz widziałam pewnego człowieka, który przez równą godzinę nie spojrzął na mówiącą do niego Mamehę. Rozglądał się po pokoju, po twarzach innych gości. I było mu z tym dobrze! Od tamtej pory stale domagał się na przyjęciach obecności Mamehy.

Po dwóch latach przyjęć i rozmaitych wypraw — przedzielanych nauką i pokazami tańca — skończyłam żywot praktykantki i stałam się pełnoprawną gejszą. Było to latem tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku. W roku moich osiemnastych urodzin. Uroczystość ma popularną nazwę „wywinięcia kołnierza”, gdyż gejsza-praktykantka nosi czerwony kołnierz, „dorosła” zaś biały. Szczerze mówiąc, różnic jest dużo więcej. Praktykantka chodzi w strojnym kimonie z długimi rękawami, przepasana zwisającym obi. Przypomina tradycyjną lalkę. Gejszą ubiera się skromniej, choć nie można jej odmówić dużej dozy kobiecości.

Dzień, w którym „wywinięłam kołnierz”, był zarazem najszczęśliwszym dniem Mamy. Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak radosnej. Nie w pełni to rozumiałam, chociaż dzisiaj wydaje mi się, że lepiej umiem pojąć jej tok myślenia. Rola gejszy nie ogranicza się wyłącznie do rozmów i podawania herbaty. Stałe kontakty z Mamehą i popularność, jaką zyskałam w Gion, dawały Mamie powód do ekscytacji. A jeśli o nią chodzi, słowo „ekscytacja” oznaczało szybką możliwość zarobku.

Po przeprowadzce do Nowego Jorku dowiedziałam się, z czym „gejszą” kojarzona jest przez przeciętnych mieszkańców Zachodu. Zdarzało się na przyjęciach, że przedstawiano mnie jakiejś młodej damie w biżuterii i eleganckiej sukni. Gdy wychodziło na jaw, że byłam gejszą w Kioto, usta rozmówczyni wykrzywił dziwny uśmiech i zapadała chwila ciszy. Potem moi znajomi przejmowali ciężar rozmowy, gdyż ja przez te wszystkie lata nie nabrałam dostatecznej wprawy w posługiwaniu się angielszczyzną. Zresztą nie musiałam się nawet wysilać, gdyż w oczach poznanej przed chwilą kobiety widziałam wyraźne odbicie jej myśli: „Boże! Rozmawiam z prostytutką...”. Później przybywała odsiecz w postaci bogatego pana, trzydzieści lub czterdzieści lat starszego od swej towarzyszki. Zawsze mnie dziwiło, że żadna z nich nie rozumiała, jak wiele mamy wspólnego. Ona była utrzymanką, ja — w swoim czasie — również.

Na pewno mało wiem o pięknych młodych dziewczętach w eleganckich sukniach, ale zdaje mi się, że bez pomocy zamożnych przyjaciół lub mężów wiele z nich mocno odczuwałoby przeciwności losu. Byłyby może mniej dumne i zapatrzone w siebie. To samo można powiedzieć o znanych gejszach. Każda z nich ma możliwość spotkania wielu mężczyzn. Prawdziwa gwiazda jest zupełnie zależna od danna. Nawet

Mameha — choć zyskała niepoślednią sławę podczas kampanii reklamowej — nie zdołałaby się utrzymać zbyt długo na fali, gdyby Baron nie płacił za jej dalszą karierę.

Minęły chyba trzy tygodnie od czasu, jak „wywinęłam kołnierz”, gdy Mama przydybała mnie na parterze w salonie, w chwili gdy kończyłam niewielką przekąskę. Usiadła naprzeciw mnie przy stole i przez moment pykała z fajki. Przez grzeczność odłożyłam czytaną gazetę, ale Mama nie odzywała się do mnie ani słowem. Minęło dużo czasu, zanim odłożyła fajkę i powiedziała:

— Nie jedz tych żółtych ogórków. Zniszczą ci zęby. Zobacz, jak ja wyglądam.

Nie przyszło mi do głowy, że zęby Mamy mogły stać się czarne od kiszonych ogórków. Szeroko otworzyła usta, a gdy uznała, że już dość widziałam, na powrót zajęła się fajką.

— Ciocia je wprost uwielbia — mruknęłam — a zęby ma w porządku.

— A kogo to obchodzi? Z tym wyglądem i tak jej nikt nie zechce. Powiedz kucharce, że już ich nie będziesz jadła. Poza tym nie przyszedł tu rozmawiać o ogórkach. W przyszłym miesiącu poznasz swojego danna.

— Danna? Mamo, przecież mam dopiero osiemnaście lat...

— Hatsumomo znalazła danna, jak miała dwadzieścia. I to nie na długo... Powinnaś się cieszyć.

— Cieszę się. Ale z drugiej strony, będę bardzo zajęta. Zdaniem Mamehy przez pierwsze lata powinnam dbać o popularność.

— Mameha! A to mi wielka znawczyni interesów! Jak będę chciała wiedzieć, czy mam chichotać na przyjęciu, na pewno zwrócę się do niej.

Dzisiaj nawet w Japonii córki bez żenady potrafią klócić się z matkami. W tamtych latach mogłam najwyżej się uklonić i przeprosić za swoje zachowanie. Tak też zrobiłam.

— Interesy pozostaw mnie — oświadczyła Mama. — Nie jestem głupia, by odrzucić porządną ofertę, zwłaszcza że rozmawiał ze mną sam Nobu Toshikazu.

Serce zamarło mi ze zgrozy, chociaż prawdę mówiąc, od dawna mogłam się spodziewać takiego obrotu sprawy. Przecież przed kilku laty Nobu walczył o moje mizuage, a potem częściej niż ktokolwiek inny zapraszał mnie na przyjęcia. Mimo to nie chciałam wierzyć, że będzie moim danna. Dzień, w którym po raz pierwszy spotkałam go na turnieju sumo, miał dziwny opis w almanachu: „dobro ze złem w

równej mierze otworzą drzwi przeznaczenia". Często o tym myślałam. Dobro ze złem... Proszę bardzo: Mameha i Hatsumomo. Adopcja i mizuage, a poza tym... Prezes i Nobu. Nie mówię przez to, że pałam niechęcią do Nobu. Wręcz przeciwnie. Kłopot polegał na tym, że bardziej intymny związek raz na zawsze zamykał mi drogę do Prezesa.

Mama musiała zauważyć, że coś się we mnie dzieje, bo zrobiła skwaszoną minę. Zanim jednak zdążyła spytać, co się stało, zza drzwi dobiegł czyjś stłumiony kaszel. Chwilę później do pokoju wkroczyła Hatsumomo. Niosła miskę — lekceważąc tym samym zasady etykiety, zabraniające w ten sposób odchodzić od stołu. Przełknęła kęs potrawy i roześmiała się drwiąco.

— Mamo! — zawołała. — Chcesz, żebym się udusiła? Domyśliłam się, że przy obiedzie podsłuchiwała naszą rozmowę.

— Boska Sayuri będzie miała danna! A kogóż to? Nobu Toshikazu! — nie posiadała się z radości. — Cudowna sprawa!

— Mów, jeśli masz coś konkretnego do powiedzenia — ofuknęła ją Mama.

— Owszem, mam. — Hatsumomo od razu spoważniała. Usiadła z nami. — Sayuri-san, wiesz, że czasami gejsza zachodzi w ciążę? Danna strasznie się gniewa, jeśli ma podejrzenia, że dziecko nie jest jego. Musisz bardzo uważać. Jeśli twój syn na przykład będzie miał obie rączki, Nobu bez wątpienia posądzi cię o zdradę.

Uważała to za znakomity dowcip.

— Sama spróbuj odrąbać sobie rękę — poradziła jej Mama. — Może dzięki temu dorównasz mu sławą.

— Brakowałoby mi odpowiedniej twarzy — z uśmiechem odparła Hatsumomo. Pokazała nam wnętrze miski. Ryż zmieszany z czerwoną fasolą azuki do złudzenia przypominał błyszczącą i spaloną skórę.

Zanim zapadł wieczór, poczułam, że mi się mąci w głowie. Pobiełam więc do Mamehy. Siadłam za stołem, nad czarką chłodnej, jęczmiennej herbaty — był sam środek upalnego lata — i próbowałam nadrabiać miną. Dotychczas z wielkim uporem dążyłam do jednego celu: do Prezesa. I co? W zamian za wszelkie poniesione trudy miałam otrzymać noce w Gion, Nobu i recitale tańca. To po co było się szarpać?

Mameha przez długą chwilę czekała, aż się odezwę. Siedziałam nad herbatą bez słowa, bo się bałam, że drżącym głosem zdradzę prawdziwe uczucia. Potrzebowałam nieco czasu, by zapanować nad zdenerwowaniem.

— Mama twierdzi, że za miesiąc będę miała danna — wypaliłam w końcu.

— Wiem. Nobu Toshikazu.

Ze wszystkich sił powstrzymywałam się od płaczu. Nie mogłam dalej mówić.

— Nobu-san to bardzo dobry człowiek — zapewniła mnie Mameha. — Lubi cię.

— Tak, ale... nie wiem, jak to powiedzieć... Wyobrażałam sobie...

— Nie rozumiem. Nobu-san zawsze cię dobrze traktował.

— Nie potrzebuję dobroci!

— Nie? Wydawało mi się, że to jest najważniejsze. Może chodzi ci o coś więcej niż dobroć? Tego jednak nie możesz żądać.

Miała całkowitą rację. Kiedy usłyszałam jej słowa, pękła wątpa tama, ze wstydem oparłam głowę na stole i zaniosłam się płaczem.

— Czego ty oczekujesz, Sayuri? — zapytała Mameha, jak już zdołałam się nieco uspokoić.

— Czegoś innego!

— Wiem, że czasami trudno ci patrzeć na Nobu, ale...

— Nie o to chodzi. Nobu-san to wspaniały człowiek. A jednak...

— Chciałabyś żyć jak Shizue, prawda?

Shizue wcale nie należała do grona najsłynniejszych gejsz, lecz w Gion powszechnie uważano ją za szczęśliwą. Od trzydziestu lat była kochanką aptekarza. On nie grzeszył nadmiarem pieniędzy, a ona urodą. Mimo to w całym Kioto trudno było o bardziej zgraną parę. Tak jak zwykle Mameha dotarła do sedna rzeczy, choć nie chciałam jej tego przyznać.

— Masz osiemnaście lat, Sayuri — dodała. — Żadna z nas nie wie, co czeka cię w przyszłości. Nigdy nic nie wiadomo! Nasz los rzadko przypomina radosną zabawę. Częściej musimy się borykać z różnymi trudnościami.

— To okrutne...

— Owszem — przytaknęła — lecz nie można uciec przed przeznaczeniem.

— Nie chcę uciekać! Nobu-san jest dobry i, jak powiedziałaś, zasługuje na moją wdzięczność, ale... wymarzyłam sobie tyle innych rzeczy...

— Boisz się, że pod dotknięciem Nobu będziesz musiała się ich wyrzec? Sayuri, sądzisz, że naprawdę poznałaś życie gejszy? Powiedz, która z nas przyszła tu za szczęściem? Jestem gejszą, bo nie miałam innego wyboru.

— Mameha-san... przepraszam... byłam głupia, że tak długo karmiłam się nadzieją...

— Młode dziewczęta popełniają wiele głupich rzeczy. Ich marzenia są jak ozdoby do włosów. Nie można nosić wszystkich naraz. Staruszka nawet z jedną wygląda osobliwie.

Przyrzekłam sobie, że po raz drugi już się nie rozplączę, i powstrzymałam strumień łez, z wyjątkiem paru, które Skapnęły jak żywica z przeciętego drzewa.

— Mameha-san...—jęknęłam. — Żywisz jakieś... głębsze uczucia do Barona?

— Baron był zawsze dobrym danna.

— Tak, to prawda, ale czy czujesz coś do niego? Przecież każdy związek łączy się z emocjami.

— Baron ceni sobie nasze wzajemne kontakty, a ja w pełni korzystam z jego szczodroblewości. Gdyby towarzyszyła temu jakaś głębsza pasja... Cóż, miłość zwykle łączy się z zazdrością, a nawet z nienawiścią. Nie stać mnie na walkę z wpływowymi ludźmi. Zbyt długo walczyłam o pozycję w Gion, aby teraz stracić to za jednym zamachem! Sukces przychodzi wówczas, moja droga Sayuri, gdy będziesz umiała zapanować nad uczuciami mężczyzn. Baron, owszem, czasami bywa niemożliwy, lecz ma zasobną kieszeń i nie boi się z niej korzystać. I, dzięki bogom, nie chce dzieci. Nobu może stanowić prawdziwe wyzwanie, gdyż ma niezachwianą wiarę w moc swego rozumu. Nie zdziwię się, gdy zażąda od ciebie więcej niż Baron ode mnie.

— A co z twoimi uczuciami? Nigdy nie spotkałaś kogoś...

Chciałam spytać, czy nigdy nie spotkała kogoś, kto w niej wzbudził odruch pożądania. W porę zauważyłam jednak, że jej irytacja z pąka zmienia się w groźne, płomieniste kwiecie. Wyprostowała się i złożyła ręce na kolanach. Przeprosiłam za afront, zanim zdążyła mnie zrugać, więc złągodniała.

— Ty i Nobu macie to samo „en”, Sayuri. Nie uciekniesz — westchnęła.

Znów wiedziałam, że miała rację. „En” to niedostrzegalna więź przeznaczenia, trwająca całe życie. Dziś wiele osób sądzi, że ich egzystencja jest kwestią wyboru. Za moich czasów traktowano ludzi niczym grudy gliny, po wsze lata zachowujące ślad dotknięcia. Dotyk Nobu, jak dotąd, wywarł na mnie największe wrażenie. Nie wiedziałam, czy już na zawsze jest mi przeznaczony, ale wciąż wyczuwałam owo „en” między nami. Bez przerwy był obecny w pejzażu mego życia. Czy to jednak możliwe, bym ze wszystkich lekcji tę najgorszą miała dopiero przed sobą? Czy naprawdę miałam się pozbyć wszelkich złudzeń i głęboko pogrzebać nie spełnione nadzieje?

— Wróć do okiwa, Sayuri — poradziła mi Mameha. — Wystrój się na dzisiejszy wieczór. Praca najlepiej pomaga zapomnieć o kłopotach.

Spojrzałam na nią, gotowa do kolejnych błagań, lecz zmilczałam, widząc wyraz jej twarzy. Nie mam pojęcia, o czym wówczas myślała. Patrzyła w przestrzeń jakby z bólem, którego delikatne cienie mąciły perfekcyjny owal jej twarzy. Wreszcie westchnęła ciężko i z wyraźnym smutkiem wbiła wzrok w puste wnętrze czarki.

Dama z pałacu będzie dumna ze wszystkich nagromadzonych w nim zbiorów, ale na hasło „pożar!” chwyci wyłącznie to, co dla niej najcenniejsze. W dniach, które upłynęły po rozmowie z Mamehą, czułam, że wypala się całe moje życie, a jednak uporczywie poszukiwałam czegoś, co zachowam nawet w czasie związku z Nobu. Niestety przegrałam. Pewnego razu gdy siedziałam za stołem w Ichiriki, w nagłym przyływie żalu poczułam się niczym małe dziecko, samotnie zagubione w ośnieżonym lesie. Popatrzyłam po siwych głowach otaczających mnie mężczyzn i przez jedną okropną chwilę miałam nieodparte wrażenie, że poza mną nikt z ludzi nie pozostał na świecie.

Do rzadkich okazji, w których odnajdowałam niewielki sens w życiu, należały przyjęcia z udziałem żołnierzy. W trzydziestym ósmym przywykliśmy do codziennych doniesień o walkach w Mandżurii. Przypominały o tym choćby „Śniadania Wschodzącego Słońca”, czyli pudełka z gotowanym ryżem i zatkniętą pośrodku marynowaną śliwką. Wyglądały jak japońska flaga. Od pokoleń oficerowie wojsk lądowych oraz marynarki przybywali do Gion na krótki odpoczynek. Teraz, po siódmej albo ósmej czarce sake, ze łzami w oczach zapewniali wszystkich, że to było dla nich prawdziwym wytchnieniem. Pewnie zawsze w ten sposób mówili do dziewcząt. Z drugiej strony, ja — urodzona w wiosce nad zatoką — czułam się

potrzebna walczącej ojczyźnie... Nie myśl, że przynosiło mi to jakąś znaczną ulgę, widziałam jednak, że bywają cierpienia gorsze od moich.

Minęło parę tygodni, aż wreszcie, na korytarzu Ichiriki, Mameha doszła do wniosku, że najwyższa pora, aby się upomnieć o zapłatę od Mamy. Jak pamiętasz, ich zakład dotyczył pytania, czy przed dwudziestym rokiem życia zapłacę wszystkie długi. Okazało się, że dokonałam tego o całe dwa lata wcześniej.

— Skoro wywinęłaś kołnierz — oświadczyła Mameha — nie mam powodu dłużej czekać.

Tak powiedziała, lecz rzeczywistość była o wiele bardziej skomplikowana. Mama nie cierpiała spłaty zobowiązań, a złość jej rosła wprost proporcjonalnie do wysokości stawki. U boku własnego danna zarabiałabym dużo więcej, a to budziło dodatkowe pożądanie Mamy. Mameha zamierzała dostać swoją część jak najszybciej, a o resztę wpływów martwić się w przyszłości.

Kilka dni później zostałam wezwana do salonu. Zastałam tam obie: Mamehę i Mamę. Rozmawiały o letniej pogodzie. Obok Mamehy siedziała dobrze mi znana, siwowłosa pani Okada. Była właścicielką okiia, gdzie kiedyś mieszkała Mameha. Teraz — za ułamek zysków — prowadziła rachunki swej dawnej podopiecznej. Nigdy przedtem nie widywałam jej tak poważnej. Patrzyła w stół, jakby wcale nie słuchała rozmowy.

— Jesteś! — odezwała się Mama na mój widok. — Odwiedziła nas dzisiaj twoja starsza siostra. Przyprowadziła ze sobą panią Okadę. Chyba powinnaś do nas dołączyć.

— Mameha już wyjaśniała pani przez telefon, że tym razem chodzi o sprawy interesów — nie podnosząc wzroku, przemówiła pani Okada. — To nie jest towarzyska wizyta. Sayuri będzie się nudzić. Na pewno nie brak jej innych zajęć.

— Byłby to brak szacunku, gdyby teraz odeszła — upierała się Mama. — Posiedzi z nami przez chwilę, póki nie skończymy.

Zajęłam miejsce obok Mamy. Służąca podała herbatę.

— Musi być pani bardzo dumna z tak wspaniałej córki! — powiedziała Mameha do Mamy. — Jej zarobki przeszły wszelkie oczekiwania. Zgodzi się pani ze mną?

— Moje oczekiwania, czy pani, Mameha-san? — spytała Mama. Potem zacisnęła zęby i wybuchnęła swoim osobliwym śmiechem, spoglądając spod oka, czy podziwiamy jej koncept. Nikt więcej się nie roześmiał, a pani Okada chrząknęła i poprawiła okulary. — Bo jeśli chodzi o mnie, to jeszcze nie jestem zadowolona — dodała.

— Kiedy przed paru laty po raz pierwszy poruszyłam tę kwestię, nie była pani zbyt wysokiego mniemania o Sayuri — odparła Mameha. — Uzyskałam niechętną zgodę na jej dalszą naukę.

— Proszę wybaczyć, lecz po prostu nie byłam pewna, czy dobrze zrobię, powierzając ją w ręce kogoś spoza okiia — powiedziała Mama. — Na miejscu jest Hatsumomo.

— Pani Nitto! — roześmiała się Mameha. — Wszystkie dobrze wiemy, że Hatsumomo by ją udusiła przed rozpoczęciem pierwszych zajęć.

— Przyznaję, że czasami potrafi być trudna. Z drugiej strony, jeśli chodzi o taką dziewczynę jak Sayuri, trzeba podjąć decyzję we właściwym czasie. Zrobiliśmy to. Teraz sądzę, że przysłała pani dokonać wszelkich niezbędnych obliczeń?

— Pani Okada była tak uprzejma, że wypisała wszystkie kwoty — oznajmiła Mameha. — Proszę rzucić okiem.

Pani Okada ponownie poprawiła okulary i wyciągnęła z torby księgę rachunkową. Otworzyła ją i udzieliła Mamie stosownych wyjaśnień. Mameha i ja siedzieliśmy w milczeniu.

— Aż trudno uwierzyć w zeszłoroczne zarobki Sayuri! — w pewnej chwili zawołała Mama. — Szkoda, że to nieprawda... Cały dochód okiia nie wyniósł aż tyle.

— Przyznaję, że to duża kwota — potaknęła pani Okada. — I najzupełniej prawdziwa. Zweryfikowałam ją w księgach Urzędu Rejestrowego.

Mama zacisnęła zęby i próbowała śmiechem zatrzeć wrażenie, że przyłapano ją na kłamstwie.

— Widocznie coś przespałam — mruknęła.

Po dziesięciu lub piętnastu minutach ostatecznie uzgodniły wysokość moich dochodów od dnia debiutu. Pani Okada sięgnęła po niewielkie liczydło i przystąpiła do dalszych obliczeń, notując rzędy cyfr na pustej kartce w księdze rachunkowej. Wreszcie podkreśliła ostatnią liczbę.

– Taką sumę powinna otrzymać Mameha-san.

– Zasłużyła na więcej, wzięwszy pod uwagę jej troskę o Sayuri – stwierdziła Mama. – Z naszej umowy wynikało, że zadowoli się połową, do czasu kiedy Sayuri w całości popłaci długi. To już mamy za sobą, więc pozostaje spłata tylko drugiej połowy.

– Z tego, co wiem, wynika, że Mameha zgodziła się na połowę stawki w zamian za jej podwojenie w razie wygranej – sprostowała pani Okada. – Gdyby Sayuri nie uregulowała długów, do Mamehy trafiłaby zaledwie połowa poborów. Teraz powinna otrzymać czterokrotnie więcej.

– Naprawdę pani sądzi, że przyjąłam podobne warunki? – spytała Mama. – Wszyscy w Gion wiedzą, jak bardzo pilnuję wydatków. Cenię pomoc Mamehy, lecz nie mogę zapłacić jej podwójnie. Proponuję podwyżkę o dziesięć procent. To i tak dużo, bo okiya nie szasta pieniędzmi na prawo i lewo.

Na ogół słowo kogoś takiego jak Mama wystarczyło za całą gwarancję – i pewnie by tak było w wypadku innych osób. Skoro jednak już raz uciekła się do kłamstwa... Zapadła chwila ciszy.

– Jestem w nieco niezręcznej sytuacji – odezwała się wreszcie pani Okada. – Aż za dobrze pamiętam słowa Mamehy.

– Bez wątplenia – zapewniła ją Mama. – Mameha wie swoje, a ja swoje. Potrzebny nam ktoś trzeci. Na szczęście jest z nami Sayuri. Wprawdzie w tamtych latach była jeszcze dzieckiem, ale do liczb ma dobrą pamięć.

– Wierzę – chłodno stwierdziła pani Okada. – Trudno jednak posądzać ją o bezstronność. Została córką okiya.

– Owszem – nagle wtrąciła Mameha. Pierwszy raz przemówiła od dłuższego czasu. – Z drugiej strony, zawsze doceniałam jej szczerą. Zaakceptuję jej odpowiedź. Sądzę, że pani Nitta także.

– Oczywiście – mruknęła Mama i odłożyła fajkę. – Więc jak było, Sayuri?

Gdybym mogła wybierać między upadkiem z dachu, zakończonym złamaniem ręki, a odpowiedzią na tak postawione pytanie, bez wahania wstałabym od stołu i poszła w kierunku schodów. Ze wszystkich kobiet w Gion Mama i Mameha wywarły największy wpływ na moje dotychczasowe życie. Teraz jedną z nich czekał srogi zawód. Znałam prawdę, lecz przecież miałam zostać w okiya, z Mamą. Wobec Mamehy zaciągnęłam ogromny dług wdzięczności. Musiałam stanąć po jej stronie.

— No? — ponagliła mnie Mama.

— Mameha przystała na połowę stawki. Ty się zgodziłaś, że na koniec zapłacisz w dwójnasób, Mamo. Przepraszam, lecz zapamiętałam to właśnie w ten sposób.

Cisza.

— Nie jestem już taka młoda... — westchnęła wreszcie Mama. — Pierwszy raz słyszę, że zawiodła mnie pamięć.

— Wszyscy mamy czasami podobne problemy — pocieszyła ją pani Okada. — A wspomniane przez panią dziesięć procent? Liczymy je powyżej ustalonej sumy?

— Nie stać mnie na to.

— Powtarzam pani słowa sprzed kilku minut. Tak szybko zmienia pani zdanie?

Pani Okada już nie patrzyła na stół, lecz twardo spozierała prosto w oczy Mamy.

— Dobrze, zostawmy to na razie — zaproponowała po krótkim milczeniu. — Jak na jeden dzień, i tak zrobiliśmy dużo. Resztą zajmiemy się później.

Mama z surową miną złożyła zdawkowy ukłon i podziękowała im obu za wizytę.

— Słyszałam, że ma pani powód do zadowolenia — napomknęła pani Okada, chowając księgę i liczydła do torby. — Wkrótce Sayuri będzie miała danna. I to zaledwie w osiemnastym roku życia! Duży postęp jak na tak młodą osobę.

— W swoim czasie Mameha też mogła tak zrobić — odparła Mama.

— Osiemnaście lat to niewiele — wtrąciła się Mameha — ale wierzę, że pani Nitta podjęła najwłaściwszą decyzję.

Mama zdawała się całkowicie pochłonięta fajką. Po dłuższej chwili spojrzała przez stół na Mamehę.

— Udzielę pani dobrej rady, Mameha-san — powiedziała. — Pani niech w dalszym ciągu pokazuje dziewczętom, jak w zalotny sposób wywracać oczami, ja zaś wezmę na siebie ciężar interesów.

— Nie chodzi o interesy. Najzupełniej popieram pani zdanie w tej sprawie... Chciałam tylko zapytać, czy to prawda, że najlepszą ofertę złożył pan Nobu Toshikazu?

— Jedyłą ofertę, jeśli o tym mowa. Choćby z tego względu musiała być najlepsza.

— Jedyną? Szkoda... Cena zazwyczaj rośnie, gdy w grę wchodzi kilku kandydatów, nie sądzi pani?

— Już mówiłam, Mameha-san, że znam się na interesach. Wystarczy, że o czymś wspomnę, a Nobu Toshikazu okaże się nadzwyczaj szczodry.

— Zdradzi mi pani ów sekret? — z przesadną ciekawością zapytała Mameha.

Mama odłożyła fajkę na stół. Myślałam, że udzieli gejszy ostrej reprimendy.

— Proszę bardzo — odpowiedziała ku mojemu zaskoczeniu. — Tak się składa, że w tej kwestii może mi pani pomóc. Zastanawia mnie, czy pan Nobu wie, iż naszą Babcię zabił piecyk elektryczny z zakładów Iwamura.

— Niewiele wiem o przemyśle.

— Drobne, niby mimochodem rzucone słówko mogłoby tu naprawdę wiele zdziałać. Może pani lub Sayuri wspomni o tym przy najbliższej rozmowie z Nobu... Niech wie, że przeżyliśmy okropne chwile. Powinien nam to wynagrodzić.

— Dobry pomysł — zgodziła się Mameha. — Z drugiej strony, szkoda... Wydawało mi się, że nie tylko Nobu interesuje się Sayuri.

— Sto jenów to sto jenów, nieważne, skąd pochodzi.

— Na ogół tak się dzieje — pokiwała głową Mameha — ale człowiek, o którym mówię, to generał Tottori Junnosuke.

W tym miejscu zupełnie się pogubiłam. Potem jednak z wolna zrozumiałam, że Mameha próbuje mnie ratować przed związkiem z Nobu. Nie spodziewałam się tego po niej. Nie wiedziałam, czy robi to z pobudek serca, czy chce mi podziękować za pomoc w konflikcie z Mamą... A może robiła to z jeszcze innych względów? Myśli wirowały mi w głowie jak szalone. Nagle poczułam, że Mama trąca mnie końcem fajki.

— I co? — spytała.

— Przepraszam, nie słuchałam.

— Pytam, czy znasz generała.

— Spotkaliśmy się parę razy — odparłam. — Dość często bywa w Gion.

Nie mam pojęcia, dlaczego odpowiedziałam w ten sposób. Po prawdzie widziałam generała więcej niż parę razy. Co tydzień gościł w Gion na zaproszenie różnych osób. Był niski — dużo niższy ode mnie — ale rzucał się w oczy niczym karabin maszynowy. Ruszał się jak sprężyna i kopał papierosa za papierosem, wlokąc za sobą jak pociąg smugę sinego dymu. Kiedyś, na lekkim rauszu, uczył mnie cały

wieczór, w jaki sposób rozróżniać wszystkie stopnie wojskowe. Radowała go każda moja pomyłka. Sam miał rangę sho-jo, co znaczy „mały generał” — najniższy stopień generalski — i twierdził, że to niewiele. Być może kierowała nim skromność, lecz komu miałam wierzyć?

Mameha powiedziała Mamie, że otrzymał nową funkcję „kwatremistrza wojskowego”. Nie wiedziałam, co to znaczy, a z wyjaśnień Mamehy zrozumiałam tylko tyle, że był kimś w rodzaju gospodyni. Jeśli w wojsku brakowało tuszu, miał ten tusz znaleźć i zakupić, najlepiej za najniższą cenę.

— Tak się wciągnął, że już może nająć sobie konkubinę — oznajmiła Mameha.
— To on właśnie niedawno wspominał o Sayuri.

— A co to ma wspólnego ze mną? — zapytała Mama. — Żaden żołnierz nie dba o gejszę tak, jak arystokrata lub człowiek interesu.

— Słusznie, słusznie... lecz generał może służyć pomocą dla okiia.

— Bzdury! Niepotrzebna mi taka pomoc. Wolę stałe, rzetelne wpływy, a tego wojsko nie daje.

— Gion ma szczęście — powiedziała Mameha. — Ale jak wojna jeszcze potrwa, i nas dopadnie bieda.

— Jak potrwa — zagderła Mama. — Moim zdaniem skończy się najwyżej za pół roku.

— A tymczasem wojsko umocni władzę. Niechże pani nie zapomina, że generał Tottori zajmuje się zaopatrzeniem! Wojna czy nie, nikt w Japonii nie zapewni pani lepszego dostępu do zapasów. Przez jego ręce przechodzi cały towar dostarczany do naszych portów.

Później się dowiedziałam, że pod tym względem Mameha nieco przesadziła. Generał Tottori rządził jedynie w jednym z pięciu dużych okręgów administracyjnych. Ponieważ był starszy stopniem od pozostałych intendentów, powszechnie uważano go za wodza. Trzeba ci było widzieć, jak zareagowała Mama na ostatnie słowa Mamehy. Prawie słyszałam skrzywienie jej umysłu. Patrzyła w czarkę herbaty i dumiała: „Na razie wszystko kupujemy... lecz ceny poszły w górę...”. Potem bezwiednie pogładziła zatknięty za pas jedwabny kapciuch z tytoniem, jakby sprawdzała, czy coś jej jeszcze zostało.

Przez cały tydzień Mama uparcie krążyła po Gion i wydzwaniała do wszystkich znajomych, by jak najwięcej się dowiedzieć o generale Tottori. Tak ją to pochłaniało, że nawet nie słyszała, co mówię. Myślała intensywnie; jej umysł był jak lokomotywa obciążona zbyt wielką liczbą wagonów.

W dalszym ciągu widywałam Nobu, gdy tylko przyjeżdżał do Kioto. Udawałam, że nic się nie zmieniło. Pewnie myślał, że w połowie czerwca zdobędzie mnie dla siebie. Mijały dni, a negocjacje jakby stanęły w miejscu. Coraz częściej spoglądał na mnie ze zdziwieniem. Pewnego wieczoru, przed przyjęciem, minął szefową Ichiriki, pozdrawiając ją tylko skąpym skinieniem głowy. Ceniła go jako gościa, więc z przestrawieniem popatrzyła na mnie. Ja zaś zauważałam u niego inne oznaki gniewu: mocno zaciśnięte zęby i krótkie, szarpane ruchy, kiedy unosił do ust czarbkę sake. Nie potępiałam go za takie zachowanie. Bez wątpienia uważał mnie za bezduszną niewdzięcznicę. Nagle drgnęłam, wyrwana z czarnych myśli głośnym stukiem odstawianej czarbk. Uniosłam głowę. Nobu patrzył wprost na mnie. Śmiech i żarty krążyły pośród innych gości, a on zadumany spoglądał w moją stronę. Byliśmy jak dwie krople wody w koszu płonąych węgla.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

We wrześniu, gdy wciąż miałam osiemnaście lat, w Ichiriki odbyła się kolejna niewielka uroczystość, tym razem dla mnie i generała Tottori. Przebiegała tak samo jak „zaślubiny” ze starszą siostrą i oficjalna część mizuage z udziałem Doktora Kraba. Potem, tygodniami, różni ludzie składali Mamie serdeczne gratulacje.

Pierwszej nocy, zaraz po ceremonii, zgodnie ze wskazówkami Generała pojechałam do maleńkiej gospody o nazwie Suruya, na północny zachód od Kioto. Miała zaledwie trzy pokoje. Tak już przywykłam do luksusów, że z zaskoczeniem spoglądałam na ów siermiężny przybytek. We wnętrzu cuchnęło pleśnią, a zużyte i wydeptane tatami wydawały się skrzypieć, gdy na nie weszłam. W rogu, tuż nad podłogą, odpadł okazały kawał tynku. Z sąsiedniego pokoju dobiegało mamrotanie starca, czytającego na głos gazetę. Im dłużej czekałam, tym bardziej miałam ochotę uciec — wybawił mnie dopiero przyjazd Generała. Wszedł, przywitał się, włączył radio i usiadł, popijając piwo.

Po pewnym czasie zszedł na dół, do łaźni. Wróciwszy do pokoju, od razu zdjął szlafrok i całkiem nagi zaczął wycierać głowę. Pod małym okrągłym brzuszkiem miał gęszcz czarnych włosów. Nigdy przedtem nie widziałam nagiego mężczyzny, więc śmieszły mnie jego obwisłe pośladki. Za to gdy odwrócił się przodem w moją stronę... to przyznaję, natychmiast spojrzałam na „węgorza”. Coś tam zwisało. Generał położył się na plecach i kazał mi się rozebrać. „Węgorz” natychmiast ożył. Przez cały czas słuchałam kolejnych rozkazów. Generał bez żenady mówił mi, co mam robić, nie pozostawiając mi najmniejszej inicjatywy. W ciągu trzech lat, które upłynęły od czasu mizuage, zdążyłam na dobre zapomnieć o strachu. Najdziwniejsze, że teraz się wcale nie bałam — raczej odczuwałam niewielkie mdłości. Generał pozostawił włączone radio i światła, jakby chciał, bym na zawsze zapamiętała ów paskudny pokój, łącznie z szarymi zaciekami na suficie.

Mijały miesiące, zniknęły mdłości, a moje schadzki z Generałem przerodziły się w niezbyt przyjemną rutynę. Spotykaliśmy się regularnie, dwa razy w tygodniu. Ciekawiło mnie, jakby moje życie wyglądało u boku Prezesa. Prawdę mówiąc, miałam wiele obaw, że byłoby równie nudne jak z Doktorem Krabem i Generałem. Potem nastąpiło pewne zdarzenie, które całkowicie zmieniło mój światopogląd. W Gion

pojawił się niejaki Yasuda Akira, bohater gazet, wynalazca zupełnie nowej lampy do roweru. Nie był w Ichiriki i wcale nie zamierzał tam chodzić, lecz trzy lub cztery razy w tygodniu odwiedzał małą herbaciarnię Tatematsu, w dzielnicy Tominaga, niedaleko od Nitta okiia. Poznałam go, gdy miałam już dziewiętnaście lat, wiosną tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Dostrzegłam go od razu, jak wszedł do pokoju, bo był dużo młodszy od pozostałych gości. Miał nie więcej niż trzydziestkę, ale jego ruchy cechowała ta sama dystygowana gracia, co Prezesa. Podobał mi się, zwłaszcza kiedy siedział bez marynarki, z podwiniętymi rękawami koszuli. Przez chwilę spoglądałam na jakiegoś starca, który wpychał pałeczkami kawałek tofu w szeroko rozdziawione usta. Przypominał mi drzwi otwarte przed dostojnie nadchodzącym zółwiem. Chwilę później Yasuda-san wyciągnął gładką, umięśnioną rękę po leżący przed nim skrawek duszonej wołowiny. Aż dreszcz mnie przeszył z podniecenia.

Kolejno przywitałam się z wszystkimi gośćmi. Yasudę zostawiłam na koniec.

— Mam nadzieję, że mi wybaczysz — powiedział, gdy się przedstawiłam.

— Wybaczę? A co się stało? — spytałam.

— Zachowywałem się jak prostak — odparł. — Od początku nie odrywałem od ciebie wzroku.

Wiedziona dziwnym odruchem, sięgnęłam za obi po brokatowy wizytownik. Ukradkiem wyciągnęłam niewielki kartonik i wręczyłam go Yasudzie. Gejsza, jak człowiek interesu, zawsze ma przy sobie zapas wizytówek. Moje były malutkie, o połowę mniejsze od normalnych, z grubego ryżowego papieru, z nadrukiem „Gion” i „Sayuri”, wykonanym kaligrafowaną czcionką. Wiosną tył wizytówki zdobił kolorowy rysunek kwitnącej gałęzi śliwy. Yasuda obejrzał ją dokładnie i schował do kieszeni na piersiach. Wiedziałam, że w tym momencie niepotrzebne są żadne słowa, skłoniłam się więc w milczeniu i wróciłam do pozostałych gości.

Od tamtej pory Yasuda-san co tydzień zapraszał mnie do Tatematsu. Nie zawsze mogłam spełnić jego prośbę. Po trzech miesiącach znajomości podarował mi kimono. Byłam mu bardzo wdzięczna, chociaż prawdę mówiąc, prezent nie należał do najbardziej kosztownych. Marny jedwab o nieco przyciężkich kolorach, z pospolitym wzorem kwiatów i motyli. Yasuda-san chciał, bym następnym razem przyszła na przyjęcie w tej właśnie szacie. Niestety, gdy wieczorem wróciłam do okiia, Mama

zobaczyła, że dźwigam jakąś paczkę. Pokręciła nosem nad kimonem, powiedziała, że wstyd chodzić w takim łachu, i następnego dnia po prostu je sprzedała.

Na wieść o tym poszłam do niej i przypomniałam — najgrzeczniej jak potrafiłam — że kimono należało do mnie, a nie do okiia, i nie miała prawa go sprzedawać.

— Pewnie, że do ciebie — odparła — lecz ty jesteś przecież córką okiia. Co należy do okiia, należy do ciebie i na odwrót.

Zła jak osa, tego dnia więcej na nią nie spojrzałam. Yasudzie wyjaśniłam, że motyle są symbolem wczesnej wiosny, więc latem nie wypada ich nosić. Dodałam, że w kupionym przez niego kimonie będę mogła wystąpić dopiero w przyszłym roku. Nawet się nie zmartwił.

— Czym jest rok? — spytał, spoglądając na mnie badawczym wzrokiem. — Potrafię czekać dłużej, jeśli warto.

Byliśmy w pokoju sami. Yasuda-san odstawił szklankę piwa w taki sposób, że poczerwieniałam. Wziął mnie za rękę. Nie protestowałam, pewna, że to tylko przelotny gest przyjaźni. On jednak zbliżył usta do mego przegubu i wycisnął nań gorący pocałunek. Dreszcz przeszył mnie aż do kolan. Zawsze byłam posłuszna; bez sprzeciwów spełniałam wszelkie polecenia Mamy i Mamehy, a nawet Hatsumomo — zwłaszcza gdy nie miałam innego wyboru. Teraz jednak złościłam się na Mamę i tęskniłam za pieszczotami Yasudy. Zrobiłam dokładnie to, przed czym mnie przestrzegano: umówiłam się z nim o północy, w tej samej herbaciarni.

Przyszłam nieco wcześniej, żeby porozmawiać z młodą służącą. Obiecałam jej niemałą sumę za dopilnowanie, by przez pół godziny nikt nam nie przeszkadzał. Potem chwilę czekałam w zupełnej ciemności, aż wreszcie usłyszałam szelest odsuwanych drzwi. Zjawił się Yasuda-san. Rzucił kapelusz na matę i przyciągnął mnie do siebie. Jego dotyk był dla mnie jak posiłek po długim głodowaniu. Napierałam na niego bardziej niż on na mnie. Wprawnie rozsuptał węzły i po chwili poczułam jego rękę na swoim ciele. Z grubsza wszystko przebiegało tak, jakbym była z Generałem, lecz odczucia miałam zupełnie inne. Spotkania z Generałem nasuwały mi wspomnienie z dzieciństwa, kiedy wspinałam się na drzewa za jakimś upatrzonym liściem. Ostrożne ruchy, sporo niewygody i duża ulga po osiągnięciu celu. Z Yasudą czułam się jak dziecko dzikim pędem zbiegające ze wzgórza. Potem, gdy zmęczeni legliśmy na macie, wsunęłam mu rękę pod rozpiętą koszulę i mocno przytknęłam do brzucha.

Chłonełam każdy jego oddech. Nigdy w życiu nie byłam tak blisko drugiego człowieka, chociaż żadne z nas nie wypowiedziało ani jednego słowa.

Zrozumiałam wówczas, że spotkania z Doktorem i Generałem wcale nie rzutują na mój związek z Prezesem.

W życiu gejszy na ogół zachodzą duże zmiany, kiedy trafi na właściwego danna. W moim wypadku nic się nie zmieniło. Jak przed laty, noc w noc wychodziłam na obchód Gion. Czasem gdzieś wyjeżdżałam, bywało, że w dziwne miejsca. Ktoś raz nawet zabrał mnie do chorego brata, do szpitala. O innych rzeczach — o pokazach tańca opłacanych przez danna, o kosztownych prezentach czy o dwóch, trzech dniach „płatnego urlopu” — nawet nie słyszałam. Sprawdzala się przepowiednia Mamy: żołnierz nie dba o gejszę, w przeciwieństwie do człowieka interesu albo arystokraty. Tak więc, gdy chodzi o mnie, Generał spisywał się słabo, za to w oczach Mamy jego związek z okiya był wprost nieoceniony. Pokrywał większość moich wydatków, łącznie z czesnym za lekcje, roczną rejestracją, rachunkami za opiekę medyczną i... sama nie wiem, co jeszcze... Kupował mi skarpetki. Przede wszystkim jednak, jako główny kwatermistrz armii, w stu procentach pasował do opisu Mamehy. Dokonywał rzeczy niedostępnych dla innych danna. W marcu trzydziestego dziewiątego roku zachorowała Ciocia. Martwiłyśmy się o nią, a medycy nie potrafili pomóc. Wystarczył jeden telefon do Generała, żeby w mig przyszła paczka lekarstw od samego ordynatora szpitala wojskowego w okręgu Kamigyo. Ciocia wyzdrowiała. Nie jeździłam zatem na tańce do Tokio ani nie dostawałam klejnotów, lecz w okiya niczego nie brakowało. Miałyśmy cukier, herbatę i czekoladę, chociaż sklepy w Gion świeciły pustkami. Mama źle wywróżyła, że wojna dobiegnie końca najdalej za pół roku. Jeszcze nie wiedziałyśmy, że najmroczniejsze lata są dopiero przed nami.

Jesienią, gdy Generał stał się moim danna, przestałam widywać Nobu. Nie zapraszał mnie na przyjęcia. Wkrótce odkryłam, że w ogóle przestał przychodzić do Ichiriki. Nie wiedziałam, dlaczego tak się stało; podejrzewałam tylko, że zaczął mnie unikać. Szefowa Ichiriki z westchnieniem przyznała mi rację. Na Nowy Rok wysłałam do niego kartkę, ale nie odpisał. Teraz, kiedy patrzę na te wydarzenia z perspektywy czasu, widzę, że rozłąka trwała miesiącami. Wówczas odczuwałam to całkiem inaczej. Żyłam w strachu, że skrzywdziłam kogoś, kto okazał mi wiele dobroci. Kogoś, kogo

uważałam za swego przyjaciela. Bez niego nie zapraszano mnie na bankiety koncertu Iwamura, więc przestałam także spotykać się z Prezesem.

Ten ostatni, rzecz jasna, odwiedzał Ichiriki bez względu na to, gdzie przebywał Nobu. Kiedyś go zobaczyłam, jak stał w korytarzu, pochłonięty cichą rozmową z młodym asystentem. Dla podkreślenia swoich słów wymachiwał trzymanym w ręku wiecznym piórem. Nie odważyłam się z nim przywitać. Innym razem to on mnie spostrzegł, idąc do toalety. Towarzyszyła mu wystraszona młoda gejsza Naotsu. Zostawił ją tam, gdzie stała, i pośpieszył do mnie. Uśmiechnął się i powiedział coś miłego. Wyczuwałam w nim dumę, jaką czasem ojciec odczuwa wobec dzieci.

— Panie Prezesie, gdyby kiedyś chciał pan zaprosić jeszcze jedną gejszę... — powiedziałam, nim odszedł.

Postępowałam aż nadto śmiało, ale się nie obraził.

— Dobry pomysł, Sayuri — odparł. — Będę pamiętał o tobie.

Minął miesiąc i nic się nie zmieniło.

Pod koniec marca brałam udział w hucznym bankiecie urządzanym w herbaciarni Shunju przez samego prefekta Kioto. Był tam też Prezes, w samej koszuli, z poluźnionym krawatem. Przepijał do prefekta. Wypił mniej, lecz prefekt trzymał się znacznie lepiej.

— Cieszę się, że cię widzę, Sayuri — powitał mnie Prezes. — Musisz mi pomóc. Mam kłopoty.

Widząc jego poczerwieniałą twarz i zawinięte rękawy koszuli, natychmiast pomyślałam o nocy spędzonej w Tatematsu z Yasudą. Przez krótką chwilę wydawało mi się, że wszyscy gdzieś zniknęli i że zostałam sam na sam z Prezesem. Lekko podpity mógłby przecież chwycić mnie w ramiona i obsypać pocałunkami. Zawstydziałam się własnych myśli... Bałam się, że w przedziwny sposób zdoła je odczytać. On jednak spoglądał na mnie tak jak przedtem. Ukradkiem dałam znak siedzącej obok gejszy, żeby nie nalewała mu zbyt często. Chyba był mi wdzięczny, gdyż westchnął, wypił szklanekę wody i wciągnął mnie w długą rozmowę. Wreszcie wyjął z kieszeni chusteczkę, identyczną z tą, którą zawsze nosiłam za obi, i wytarł czoło. Potem dłonią przygładził włosy.

— Kiedy ostatni raz byłaś w towarzystwie Nobu? — spytał nagle.

— Dawno, panie Prezesie — odparłam. — Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że Nobu-san pogniewał się na mnie.

Przez chwilę patrzył na chusteczkę.

— Przyjaźń to cenna rzecz, Sayuri — stwierdził. — Nie wolno jej odrzucać.

Słowa Prezesa długo dźwięczały mi w uszach. Pod koniec kwietnia, w trakcie przygotowań do występu w Tańcach z dawnej stolicy, odwiedziła mnie młoda, ledwie mi znana gejsza. Odłożyłam pędzelek do makijażu i wyczekująco spojrzałam na nią. Sądziłam, że przyszła o coś prosić, gdyż całe Gion — poza Mamą — borykało się z wojennymi restrykcjami.

— Przepraszam, Sayuri-san — powiedziała. — Nazywam się Takazuru. Mam nadzieję, że zdoła mi pani pomóc. Wiem, że Nobu-san był kiedyś pani przyjacielem...

Miesiącami wstydziłam się tego, co zrobiłam. Miesiącami dręczyło mnie pytanie, gdzie zniknął. Teraz, kiedy tak nagle padło jego nazwisko, miałam wrażenie, że ktoś otworzył okno i że czuję na twarzy ożywczy podmuch wiatru.

— Trzeba sobie nawzajem pomagać, Takazuru — odparłam. — Szczególnie, że sprawa dotyczy pana Nobu. Mam nadzieję, że nie zachorował.

— Nie, przynajmniej nic o tym nie wiem. Bywa zazwyczaj w Awazumi, we wschodnim Gion. Zna pani tę herbaciarnię?

— Owszem — przytaknęłam. — - Nie sądziłam jednak, że wybierze aż tak odległe miejsce.

— Przychodzi bardzo często — zapewniła mnie Takazuru. — Czy... mogę o coś spytać? Znała go pani dobrze... to przecież miły człowiek, prawda?

— Skąd ta nieufność? Skoro spędzasz z nim wiele czasu, masz chyba wyrobiony właściwy osąd.

— To głupie z mojej strony... lecz nie wiem, co robić! Prosi o mnie, ilekroć przyjeżdża do Gion. Starsza siostra uważa, że to wymarzony klient. Teraz dostałam od niej solidną burę, że płaczę przy nim i przy innych gościach. Co będzie, skoro nawet nie umiem się powstrzymać?

— Czasem bywa okrutny, prawda?

Biedna Takazuru mocno zacisnęła rozdygotane usta. Łzy zebrały jej się w kącikach ogromnych oczu, tak że patrzyła na mnie przez dwie kałuże.

— Nobu-san często nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo potrafi skrzywdzić nierozważnym słowem — próbowałam ją pocieszyć. — Na pewno bardzo cię lubi, Takazuru-san. W przeciwnym razie by cię nie zapraszał.

— To dlaczego wciąż się nade mną znęca? — spytała. — Raz mnie pochwalił, że mam czyste włosy. „Co za przyjemna zmiana!”, zaraz dodał.

— Dziw bierze, że tak często się spotykacie — westchnęłam. — Od miesiący próbuję go gdzieś zdybać.

— Proszę tego nie robić, Sayuri-san! Błagam! Ciągłe słyszę, że jestem gorsza od pani. Jak panią znów zobaczy, na pewno zapomni o mnie. Nie chcę pani obarczać moimi problemami... pytam tylko, czy mogę go jakoś zadowolić. Nobu-san uwielbia ciekawe rozmowy, ale ja nie trafiam na właściwy temat. Wszyscy mi powtarzają, że nie grzeszę bystrością.

Ludzie w Kioto na ogół przyznają się do niewiedzy. Zwykle bywa to tylko ukłon w stronę konwencji, lecz tym razem coś mi kazało wierzyć, że Takazuru jest ze mną szczerą. Nobu używał jej jak tygrys drzewa do ostrzenia stępionych pazurów. Nie bardzo umiałam jej pomóc. Powiedziałam, żeby przeczytała ciekawą historyczną książkę i przy najbliższej okazji błysnęła jakąś wiedzą. Sama też tak postępowałam, gdyż miewałam klientów, którzy uwielbiali po prostu siedzieć z przymkniętymi oczami, zasluchani w dźwięk kobiecego głosu. Nie wiedziałam, czy to się sprawdzi z Nobu, lecz Takazuru była mi bardzo wdzięczna.

Postanowiłam wreszcie, że muszę go zobaczyć. Bardzo bolałam nad tym, że wyrządziłam mu krzywdę. Na dokładkę, bez niego nie widywałam Prezesa. Nie chciałam, żeby Nobu bardziej przeze mnie cierpiał, i sądziłam, że uda nam się jakoś odnowić przyjaźń. Kłopot polegał na tym, że bez zaproszenia nie miałam prawa wstępu do Awazumi. Krążyłam więc po okolicy, w nadziei na „przypadkowe” spotkanie. Na tyle znałam przyzwyczajenia Nobu, żeby mniej więcej wiedzieć, o której mogę się go spodziewać.

Trwało to bez mała pełne dwa miesiące. Wreszcie pewnego razu dostrzegłam go, jak wysiadał z limuzyny. Byłam dosyć daleko, lecz od razu rozpoznałam jego charakterystyczną postać, z pustym rękawem przypiętym do marynarki. Szofer wręczył mu teczkę. Zatrzymałam się pod latarnią i wydałam cichy, radosny okrzyk. Tak jak się spodziewałam, Nobu popatrzył w moją stronę.

— Proszę, proszę — mruknął. — Człowiek zdążył zapomnieć, jak piękne bywają gejsze.

Powiedział to takim tonem, że nie miałam pewności, czy mnie poznał.

— Czyżbym słyszała głos dawnego przyjaciela, pana Nobu? — spytałam. — Nie, niemożliwe... Dawno już zniknął z Gion.

Szofer zatrzasnął drzwiczki auta. Staliśmy w milczeniu, póki nie odjechał.

— Tak się cieszę, że mam okazję znów pana widzieć! — zawołałam, podchodząc bliżej. — Dobrze, że jest pan w cieniu, a nie w pełnym świetle.

— Bywa, że w ogóle nie rozumiem, o czym mówisz, Sayuri. Nauczyłaś się tego od Mamehy? A może to tradycja wszystkich gejsz z Gion?

— Gdy Nobu-san stoi w cieniu, nie widzę jego zagniewanej twarzy.

— Teraz pojmuje — odparł. — Myślisz, że się na ciebie gniewam?

— A jak inaczej wytłumaczyć zniknięcie przyjaciela? Pewnie mi pan teraz powie, że był pan zbyt zajęty, żeby odwiedzać Ichiriki.

— Uważasz, że to nieprawda?

— Tak się składa, że wiem wszystko o pańskich wizytach w Gion. Proszę nie pytać, skąd się dowiedziałam. Nie zdradzę nic więcej, jeśli nie pójdziemy na małą przechadzkę.

— Zgoda — odparł Nobu. — Mamy przyjemny wieczór...

— Nie tak. Powinien pan powiedzieć: „Nie odmawia się starej przyjaciółce, zwłaszcza tej, której tak długo nie widziałem”.

— Chodźmy na spacer — mruknął. — Pretekst zostawiam tobie.

Skłoniłam mu się lekko i powędrowaliśmy alejką prowadzącą do parku Maruyama.

— Nobu-san chce, abym uwierzyła, że się naprawdę nie gniewa? — spytałam. — W takim razie nie może warczeć jak głodna pantera. Nic dziwnego, że biedna Takazuru jest taka wystraszona...

— Rozmawiała z tobą? — burknął. — A to mała szelma...

— Skoro jej pan nie lubi, to po co te ciągłe schadzki?

— Nigdy i nigdzie jej nie zapraszałem! To wszystko sprawka jej starszej siostry. Po co o niej mówimy? Może jeszcze popchniesz mnie w jej ramiona?

— Nobu-san, nie zamierzam pana w nic popychać. Od tygodni czatuję w tej alejce, z nadzieją, że pana spotkam.

To najwyraźniej dało mu do myślenia, bo przez kilka minut szliśmy w całkowitej ciszy.

— Nie ma się czemu dziwić — powiedział w końcu. — Umiesz postawić na swoim.

— A co miałam zrobić? — zawołałam. — Sądziłam, że pan na dobre zniknął. Nie miałam pojęcia, gdzie szukać, póki nie wpadła do mnie spłakana Takazuru. Źle ją pan potraktował.

— Bywało, że rzuciłem jakieś ostre słowo. Jesteś od niej mądrzejsza... i dużo piękniejsza. Miałaś rację, wściekłem się jak cholera.

Po tych słowach stanął i popatrzył na mnie zboląłym wzrokiem. Walczyłam z narastającym wzruszeniem. Nawet w późniejszym życiu rzadko który mężczyzna działał na mnie w ten sposób. Wstyd mi było, że źle go oceniłam. Z drugiej strony, muszę niechętnie przyznać, że mój żal był podszyty współczuciem.

— Kosztowało mnie to sporo trudów, lecz wreszcie ustaliłem, kto jest twoim donna — powiedział.

— Wystarczyło spytać. Nie robię z tego żadnej tajemnicy.

— Nieprawda. W Gion panuje zmowa milczenia. Wszędzie pytałem, kim jest ów donna. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Nie wiedziałbym do dzisiaj, gdybym pewnej nocy nie został sam na sam z Michizono.

Pięćdziesięcioletnią Michizono otaczała swoista legenda. Nie należała do najpiękniejszych kobiet, lecz wszystkich potrafiła wprowadzić w dobry nastrój, zabawianie marszcząc nos przy każdym przywitaniu.

— Popiliśmy trochę — ciągnął Nobu. — W krótkim czasie była kompletnie zalana. Szczerze i bez ociągania odpowiadała na wszystkie pytania.

— Zadał pan sobie aż tyle trudu?

— Żaden trud, świetnie się przy tym bawiłem. Wiesz co? Wiele straciłaś w moich oczach, odkąd wiem, że twoim donna jest karzeł w wojskowym mundurze, nie poważany przez nikogo.

— Nobu-san mówi, jakbym naprawdę miała jakiś wybór. Decyduję wyłącznie o tym, w co się ubrać, i to nie zawsze...

— Wiesz, dlaczego został kwatermistrzem? Bo nikt mu nie ufa. Byłem w wojsku, Sayuri. Rozumiem jego przełożonych. Równie dobrze mogłaś się związać z żebrakiem! I pomyśleć, że kiedyś tak cię lubiłem...

— Kiedyś? A teraz?

— Nie mam uznania dla głupców.

— Twarde słowa! Może mam zacząć płakać? Och, Nobu--san... Nazywa mnie pan głupią ze względu na mego danna?

— Gejsze... denerwująca grupa kobiet. Każda z was bez przerwy spogląda w almanach. „Nie pójdę dziś na wschód, bo horoskop twierdzi, że to nieszczęśliwy wybór” — powiedział z przekąsem. — Ale kiedy idzie o naprawdę poważne sprawy, odwracacie głowę w przeciwną stronę.

— Lepiej patrzeć w bok, niż zamykać oczy w obawie przed nieuniknionym.

— Tak? Tamtej pijanej nocy Michiozono powiedziała mi wiele ciekawych rzeczy. Jesteś córką okiya, Sayuri. Nie udawaj, że nie masz żadnych wpływów. Lepiej z nich skorzystaj, bo inaczej popłyniesz przez życie do góry brzuchem, niczym śnięta ryba.

— Chciałabym uwierzyć, że życie jest czymś więcej niż wodą niosącą zdechłe ryby.

— A jeśli nawet nie jest, to co z tego? Woda płynie z gór na rozmaite strony. Do ciebie należy wybór, w którą odnogę trafisz. Jeśli będziesz się szarpać, walczyć, zwijać... Jeśli użyjesz wszelkich dostępnych metod.

— O, właśnie. „Dostępnych” to bardzo dobre słowo.

— Zawsze znajdziesz okazję. Wystarczy tylko spojrzeć! Choćby ja, gdybym miał... nie wiem... przeżutą skórkę brzoskwini, umiałbym z niej skorzystać! Nie rzucałbym jej byle gdzie, lecz cisnął w kogoś, kogo naprawdę nie lubię!

— Nobu-san, mam rzucać skórkami od brzoskwini?

— Nie kpij, dobrze wiesz, o czym mówię. Coś nas łączy, Sayuri. Mnie nazywają „Jaszczurem”, a ty jesteś najpiękniejszą dziewczyną w Gion. Pierwszy raz, kiedy cię ujrzałem na turnieju sumo... Ile lat wtedy miałaś? Czternaście? Już wówczas przeczuwałem, że cudownie rozkwitniesz.

— Nobu-san był wobec mnie zawsze skłonny do przesadnych komplementów.

— Może masz rację. Myślałem, że potrafisz lepiej zadbać o siebie. Nawet nie rozumiesz, gdzie leży twoja przyszłość. Jak mogłaś związać się z kimś takim jak Generał? Ze mną miałabyś dużo lepiej. Szlag mnie trafia, jak o tym pomyśle! Gdy odejdziesz od Generała, nie zostaną ci nawet wspomnienia. W ten sposób chcesz zmarnować młodość? Kto głupio postępuje, jest głupcem, prawda?

Wciąż szarpana tkanina szybko się przeciera. Słowa Nobu waliły we mnie z tak ogromną siłą, że pękła sztywna maska, którą zawsze nosiłam za radą Mamehy. Dobrze, że gęsty cień skrywał moją rozpacz. Nie chciałam, aby Nobu widział mnie w tym stanie."Chyba jednak zrozumiał, dlaczego umilkłam, gdyż położył mi dłoń na ramieniu i obrócił twarzą do światła. Spojrzał mi prosto w oczy i westchnął, jakby z rozczarowaniem.

— Czemu wciąż cię uważam za starszą, niż jesteś? — zapytał po chwili. — Czasami zapominam o twoim wieku. Teraz pewnie zapytasz, dlaczego cię skrzyczałem.

— Pan Nobu zawsze będzie panem Nobu.

— Złość mnie bierze, gdy widzę, jak coś się marnuje. Musiałem ci o tym powiedzieć. Może tu zawiniła twoja młodość, a może moja wyobraźnia... W każdym razie zawiodłaś mnie, Sayuri.

— Nobu-san, proszę... Mówi pan straszne rzeczy. Nie wiem, czy jestem zdolna do życia według pańskich reguł...

— O jakich regułach mowa? Chcę tylko, żebyś miała szeroko otwarte oczy! Znaj swoje przeznaczenie i czekaj na okazję. Trudno takiej czujności wymagać od głupiutkiej Takazuru, ale...

— Czyż to nie Nobu-san ciągle nazywał mnie głupią?

— Jak się złość, to wygaduję różne niepotrzebne rzeczy.

— Zatem Nobu-san już przestał się złościć? Przyjdzie mnie odwiedzić w Ichiriki? Może zaprosi mnie gdzie indziej? Prawdę mówiąc, dziś wieczór nie mam wiele do roboty. Mogłabym zostać, jeśli tylko Nobu-san poprosi.

Dotarliśmy do rogu ulicy i stanęliśmy przed herbaciarnią.

— Nie poproszę — odparł i otworzył drzwi.

Mimo woli westchnęłam z głębi piersi. Tak, z głębi piersi, ponieważ w tym westchnieniu zawarta była niezliczona ilość innych, małych westchnień. Rozczarowania, złości, smutku... sama nie wiem co jeszcze.

— Och, Nobu-san... — powiedziałam. — Czasami pana nie rozumiem.

— Nadzwyczaj łatwo mnie zrozumieć — odparł. — Nie uganiam się za czymś, czego nie mogę osiągnąć.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wszedł do herbaciarni i zamknął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Lato tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku upłynęło dla mnie pod znakiem ciągłych przyjęć, wizyt, występów i sporadycznych spotkań z Generałem. Czasami byłam tak zmęczona, że po przebudzeniu czułam się niczym wiadro pełne gwoździ. Do południa odzyskiwałam siły i wtedy rodziło się pytanie, ile naprawdę zarabiam przy tych wszystkich trudach? Nie wierzyłam, że ktoś mi o tym powie. Pewnego dnia ze zdumieniem usłyszałam od Mamy, że w minionym półroczu miałam wyższe dochody niż Hatsumomo i Dynia razem wzięte.

— To znaczy, że najwyższa pora na zamianę pokoi — oznajmiła na koniec.

Nie sprawiło mi to spodziewanej radości. Przez ostatnie lata mijałyśmy się z Hatsumomo bez większych konfliktów. Wciąż jednak była śpiącym, a nie martwym tygrysem. W jej oczach decyzja Mamy nie miała nic wspólnego z „zamianą”; chodziło o rabunek.

Wieczorem rozmawiałam o tym z Mamehą. Przyznałam się do strachu przed gniewem Hatsumomo.

— Nic nie szkodzi — powiedziała Mameha. — Musi wciąż być bita, póki nie zacznie broczyć krwią. Na razie do tego nie doszło. Niech skorzysta z szansy i przysporzy sobie dodatkowych kłopotów.

Następnego ranka Ciocia wkroczyła na piętro okiya, by osobiście dopilnować przeprowadzki. Najpierw zaprowadziła mnie do pokoju Hatsumomo i pokazała, w którym kącie mam złożyć wszystkie swoje rzeczy; nikt poza mną nie mógł ich ruszać. Potem w moim pokoju w ten sam sposób wygospodarowała miejsce dla Hatsumomo i Dyni. Po zmianie stron przeprowadzka miała być zakończona.

Przez całe popołudnie krążyłam w tę i z powrotem po korytarzu. Niestety ze względu na wojenne nastroje nie zdołałam zgromadzić tylu pięknych rzeczy i obiektów sztuki, co Mameha. Władze wojskowe zakazały sprzedaży kosmetyków — uznano je za zbędny luksus. W Gion, co prawda, niezbyt czujnie przestrzegano podobnych zakazów, gdyż tu właśnie było miejsce zabaw rządzącej elity. Skończyła się jednak moda na drogie podarunki. Dobytek, jaki zgromadziłam przez minione lata, składał się z kilku zwojów, kamieni do tuszu, wazonów i kolekcji zdjęć

trójwymiarowych, wraz z prześliczną przegładarką ze szczerego srebra, którą ofiarował mi aktor kabuki, Onoe Yoegoro XVII. Przeniosłam wszystko — przybory toaletowe, bieliznę, książki oraz czasopisma — i złożyłam to w wyznaczonym kącie. Hatsumomo i Dynia nie ruszyły swych rzeczy do wieczora. Trzeciego dnia po lekcjach postanowiłam, że jeśli znowu znajdę pachnidła Hatsumomo na swojej toalecie, to zwrócę się o pomoc do Cioci.

Po powrocie do okiya spostrzegłam ze zdumieniem, że drzwi obu pokoi są szeroko otwarte. Pośrodku korytarza leżał stłuczony słoik z białym kremem. Działo się coś dziwnego. Weszłam do pokoju. Hatsumomo siedziała przy moim stoliku, popijała coś, co wyglądało na wodę, i czytała pamiętnik. Mój pamiętnik!

Gejsze nic nie mówią o swoich klientach, więc zdziwisz się, gdy usłyszysz, że przed laty, gdy wciąż jeszcze byłam praktykantką, w sklepie papierniczym kupiłam piękny notes, by w nim spisać dzieje mojego życia. Nie byłam aż tak głupia, żeby zdradzać istotne tajemnice. Pisałam tylko o uczuciach i własnych przemyśleniach. Jeżeli wspominałam o konkretnej osobie, nadawałam jej jakiś pseudonim. Na przykład Nobu występował jako „Pan Tsu”, gdyż czasami cmokał w rozmowie, co brzmiało właśnie jak „tsu!”. Prezes skrywał się pod imieniem „Pan Haa”, bo kiedyś, po głębszym wdechu, wypuścił powietrze z głośnym „haa!”, a ja wyobraziłam sobie, że coś mówi do mnie podczas wspólnego spaceru. Ani przez chwilę nie myślałam, że ktoś poza mną może to przeczytać.

— Och, Sayuri, jak dobrze, że już jesteś! — zawołała Hatsumomo. — Nie mogłam się doczekać, żeby ci powiedzieć, jak bardzo mi się podoba twój mały pamiętnik. Niektóre opisy są wprost nadzwyczajne... Styl masz całkiem niezły. Trochę jeszcze kłopotów z kaligrafią...

— Widziałaś, co jest napisane na pierwszej stronie?

— Chyba nie. Zobaczmy... „Własność osobista”. No, właśnie, to najlepszy przykład kiepskiej kaligrafii...

— Hatsumomo, odłóż pamiętnik i natychmiast wyjdź z pokoju.

— Coś takiego! Sayuri! Chciałam ci tylko pomóc! Posłuchaj chwilę, a na pewno zrozumiesz. Oto przykład: dlaczego Nobu Toshikazu nosi dziwaczne określenie „Tsu”? Nie pasuje do niego. Mogłaś go nazwać „Pan Bąbel” albo „Pan Jednoręki”. Mam rację? Zmień to, nawet nie musisz mi dziękować.

— W ogóle nie wiem, o czym mówisz. Nigdzie nie pisałam o Nobu.

Hatsumomo westchnęła widząc, że nie potrafię kłamać i przerzuciła kilka kartek.

— Skoro o nim nie piszesz, to do kogo pasuje ta scena? Zaraz, zaraz... jest. „Czasami widzę, jak Pan Tsu czerwienieje z gniewu pod spojrzeniem gejszy. Sama zaś mogę patrzeć nań, jak długo zechcę, i nie robi mi żadnych wymówek. Chyba mnie lubi za to, że nie drażni mnie jego pomarszczona skóra i brak ręki...”. Skoro znasz jeszcze kogoś, kto wygląda dokładnie jak Nobu, to musisz doprowadzić do ich spotkania! Będzie to doprawdy interesujący widok.

Miałam rozpacz w sercu — nie potrafię tego inaczej określić. Co innego, gdy ktoś odkryje twój sekret, co innego, gdy tak się stanie przez twoją własną głupotę... Mogłam mieć pretensje wyłącznie do siebie, że nie schowałam go głębiej. Sklepikarzowi, który zostawia otwartą wystawę, nie wolno złorzeczyć na deszcz, że mu zniszczył towary.

Chciałam wyrwać pamiętnik Hatsumomo, lecz odskoczyła i mocno przycisnęła go do piersi. Drugą ręką zabrała ze stolika szklanek z domniemaną wodą. Dopiero teraz doleciała mnie ostra woń sake. Piła.

— Sayuri... wiem, że chcesz pamiętnik z powrotem. Oddam ci go. — Jakby wbrew tym słowom ruszyła w stronę drzwi. — Oddam... kiedy go przeczytam. Idę do siebie... chyba że pozwolisz, abym pewne fragmenty pokazała Mamie. Będzie zaskoczona widząc, co o niej nawypisywałaś.

Wspomniałam wcześniej o stłuczonym słoiku z kremem. To cała Hatsumomo — bałagani i nawet nie wezwie służby. Teraz jednak poniosła nieprzyjemną karę. Podpita, nie patrzyła nawet gdzie stąpa i weszła w szkło. Syknęła, przez chwilę spojrzała na nogę i poszła dalej, do swojego pokoju.

Pośpieszyłam za nią, nie bardzo wiedząc, co robić. Początkowo myślałam, żeby użyć siły... lecz potem sobie przypomniałam, co Mameha powiedziała na turnieju sumo. Walka z Hatsumomo była najprostszym rozwiązaniem. Lepiej było poczekać, aż uspokojona dojdzie do przekonania, że naprawdę wygrała. Dobry pomysł... pod warunkiem że wcześniej nie zdąży schować pamiętnika.

Zamknęła drzwi. Stałam w korytarzu i zawołałam cicho:

— Hatsumomo-san, przepraszam, że się zezłościłam. Mogę wejść?

— Nie — odpowiedziała.

Mimo to weszłam. W jej pokoju panował okropny nieład. Najwyraźniej podczas przeprowadzki wszystko rzuciła tam, gdzie popadło. Teraz owijała stopę ręcznikiem. Pamiętnik leżał na stole. Nie wiedziałam, jak zmylić jej czujność, lecz zdecydowałam, że nie wyjdę, nie odzyskawszy łupu.

To, że miała charakter szczura wodnego, nie znaczyło, że brakowało jej konceptu. Gdyby była trzeźwa, na pewno nie zdołałabym jej przechytrzyć. Ale w tym stanie... Rozejrzałam się po pokoju, po stertach bielizny, po flakonikach perfum i innych rozrzuconych rzeczach. Drzwi szafy były szeroko otwarte, podobnie jak szkatułka, w której trzymała kosztowności. Część biżuterii wypadła na podłogę. Hatsumomo lubiła się stroić do kieliszka. Nagle pewien przedmiot zwrócił moją uwagę jak samotna gwiazda na smolście czarnym niebie.

Była to szmaragdowa broszka. O jej kradzież została oskarżona kilka lat temu, w noc, którą Hatsumomo spędziła w służbówce z kochankiem. Nigdy nie sądziłam, że ją kiedyś znajdę. Podeszłam do szafy, schyliłam się i zamknęłam broszkę w dłoni.

— Świetnie! — ucieszyła się Hatsumomo. — Proszę, kradnij. Wolę gotówkę, którą ci przyjdzie zapłacić.

— Cała przyjemność po mojej stronie — powiedziałam. — Jak myślisz, ile za to dostanę?

Z bliska pokazałam jej broszkę. Uśmiech zniknął z jej twarzy, jak cień uchodzący z doliny przed promieniami wschodzącego słońca. Wykorzystałam tę chwilę osłupienia, spokojnie zabrałam pamiętnik i opuściłam pokój.

Nie wiedziałam, co zrobi Hatsumomo, lecz zamknęłam za sobą drzwi. Mogłam wprawdzie od razu iść do Mamy i pokazać jej, co znalazłam, ale nie chciałam tego robić z pamiętnikiem w ręku. Szybko odsunęłam drzwi szafy na kimona i wsunęłam notatnik między dwie warstwy ubrań owiniętych w papier. Zabrało mi to zaledwie kilka sekund, lecz bałam się, że za chwilę zobaczy mnie Hatsumomo. Prosto od szafy pobiegłam do pokoju i parę razy trzasnęłam szufladą toaletki, jakbym to tam szukała odpowiedniej skrytki.

Gdy wyszłam na korytarz, Hatsumomo stała w progu własnego pokoju i obserwowała mnie z lekko rozbawionym uśmiechem. Udałam zdenerwowaną — prawdę mówiąc, wcale nie musiałam udawać — i zaniosiłam broszkę do Mamy. Położyłam ją na stole. Mama odsunęła gazetę i obejrzała świecidelko.

— Piękna rzecz — powiedziała. — Ale ma niewielką wartość na czarnym rynku. Nie chcą dziś płacić za klejnoty.

— Hatsumomo na pewno zapłaci — odparłam. — Mamo, pamiętasz broszkę, którą rzekomo skradłam i której wartość dopisałaś do mojego długu? To właśnie ona. Znalazłam ją na podłodze, obok kasetki z biżuterią Hatsumomo.

— Rzeczywiście! — zawołała rzeczona Hatsumomo, wchodząc do pokoju Mamy i stając tuż przy mnie. — Sayuri ma zupełną rację. To ta, którą zgubiłam! Przynajmniej wygląda tak samo. Nie sądziłam, że ją kiedyś odzyskam.

— Trudno cokolwiek znaleźć, będąc ciągle pijaną — powiedziałam. — Starczyło, żebyś głębiej zajrzała do kasetki.

Mama odłożyła broszkę na stół i złym wzrokiem spojrzała na Hatsumomo.

— Znalazłam to w jej pokoju — broniła się Hatsumomo. — W toalecie.

— Dlaczego zaglądałaś do jej toaletki? — spytała Mama.

— Nie wiem, czy powinnam ci o tym mówić, Mamo... Usiłowałam schować coś, co należało do Sayuri. Nieopatrznie zostawiła na stole... pamiętnik. Pokazywała mi go w zeszłym roku. Wypisuje w nim różne sprośne rzeczy o mężczyznach, ale... ale jest tam też parę zdań o tobie.

Doszłam do wniosku, że w tym wypadku nie muszę mówić prawdy. Zresztą to nie miało większego znaczenia. Hatsumomo wpadła po uszy i nic z tego, co powiedziała, nie polepszało jej sytuacji. Dziesięć lat temu, gdy to ona stanowiła główny majątek okiia, mogła mnie oskarżyć dosłownie o wszystko. Mogła twierdzić, że zjadłam tatami w jej pokoju, a Mama kazałaby mi zapłacić za nowe. Ale czasy uległy zmianie. Błyskotliwa kariera Hatsumomo należała już do przeszłości, a moja właśnie teraz zaczynała naprawdę rozkwitać. Byłam córką okiia i główną gejszą. Mama nawet się nie kłopotowała z ustaleniem prawdy.

— Nie ma żadnego pamiętnika — oznajmiłam stanowczo. — To wymysł Hatsumomo.

— Tak? — zapytała gejsza. — Poczekaj, aż go znajdę. Zobaczysz, co powie Mama na twoje wypociny.

Popędziła do mojego pokoju. Mama i ja poszłyśmy za nią. Podłoga w korytarzu na piętrze przedstawiała żalony widok. Nie dość, że Hatsumomo stłukła słoik i jeszcze w niego weszła, to na dodatek rozmazała maść z krwią po podłodze i — co

gorsza — po matach we własnym pokoju, pokoju Mamy i teraz ostatecznie w moim. Patrzyłam, jak miotała się przy toaletce. Wreszcie z wolna zasunęła szuflady, przyznając się do przegranej.

— O jakim pamiętniku mówiła Hatsumomo? — spytała mnie Mama.

— Gdyby taki istniał, na pewno by go znalazła — odparłam.

Hatsumomo złożyła ręce na udach i parsknęła śmiechem, jakby to całe zamieszanie było zwyczajną grą, w której została sprytnie pokonana.

— Zapłacisz Sayuri za broszkę, o której kradzież fałszywie ją oskarżyłaś — oznajmiła Mama. — Co więcej, nie chcę widzieć w okiwa zakrwawionych tatami. Na twój koszt zostaną wymienione. Sporo już dziś wydałaś, a dopiero minęło południe. Może zaczekam do wieczora, żeby podliczyć ostateczną sumę?

Hatsumomo jej nawet nie słuchała. Wpatrywała się we mnie z dziwnym wyrazem twarzy. Takiej jej jeszcze nie widziałam.

Gdybyś znał mnie za młodu i spytał, co było punktem zwrotnym w moich kontaktach z Hatsumomo, odpowiedziałabym, że mizuage. Z drugiej strony, chociaż to właśnie mizuage wywindowało mnie na wyższą półkę, niedostępną dla zawistnej gejszy, mogłybyśmy żyć spokojnie, obok siebie, aż do późnej starości. Teraz widzę, że prawdziwie przełomową chwilą okazała się sprawa pamiętnika i broszki.

Żeby ci to nieco lepiej wyjaśnić, powtórzę, co pewnego wieczora w herbaciarni Ichiriki powiedział admirał Yamamoto Isoroku. Nie należał do grona moich dobrych znajomych — choć powinnam była zabiegać o jego względy, skoro go uważano za „ojca Floty Wojennej Cesarstwa Japońskiego” — ale kilkakrotnie spotkaliśmy się na bankietach. Był nieduży, lecz laska dynamitu także nie imponuje wielkością. Gdy przychodził, przyjęcie nabierało werwy. Tej nocy pił na umór z jakimś innym gościem. Założyli się, kto więcej potrafi wypić, a przegrany miał kupić prezerwatywę w najbliższej aptece. Chodziło oczywiście o zwykłą zabawę. Jak było do przewidzenia, admirał wygrał i cała sala wybuchnęła radosną wrzawą.

— Dobrze, że tak się stało! — zawołał jeden z adiutantów. — Wyobraźcie sobie minę aptekarza, gdyby z drugiej strony lady zobaczył admirała!

Wszyscy parsknęli śmiechem, lecz admirał z powagą stwierdził, że nigdy nie wątpił w wygraną.

— Każdy czasem przegrywa — odezwała się jedna z gejsz. — Nawet pan, admirale.

— Każdy? Być może — odparł. — Ja nigdy. Niektórzy uważali to za nadmiar pychy. Osobiście byłam

innego zdania. W moich oczach admirał rzeczywiście wyglądał na takiego, co potrafi wyłącznie zwyciężać. Ktoś spytał, w czym tkwi źródło jego ciągłych sukcesów.

— Nie próbuję pokonać przeciwnika — odparł Yamamoto. — Staram się zniszczyć wiarę w jego własne siły. Zwątpienie to najprostsza droga do przegranej. Ludzie są równi — naprawdę równi — tylko wtedy, gdy każdy z nich mocno wierzy w siebie.

Nie dostrzegałam tego wówczas, lecz walka o pamiętnik, parafrazując słowa admirała, „posiała zamęt w głowie Hatsumomo”. Udowodniła jej, że Mama przeszła na moją stronę. Hatsumomo była teraz jak piękne kimono, wyjęte z ciepłej szafy i wystawione na dwór, na deszcz i słońce.

Podejrzewam jednak, że w tej kwestii Mameha miałaby odmienne zdanie. Całkiem inaczej niż ja patrzyła na pewne sprawy. Uważała, że Hatsumomo i tak dąży do samozagłady, więc wystarczy ją skierować na odpowiednią drogę. Być może miała rację; nie wiem. Prawdą jest, że w latach, które upłynęły po moim mizuage, Hatsumomo cierpiała na postępujące „schorzenie charakteru”, jeśli można tak się wyrazić. Piła bez umiaru i przestała panować nad własnym zachowaniem. Przedtem posługiwała się dowcipem jak doświadczony szermierz — biła tylko we wrogów, nie w przypadkowych świadków. Później chlastała wszystkich, jak popadnie, nie pamiętając, kogo ma przy sobie. Dostawało się nawet Dyni. Na przyjęciach obrażała gości i co najgorsze — straciła na urodzie. Miała obrzmiałą twarz i bardzo szorstką skórę. A może tylko ja to dostrzegałam? Jeśli na wielkim i wspaniałym drzewie widzisz robaki i poczerniałe końcówki liści, sam pień — choć nietknięty — wydaje ci się parszywy.

Wszyscy wiedzą, że najgroźniejszy jest ranny tygrys. Mameha doszła do wniosku, że warto przez pewien czas skrupulatnie obserwować Hatsumomo. Nie chciałyśmy, by wszem wobec rozgłaszała o moim pamiętniku; Nobu mógłby rozpoznać, że „Haa” to w istocie Prezes. Dla Mamehy była to okazja, żeby jeszcze bardziej uprzykrzyć jej życie.

— Jeśli chcesz złamać deskę, nie wolno ci poprzestać na jednej próbie — powiedziała. — Musisz po niej skakać tak długo, aż pęknie.

Tak więc prawie co wieczór, w dni wolne od innych zobowiązań, Mameha przychodziła do okiya i czekałyśmy na Hatsumomo. Potem szłyśmy za nią. Nawet gdy jedna z nas miała jakieś sprawy, druga nie przerywała ciągłej inwigilacji. Za pierwszym razem Hatsumomo była tym rozbawiona. Pod koniec czwartego dnia zezowała na nas nienawistnym wzrokiem i z wyraźnym przymusem zabawiała gości. Wreszcie, na początku kolejnego tygodnia, odwróciła się do nas na ulicy.

— Chodźcie, pieski! — zawołała. — Chcecie trochę po-węszyć? A wiecie, co się robi z takimi psami? Może się przekonamy, czego naprawdę nie lubią?

Uniosła rękę, żeby uderzyć Mamehę w twarz. Krzyknęłam głośno, więc chyba zastanowiła się, co robi. Przez chwilę wlepiała w nas gorejące spojrzenie, potem odeszła. Wielu przechodniów widziało to zdarzenie. Kilkoro nawet podeszło do Mamehy pytając, czy wszystko w porządku.

— Biedna Hatsumomo! — powiedziała. — Lekarz chyba miał rację. Coś jej się pomieszało w głowie.

Lekarza oczywiście nie było, ale słowa Mamehy odniosły zamierzony skutek. Wkrótce już w całym Gion mówiono o postępującej chorobie psychicznej Hatsumomo.

Hatsumomo przez wiele lat była blisko związana z pewnym aktorem kabuki, Bando Shojiro VI. Był to onna-gata, czyli stały odtwórca ról kobiecych. W jednym z wywiadów przyznał, że w swojej scenicznej pracy wzoruje się na zachowaniu „najpiękniejszej z pięknych”, czyli Hatsumomo. Od tamtej pory zawsze się spotykali, gdy tylko odwiedzał Gion.

Raz przypadkowo usłyszałam o przyjęciu w dzielnicy gejsz Pontocho, w którym miał uczestniczyć Shojiro. Pontocho leżało po drugiej stronie rzeki. Wieść o bankiecie dotarła do mnie podczas ceremonii herbacianej dla grupy oficerów marynarki wojennej. Po jej zakończeniu natychmiast pośpieszyłam do okiya, lecz Hatsumomo już się ubrała i wyszła. Specjalnie umknęła wcześniej, żeby nikt jej nie śledził. Pobiegłam więc do Mamehy. Pokojówka wyjaśniła mi, że jej pani przed półgodziną udała się na modły. Wiedziałam, o co chodzi: Mameha bardzo często odwiedzała maleńką świątynię na wschodnim krańcu Gion, gdzie stały ufundowane przez nią trzy

posążki Jizo. To bóg-opiekun wszystkich zmarłych dzieci. Trzy posążki Mamehy były symbolem trzech aborcji, które dokonała z polecenia Barona. W innym wypadku pewnie poszłabym jej poszukać, ale w tak osobistych sprawach nie zamierzałam jej przeszkadzać. Pewnie nawet wołała trzymać to w tajemnicy. Postanowiłam więc poczekać w jej mieszkaniu. Tatsuiiri poczęstowała mnie brązową herbatą ze świeżo prażonych liści. Po pewnym czasie wróciła Mameha. Wyglądała na nieco zatroskaną. Nie mogłam od razu zacząć od najważniejszej sprawy, więc przez chwilę gawędziłyśmy o nadchodzącym „Festiwalu Wieków”, na którym miała odegrać rolę autorki Opowieści o księciu Genji, damy Murasaki Shikibu. Wreszcie z wątlým uśmiechem uniosła głowę znad czarki. Powiadomiłam ją o swoim najnowszym odkryciu.

— Znakomicie! — zawołała. — Hatsumomo będzie przekonana, że tym razem zdołała nas przechytryć. W towarzystwie Shojiro rozbłyśnie dawnym blaskiem. Przypelźniemy tam, niczym swąd z zapadłej alejki, i zupełnie popsujemy jej wieczór.

Mimo wszystkich krzywd i niechęci, jaką odczuwałam do Hatsumomo, nie umiałam się z tego cieszyć. Plan Mamehy nie sprawiał mi żadnej przyjemności. Przypomniałam sobie pewne wydarzenie z dzieciństwa. Pływałam wtedy w stawie opodal trzęsichatki i nagle poczułam piekący ból w ramieniu. Użądliła mnie osa. Wrzeszczałam jak szalona, póki jeden z chłopców nie oderwał mi osy od ciała. Złapał ją za skrzydełka, położył na kamieniu i głośno spytał wszystkich, jaką śmiercią ma za karę zginąć. Bolało mnie i wcale nie czułam sympatii do osy, ale nie mogłam patrzeć na jej szamotaninę. Była taka bezradna w obliczu bezwzględного losu... Tę samą litość odczuwałam teraz wobec Hatsumomo. Wieczorna pogoń wokół Gion, aż do powrotu do okiia, wydawała mi się zadawaniem wyrafinowanych tortur.

Jakkolwiek było, o dziewiątej wieczór minęłyśmy most wiodący do Pontocho. W odróżnieniu od szeroko rozpostartego Gion, Pontocho to zaledwie jedna długa ulica, ciągnąca się nad brzegiem rzeki. Ze względu na swój kształt popularnie zwą ją „węgorzowym leżem”. Jesień była dość chłodna, lecz Shojiro podejmował gości na dworze, na drewnianej, przeszklonej werandzie, stojącej na palach nad wodą. Gdy stanęłyśmy w drzwiach, nikt nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi. Werandę oświetlały papierowe lampiony, a rzeka błyszczała złotem w blasku padającym z okien restauracji i domów po drugiej stronie. Shojiro, otoczony gronem wiernych słuchaczy, coś opowiadał wysokim, śpiewnym głosem. Hatsumomo odwróciła głowę i przypadkowo spojrzała w naszą stronę. W tym momencie przypominała mi

rozgniecioną gruszkę, którą miałam w ręku zaledwie dzień wcześniej. Na tle roześmianych twarzy wyglądała jak okropny siniak.

Mameha przykleknęła na matach tuż obok rywalki, co uznałam za dużą odwagę z jej strony. Sama zajęłam miejsce po drugiej stronie, u boku dystyngowanego starca. Po chwili wiedziałam już, że to słynny muzyk, Tachibana Zenzaku, mistrz gry na koto. Kilka jego starych, trzeszczących płyt zachowałam do dzisiaj. Tamtej nocy odkryłam też, że Tachibana był ślepy. Okazał się tak znakomitym gawędziarzem, że rozmawiałam z nim z prawdziwą przyjemnością, zapomniawszy, po co tu naprawdę przyszedłam. Nie minęło jednak wiele czasu, gdy głośny wybuch śmiechu przyciągnął moją uwagę.

Shojiro był znakomitym parodystą. Wiotki jak wierzbowa gałąź, miał kształtne palce i pociągłą twarz, którą umiał poruszać w doprawdy niezwykły sposób. Gdyby chciał, mógłby w dużym stadzie udawać najprawdziwszą małpę. W chwili gdy nań spojrzałam, przybrał postać siedzącej za nim, może pięćdziesięcioletniej gejszy. Wyglądał tak jak ona — te same wydęte usta, to samo spojrzenie... Nie wiedziałam, czy śmiać się do rozpuku, czy wpatrywać się w niego w niemym osłupieniu. Widywałam go już na scenie, ale teraz przeszedł sam siebie.

Tachibana pochylił się w moją stronę.

— Co on robi? — szepnął.

— Naśladuje pewną starszą gejszę, która siedzi za nim.

— Ach... to pewnie Ichiwari — powiedział Tachibana i klepnął mnie w plecy, chcąc mieć pewność, że słucham. — Dyrektor teatru Miznamiza — dodał i pod stołem, ukradkiem wyprostował mały palec. Taki gest w Japonii oznacza „kochankę” lub „kochanka”. Pokazywał w ten sposób, że Ichiwari była konkubina dyrektora. Pan dyrektor zresztą dominował wśród gości, śmiejąc się głośniejsze od innych.

Chwilę później, w dalszym ciągu występu, Shojiro przytknął nagle palec do nosa. Gromki śmiech wstrząsnął palami werandy. Nie wiedziałam wówczas, że Ichiwari znana była z tego, że wciąż pociągała nosem. Zaczerwieniła się jak burak i zakryła twarz rękawem. Mocno już podpity Shojiro sparodiował i to zachowanie. Tym razem śmiech był dużo cichszy, gdyż zachwiana została granica między naśladownictwem i zwykłą drwiną. Tylko Hatsumomo klaskała jak szalona.

— Shojiro-san! — zawołał dyrektor teatru. — Proszę zachować siły na jutrzejszy występ. Wie pan, że w naszym gronie mamy jedną z najlepszych tancerek z Gion? Może da się namówić na niewielki pokaz.

Oczywiście chodziło mu o Mamehę.

— Nie, nie... Nie chcę żadnych tańców — odparł Shojiro. Przez następne lata zdążyłam zauważyć, że lubił, gdy patrzono wyłącznie na niego. — Znakomicie się bawię.

— Shojiro-san, nie możemy stracić tak dobrej okazji, by obejrzyć taniec przesławnej Mamehy — powiedział dyrektor bez cienia humoru w głosie. Poparło go kilka gejsz. Shojiro wreszcie, z miną zaciętego chłopca, poprosił Mamehę o występ. Nie wzbudziło to entuzjazmu Hatsumomo. Nalała sake aktorowi, a potem sobie. Wymienili przeciągłe spojrzenia, jakby stracili chęć do dalszej zabawy.

Minęło kilka minut, zanim służąca przyniosła shamisen. Jedna z gejsz uderzyła w struny. Mameha stanęła na tle ściany herbaciarni i wykonała parę krótkich tańców. Wszyscy ją podziwiali za urodę, lecz rzadko kto przyznawał, że jest piękniejsza od Hatsumomo. Nie wiem więc, co w niej przyciągnęło uwagę Shojiro. Może po prostu był pijany, a może podziwiał jej ruchy, bo sam potrafił całkiem nieźle tańczyć. W każdym razie gdy skończyła, z zachwytem zaskoczony, proponował jej miejsce obok siebie. Nalał jej czarkę sake w i usiadł tyłem do Hatsumomo, jakby miał do czynienia ze zwykłą dzierlatką.

Hatsumomo zacisnęła usta; oczy miała wąskie jak szparki. Mameha zaś beztrudnie flirtowała z aktorem. Mówiła modulowanym głosem i wciąż wodziła wzrokiem po jego piersiach i twarzy. Czasami unosiła rękę do szyi, chcąc się ukryć przed przelotnym rumieniem. Oczywiście żadnego rumieńca nie było, ale robiła to w tak przekonujący sposób, że nikt się nie zorientował. Nagle jedna z gejsz zapytała, co porabia Bajiru-san.

— Ach, Bajiru-san! — dramatycznie zawołał Shojiro. — Odszedł ode mnie!

Nie miałam najmniejszego pojęcia, o kim rozmawiają, dopiero Tachibana uprzejmie wyjaśnił mi szeptem, że tajemniczy Bajiru-san to angielski aktor Basil Rathbone, bliżej mi wówczas nie znany. Shojiro przed kilku laty przebywał w Londynie, na gościnnych występach teatru kabuki. Rathbone tak go podziwiał, że z pomocą tłumacza zadzierzgnęli swoistą przyjaźń. Shojiro lubił się obracać w towarzystwie pięknych kobiet, takich jak Hatsumomo lub Mameha, ale „prywatnie”

był homoseksualistą. Od powrotu z Anglii rozповідаł wokół, że ma złamane serce, gdyż Rathbone nie gustował w mężczyznach.

— Smutny koniec romansu — westchnęła gejsza. Wszyscy się roześmieli, z wyjątkiem Hatsumomo. Złym wzrokiem patrzyła na Shojiro.

— Pokażę wam, gdzie tkwi różnica między mną i Bajiru — oznajmił aktor. Wstał i wyciągnął dłoń do Mamehy. Przeszli na drugą stronę, gdzie było więcej miejsca.

— Ja na scenie wyglądam w ten sposób — powiedział. Lekkim krokiem prześliznął się przez tłum gości, zalotnie trzepocząc wachlarzem i kiwając głową na boki, jak piłką na huśtawce.

— Bajiru-san wygląda tak.

Chwycił zaskoczoną Mamehę, przegiął wpool i obsypał jej twarz namiętymi pocałunkami. Śmiechom i oklaskom nie było końca. Tylko Hatsumomo siedziała w milczeniu.

— Co on robi? — szeptem zapytał Tachibana. Choć mówił bardzo cicho, Hatsumomo go usłyszała.

— Struga wariata! Ot, i wszystko! — krzyknęła.

— Jesteś zazdrosna, Hatsumomo-san? — zapytał Shojiro.

— Oczywiście! — wtrąciła Mameha. — Musi pan to powtórzyć z jej udziałem. Dalej, Shojiro-san! Proszę się nie wstydzić! Niech pan ją pocałuje.

Shojiro, choć z trudem, dźwignął Hatsumomo na nogi. Potem, ku uciesze tłumu, przegiął ją w tył i... poderwał głowę z głośnym krzykiem, chwytając się za usta. Ugryzła go. Nie na tyle, żeby zaczął krwawić, ale wystarczająco mocno, by go przestraszyć. Stała teraz, złośliwie mrużąc oczy i gniewnie szczerząc zęby. Uderzyła go w twarz. To znaczy, celowała w twarz, lecz pijana źle wymierzyła i cios wylądował na uchu.

— Co się stało? — dopytywał się Tachibana. W panującej ciszy jego słowa zabrzmiały głośno jak dźwięk dzwonu. Nie odpowiedziałam; wystarczyło, że słyszał bolesny syk Shojiro i głośne sapanie Hatsumomo.

— Hatsumomo-san, proszę... — odezwała się Mameha spokojnym głosem, zupełnie nie pasującym do tej sytuacji. — Zrób to dla mnie... Postaraj się zapanować nad nerwami.

Nie wiem, czy jej słowa obliczone były na zamierzony efekt, czy Hatsumomo do reszty straciła rozum, w każdym razie z wściekłym okrzykiem rzuciła się na Shojiro i zaczęła go okładać pięściami. Chyba naprawdę oszalała. Dyrektor teatru zerwał się od stołu i skoczył, by ją powstrzymać. W środku całego zamieszania Mameha po cichu sprowadziła właścicielkę herbaciarni. Dyrektor chwycił Hatsumomo od tyłu i przycisnął jej ręce do ciała. Sądziłam, że już po wszystkim, gdy Shojiro nagle odzyskał całą werwę.

— Ugryzłaś mnie, potworze! — krzyknął tak głośno, że echo zadudniło wśród budynków po drugiej stronie rzeki.

Nie wiem, co by się jeszcze stało, gdyby nie spokojna interwencja szefowej herbaciarni. Odciągnęła aktora na bok i ukradkiem dała znać dyrektorowi, żeby zabrał Hatsumo-mo. Jak się później dowiedziałam, nie zamknął jej w pokoju, lecz odprowadził do frontowych drzwi i po prostu wyrzucił na ulicę.

Tej nocy Hatsumomo nie wróciła do okiia. Gdy zjawiała się następnego dnia, śmierdziało od niej jak z klozetu i miała mocno potargane włosy. Mama wezwała ją do siebie. Dłuższy czas przesiadywały za zamkniętymi drzwiami.

Kilka dni później Hatsumomo odeszła od nas. Ubrana była w zwykłą bawełnianą odzież, podarowaną jej przez Mamę, a włosy — jak nigdy dotąd — miała luźno rozpuszczone na ramiona. Niosła ze sobą torbę z osobistym dobytkiem oraz biżuterią. Nie pożegnała się z nikim, tylko najzwyczajniej w świecie wyszła. Nie postąpiła tak z własnej woli; Mama ją wyrzuciła. Zdaniem Mamehy próbowała to zrobić od dawna. Nie mam pojęcia, gdzie tkwi prawda, chociaż nieraz słyszałam w okiia, że mamy zbyt wiele gęb do wykarmienia. Hatsumomo zarabiała mało, a kłopoty z zaopatrzeniem były coraz gorsze.

Nie udało jej się znaleźć innego miejsca w Gion. Nawet nie chodziło o incydent z Shojiro. Głównym powodem był jej charakter. Wszyscy wiedzieli, że jest jak czajnik, który pewnego dnia może sparzyć rękę właściciela. Nikt nie chciał ryzykować.

Dokładnie nie wiem, co się z nią stało. Parę lat po wojnie słyszałam, że skończyła jako prostytutka w dzielnicy Miyagawa. Nie mogła być tam długo, gdyż jeszcze tej samej nocy jeden z moich gości stwierdził, że w takim razie on chętnie ją zatrudni. Przeszukał całą Miyagawę, lecz nigdzie jej nie znalazł. Podejrzewam, że zapłała się na śmierć. Nie pierwsza gejsza, która tak skończyła.

Podobnie jak człowiek z czasem przyzwyczajają się do drewnianej nogi, tak my przywykłyśmy do życia z Hatsumomo. Żadna z nas nawet nie podejrzewała, jak znaczące były jej wpływy. Dopiero potem, kiedy pewne rzeczy wróciły do normy, uwolniłyśmy się od koszmaru. Hatsumomo, nawet gdy spała, wywoływała strach wśród służących, bo wiedziały, że z nadejściem dnia czeka je kolejna porcja tortur. Żyły w ciągłym napięciu, jakby stąpały po cienkim lodzie. Dynia z kolei całkowicie uległa jej władzy i bez starszej siostry czuła się zagubiona.

Nawet ja nabrałam paru przyzwyczajajeń, których źródła należy upatrywać w kontaktach z Hatsumomo. Długo po jej odejściu łąpałam się na tym, że myślałam, co powie na moje zachowanie. Gdy wchodziłam po schodach na piętro okiia, spuszczałam wzrok w obawie, że znów ją zobaczę, gotową do złorzeczeń. Nie umiem zliczyć, ile razy dopiero na samej górze przypominałam sobie, że przecież jej nie ma. Wiedziałam, że odeszła, a mimo to korytarz zachował coś z jej groźnej obecności. Teraz, na starość, kiedy czasem unoszę kawałek brokatu, zasłaniający lustro na mojej toaletce, towarzyszy mi przelotna myśl, że ujrzę jej złośliwie uśmiechnięte odbicie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Okres od Kryzysu do końca drugiej wojny światowej nosi w Japonii nazwę kurotani, dolina mroku. Wielu ludzi zachowywało się wówczas jak dzieci, które przypadkowo zniknęły pod wodą. Jak to zwykle bywa, w Gion żyło nam się stosunkowo najlepiej. Japonia lat trzydziestych tonęła w gęstym mroku, ale nad nami ciągle prześwitywało słońce. Nie muszę chyba wyjaśniać dlaczego. Te z nas, które były kochankami ministrów i admirałów, dzieliły się szczęściem z innymi. Gion było niczym górski staw, zasilany przez wodę z rozmaitych źródeł. Tu i tam wprawdzie wpadał większy strumień, lecz ostatecznie była to ta sama woda.

Ze względu na osobę generała Tottori, jeden większych strumieni trafiał właśnie do nas. Mijały lata, a wokół działo się gorzej i gorzej. Zaczęto racjonować żywność, choć my ciągle dostawałyśmy regularnie prowiant, herbatę, pościel, a nawet towary „luksusowe”, jak czekoladę czy kosmetyki. Mogłyśmy trzymać to dla siebie i żyć za zamkniętymi drzwiami, lecz w Gion panowały odmienne zasady. Mama po prostu wyzbywała się większości rzeczy nie dlatego, że była szczególnie hojna, ale dlatego, że na wzór pajaków wszystkie razem tkwiłyśmy w jednej wielkiej sieci. Co jakiś czas ktoś wpadał z prośbą o pomoc i nigdy nie odchodził odprawiony z kwitkiem. Jesienią czterdziestego pierwszego roku patrol żandarmerii zatrzymał służącą, u której znaleziono dziesięciokrotnie więcej kartek na żywność, niż było przewidziane dla jej okiia. Na prośbę właścicielki ukryłyśmy dziewczynę u nas, do czasu aż nie wyjechała na wieś, do rodziny. Wszyscy w Gion handlowali na lewo kartkami; lepsze okiia miały ich najwięcej. Służąca trafiła do nas, gdyż Generał kazał swoim podwładnym zostawić nas w spokoju. Widzisz więc, że nawet w górskim stawie taplałyśmy się niczym ryby w najcieplejszej wodzie.

Coraz gęstszy mrok zapadał nad Japonią, aż nadeszła chwila, że nawet u nas pogasły ostatnie światła. Stało się to dość nagle, w ciągu jednej chwili, w grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, kilkanaście dni przed sylwestrem. Jadłam

śniadanie, a raczej pierwszy posiłek, gdyż od rana sprzątałam na powitanie Nowego Roku — gdy usłyszałam donośne wołanie przed wejściem. W pierwszej chwili myślałam, że to posłaniec, ale zaraz potem przybiegła do mnie służąca z wiadomością, że jakiś żandarm domaga się rozmowy z Mamą.

— Żandarm? — spytałam. — Powiedz, że Mama wyszła.

— Już mu mówiłam, proszę pani. Chce się widzieć z panią.

Wyszłam do sieni. Żandarm właśnie zdejmował buty. Każdy na moim miejscu odetchnąłby z ulgą, widząc, że ma pistolet w kaburze, a nie w ręku, lecz mówiłam już, że w okiia rządziły inne prawa. Żandarm lub policjant bywał zawsze grzeczniejszy od wszystkich innych gości, by nas zbytnio nie straszyc swoją wizytą. Skoro zdejmował buty... znaczyło, że chce wejść, nie czekając na dalsze zaproszenie.

Ukloniłam mu się, lecz spojrział na mnie bez wyrazu, jakby mi mówił „później”. Podciągnął skarpetki, zsunął na nos czapkę i oznajmił, że chce obejrzeć nasz ogród warzywny. Nic więcej, ani słowa przeprosin lub czegoś w tym stylu. W owych czasach wszyscy w Kioto — i chyba w całym kraju — przerabiali ogródki na warzywniki. Wszyscy prócz nas, ma się rozumieć. Generał Tottori dostarczał nam tyle pożywienia, że nie musiałyśmy uprawiać jarzyn. Ogród był porośnięty mchem i kwiatami, z maleńkim klonem w kącie. Miałam nadzieję, że ze względu na zimową porę żandarm jedynie spojrzy na stwardniałą ziemię oraz zeschłe resztki roślin i pomyśli, że posadziłyśmy dynię i pataty. W milczeniu pozwoliłam mu wejść na dziedziniec. Kucnął i przesunął palcami po grządkach; przypuszczam, że chciał sprawdzić, czy ostatnio były spulchniane. Usiłowałam coś powiedzieć.

— Nie uważa pan, że śnieg na polach przypomina pianę na falach oceanu?

Tylko tyle mi przyszło do głowy.

Nie odpowiedział. Wstał i spytał, gdzie rosną warzywa.

— Panie oficerze... — zaczęłam. — Błagam o wybaczenie, ale nie miałyśmy czasu posadzić warzyw. Teraz grunt jest zmarznięty i twardy...

— Zatem sąsiedzi mieli rację — warknął. Zdjął czapkę. Wyjął kartkę z kieszeni i zaczął odczytywać długą listę naszych okropnych przewinień. Nie pamiętam wszystkich: pokątne gromadzenie materiałów bawełnianych, niedopełnienie obowiązku odstąpienia

wszelkich metali i gumy na potrzeby wojska, bezprawne korzystanie z kartek żywnościowych i tak dalej. Prawda, robiłyśmy to, ale w ten sam sposób postępowaly też inne okiya. Naszą najgorszą zbrodnią było to, że przez dłuższy czas cieszyłyśmy się dobrą passą.

Na szczęście dla mnie w tej chwili wróciła Mama. Nie zaskoczył jej widok żandarma. Zachowywała się nadzwyczaj grzecznie, jak wobec najlepszego gościa. Zabrała go do salonu i poczęstowała nielegalną herbatą. Siedzieli za zamkniętymi drzwiami, lecz słyszałam, że o czymś rozmawiają. Po pewnym czasie Mama wyszła, niby w jakiejś sprawie. Odciągnęła mnie na bok i powiedziała:

— Dziś rano aresztowano generała Tottori. Schowaj nasze najlepsze rzeczy, bo jutro zostaniemy bez niczego.

Dawno temu, w Yoroido, lubiłam kąpać się w stawie w chłodne wiosenne dni, a potem leżeć na słońcu, na rozgrzanych skałach. Kiedy słońce znikalo za przelotną chmurą, powiew wiatru dotykał mnie jak zimny metal. To samo wrażenie miałam, gdy usłyszałam o losie Generała. Słońce zgasło — być może na zawsze — i zostałam naga i mokra w lodowatym świetle. W tydzień od wizyty żandarma z okiya zniknęło wszystko, co inni już dawniej utracili. Żywność, bielizna i tak dalej. Do tej pory Mameha brała od nas herbatę; przeznaczała ją na łapówki. Teraz jej zapasy były większe od naszych, więc role się odwróciły. Pod koniec miesiąca „sąsiedzkie stowarzyszenie” skonfiskowało nam ceramikę i kilka zwojów, z przeznaczeniem na sprzedaż na „szarym rynku”. Szary rynek różnił się od czarnego. Na czarnym handlowano olejem napędowym, żywnością, złomem i tym podobnym towarem — zwykle reglamentowanym lub wycofanym z oficjalnego handlu. Szary rynek był czystszy — dostępny dla gospodyń sprzedających swoje najlepsze rzeczy w celu zdobycia odrobiny gotówki. Naszym dobrem handlowano za karę, więc pieniądze dostały się innym. Szefowa „sąsiedzkiego stowarzyszenia”, też właścicielka okiya, ze wstydem przychodziła do nas, by zabrać kolejny przedmiot. Taki był rozkaz żandarmerii i musiała go słuchać.

Pierwsze lata wojny przypominały ekscytujący rejs po morzu, lecz mniej więcej w połowie czterdziestego trzeciego roku okazało się, że nasz okręt coraz gorzej znosi napór fali. Wszyscy baliśmy się utonąć; wielu naprawdę utonęło. Nie chodziło tylko o trudy

codziennego życia — z wolna zaczęliśmy wątpić w korzystny dla nas wynik wojny. Nikt się nie śmiał. Wesołość traktowano za obrazę patriotycznych uczuć. Jedyny żart, jaki usłyszałam w tym czasie, pochodził od gejszy imieniem Raiha. Od miesięcy krążyły pogłoski, że władze wojskowe planują zamknięcie wszystkich okiya w Japonii. Z czasem wyszło na jaw, że to szczerą prawdą. Zastanawialiśmy się, co dalej.

— Nie warto tracić czasu na czcze rozmyślenia — odezwała się nagle Raiha. — Przyszłość zawsze wygląda blado, a przeszłość jeszcze gorzej.

Co w tym śmiesznego? Nic, lecz tamtego wieczora chichotałyśmy aż do łez. Po zamknięciu dzielnicy gejsz czekała nas praca w fabryce. Żebyś lepiej zrozumiał, na czym to polegało, opowiem ci historię o Korin.

Poprzedniej zimy zdarzyła się tragedia, przed którą drżały wszystkie gejsze w Gion. Służąca chciała podgrzać wodę w łaźni, podpaliła gazetę i spowodowała pożar. Spłonął cały dom, łącznie z kolekcją kimon. Korin musiała iść na południe miasta do fabryki soczewek, produkującej urządzenia optyczne dla bombowców. Czasami odwiedzała Gion. Strach było na nią patrzeć. Przygnębiona — to jeszcze mogłyśmy zrozumieć, gdyż każda żyła pod presją różnych nieszczęść — i brudna, jakby polana tuszem. W fabrykach używano najgorszego węgla, więc wszystko pokrywała gruba warstwa sadzy. Chroniczny kaszel stał się dla Korin tak charakterystyczny, jak śpiew dla słowika. Pracowała pełne dwie zmiany i raz dziennie dostawała miskę wodnistej zupy z odrobiną makaronu lub ryż gotowany w łupinach ziemniaków.

Żadna z nas nie chciała iść do fabryki. Każdego ranka tuż po przebudzeniu dziękowałyśmy bogom, że Gion jeszcze działa.

Pewnego styczniowego dnia, gdy w gęsto padającym śniegu, z kartkami w ręku, stałam w długiej kolejce po przydział ryżu, w drzwiach sąsiedniego sklepu ukazała się czyjaś głowa.

— Stało się!

Powiodłyśmy po sobie wzrokiem. Byłam tak zmarznięta, że nie wiedziałam, o co naprawdę chodzi. Okrywał mnie tylko szal, narzucony na zwykłą wiejską odzież. Nikt już nie chodził w kimonie. Stojąca przede mną gejsza odgarnęła śnieg z brwi i spytała:

— Niby co? Koniec wojny?

— Rząd ogłosił zamknięcie dzielnic rozrywki — padła odpowiedź. — Jutro rano wszystkie macie się zgłosić do rejestracji.

Przez chwilę słyszałyśmy szmer radia, dobiegający z wnętrza sklepu. Potem trzasnęły zamykane drzwi i znów nic nie było poza padającym śniegiem. Z rozpaczą popatrzyłam na najbliższej stojące dziewczęta. Wiedziałam, że każda z nas myśli o tym samym: kto mnie uratuje przed pracą w fabryce?

Generał Tottori, choć był moim danna, utrzymywał kontakty z niejedną gejszą. Musiałam z nim pomówić przed innymi. Nie byłam odpowiednio ubrana, lecz wsunęłam kartki do kieszeni spodni i bez chwili zwłoki ruszyłam w stronę północno-zachodniej dzielnicy miasta. Generał podobno mieszkał w gospodzie Suruya, tej samej, w której niegdyś dwa razy na tydzień urządzał nam schadzki.

Dotarłam tam po godzinie, zziębnięta i cała pokryta śniegiem. Skłoniłam się przed właścicielką, ale ona odparła, że widzi mnie po raz pierwszy w życiu.

— To ja, Sayuri... Chciałam pomówić z Generałem.

— Sayuri-san! Na niebiosa... A to się doczekałam... Wygląda pani niczym żona zwykłego wieśniaka.

Wprowadziła mnie do środka, ale nie pozwoliła na rozmowę z Generałem, póki się nie przebrałam w jedno z jej kimon. Pomogła mi nawet zrobić niewielki makijaż. Na koniec stwierdziła, że wreszcie choć trochę jestem podobna do siebie.

Generał Tottori siedział w pokoju, słuchając jakiejś audycji radiowej. Spod luźnego szlafroka prześwitywała mu chuda pierś i kilka strzępków siwych włosów. Widać było, że ostatnie lata spędził w gorszych warunkach ode mnie. Oskarżono go o potworne zbrodnie: niedbalstwo, niekompetencję, nadużycie władzy i tak dalej. Wielu twierdziło, że miał szczęście, iż w ogóle uniknął więzienia. Jakiś żurnalista pomówił go nawet o spowodowanie klęski Cesarskiej Floty na południowym Pacyfiku. Podobno nie nadążał z dostawami. Różni ludzie różnie znoszą tego rodzaju przykrości. Generał najwyraźniej ugiął się pod nadmiarem nieszczęść. Twarz wydawała się zniekształcona i cuchnęła kwasem. W przeszłości zawsze otaczała go woń kwaszonych ogórków. Teraz zapach był inny, lecz równie nieprzyjemny.

— Świetnie pan wygląda, Generale — skłamałam. — Co za szczęście, że znów pana widzę!

Wyłączył radio.

— Nie jesteś pierwsza, która tu przyszła — odparł. — Nie potrafię ci pomóc, Sayuri.

— Prawie biegłam! Jak ktoś mógł mnie wyprzedzić?

— Przez cały tydzień odwiedzały mnie różne gejsze. Niestety nie mam już żadnych wpływów. Nie wiem, czego tu szukasz. Byłaś przecież lubiana w najlepszych kręgach.

— Być lubianą nie znaczy, że ma się przyjaciół.

— To prawda. O co mnie chciałaś prosić?

— O każdą dostępną pomoc, Generale. Wszyscy mówią, jak okropna jest praca w fabryce...

— Życie będzie okrutne dla tych, co przetrwają. Reszta nie doczeka nawet końca wojny.

— Nie rozumiem.

— Niedługo polecą bomby — odparł Generał. — Możesz być pewna, że najwięcej ich spadnie na fabryki. Jeśli dożyjesz, znajdź kogoś, kto cię schowa w bezpiecznym miejscu. Niestety u mnie nie znajdziesz pomocy. Wyczerpałem już wszystkie możliwości.

Spytał o zdrowie Mamy i Cioci, a potem mnie pożegnał. Po pewnym czasie się dowiedziałam, dlaczego „wyczerpał możliwości”. Właścicielka Suruya miała młodą córkę; Generał wysłał ją na północ Japonii.

W drodze powrotnej do okiia postanowiłam, że muszę *działać*. Ba, ale jak? Z niemałym trudem odpychałam narastające przerażenie. Poszłam do nowego mieszkania Mamehy. Przed kilkoma miesiącami rozstała się z Baronem i musiała wynająć dużo mniejsze lokum. Myślałam, że mi coś poradzi, lecz była wystraszona nie gorzej ode mnie.

— Baron mi nie pomoże — mówiła blada jak ściana. — Do innych nie potrafię dotrzeć. Znajdź kogoś, Sayuri, tak szybko jak tylko możesz.

Od czterech lat nie widziałam Nobu; nie tędy droga. Jeśli zaś chodzi o Prezesa... Cóż, mogłam z nim najwyżej porozmawiać. Żadnych próśb. Wprawdzie w czasie spotkań traktował mnie bardzo miło, lecz nigdy nie zapraszał na swoje przyjęcia, jeśli nawet tam były mniej znane gejsze. Czułam się pokrzywdzona, ale co miałam robić? Zresztą, gdyby

nawet próbował mi pomóc, dużo ostatnio czytałam o jego zatargach z wojskiem. Miał własne kłopoty.

Resztę dnia spędziłam na kłującym mrozie, wędrując od herbaciarni do herbaciarni i pytając o ludzi, których nie widywałam miesiącami. Nikt mi nie potrafił udzielić właściwych informacji.

Wieczorem w Ichiriki trwały pożegnalne przyjęcia. Każda z nas w inny sposób przyjęła nowiny. Jedna wyglądała, jak gdyby wydarto z niej duszę, inna znów siedziała niczym posąg Buddy — spokojna i piękna, lecz pokryta grubą warstwą smutku. O sobie nic nie wiem. Umysł mi pracował z prędkością liczydła. Układałam plany, co zrobię, co powiem... Prawie nie dosłyszałam wołania służącej, że jestem proszona do innego pokoju. Pomyślałam, że to wezwanie od kolejnych gości, ale nie, zaprowadzono mnie na piętro i długim korytarzem, aż na tył budynku. Tam weszłam do maleńkiej izby, w której nigdy dotąd nie byłam. Przy stole, samotny nad szklanką piwa, siedział Nobu.

— Rozczarowałaś mnie, Sayuri! — mruknął, zanim zdążyłam powiedzieć choć słowo.

— Na wszystkich bogów! Od czterech lat nie zaszczycił mnie pan swym towarzystwem. Teraz zaś słyszę o rozczarowaniu. Czym zawiniłam przez tak krótką chwilę?

— Spodziewałem się, że na mój widok szeroko otworzysz usta.

— Prawdę mówiąc, ledwie stoję na nogach ze zdumienia.

— Wejdz i każ zamknąć drzwi. Przedtem powiedz służącej, żeby przyniosła szklankę i jeszcze jedno piwo. Jest co oblewać.

Zrobiłam, o co prosił, i przycupnęłam po drugiej stronie stołu. Czułam na sobie gorejące spojrzenie Nobu. Poczzerwieniałam jak pod dotknięciem słońca, gdyż zdążyłam po trochu odwyknąć od takich wyrazów zainteresowania.

— Trochę się zmieniłaś — powiedział. — Nie mów tylko, że głodujesz jak wszyscy inni. Wiem, że potrafisz sobie radzić.

— Nobu-san także trochę zeszczupłał.

— Mam dość jedzenia, tylko brak mi czasu na regularne posiłki.

— Cieszę się, że przynajmniej pan nie narzeka na niedostatek zajęć.

— Co ty wygadujesz? Jak ktoś się chowa pod ostrzałem, to mu zazdrościsz, że ma co robić?

— Mam nadzieję, że tu nie chodzi o pańskie życie...

— Nie, nikt mnie nie chce zabić. Z drugiej strony, to koncern Iwamura jest całym moim życiem. Wówczas odpowiedź brzmi: tak, drzę o życie. A co się stało z twoim danna?

— Pan General, jak większość z nas, ma się zupełnie dobrze. To bardzo miło z pana strony, że pan zapytał.

— Wcale nie zamierzałem być miły.

— Ostatnio rzadko kto mu naprawdę dobrze życzy. Ale zmieńmy temat. Nobu-san, czy mam sądzić, że codziennie pan bywał w Ichiriki, kryjąc się przede mną w tym maleńkim, dziwnym pokoju?

— Prawda, że dziwny? W całej herbaciarni tylko stąd nie widać ogrodu. Okna wychodzą na ulicę.

— Widzę, że Nobu-san naprawdę się tu zadomowił.

— Nic podobnego. Jestem tu po raz pierwszy. Lekko wydułem usta, by pokazać, że mu nie wierzę.

— Myśl, co chcesz, Sayuri, ale to prawda. Nigdy przedtem nie byłem w tym pokoju. Podejrzewam, że pełni funkcję podręcznej sypialni, jeśli któryś z gości chce zostać na noc. Wprowadzono mnie tutaj, gdy wyjaśniłem, z czym przychodzę.

— Więc jest i tajemnica... Znalazł pan powód do odwiedzin. Dowiem się, o co chodzi?

— Słyszę, że służąca wraca z naszym piwem — odparł Nobu. — Powiem ci, jak wyjdzie.

Służąca odsunęła drzwi, weszła i postawiła piwo na stole. W latach wojny był to prawdziwy rarytas, więc z zachwytem patrzyłam na złocisty płyn w szklankach. Po odejściu dziewczyny Nobu wznosił toast:

— Zdrowie twojego danna!

Odstawiłam szklankę.

— Nobu-san, są chwile, że bawi nas to samo. Teraz jednak, choćbym nie wiem jak myślała całymi tygodniami, nie rozumiem, dlaczego chce pan pić w ten sposób.

— Ujmę to nieco jaśniej: wypijmy za głupotę twojego danna! Cztery lata temu powiedziałem ci, że jest nic niewart. Udowodnił, że miałem rację, prawda?

— Prawda... że już nie jest moim danna.

— Właśnie! Gdyby nawet był, nie udzieliliby ci pomocy. Wiem, że Gion mają zamknąć. Wszyscy wpadli w panikę. Dziś rano zadzwoniła do mnie pewna gejsza — nie zdradzę która — i spytała, czy nie miałbym dla niej pracy.

— Mogę spytać, co pan odpowiedział?

— Nie mam pracy dla nikogo, zaledwie dla siebie. Nawet Prezes, jak nie przyjmie rządowych zleceń, wkrótce wyleci z siodła i skończy w więzieniu. Przekonał ich, że nie mamy odpowiednich maszyn do produkcji magazynków i bagnetów. Teraz się domagają całego myśliwca! Myśliwca? Wytwarzamy części elektryczne! Czasem się zastanawiam, co oni mają w głowach.

— Nobu-san, powinien pan mówić nieco ciszej.

— A kto nas usłyszy? Ten twój General?

— Skoro wspomniiał pan o Generale... Dzisiaj rano poszłam do niego po pomoc.

— Ciesz się, że go zastałaś jeszcze przy życiu.

— Chorował?

— Nie... Pewnego dnia, jak nabierze odwagi, po prostu się zastrzeli.

— Nobu-san, błagam...

— Wcale ci nie pomógł, prawda?

— Prawda. Powiedział, że już wyczerpał wszelkie możliwości.

— O wiele się nie postarał. Dlaczego nie zachował ciut władzy dla ciebie?

— Nie widziałam go już od roku...

— Mnie od ponad czterech. Mimo to potrafię ci naprawdę pomóc. Dlaczego najpierw nie przyszałaś do mnie?

— Byłam pewna, że pan się gniewa! Proszę na siebie spojrzeć. O co się miałam zwrócić do takiego człowieka?

— O cokolwiek. Mogę cię uchronić nawet przed fabryką. Znam idealną kryjówkę. Wierz mi, jest najlepsza, jak gniazdo dla ptaka. Tylko tobie ją oddam, Sayuri. Zrobię to, jeśli teraz skłonisz się do samej ziemi i przyznasz, że się pomyliłaś cztery lata temu. Masz rację, jestem wściekły! Któreś z nas mogło zginąć przed następnym spotkaniem. Mogłem stracić tę jedyną szansę. Mało, że mnie odtrąciłaś! Własne najlepsze lata oddałaś głupcowi, który nawet nie umiał służyć ojczyźnie! Nie mówię już, że tobie. Teraz sobie spokojnie żyje, jakby nic się nie stało!

Wyobrażasz sobie, jak się czułam? Nobu używał słów niczym ciężkich kamieni. Mniejsza o ich znaczenie, bardziej liczył się sposób jego wypowiedzi. Nie chciałam płakać, w lot jednak zrozumiałam, że do tego właśnie próbował mnie zmusić. Płacz przyszedł mi bez trudu, byłam niczym gładka kartka, którą trudno nawet utrzymać w palcach. Każda łza była za coś innego. A miałam czego żałować! Płakałam więc za Nobu i za samą siebie, i za wszystko, co się z nami stało, nawet za Generała i za biedną, starą i przedwcześnie posiwiąłą Korin. Potem zrobiłam, co mi kazał. Odsunęłam się od stołu i skłoniłam się do podłogi.

— Bardzo przepraszam za moją głupotę.

— Wstawaj. Wystarczy mi, jak powiesz, że drugi raz nie popełnisz tego samego błędu.

— Nie popełnię.

— Każda chwila, którą z nim spędziłaś, była z góry spisana na straty! Mówiłem, że tak będzie, prawda? Chyba dość się nauczyłaś, by podążyć za przeznaczeniem.

— Pójdę za przeznaczeniem, Nobu-san. Niczego więcej nie pragnę od życia.

— Miło mi to słyszeć. A gdzie wiedzie twoje przeznaczenie?

— Do człowieka, który kieruje koncernem Iwamura. Oczywiście myślałam o Prezesie.

— Właśnie. Teraz napijmy się piwa.

Ledwo zwilżyłam usta — byłam zbyt przejęta, by myśleć o picciu. Nobu wyjawiał mi, czym jest jego „gniazdo”. Chodziło mu o dom wiernego przyjaciela, twórcy kimon, Arashino Isamu. Nie wiem, czy go pamiętasz... Przed wieloma laty był głównym gościem na przyjęciu w rezydencji Barona, razem z Nobu i Doktorem Krabem. Dom pana

Arashino, połączony z pracownią, wznosił się nad brzegiem Karno, jakieś pięć kilometrów od Gion. Jeszcze do niedawna wraz z żoną i córką szył kimona w przepięknym stylu Yuzen. Teraz — jak wszyscy krawcy z branży jedwabniczej — zajmował się produkcją spadochronów. Takiej pracy mogłam się szybko nauczyć, a pan Arashino zgodził się mnie przyjąć. Nobu już załatwił niezbędne zezwolenie. Zapisał mi na kartce adres Arashino.

Dziękowałam mu dziesiątki razy. Wyraźnie go to rozbroiło. Chciałam zaproponować przechadzkę po świeżym śniegu, lecz w tej samej chwili popatrzył na zegarek i jednym haustem wysączył resztkę piwa.

— Sayuri — powiedział. — Nie wiem, kiedy znów się zobaczymy i jak będzie wówczas wyglądało oblicze świata. Czeka nas jeszcze wiele okropności. W takich chwilach będę myślał o tobie. Jesteś żywym dowodem na to, że dobroć i piękno wciąż istnieją.

— Nobu-san! Powinien pan zostać poetą!

— Wiesz dobrze, że we mnie nie ma nic z poety.

— Więc w ten czarujący sposób mówi pan o rozstaniu? Miałam nadzieję na króciutki spacer.

— Za zimno na spacer. Odprowadź mnie do drzwi, tam się pożegnamy.

Zeszłam za nim po schodach i przykucnęłam w progu, żeby pomóc mu włożyć buty. Potem sama wzięłam wysokie drewniane geta. Chodziłam w nich ze względu na obfitość śniegu. Odprowadziłam Nobu aż na ulicę. Dawniej, tak jak zwykle, wsiadłby do samochodu, teraz tylko członkowie rządu mieli własne auta. Brakowało benzyny. Zaproponowałam, że pójdziemy razem do tramwaju.

— Nie chcę towarzystwa — burknął. — Mam spotkanie z naszym dystrybutorem w Kioto. Potrzebuję odrobiny spokoju.

— Przyjemniejsze było pożegnanie, które wygłosił pan na górze.

— Mogłaś tam zostać.

Ukloniłam się na do widzenia. Większość ludzi odchodząc spogląda za siebie. Nobu szedł przez śnieg energicznym krokiem, potem skręcił w aleję Shijo i zniknął. Ciągle trzymałam kartkę z adresem pana Arashino. Ścisnęłam ją tak mocno, jakbym

chciała ją zmiazdżyć. Nie wiedziałam, dlaczego wciąż się boję. Popatrzyłam na padający śnieg, potem na głębokie ślady, które zostawił Nobu, i wreszcie zrozumiałam, co mnie gnębi. Nobu... Spotkam go jeszcze kiedyś? A Prezesa? Wrócę do Gion? Jako dziecko zostałam pozbawiona rodzinnego domu. Chyba pamięć o tym potęgowała moje poczucie samotności.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Sądziysz pewnie, że młoda gejsza jak ja, otoczona tłumem wielbicieli, znalazłaby wybawienie nawet bez pomocy Nobu. Niestety gejsza w potrzebie w niczym nie przypomina rzuconego klejnotu, po który każdy chętnie sięga. Z setek żyjących w Gion, każda — co do jednej — uparcie walczyła o przetrwanie. Tylko kilka znalazło rzetelne schronienie. Z każdym dniem, gdy mieszkalam z rodziną Arashino, narastał mój dług wdzięczności w stosunku do Nobu.

Następnej wiosny odkryłam, że miałam dużo szczęścia. Dowiedziałam się wówczas, że Raiha zginęła podczas bombardowania Tokio. To właśnie ona powiedziała kiedyś, że przeszłość jest bardziej mętna od przyszłości. Jej matka także była znaną gejsza, ojciec zaś potomkiem poważanej kupieckiej rodziny. Dziewczęta z Gion miały całkowitą pewność, że kto jak kto, lecz ona przetrwa wojnę. W chwili śmierci podobno czytała książkę jednemu z młodszych kuzynów. Mieszkała wówczas u ojca, w tokijskiej dzielnicy Denen-chofu, i czuła tam się bezpiecznie jak w Kioto. Dziwnym trafem w tym samym nalocie zginął wielki zapaśnik sumo Miyagiyama. Oboje żyli we względnym luksusie. Dynia natomiast, skazana kiedyś przeze mnie na przegraną, przeżyła wojnę, chociaż fabryka soczewek w Osace była bombardowana pięć czy sześć razy. Nie ma żadnej reguły, kto przetrwa, kto zginie. Mameha ocalała, pracując jako pielęgniarka w niewielkim szpitalu w prefekturze Fukui. Jej pokojówka Tatsumi zginęła od straszliwej bomby w Nagasaki. Garderobiany, pan Itchoda, zmarł na zawał serca podczas ćwiczeń przeciwlotniczych. Pan Bekku, choć pracował w bazie morskiej w Osace, też jakoś dotrwał do końca wojny. Tak samo generał Tottori, który zmarł dopiero w połowie lat pięćdziesiątych, do końca życia mieszkając w gospodzie Suruya. Baron... ten także przeżył, choć w pierwszych latach okupacji utopił się we własnym wspaniałym stawie, z żalu za utraconym tytułem i majątkiem. Podejrzewam, że nie potrafił żyć w nowym świecie, gdzie nikt nie chciał spełniać jego zachcianek.

Jeśli zaś chodzi o Mamę, to ani przez chwilę nie wątpiłam, że da sobie radę. Przy jej zdolnościach czerpania zysków z nieszczęść innych ludzi, w zupełnie naturalny sposób, bez zgrzytów, wtopiła się w szary rynek. Na wojnie zarobiła, nie zbiedniała,

„pośrednicząc" w handlu różnymi towarami. Gdy pan Arashino pozbywał się części zbiorów, prosił mnie zawsze o kontakt z Mamą. Wiele kimon sprzedawanych w Kioto przechodziło właśnie przez jej ręce. Pan Arashino miał nadzieję, że Mama, za odpowiedni procent, przechowa jego rzeczy aż do czasu, gdy będzie mógł je odkupić. Nigdy tak się nie stało. Nie mogła ich znaleźć — przynajmniej tak twierdziła.

Przez lata dobrze mi się żyło z rodziną Arashino. W dzień szyłam spadochrony, nocie przesyślałam wraz z córką i wnukiem pana Arashino, na materacach rozłożonych w pracowni. Mieliliśmy tak mało węgla, że często paliliśmy liśćmi i gazetami — czym było można. Najbardziej brakowało żywności. Nawet nie wiesz, co jedliśmy: łupiny fasoli sojowej, na ogół przeznaczone dla trzody, oraz dziwaczny nukapan, robiony z otrębów ryżowych, smażonych w pszennej mące. Wyglądało to niczym stara, wysuszona skóra, chociaż moim zdaniem skóra smakowałaby lepiej. Czasem trafiały się ziemniaki lub pataty, suszone mięso wieloryba, kiełbasa wyrabiana z fok i sardynki, które do tej pory w Japonii wykorzystywane były jako nawóz. Tak schudłam, że w Gion nikt ze starych znajomych by mnie nie poznał. Wnuczek pana Arashino, Juntaro, często płakał z głodu. Pan Arashino sprzedawał wówczas kolejne kimono ze swojej słynnej kolekcji. Japończycy nazywali to „cebulowym życiem" — ciągle płacząc, zdejmowało się kolejną skórę.

Pewnej nocy, wiosną czterdziestego czwartego roku, gdy mieszkałam u nich zaledwie trzy miesiące, przeżyliśmy pierwszy nalot. Niebo było przejrzyste. Wyraźnie widzieliśmy ciemne sylwetki bombowców i deszcz gwiazd — przynajmniej tak to wyglądało — zrywających się z ziemi i znaczących nieboskłon białymi punktami wybuchów. Obawialiśmy się, że w każdej chwili usłyszymy upiorny gwizd i że całe Kioto stanie w płomieniach. To oznaczałoby prawdziwy koniec. Kioto jest delikatne niczym skrzydła ćmy — raz zniszczone, nie dałoby się odbudować jak Osaka, Tokio czy jeszcze inne miasta. Bombowce jednak poleciały dalej. Nie tylko wtedy; zawsze tak robiły. Przez kilka nocy oglądałam czerwoną lunę nad Osaką. Zdarzało się, że gęsta sadź wirowała w powietrzu jak jesienne liście. Tak, nawet w Kioto, odległym o pięćdziesiąt kilometrów od Osaki. Wyobrażasz sobie, jak bardzo drżałam o Nobu i Prezesa? Główne zakłady Iwamury były przecież w Osace. Obaj tam mieli domy, podobnie jak w Kioto. Zachodziłam w głowę, co się dzieje z Satsu. Od dnia jej ucieczki podświadomie żyłam w

przekonaniu, że kiedyś zdołamy się gdzieś odnaleźć. Myślałam, że przyśle list do Nitta okiya lub że zajrzy do Kioto, aby mnie odszukać. Kiedyś jednak, gdy poszłam z małym Juntaro na spacer nad rzekę i zabawiałam go rzucaniem do wody kamieni, zrozumiałam, że Satsu nigdy nie przyjedzie. Teraz, kiedy sama żyłam jak żebraczka, wiedziałam, że jej nie stać na dalekie podróże. Pewnie nawet bym jej nie rozpoznała na ulicy... A list? Znowu byłam głupia. Czemu wcześniej nie przyszło mi do głowy, że Satsu wcale nie znała nazwy okiya? Nie mogła do mnie napisać, chyba że z pomocą pana Tanaki, a tego przecież nigdy by nie zrobiła. Mały Juntaro wciąż ciskał kamyczki do wody. Przycupnęłam obok i ochlapałam sobie twarz, niby dla ochłody. Uśmiechnęłam się do malca. Chyba to pomogło, bo Juntaro nawet nie zauważył, co się naprawdę we mnie dzieje.

Niedola jest jak uporczywy wichur. Nie tylko każe tkwić ciągle w tym samym miejscu, ale też zrywa wszystko, co da się zerwać, i zostawia obnażone postacie. Nie daje żadnych złudzeń. Córka pana Arashino w czasie wojny straciła męża. Potem interesowały ją tylko dwie rzeczy: opieka nad małym synkiem i szycie żołnierskich spadochronów. Nie znajdowała innego celu życia. Chudła w oczach i wszyscy dobrze wiedzieli, gdzie ginie każdy gram jej wątłego ciała. Pod koniec wojny trzymała się Juntaro, jakby był zrębem skały, chroniącym ją przed upadkiem w przepaść.

Kiedyś już biedowałam, zatem pozornie nowa sytuacja była dla mnie jedynie przypomnieniem tamtych odległych czasów. Odkryłam nagle, że mimo przebogatych strojów, recitali tańca i wyszukanych konwersacji moje życie w Gion toczyło się tak prosto, jak kamień spadający z góry. Przez dziesięć lat myślałam tylko o tym, jak przyciągnąć uwagę Prezesa. Teraz, dzień po dniu, patrzyłam na rzekę Kamo przepływającą obok pracowni. Czasem rzuciłam w nią jakiś płatek lub źdźbło trawy wiedząc, że popłynie z wodą aż do Osaki, a potem dalej, do morza. Być może Prezes uniesie wzrok znad biurka, też popatrzy na rzekę i na widok płątka, choć raz pomyśli o mnie? Potem jednak zaczęło dręczyć mnie coś innego. Przecież Prezes mógł myśleć o setkach różnych rzeczy, niekoniecznie związanych ze mną. Zawsze był dla mnie dobry, to prawda. Lecz dobroć była cechą jego charakteru. Nigdy mi nie okazał, że poznaje we mnie dziewczynę, którą kiedyś pocieszył. Nigdy nie dał znaku, że jest choć trochę świadom gnębiących mnie uczuć.

Wreszcie doszłam do smutnego wniosku — smętniejszego nawet niż odkrycie, że już nigdy nie zobaczę Satsu. Całą noc walczyłam z myślą, co się stanie, gdy dojrnę do kresu życia i nie zdobędę sympatii Prezesa. Następnego ranka pilnie przejrzałam almanach, w nadziei, że pomoże mi znaleźć rozwiązanie. Chyba pan Arashino spostrzegł moją rozterkę, gdyż wysłał mnie po igły do sklepu odległego o pół godziny drogi. Kiedy szłam z powrotem poboczem szosy, omal nie zginęłam pod kołami wojskowej ciężarówki. W owej chwili byłam najbliżej śmierci. Dzień później przeczytałam w almanachu, że przez jakiś czas powinnam się wystrzegać wędrówek w Kierunku Szczura, czyli dokładnie tam, gdzie mieściła się pasmanteria. Bezskutecznie szukałam jakichś wskazówek o Prezesie. Z doświadczenia wiedziałam jednak, że nie mogę polegać wyłącznie na tym, co jest zapisane. A jeśli spędzę resztę lat wzdychając za człowiekiem, który mi nie był przeznaczony? Będzie mi żal, że zaślepiona tym jednym pragnieniem, nie czułam i nie widziałam wszystkich innych rzeczy. Życie nie stało w miejscu. Z drugiej strony, gdybym naprawdę zapomniała, co stałoby się moim nowym celem? Byłabym jak tancerka, od dzieciństwa szkolona do występu, który miał nigdy nie nastąpić.

Wojna skończyła się dla nas w sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Prawie każdy, kto przebywał w Japonii w tych latach, powie ci, że to był najbardziej mętny okres po długiej ciemnej nocy. Kraj był nie tylko pokonany — dosłownie legł w gruzach. Nawet nie chodzi o potworne bomby. Wiesz, co czuje pokonany, widząc wkraczającą zwycięską armię? Jest jak związany skazaniec, klęczący na szafocie w oczekiwaniu na świst miecza. Przez rok lub dłużej nie słyszałam śmiechu — chyba że śmiał się Juntaro, który przecież niewiele rozumiał. Ale wówczas dziadek pośpiesznie go uciszał. Spotykałam później wielu ludzi, którzy dorastali w tych latach. Cechowała ich dziwna powaga; dzieciństwo spędzili bez uśmiechu.

Wiosną czterdziestego szóstego wszyscy już wiedzieliśmy, że jakimś cudem udało nam się przetrwać. Niektórzy nawet zaczęli przebąkiwać, że przyjdzie dzień, gdy Japonia wróci do normalnego życia. Opowiadania o gwałcących i mordujących Amerykanach okazały się wyssane z palca. Zaskakiwało nas, że potrafili być zdumiewająco mili. Raz zobaczyłam patrol przejeżdżający szosą w dużych zielonych ciężarówkach. Wszystkie kobiety i dziewczęta wyszły popatrzeć. W Gion byłam odgradzona od „zwykłych” kobiet.

Tak odgradzona, że, prawdę mówiąc, rzadko zastanawiałam się, jak żyją żony zabawianych przeze mnie gości. Teraz stałam wśród nich, w podartych roboczych spodniach, z włosami związanymi z tyłu. Nie kąpałam się od kilku dni, bo zabrakło opału do podgrzewania wody. W oczach przejeżdżających amerykańskich żołnierzy niczym się nie wyróżniałam z tłumu. Komu z nich przyszłoby do głowy, że jestem naprawdę inna? Jak zwać cię drzewem, skoro nie masz liści, kory i korzeni? „Jestem wieśniaczką — powiedziałam do siebie — przestałam być gejszą”. Ze strachem popatrzyłam na swoje spracowane dłonie. Żeby odpędzić złe myśli, znów zerknęłam w stronę ciężarówek. Więc to byli Amerykanie, których tak bardzo miałam nienawidzić? Którzy bombardowali nasze miasta? Teraz rzucali z samochodów cukierki dla dzieciaków.

W rok po klęsce pan Arashino na nowo zaczął szyć kimona. Nic nie wiedziałam o tej pracy; kimono potrafiłam nosić. Większość czasu spędzałam w suterenie, pod przybudówką do warsztatu, doglądając kotłów z barwnikiem do tkanin. Straszne zajęcie, zwłaszcza że do palenia w piecach używaliśmy tak zwanych tadon, czyli brykietów z pyłu węglowego łączonego smołą. W ogniu przeokropnie śmierdziały. Żona pana Arashino nauczyła mnie, jak rozpoznawać odpowiednie liście, łodygi i korę do produkcji barwników. Był to prawdziwy awans. Niestety któraś z roślin — nawet nie wiem która — wywoływała u mnie uczulenie. Delikatne ręce tancerki, niegdyś smarowane najprzedniejszym kremem, oblażyły ze skóry jak cebula i przybrały barwę dojrzałego siniaka. W tym też czasie, dla zabicia samotności, przeżyłam krótki romans z młodym rzemieślnikiem Inoue, robiącym tatami. Wydawał mi się przystojny. Miał miękkie brwi, jak dwa muśnięcia pędzlem na delikatnej skórze, i doskonale wykrojone usta. Przez parę tygodni, noc w noc, przyjmowałam go w przybudówce. Kiedyś, w świetle jaskrawie płonącego ognia, zobaczył moje ręce. Od tamtej pory nie pozwolił mi się nawet dotknąć.

Żeby mi jakoś pomóc, latem pan Arashino odkomenderował mnie do zbierania pajęczego ziela. To taki kwiat, którego sokiem maluje się jedwabie przed nakrochmaleniem i farbowaniem. Na ogół rośnie w porze deszczowej, nad brzegami stawów i jezior. Wyglądało to na łatwe zadanie, więc pewnego czerwcowego ranka zarzuciłam plecak na ramię i wyruszyłam w drogę. Wkrótce przekonałam się, że pajęcze ziele należy do najsprytniejszych roślin w Japonii. Wszystkie owady ma za sprzymierzeńców. Jak tylko

zerwałam garść kwiatów, zaatakowały mnie setki muszek i komarów. Na dodatek nastąpiłam na obrzydliwą małą żabę. Po tygodniu podobnych wędrówek czekała mnie pozornie przyjemniejsza praca: wyciskanie soku. Czułeś kiedyś smród zgniatanego pajęczego ziela...? Mówię ci, że z ulgą powróciłam do podziemnej farbiarni.

Ciężko harowałam, ale każdej nocy przed zaśnięciem myślałam o Gion. Kilka tygodni po zakończeniu wojny wszystkie dzielnice gejsz zostały na nowo otwarte. Nie mogłam jednak wrócić bez wezwania Mamy. Ona zaś dostatnio żyła, sprzedając Amerykanom kimona, dzieła sztuki i samurajskie miecze. Razem z Ciocią prowadziły sklep przy małym gospodarstwie na zachód od Kioto, a ja wciąż mieszkalam z państwem Arashino.

Gion było odległe o parę kilometrów. Pewnie sądzisz, że mogłam je często odwiedzać. Przez pięć lat byłam tam tylko raz. Stało się to wiosną, niecały rok po wojnie, kiedy wracałam ze szpitala w Kamigyo, z lekarstwem dla małego Juntaro. Przeszłam aleją Kawaramachi aż do Shijo i dalej przez most do Gion. Ze zgrozą patrzyłam na rodziny, które żyły w skrajnej nędzy nad brzegami rzeki.

W Gion spotkałam kilka gejsz, ale one mnie nie poznały. Nie rozmawiałam z nimi, chcąc choć raz spojrzeć na to miejsce oczami przybysza. Prawdę powiedziawszy, nic nie widziałam prócz własnych gorzkich wspomnień. Na bulwarach potoku Shirakawa myślałam o spacerach, które tu odbywałam z Mamehą. W pobliżu była ławka, gdzie siedziałyśmy z Dynią, obok dwóch miseczek stygnącej zupy z makaronem. Niedaleko zakątek, w którym Nobu zwymyślał mnie za mojego danna. Tuż za rogiem alei Shijo przypominałam sobie, jak młody dostawca pogubił na mój widok tace i talerze. Poczulałam się tak, jakbym godzinami stała na scenie po zakończeniu tańca, w ciszy zalegającej pustej teatr niczym gruba warstwa puchowego śniegu. Poszłam do okiwa i spojrzałam na ciężką żelazną kłódkę zamykającą wejście. Przez wiele lat próbowałam wyrwać się z zamknięcia. Teraz moje życie zmieniło się tak bardzo, że za wszelką cenę chciałam tu wrócić. A przecież byłam dorosła – mogłam odejść z Gion i nigdy więcej nie spojrzeć za siebie.

Był zimny listopadowy dzień, trzy lata po zakończeniu wojny. Grzałam zziębnięte ręce nad kotłem pełnym barwnika. W pewnej chwili zajrzała do mnie pani Arashino mówiąc, że mam jakiegoś gościa. Poznałam po jej minie, że nie chodziło o sąsiadkę.

Mimo to nie mogłam opanować zdziwienia, gdy po wejściu na górę zobaczyłam czekającego Nobu. Siedział wraz z panem Arashino i trzymał w dłoni czarkę z herbatą, jakby gawędzili już od pewnego czasu. Pan Arashino wstał na mój widok.

— Czeka mnie jeszcze sporo pracy, Nobu-san — stwierdził. — Możecie tu zostać. Cieszę się, że zjawiliście się u nas.

— Nie wygłupiaj się, Arashino — odparł Nobu. — Dobrze wiesz, że przyjechałem do Sayuri.

Nie było to ani śmieszne, ani najgrzeczniejsze, ale pan Arashino parsknął szczerym śmiechem i zniknął we wnętrzu pracowni.

— Cały świat się zmienił, ale Nobu-san pozostał taki sam jak niegdyś — powiedziałam.

— Nigdy nie będę inny — odrzekł. — Nie mam czasu na pogaduszki. Powiedz mi, co się z tobą dzieje?

— Nic. Nie czytywał pan moich listów?

— Czytałem jak wiersze! Zwłaszcza że pisałaś wyłącznie o „błyszczącej wodzie” i tym podobnych bzdurach.

— W takim razie już nigdy nie napiszę do pana.

— I bardzo dobrze, jeśli to ma tak wyglądać. Nie przyszło ci na myśl, żeby podać jakieś istotne informacje? Kiedy wracasz do Gion? Od miesiący wydzwaniam do Ichiriki i wciąż jestem zbywany jakimiś frazesami. Już myślałem, że cierpisz na groźną chorobę. Schudłaś, ale wyglądasz zdrowo. Co cię tu trzyma?

— Codziennie wspominam Gion.

— Mameha wróciła ponad rok temu. Nawet wiekowa Michizono pokazała się w dniu otwarcia. Nikt za to nie wie, co porabia Sayuri.

— Prawdę mówiąc, decyzja nie należy do mnie. Czekam, aż Mama znowu otworzy okiya. Z całego serca chcę tam wrócić.

— No to napisz do niej i powiedz jej, że pora otworzyć interes. Byłem cierpliwy przez pół roku. Zrozumiałaś, co ci sugerowałem w listach?

— Pisał pan, że powinnam wrócić do Gion. Myślałam, że chodzi o zwykłe spotkanie.

— Masz wrócić tam i koniec. Po prostu spakuj bagaże i w drogę. Nie wiem, do czego potrzebna ci matka! Głupia jest, jeśli do tej pory nie zjawiała się znowu w Kioto.

— Różnie o niej mówią, ale na pewno nie zasłużyła na opinię głupiej. Mogłaby nawet wzbudzić podziw pana Nobu. Nieźle jej się wiedzie, od kiedy sprzedaje pamiątki Amerykanom.

— Amerykanie nie będą tu wiecznie. Napisz jej, że twój dobry przyjaciel Nobu oczekuje cię z powrotem w Gion.

Rzucił na matę niewielkie zawiniątko. Nie powiedział ani słowa więcej, tylko patrzył na mnie, popijając herbatę.

— Czym Nobu-san we mnie rzucił? — spytałam.

— To prezent. Otwórz.

— Skoro Nobu-san ma dla mnie prezent, ja mam też coś dla niego.

Poszłam do kąta, gdzie stał kufer z moimi rzeczami, i wyjęłam wachlarz. Już dawno postanowiłam, że ofiaruję go Nobu. Mogłoby się wydawać, że to marny podarek dla kogoś, kto mnie uratował od harówki w fabryce, ale... gejsza traktuje swój wachlarz nieomal jak świętość. Ten zwłaszcza miał dla mnie szczególną wartość, gdyż otrzymałam go z rąk mojej mistrzyni, gdy zostałam promowana na shisho szkoły Inoue. Żadna gejsza nie rozstawiała się z czymś takim — i może właśnie dlatego chciałam dać go Nobu.

Owinęłam wachlarz w kawałek bawełny i wróciłam na swoje miejsce. Nobu ze zdumieniem obejrzał podarek. Najlepiej jak umiałam, wyjaśniłam mu powody swojej decyzji.

— To miło z twojej strony — odparł — ale nie zasłużyłem na taki dowód uznania. Daj to komuś, kto lepiej zna się na tańcach.

— Nie mogę. To część mnie, więc należy do pana Nobu.

— W takim razie jestem ci bardzo wdzięczny. Teraz zobacz, co ci przyniosłem.

Pod papierem, owinięty dodatkowo w gazetę, był kamień, mniej więcej wielkości pięści. Zrobiłam chyba taką samą minę, jak przed chwilą Nobu na widok wachlarza. Po dokładniejszych oględzinach stwierdziłam, że to jednak nie kamień, ale gruda betonu.

— Trzymasz w ręku fragment naszych zakładów w Osace — wyjaśnił Nobu. — Dwie z czterech naszych fabryk zostały zniszczone. Są obawy, że przedsiębiorstwo nie

pociągnie przez następne lata. Dałaś mi kawałek siebie pod postacią wachlarza, to samo można powiedzieć o mnie i o tej betonowej bryle.

— W takim razie jestem panu niezmiernie wdzięczna.

— Nie mówmy o wdzięczności! Przecież to tylko beton. Pomóż go przemienić w klejnot, taki sam jak ten, który kiedyś dostałaś ode mnie.

— Jeśli Nobu-san wie, jak to zrobić, wówczas wszyscy będziemy bogaci.

— Mam dla ciebie ważne zadanie w Gion. Jak wszystko pójdzie po mojej myśli, firma za rok stanie z powrotem na nogi. Proszę cię o zamianę betonu w klejnot, gdyż uważam, że najwyższy czas, bym naprawdę stał się twoim danna.

Zmroziło mnie do szpiku kości, kiedy usłyszałam te słowa, ale nie dałam po sobie nic poznać.

— Jest pan pełen zagadek... Mam uratować koncern Iwamura?

— Nie będę kłamał, to naprawdę niewdzięczne zadanie. Przez ostatnie dwa lata przed zamknięciem Gion bywał tam niejaki Sato. Gościł zwykle na przyjęciach prefekta. Chcę, żebyś teraz wkradła się w jego łaski.

Nie umiałam powstrzymać się od śmiechu.

— To ma być „niewdzięczne zadanie”? Nobu-san, zabawiałam już gorszych ludzi.

— Więc go pamiętasz? Zachowywał się gorzej niż świnia. Zwierzył mi się, że zawsze siadał po drugiej stronie stołu, by móc się na ciebie gapić. Zresztą, jeśli już mówi, to mówi wyłącznie o tym. Na ogół milczy. W zeszłym miesiącu trafił nawet na łamy gazet, bo mianowano go zastępcą ministra skarbu.

— Wielkie nieba! — zawołałam. — Musi mieć duże wpływy.

— Jest jeszcze co najmniej piętnastu innych o podobnych możliwościach. Sam widziałem go tylko, jak pije. Straszne, że los naszej firmy spoczął w rękach takiego indywiduum! Lepiej mi było umrzeć, Sayuri.

— Nobu-san! Nie wolno mówić takich rzeczy!

— A dlaczego? Przecież nikt nas nie słyszy.

— Nie o to chodzi. Miałam na myśli pańskie zachowanie. Nie wolno nawet myśleć w ten sposób.

— Bo co? Koncern przeżywa najgorsze chwile. Prezes przez całą wojnę nie zgadzał się na realizację wojskowych żądań. Kiedy się wreszcie zgodził, doszło do kapitulacji. Żaden z naszych produktów nie trafił na linię frontu. I co z tego? Amerykanie zaliczyli nas do zaibatsu, razem z Mitsubishi. Idiotyczne. W porównaniu z Mitsubishi byliśmy jak wróbel zerkający na lwa. Jest jeszcze gorzej: jeśli nie udowodnimy prawdy, koncern Iwamura zostanie sprzedany, a pieniądze będą przeznaczone na reparacje wojenne! Dwa tygodnie temu myślałem, że to koniec, potem jednak pojawił się ów Sato. Ma świadczyć w naszej sprawie. Amerykanie są dumni z siebie, że wzięli Japończyka. Prędzej bym widział psa na jego stanowisku.

Nagle zerknął w dół.

— Co się, do diabła, stało z twoimi rękami?

Do tej pory próbowałam je ukryć. Najwidoczniej na moment zapomniałam o czujności.

— Pan Arashino był łaskaw zatrudnić mnie przy farbowaniu tkanin.

— Mam nadzieję, że będzie wiedział, jak usunąć te plamy. W takim stanie nie możesz się pokazać w Gion.

— Nobu-san, ręce to mój najmniejszy problem. Nie wiem, czy w ogóle wrócę. Zrobię wszystko, żeby przekonać Mamę, lecz, jak mówiłam, decyzja nie należy do mnie. Być może znajdzie pan jakąś inną gejszę...

— Nie chcę innej! Posłuchaj. Jakiś czas temu zaprowadziłem pana ministra Sato do pewnej herbaciarni. Było nas razem co najmniej dwunastu. Minister przez godzinę nie wyrzekł ani słowa, wreszcie odchrząknął i powiedział: „To nie Ichiriki”. „Nie — odparłem. — Ma pan całkowitą rację”. Znowu chrząknął jak świnia i dodał: „W Ichiriki bywała Sayuri”. Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. „Panie ministrze, gdyby była w Gion, spotkalibyśmy ją tutaj. Powtarzam: nie wróciła!”. Wziął czarękę sake...

— Mam nadzieję, że w rzeczywistości był pan bardziej układny.

— Nie byłem! Znoszę jego towarzystwo najwyżej przez pół godziny! Potem nie odpowiadam za własne słowa. Choćby dlatego jesteś mi potrzebna. I nie mów mi, że decyzja nie zależy od ciebie. Dobrze wiesz, że jesteś mi coś winna. Poza tym... chciałbym z tobą spędzać nieco więcej czasu...

— A ja z panem, Nobu-san.

— Tylko sobie za wiele nie wyobrażaj.

— Przez ostatnie pięć lat wyzbyłam się wszelkich iluzji. O czym Nobu-san dokładnie myśli?

— Nie spodziewaj się, że po miesiącu zostanę twoim donna. Póki przedsiębiorstwo nie stanie na nogi, nie mogę sobie pozwolić na takie ekstrawagancje. Wystarczą mi kłopoty z firmą. Z drugiej strony... po spotkaniu z tobą, łatwiej mi patrzeć w przyszłość.

— Nobu-san! To było bardzo miłe.

— Nie przesadzaj. Nie prawię ci komplementów. Los nas związał na stałe, ale nie zostanę twoim donna, póki nie odbuduję koncernu Iwamura. Może nie będzie to trudniejsze niż obecne spotkanie z tobą?

Przez ostatnie lata wojny przestałam się zastanawiać, co będzie, a czego nie będzie. Sąsiadkom powtarzałam, że nie wiem, czy wrócę do Gion. W głębi duszy wierzyłam jednak, że na pewno wrócę. Tam czekało moje przeznaczenie. Wodę, jaką miałam w sobie, zmieniłam w twardy lód tylko po to, by powstrzymać coraz bardziej przygnębiające myśli. Teraz, kiedy Nobu wspomniał o wspólnych losach... lód popękał i powróciły dawne nadzieje.

— Nobu-san... — zaczęłam. — Sądzę, że dla podtrzymania lepszego nastroju Prezes musi brać udział w pańskich spotkaniach z ministrem Sato.

— Prezes jest bardzo zajęty.

— Skoro to takie ważne dla przyszłości koncernu...

— Martw się lepiej o swój powrót do Gion. Osobiście ustalę listę gości. Sprawisz mi duży zawód, jeśli cię nie zobaczę w Kioto przed końcem miesiąca.

Wstał. Przed wieczorem musiał być w Osace. Odprowadziłam go do drzwi, pomogłam włożyć płaszcz i buty. Nawet nałożyłam mu kapelusz. Spoglądał na mnie przez długą chwilę. Spodziewałam się, że wyrazi zachwyt nad moją urodą — zawsze to robił w takich razach.

— Wielkie nieba, Sayuri, wyglądasz jak wieśniaczka! — mruknął. Z kwaśną miną odwrócił się i odszedł.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Jeszcze tej samej nocy, gdy państwo Arashino już zasnęli, w świetle tadoń płonącego pod kotłem z barwnikiem napisałam list do Mamy. Nie wiem, czy odniósł żądany skutek, czy Mama już wcześniej podjęła decyzję o powrocie, w każdym razie tydzień później przed drzwiami rozległo się wołanie jakiejś starej kobiety. Była to Ciocia. Straciła zęby, więc miała mocno zapadnięte policzki, a jej chorobliwie szara skóra przypominała mi zeschnięte sashimi. Wciąż jednak była bardzo silna: w jednym ręku dźwigała torbę z węglem, w drugim – z żywnością. Był to prezent dla państwa Arashino w podziękę za opiekę nade mną.

Następnego dnia ze łzami w oczach pożegnałam gościnne progi i wróciłam do Gion, gdzie do spółki z Ciocią i Mamą wzięłyśmy się za odnowę okiia. Dom jakby chciał nas ukarać za długą nieobecność. Cztery lub pięć dni spędziłyśmy na sprzątaniu. Najpierw trzeba było zmyć grubą warstwę kurzu, pokrywającą każdy przedmiot, wyłowić martwe myszy ze studni i oczyścić pokoje na piętrze, gdzie ptaki powyrywały źdźbła z tatami i uwiły gniazdo we wnęce. Ku mojemu zdziwieniu Mama pracowała na równi z nami, częściowo dlatego, że mogłyśmy sobie pozwolić tylko na zatrudnienie jednej kucharki i jednej dorosłej służącej. Miałyśmy też młodszą dziewczynkę, imieniem Etsuko, córkę chłopca, u którego przez ostatnie lata mieszkały Mama i Ciocia. Przypomniało mi się, jak w zamierzchłych czasach sama przyjechałam do Kioto. Miałam wówczas zaledwie dziewięć lat... Etsuko spoglądała na mnie z tym samym przerażeniem, jak ja niegdyś na Hatsumomo. Nie odpowiadała na moje uśmiechy. Była wysoka i chuda jak miotła; długie włosy wirowały za nią przy każdym najmniejszym ruchu. Twarz miała wąską niczym ziarnko ryżu. Pomyślałam nawet, że pewnego dnia trafi do garnka z wrzątkiem i wyskoczy stamtąd jako biały i smakowity kasek.

Po doprowadzeniu okiia do porządku ruszyłam na pierwszy obchód Gion. Najpierw zajrzałam do Mamehy, zajmującej teraz jednoizbowe mieszkanie nad apteką, opodal świątyni Gion. Od powrotu nie miała stałego danna, więc nie mogła wynająć nic większego. Zdziwiła się na widok moich mocno wystających kości policzkowych. Szczerze mówiąc, ja nią byłam nie mniej zdumiona. Na twarzy się nie zmieniła, ale szyję miała

pomarszczoną i starą. Dziwnie też wydymała usta, niczym wiekowa babcia. Dowiedziałam się, że w czasie wojny nabawiła się szkorbutu. Wprawdzie zachowała zęby, lecz wciąż ją bolały.

Rozmawialiśmy długo, aż spytałam, czy następnej wiosny odbędą się tradycyjne *Tańce z dawnej stolicy*. Występy już od lat były zawieszane.

— Oczywiście! — odparła. — A tematem przewodnim będzie *Taniec potoku*.

Byłeś kiedyś u gorących źródeł albo w podobnym miejscu? Widziałeś fałszywe „gejsze”, prostytutki? W takim razie bez trudu zrozumiesz żart Mamehy. „Taniec potoku” to po prostu odmiana striptizu. Tancerka udaje, że wchodzi w coraz głębszą wodę i powoli unosi kimono, jakby w obawie przed zamoczeniem. Wreszcie mężczyźni widzą to, co trzeba, cieszą się i wracają do butelek sake.

— Dalej zajdziesz, ucząc się angielskiego, a nie tańca — ciągnęła Mameha. — W Gion aż roi się od Amerykanów. Przemianowali teatr Kaburenjo na kyabarei.

Nie słyszałam wcześniej takiego słowa. Pochodziło od angielskiego „cabaret” i wkrótce odkryłam jego prawdziwe znaczenie. Nawet u państwa Arashino dochodziły mnie wieści o hucznych ucztach urządanych przez amerykańskich żołnierzy. Mimo to nie umiałam powstrzymać lekkiego okrzyku zdumienia, gdy w progu herbaciarni, którą odwiedziłam po wyjściu od Mamehy, zobaczyłam stertę wojskowych buciorów. Każdy z nich był co najmniej tak duży jak Taku, piesek Mamy. W korytarzu jakiś Amerykanin, ubrany tylko w szorty, usiłował się wczołgać do wnęki. Dwie gejsze ze śmiechem ciągnęły go z powrotem. Miał ciemne włosy na rękach i nogach, nawet na plecach. Nigdy przedtem nie widziałam człowieka tak podobnego do bestii. Prawdopodobnie przegrał jakiś zakład, zdjął mundur, a teraz próbował się ukryć. Gejsze wzięły go pod pachy i zaciągnęły z powrotem do pokoju, skąd dochodziły gwizdy i chóralne okrzyki.

Po tygodniu od powrotu byłam gotowa na nowo podjąć się roli gejszy. Wybrałam się do fryzjera i do wróżbity, moczyłam dłonie, by pozbyć się resztek barwnika i przetrząsnęłam całe Gion w poszukiwaniu odpowiednich kosmetyków. Miałam prawie trzydzieści lat, więc — z wyjątkiem szczególnych okazji — nie musiałam występować z pobieloną twarzą. Pół godziny spędziłam przed lustrem, próbując rozmaitych zagranicznych kremów. Chciałam ukryć, że schudłam. Wreszcie przyszedł pan Bekku, by

pomóc mi przy kimonie. Etsuko patrzyła na nas, jak ja kiedyś na Hatsumomo. Zachwyty w jej oczach, bardziej niż odbicie w lustrze, przekonał mnie, że znowu stałam się sobą.

Gdy wyszłam, okazało się, że Gion tonie w świeżym śniegu, tak miłym, że najmniejszy podmuch wiatru czyścił płaskie dachy. Miałam kimonowy szal i lakierowaną parasolkę, co było równie dobrą osłoną jak ubiór wieśniaczki. Rozpoznawałam zaledwie połowę gejsz. Te, które mieszkały w Gion przed wojną, kłaniały mi się nawet nie proszone. Inne, nowe, ledwie kiwały głową.

Po ulicach włóczyli się żołnierze, więc nie byłam pewna, co naprawdę zastanę w Ichiriki. Zobaczyłam jednak równy rząd czarno pastowanych oficerskich butów. Herbaciarnia wydawała mi się cichsza niż za dawnych czasów. Nobu jeszcze nie przyszedł — przynajmniej ja go nie widziałam — lecz wprowadzono mnie do dużego pokoju na parterze i kazano czekać. Zwykle na taką „poczekalnię” przeznaczano służbówkę, gdzie można się było ogrzać i napić herbaty. Żadna gejsza nie chciała pokazać się zziębnięta. Ja jednak nie zwracałam na to najmniejszej uwagi. Wręcz przeciwnie, nawet mi pochlebiało, że siedzę w takim otoczeniu. Przez pięć lat tęskniłam za podobnym pięknem, a ten pokój mógł wprowadzić w zachwyty doprawdy niejednego. Ściany, pokryte żółtawym jedwabiem, przypominały mi wnętrze skorupki od jajka.

Myślałam, że Nobu przyjdzie sam, ale kiedy usłyszałam go w korytarzu, zrozumiałam, że przyprowadził ze sobą ministra Sato. Na Nobu mogłam czekać, lecz ktoś inny uznałby to za dowód, że jestem mało popularna. Szybko schowałam się w sąsiednim pomieszczeniu. Dzięki temu mogłam przez chwilę posłuchać, jak Nobu silił się na uprzejmość.

— Wspaniały pokój, prawda, panie Ministrze? — spytał.

Odpowiedzią było głucho chrząknięcie.

— Wynająłem go specjalnie dla pana. Proszę spojrzeć na to malowidło w stylu zen.
Cisza.

— Tak, piękna noc... — powiedział Nobu. — Próbował już pan sake, którą można dostać wyłącznie tu, w Ichiriki?

I tak dalej. Nobu czuł się jak słoń udający motyla. Westchnął z ulgi, gdy wreszcie otworzyłam drzwi i złożyłam stosowny ukłon.

Wymieniłam swoje imię i usiadłam przy stole. Dopiero teraz mogłam lepiej przyjrzeć się Ministrowi. Nie pamiętałam go, chociaż twierdził, że przypatrywał mi się bardzo często. Dziwiło mnie, że mogłam go zapomnieć, gdyż miał charakterystyczne rysy. Siedział zwykle ze spuszczoną głową, jakby nie mógł jej prosto utrzymać, a dolną szczękę miał tak wystającą, że sięgała mu prawie za czubek nosa. Ciekawe, jak oddychał. Przywitał mnie zdawkowym skinieniem głowy i mruknął, jak się nazywa. Podobnymi pomrukami odpowiadał na każde pytanie.

Przez jakiś czas próbowałam podtrzymać „rozmowę”, potem weszła służąca z tacą sake. Nalałam Ministrowi. Uniósł czarkę i przechylił ją w taki sposób, jakby wylewał coś do rynsztoka. Na chwilę zamknął usta, otworzył, i sake już nie było. Nie widziałam, żeby coś przełknął. Nie byłam pewna, że w ogóle wypił, dopóki nie odstawił opróżnionej czarki.

Trwało to tak około piętnastu minut. Opowiadałam różne anegdoty, zadawałam pytania, ale w końcu doszłam do wniosku, że nie istnieje coś takiego jak ministerialne „spocznij”. Sato odpowiadał najwyżej półsłówkami. Zaproponowałam, że zaśpiewam. Najdłuższa wymiana zdań nastąpiła wtedy, gdy Minister spytał, czy potrafię tańczyć.

— Oczywiście — odpowiedziałam. — Ma pan jakieś życzenia?

— Nie — mruknął i to był koniec rozmowy.

Nie lubił nawet patrzeć na ludzi, za to z wielką uwagą studiował zestaw potraw, przyniesiony nam na kolację. Brał pałeczkami kęs, unosił do oczu, obracał na wszystkie strony i najczęściej pytał mnie, co to takiego.

— Słodki ziemniak gotowany w sosie sojowym z dodatkiem cukru — wyjaśniłam, gdy znalazł coś pomarańczowego. Prawdę mówiąc, nie miałam najmniejszego pojęcia, czy to ziemniak, czy wątroba wieloryba, czy jeszcze coś innego. Minister i tak mnie nie słuchał. Później, gdy wyszukał wąski pasek marynowanej wołowiny, postanowiłam trochę się z nim podroczyć.

— Ach, to pasemko marynowanej skóry! — zawołałam. — Specjalność tutejszej kuchni. Przygotowywana ze skóry słonia.

— Skóry słonia?

— Nie, panie Ministrze, po prostu żartowałam. To kawałek wołowiny. Dlaczego tak uważnie ogląda pan potrawy? Boi się pan zjeść psa albo coś takiego?

— Jadłem już psa — odparł.

— To bardzo ciekawe. Niestety nie mamy psów na ubój. Może pan już nie patrzeć na swoje pałeczki.

Zaczeliliśmy do siebie przepijać. Nobu nie lubił takich zabaw, ale umilkł pod moim karcącym wzrokiem. Pan Minister chyba trochę przeholował, bo po jakimś czasie patrzył na nas roztańczonym wzrokiem, niczym korki unoszące się na falach. Nagle wstał i poszedł w kąt pokoju.

— Panie Ministrze! — zawołał za nim Nobu. — Dokąd pan się wybiera?

Minister beknął, co było najwłaściwszą odpowiedzią, gdyż stało się jasne, że zamierza zwymiotować. Podbiegliśmy do niego, ale zdążył już zasłonić usta ręką. Dymił prawie jak wulkan, więc pośpiesznie otworzyliśmy szklane drzwi do ogrodu. Wymiotował w śnieg. Dziwisz się, jak ktoś mógł w ten sposób potraktować przepiękny japoński ogród? Minister nie był ani pierwszy, ani ostatni. Gejsze zazwyczaj towarzyszą gościom w drodze do ubikacji, ale bywa, że na to nie zostaje czasu. Mówimy wówczas służącej, że „gość był w ogrodzie”, a ona bez wyjaśnień już wie, gdzie ma sprzątnąć.

Z pomocą Nobu przytrzymałam Ministra na klęczkach, z głową wystawioną za krawędź werandy. Nagle poleciał w przód. Próbowaliśmy go złapać, lecz osiągnęliśmy tylko tyle, że padł w czysty śnieg, a nie w wymiociny. Był ciężki jak kawał miecha. Z trudem obróciłam go na bok.

Cóż było dalej robić? Z niesmakiem spojrzeliśmy na nieruchome ciało, rozciągnięte w głębokim śniegu. Wyglądało jak gałąź oberwana z drzewa.

— Nie wiedziałam, że pana gość jest taki rozrywkowy — zwierzyłam się Nobu.

— Mam nadzieję, że go zabiliśmy. Zasłużył na to. Co za typ!

— W ten sposób pan traktuje swoich najlepszych gości? Niech go pan zabierze na ulicę i pospacerujcie trochę. Może się zbudzi. Mróz go może otrzeźwić.

— Przecież leży w śniegu. To nie wystarczy?

— Nobu-san! — zawołałam.

Chyba poskutkowało, gdyż Nobu, z ciężkim westchnieniem, w samych skarpetkach wyszedł do ogrodu i próbował przywrócić Ministra do przytomności. Ja zaś poszłam po pomoc do służby. Nie wyobrażałam sobie, w jaki sposób jednoręki Nobu zdoła wyprowadzić Ministra na dwór. Po-prosiłam jeszcze o parę suchych skarpet i dopiero wówczas wróciłam do pokoju.

Nobu i Minister siedzieli już za stołem. Wyobraź sobie, jak ten drugi wyglądał... i cuchnął. Sama zdjęłam mu skarpetki, lecz trzymałam się na wyciągnięcie ręki. Jak tylko skończyłam, padł na maty i znów stracił przytomność.

— Myśli pan, że nas słyszy? — szepnęłam do Nobu.

— Nie słucha nawet wtedy, gdy jest trzeźwy — odparł. — Widziałś kiedyś większego cymbała?

— Nobu-san, ciszej! — wyszeptalam. — Nie widzi pan, że on się znakomicie bawi? Przecież właśnie o to panu na wstępie chodziło.

— Mnie w to nie mieszaj. Ważne, co on myślał.

— To znaczy, że za tydzień czeka nas to samo?

— Jeśli Minister uzna ten wieczór za udany, to ja tym bardziej.

— Nobu-san! Po co ta ironia? Nigdy dotąd nie widziałam pana tak przygnębionego... Wziąwszy pod uwagę obecny stan Ministra, nie jest to chyba najlepszy dzień w jego życiu.

— Po nim się można spodziewać dosłownie wszystkiego.

— Będzie lepiej, jak go czymś... rozweselimy. Zgadza się pan ze mną?

— Następnym razem sprowadź inne gejsze. To pomoże — odpowiedział Nobu. — Wróćmy tu pod koniec przyszłego tygodnia. Zabierz też swoją starszą siostrę.

— Mameha bez wątplenia zna się na rzeczy, lecz Minister to trudny orzech do zgryzienia. Potrzebujemy gejszy... nie wiem... hałaśliwej! Takiej, co wokół siebie robi dużo szumu. No i... sam pan rozumie... kilku innych gości.

— Nie bardzo rozumiem po co.

— Nie zajdziemy daleko, jeśli pan będzie tylko stroił ponure miny, a Minister pił i spod oka spoglądał na mnie — powiedziałam. — Będę szczerą: następnym razem powinien pan przyjść z Prezesem.

Podejrzewasz pewnie, że planowałam to od początku? Prawdą jest, że od chwili powrotu do Gion zastanawiałam się, w jaki sposób spędzić choć chwilę z Prezesem. Nie tylko posiedzieć z nim, szepnąć kilka słówek, poczuć zapach... Jeśli to miały być jedyne dostępne rozkosze, jakich mogłam zażądać od życia, to wolałam już zgasić światło i przyzwyczaić wzrok do ciemności. Teraz widziałam, iż wszystko pcha mnie w kierunku Nobu. Może byłam naiwna, że próbowałam zmienić wyroki przeznaczenia? Nie wyzbyłam się jednak ostatniej nadziei.

— Rozwazałem taką możliwość — przyznał Nobu. — Prezes wywarł duże wrażenie na Ministrze. Nie wiem jednak, czy zdoła przyjść. Już ci mówiłem, że to bardzo zajęty człowiek.

Minister drgnął nagle, jak dźgnięty nożem, a potem próbował się podnieść. Wreszcie usiadł przy stole. Nobu z obrzydzeniem spojrzał na jego garnitur i kazał mi wezwać służącą z wilgotnym ręcznikiem. Dziewczyna oczyściła marynarkę Ministra i odeszła.

— To był wspaniały wieczór! — zawołał do niego Nobu. — Następnym razem zabawimy się jeszcze lepiej, bo zamiast rzygać na mnie, będzie pan rzygał na Prezesa albo na dwie, trzy gejsze!

Ucieszyłam się, gdy wspomniał o Prezesie, ale nie dałam nic po sobie poznać.

— Lubię tę gejszę — wybełkotał Minister. — Nie chcę innych.

— Na imię ma Sayuri. Lepiej, żeby pan to pamiętał, bo się obrazi i więcej nie przyjdzie. Teraz wstajemy. Oooo... tak! Pora do domu.

Odprowadziłam ich do drzwi, pomogłam włożyć palta i buty, potem patrzyłam, jak odchodzą. Minister stawiał ociężałe kroki. Wpadłby prosto na furtkę, gdyby Nobu nie chwycił go za rękaw i nie skierował we właściwą stronę.

Jeszcze tej samej nocy wybrałam się z Mamehą na przyjęcie z udziałem amerykańskich oficerów. Tłumacz okazał się do niczego, gdyż zdążyli go upić, zanim jeszcze przyszliśmy. Mimo to goście od razu poznali Mamehę. Z zaskoczeniem patrzyłam, jak zaczęli mruzczyć i machać rękami domagając się, żeby zatańczyła. Myślałam, że w spokoju i ciszy obejrzą jej występ, lecz gdy tylko zaczęła tańczyć, kilku

zerwało się z miejsc, żeby nieudolnie naśladować jej ruchy. Nikt mnie nie uprzedził, więc... wybuchnąłam niepohamowanym śmiechem. Od lat się tak nie bawiłam. Na koniec we dwie zagrałyśmy na shamisenach, Amerykanie zaś skakali wokół stołu. Kiedy muzyka cichła, wszyscy rzucali się na miejsca. Ostatni musiał wypić za karę pełną szklanek sake.

W połowie przyjęcia spojrzałam na Mamehę i powiedziałam, że to bardzo dziwne, jak dobrze się można bawić, nie napotykając trudności językowych. Zwłaszcza że w pamięci pozostała kłapa wcześniejszego „przyjęcia” z Ministrem. Spytała, co się stało.

— Troje to za mało na takie spotkanie — powiedziała, gdy skończyłam mówić. — Szczególnie że był z wami nabur-muszony Nobu.

— Poprosiłam go, by następnym razem sprowadził Prezesa. Może przyjdą też inne gejsze? Te, które najwięcej hałasują.

— Też spróbuję... — obiecała Mameha. Popatrzyłam na nią z bezgranicznym zdziwieniem. Nikt na świecie nie określiłby jej jako „hałaśliwej”. Chciałam jeszcze raz wytłumaczyć swój zamysł, lecz najwyraźniej sama zrozumiała, bo dodała:

— Przyjdę, lecz jeśli potrzebujesz naprawdę jakiejś śmiesz-ki, to zaprosz swoją dawną przyjaciółkę Dynię.

Od powrotu do Gion ciągle myślałam o Dyni. Zaraz po wejściu do okiia stanęło mi przed oczami nasze pożegnanie. Było to tego dnia, gdy zamknięto dzielnicę rozrywki. Złożyła mi sztywny ukłon, należny adoptowanej córce właścicielki, i odeszła. Wspominałam ją, gdy doprowadzałyśmy dom do porządku. Wycierając podest, przypominałam sobie Dynię siedzącą tam z shamisenem. Puste miejsce zionęło jakimś przeraźliwym chłodem. Ile lat minęło, kiedy byłyśmy dziewczętami? Nie potrafiłam jej zapomnieć i nigdy tak naprawdę nie zaakceptowałam końca naszej przyjaźni. Większą część winy za ten stan rzeczy ponosiła Hatsumomo, lecz Mama zrobiła ostateczne cięcie, czyniąc mnie córką okiia. A może sama też zawiniłam? Od Dyni nie zaznałam nigdy niczego złego. Miałam nadzieję, że kiedyś jej za to podziękuję.

Najdziwniejsze, że dopiero po słowach Mamehy poważnie pomyślałam o naszym spotkaniu. Wiedziałam, że początek wypadnie niezręcznie, lecz im dłużej to rozważałam, tym bardziej skłaniałam się do wniosku, że Dynia chętnie zamieni towarzystwo żołnierzy na możliwość powrotu w elegantsze kręgi. Rzecz jasna miałam jeszcze jeden powód. Po latach chciałam odnowić naszą przyjaźń.

Nie wiedziałam, gdzie szukać Dyni. Słyszałam tylko, że jest w Gion. Porozmawiałam więc z Ciocią, do której napisała przed kilkoma laty. Okazało się, że nie mogła nigdzie zagrać miejsca, i pytała, czy kiedyś, po otwarciu, pozwolimy jej wrócić do okiia. Ciocia chciała jej pomóc, lecz Mama odmówiła twierdząc, że Dynia to marna inwestycja.

— Mieszka w smętnej małej chałupce w dzielnicy Hanami — powiedziała Ciocia. — Lecz nie lituj się nad nią i jej tu nie sprowadzaj. Mama nie chce jej widzieć. Niemądrze postępujesz, że w ogóle tam się wybierasz.

— Wstyd mi za to, co między nami zaszło...

— Nic nie zaszło. Tobie się powiodło, a ona przegrała. Wcale nie ma najgorzej. Słyszałam, że jest popularna wśród Amerykanów. Nieokrzesała, tak jak oni.

Jeszcze tego samego dnia przeszłam na drugą stronę Shijo, do dzielnicy Hanami, i odnalazłam smętną chatkę, o której mówiła Ciocia. Pamiętasz Korin i pożar w okiia, w najczarniejszej godzinie wojny? Ten sam pożar uszkodził przyległe budynki, między innymi ten, w którym teraz mieszkała Dynia. Ściany miał osmalone po jednej stronie, a dach naprawiony zwykłymi deskami. W zniszczonym Tokio lub w Osace wyglądałby pewnie jak pałac, lecz na swoje nieszczęście stał w samym centrum Kioto.

Młoda służąca wprowadziła mnie do salonu cuchnącego mokrym popiołem. Potem wróciła z czarką słabej herbaty. Czekałam długo, wreszcie usłyszałam Dynię wchodzącą do sieni. Ledwie ją widziałam w panującym półmroku, lecz wiedząc, że to ona, zerwałam się od stołu. Chciałam ją objąć... Ostrożnie weszła do pokoju, klękła i złożyła mi ceremonialny ukłon, jakby ujrzała Mamę. Zamurowało mnie ze zdziwienia.

— Dynio... to tylko ja!

Nie patrzyła na mnie. Siedziała z wzrokiem wbitym w podłogę, jak pokojówka oczekująca na rozkazy. Ze smutkiem wróciłam na poprzednie miejsce.

Do końca wojny zachowała dziecięcą, pucołowatą twarz, choć w jej oczach na stałe zagościł smutek. Mocno się zmieniła od tamtej pory. Nie wiedziałam jeszcze, że przez dwa lata, po zamknięciu fabryki soczewek, zarabiała w Osace jako ulicznica. Zdawało mi się, że ma mniejsze usta — a może po prostu je zaciskała? Wyszczupiała, ale to tylko przydało jej urody. Nie była piękna jak Hatsumomo ani inne znane z urody gejsze, lecz miała w sobie wiele niedostrzegalnej przedtem kobiecości.

— Na pewno dużo przeszłaś — powiedziałam. — Ale wyglądasz znakomicie.

Milczała. Lekko tylko poruszyła głową, na znak, że mnie słyszy. Zapewniłam ją, że cieszę się z powodu jej niezwyklej popularności, i próbowałam spytać o powojenne losy, lecz nie odpowiadała. Zrobiło mi się głupio, że w ogóle przyszedłam.

Zapadła krępująca cisza.

— Wpadłaś na pogawędkę, Sayuri? — odezwała się wreszcie Dynia. — Obawiam się, że nie mam nic ciekawego do powiedzenia.

— Po prawdzie... Ostatnio rozmawiałam z Nobu Toshikazu i... Widzisz, do Gion co jakiś czas przyjeżdża pewien człowiek, z którym chciałam cię poznać. Trudno go rozbawić, więc pomyślałam sobie...

— A gdy mnie zobaczyłaś, pewnie zmieniłaś zdanie?

— Ależ nie! — zawołałam. — Skąd ci to przyszło do głowy. Nobu Toshikazu i Prezes... Iwamura Ken... to znaczy, Prezes Iwamura, bardzo liczą na twój udział w przyjęciu. To wszystko.

Dynia znów przez chwilę siedziała w milczeniu, patrząc w ziemię.

— Przestałam wierzyć, że życie może być tak proste — stwierdziła. — Pomyślisz pewnie, że jestem głupia...

— Dynio!

— ...lecz uważam, że masz w tym jeszcze inny, ukryty powód.

Ukloniła się lekko, enigmatycznie. Nie wiedziałam, czy mnie przeprosza za ostatnie słowa, czy chce się pożegnać i odejść.

— Tak, mam powód — odparłam. — Prawdę mówiąc, sądziłam, że po tylu latach uda nam się odnowić naszą starą przyjaźń. Tak wiele przeżyliśmy razem... łącznie z Hatsumomo. Wydawało mi się normalne, że musimy się spotkać.

Nie odpowiedziała.

— W przyszłą sobotę, w Ichiriki, Prezes Iwamura i Nobu będą podejmowali pewnego ministra — oznajmiłam. — Będzie mi bardzo miło, jeśli do nas dołączysz.

Przyniosłam jej w prezencie paczkę herbaty. Wyjęłam ją z jedwabnej chustki i położyłam na stole. Wstałam, aby na koniec powiedzieć coś miłego, lecz Dynia popatrzyła na mnie z tak bezgranicznym zdumieniem, że po prostu wyszłam.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Minęło pięć albo więcej lat, gdy po raz ostatni widziałam Prezesa. Czasem tylko czytywałam w gazetach o kłopotach, jakie go dotknęły. O utarczkach z wojskiem pod koniec wojny i o trudnej walce z władzami okupacyjnymi, grożącymi zamknięciem koncernu. Nie zdziwiło mnie, że się postarzał wskutek tych wszystkich wydarzeń. Na zdjęciu zamieszczonym w dzienniku „Yomiuri” zauważyłam, że miał podkrążone oczy, takie same jak sąsiad pana Arashino, który ciągle wypatrywał bombowców. Tydzień dobiegał końca, a ja tkwiłam w niepewności, czy Nobu będzie pamiętał o swojej obietnicy. Mogłam jedynie czepiać się nadziei.

W sobotę wstałam wczesnie rano i odsunęłam papierową okiennicę. Zimny deszcz tłukł o szyby. W dole jakaś młoda dziewczyna przewróciła się na oblodzonym chodniku. Dzień był tak chmurny i ponury, że bałam się zajrzeć do almanachu. W południe było jeszcze zimniej niż o świcie. Para szła mi z ust, gdy zasiadłam w salonie do obiadu. Lodowaty deszcz wciąż padał. Ze względu na niebezpiecznie śliskie ulice odwołano część zapowiadanych przyjęć. Wieczorem Ciocia zadzwoniła do Ichiriki, by sprawdzić, co z bankietem koncernu Iwamura. Powiedziano jej, że linie z Osaką są zerwane i tak naprawdę to nic nie wiadomo. Wykąpałam się więc, ubrałam i pod rękę z panem Bekku poszłam do Ichiriki. Pan Bekku włożył kalosze pożyczone od młodszego brata, który był garderobianym w Pontocho.

W Ichiriki panował kompletny zamęt. W służbówce pękła rura z wodą, więc wszyscy mieli pełne ręce roboty i nikt mnie nawet nie przywitał. Wstąpiłam do pokoju, w którym przed tygodniem spotkałam się z Ministrem i Nobu. Nie spodziewałam się, że kogoś tam zastanę. Nobu i Prezes mieli do pokonania całą drogę z Osaki, a Mameha wyjechała za miasto i do tej pory pewnie nie wróciła. Przed otwarciem drzwi klęknęłam w korytarzu, zamknęłam oczy i przyłożyłam rękę do brzucha, żeby ukoić skołatane nerwy. Dopiero teraz zwróciłam uwagę na panującą wokół ciszę. Z żadnego pomieszczenia nie dobiegał nawet najcichszy pomruk. Z nagłym rozczarowaniem pomyślałam, że pokój na pewno jest pusty. Wstałam i chciałam odejść, lecz wiedziona przedziwną przekorą postanowiłam jednak sprawdzić, co się kryje za drzwiami. Zerknęłam przez wąską szparę. Za stołem, z

gazetą w obu dłoniach, siedział Prezes. Kiedy stanęłam w progu, spojrzał na mnie znad okularów. Z przejęcia nie mogłam wykrztusić ani słowa.

– Wielkie nieba, Prezesie! – wyjąkałam w końcu. – Kto pana tak zostawił zupełnie samego? Oj, szefowa nie będzie zadowolona.

– To ona właśnie mnie tu zostawiła – odparł i złożył, gazetę. – Ciekawe, gdzie się podziewa.

– Nie ma pan nawet nic do picia. Zaraz przyniosę sake.

– To samo powiedziała właścicielka. Pewnie mi znikniesz, tak jak ona, i resztę nocy spędzę na czytaniu gazet. Wolę, żebyś została.

Zdjął okulary, wsunął je do kieszeni i obrzucił mnie długim spojrzeniem lekko zmrużonych oczu.

Przestronny pokój o żółtawych ścianach jakby nagle zmałał, kiedy usiadłam tuż przy Prezesie. Podejrzewam, że w tamtej chwili żadna przestrzeń nie pomieściłaby moich uczuć. Coś we mnie zakipiało na widok człowieka, którego nie widziałam przez tak długie lata. Więcej w tym było smutku niż radości. Bałam się do niedawna, że Prezes, tak jak Ciocia, mocno się postarzał w okresie wojny. Nawet od drzwi widać było, że kąciaki oczu miał mocniej pomarszczone, niż to zapamiętałam. Skóra wokół ust lekko mu obwisła, lecz przez to wyglądał dostojniej. Siadając, kątem oka znów zerknęłam na niego. Przyglądał mi się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Chciałam coś powiedzieć, lecz on zaczął pierwszy.

– Wciąż jesteś bardzo piękna, Sayuri.

– Ależ, Prezesie... – zająknęłam się. – Proszę tak nie mówić. Pół godziny spędziłam przed lustrem, żeby jakoś ukryć zapadnięte policzki.

– Wiem, że przeżyłaś dużo gorsze rzeczy niż utrata paru kilogramów. Wiem, bo sam przez to przeszedłem.

– Prezesie, jeśli wolno... Nobu-san wspominał mi o kłopotach waszego przedsiębiorstwa...

– Nie musimy o tym rozmawiać. Czasem biedujemy wyłącznie dlatego, że świat nie pasuje do naszych najskrytszych marzeń.

Uśmiechnął się smutno. Miał precudowny uśmiech. Zawisłam spojrzeniem na jego pięknie wykrojonych wargach. – A teraz użyj swoich czarów i zmieńmy temat – zaproponował.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, weszła Mameha. Za nią Dynia. Zdumiałam się na jej widok, bo nie sądziłam, że przyjdzie. Mameha dopiero wróciła z Nagoi i natychmiast wpadła do Ichiriki, przekonana, że jest spóźniona. Przywitała się z Prezesem, podziękowała za coś, co zrobił dla niej przed tygodniem, i zapytała, co się stało z Ministrem i Nobu. Prezes przyznał, że sam się nad tym zastanawia.

– Dziwny dzień mamy – powiedziała Mameha, jakby po trochu do siebie. – Pociąg przez godzinę stał tuż przed stacją i nikt nie mógł wysiąść. Wreszcie dwaj młodzieńcy wyskoczyli przez okno. Jeden z nich nawet się poturbował. Teraz weszłam do Ichiriki, patrzę, a nikogo nie ma. Biedna Dynia zupełnie zagubiona snuła się po korytarzu! Zna pan Dynię, prawda, Prezesie?

Obrzuciłam Dynię baczniejszym spojrzeniem. Miała na sobie eleganckie popielate kimono, od pasa w dół znaczone błyszczącymi złotymi punkcikami, które przy bliższych oględzinach okazały się świetlikami fruującymi nad górskim stawem pogrążonym w bladym świetle księżyca. Ani ja, ani Mameha nie miałyśmy równie pięknych strojów. Prezes chyba też był zachwycony, gdyż poprosił Dynię, by wstała i obróciła się. Zrobiła to tylko raz, z bardzo skromną miną.

– Nie mogłam przyjść do Ichiriki w kimonie, które zazwyczaj noszę – wyjaśniła. – Większość z tych, które mam w okiia, jest marnej jakości, bo Amerykanie i tak nie dostrzegają różnicy.

– Gdybyś tego nie zdradziła, pomyślałabym, że tak chodzisz na co dzień – zauważyła Mameha.

– Żartuje pani. Nigdy w życiu nie miałam tak pięknego kimona. Pożyczyłam je z okiia mieszczącego się przy tej samej ulicy. Podali wygórowaną cenę, ale zazwyczaj i tak chodzę bez pieniędzy, więc wcale się nie zmartwiłam.

Prezes był wyraźnie rozbawiony. W towarzystwie mężczyzn gejsze nigdy nie rozmawiają o tak przyziemnych sprawach jak cena kimona. Mameha chciała coś powiedzieć, ale Dynia odezwała się pierwsza.

– Słyszałam, że jakiś bonzo ma tu być dziś wieczorem. – Może myślałaś o Prezesie – podsunęła Mameha. Sądzisz, że jest bonzo?

– Sam wie najlepiej. Nie muszę mu mówić.

Prezes ze zdumieniem popatrzył na Mamehę.

– Sayuri mi mówiła o innym facecie – dodała Dynia.

– Sato Noritaka – odezwał się Prezes. – Zastępca ministra skarbu.

– Ach ten. Znam go. Wygląda jak wielki prosiak.

Parsknęliśmy śmiechem.

– Dynio... – mitygowała ją Mameha. – Co ty w ogóle wygadujesz?

W tej samej chwili w drzwiach stanęli Minister i Nobu. Obaj byli mocno zaczerwienieni z zimna. Za nimi szła służąca z sake i lekką przekąską. Nobu przytupywał i bił się ręką po piersiach. Minister od razu podszedł do stołu. Mruknął na Dynię i ruchem głowy dał jej znak, żeby się przesunęła. Chciał usiąść przy mnie. Po wspólnych przywitaniach Dynia powiedziała:

– Cześć, Ministrze. Założę się, że pan mnie nie pamięta, ale ja dużo wiem o panu.

Minister wlał do gardła pierwszą czarkę sake i obrzucił Dynię posepnym spojrzeniem.

– Co wiesz? – zapytała Mameha. – Opowiedz nam o tym.

– Wiem, że Minister ma młodszą siostrę, która wyszła za burmistrza Tokio – oznajmiła Dynia. – A poza tym trenował karate i złamał sobie rękę.

Minister był zaskoczony, więc domyśliłam się, że to prawda. – Znam też pewną dziewczynę – ciągnęła Dynia. Nao Itsuko. Pracowałyśmy razem w fabryce w Osace. Wiecie, co mi powiedziała? Że robili to mnóstwo razy.

Obawiałam się, iż Minister się obrazi, ale on jakby poweselał i na dodatek pokraśniał z dumy.

– Ładna dziewczyna z tej Itsuko – z półuśmiechem powiedział do Nobu.

– Nie wiedziałem, że z pana taki chojrak – przyznał Nobu z pozorną szczerością, lecz nie umiał powstrzymać źle skrywanej niechęci. Prezes popatrzył na mnie. Był coraz bardziej ubawiony tą rozmową.

Chwilę później do pokoju wkroczyły trzy służące. Niosły tace z kolacją dla gości. Byłam głodna, więc wolałam odwrócić oczy od żółtego kremu z orzechami miłorzębu, serwowanego w ślicznych seledynowych miseczkach. Potem podano tropikalne ryby ułożone na sosnowych igłach. Nobu na pewno zauważył moje tęskne spojrzenia, gdyż poczęstował mnie sporym kęsem. Prezes poczęstował Mamehę, a potem Dynię. Ta ostatnia odmówiła.

– Za nic w świecie nie tknę tej ryby – powiedziała. Nawet nie chcę na nią patrzeć.

– A co w niej złego? – zapytała Mameha. – Jak powiem, to mnie wyśmiejecie.

– Powiedz, Dynio – poprosił Nobu.

– Nie. To długa, długa historia, a i tak nikt z was w nią nie uwierzy.

– Kłamczucha! – zawołałam.

Nie zarzucałam jej kłamstwa. Przed zamknięciem Gion często na przyjęciach grywałyśmy w Kłamczuchę. Chodziło o to, żeby każda opowiedziała dwie historie, z których tylko jedna była prawdziwa. Goście usiłowali zgadnąć, co jest prawdą, a co kłamstwem. Ten, kto przegrał, za karę wypijał szklanekę sake.

– Wcale nie gram – zaperzyła się Dynia.

– Więc opowiedz o rybie – zachęciła Mameha. – Drugiej historii nie będzie.

Dynia zrobiła niezadowoloną minę. Mameha i ja patrzyłyśmy na nią bez słowa.

– No, dobrze... – westchnęła w końcu. – Idzie tak. Urodziłam się w Sapporo. Żył tam też stary rybak, który pewnego dnia złowił dziwnie wyglądającą rybę, która umiała mówić.

Spojrzałam na Mamehę i obie wybuchnęłyśmy śmiechem.

– ŚmieJCie się, jeśli chcecie – zawołała Dynia – ale to szcZera prawda.

– Mów dalej. Słuchamy – zapewnił ją Prezes.

– Dalej było tak: rybak złowił rybę, wziął ją do czyszczenia, a ona zaczęła wydawać takie dźwięki, jakby coś mówiła. Rybak tego nie rozumiał. Zwołał innych i przez chwilę słuchali wszyscy. Ryba była półżywa, bo już długo przebywała bez wody, więc zamierzali ją dobić. Nagle przez tłum przepchnął się pewien starzec, który twierdził, że rozumie każde słowo, gdyż ryba mówi po rosyjsku.

Teraz już wszyscy parsknęli śmiechem, nawet Minister wydał parę chrząknięć.

– Wiedziałam, że mi nie uwierzycie! – krzyknęła Dynia, gdy się uciszyło. – Ale to najprawdziwsza prawda!

– Zdradź mi, co ryba powiedziała – odezwał się Prezes.

– Była już prawie martwa, więc potrafiła... tylko szeptać. Starzec nachylił się i zbliżył ucho do jej ust...

– Ryby nie mają ust! – wtrąciłam.

— Dobrze, więc do... do tego, co mają — poprawiła się Dynia. — Do krawędzi pyszczka. Ryba powiedziała: „Niech mi brzuch rozprują! Nie mam już po co żyć. Tamta ryba, co zdechła chwilę temu, była moją żoną”.

— Zatem ryby się pobierają! — zawołała Mameha. — Mają żony i mężów!

— To było przed wojną — sprostowałam. — Po wojnie im zabroniono. Pływają w kółko w poszukiwaniu pracy.

— Wszystko zdarzyło się przed wojną — przytaknęła Dynia. — Dawno, dawno przed wojną. Nawet przed urodzeniem mojej matki.

— Więc skąd wiesz, że to prawda? — spytał Nobu. — Ryba ci przecież nie powiedziała.

— Ryba zdechła! Poza tym jak mogła mi powiedzieć, skoro mnie jeszcze nie było na świecie? A w ogóle to nie umiem po rosyjsku.

— Dobrze, dobrze... — przerwałam. — Twoim zdaniem ryba Prezesa jest mówiącą rybą?

— Tego nie powiedziałam. Wygląda dokładnie tak samo. Nie zjadłabym jej, nawet gdybym miała umrzeć z głodu.

— Skoro nie było cię na świecie, to skąd wiesz, jak wyglądała? — spytał Prezes.

— A pan wie, jak wygląda premier? — odpowiedziała pytaniem. — Wie pan? A spotkał pan go kiedyś? Pewnie tak. Czekałcie, dam lepszy przykład. Wszyscy wiecie, jak wygląda cesarz, chociaż nikt z nas z nim nie rozmawiał.

— Prezes miał ten zaszczyt — wyjaśnił Nobu.

— Rozumiecie przecież, co mówię. Wszyscy znają wygląd cesarza. To chyba jasne.

— Są zdjęcia — mruknął Nobu. — Widziałaś zdjęcie ryby?

— Tam, gdzie dorastałam, ta ryba była naprawdę sławna. Matka opowiadała mi o tym i mówię wam, to była taka ryba jak ta, co leży tu na stole!

— Dzięki bogom, że są na świecie tacy ludzie jak ty, Dynio — westchnął Prezes. — Przy tobie wychodzimy na nudziarzy.

— Ot, i cała historia. Nie opowiem drugiej. Jeśli dalej chcecie grać w Kłamczuchę, to proszę bardzo.

— Ja zacznę — zaoferowała się Mameha. — Oto moja pierwsza opowieść. Kiedy miałam sześć lat, poszłam po wodę do studni na dziedzińcu okiia. Nagle usłyszałam,

że ktoś kaszle i chrząka. Co gorsza, głos dochodził właśnie z głębi studni. Obudziłam właścicielkę i nasłuchiwałyśmy razem. Świecąc sobie latarnią, zajrzałyśmy do studni. Nikogo tam nie było, ale kaszel i jęki trwały aż do rana. Potem umilkły i już nigdy więcej się nie powtórzyły.

— Druga opowieść będzie na pewno prawdziwa — zawyrokował Nobu. — Nawet nie muszę jej słuchać.

— Takie są zasady — przypomniała mu Mameha. — Zatem... do dzieła. Pewnego razu, w towarzystwie kilku innych gejsz, wybrałam się na przyjęcie do Osaki, do domu Akity Masaichiego.

Był to znany przed wojną handlowiec, właściciel niemałej fortuny.

— Piłyśmy i śpiewałyśmy przez kilka ładnych godzin, aż wreszcie Akita-san usnął na stole. Jedna z nas zakradła się do sąsiedniego pokoju i otworzyła kufer pełen pornograficznych rycin. Były tam nawet drzeworyty autorstwa Hiro-shige...

— Hiroshige nigdy nie parał się pornografią — wtrąciła Dynia.

— Parał się — zaprzeczył Prezes. — Sam widziałem kilkanaście odbitek.

— Były tam też zdjęcia niezwyłych grubasów, obu płci, zarówno z Japonii, jak i z Europy. Do tego kilka rolek filmów.

— Dobrze znam Akitę — oświadczył Prezes. — Nie zbiera pornografii. Głosuję za pierwszą historią.

— Prezesie... — zdumiał się Nobu. — Wierzy pan w głos ze studni?

— Nie muszę wierzyć. Najważniejsze jest to, co Mameha uważa za prawdę.

Dynia i Prezes powiedzieli się za głosem ze studni. Minister i Nobu — za pornografią. Ja już wcześniej słyszałam obie anegdoty, więc wiedziałam, że prawdziwa jest ta ze studnią. Minister bez słowa wypił karną szklanekę, ale Nobu narzekał, więc ustaliliśmy, że to on opowie dwie kolejne historie.

— Nie gram — burknął.

— Musi pan grać, bo inaczej za każdym razem czeka pana karna kolejka — powiedziała Mameha.

— Dobrze. Chcecie, to proszę bardzo — odparł. — Pierwsza. Miałem małego białego psa, wabił się Kubo. Pewnej nocy wracam do domu, a Kubo jest niebieski.

— Prawda! — wykrzyknęła Dynia. — Pewnie został porwany przez demony.

Nobu spojrział na nią, jakby nie wierzył własnym uszom.

— Następnego dnia wydarzyło się to samo — dodał z ociąganiem. — Tylko tym razem Kubo stał się jaskrawo-czerwony.

— Demony! — Dynia pokiwała głową. — Uwielbiają czerwień. To kolor krwi.

Nobu wyraźnie się zezłościł, kiedy to usłyszał.

— Druga opowieść. W zeszłym tygodniu przyszedłem do biura tak wcześnie, że nie było jeszcze sekretarki. Proszę bardzo, która jest prawdziwa?

Rzecz jasna, wszyscy głosowali za sekretarką. Wszyscy prócz Dyni, która musiała potem wypić szklankę sake. Pełną szklankę. Minister lał powoli, aż do samego wrębu. Dynia siorbnęła łyk, zanim uniosła szklankę ze stołu. Przyglądałam jej się z niepokojem, gdyż miała wyjątkowo słabą głowę.

— Nie wierzę, że z tym psem pan kłamał — powiedziała. Wydawało mi się, że lekko przeciągała słowa. — To zbyt prawdziwe.

— Zbyt prawdziwe? Jak mogłaś w to uwierzyć? Psy nie zmieniają barwy na niebieską. Ani na czerwoną. Demonów nie ma.

Nadeszła kolej na mnie.

— Oto pierwsza historia. Pewnego dnia, przed paroma laty Yoegoro, aktor kabuki, upił się i zaczął wygadywać, że według niego jestem najpiękniejsza w świecie.

— Kłamstwo! — wyrwała się Dynia. — Znam Yoegoro.

— Na pewno znasz. W każdym razie powiedział, że jestem piękna, i od tamtej pory przysyła mi listy. Za każdym razem przykleja kręty czarny włos w górnym rogu papieru listowego.

Prezes roześmiał się, a Nobu przybrał niezwykle gniewny wyraz twarzy.

— Aktorzy... — warknął. — Banda matolów!

— Nie rozumiem. Co znaczy „kręty”? — zapytała Dynia, chociaż widać było, że doskonale zna odpowiedź.

Wszyscy zamilkli, czekając na drugą historię. Denerwowałam się, gdyż od samego początku gry zamierzałam ją opowiedzieć. Nie byłam pewna, czy dobrze robię.

— Kiedyś, kiedy byłam dzieckiem... — zaczęłam — przydarzyło mi się coś złego. Usiadłam nad potokiem Shirakawa i zaczęłam płakać...

Miałam wrażenie, że wyciągam rękę nad stołem, żeby dotknąć Prezesa. Tylko on mógł zrozumieć prawdziwy sens tej anegdoty. Byłam o tym przekonana. Nigdy

przedtem nie poruszałam przy nim tak prywatnych kwestii. Zrobiło mi się gorąco. Uniosłam głowę z nadzieją, że napotkam zdumione spojrzenie Prezesa. Niestety wyglądał tak, jakby w ogóle mnie nie słuchał. Poczulałam nagły żal... jak dziewczyna, która chce się popisać na spacerze i odkrywa nagle, że ulica jest całkiem pusta.

Wszyscy chyba znudzili się czekaniem na dalszą część opowieści, gdyż Mameha zapytała:

— I co? Mów dalej.

Dynia też wybełkotała, lecz jej nie zrozumiałam.

— Opowiem coś innego — zdecydowałam. — Pamiętacie gejszę Okachi? W czasie wojny zginęła w wypadku. Parę lat przedtem wyciągnęła mnie na rozmowę. Miała przeczucie, że poniesie śmierć od uderzenia spadającej drewnianej skrzyni. Tak się stało. Runęła na nią z półki skrzynka pełna złomu.

Ze zdenerwowania nie zwróciłam uwagi, że żadna z opowieści nie była prawdziwa. Przynajmniej nie w całości. Nie przywiązywałam jednak do tego większej wagi, gdyż wszyscy gracze na ogół oszukiwali. Czekałam więc, co wybierze Prezes. Opowiedział się za aktorem i krętym włosem. Przyznałam mu rację. Minister i Dynia wypili karną kolejkę.

Następny był Prezes.

— Nie jestem w tym najlepszy — przyznał. — W odróżnieniu od gejsz, nie potrafię kłamać.

— Panie Prezesie! — żartobliwie ofuknęła go Mameha.

— Martwię się o Dynię, więc nie będę zbytnio utrudniał jej zadania. Obawiam się, że nie przetrzyma następnej kolejki.

Dynia toczyła wokół nieprzytomnym wzrokiem. Nie słuchała Prezesa, póki nie padło jej imię.

— Uważaj, Dynio. Zaczynam pierwszą opowieść. Dziś wieczorem przyszedłem do herbaciarni Ichiriki. A teraz druga: parę dni temu do mojego biura przyszła pewna ryba... Nie, zaczekaj. Możesz wierzyć w chodzące ryby... Parę dni temu otwieram szufladę biurka, a tu hop! Wyskoczył mały człowieczek w mundurze. Zaczął tańczyć i śpiewać. Co ty na to?

— Chyba pan nie myśli, że uwierzę w karzełka schowanego w szufladzie? — wymruczała Dynia.

— Wystarczy, że coś wybierzesz. Która była prawdziwa?

— Pierwsza. Ale nie pamiętam o czym.

— Za takie opowieści to pan powinien wypić karną kolejkę, Prezesie — stwierdziła Mameha.

Dynia usłyszała „kolejka” i najwyraźniej uznała, że znów się pomyliła, gdyż natychmiast sięgnęła po sake. Źle wyglądała. Prezes zareagował pierwszy i odebrał jej opróżnioną do połowy szklanekę.

— Nie lej w siebie jak w wiadro — powiedział. Dynia wlepiła w niego błędne spojrzenie, więc spytał, czy go słyszy.

— Jeśli nawet słyszy, to na pewno nie widzi — mruknął Nobu.

— Wstawaj, Dynio — zarządził Prezes. — Odprowadzę cię do domu. A jeśli będzie trzeba, to zaciągnę.

Mameha zaproponowała mu swoją pomoc. We dwójkę zabrali Dynię. Nobu i Minister zostali ze mną w pokoju.

— I co, panie Ministrze? — spytał Nobu. — Jak się pan bawi?

Minister był dokładnie tak samo włany jak Dynia, lecz zdołał wybelkotać coś o „wspaniałym wieczorze” i kilka razy energicznie pokiwał głową. Potem podniósł czarękę i czekał, aż mu naleję. Nobu już na to nie pozwolił.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Przez całą zimę, aż do późnej wiosny, Nobu i Minister odwiedzali Gion raz lub dwa razy w tygodniu. Wziąwszy pod uwagę, jak często przebywali razem, można się było spodziewać, że Minister nabierze przekonania, iż są stworzeni dla siebie jak dwie bryły lodu. Jeśli tak było, nigdy tego nie okazywał. Prawdę mówiąc, w ogóle nie zwracał uwagi na otoczenie, ożywał się tylko wtedy, gdy siadałam przy nim z buteleczką sake. Miałam z tego powodu niemałe kłopoty. Nobu złościł się, gdy zbyt długo zabawiałam Ministra, i twarz mu czerwieniała po mniej spalonej stronie. Wołałam, gdy dołączali do nas Prezes, Mameha i Dynia. Odgrywali tę samą rolę, co słoma w towarowej skrzyni.

Oczywiście obecność Prezesa cieszyła mnie także z innych względów. Widywałam go częściej niż przedtem i stwierdziłam, że różni się nieco od wizerunku, jaki powstał w mojej wyobraźni. Nie pamiętałam, iż rzęsy miał długie i miękkie jak pędzle. Usta – które podziwiałam za ich niewzruszoność – rzadko kiedy skrywały gnębiące go uczucia. Czasami usiłował nie okazywać rozbawienia, zdradzały go jednak lekko wygięte wargi. Gdy siedział zatopiony w myślach – na ogół rozważając jakiś problem związany z pracą – obracał czarukę w dłoni i krzywił się tak mocno, że od ust do brody biegły mu dwie głębokie bruzdy. Przyglądałam mu się wówczas bez zażenowania. Ze zmarszczonymi brwiami wyglądał najpiękniej. Widać było, że troszczy się o sprawy świata. Kiedyś, gdy Mameha coś opowiadała, wpatrywałam się w niego jak oczarowana. Po pewnym czasie zorientowałam się i drgnęłam przekonana, że wszyscy to widzieli. Na szczęście Minister zdążył się już upić, a Nobu jadł coś i dłu- bał w misce pałeczkami. Nie patrzył na mnie ani na Mamehę. Tylko Dynia przypatrywała mi się z tajemniczym uśmiechem.

Pewnego wieczoru, gdzieś pod koniec lutego, Dynia zapadła na gripę i nie mogła przyjść do Ichiriki. Prezes także się spóźnił, więc przez godzinę do spółki z Mameha zabawialiśmy Ministra i Nobu. Wreszcie zaczęliśmy tańczyć, bardziej powodowane własną chęcią niż rzeczywistą potrzebą. Nobu nie przepadał za takimi popisami, a Ministra nic nie obchodziło. Tańczyliśmy więc najzwyczajniej dla zabicia czasu.

Zaczęła Mameha od kilku krótkich tańców. Przygrywałam jej na shamisenie. Potem zamieniłyśmy się miejscami. Stałam we właściwy sposób — pochylona, z wachlarzem skierowanym w dół i wyciągniętą w bok drugą ręką — kiedy wszedł Prezes. Przywitałyśmy go i czekałyśmy, aż zajmie miejsce przy stole. Cieszyłam się, że przyszedł, bo choć wcześniej widywał mnie na scenie, nie miałam okazji prywatnie dla niego występować. Chciałam zacząć od *Migoczących liści jesieni*, lecz zmieniłam zdanie i poprosiłam Mamehę, żeby zagrała *Okrutny deszcz*. Jest to opowieść o młodej dziewczynie, wzruszonej do głębi serca tym, że kochanek okrył ją własnym kimonowym płaszczem dla osłony przed siekącym deszczem. Kochanek był bowiem duchem zaklętym w człowieka i rozpuszczał się pod wpływem wody. Nauczycielki chwaliły mnie za sposób, w jaki wyrażałam nieutulony smutek dziewczyny. W odróżnieniu od innych tancerek, nie trzęsły mi się nogi, gdy z wolna opadałam na kolana. Chyba już o tym wspominałam, lecz jeszcze raz powtórzę, że w szkole Inoue mimika jest równie ważna jak ruchy rąk i nóg. W trakcie tańca okropnie chciałam zerknąć na Prezesa, lecz powstrzymałam się i do końca panowałam nad wzrokiem. By wzbudzić w sobie odpowiedni nastrój, przez cały czas myślałam o najsmutniejszej rzeczy — że Nobu, a nie Prezes, będzie moim danna. Ciężar tej myśli spoczął na mnie jak stukilogramowe brzemie. Gdzieś na zewnątrz w ogrodzie krople deszczu z brzękiem tłuczonego szkła kapąły z dachu na ziemię. Nawet maty mocniej przywarły do ziemi. Nie udawałam dziewczyny płaczącej nad jakąś zjawą; grałam siebie, obrabowaną z najcenniejszych uczuć. Wspomniałam także Satsu i odtworzyłam gorycz naszej wiecznej rozłąki. Pod koniec niemal rzeczywiście popadłam w czarną rozpacz, lecz nie byłam przygotowana na reakcję Prezesa.

Siedział w taki sposób, że tylko ja widziałam jego twarz. Miał szeroko otwarte oczy — początkowo sądziłam, że ze zdziwienia. Potem jednak kilkakrotnie poruszył ustami, jakby usiłował powstrzymać uśmiech. Przeczyły temu jednak łzy, które zgromadziły mu się pod powiekami. Zerknął na drzwi i podrapał się palcem w nos, ukradkiem wycierając kącik oka, i przygładził brwi, jakby to one były przyczyną wszystkiego. Nie miałam pojęcia, co zrobić, bo nigdy nie widziałam go w takim stanie. Wróciłam do stołu. Nobu wdał się w rozmowę z Mamehą.

- Gdzie jest Dynia? — w pewnej chwili zapytał Prezes.
- Zachorowała, panie Prezesie — odparła Mameha.
- Co to znaczy? W ogóle dziś nie przyjdzie?

— Nie — odpowiedziała Mameha. — Dostała silnej grypy.

Wróciła do przerwanej rozmowy. Prezes popatrzył na zegarek.

— Musicie mi wybaczyć — powiedział, wciąż lekko roztrzęsionym głosem. — Nie czuję się zbyt dobrze.

Wyszedł. Nobu w tej samej chwili powiedział coś zabawnego i wszyscy się roześmieli. Ja jednak nie mogłam pozbyć się smętnych myśli. Mój taniec wyrażał przecież ból rozłąki. Posmutniałam przy tym, lecz Prezes też posmutniał. To możliwe, że tęsknił do nieobecnej Dyni? Przecież chyba nie płakał z powodu jej choroby. Najwyraźniej poruszyłam w nim jakąś inną czułą strunę. Dlaczego więc, gdy skończyłam tańczyć, zapytał o Dynię? Z jakiego powodu wyszedł? Nie mogłam w to wszystko uwierzyć. Byłabym mniej skrzywdzona, gdyby ktoś mi powiedział, że Prezes pała uczuciem do Mamehy. Ale Dynia? Jak mógł tęsknić za kimś tak... nieokrzesanym?

Podaję, że w tym momencie dziewięć kobiet na dziesięć pożegnałoby się z ostatnią nadzieją. Przez jakiś czas dzień w dzień chodziłam do wróżbity i bez przerwy wertowałam almanach, żeby znaleźć cokolwiek o moim przeznaczeniu. Japonia przeszła przez dekadę utraconych złudzeń. Nie zdziwiłabym się, gdyby moje osobiste plany podzieliły los setek innych. Z drugiej strony, powracała wiara, że nasz kraj pomału odzyska dawną świetność. Wiedzieliśmy, że tak się stanie, gdy tylko przestaniemy wiecznie żyć na gruzach. Codziennie czytałam w gazecie o jakimś nowo otwartym sklepiku, w którym przed wojną sprzedawano na przykład części rowerowe i w którym teraz, jakby nigdy nic, powrócono do prowadzenia dawnych interesów. Skoro cały naród wyzwolił się z mrocznej doliny, pozostawała słaba nadzieja, że ja też to zrobię.

Począwszy od marca, przez całą wiosnę uczestniczyłyśmy z Mamehą w *Tańcach z dawnej stolicy*. Wystawiono je po raz pierwszy od zamknięcia Gion. Prezes i Nobu byli mocno zajęci, więc zaledwie dwa razy przyprowadzili Ministra do Ichiriki. Potem, na samym początku czerwca, nadeszła wiadomość z koncernu Iwamura, że jestem zaproszona na kolejne przyjęcie. Miałam na ten wieczór już inne plany, z których nie bardzo mogłam się wykręcić, przyszłam więc z ponadpółgodzinnym spóźnieniem. Ze zdumieniem stwierdziłam, że zamiast całej grupy, za stołem siedzą tylko Minister i Nobu.

Nobu był najwyraźniej zły. Podejrzewałam, że gniewał się na mnie za to, że tak długo musiał zabawiać Ministra. Prawdę mówiąc, „zabawiali” się w ten sam sposób jak wiewiórka z kornikiem żyjącym na tym samym drzewie. Nobu ze zmarszczonym czołem bębnił palcami po stole, a Minister gapił się w okno, na ogród.

— Dobrze! — rzucił Nobu, kiedy zajęłam miejsce przy stole. — Ministrze, dosyć już podziwiania krzaków. Mamy na pana czekać przez pół nocy?

Minister drgnął, przeprosił lekkim skinieniem głowy i usiadł na podsunętej przeze mnie poduszce. Jak zwykle nie wiedziałam, o czym z nim rozmawiać, ale w końcu znalazłam jakieś rozwiązanie.

— Pan Minister już mnie nie lubi!

— Co? — spytał, zmuszając twarz, by przybrała wyraz zdziwienia.

— Nie widziałam pana już ponad miesiąc! Nobu-san zapomniał o dobrych manierach i brał pana na wycieczki do Gion?

— Nobu-san to bardzo uprzejmy człowiek — oświadczył Minister. Kilka razy dmuchnął sobie w nos i dodał: — I tak proszę go o zbyt wiele.

— Miesiąc przerwy! To pan nazywa uprzejmością? Straciliśmy niejedną okazję.

— Zwłaszcza do picia — wtrącił Nobu.

— Proszę, proszę... Nobu-san jest dzisiaj w wyjątkowo paskudnym nastroju. Przez cały wieczór tak się zachowuje? A gdzie Prezes, Mameha i Dynia? Nie dołączają do nas?

— Prezes jest zajęty — powiedział Nobu. — O pozostałych nic nie wiem. To twoja sprawa, nie moja.

Chwilę później dwie służące podały kolację. Przez chwilę próbowałam podtrzymać rozmowę. Przez chwilę, gdyż Nobu cedził po dwa słowa, a Minister... cóż, chyba łatwiej przysłoby mi pogawędzić z pieczoną płotką. Podałam się i plotłam po prostu trzy po trzy, wszystko, co tylko mi przyszło do głowy. Przypominałam starszą panią gadającą do piesków. No i oczywiście nalewałam sake. Nobu pił mało, Minister zaś z wdzięcznością podsuwał mi czarkę. Po pewnym czasie zaszkliły mu się oczy. Nobu, jak przebudzony ze snu, z trzaskiem odstawił własną czarkę i otarł usta serwetką.

— Starczy na jeden wieczór. Ministrze, hop do domu!

— Nobu-san! — zaprotestowałam. — Nasz gość właśnie zaczął się rozkręcać.

— Już jest nakręcony. Chociaż raz wróci do domu wcześniej. Idziemy! Pana żona będzie bardzo wdzięczna.

— Nie jestem żonaty — oznajmił Minister, ale podciągnął skarpetki i wstał.

Odprowadziłam ich do drzwi i pomogłam Ministrowi włożyć buty. Ze względu na kłopoty z benzyną, taksówek jeździło mało, lecz służącej udało się zawołać riksę. Minister wsiadł. Zachowywał się raczej dziwnie, patrzył na swoje kolana i nawet się nie pożegnał. Nobu stał w drzwiach i spoglądał w górę, jakby obserwował nadciągające chmury. Niebo było przejrzyste.

— Nobu-san, na wszystkich bogów, co się wam obu dzisiaj przytrafiło? — spytałam po odjeździe Ministra.

Zerknął na mnie z niechęcią i wrócił do herbaciarni. Znalazłam go w pokoju, postukującego w stół pustą czarką. Sądziłam, że chce sake, lecz nie odpowiedział na moje pytanie, a butelka okazała się też pusta. Czekałam długo, ale się nie odzywał.

— Niech pan na siebie spojrzy — westchnęłam. — Ma pan na czole zmarszczkę tak głęboką jak przydrożny rów.

Złagodniał nieco; wspomniana zmarszczka zniknęła.

— Nie jestem już taki młody — mruknął.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że pewne zmarszczki zostają. Nie da się ich usunąć na każde zawołanie.

— Są dobre i złe zmarszczki. Proszę o tym pamiętać.

— Ty też już nie jesteś pierwszej młodości.

— Próbuje mnie pan obrazić? Jest pan w gorszym humorze, niż początkowo przypuszczałam. Podać więcej sake? Chyba chce pan się napić.

— Nikogo nie obrażam. Trzymam się zwykłych faktów.

— Są dobre i złe zmarszczki, są dobre i złe fakty — odparłam. — Złych lepiej unikać.

Wezwałam służbę i kazałam przynieść whisky z wodą oraz suszone mątwy na zakąskę. Zauważyłam, że Nobu nawet nie tknął kolacji. Nalałam whisky, uzupełniłam wodą i postawiłam przed nim szklanekę.

— Proszę bardzo — powiedziałam. — Niech pan to potraktuje jako lekarstwo.

Pociągnął niewielki łyk.

— Do dna — zakomenderowałam.

— Będę pił, ile zechcę.

— Kiedy lekarz wydaje polecenia, pacjent ma obowiązek słuchać. Do dna!

Wypił, ale nie odzyskał wigoru. Nalałam mu kolejną porcję.

— Nie jesteś lekarzem! — obruszył się. — Będę pił, ile zechcę.

— Och, Nobu-san... Po każdym słowie jest z panem coraz gorzej. Im bardziej chory pacjent, tym większa dawka lekarstw.

— Nie lubię pić sam.

— Dobrze, przyłączę się — powiedziałam. Wrzuciłam do swojej szklanki dwie kostki lodu i wyciągnęłam rękę do Nobu. Po raz pierwszy uśmiechnął się lekko. Zabrał mi szklankę i nalał podwójną porcję, dodając odrobinę wody. Ze spokojem postąpiłam tak samo: odebrałam mu szklankę, wylałam zawartość do miski stojącej pośrodku stołu i nalałam mu dokładnie tyle, ile on mi nalał — plus kilka kropel za karę.

Wypiliśmy do dna. Skrzywiłam się mimo woli. Whisky smakowała tak samo jak woda z przydrożnej kałuży. Chyba dobrze zrobiłam, gdyż Nobu nieco się rozchmurzył.

— Co pana dziś napadło? — spytałam, gdy już odzyskałam oddech. — Co z Ministrem?

— Nawet mi o nim nie wspominaj! Chciałem wyrzucić go z pamięci, a ty wszystko popsulaś. Wiesz, co mi wcześniej powiedział?

— Nobu-san... — oświadczyłam. — Chce pan, czy nie, ale muszę pana rozbawić. Podczas poprzednich spotkań upijał się Minister. Teraz pora na pana.

Znów mnie obrzucił nieprzyjaznym spojrzeniem, lecz wziął szklankę, spojrzał na nią jak człowiek idący na ścieżce i wysuszył do dna. Potem otarł oczy wierzchem dłoni, jakby chciał je oczyścić z pyłu.

— Muszę ci coś wyznać, Sayuri — zaczął. — Prędzej czy później i tak się o tym dowiesz. Tydzień temu Minister w mojej obecności rozmawiał z właścicielką Ichiriki. Rozważaliśmy możliwość, by stał się twoim danna.

— Minister? — osłupiałam. — Nic już nie rozumiem. Właśnie to pan planował?

— Oczywiście, że nie! Lecz Minister ogromnie nam pomógł, więc nie miałem najmniejszego wyboru. Władze okupacyjne przygotowały ostateczną wersję zarzutów wobec koncernu Iwamura. Chcieli na dobre przejąć przedsiębiorstwo. Prezes miał się zająć wyrobem pustaków lub coś w tym rodzaju, bo wisiał nad nim zakaz pracy we

własnym zawodzie. Nade mną także. Minister spowodował ponowne otwarcie przewodu i przekonał wszystkich, że wyrok zapadł zbyt szybko. To zresztą prawda.

— Mimo to Nobu-san wciąż obrzuca Ministra wyzwiskami — zauważyłam. — Myśle...

— Zasłużył na to! Nawet na jeszcze więcej. Nie lubię go, Sayuri. Nie lubię tym bardziej, że mam teraz wobec niego wielki dług wdzięczności.

— Rozumiem — powiedziałam. — Zostanę zatem oddana Ministrowi...

— Nie zostaniesz. Ma za mało pieniędzy. Pozwoliłem, by wierzył, że koncern Iwamura pokryje część wydatków, ale to przecież niemożliwe. Znałem odpowiedź z góry, jeszcze przed rozmową tu, w Ichiriki. Minister był strasznie zawiedziony, aż mu trochę współczułem.

W opowieści Nobu nie było nic zabawnego, a mimo to wybuchnęłam niepohamowanym śmiechem. Pomyślałam bowiem, że mój nowy donna pochyła się nade mną coraz niżej i niżej... aż wreszcie rusza krzywą szczęką i dmucha mi prosto w nos.

— Co cię tak rozbawiło? — zaciekawiał się Nobu.

— Nic, Nobu-san... Proszę sobie wyobrazić Ministra...

— Nie chcę sobie nic wyobrażać! Wystarczy mi to, co przeszedłem podczas rozmowy z właścicielką Ichiriki!

Nalałam mu kolejną porcję whisky. On napełnił moją szklanekę. Miałam już serdecznie dość; mgła zaczęła wpełzać do pokoju. Nobu jednak wzniosł toast, więc nie mogłam odmówić. Otarł usta serwetką i powiedział:

— Żyjemy w strasznych czasach, Sayuri.

— Nobu-san, myślałam, że pijemy po to, by było nam weselej.

— Znamy się bardzo długo. Ile? Piętnaście lat? Może... — mruknął. — Nie, nie odpowiadaj. Nic nie mów, tylko siedź i słuchaj. Chciałem ci to już dawno powiedzieć, lecz wciąż czekałem na odpowiednią porę. Mam nadzieję, że słuchasz, gdyż nie będę powtarzał. Po pierwsze: nie przepadam za gejszami. To już chyba zauważyłaś. Z drugiej strony jednak, wiedziałem zawsze, że jesteś inna od wszystkich.

Czekałam chwilę, co usłyszę dalej. Milczał.

— To wszystko, co Nobu-san chciał mi powiedzieć? — spytałam.

— Nie sądzisz, że powinienem lepiej się spisywać? Na przykład... Ha! Na przykład kupować ci klejnoty.

— Kupił mi pan. Zawsze był pan nadzwyczaj miły. Zwłaszcza dla mnie, bo dla innych nie bardzo.

— Powinienem kupować więcej... ale nie o tym chciałem mówić. Mam kłopoty z wyrażaniem myśli. Chcę, żebyś wiedziała, że wreszcie zrozumiałem, jaki ze mnie głupiec. Przed chwilą śmiałaś się z Ministra, bo próbował być twoim danna. Popatrz na mnie: jednoręki, ze skórą jak... jak mnie nazywają? Jak jaszczur.

— Nobu-san, nie powinien pan mówić o sobie w ten sposób...

— Wreszcie nadeszła odpowiednia chwila. Czekałem na nią przez lata. Czekałem, kiedy byłaś związana z tym idiotą Generałem. Za każdym razem, gdy wyobrażałem sobie... Fe! Nie chcę o tym myśleć. A teraz ten dureń Minister! Wiesz, co mi wyznał dzisiaj? Okropność... Wiedział już, że nie może być twoim danna, więc usiadł jak kupa gnoju, pomyślał i powiedział: „Zapewniałeś mi, że zdobędę Sayuri”. Nigdy w życiu mu o tym nie mówiłem! „Zrobiliśmy, co można, Ministrze. Nie wyszło” — odparłem. „A nie dałoby się choć raz?” — spytał. „Co raz?! Jednorazowy danna?! Danna na jeden wieczór?!”. Skinął głową. Powiedziałem: „Niech pan mnie dobrze posłucha. Wystarczający wstyd, że ktoś pana pokroju w ogóle przyszedł prosić o taką gejszę jak Sayuri. Poparłem pana, bo wiedziałem, że nic z tego nie wyjdzie. Jeśli pan myśli...”.

— Nieprawda! Nie mówił mi pan tego! :'

— Mówiłem. I dodałem: „Jeśli pan naprawdę myśli, że choć na ćwierć sekundy dopuszczę pana do Sayuri... Po co to panu? Poza tym nie jest moja, to co mam oddawać? Mam do niej pójść i prosić?”.

— Nobu-san, mam nadzieję, że Minister się nie obraził. Po wszystkim, co zdziałał dla koncernu Iwamura...

— Poczekać chwilę. Nie myśl, że jestem niewdzięcznikiem. Minister pomógł nam, bo to jego praca. Traktowałem go dobrze przez te wszystkie miesiące i nadal zamierzam to robić. Nie zrezygnuję jednak z czegoś, na co przez dziesięć lat czekałem! Co byś zrobiła, gdybym przyszedł jako jego posłaniec? Oświadczyłabyś: „Dobrze, Nobu-san. Zrobię to dla pana”?

— Jak mam odpowiedzieć na takie pytanie?

— Bardzo prosto. Przyznaj, że to nie w twoim stylu.

— Nobu-san, mam wobec pana ogromny dług wdzięczności... i spełnię każdą pańską prośbę

— A to coś nowego! Zmieniłaś się, czy zawsze chowałaś to za pazuchą?

— Wiedziałam, że Nobu-san ma zbyt pochlebną opinię o mnie...

— Znam się na ludziach. Jeżeli jesteś inna, niż myślę, znak to, że żyjemy w niewłaściwym świecie. Mam rozumieć, że nie odrzuciłabyś od razu propozycji Ministra? Nie odróżniasz dobra od zła? Może już za długo przebywałeś w Gion?

— Nobu-san, proszę... Od lat nie widziałam pana tak gniewnego...

Pożałowałam swoich słów, gdyż dopiero teraz twarz Nobu rozgorzała prawdziwym gniewem. Chwycił szklankę i walnął nią w stół z taką siłą, że szkło i kawałki lodu prysnęły po stole. Potem uniósł dłoń i przyjrzał się krwawej prędze.

— Nobu-san!

— Odpowiadaj!

— Nawet już nie pamiętam pytania... Muszę panu opatrzeć rękę...

— Oddałabyś się Ministrowi? Jeśli tak, wyjdź stąd i nie pokazuj mi się więcej na oczy!

Nie wiedziałam, dlaczego sprawy przybrały tak zły obrót. Nie mogłam wybrać innej odpowiedzi niż ta, której żądał Nobu. Rozpaczliwie rozejrzałam się po pokoju, gdyż krew z jego ręki płynęła już po stole. Spoglądał na mnie takim wzrokiem, że bałam się ruszyć.

— Nigdy bym tego nie zrobiła.

Sądziłam, że to go uspokoi, lecz on wciąż patrzył na mnie wilkiem. Wreszcie westchnął.

— Następnym razem zacznij mówić, zanim się pokaleczę.

Wybiegłam z pokoju w poszukiwaniu właścicielki. Przyszła natychmiast. Służba przyniosła ręczniki i wodę. Nobu nie pozwolił wezwać lekarza, a rana okazała się mniej groźna, niż podejrzewałam. Po wyjściu kobiet Nobu zawzięcie milczał. Bezskutecznie usiłowałam wciągnąć go w rozmowę.

— Najpierw nie mogłam pana uspokoić — powiedziałam w końcu — a teraz nie umiem skłonić do mówienia. Nie wiem, czy chce pan jeszcze wypić, czy to właśnie alkohol wywołał awanturę.

— Starczy już picia, Sayuri. Lepiej przynieś ten kamień, który ci dałem.

— Jaki kamień?

— Ten, co dostałaś zeszłej jesieni. Kawał betonu z ruin naszej fabryki. Przynieś go.

Zimny dreszcz mnie przeszył, gdy to usłyszałam, gdyż wiedziałam, co się za tym kryje. Nadszedł czas, by Nobu stał się moim danna.

— Tyle dzisiaj wypłam, że nawet nie wiem, gdzie stąpam! — wyjąkałam. — Może to odłożymy do następnego razu?

— Przynieś teraz. Jak myślisz, po co tu siedzę, choć Minister już poszedł? Idź, zaczekam.

Chciałam wysłać służącą, ale nie wiedziałam, jak jej wytłumaczyć, czego ma poszukać. Chwiejnym krokiem wyszłam na korytarz, wsunęłam nogi w sandały i potoczyłam się — takie miałam wrażenie — przez krzywe ulice Gion.

Dotarłam do okiwa, weszłam do pokoju i na półce w szafie odnalazłam zawinięty w jedwab kawałek betonu. Odwinęłam go i nie wiedząc czemu rzuciłam jedwab na podłogę. Przy drzwiach przydybała mnie Ciocia, która usłyszała, że ktoś chodzi po domu. Chciała wiedzieć, gdzie idę z kamieniem w rękę.

— Niosę go panu Nobu — odparłam. — Ciociu, powstrzymaj mnie!

— Jesteś pijana, Sayuri. Co cię dzisiaj napadło?

— Muszę mu to oddać. A potem... a potem nastąpi kres mego życia. Proszę, powstrzymaj mnie...

— Pijana i zapłakana. Jesteś gorsza od Hatsumomo! Nie możesz wyjść w tym stanie.

— Więc zadzwoń do Ichiriki. Niech ktoś powie Nobu, że dzisiaj nie przyjdę... Dobrze?

— Dlaczego Nobu-san czeka na ten kamień?

— Nie powiem. Nie...

— Zresztą to bez różnicy. Skoro czeka, to musisz mu go zanieść — oznajmiła.

Wzięła mnie pod rękę, zabrała na powrót do pokoju, szmatką osuszyła łzy i w świetle elektrycznej lampki poprawiła makijaż. Byłam w półprzytomna, więc musiała jedną ręką podtrzymywać mi głowę. Denerwowało ją to, więc w końcu chwyciła mnie za uszy i kazała siedzieć prosto.

– Mam nadzieję, że to się nie powtórzy, Sayuri. Nie chcę cię więcej oglądać pijanej.

– Jestem głupia, Ciociu.

– Zwłaszcza dziś wieczorem – odparła. – Mama się pogniewa, jeśli wyrządziłaś przykrość panu Nobu.

– Jeszcze nie – wymamrotałam. – Jeśli jednak masz dla mnie w tym względzie jakąś radę...

– Koniec rozmowy – ucięła Ciocia. Nie powiedziała więcej ani słowa.

Jakoś doszłam z powrotem do Ichiriki, w obu rękach dźwigając kamień. Nie wiedziałam, czy naprawdę jest tak ciężki, czy dłonie mi zdrętwiały od nadmiaru wypitego alkoholu. Zanim dotarłam do Nobu, byłam kompletnie wyczerpana. Bałam się, że wybuchnę płaczem, gdy tylko powie, że zostaniemy kochankami.

Położyłam kamień na stole. Nobu wziął go w dwa palce, a potem zamknął w owiniętej ręcznikiem dłoni.

– Mam nadzieję, że nie obiecałem ci klejnotu aż tej wielkości – powiedział. – Nie starczyłoby mi pieniędzy. Stać mnie jednak na rzeczy, których przedtem nie mogłem zrobić.

Skłoniłam mu się, nadržbiając miną. Nie musiał mi tłumaczyć, co miał na myśli.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Tej nocy leżałam na materacu, a cały pokój tańczył mi przed oczami. Mój umysł był niczym rybak, uporczywie zarzucający sieci. Z wolna wyłapywałam myśli o Prezesie, usiłując na zawsze wymazać je z pamięci. Byłam dumna ze swojego sprytu... ale wspomniany sposób w ogóle nie zadziałał. Kiedy chwyciłam jakąś myśl, ciągnęła mnie do miejsca, do którego wygnałam wszystkie pozostałe. „Nie myśl o Prezesie, pomyśl raczej o Nobu”, powtarzałam w kółko. W końcu wyobraziłam sobie nasze spotkanie gdzieś w Kioto. Znow wszystko poszło źle, bo właśnie tam zazwyczaj przebywałam z Prezesem. A skoro mowa o Prezesie... i tak w kółko.

Trwało to tygodniami, w zasadzie mimo woli. W sporadycznych chwilach, kiedy zapominałam o Prezesie, odczuwałam w środku przeraźliwą pustkę. Straciłam apetyt. Nie chciałam nawet zupy, którą późnym wieczorem przynosiła mi mała Etsuko. Jak myślałam o Nobu, ogarniało mnie dziwne odrętwienie. Kiedy się malowałam, głowa mi zwisała niczym kimono z wieszaka. Ciocia utrzymywała, że wyglądam jak zjawa. W dalszym ciągu chodziłam na przyjęcia, lecz siadywałam cicho, z rękoma na kolanach.

Wiedziałam, że lada dzień Nobu oficjalnie stanie się kandydatem na mojego danna. Czekałam na tę straszną wieść, lecz tygodnie mijały bez większego echa. Wreszcie pewnego upalnego dnia, miesiąc po tym jak oddałam kamień, Mama przy obiedzie podsunęła mi pod sam nos szeroko rozłożoną gazetę. Tytuł głosił: „Koncern Iwamura otrzymał dotacje z banku Mitsubishi”. Sądziłam, że coś tam znajdę o Nobu i Ministrze, i oczywiście o Prezesie. Niewiele jednak zrozumiałam z treści artykułu. Przeczytałam, że władze okupacyjne zmieniły status koncernu z klasy jakiejś tam na inną. Potem następowały dodatkowe uwagi, że dzięki temu przedsiębiorstwo może już zawierać umowy, negocjować pożyczki i tak dalej. W kilku akapitach omówiono bieżące wartości akcji i otwarte linie kredytowe. Na końcu była informacja, że bank Mitsubishi udzielił firmie pokaźnej pożyczki. Miałam zamęt w głowie od tych wszystkich liczb i obco brzmiących terminów. Skończyłam czytać i z niepewną miną popatrzyłam na siedzącą obok mnie Mamę.

– Iwamura odzyskał szczęście – powiedziała. – Karta się odwróciła. Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś? – Mamo, nawet nie rozumiem, co tutaj napisali.

– Nic dziwnego, że Nobu Toshikazu ostatnio jest na fali. Powiadomił mnie nawet, że chce być twoim danna. Zamierzałam odrzucić tę ofertę. Kto by brał człowieka o niepewnej przyszłości? Teraz lepiej rozumiem twoje zdenerwowanie. Ale już możesz być spokojna. Stało się. Wszystkie wiemy, jak przez minione lata gubiłaś za nim oczy.

Wbiłam wzrok w blat stołu, jak przystało na porządną córkę. Mama jednak zauważyła moją bolesną minę, gdyż dodała:

– Tylko mi przy nim tak się nie zachowuj. Wyglądasz na chorą. Kiedy wrócisz z Amami, wyślę cię do doktora. Znałam tylko wyspę Amami w pobliżu Okinawy. Nie sądziłam, że o nią chodzi. Mama wyjaśniła mi, że z samego rana był telefon do Ichiriki. Podobno na ten tydzień zaplanowano wycieczkę na Amami. Organizatorem podróży był zarząd koncernu Iwamura. Zaproszono mnie, Mamehę, Dynię i jeszcze jedną gejszę, której imienia Mama nie zapamiętała. Miałyśmy wyjechać w piątek po południu.

– Mamo... to przecież nie ma najmniejszego sensu powiedziałam. – Dwudniowa wycieczka na Amami? Sam rejs potrwa całą dobę.

– Nic z tych rzeczy. Koncern Iwamura opłacił dla was bilety lotnicze.

W jednej chwili zapomniałam o Nobu. Drgnęłam jak ukłuta szpilka.

– Mamo! – zawołałam. – Nie polecę samolotem!

– Jak już do niego wsiądziesz, to sama zobaczysz, że podczas startu nie można się wycofać – odparła. Myślała chyba, że to dobry dowcip, bo zanosła się kaszlącym śmiechem.

Nie będzie samolotu ze względu na kłopoty z paliwem uznałam. Zdecydowałam się o tym nie myśleć. Wszystko było dobrze aż do następnego dnia, kiedy porozmawiałam z właścicielką Ichiriki. Okazało się, że amerykańscy oficerowie z Okinawy kilka razy w miesiącu latali do Osaki. Samolot wracał pusty, więc koncern Iwamura postanowił z tego skorzystać. Na dobrą sprawę lecieliśmy przez przypadek. Gdyby nie wolne miejsca w amerykańskim samolocie, pojechalibyśmy zapewne do gorących źródeł i nie musiałabym się niepokoić o własne życie.

– Dobrze, że ja nie lecę – powiedziała mi właścicielka na pożegnanie.

W piątek pojechałam pociągiem do Osaki. W skład naszej małej grupy wchodził: pan Bekku, który dźwigał walizki na lotnisko, Mameha, Dynia, ja i pewna starsza gejsza imieniem Shizue. Ta ostatnia była raczej z Pontocho niż z Gion. Okulary i siwiejące włosy dodatkowo ją postarzały. Miała rozdwojony podbródek, jak dwie małe piersi, i spoglądała na nas niczym cedr na wybujale chwasty. Przez większą część podróży wpatrywała się w okno lub gmerała w pomarańczowo-czerwonej walizce, w pogoni za cukierkami. W ogóle wyglądała tak, jakby miała nam za złe, że jej się narzucamy swoją obecnością.

Z dworca Osaka na lotnisko przejechaliśmy mikrobusem nie większym od zwykłego auta. Był okropnie brudny i napędzany węglem. Mniej więcej po godzinie stanęliśmy przed srebrzystym aeroplanem z dwoma ogromnymi śmigłami na skrzydłach. Zmartwiałam ze zgrozy na widok malutkiego kółka podtrzymującego masywny ogon. Wnętrze samolotu opadało pod takim kątem, iż byłam przekonana, że ktoś je złamał. Panowie już czekali, siedząc w tyle kabiny i rozmawiając o interesach. Prócz Prezesa i Nobu był jeszcze Minister oraz starszy dżentelmen – jak się okazało, dyrektor filii banku Mitsubishi. Miejsce obok dyrektora zajmował ostatni pasażer, mniej więcej trzydziestoletni, w grubych okularach i z rozdwojoną brodą. Później się dowiedziałam, że Shizue od lat była konkubina dyrektora, a ów mężczyzna był ich synem.

Siadłyśmy z przodu, żeby nie uczestniczyć w nudnych rozmowach biznesmenów. Nagle dał się słyszeć donośny warkot, samolot zadygotał... Przez okno zobaczyłam wirujące śmigło. Brzęczało niczym ostrze miecza, tuż przed moją twarzą. Byłam przekonana, że zaraz wpadnie do kabiny i rozplata mnie na połowę. I pomyśleć, że za radą Mamehy specjalnie usiadłam przy oknie, by w ciszy i spokoju podziwiać widoki... Sama była wystraszona śmigłem i nie chciała zamienić się miejscami. Ryk silników narastał, aż wreszcie samolot ruszył, dudniąc i podskakując na wybojach. Raz czy dwa skręcił, potem zawył jak wściekły i poderwał nos w górę. Unieśliśmy się w powietrze. Kiedy ziemia została daleko w dole, ktoś mi w końcu powiedział, że do celu mamy siedemset kilometrów i że podróż potrwa aż cztery godziny. Popłakałam się, na co wszyscy zareagowali śmiechem.

Zaciągnęłam firankę na okno i dla uspokojenia sięgnęłam po jakieś czasopismo. Mameha wkrótce zasnęła. W pewnej chwili uniosłam głowę i zobaczyłam stojącego nade mną Nobu.

– Dobrze się czujesz? – spytał cicho, jakby nie chciał obudzić Mamehy.

– Nobu-san nigdy mnie o to nie pytał – odparłam. Widzę, że dziś jest w wyśmienitym nastroju.

– Przyszłość nigdy nie rysowała się tak jasno. Mameha drgnęła przez sen, więc Nobu umilkł i poszedł dalej, do toalety. Zanim otworzył drzwi, zerknął przez ramię na siedzących z tyłu. Przez ulotną chwilę widziałam na jego twarzy wyraz głębokiej koncentracji. Potem spojrzał na mnie. Nie chciałam mu pokazać, że martwię się na zapas. Dziwne, pomyślałam, że poznał mnie tak mało... Z drugiej strony, gejsza, która żąda wyrozumiałości od danna, zachowuje się niczym mysz licząca na współczucie węża. Jak Nobu kiedykolwiek mógł mnie lepiej poznać, skoro widział tylko zimną maskę gejszy? Tylko z Prezesem się spotkałam jako Sayuri i jako Chiyo. Dziwne... Nigdy wcześniej o tym nie myślałam. Jak postąpiłby Nobu nad potokiem Shirakawa? Pewnie by poszedł dalej... dla mojego dobra. Nie spędzałabym nocy, marząc o Prezesie. Nie wystawiałabym pod drogerią, by wdychać zapach talku, jakiego używał. Nie spotykałabym się z nim w wyobraźni. Ciekawi cię, dlaczego tego chciałam? A dlaczego najlepiej smakują dojrzałe daktyle? Dlaczego drewno pachnie dymem, gdy płonie?

Znowu byłam dziewczynką łapiącą mysz w dłonie. Dlaczego wciąż nie mogłam zapomnieć o Prezesie?

Ogarnięta smutkiem, usłyszałam zgrzyt otwieranych drzwi toalety. Zgasło światło. Nie chciałam, żeby Nobu zobaczył mnie w tym stanie, więc oparłam głowę o okno i udawałam, że zasnęłam. Otworzyłam oczy, gdy przeszedł. Najwyraźniej niechcący odciągnęłam firankę, gdyż za szybą, hen w dole, ujrzałam błękitny bezmiar oceanu, zmieszany ze szmaragdową zielenią, jak ozdoba do włosów, którą czasem nosiła Mameha. Nigdy nie przypuszczałam, że zobaczę zielono pręgowane morze. Ze skał Yoroido zawsze było szare. Teraz ciągnęło się aż do miejsca, gdzie cienka, jakby wełniana nić oddzielała je od nieba. Widok był precudowny i nie miał w sobie nic strasznego. Skrzydło sterczało dumnie, ozdobione amerykańskimi symbolami. Aż dziw na nie patrzeć, pomyślałam, ze względu na wydarzenia sprzed kilku lat. Toczyliśmy brutalną wojnę... i co teraz? Zapomnieliśmy o przeszłości. To całkiem zrozumiałe, też tak kiedyś zrobiłam. Gdybym jeszcze umiała pozbyć się przyszłości...

Drgnęłam, gdyż przed oczami stanął mi okropny obraz. Zerwałam nić losów łączących mnie z Nobu... a on spadł, daleko, aż do oceanu...

Nie doznałam olśnienia, nie śniłam na jawie. Po prostu zrozumiałam nagle, jak to zrobić. Oczywiście nie chciałam topić go w oceanie, ale znalazłam sposób, jak na zawsze zakończyć nasz dziwaczny związek. Nobu był przeszkodą, którą musiałam pokonać w drodze do Prezesa. Nie dawał się ominąć. Za moją sprawą mógł spłonąć w ogniu własnego gniewu. Powiedział to wyraźnie w Ichiriki, kiedy rozkrwawił sobie rękę rozbitą w złości szklanką. Gdybym była kobietą zdolną żyć z Ministrem, odszedłby i nie chciał mnie widzieć nigdy więcej.

Dla mnie był to krytyczny punkt choroby... Czułam się jak w gorączce, spocona i drżąca. Dobrze, że Mameha spała i nie widziała mnie w tym stanie. Z trudem łapałam oddech i dłonią ocierałam czoło. Naprawdę mogłabym to zrobić? Uwieść Ministra? Oczywiście. To takie proste jak zastrzyk u lekarza. Odwróciłabym głowę na bok i po kłopotcie: W gruncie rzeczy chodziło o coś innego. Czy mogłam tak postąpić z Nobu? Gorzka zapłata za wszystko, co do tej pory dla mnie zrobił. W porównaniu z innymi, których znałam, był wprost wymarzonym danna. Jak jednak miałam żyć bez nadziei? Tygodniami usiłowałam wmówić sobie, że podołam najgorszym wyrokom losu. Dopiero teraz do pewnego stopnia znałam powody okrucieństwa Hatsumomo i złośliwości Babci. Nawet Dynia, dobiegająca zaledwie trzydziestki, nie umiała do końca ukryć głębokiego rozczarowania. Wciąż żyłam marzeniami; czy dla ich podtrzymania mogłabym się dopuścić najczarniejszej zbrodni? Powtarzam, nie chodziło mi o Ministra. Bałam się zawieść zaufanie Nobu.

Do końca lotu biłam się z myślami. Nigdy dotąd nie układałam tak perfidnych planów, wkrótce jednak wszystko widziałam jasno, jak na szachownicy. Biorę Ministra na stronę, w gospodzie... Nie, nie w gospodzie, w jakimś innym miejscu... potem, niby „przypadkiem” spotykamy Nobu. A może będzie lepiej, gdy ktoś mu o tym powie? Zapewne sobie wyobrażasz, jak byłam wyczerpana tuż przed lądowaniem. Nawet po wyjściu z samolotu musiałam źle wyglądać, bo Mameha zapewniła mnie, że lot się skończył i że ' już jestem bezpieczna.

Godzinę przed zachodem słońca dotarliśmy do gospody. Wszyscy wpadli w podziw na widok przydzielonego nam pokoju. Ja niestety byłam tak podekscytowana swoją sprawą, że tylko udawałam zachwyty. Pokój dorównywał wielkością największym pomieszczeniom w Ichiriki i umeblowany był w japońskim stylu, z tatami i boazerią. Za ogromną szklaną ścianą widać było tropikalne drzewa – niektóre z liśćmi większymi od człowieka. Kryty chodnik prowadził wśród krzewów na brzeg strumienia.

Rozpakowaliśmy się i postanowiliśmy wziąć kąpiel. W pokoju stały parawany, aby każdemu zapewnić odrobinę prywatności. Włożyliśmy luźne, bawełniane stroje i krętym labiryntem ścieżek wśród gęstego listowia poszliśmy do gorących źródeł. Wejścia i szatnie były oddzielne dla kobiet i mężczyzn, sam basen jednak nie miał żadnych barier. Wkrótce już tkwiłam zanurzona po szyję w ciemnej, źródlanej wodzie. Dyrektor banku wciąż żartował z Mamehy i ze mnie prosząc, byśmy przyniosły jakąś gałązkę lub kamień leżący pod drzewami na brzegu. Chciał nas zobaczyć nagie. Jego syn wdał się w długą rozmowę z Dynią. Wiedziałam dlaczego. Pochłonięta konwersacją Dynia co chwila wynurzała się z wody tak, że było jej widać obfite piersi.

Dziwi cię, że zażywaliśmy wspólnej kąpieli i że mieliśmy wszyscy razem spać w tym samym pokoju? W moich czasach gejsze na ogół tak postępowały, zwłaszcza wobec swoich najlepszych klientów. Samotna gejsza, rzecz jasna, w trosce o reputację nie dopuszczała do takiej poufałości z mężczyzną, który nie był jej danna. Ale w niewinnej grupie i w mętnej wodzie... to całkiem inna sprawa. Jeśli zaś chodzi o wspólny nocleg, to nawet mamy na to specjalne słowo: zakone, co znaczy „śpiące ryby”. Jeśli widziałeś kiedyś makrele w koszu, to na pewno wiesz, o co chodzi.

Grupowa kąpiel, jak już wspomniałam, była całkiem niewinną sprawą. Nie znaczy to, że wszyscy zawsze trzymali ręce przy sobie... O tym też pomyślałam. Gdyby Nobu był bardziej skłonny do zabaw, podpłynąłby w moją stronę, pogawędził chwilę, a potem niespodzianie pochwycił za udo, albo... albo za cokolwiek, jeśli mam być szczerą. Ja miałam obowiązek krzyknąć, on by się roześmiał, i na tym koniec. Nobu jednak nie należał do tego typu ludzi. Przez jakiś czas poważnie rozmawiał z Prezesem, a potem usiadł na skraju basenu, moczając jedynie nogi. Biodra miał przykryte niewielkim, wilgotnym ręcznikiem. Nie patrzył na nas, lecz bezf wiednie pocierał swój krótki kikut i zamyślonym wzrokiem spoglądał w wodę. Słońce zaszło i pomału zaczęło się ściemniać. Nobu siedział w blasku padającym z papierowego lampionu. Nigdy przedtem nie widziałam go tak dokładnie. Blizny, które miał na twarzy, rozlewały się niżej, na ramię: Druga ręka, dla kontrastu, była aksamitnie gładka, jak jajko. I pomyśleć, że zamierzałam go zdradzić... Oskarżałby mnie o najgorsze, nigdy nie poznawszy prawdy. Nie umiałam go skrzywdzić. Chybabym tego nie zniosła.

Następnego ranka tuż po śniadaniu poszliśmy tropikalnym lasem na plażę, tam, gdzie strumień mijający gospodę pięknym wodospadem wlewał się do oceanu. Przez chwilę podziwialiśmy ten widok; Prezes najdłużej ociągał się z odejściem. W

powrotnej drodze szłam obok Nobu. Dawno już nie widziałam go tak radosnego. Po południu objechaliśmy wyspę, siedząc na ławkach w skrzyni wojskowej ciężarówki. Oglądałam banany i ananasy rosnące na drzewach oraz kolorowe ptaki. Ze szczytu wzgórza ocean wyglądał nicz pomarszczony turkusowy dywan, pokryty granatowymi plamami.

Potem powędrowaliśmy do niewielkiej wioski. Był tam stary drewniany budynek kryty strzechą, na pierwszy rzut oka przypominający szopę. Obeszliśmy go od tyłu. Nobu wspiął się po kamiennych schodach i otworzył drzwi. Światło słońca padło na zakurzone deski sceny. Kiedyś ta budowla była rzeczywiście szopą, ale teraz służyła za miejscowy teatr. Obejrzałam ją i po prostu wyszłam. Dopiero na ulicy dostałam wypieków, zaskoczona obrazem widzianym w wyobraźni. Leżałam w mroku, na skrzypiących deskach, spleciona uściskiem z Ministrem. Nagle, przez otwarte drzwi, zalał nas struga blasku. Wszedł Nobu, a my nie mieliśmy gdzie się schować... To było wymarzone miejsce dla moich wcześniejszych planów. Nie chciałam o tym myśleć. W ogóle nie chciałam myśleć, próbowałam zrobić porządek w mojej skołatanej głowie. Zgarnąć ziarna z rozsyanego worka ryżu.

Kiedy szliśmy przez wzgórze, z powrotem do gospody zostałam nieco z tyłu, by wyjąć chusteczkę z rękawa. Panował upał i słońce świeciło mi prosto w twarz. Nie tylko ja się spociłam. Nobu zawrócił i podszedł do mnie pytając, co się stało. Nie odpowiedziałam mu od razu. Pocieszałam się nadzieją, że złożył to na karb wyczerpania męczącą wędrówką pod górę.

– Źle wyglądasz, Sayuri. Lepiej ci było zostać w Kioto. – Wtedy nie zobaczyłabym tej cudownej wyspy.

– To chyba najdłuższa wycieczka w twoim życiu? Amami znajduje się w tej samej odległości od Kioto, co Hokkaido. Inni odeszli już daleko. Ponad ramieniem Nobu widziałam górujący nad drzewami dach gospody. Usiłowałam coś powiedzieć, lecz opadły mnie te same myśli, z którymi walczyłam w samolocie. Nobu nic nie rozumiał. Kioto nie było moim domem. Przynajmniej nie w tym sensie, jak on to pojmował: domem, gdzie dorastałam i z którym coś mnie łączyło. W tej samej chwili doszłam do przekonania, że jestem zdolna do najgorszych rzeczy. Zdradzę go, chociaż teraz patrzył z taką troską. Rozdygotaną ręką schowałam chusteczkę i w milczeniu wspinałam się dalej.

Zanim weszliśmy do pokoju, Prezes i Mameha zajęli już miejsca przy stole i zaczęli grać w go z dyrektorem banku. Kibicowała im Shizue z synem. Szklane drzwi były szeroko otwarte. Wsparty na łokciu Minister wyglądał na zewnątrz i obdzierał z kory sękaty patyk, przyniesiony z wycieczki. Bałam się rozmowy z Nobu, lecz on także siadł przy stole i powiedział coś do Mamehy. Nie wiedziałam jeszcze, w jaki sposób zaciągnąć Ministra do teatru ani jak skłonić Nobu, żeby też tam poszedł. Może poprosić Dynię? Nie chciałam w to wciągać Mamehy, lecz z Dynią przecież dzieliłam wiele wspomnień i choć nigdy nie nazwałabym jej „nieokrzesaną” – jak to czyniła Ciocia – przyznawałam, że jest bardzo... bezpośrednia. Nie ociągałaby się przed przystąpieniem do spisku. Przecież tak naprawdę miała jedynie „przypadkowo” sprowadzić Nobu do teatru.

Przez pewien czas siedziałam, patrząc na migoczące w słońcu liście. Próbowałam się cieszyć pięknym popołudniem. Gnębiło mnie pytanie, czy jestem przy zdrowych zmysłach, lecz mimo wątpliwości nie zamierzałam zrezygnować z planu. Przede wszystkim musiałam odciągnąć Ministra, i to w taki sposób, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Popatrzyłam na niego. Siedział teraz przy szklance piwa i wpychał w usta solone wnętrzości mątwy. Piana spływała mu po brodzie. „Wnętrzości” brzmiało niemiło dla obcego ucha, ale wierz mi, podają je w całej Japonii. Mój ojciec je uwielbiał, ja nie próbowałam. Wówczas też odwróciłam wzrok od zajętego posiłkiem Ministra.

– Panie Ministrze... – szepnęłam po pewnym czasie. Przyniosę może coś lepszego.

– Nie – odparł. – Nie jestem głodny.

Chciałam zapytać, po co w takim razie w ogóle wziął się do jedzenia. Mameha i Nobu wyszli, zatopieni w rozmowie, inni – łącznie z Dynią – siedzieli wokół stołu wpatrzni w planszę do gry. Prezes chyba coś sknocił, bo wszyscy się roześmieli. Nadeszła odpowiednia chwila.

– Je pan z nudów, panie Ministrze? – spytałam. A może przeszukamy gospodę? Chciałam ją lepiej obejrzeć, a do tej pory nie było na to czasu.

Dłużej nie zwlekając, wstałam i ruszyłam do drzwi. Z ulgą zauważyłam, że poszedł za mną. W milczeniu dotarliśmy aż do załomu korytarza. Rozejrzałam się, dla pewności, że nikogo nie ma, i stanęłam.

– Przepraszam... nie ma pan ochoty na maleńki spacer do wioski?

Zdumiał się.

– Do wieczora została godzina – ciągnęłam. – Jest tam coś, co koniecznie muszę znów zobaczyć.

– Najpierw pójde na stronę – mruknął Minister po długim milczeniu.

– Oczywiście – odparłam. – Proszę bardzo. Potem niech pan tu czeka. Wybierzemy się razem. Proszę beze mnie nigdzie nie odchodzić.

Minister skinął głową i poszedł dalej. Wróciłam do pokoju. Byłam tak przejęta realizacją planu, że gdy dotknęłam drzwi, nie poczułam nic pod palcami.

Dynia odeszła od stołu i właśnie przetrząsała swoją walizkę. Musiałam chrząknąć, by odzyskać zdolność mówienia. – Dynio, pozwól na chwilę...

Z ociąganiem odeszła od walizki, zostawiając rozrzucone rzeczy. Wyprowadziłam ją na korytarz, nieco dalej od drzwi.

– Chciałam cię o coś prosić – powiedziałam. Bezskutecznie czekałam na jakiś objaw entuzjazmu z jej strony. Stała patrząc na mnie beznamiętnym wzrokiem.

– Mam prośbę... – powtórzyłam.

– Mów.

– Zamierzam zabrać Ministra na spacer. Pójdziemy do starego teatru i...

– Po co?

– Żebyśmy mogli być sami.

– Z Ministrem? – niedowierzająco zapytała Dynia.

– Później ci to wyjaśnię. Proszę cię, żebyś po pewnym czasie sprowadziła tam Nobu... Dynio, wiem, że to brzmi okropnie dziwnie. Chcę, żeby nas zobaczył.

– Co to znaczy „zobaczył”?

– Sprowadź Nobu i otwórz tylne drzwi, tak jak on wcześniej to zrobił. Niech... nam przerwie.

W tej samej chwili Dynia dostrzegła Ministra czekającego na ocienionej ścieżce. Przeniosła wzrok na mnie.

– Co to za heca, Sayuri?

– Nie mam czasu na wyjaśnienia. To bardzo ważne. Prawdę mówiąc, cała moja przyszłość spoczywa w twoich rękach. Pamiętaj, żebyś przyszła wyłącznie z Nobu... w

żadnym wypadku z Prezesem albo z kimś jeszcze. Wynagrodzę ci to, jak tylko będziesz chciała.

Przypatrywała mi się przez chwilę.

– Stara Dynia znów ma ci wyświadczyć przysługę? spytała.

Niezupełnie wiedziałam, o co jej może chodzić, lecz odwróciła się na pięcie i odeszła.

Nie byłam do końca pewna, czy mogę liczyć na pomoc Dyni. Nadeszła jednak pora, że tak powiem, „na zastrzyk”. Mogłam jedynie czekać, iż Nobu się zjawi. Podeszłam do Ministra i ruszyliśmy w drogę.

Na zakręcie ścieżki spojrzałam za siebie, na gospodę. Przypomniał mi się dzień, gdy Mameha rozcięła mi nogę, bym miała pretekst poznać Doktora Kraba. Wtedy wiałam się w kleszczach nieokreślonego strachu. Dzisiaj było dokładnie to samo. Twarz mnie piekła w promieniach gasnącego słońca, jakbym przebywała zbyt blisko hibachi. Pot spływał Ministrowi ze skroni na szyję. Już za chwilę miałam go poczuć na sobie... Wyjęłam wachlarz zza obi i wachlowałam się tak długo, aż mi omdlała ręka. Próbowałam ostudzić i siebie, i Ministra. Bez przerwy coś mówiłam. Nie minęło zbyt wiele czasu, kiedy stanęliśmy przed starym, krytym strzechą teatrem. Minister był zdumiony. Chrząknął i popatrzył w niebo.

– Wejdziemy na chwilę do środka? – zaproponowałam. Stał z lekka otępiały, ale gdy poszłam dalej, podążył w ślad za mną. Pokonałam kamienne schody i otworzyłam drzwi. Zawahał się tylko chwilę, zanim wszedł do wnętrza. Od dawna odwiedzał Gion, więc wiedział, co go czeka. Znane gejsze nie zapraszały gości w tak ustronne miejsca, a jeśli to już robiły, to z zachowaniem wszelakich środków ostrożności. Zatrzymał się tuż za progiem, w świetle, i czekał jak na autobus. Drżącymi dłońmi złożyłam wachlarz i z powrotem wsunęłam go za obi. Wcale nie byłam pewna, czy doprowadzę plan do końca. Zwykle zamknięcie drzwi kosztowało mnie dużo siły. Stanęliśmy w mroku słabo rozjaśnianym blaskiem sączącym się przez szpary. Minister nic nie mówił, tylko patrzył na stertę mat spiętrzonych w rogu sceny.

– Panie Ministrze... – zaczęłam.

Odpowiedziało mi echo błędzące po obszernej sali. Postanowiłam mówić ciszej.

– Słyszałam, że rozmawiał pan o mnie z właścicielką Ichiriki. To prawda?

Wziął głęboki oddech, ale nie odpowiedział.

– Jeśli mogę... – zaczęłam. – Powiem panu historię o gejszy Kazuyo. Nie ma jej już w Gion, lecz przed wielu laty bardzo dobrze ją znałam. Pewien dygnitarz... ktoś taki jak pan, Ministrze... zapalał do niej taką namiętnością, że co wieczór przychodził na przyjęcia. Po kilku miesiącach znajomości chciał nawet zostać jej danna. Niestety właścicielka herbaciarni oświadczyła mu, że to niemożliwe. Dygnitarz był bardzo zawiedziony, lecz któregoś dnia Kazuyo zabrała go w miejsce, gdzie nareszcie mogli być sami. Może przypominało tutejszy teatr? Wyjaśniła mu, że... że chociaż nie może być danna...

W tej samej chwili wyraz twarzy Ministra uległ gwałtownej zmianie, niczym dolina, z której odpłyną chmury i na którą padnie jasny promień słońca. Niezgrabnym krokiem postąpił w moją stronę. Serce jak bęben waliło mi aż w uszach. Nie mogłam na niego patrzeć, więc na chwilę zamknęłam oczy. Gdy je znów otworzyłam, Minister stał tak blisko, że prawie mnie dotykał. Potem poczułam na policzku dotyk jego wilgotnej twarzy. Ścisnął mnie, wziął pod rękę – prawdopodobnie po to, by położyć na deskach – ale go powstrzymałam.

– Na scenie jest pełno kurzu – powiedziałam. – Niech pan ściągnie matę z tamtej sterty.

– Może lepiej tam chodźmy – zaproponował Minister. Na matach w rogu bylibyśmy zupełnie niewidoczni dla Nobu.

– Nie trzeba – odparłam. – Proszę przynieść matę. Spełnił moją prośbę, a potem stanął z opuszczonymi rękami i gapił się na mnie. Do tej pory podświadomie oczekiwałam, że coś nam przeszkodzi. Teraz już było za późno. Czas włókł się niemilosiernie. Zdjęłam lakierowane zori i spojrzałam na własne stopy, jakby należały do kogoś zupełnie innego.

Niemal w tej samej chwili Minister zsuł buty i już był przy mnie, szamocząc się z węzłem obi. Nie mam pojęcia, o czym myślał, gdyż nie byłam przygotowana na to, że mi zdejmie kimono. Musiałam mu przerwać. Rano jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji, lecz na wszelki wypadek włożyłam pod spód szarą szatę, którą niezbyt lubiłam. Spodziewałam się, że pod koniec dnia będzie lekko poplamiona. Na to włożyłam niebieskolawendowe kimono z jedwabnego muślinu oraz srebrzyste obi. Skróciłam koshimaki – czyli przepaskę biodrową – podciągając ją aż do talii, by Minister miał swobodniejszy dostęp. Kiedy go przytrzymałam za rękę, obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem. Myślał zapewne, że zmieniałam zdanie. Z dużą ulgą

zobaczył, że kładę się na macie. Nie było to tatami, ale zwykła mata z sitowia; wyraźnie wyczuwałam pod nią twardą podłogę. Jedną ręką odgarnęłam kimono i wystawiłam nogi. Minister tak jak stał ubrany – położył się na mnie. Węzeł obi boleśnie wpijał mi się w plecy, więc lekko uniosłam biodra dla większej wygody. Głowę odwróciłam w bok, by nie popsuć szykownej fryzury, zwanej tsubushi shimada, z ogromnym kokiem z tyłu, tak delikatnym, że rozleciałby się pod moim ciężarem. Udręczona, w głębi duszy czułam rosnący niepokój. Zastanawiałam się, co naprawdę mnie tutaj przywiodło. Minister podparł '!' się jedną ręką, a drugą grzebał mi pod kimonem. Tylko podrapał mi udo... Niewiele myśląc, chwyciłam go za ramiona i próbowałam odepchnąć – lecz w tej samej chwili znowu przypominałam sobie o Nobu jako o moim danna. Czym będzie życie bez nadziei? – po raz setny zapytałam w myślach i opuściłam ręce na matę. Minister sięgał coraz wyżej; czułam na skórze dotyk jego szorstkich palców. Popatrzyłam na drzwi, żeby o tym nie myśleć. A może się ' otworzą, zanim zabrnjemy za daleko? W tej samej chwili usłyszałam metaliczny szcęk klamry od paska i szmer rozpinanego suwaka. Minister naparł na mnie ze zdwojoną siłą. Znów miałam piętnaście lat i byłam z Doktorem Krabem. Towarzyszyły mi te same uczucia. Chyba nawet szlochałam cicho. Minister leżał wsparty na łokciach, z twarzą : ' tuż nad moją twarzą. Widziałam go tylko kątem oka. Z wysuniętą do przodu szczęką bardziej przypominał zwierzę niż człowieka. Nawet to nie było najgorsze – chwilę później zaczął się ślinić. Chyba z powodu wcześniej zjedzonej mątwy, jego ślina była lepka i ohydnie szara. Przypominała resztki świeżo sprawianej ryby.

Rankiem, przy ubieraniu, wcisnęłam za obi kilka arkuszy chłonnej ryżowej bibuły. Chciałam użyć ich później albo dać Ministrowi, by mógł się bez kąpieli doprowadzić do ; porządku. Teraz jednak musiałam skorzystać z nich od razu, żeby wytrzeć twarz z jego paskudnej śliny. Przytłoczona ciężarem Ministerialnego ciała nie mogłam jednak sięgnąć ręką za plecy. Jęknęłam z cicha po pierwszej nieudanej próbie, a Minister wziął to za objaw ekstazy. Znacznie przyśpieszył i pryskał śliną na wszystkie strony. Mogłam jedynie zamknąć oczy i czekać. Było mi niedobrze, jakbym y leżała na pokładzie łódki miotanej przez fale. Co rusz uderzałam głową o matę. Potem Minister warknął, zamarł na chwilę i nakapał mi śliną na policzek.

Znów sięgnęłam za plecy, lecz Minister przygniótł mnie, zdyszany jak po ciężkim biegu. Chciałam go odepchnąć, ale usłyszałam szuranie na zewnątrz. Powodowana wstrętem, przez chwilę zapomniałam o Nobu. Serce załomotało mi jak

przedtem. Kolejny szmer; ktoś szedł po schodach. Minister nie miał pojęcia, co się dzieje. Uniósł głowę i z otępieniem popatrzył na wejście, jakby tam chciał ujrzeć co najwyżej ptaka. Drzwi skrzypnęły i do środka wpadła smuga światła. Musiałam przymknąć oczy, ale zauważyłam dwie postacie. Jedną z nich była Dynia – więc jednak przyszła do teatru. Patrzyła na mnie, a zza jej pleców wyglądał Prezes.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Ledwie pamiętam, co zaszło później. Cała krew ze mnie odpłynęła, powodując dziwne odrętwienie. Minister wstał, a może sama go odepchnęłam? Z płaczem dopytywałam się, czy na pewno dobrze widzę... Czy to prawda, że przed chwilą w drzwiach mignęła mi twarz Prezesa? Stał pod słońce, więc nie byłam tego zupełnie pewna, lecz wydawało mi się, że dostrzegłam zgrozę w jego oczach. Trzasnęły zamykane drzwi. Nie wiem, czy Prezes naprawdę się zdziwił. Szczerze mówiąc, mocno w to wątpię. Ból jednak ma to do siebie, że w najgorszych chwilach nawet kwitnące drzewa wydają się cierpieć. Zdawało mi się, że to samo dostrzegam u Prezesa... a tymczasem chodziło wyłącznie o mnie.

Jeśli wziąć pod uwagę, że uwiodłam Ministra tylko po to, by przeżyć chwilę zagrożenia — by ostry nóż, że tak powiem, przeciął pępowinę łączącą mnie z Nobu — nie muszę wiele mówić o swoich uczuciach. Strach mieszał się ze smutkiem i zwykłym obrzydzeniem, nie pozbawionym jednak ekscytacji. Tuż przed skrzyknięciem drzwi poczułam się jak strumień wpadający do szeroko rozlanej rzeki. Nigdy wcześniej nie podjęłam tak drastycznych kroków, które na zawsze miały zmienić całą moją przyszłość. Byłam niczym dziecko stające na palcach, w nadziei, że zobaczy drugi brzeg oceanu. Nie wyobrażałam sobie ogromnej fali, zmiatającej wszystko, co stało na jej drodze.

Z wolna uporządkowałam chaotyczne myśli i odzyskałam świadomość. Obok mnie klęczała Mameha. Ze zdumieniem stwierdziłam, że nie jestem w teatrze, ale leżę na tatami w ciemnym pokoju w gospodzie. Nie wiedziałam, jak się tam znalazłam. Mameha powiedziała, że sama poszłam do recepcji i poprosiłam o cichy kąt do spania. Portier widząc mnie w nie najlepszym stanie, wezwał ją na pomoc.

Po jakimś czasie odeszła przekonana, że jestem naprawdę chora. Dręczona poczuciem winy, postanowiłam wrócić do pokoju. Nagle na ścieżce przed sobą zobaczyłam Dynię. Zatrzymała się na mój widok. Oczekiwałam słów przeprosin, lecz ona popatrzyła na mnie niczym wąż na chomika.

- Prosiłam cię, żebyś sprowadziła Nobu, nie Prezesa. Nie rozumiem...
- Wierzę. Nawet drobne rozczarowania potrafią być przykre.

— Drobne?! Nic gorszego nie mogło się zdarzyć... Nie zrozumiałaś tego, co mówiłam?

— Naprawdę myślisz, że jestem głupia?

Zaniemówiłam ze zdumienia.

— Zawsze cię uważałam za moją przyjaciółkę — powiedziałam po pewnej chwili.

— Kiedyś też tak myślałam. Dawno temu.

— Zachowujesz się, jakbym cię skrzywdziła. Przecież nigdy...

— Nie, nigdy niczego złego nie zrobiłaś. To niegodne szlachetnej Nitty Sayuri! Nieważne, że zajęłaś należne mi miejsce jako córka okiyo, prawda? Pamiętasz? Pomogłam ci z Doktorem... jak mu tam było? Narażałam się na gniew Hatsumomo... a ty ograbiłaś mnie z marzeń. Przez cały czas zachodziłam w głowę, po co znów mnie wciągnęłaś w aferę z Ministrem. Przepraszam, że tak długo dawałam się prosić...

— Nie mogłaś po prostu odmówić? — wpadłam jej w słowo. — Po co przyprowadziłaś Prezesa?

Wyprostowała się.

— Wiedziałam, co do niego czujesz — odparła. — Myślałaś, że nikt nie widział, jak wlepiłaś w niego gały.

Ze złości zagryzała wargi. Na jej zębach dostrzegłam ślad szminki. Wreszcie pojęłam, że dopięła swego w najokrutniejszy sposób.

— Kiedyś mi coś zabrałaś, Sayuri. Jak się teraz czujesz? — spytała.

Szeroko rozdymała nozdrza; twarz płonęła jej gniewem, przypominała wyschniętą gałąź. Można było pomyśleć, że opętał ją rozbudzony po latach demon Hatsumomo.

Reszta zdarzeń z tamtego dnia przypomina mi rozmazaną plamę. Okropnie się bałam. Wokół mnie coraz wybuchały śmiechy, lecz ja tylko udawałam, że się śmieję. Chyba przez cały czas byłam czerwona jak burak, gdyż Mameha często przykładła mi dłoń do szyi sprawdzając, czy nie dostałam gorączki. Usiadłam jak najdalej od Prezesa i przez cały wieczór nie zamieniłam z nim ani słowa. Dopiero tuż przed spaniem, gdy wyszłam na korytarz, natknęłam się na niego, kiedy wracał do pokoju. Ustąpiłam na bok z pośpiesznym ukłonem, nawet nie próbując ukryć zakłopotania.

Był to prawdziwy wieczór cierpień. Zapamiętałam z niego tylko jedno jedyne zdarzenie. Nocą, kiedy wszyscy zasnęli, wymknęłam się z gospody i poszłam na brzeg morza. Patrzyłam w ciemność, zaszuchana w głuchy ryk fali. Dudnienie oceanu przypominało gorzki lament. Wszędzie wokół mnie czaiła się ukryta groza – w drzewach, w podmuchach wiatru i w kamieniach. Cały świat stanął po stronie Hatsumomo. Wicher drwił ze mnie, drzewa śmiały się do rozpuku. Co będzie z moim dalszym życiem? Wyciągnęłam z rękawa chusteczkę Prezesa. Wzięłam ją ze sobą, żeby ostatni raz dała mi pocieszenie. Otarłam łzy i już miałam ją rzucić na ziemię, kiedy pomyślałam o grobowych tabliczkach, które, hen przed laty, przysłał mi pan Tanaka. Warto mieć przy sobie jakiś symbol przeszłości. Tabliczki schowane w okiya były jedynym śladem łączącym mnie z dzieciństwem. Chusteczka Prezesa stała się dowodem na to, że w ogóle żyłam.

Po powrocie do Kioto rzuciłam się w wir zajęć. Pomalowałam twarz i jak dawniej chodziłam na przyjęcia udając, że nic się nie stało. Ciągle powtarzałam słowa słyszane niegdyś od Mamehy, że najlepszym lekarstwem na zmartwienia jest uporczywa praca. Niestety w tym szczególnym wypadku niewiele to pomagało. Ile razy wchodziłam do Ichiriki, tyle razy myślałam o Nobu. Kiedy chciał się upomnieć o należne mu prawa? Przypuszczałam, że ze względu na nawał zajęć da mi ze dwa, trzy tygodnie spokoju. Tymczasem już w środę, trzy dni po powrocie z Amami, przyszło zaproszenie na bankiet z koncertu Iwamura.

Ubrałam się w cienkie, żółte kimono z zielonym podbiciem i granatowe obi haftowane złotem. Ciocia zapewniała mnie, że wyglądam pięknie, lecz ja w lustrze widziałam tylko cień kobiety. Zdarzało się, że i przedtem bywałam niezadowolona ze swego wyglądu, zawsze jednak znajdowałam coś na pocieszenie. Szata o kolorze dojrzałych daktyli sprawiała, że moje oczy z szarych zmieniały się w niebieskie, nawet kiedy byłam potwornie zmęczona. Teraz jednak, pomimo gustownego, „zachodniego” makijażu, miałam ściągniętą twarz i ulizane włosy. Jedyne co mogłam zrobić, to prosić pana Bekku, żeby o grubość palca wyżej zawiązał mi obi. W ten sposób zmusił mnie do prostowania przygarbionych pleców.

Pierwszy bankiet był wydawany przez amerykańskiego pułkownika na cześć nowego prefekta Kioto. Gości zaproszono do dawnej rezydencji rodu Sumitomo, obecnie

kwatery głównej siódmej dywizji US Army. Ze zdumieniem patrzyłam na pomalowane na biało kamienie w ogrodzie i na angielskie napisy rozwieszane na drzewach. Nic z nich nie rozumiałam. Po bankiecie poszłam do Ichiriki. Służąca wprowadziła mnie do maleńkiego pokoju na tyłach, tego samego, w którym rozmawiałam z Nobu, w noc przed zamknięciem Gion. Kiedyś tu znalazłam azyl, chroniący mnie od niebezpieczeństw wojny, teraz miałam się spotkać z moim przyszłym danna. Nie miałam nastroju do świętowania. Przycupnęłam przy stole w ten sposób, żeby Nobu usiadł twarzą do przeciwległej ściany. Dzięki temu mógł mi nalać sake. Byłam przekonana, że po ceremonii wzniesie tradycyjny toast. Dla niego był to najważniejszy wieczór. Nie chciałam niczego popsuć.

Przyćmione światło i brunatnoczerwone ściany czyniły pokój przytulnym. Od dawien dawna już nie czułam dziwnego zapachu politory zmieszanej z kurzem. Ze szczegółami pamiętałam wieczór, jaki w towarzystwie Nobu spędziłam tutaj przed wieloma laty. Nobu świecił dziurami w obu skarpetkach. Z jednej wystawał mu palec z równo przyciętym paznokciem. To naprawdę było zaledwie pięć i pół roku temu? Wydawało mi się, że minęły całe pokolenia. Wielu, których znałam, odeszło do grobu. Tego się spodziewałam po powrocie do Gion? Mameha kiedyś powiedziała, że żadna z nas nie jest gejszą z własnego wyboru. Gdyby moja matka żyła, pewnie sama bym teraz była i żoną, i matką. Mieszkałabym nad brzegiem morza, daleko od Kioto... Miałabym gorzej? W uszach zadźwięczały mi słowa Nobu: „Nadzwyczaj łatwo mnie zrozumieć. Nie uganiam się za czymś, czego nie mogę osiągnąć”. Ze mną było na odwrót: przez całe życie goniłam za niedostępnym Prezesem.

Po dziesięciu albo piętnastu minutach czekania zaczęłam się zastanawiać, czy Nobu naprawdę przyjdzie. Wbrew przyjętemu zwyczajom położyłam głowę na stole. Padałam z niewyspania. Wprawdzie nie zasnęłam, lecz znużona odbywałam przedziwną podróż w czasie. Było to niczym sen. Usłyszałam odległe dudnienie bębnow, potem syk wody z kranu, a na końcu Prezes potrząsnął mnie za ramię. Wiedziałam, że to on, bo stał przy mnie, gdy otworzyłam oczy. Dudnienie okazało się echem jego kroków, a syk — szmerem odsuwanych drzwi. Za Prezesem czekała pokojówka. Ukłoniłam się i przeprosiłam za to, że zasnęłam. Sen zniknął, byłam z powrotem na jawie. Prezes usiadł na poduszce przygotowanej dla Nobu. Sam Nobu do tej pory jeszcze się nie pokazał.

Pokojówka postawiła sake na stole. Zakielkowała we mnie osobliwa myśl, że Nobu uległ wypadkowi. Dlaczego go wciąż nie było? Chciałam już o to spytać, gdy nagle przez otwarte drzwi zajrzała właścicielka herbaciarni.

— Pan Prezes! — zawołała. — Dawno pan do nas nie zachodził!

Zawsze była uprzejma wobec gości, lecz poznałam po jej głosie, że coś ją wyraźnie gnębi. Pewnie tak jak ja martwiła się o Nobu. Nalałam Prezesowi sake. Właścicielka usiadła z nami przy stole. Zanim Prezes wypił, chwyciła go za rękę i przez chwilę wdychała woń alkoholu.

— Dlaczego zawsze pan wybiera ten właśnie gatunek? — spytała. — Dziś rano otworzyłam specjalną baryłkę. Najlepszą, jaką miałam w ostatnich latach. Nobu-san na pewno z chęcią zechce posmakować.

— Bez wątpienia — odpowiedział Prezes. — Lubi dobre rzeczy. Tylko że dziś nie przyjdzie.

Drgnęłam na te słowa, ale nie oderwałam wzroku od stołu. Szefowa chyba także była mocno zaskoczona, gdyż pośpiesznie zmieniła temat.

— Sayuri dziś wygląda doprawdy czarująco!

— A kiedy wyglądała źle? — rzeczowo zapytał Prezes. — Och, byłbym zapomniał... Coś przyniosłem.

Położył na stole niewielkie zawiniątko opakowane w niebieski jedwab. Nie zauważyłam tego w jego dłoni, gdy wszedł do pokoju. Wyjął krótki i gruby zwój, splekany ze starości, przedstawiający — w miniaturze — sceny z życia dworu cesarskiego. Jeżeli kiedyś oglądałeś coś podobnego, to wiesz, że takie zwoje trzeba by rozwinąć od ściany do ściany, żeby zobaczyć cały teren pałacowy, od jednych wrót do drugich. Prezes przesunął go powoli, przewijając z wałka na wałek. Oglądaliśmy biesiadników oraz arystokratów w podkasanych kimonach, grających w piłkę nożną. Wreszcie ukazała się piękna młoda dama w szacie z dwunastu warstw jedwabiu, klęcząca na podłodze przed komnatą cesarza.

— Podoba wam się?

— Wspaniała rzecz — odpowiedziała właścicielka Ichiri-ki. — Skąd pan to zdobył?

— Kupiłem przed paroma laty. Popatrzcie lepiej na tę damę. To właśnie ona przede wszystkim zwróciła moją uwagę. Nie widzicie nic niezwykłego?

Prezes odwrócił zwój w moją stronę. Wizerunek kobiety był wielkości monety, lecz został wykonany z wielką dbałością o szczegóły. Wcześniej nie zauważyłam, że miała niezwykle jasne oczy... niebieskoszare. Pomyślałam o plakatach i obrazach Uchidy. Spłoszowałam i szeptem wyraziłam swój zachwyt. Szefowa Ichiriki także pokiwała głową.

— Zostawiam was — powiedziała. — Zaraz każę przynieść świeżą, chłodną sake, o której wspominałam. A może ją zostawić dla pana Nobu?

— Tak będzie lepiej. Starczy nam to, co mamy.

— Z panem Nobu... wszystko w porządku, prawda?

— Oczywiście — zapewnił ją Prezes. — W jak najlepszym porządku.

Westchnęłam z ulgą, ale zaraz potem zaczęłam się okropnie wstydzić. Skoro Prezes nie miał wiadomości od Nobu, to pewnie chciał mnie skarcić za moje zachowanie. Po powrocie do Kioto wolałam nie myśleć, co zobaczył stojąc w drzwiach teatru: Ministra w opuszczonych spodniach i moje gołe nogi wystające z kimona...

— Panie Prezesie... — zaczęłam błagalnym tonem. — Jeśli chodzi o wydarzenia na Amami...

— Wiem, o czym myślisz, Sayuri. Nie przyszedłem tutaj wysłuchiwać twoich przeprosin. Przez chwilę nic nie mów. Opowiem ci o czymś, co mi się przytrafiło lata temu.

— Wstyd mi, Prezesie — nie ustępowałam. — Proszę wybaczyć, ale...

— Posłuchaj mnie, a zaraz wszystko zrozumiesz. Pamiętasz restaurację Tsumiyo? Zamknięto ją w ostatnich latach Kryzysu, chociaż... nieważne. Jakkolwiek było, pewnego dnia, dokładnie przed osiemnastoma laty, poszedłem tam na obiad z kilkorgiem przyjaciół. Zabraliśmy gejszę z Pontocho, Izuko.

Od razu rozpoznałam to imię.

— W owych czasach cieszyła się dużą sławą — ciągnął Prezes. — Obiad zakończył się wcześniej, więc w drodze do teatru zawędrowaliśmy na brzeg potoku Shirakawa.

Wyciągnęłam zza obi chusteczkę Prezesa i w milczeniu rozpostarłam ją na stole, monogramem do góry. Wypłowiła przez lata i w rogu była nieco poplamiona, ale Prezes natychmiast ją poznał. Przerwał opowieść i wziął chusteczkę do ręki.

— Skąd ją masz?

— Przez wszystkie lata zachodziłam w głowę, czy wie pan, że to ja wówczas z panem rozmawiałam. Dał mi pan tę chusteczkę, idąc na przedstawienie pod tytułem *Shibaraku*. Dostałam też monetę...

— Chcesz powiedzieć... że rozpoznałaś mnie jako praktykantka?

— Rozpoznałam pana od razu przy następnym spotkaniu. To było na turnieju sumo. Prawdę mówiąc, jestem po prostu zdumiona, że pan Prezes raczył też mnie zapamiętać.

— Chyba powinnaś częściej spoglądać w lustro, Sayuri. Zwłaszcza wówczas, gdy oczy masz mokre od płaczu. Stają się... nie wiem, jak to określić... oknem w głąb twojej duszy. Wiele razy stykałam się z kłamstwem, ty zaś, chociaż mnie nie znałaś, odsłoniłaś przede mną swe wnętrze.

Nagle zmienił temat.

— Nigdy nie spytałaś, dlaczego Mameha wybrała cię na młodszą siostrę?

— Mameha? — powtórzyłam. — Nie rozumiem. A co ona ma z tym wspólnego?

— Naprawdę nie wiesz?

— O czym?

— Och, Sayuri... To ja ją namówiłem, żeby wzięła cię pod opiekę. Opowiedziałem jej o prześlicznej dziewczynce o zadziwiających szarych oczach i poprosiłem, by pomogła ci przetrwać w Gion. Dodałem, że pokryję wszystkie niezbędne wydatki. Dotarła do ciebie dopiero parę miesięcy później. Z tego, co mi powiedziała, wnoszę, że bez jej wsparcia nigdy nie zostałabyś gejszą.

Nie potrafię opisać wrażenia, jakie wywołały na mnie słowa Prezesa. Zawsze wierzyłam, że Mameha działała z prywatnych pobudek. Że chciała ostatecznie pozbyć się Hatsumomo. Teraz, gdy usłyszałam, że mnie przygarnęła z polecenia Prezesa... Próbowałam raz jeszcze przemyśleć jej nauki i odkryć ich prawdziwe znaczenie. Nie tylko ona uległa całkowitej przemianie; ja także stałam się kimś zupełnie innym. Spuściłam

wzrok i spojrzałam na własne dłonie, uformowane przecież przez Prezesa. Byłam radosna, wystraszona i nieskończenie wdzięczna. Odsunęłam się od stołu i z wdzięcznością skłoniłam się do samej ziemi.

— Pan wybaczy, Prezesie... — dodałam — ale wielka szkoda, że nie powiedział mi pan o tym wszystkim... choćby parę lat temu. To ma dla mnie naprawdę ogromne znaczenie.

— Nie mogłem, Sayuri. Co więcej, Mamehę także skłoniłem do milczenia. Chodziło mi o Nobu.

Zmartwiałam na te słowa, gdyż domyślałam się dalszego ciągu.

— Wiem, że nie zasłużyłam na pańską dobroć — westchnęłam. — Tydzień temu, gdy...

— Przyznaję, że przez ostatnie dni często myślałem o Amami — wtrącił.

Czułam, że patrzył na mnie, ale nie ośmieliłam się podnieść wzroku.

— Chcę o czymś z tobą porozmawiać — powiedział. — Nie wiem tylko, od czego zacząć. Przypominają mi się dawne wydarzenia, może nieadekwatne, ale... Mam nadzieję, że zrozumiesz, co chcę przez to powiedzieć.

Przerwał, zdjął marynarkę i położył ją na tatami. Poczułam woń suto nakrochmalonej koszuli i zaraz pomyślałam o Generale. W pokoju w gospodzie Suruya też pachniało jak w pralni.

— Dawno temu, wkrótce po założeniu przedsiębiorstwa — zaczął Prezes — poznałem pewnego człowieka nazwiskiem Ikeda. Pracował w drugim krańcu miasta, u kooperantów. Prawdziwy geniusz, specjalista od wszelkich instalacji. Czasem, gdy miewałem kłopoty z okablowaniem jakiejś firmy, „wypożyczałem” go na dzień lub dwa. Wszystko potrafił naprawić. Pewnego dnia, w drodze powrotnej do domu, przypadkowo spotkałem go w aptece. Z radością powiedział i, że właśnie zrezygnował z pracy. Zapytałem dlaczego. „Uznałem, że to najwłaściwsza pora, aby odejść”, odpowiedział. Oczywiście z miejsca go zatrudniłem. Nurtowało mnie to jednak przez parę tygodni, więc w końcu zapytałem: „Ikeda-san, dlaczego rzucił pan poprzednią pracę?”. Popatrzył na mnie. „Panie Iwamura, od lat pracuję dla pana, lecz pan nigdy nie chciał przyjąć mnie na stałe. Przyjeżdżałem wyłącznie do dorywczej roboty. W końcu zrozumiałem, że pan nigdy

mnie nie zatrudni, by nie popsuć stosunków z moją macierzystą firmą. Musiałem sam się zwolnić, żeby trafić do pana. Tak też zrobiłem".

Przerwał i chyba czekał, że coś powiem, ja z kolei bałam się szepnąć choć słowo.

— Sądzę, że twój chwilowy związek z Ministrem pod pewnym względem przypominał przypadek Ikedy. Powiem ci, dlaczego o tym pomyślałem. Byłem zły na Dynię za jej udział w intrydze i w powrotnej drodze na nią nakrzyczałem. Dostyc długo milczała, a potem powiedziała coś dziwnego... Podobno chciałaś, żeby zamiast mnie przyszedł Nobu.

— Prezesie... — zawołałam roztrzęsionym głosem. — Popełniłam okropną pomyłkę...

— Poczekaj, zanim coś więcej dodasz, powiedz mi po prostu, po co to zrobiłaś? Uważałaś, że to będzie... dobre dla przedsiębiorstwa? Nie wiem. A może byłaś coś winna Ministrowi?

Chyba odruchowo pokręciłam głową, bo Prezes nagle umilkł.

— Wstyd mi, panie Prezesie — wykrztusiłam — ale moje powody były... osobiste.

Westchnął i wyciągnął do mnie pustą czarkę. Nalałam mu sake. Miałam wrażenie, że moje ręce należą do kogoś innego. Prezes wychylił czarkę i chwilę trzymał trunek w ustach, nim przełknął. Stałam się naczyniem po brzegi wypełnionym hańbą.

— Dobrze, Sayuri — wreszcie odezwał się Prezes. — Chcesz wiedzieć, dlaczego pytam? Jeśli ci nie wyjaśnię moich stosunków z Nobu, nie zrozumiesz, po co dziś przyszedłem ani z jakich powodów pomagałem ci przez te wszystkie lata. Bądź pewna, że czasami też mam dość jego humorów. Z drugiej strony, to prawdziwy geniusz, wart więcej niż cała brygada.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc dygoczącą dłonią sięgnęłam po flaszkę sake. Prezes nie podstawił czarki. Uznałam to za zły omen.

— Na początku naszej znajomości Nobu obdarował cię cennym grzebieniem. Zrobił to przy świadkach. Nawet nie podejrzewałem, że pałał tak głębokim uczuciem do ciebie. Nie dostrzegałem oczywistych znaków. Tamtego dnia, kiedy zobaczyłem, jak na ciebie patrzy... Nie mogłem mu ciebie odebrać. To, rzecz jasna, w niczym nie zmieniło

moich zapatrywań na twoją przyszłość. Przyznam jednak, że w późniejszych czasach z coraz większym trudem wysłuchiwałem jego zwierzeń i pochwał na twój temat.

Znowu przerwał.

— Sayuri, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

— Tak, panie Prezesie.

— Pewnie nie wiesz, że mam wobec Nobu ogromny dług wdzięczności. Owszem, stworzyłem firmę i jestem jego zwierzchnikiem, lecz na samym początku miałem sporo kłopotów finansowych i o mały włos nie wypadłem z interesu. Nie chciałem z nikim dzielić władzy nad przedsiębiorstwem i nie słuchałem dobrych rad, że potrzeba nam inwestorów. Nobu jednak postawił na swoim, choć przez pewien czas mieliśmy na pieńku. Nawet zamierzał odejść. W końcu okazało się, że to on miał rację, a ja się myliłem. Bez niego straciłbym firmę. Jak miałem mu się odwdziaczyć? Na jego rzecz zrezygnowałem z tytułu dyrektora. Zasłużył na to, choć się wzbraniał rękami i nogami. Jak zobaczyłem, co się święci, pogrzebałem własne uczucia do ciebie i zostawiłem mu wolne pole. Dosyć przecierpiał w życiu, Sayuri. Nie zaznał wiele dobroci.

Przez cały czas byłem przekonana, że dla niego niemal nie istnieję. Teraz się dowiedziałam, że z góry przeznaczył mnie dla Nobu...

— Pozornie nie zwracałem na ciebie najmniejszej uwagi — kontynuował Prezes. — Nie mogłem, bo gdyby Nobu zaczął coś podejrzewać...

Niemal od dzieciństwa czekałam na tę chwilę. Wreszcie Prezes wyznał, że coś do mnie czuje. Nie wierzyłam własnym uszom. Nie sądziłam jedynie, że w tym samym zdaniu zdradzi, iż świadomie odstąpił mnie Nobu. Zresztą, co tam... Najważniejsze, że przez kilka minut mogłam być z nim sama i mówić o uczuciach.

— Z góry proszę o wybaczenie za to, co zaraz powiem... — wykrztusiłam... i głośno przełknęłam ślinę. Może nie ślinę, nie wiem — jakiś straszny węzeł, który musiałam zepchnąć w dół, żeby mnie nie udusił. — Wielce szanuję pana Nobu, lecz wszystko, co zrobiłam na Amami... — Znowu przerwałam, by pozbyć się pieczenia w gardle. — Zrobiłam to pod wpływem emocji do pana, Prezesie. Od dzieciństwa łudziłam się nadzieją, że każdy, nawet najmniejszy krok przybliży mnie do pana.

Po tych słowach ogień, który czułam w środku, buchnął mi do twarzy. Miałam wrażenie, że odleceć niczym strzęp popiołu i osiądę w jakimś kącie pokoju. Szukałam szczeliny w gładkim blacie stołu, lecz stół błysnął i nagle zniknął mi z oczu.

— Popatrz na mnie, Sayuri. : Chciałam. Nie mogłam.

— Dziwne... — cicho westchnął Prezes jakby do siebie. — Jako dziecko śmiało spoglądałaś mi prosto w oczy. Jako kobieta tego nie potrafisz.

Pozornie nic prostszego: unieść wzrok i zerknąć na Prezesa. Denerwowałam się, jakbym stała samotnie na scenie, w obecności wszystkich mieszkańców Kioto. Siedzieliśmy tak blisko siebie, że kiedy wreszcie otarłam mokre powieki i z oporem dźwignęłam głowę, zobaczyłam tęczę jego oczu. Zastanawiałam się, co powinnam zrobić. Skłonić się, spojrzeć w bok, zaproponować sake? Nie... żaden gest nie zdołałby zniszczyć napięcia. Prezes bez pośpiechu odsunął czarkę i flaszeczkę na bok, chwycił mnie za ramię i przyciągnął do siebie. Czułam ciepło bijące od jego skóry. Straciłam orientację, co się ze mną dzieje... a Prezes mnie pocałował.

Pewnie się zdziwisz, gdy powiem, że był to pierwszy pocałunek w moim trzydziestoletnim życiu? Wprawdzie generał Tottori muskał mnie ustami, ale nie wkładał w to ani odrobiny uczucia. Czasami podejrzewałam go o to, że opiera o mnie głowę tylko dla chwili wytchnienia. Nawet Yasuda Akira — ten, który kupił mi kimono i którego uwiodłam w herbaciarni Tatematsu — całował mnie wyłącznie w kark i w policzki, nigdy w usta. Możesz więc sobie wyobrazić, że ów pierwszy pocałunek wydawał mi się czymś wyjątkowo intymnym. Prezes coś mi dawał, ja coś od niego brałam... Coś osobistego, czego gdzie indziej nie dostałam. Poczułam dziwny smak, mocny, jak owocu, a jednocześnie słodki. Pod jego wpływem opadły mi ramiona i poczułam mrowienie w brzuchu. W głowie wirowały mi dziesiątki wizji, o których nawet nie wiedziałam, że pamiętam. Przypomniałam sobie obłok pary buchającej z garnka, gdy kucharka w okiya podniosła pokrywkę. Zobaczyłam małą alejkę w Pontocho, na której tłum wielbicieli żegnał odchodzącego na emeryturę wielkiego aktora kabuki, Kichisaburo. Było jeszcze coś, gdyż pękły więzy krępujące mój umysł i zalał mnie potok wspomnień. Potem Prezes odchylił głowę, ale nie zdjął mi ręki z ramienia. Widziałam jego wciąż wilgotne usta i smakowałam nasz wspólny pocałunek.

— Panie Prezesie... — wydyszałam. — Dlaczego?

— Co dlaczego?

— Dlaczego... tak się stało? Dlaczego mnie pan pocałował? Jeszcze chwilę temu miałam być podarunkiem dla pana Nobu.

— Nobu zrezygnował z ciebie, Sayuri. Niczego mu nie zabrałem.

Otępiała, nie bardzo rozumiałam, co mówi.

— Gdy zobaczyłem cię z Ministrem, patrzyłaś na mnie w ten sam sposób jak nad potokiem Shirakawa — wyjaśnił. — Mogłaś utopić się z rozpaczy, gdyby cię ktoś nie wyratował. Potem usłyszałem od Dyni, że twój mały popis był w gruncie rzeczy przeznaczony wyłącznie dla Nobu. Postanowiłem, że mu o tym powiem. Zareagował z niesłychaną złością... Hmm... Skoro nie umiał ci przebaczyć, nabrałem przekonania, że nie był ci przeznaczony.

Dawno temu, gdy jeszcze mieszkałam w Yoroido, mały chłopiec imieniem Ginsuke wdrapał się na drzewo, chcąc skoczyć do stawu. Wszedł wyżej, niż powinien, a woda była za płytka. Zabroniliśmy mu skakać, a on bał się zejść, ze względu na ostre kamienie pod drzewem. Pobiegłam do wioski po jego ojca, pana Yamashitę. Szedł za mną tak powoli, jakby nie zdawał sobie sprawy, że jego syn może ulec wypadkowi. Stał pod drzewem dokładnie w tym momencie, gdy Ginsuke — nic nie wiedząc o obecności ojca — przypadkowo zleciał z gałęzi. Pan Yamashita złapał go bez trudu, jak rzucony worek, i postawił na ziemi. Wszyscy wrzasnęliśmy z ulgi i zaczęliśmy skakać wokół stawu. Ginsuke ze zdumieniem mrugał załzawionymi oczami.

Wówczas, w Ichiriki, czułam się jak Ginsuke. Spadałam wprost na głazy, a Prezes mnie chwycił. Prawie zasłabłam z ulgi. Nawet nie miałam siły wytrzeć łez zbierających mi się w kącikach oczu. Prezes wydawał się rozmazaną plamą, lecz widziałam, że jest coraz bliżej. Chwycił mnie w ramiona, jakbym była szmacianą lalką. Przycisnął usta do miejsca, gdzie spod lekko rozchylonego kołnierza kimona prześwitywał trójkątny fragment mojej nagiej skóry. Potem poczułam jego oddech na swoim karku. Owładnięta nagłym pragnieniem, wróciłam myślami do chwili, gdy przed wielu laty w kuchni zastałam pochyloną nad zlewem służącą. Zasłaniała usta, by ukryć gruszkę, lecz sok spływał jej spod palców aż na szyję. „Nie mogłam się powstrzymać” — powiedziała i błagała mnie, bym niczego nie zdradziła Mamie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Pomyśl tylko: po prawie czterdziestu latach siedzę tutaj, wspominając spotkanie z Prezesem. Był to moment, w którym nagle zgasły wszystkie dręczące mnie głosy. Od dnia, w którym opuściłam Yoroido, wciąż drżałam, że krąg losu rzuci mi pod nogi kolejną kłodę. Z drugiej strony, obawy i cierpienia sprawiały, że naprawdę żyłam. Dobrze znaleźć jakieś oparcie dla nóg, idąc pod prąd rwącej rzeki.

Potem jednak, gdy Prezes został moim daną, przeżywałam dużo weselsze chwile. Czułam się jak drzewo, którego korzenie trafią wreszcie na dobrą, życiodajną glebę. Nigdy przedtem nie uważałam się za szczęśliwszą od innych; teraz i to się odmieniło. Musiało jednak minąć sporo czasu, zanim bez większych obaw spojrzałam za siebie. Gdyby tak się nie stało, pewnie byś nie usłyszał niniejszej historii. Nie można przecież mówić o wciąż dotkliwym bólu.

Tego dnia, kiedy do spółki z Prezesem wypiliśmy w Ichiriki tradycyjną sake, stało się coś dziwnego. Nie bardzo wiem dlaczego, ale przy ostatnim łyku z najmniejszej z trzech czarek kropla trunku spłynęła mi z ust na kimono. Miałam na sobie, wówczas oficjalny ubiór, z pięcioma herbami i ze złotym smokiem na dole. Kropla pomknęła mi po rękawie, ześlizgnęła się po czarnym jedwabiu na biodrach i zatrzymała na smoczych zębach, wyszytych srebrną nicią. Gejsze rozlaną sake uważały za zły omen — dla mnie ta maleńka jak łza kropla była kwintesencją całego życia: najpierw spadała w pustkę, bezradna wobec losu, potem spoczęła na jedwabiu, aż na końcu znalazła przystań w pysku potężnego smoka. Pomyślałam o kwiatach rzucanych w wody Kamo, w czasach kiedy mieszkałam u państwa Arashino. Chyba w jakiś sposób znalazły drogę do Prezesa.

W naiwnych dziecięcych marzeniach wyobrażałam sobie, że u boku Prezesa będę żyła spokojnym i dostatnim życiem. Potem dorosłam, lecz wierzyłam w to samo. Niczego się nie nauczyłam, chociaż wiele razy dostawałam bolesną lekcję, że gwóźdź wyciągnięty z ciała pozostawia po sobie brzydką i zaognioną ranę. Odpychając Nobu, nie tylko straciłam druha — dodatkowo skazałam się na wygnanie z Gion.

Powód był bardzo prosty i aż dziw bierze, że wcześniej o nim nie myślałam. Ten, kto sprzątnie nagrodę z rąk przyjaciela, staje przed naprawdę niewdzięczną decyzją: musi ukryć łup albo się pogodzić z utratą przyjaźni. To właśnie przydarzyło się mnie i Dyni; adoptowana, nigdy nie odzyskałam jej uczuć. Negocjacje Prezesa z Mamą ciągnęły się miesiącami. Wreszcie ustalono, że zakończę karierę gejszy. Nie byłam pierwszą, która opuściła Gion. Te, które uciekały, czasem znajdowały mężów. Te, które zostawały, czasem otwierały własne herbaciarnie lub okiia. W moim wypadku chodziło o wąski pasek „ziemi niczyjej”. Prezes chciał mnie zabrać z Gion i sprzed oczu Nobu, lecz nie mógł mnie poślubić, bo był już żonaty. Zaproponował Mamie, aby pozwoliła mi założyć gospodę albo herbaciarnię. Nobu na pewno by tam nie przychodził. Mama jednak nie chciała wypuścić mnie z okiia, bo po zerwaniu moich związków z rodem Nitta nie dostawałaby złamanego jena z kieszeni Prezesa. Ten ostatni wreszcie zgodził się wypłacać jej comiesięczną rentę, pod warunkiem że raz na zawsze zerwę z zawodem. W dalszym ciągu mieszkałam w okiia, ale nie uczęszczałam już co rano na lekcje w maleńkiej szkole, nie byłam zapraszana na lokalne święta w Gion, no i oczywiście nie brałam udziału w przyjęciach.

Ponieważ wybrałam los gejszy tylko ze względu na Prezesa, wydawać by się mogło, że niczego nie straciłam przez dobrowolną banicję. Nieprawda. Przez lata zadzierzgnęłam wiele więzów przyjaźni, nie tylko z gejszami, ale także z niejednym gościem. Po rezygnacji wprawdzie nie zostałam zepchnięta na margines, lecz kto w Gion ma czas na zwykłe towarzyskie życie? Bywało, że z zazdrością patrzyłam, jak inne gejsze śpieszą do herbaciarni, chichocząc z czegoś, co się wydarzyło na poprzednim bankiecie. Cóż z tego, że żyły tak niepewnym życiem, skoro w każdej chwili czekała je przygoda?

Regularnie odwiedzałam Mamehę. Kilka razy na tydzień bywałam u niej na herbacie. Wziąwszy pod uwagę wszystko, co dla mnie zrobiła — chociaż czyniła to na polecenie Prezesa — ciągle pozostawałam jej dłużniczką. Pewnego dnia natrafiłam w antykwariacie na osiemnastowieczne malowidło na jedwabiu, przedstawiające lekcję kaligrafii. Były tam dwie postacie — mistrzyni i jej uczennica. Mistrzyni miała piękną, owalną twarz i z troską spoglądała na swoją podopieczną. Bez wahania kupiłam ten zwój dla Mamehy. Kiedy w deszczowy wieczór siedziałam w jej mieszkanku i patrzyłam na wiszące we wnęce malowidło, podświadomie zaczęłam nasłuchiwać odgłosów

dochodzących z biegnącej pod oknami alei Higashioji. Z poczuciem straty wspomniałam dawny apartament Mamehy i czarodziejski szum kaskady na potoku Shirakawa. Gion jawiło mi się wówczas jako stara kosztowna tkanina. Wiele zmian zaszło od tamtej pory. Maty u Mamehy były barwy wystawnej herbaty, a pokój przepelniała woń ziół z chińskiej apteki na parterze. Nawet jej kimona przesiąkły zapachem lekarstw.

Mameha przez chwilę podziwiała zwój, a potem wróciła do stołu. Popatrzyła w głąb czarki z parującą herbatą, jakby tam chciała znaleźć odpowiednie słowa. Ze zdziwieniem spostrzegłam, że jej dłonie zdradzają pierwsze objawy starości.

— Dziwne, co czasem przynosi przyszłość — powiedziała z lekkim odcieniem smutku. — Nie oczekuj zbyt wiele, Sayuri.

Miała rację. Żyłabym trochę łatwiej przez następne lata, gdybym wiedziała, że Nobu w końcu mi przebaczy. Wreszcie przestałam nagabywać Mamehę o niego. Nie mogłam znieść jej westchnień i długich smętnych spojrzeń, którymi próbowała mnie przekonać, że nie powinnam więcej pytać.

Wiosną, rok po tym jak zostaliśmy kochankami, Prezes kupił wspaniałą willę w południowo-zachodniej dzielnicy Kioto i nazwał ją Eishin-an, „Azył cennej prawdy”. Mieli w niej mieszkać najważniejsi goście koncernu, lecz po prawdzie najczęściej zajmował ją sam Prezes. Spotykaliśmy się tam trzy lub cztery razy w tygodniu, czasami nawet częściej. Zdarzało się, że w dni wypełnione zajęciami przyjeżdżał, brał gorącą kąpiel i niemal natychmiast zasypiał. Najczęściej jednak gawędziliśmy niemal do wieczora i jedliśmy wspólną kolację w ogrodzie, patrząc, jak służba zapala latarnie.

Prezes zazwyczaj rozpoczynał rozmowę od wydarzeń w pracy. Mówił na przykład o kłopotach z jakimś nowym produktem, o rozbitej w wypadku ciężarówce z częściami i o podobnych sprawach. Spłukiwał je z umysłu niczym woda spłukuje zlew. Słuchałam nie tylko słów, lecz także brzmienia głosu, cichnącego z wolna, im bardziej zlew stawał się pusty. We właściwej chwili po prostu zmieniałam temat i rozmawialiśmy o przyjemniejszych rzeczach. O zdarzeniach poranka, o filmie oglądanym wcześniej przez Prezesa, o historiach, które słyszałam od Mamehy. Sama Mameha też nas czasem odwiedzała. Nasze rozmowy dawały dokładnie taki sam efekt, jak kropla wody padająca na ręcznik ze-sztywniały po długim leżeniu na słońcu. Przyjeżdżając, Prezes miał suche i

stwardniałe palce jak patyki. Pod dotknięciem wilgotnej i gorącej ściereczki nabierały giętkości młodziutkich gałązek.

Sądziłam, że tak będzie do końca życia: w dzień trochę pustych zajęć, wieczorami spotkania z Prezesem. Jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku wybraliśmy się wspólnie do Stanów Zjednoczonych. Dla Prezesa była to druga podróż do Ameryki. Był tam poprzedniej zimy i powrócił twierdząc, że nic dotąd nie wywarło na nim większego wrażenia. Po raz pierwszy poznał prawdziwy smak prosperity. W japońskich gospodarstwach elektryczne światło paliło się zaledwie parę krótkich godzin, w Ameryce żarówki błyszcząły przez okrągłą dobę. Wszystkich w Kioto napawało dumą, że drewniany peron na dworcu zmieniono na betonowy. Amerykańskie dworce miały posadzki z marmuru. Kina bywały większe niż nasz Teatr Narodowy, a ubikacje wręcz lśniły przesadną czystością. Każda rodzina w Stanach Zjednoczonych miała własną domową lodówkę, kupowaną za cenę dużo niższą od przeciętnej pensji. Japończycy na zakup podobnego urządzenia musieliby pracować niemal przez półtora roku. Niewiele osób mogło sobie pozwolić na podobny wydatek.

Tak czy siak, Prezes wziął mnie ze sobą podczas kolejnej wyprawy do Ameryki. Sama pojechałam pociągiem do Tokio, a stamtąd już razem poleciliśmy na Hawaje. Czekały nas piękne dni. Prezes kupił mi kostium kąpielowy — pierwszy w życiu — i wiele godzin spędzaliśmy na plaży. Włosy obcięłam krótko, do ramion, na amerykańską modłę. Hawaje w dziwny sposób przypominały mi Amami. Bałam się, że Prezes też to zauważy, ale jeśli nawet tak było, to nigdy o tym nie wspominał. Z Hawajów poleciliśmy do Los Angeles, a potem wreszcie do Nowego Jorku. Amerykę znałam wyłącznie z filmów. Nie wierzyłam, że drapacze chmur naprawdę istnieją. Kiedy z okien hotelu Waldorf-Astoria spoglądałam na las betonowych gmachów i czyste, gładkie ulice, wiedziałam, że oglądam świat, w którym dosłownie wszystko jest możliwe. Początkowo sądziłam, że będę jak dziecko wyrwane z ramion matki; nigdy dotąd na dłużej nie opuszczałam Japonii i sam dźwięk słów „Nowy Jork” napawał mnie podświadomym strachem. Zachwyty Prezesa był jednak zaraźliwy. Oddzielny pokój służył do oficjalnych spotkań w interesach. Noce spędzaliśmy razem, w moim apartamencie. Często budziłam się w ogromnym łóżu i widziałam sylwetkę Prezesa po ciemku siedzącego w fotelu przy oknie i patrzącego na

Park Avenue. Kiedyś, o drugiej rano, zawołał mnie do siebie, żeby pokazać jakąś zakochaną parę w wieczorowych strojach, całującą się w świetle ulicznej latarni.

W ciągu następnych trzech lat jeszcze dwa razy odbyliśmy wspólną podróż do Ameryki. Prezes całe dni poświęcał interesom, ja zaś w towarzystwie służącej zwiedzałam galerie i wysiadywałam w restauracjach. Oglądałam też balet — zachwycające przeżycie. Dziwnym zbiegiem okoliczności kilka japońskich restauracji w Nowym Jorku było własnością człowieka, którego znałam w Gion przed wojną. Pewnego dnia w porze lunchu znalazłam się w prywatnej sali, w gronie dawno nie widzianych znajomych: z wiceprezesem Japońskiej Spółki Telefonów i Telegrafów, z niedawno mianowanym konsulem generalnym, poprzednio burmistrzem Kobe, i z profesorem nauk politycznych z uniwersytetu w Kioto. Znowu poczułam się jak w Gion.

Latem pięćdziesiątego szóstego roku Prezes — który miał dwie córki, ale nie doczekał się syna — wydawał starszą córkę za mąż, za niejakiego Nishiokę Minoru. Chciał, żeby pan Nishioka przejął rodowe nazwisko Iwamura i stał się jego następcą. Niestety w ostatniej chwili narzeczony stchórzył i oświadczył, że wesela nie będzie. Już wcześniej dał się poznać, że ma trudny charakter, ale Prezes go cenił ze względów zawodowych. Po zerwaniu zaręczyn przez kilka dni panowała napięta atmosfera. Prezes walczył na służbę z byle jakich powodów. Nigdy dotąd nie widziałam go tak rozdrażnionego.

Nikt mi nie musiał mówić, co się naprawdę kryło za decyzją pana Nishioki. Rok wcześniej prezes jednej z większych japońskich firm ubezpieczeniowych zwolnił ze stanowiska dyrektora własnego „oficjalnego” syna i zastąpił go znacznie młodszym — ze związku z pewną gejszą z Tokio. Tego typu sytuacje zdarzały się już niegdyś, ale na znacznie mniejszą skalę, w rodzinach kupców albo cukierników. W gazetach donoszono, że starszy z synów w oczach ojca miał opinię „dzielnego, lecz o mniejszych talentach niż...” — tu padało imię drugiego z potomków, bez najmniejszej wzmianki o więzach pokrewieństwa. W gruncie rzeczy nie miało to żadnego znaczenia; wkrótce wszyscy i tak znali prawdę.

Nishioka Minoru, chociaż początkowo zgodził się przejąć schedę po Prezesie, odkrył nagle, że od niedawna... ma rywala z nieprawego łoża. Zrozumiałe, że w tej

sytuacji wolał zrezygnować. Znana była miłość Prezesa do dwóch córek, wiadano jednak, że boleje nad brakiem spadkobiercy. Dlaczego miałby wydziedziczyć swojego prawdziwego syna i tuż przed śmiercią nie oddać mu pełnej władzy nad stworzoną przez siebie firmą? Chcesz spytać, czy to prawda, że zostałam matką? Cóż, jeśli nawet, to nie mogę zdradzić nic więcej, by ktoś z tego powodu nie doznał przypadkowej krzywdy. Nic więc nie powiem; chyba mnie zrozumiesz.

Mniej więcej tydzień po rejteradzie Nishioki postanowiłam porozmawiać z Prezesem w pewnej delikatnej sprawie. Znów byliśmy w Eishin-an i po kolacji siedzieliśmy na werandzie, spoglądając na ogród. Prezes popadł w zadumę i od dłuższego czasu nie wyrzekł ani słowa.

— Danna-sama, mówiłam ci o przedziwnych myślach, jakie mnie nawiedzają? — spytałam.

Nie uczynił nawet najmniejszego znaku, że mnie w ogóle słyszy.

— Chodzi o Ichiriki — ciągnęłam. — Prawdę mówiąc, trochę mi brakuje dawniejszych zabaw.

Prezes przełknął kęs lodów i odłożył łyżeczkę na talerzyk.

— Dobrze wiem, że nie mogę wrócić do Gion. Zastanawiam się, czy... może w Nowym Jorku znalazłoby się miejsce na niewielką herbaciarnię?

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz — mruknął. — Nie ma najmniejszych powodów, byś wyjeżdżała z Japonii.

— Japońscy biznesmeni i politycy ściągają do Nowego Jorku jak żółwie do stawu — odparłam. — Wielu z nich to moi dawni znajomi. Zgadza się, że mój wyjazd byłby wielką zmianą. Skoro jednak danna-sama coraz częściej odwiedza Amerykę...

Wkrótce miała powstać amerykańska filia koncernu Iwamura.

— Nie mam teraz nastroju, Sayuri — powiedział i chyba zamierzał coś dodać, lecz ja brnęłam dalej, udając, że go nie słyszałam.

— Powiadają, że dziecko dwóch kultur nie ma najłatwiejszego życia. Żeby zadbać o syna, musiałabym odnaleźć w Nowym Jorku swój prawdziwy dom.

— Sayuri...

— A to oznacza, że już nigdy nie mogłabym na stałe powrócić z dzieckiem do Japonii.

Chyba dopiero wówczas zrozumiał, że zamierzałam się usunąć z drogi, żeby mógł bez dalszych przeszkód adoptować Nishiokę Minoru. W pierwszej chwili popatrzył na mnie ze zdumieniem. Potem, gdy pomyślał o moich słowach trochę dłużej, w jego oku błysnęła łza. Odpędził ją jak muchę krótkim ruchem dłoni i pomału odzyskał nieco lepszy humor.

W sierpniu tego samego roku przeprowadziłam się do Ameryki i otworzyłam małą herbaciarnię dla japońskich biznesmenów i polityków. Mama uważała to za poszerzenie działalności okiya, ale Prezes odwiódł mnie od podpisania wszelkich dodatkowych umów. Tylko w Gion miała nade mną władzę; wyjazd oznaczał ostateczne zerwanie więzi. Prezes dodatkowo oddelegował dwóch księgowych, by mieć pewność, że Mama wypłaciła mi wszystkie należności, co do ostatniego jena.

Nie ukrywam, że bałam się jak nigdy w życiu, kiedy po raz pierwszy zamknęłam za sobą drzwi apartamentu hotelu Waldorf Towers. Nowy Jork to jednak ekscytujące miasto. Wkrótce czułam się tu tak dobrze jak w Gion. Teraz, kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, widzę, że i Prezes bywał tu szczęśliwszy niż w Japonii. Małeńka herbaciarnia na piętrze starego klubu przy Piątej Alei od samego początku cieszyła się powodzeniem. Odwiedzały ją nawet gejsze, włącznie z Mamehą. Dzisiaj chodzę tam tylko dla starych przyjaciół. Resztę czasu spędzam w rozmaity sposób. Rano zwykle widuję grupę japońskich artystów i literatów. Rozmawiamy na wspólne tematy — o poezji, muzyce... a raz nawet przez cały miesiąc dyskutowaliśmy o dziejach Nowego Jorku. Lunch jadam z przyjaciółmi. Po południu siadam przed lustrem, żeby się przygotować do wieczornych przyjęć. Czasem je urządza tutaj, u siebie. Gdy zdejmuję brokatową zasłonę z lustra, wciąż czuję mleczny zapach białego pudru, którego kiedyś używałam w Gion. Chciałabym tam jeszcze wrócić, ale z drugiej strony, boję się, że zastanę zbyt wielkie zmiany. Na fotografiach, które widziałam u znajomych z Kioto, Gion wydawało mi się skurczone i małe, jak zaniedbany ogród porośnięty chwastami. Po śmierci Mamy w miejscu okiya stanął mały betonowy domek z księgarnią na parterze i dwoma mieszkaniami na piętrze.

Kiedy wkraczałam do Gion po raz pierwszy, pracowało tam osiemset gejsz. Teraz jest ich mniej niż sześćdziesiąt, w tym kilka praktykantek. Liczba ciągle maleje, gdyż nie da się powstrzymać zmian zachodzących w świecie wbrew naszej woli. Podczas ostatniej wizyty Prezesa w Nowym Jorku wybraliśmy się na długi spacer wokół Central Parku. Rozmawialiśmy o przeszłości. Nagle Prezes przystanął pod kępą sosen. Opowiadał mi o sosnach rosnących wzdłuż alej w miejscu, gdzie dorastał na przedmieściach Osaki. Wiedziałałam, że je wciąż pamięta. Oparł słabe dłonie oburącz na lasce, przymknął oczy i wdychał zapach przeszłości.

— Czasem myślę, że wspomnienia są realniejsze od widoków — westchnął.

Jako młoda dziewczyna wierzyłam, że wielkie namiętności słabną wraz z wiekiem, niczym zawartość czarki zapomnianej gdzieś w kącie pokoju. Nieprawda. Po powrocie ze spaceru z Prezesem na nowo przeżywałam chwile uniesienia. Miałam wrażenie, że wysączył ze mnie wszystkie soki po to tylko, aby za chwilę napęłnić mnie na nowo. Zasnęłam i znów byłam na bankiecie w Gion, pochłonięta rozmową z pewnym starszym panem, zapewniającym mnie, że jego ukochana żona wciąż żyje, gdyż nie da się przekreślić lat wspólnej rozkoszy. Gdy to mówił, spijałam najdziwniejszą zupę. Każdy łyk był spełnieniem marzeń. Zrozumiałam, że wszyscy moi przyjaciele nie odeszli na zawsze, ale żyli we mnie, tak jak żona starca żyła wewnątrz niego. Piłam za utraconą w dzieciństwie Satsu, za ojca, matkę i nawet za pana Tanakę, owładniętego przewrotnym poczuciem dobra, za Nobu, który nigdy mi nie wybaczył, i nawet za Prezesa. W zupie znalazłam wszystko, czym żyłam przez lata. Słowa starca trafiały mi wprost do serca. Obudziłam się ze łzami spływającymi mi po twarzy i ujęłam Prezesa za rękę. Bałam się, że zginę, kiedy i on mnie opuści. Był taki słaby, że przywodził mi na myśl matkę konającą w Yoroido. Zmarł kilka miesięcy później, lecz przyjęłam to z dziwnym spokojem, jakbym patrzyła na liść naturalną kolejną rzeczą spadający z wiekowego drzewa.

Nie wiem, co nas wiedzie przez życie. Jeśli chodzi o mnie, poleciałam jak kamień w kierunku Prezesa. Rozbita warga i spotkanie z panem Tanaką, śmierć matki i upiorna podróż do Kioto — wszystko to było niczym fale strumienia, mknące przez kamienny próg w drodze do oceanu. Nawet teraz, gdy odszedł, żyje w mych wspomnieniach. A żyję razem z nim, opowiadając ci o tym.

Czasem, gdy przechodzę przez Park Avenue, podziwiam egzotyczny widok: żółte taksówki na ulicy, jęczące klaksonami, i tłum kobiet dźwigających wypchane teczki, ze zdumieniem zerkających na starą Japonkę w kimonie, stojącą pod światłami. Z drugiej strony, tak samo dziwnie wyglądałabym chyba w Yoroido. Jako dziecko wierzyłam, że byłabym szczęśliwa, gdyby pan Tanaka nie zabrał mnie z trzęsichatki. Dzisiaj wiem, że nasz świat jest tylko falą w wielkim oceanie życia. Triumfy i cierpienia, nawet najczarniejsze, z czasem bledną niczym lawowane rozwodnionym tuszem na papierze.

PODZIĘKOWANIA

Chociaż postać Sayuri i jej dzieje należą do świata fikcji, zawierają wiele historycznych faktów z życia gejsz w latach trzydziestych i czterdziestych. W poszukiwaniach odpowiednich źródeł informacji korzystałem przede wszystkim z nieocenionej pomocy słynnej gejszy z Gion, Mineko Iwasaki, której szczyt kariery przypadła na lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte. W maju tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku odwiedziłem ją w Kioto, a ona wprowadziła mnie w niemal wszystkie tajniki zawodu gejszy, chociaż moi znajomi, którzy kiedykolwiek byli w Kioto, nie wierzyli, że może mnie spotkać taki zaszczyt. Jeszcze w samolocie, szlifując znajomość japońskiego, obawiałem się, że bliżej mi nieznana Mineko najwyżej pogawędzi ze mną przez telefon o pogodzie i uzna to za wystarczający wywiad. W rezultacie zabrała mnie na wspaniałą podróż po Gion wraz z mężem Jinem oraz siostrami Yaetchiyo i Kuniko i wszyscy cierpliwie odpowiadali na setki moich, czasem niezwykle szczegółowych pytań. Pozostajemy dobrymi przyjaciółmi. Pamiętam zwłaszcza jej wizytę u nas, w Bostonie, i niezwykle uczucie, gdy wraz z moją żoną i ze mną zasiadła przed telewizorem jedna z ostatnich gejsz wychowanych w poszanowaniu tradycji.

Dziękuję ci za wszystko, Mineko.

Kontakt z Mineko nawiązałem dzięki pomocy pani Reiko Nagaura, kobiety z pokolenia mojej własnej matki, płynnie mówiącej po japońsku, angielsku i niemiecku. Pani Nagaura wkrótce po przyjeździe do Stanów, jako studentka u Barnarda, została nagrodzona za krótkie opowiadanie. Przez długie lata przyjaźniła się z moją babką. Związki między naszymi rodzinami dzisiaj sięgają już czterech pokoleń. Jej dom jest moim prawdziwym schronieniem w czasie wypraw do Tokio. Nawet nie potrafię wyrazić uczucia wdzięczności, jakie wobec niej czuję. Czytała różne wersje rękopisu niniejszej powieści, za każdym razem udzielając mi bezcennych porad.

Przez lata, jakie spędziłem na pisaniu, zawsze mogłem liczyć na pomoc żony Trudy. Była nieskończenie cierpliwa i odrywała się od wszelkich innych zajęć, kiedy

chciałem, by świeżym okiem zerknęła na fragment tekstu. Jej szczerść i spostrzegawczość dorównywały zrozumieniu.

Robin Desser z Wydawnictwa Knopf ma w sobie wszystkie cechy wymarzonego redaktora: pasję, wiedzę, poświęcenie i chęć do pomocy – a prócz tego poczucie humoru.

Nie znam nikogo takiego jak Light Feldman, z jej ciepłem, rzeczowością i profesjonalnym podejściem do zawodu. Cieszę się, że została moją agentką.

Od samego początku pomagała mi wszechwiedząca Helen Bartlett. Dziękuję, Helen, zrówno tobie, jak i Denise Stewart.

Chciałbym też podziękować mojej przyjaciółce Sarze Laschever za uważne przejrzanie rękopisu, za zaangażowanie i za wiele słusznych pomysłów.

Tetsuko Craig była tak miła, że godzinami mi opowiadała o latach, które jako uczennica spędziła w Kioto podczas wojny. Mam także dług wdzięczności wobec Lizy Dalby, jedynej amerykańskiej gejszy, której wspaniała książka *Byłam gejszą* stanowi antropologiczne studium niektórych elementów japońskiej kultury i opisuje życie autorki wśród gejsz z Pontocho. Liza Dalby udostępniła mi wiele japońskich i angielskich książek ze swojej własnej biblioteki.

Kiharu Nakamura, która już przedtem opisała swoje doświadczenia z czasów, gdy była gejszą w dzielnicy Shimbashi w Tokio, poświęciła mi cały dzień rozmowy.

Dziękuję także za uwagi i za troskę, jaką obdarzał mnie mój brat Stephen.

Robert Singer, kustosz działu japońskiego w Muzeum Sztuki w Los Angeles, zadał sobie wiele trudu, by ukazać mi w Kioto prawdziwe warunki życia przedwojennej japońskiej arystokracji.

Bowen Dees, którego poznałem w samolocie, pozwolił mi przeczytać własne, nie publikowane nigdzie wspomnienia z Japonii lat amerykańskiej okupacji.

Dziękuję Allanowi Palmerowi za informacje o ceremonii herbacianej i japońskich wierzeniach oraz przesądach.

John Rosenfield jak nikt inny zapoznał mnie z dziejami japońskiej sztuki i spowodował, że w moich oczach ogromny Harvard zmienił się w niewielką uczelnię. Dziękuję mu za nieustającą pomoc.

Jestem także dłużnikiem Barry'ego Minsky'ego za rolę, jaką odegrał w staraniach, aby moja powieść ujrzała światło dzienne.

Pragnę też wspomnieć o osobach, których zasługi są zbyt liczne, aby je wszystkie wymienić. Są to: David Kuhn, Merry White, Kazumi Aoki, Yasu Ikuma, Megumi Nakatani, David Sand, Yashio Imakita, Mameve Medwed, Celia Millward, Camilla Trinchieri, Barbara Shapiro, Steve Weisman, Yoshikata Tsukamoto, Carol Janeway z Wydawnictwa Knopf, Lynn Pleshette, Denise Rusoff, David Schwab, Alison Tolman, Lidia Yagoda i Len Rosen. Dziękuję.